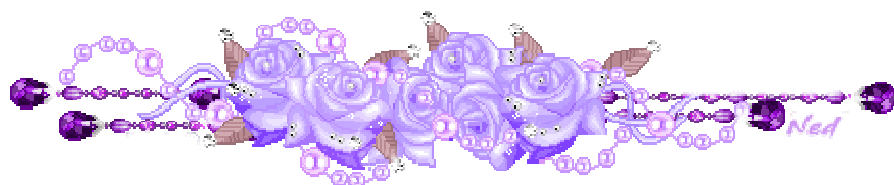


Hilary Norman

ZGUBNA MIŁOŚĆ

Przełożyła
Małgorzata Tomal



Wielu życzliwych ludzi i organizacji ofiarowało mi cenną pomoc i poświęciło czas, kiedy zbierałam materiały do tej powieści i gdy ją pisałam. Szczególne wyrazy wdzięczności należą się niektórym z nich. Oto oni (w porządku alfabetycznym):

Jon, Barbara i David Ash; Howard Barmad; Andrea Blackwell; officer Frank Bogucki, NYPD (New York Police Dpt.); Clare Bristow; Carolyn Aughey; Sara Fisher; John Hawkins; Liz i Ray Hopwood; The King's Arms Hotel, Askrigg; dr Anthony Isaacs; Sarah Kilgarriff; Elaine Koster; Audrey LaFehr; Agnes i Ole Licht; Burlington Bookshop, Nowy Jork; pani H. Norman; Helen Rose; Neal Rose; Susan Sheldon; dr Jonathan Tarlow; Michael Thomas; Joyce Thorp. Szczególnie gorące podziękowania dla Anthoniego Cornisha - za jego cierpliwość, fachową pomoc i hojność.

*Mojemu bratankowi,
Davidowi*

Od Autorki

Ponieważ akcja powieści jest wymyślona, jednak w dużej mierze osadzona w rzeczywistym świecie teatru, w wielu miejscach fabuła miesza się tutaj z faktami. Adaptacje sztuk, o których pisałam, są fikcyjne, ale większość teatrów istnieje naprawdę. Na przykład ani Diana Lancaster, ani żadna inna aktorka, nie mogła grać Tytanii w Stratford-upon-Avon w październiku 1944 roku, ponieważ wśród sześciu sztuk, które w tym czasie wystawił Shakespeare Memorial Theatre, nie znalazł się ani jeden dramat Szekspira. Co do wymyślonej przeze mnie inscenizacji „Heddy Gabler” z 1954 roku, czuję się w obowiązku złożyć wyrazy szacunku pani Peggy Ashcroft, której interpretacja Heddy zyskała wielki poklask publiczności teatru Lyric Hammersmith we wrześniu owego roku.

Mam nadzieję, że wszyscy aktorzy, występujący w teatrach w tamtych czasach, o których piszę, wybaczą mi.

*Możecie obdarzyć swoje dzieci waszą miłością,
lecz nie waszymi myślami.
Albowiem mają swoje własne myśli.
Możecie dać schronienie ciałom ich, ale nie duszom
Albowiem ich dusze zamieszkują dom jutra,
do którego nie możecie wstąpić nawet w snach.*
Kahlil Gibran, „O dzieciach”, „Prorok”
Tłum. Teresa Pruszkowska,
Wydawnictwo literackie, Kraków 1981

Wyjątek z zeznania złożonego policji przez Jeremy'ego Jamesa Adama Marinera w Szpitalu Świętego Jerzego w Londynie, dnia trzydziestego pierwszego grudnia 1976 roku.

Cóż mogę powiedzieć? Sebastian Locke jest nie tylko moim współpracownikiem, ale również najbliższym przyjacielem. To jedyne z najlepszych agentów teatralnych w kraju. Ma krytyczny umysł, doskonałą intuicję, no i serce... ani na chwilę nie stracił serca. Jednak jeśli chodzi o jego życie osobiste, sądzę, że od lat jest nieszczęśliwy, choć nigdy się do tego nie przyznał, przynajmniej przede mną. Myślę, że przed sobą też nie.

Znam Seba od czasu, kiedy obaj mieliśmy po pięć lat. Raz przelotnie spotkałem Katharine. Miała wtedy pięć lat. Ale naprawdę dobrze poznałem ją dopiero wtedy, kiedy miała dwadzieścia pięć lat. Było to dwa lata temu. To takie dziwne, ale wydaje mi się, że tyle samo wiem o jej przeszłości, co o jego życiu. Seb był moim najlepszym przyjacielem, odkąd sięgnę pamięcią. Ale zawsze przypominał trochę zamkniętą księgę, a Kate... Kate to szczerą, otwartą dziewczyną.

Nie sądzę, żeby w ogóle chciała być aktorką. Po prostu zrobiłaby wszystko, by uszczęśliwić Seba. Katharine taka jest. Obawiam się, że w głębi duszy uważała, że mam coś przeciwko niej... Może nawet, że jej nienawidzę. A tak naprawdę to lubię Kate. Podziwiam ją.

Ale kocham Sebastiana.

Byliśmy wszyscy razem, kiedy to się zaczęło... Taka głupia, tragiczna... cholerna strata.

To było chyba w maju 1954 roku. Zatrzymaliśmy się w Dębach... To rodzinny dom Seba... On wciąż tam mieszka. Jak na tę porę roku było ciepło. To pamiętam.

Sądzę, że znaleźliśmy się tam wszyscy przypadkowo... Chyba że ktoś wierzy w przeznaczenie. Dla Katharine i dla mnie to było po prostu jedno z wielu wydarzeń, nie rozumieliśmy wtedy jego istoty. Rodzice zabrali nas z Dębów, póki jeszcze panująca tam atmosfera nie zagęściła się. Żal mi było Seba. Później, oczywiście. Ale jestem pewien, że wówczas czułem cholerną ulgę, iż mogę się stamtąd wyrwać. Kate i ja myśleliśmy, że uciekliśmy z Dębów, nie doznając żadnego uszczerbku. Tak jednak nie było.

Wiemy to teraz.

RS

CZĘŚĆ
PIERWSZA

RS

Rozdział 1

Sebastian ostatni raz widział swoją matkę, kiedy strzeliła sobie w głowę.

Leżała rozciągnięta na kanapie, zwiotczała i martwa, wciąż jednak piękna. Jej twarz była blada i nieruchoma, ciemne, faliste włosy opadały w lekkim nieładzie. Sebastian siedział na swoim miejscu wyprostowany jak struna, z zaciśniętymi pięściami, z bijącym mocno sercem. Nie był w stanie się poruszyć. Uzbrojone w lornetkę oczy z zapamiętaniem utkwili w jej klatce piersiowej, tak jak matka mu radziła parę godzin wcześniej. W tym miejscu, gdzie prawie niewidocznie unosiła się, opadała i znów się unosiła.

Sebastian osunął się z powrotem na aksamitne siedzenie, na sekundę oderwał oczy od sceny, podniósł wzrok na zachwyconą twarz ojca i uśmiechnął się półprzytomnie.

To była najbardziej ekscytująca chwila jego życia.

Miał dopiero siedem lat, lecz o teatrze wiedział już wszystko. Tkwiał w nim niemal od urodzenia. Ich dom był właściwie teatrem. Na ścianach wisiały fotografie, plakaty, afisze; półki ugięły się pod ciężarem tomów sztuk, scenariuszy teatralnych i albumów z wycinkami prasowymi; kredensy wypełnione były trofeami. Większość przyjaciół jego rodziców stanowili aktorzy, pisarze, reżyserzy i producenci, a wszystkie, liczne zresztą, przesady jego matki, miały swe źródło w garderobie.

Chociaż Sebastian nie umiałby powiedzieć, jak często ją widział i słyszał, kiedy uczyła się roli, do dziś nigdy nie oglądał jej jeszcze na prawdziwej scenie. Kiedy miał pięć lat, zo-

baczył ją na ekranie, w jedynym filmie, w którym zagrała. Teraz przyszła druga rola - zdołała wywabić ją z domu, z jego pokoju dziecinnego. Była to postać, o której Diana Lancaster marzyła przez cały czas trwania świetnej kariery, a która, jak dotąd, wymykała jej się z rąk. I choć Sebastian wiedział, że matka źle się czuje, że jego ojciec, Andrew Locke, martwi się o nią i że w okresie prób wizyty lekarza powtarzają się z niepokojącą częstotliwością, Diana postawiła sprawę jasno - nic, nawet kłopoty zdrowotne nie zdołają pozbawić jej wymarzonej roli.

Sebastian uświadomił sobie, że rodzice, którym rzadko zdarzały się sprzeczki, kłóca się zawzięcie za zamkniętymi drzwiami sypialni. I choć podsłuchiwanie było surowo zabronione, nadstawiał ucha wystarczająco długo, by zorientować się, że ojciec pragnie, żeby matka odpoczywała, a ona wcale nie miała takiego zamiaru.

- Nikt inny nie będzie grał Heddy - pewnego ranka usłyszał jej głos, dźwięczący wyraźnie, namiętnie, zdecydowanie.
- Nikt, słyszysz?

Odwiedził ją w garderobie przed próbą generalną. Pozwolono mu zostać, podczas gdy ona nakładała gruby makijaż, który zmienił tak dobrze mu znaną, ukochaną mamę w kogoś obcego - w charyzmatyczną czarodziejkę, napełniającą go podziwem i strachem. Lecz rozpoznał jej pocałunek, poznał zapach, jej głęboki głos i kochającą czułość ramion, które go objęły, zanim Rose, garderobiana, nie przejęła nad matką władzy. I słuchał z przejęciem, jak pouczała go, by baczenie śledził sztukę, by uległ magii teatru, dał się mu zaczarować tak jak ona, gdy była w jego wieku. A potem przypomniała mu, że wszystko, co zobaczy, mimo że mogłoby wyglądać prawdziwie czy przerażająco, jest po prostu udawaniem.

- Zobaczysz nawet jak umieram, kochanie - mówiła do niego łagodnie, w skupieniu. - Na samym końcu sztuki. I być może przez małą chwilkę będzie ci się to wydawało całkiem realne.

- Ale nie będzie. - Jego głos zadrżał lekko.

- Oczywiście, że nie. Jeśli będziesz przyglądał mi się bardzo, bardzo uważnie przez lornetkę - tatuś dopilnuje, żebyś

ją dostał - sam się przekonasz, że żyję. Obserwuj to miejsce - Diana położyła rękę na klatce piersiowej - a zobaczysz, że oddycham. Będziesz wiedział, że może Hedda Gabler nie żyje, ale twoja mamusia jak zwykle wieczorem wróci do domu.

Czy przyjdiesz pocałować mnie na dobranoc? - zapytał, wciąż odrobinę zalekniony.

Oczywiście, że tak, kochanie. Ale mogę wrócić późno, więc masz być w łóżku.

Ale zajrzysz do mnie?

Nic mnie nie powstrzyma. - I jeszcze raz go przytuliła, a on zamknął oczy, wciągnął w nozdrza ten jej cudowny, niezwykły zapach i poczuł jakieś silne, nieznane upojenie.

Niektóre sceny w sztuce były dla niego zupełnie niezrozumiałe, inne zaniepokoiły go, a jeszcze inne tak znudziły, że omal nie zasnął. Jednak po pewnym czasie, gdy ojciec parę razy dotknął jego ramienia, szeptem zachęcił i coś wytłumaczył, Sebastian nabrał otuchy i rzeczywiście poczuł magię teatru. Zaczął wierzyć w to, co widzi i słyszy na scenie. Teatr go oczarował - jego dźwięki i zapachy, rzędy atłasowych siedzeń, wyniosłe i strzeliste kolumny po obu stronach sceny, ciemne loże, światła reflektorów i ten dziwny taniec pyłków kurzu, uwieczonych w snopie światła.

Było to jego pierwsze spotkanie z teatrem. Już tęsknił za następnym.

Potem chciał znowu pójść za kulisy, jeszcze raz zobaczyć tę fascynującą czarodziejkę. Doświadczyć tej chwili niezwykłego podniecenia, tego napięcia, kiedy ta obca kobieta dotyka go, mówi do niego, całuje go i znów przemienia się w jego matkę. Jednak tata powiedział, że dzisiaj to już niemożliwe. Tego wieczora Diana musi zostać z innymi aktorami, by wysłuchać uwag reżysera, zaś Andrew i Sebastian pójdą, aby uczcić ten uroczysty dzień.

Mama wyjaśniła Sebastianowi, jak szczególne i rzadkie bywają takie dni. Nic nie może równać się z ostatnim tygodniem prób z atmosferą próby generalnej, a przede wszystkim - premiery. Po przedstawieniu premierowym odbywa się przyjęcie, opowiadała. Jeśli wszystko poszło dobrze, na ban-

kiecie panuje szaleństwo, chociaż wszyscy zatrudnieni przy wystawieniu sztuki - począwszy od aktorów, a skończywszy na bileterkach - nerwowo obgryzają paznokcie, czekając na recenzje.

- Rano po premierze - Diana ostrzegła Sebastiana - zobaczysz, że jestem bezgranicznie szczęśliwa albo znajduję się na dnie rozpacz. Ale nawet jeśli przedstawienie było fatalne, a ja przeżywam straszliwą chandrę, musisz zrozumieć, że mimo wszystko warto to robić. Bo, nawet jeśli trudno ci to pojąć - jak każdemu, kto nie pracuje w teatrze - nie ma na świecie rzeczy równie ekscytującej jak wystawianie sztuki.

Potem, jak pamiętał, utonął w jednym z jej szczególnych uścisków. Dodała oczywiście, że Sebastian jest wyjątkiem od tej reguły, bowiem radość macierzyństwa odsunęła w cień najwspanialsze sztuki, najpochlebniejsze recenzje i najbardziej przepelnione teatry.

Ostatnie dni należały tylko do dorosłych. Siedmioletni chłopcy nie mogli w nich uczestniczyć. Andrew i Diana zorganizowali więc dla Sebastiana małe przyjęcie w domu. Jeremy Mariner, jego najlepszy przyjaciel ze szkoły w Hampstead, do której razem uczęszczali (mimo że Marinerowie mieli swój londyński dom w Regent's Park), miał nocować w Dębach. Był to dom państwa Locke'ów, w Dolinie Wrzosów, koło Hampstead Heath. Ponadto miała im towarzyszyć nieznana im pięcioletnia córeczka amerykańskich przyjaciół Diany i Andrew - Katharine Andersen. Chłopcom nie bardzo się to podobało. Przecież ta nieznajoma, młodsza od nich cudzoziemka jest dziewczynką! Rodzina Andersenów miała, co prawda, nocować w hotelu Savoy, gdzie zaplanowano popremierowe przyjęcie, ale Diana i Andrew pomyśleli, że Katharine będzie się lepiej czuła w Hampstead w towarzystwie innych dzieci.

Sebastian i jego ojciec pojechali po Jeremy'ego, a następnie do Savoyu. Andrew zostawił chłopców w samochodzie, a sam wszedł do hotelu, by zabrać Katharine. Po krótkiej, odbytej w milczeniu podróży do Fortnum & Mason przy Piccadily, udali się do Fountain Restaurant na kolację.

-Na co masz ochotę, Katharine? - Andrew uśmiechnął się z sympatią do ślicznej blondyneczki. Chłopcy siedzieli nieco sztywniej niż zwykle, dalecy od życzliwości. - Tu wszystko jest wyśmienite, prawda, dzieci?

-Absolutnie pyszne. - Sebastian spojrzał na Katharine. - Właśnie byliśmy w teatrze - powiedział.

-Wiem - uśmiechnęła się. - Twoja mama jest aktorką.

-Wybitną aktorką - rzekł Sebastian, nie tyle chełpiąc się, ile chcąc, by wszyscy dowiedzieli się o rozpierającej go dumie.

-Ubóstwiam teatr - odezwał się Jeremy.

-Ja nigdy nie byłam w teatrze.

-A ja byłem setki razy - wyniośle odparł Jeremy, choć widział tylko dwa razy jasełka w Boże Narodzenie.

-Mama Katharine też jest aktorką - poinformował chłopców Andrew.

-Ale nie ma jej w „Heddzie Gabler”, prawda? - zapytał Sebastian.

-Jest w hotelu - powiedziała Katharine.

-To tytuł sztuki, głupia - Jeremy zachichotał szyderczo.

-Aha. - Policzki Katharine lekko się zaróżowiły. Nerwowo poruszyła się na krześle.

-Sam nie słyszałeś o „Heddzie Gabler”, póki ja ci nie powiedziałem - przypomniał Jeremy'emu Sebastian, po czym zwrócił się do Katharine:

-Podoba mi się twój akcent. Amerykański, prawda?

-A mnie się podoba twój - odparła i uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Sebastian zauważył, że dziewczynka ma w obydwu policzkach dołeczki i że jej oczy są złotobrazowe.

Już była prawie szósta, gdy opuścili Fortnum po zjedzeniu steków, pasztecików z wątróbką i wafli z syropem klonowym. Wyruszyli na północ w stronę Hampstead. Andrew Locke nie miał nic wspólnego z teatrem. Nie był aktorem. Prowadził biuro prawne w pobliżu Lincoln's Inn Fields. Jednak, odkąd jego żona wróciła do pracy, często brał dni wolne, by zająć się Sebastianem, odwiedzić żonę do teatru lub przywieźć ją z powrotem. Nigdy nie narzekał. Kiedy wiązał się z Dianą, wiedział, że jest aktorką, i rozumiał jedną z podstawowych reguł życia ludzi teatru: przedstawienie jest na ogół ważniejsze od

czegokolwiek, a już na pewno od jakiejś nudnej pracy w biurze adwokackim, choćby nie wiadomo jak dochodowej.

Kiedy znaleźli się w Dębach, w domu Locke'ów, Katharine zaprowadzono do gościnnego pokoju. Z kolei Sebastian i jego ojciec jak zwykle wdali się w sprzeczkę na temat zasady ustanowionej przez Annabel Mariner, matkę Jeremy'ego. Jej syn mógł nocować poza domem jedynie pod warunkiem, że będzie spał w oddzielnym pokoju. Jeremy cierpiał bowiem na astmę. Gdy pierwszy raz przebywał w Dębach, chłopcy położyli się spać bardzo późno i Annabel Mariner całą winę za ostry atak astmy, który Jeremy miał nazajutrz, złożyła na karb całonocnych psot. Odtąd, gdziekolwiek chłopcy nocowali - czy to w Hampstead, w mieszkaniu Marinerów w Regent Park, czy też w ich majątku w Yorkshire - zajmowali osobne sypialnie.

- Nie ma sensu dyskutować na ten temat - Andrew przekonywał syna. - Zasady to zasady. A poza tym obaj wiemy doskonale, że jak dotąd nie przeszkodziły wam w żadnej zabawie.

- Czy wracasz teraz do teatru, tatusiu?

- Oczywiście. I nie mam pojęcia, o której wrócę. Zajmie się wami Ellie i będziecie się jej słuchać.

- Oczywiście.

- I, chłopcy, macie być mili dla Katharine. Pamiętajcie, że jest od was młodsza. No i jest gościem.

- To będzie trudne.

- Nie rozumiem dlaczego.

- Jest dziewczyną - odparł Sebastian, tak jakby powód był oczywisty.

- Dziewczynki to też ludzie, Seb, wiesz przecież - łagodnie upomniał go Andrew.

- Wiem, tatusiu.

- Dopilnuj, żeby Jeremy też się o tym dowiedział, zgoda?

- *Okay.*

Choć Katharine Andersen miała dopiero pięć lat, to kilka chwil w obecności Sebastiana Locke'a i Jeremy'ego Martinera wystarczyło jej, by się przekonać, że pięcioletnie dziewczynki w niczym nie ustępują w temperamentie siedmioletnim chłopcom. Nie miała braci, jedynie trzyletnią siostrzyczkę An-

nie. Ale spotkała już wielu chłopców w przedszkolu w Waszyngtonie. A kiedy mamusia albo Nanny Cooper zabierały ją na plac zabaw do parku, Katharine o wiele bardziej lubiła bawić się z bliźniakami, Bobbym i Garym Fisherami, którzy mieli już siedem i pół roku, niż z ich siostrzyczką Babs.

Ci angielscy chłopcy ani trochę jej nie przestraszyli. Ale wcale nie miała pewności, czy nie boi się być sama w obcym pokoju, w ogromnym obcym domu, w obcym kraju, daleko od rodziców. Podobało jej się w Savoyu, w pięknym apartamencie, w którym jej ojciec zdołał zaprowadzić miły nieład już kilka chwil po przyjeździe. Mamusia zawsze narzekała, że tata jest bałaganierzem. Ale on mawiał, że przez większość swojego życia musi być czysty i porządny, więc kiedy wraca do domu, to najbardziej go cieszy, że może wreszcie czuć się swobodnie. Katharine uwielbiała spędzać czas z rodzicami i z pewnością wolałaby zostać z nimi w hotelu. Jednak mamusia zorganizowała wszystko jeszcze przed przyjazdem do Londynu. Uważała, że będzie to dla córeczki szczególna radość. Katharine wiedziała, że już wszystko jest załatwione i że nieuprzejmie byłoby cokolwiek teraz zmieniać. Nieuprzejmie znaczyło tyle co niegrzecznie. Mamusia opowiadała jej w samolocie o brytyjskich zasadach dobrego wychowania. Mówiła, jak istotne jest to, by zachowywać się grzecznie w Londynie. Nawet ważniejsze niż w domu, choć i tam, oczywiście, jest to niezmiernie ważne.

Katharine rozejrzała się po pokoju, w którym ją zostawiono. Był to pokój osoby dorosłej. Stwierdziła, że będzie musiała na coś stanąć, by dosięgnąć umywalki. Łóżko było ogromne. Trzeba pamiętać, żeby leżeć na samym środku, by nie spać. Szafy wykonano z drewna dokładnie takiego samego jak toaletka i stoliki po obu stronach łóżka, a na podłodze leżał duży, ciemnoczerwony dywan, utkany z bardzo grubej przędzy.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła Ellie Wilkins, pochodząca z Walii gospodyni o spokojnym usposobieniu, którą Katharine poznała na dole. Ellie niosła wazon z żonkili i tulipanów, a przez lewe ramię miała przewieszane trzy różowe ręczniki.

- Żeby ci tu było trochę weselej, kochana - powiedziała, stawiając wazon na toaletce i wieszając ręczniki na wieszaku przy umywalce. - Czy ktoś ci pokazał, gdzie jest łazienka?

- Tak, dziękuję - odparła Katharine, starając się być szczególnie uprzejma. - Podobają mi się te kwiaty.

- To z naszego ogrodu. - Ellie podeszła do okna. - Nie widać go z twojego pokoju, ale masz za to piękny widok na wrzosowisko.

Katharine widziała wcześniej to cudowne liliowe pole, rozpościerające się aż do podjazdu przed domem. Sebastian powiedział jej, że w niedzielne poranki on i ojciec wychodzą tam z psami, Jasperem i Rufusem. Psów jeszcze nie widziała, zazwyczaj przy powitaniu zachowywały się zbyt gwałtownie i Ellie zamknęła je w ogrodzie na tyłach domu, żeby nie przstraszyły dziewczynki.

- Jesteś gotowa? - w drzwiach pokoju pojawił się Sebastian. Przebrał się - swój elegancki strój z Fortnum & Mason, w którym był w teatrze, zamienił na parę sztruksowych spodni i niebieski sweter, który sprawił, że jego błękitne oczy zdawały się jeszcze bardziej błękitne.

Nie zamierzasz się przebrać, Katharine? Będziemy się bawić w ogrodzie.

Czy masz ubranie na zmianę, kochanie? - zapytała Ellie, chcąc podsunąć dziewczynce wymówkę na wypadek, gdyby perspektywa zabawy w ogrodzie z dwoma starszymi chłopcami nie wydała jej się zbyt kusząca.

- Chyba tak. - Katharine już zaglądała do torby, którą spakowała dla niej mama. - Czy to wystarczy? - Wyciągnęła spódniczkę w szkocką kratę i czerwony sweterek. Mamusia mówiła, że powinny się nadawać, jeśli będą potrzebowała sportowego stroju.

- Bardzo ładne - powiedział Sebastian z powątpiewaniem.

- Co będzie, jeśli się pobrudzą?

- Nic nie szkodzi.

- Jesteś pewna?

- Tak.

- W porządku. Do zobaczenia na dole za pięć minut. - Sebastian przypomniał sobie o dobrych manierach. - Oczywiście, nie śpiesz się z przebieraniem.

Zajął jej to niecałe pięć minut. Tak bardzo jej zależało, by chłopcy wiedzieli, że w niczym im nie ustępuje. A kiedy zaproponowała, żeby zwracali się do niej Kate, Sebastian nagle zdał sobie sprawę, że jej towarzystwo może okazać się całkiem przyjemne. Wciąż jednak nie było wątpliwości, że Jeremy'emu nie w smak była obecność dziewczynki.

- Co chciałabyś robić? - spytał Sebastian.

- Cokolwiek.

- Mieliśmy zamiar bawić się w odkrywców - powiedział Jeremy.

- To zapowiada się nieźle - odparła Katharine.

- Chwilami może być trudno - ostrzegł Sebastian.

- Nic nie szkodzi.

Bawili się doskonale, udając odważnych odkrywców w Ameryce Południowej. Wspięli się na zarośnięte skałki, które wyobraźnia przemieniła w górę. Przeskoczyli przez mały staw, który, jak twierdził Sebastian, był bagniskiem z kłębiącymi się aligatorami. Ponieważ nóżki Katharine były nieco krótsze od nóg chłopców, nie udało jej się przeskoczyć przez staw bez szwanku. Na szczęście okazał się płytki i, choć przez chwilę była niespokojna, co mama powie o jej przemozonych bucikach, szybko przestała o tym myśleć i roześmiała się, podczas gdy psy ujadają, a chłopcy złapali ją, każdy pod jedno ramię, i wybawili z opresji. Na koniec Jeremy zaczął kaszleć i Sebastian, którego ostrzeżono, by zwracał uwagę na objawy ataku astmy u przyjaciela, pobiegł po Ellie. Położyła kres tej zabawie. Zaprowadziła ich do domu, gdzie bawili się dużo spokojniej, choć bez porównania z mniejszą satysfakcją. Grali w chińczyka i w bierki. Aż przyszła pora na podwieczorek i Katharine całkowicie zawojowała chłopców. Opowiadała im historie o duchach z takim zapalem, że chłopcy zupełnie zapomnieli, iż ma pięć lat i do tego jest dziewczynką.

A potem nareszcie przyszła pora na sen.

Wszyscy spali mocno, zmęczeni emocjami, świeżym powietrzem i ruchem. Jeremy jak zwykle leżał rozciągnięty na kołdrze, oddychając teraz spokojnie i równomiernie. Jego wąska twarz, niekiedy smutna w ciągu dnia, rozpoznała się we śnie. Katharine, ulokowana bezpiecznie na środku swego

olbrzymiego, wysokiego łoża, śniła o rodzicach, siostrzyczce i o domu, o wafłach z syropem klonowym i o dwóch wielkich, złotych psach, które lizały ją po twarzy, machały ogonami i rozśmieszały.

Sebastian również spał spokojnie. Pokój dziecienny, w którym nocował od niemowlęstwa, skąpany był w poświacie księżycy, a wpadający przez uchylone okna wietrzyk wprawiał w taniec sznurki żyrandola. Był to pokój doskonały. Miejsce do spania i zabawy, przepelnione ciepłem, poczuciem bezpieczeństwa i miłością. Każdy szczegół był tu z największą uwagą zaplanowany, bezbłędnie przemyślany, tak że można było bez obaw zostawić w nim dziecko, by bawiło się beztrasko. Nawet metalowe kraty w oknach zdobiły rzeźbione niedźwiadki. U stóp łóżka zaś czekał wielki kosz, z którego wysypywały się zabawki - pluszowe zwierzaki, miniatutki pociągów, samochodów i samolotów, skakanka, piłka, kij do krykieta.

Gdy się obudził, panowała nieprzenikniona ciemność. Przez moment myślał, że ze snu wyrwał go jakiś nieokreślony, bolesny dźwięk. Księżyc skrył się za czarnymi chmurami. Wiatr świszczął i szarpał gałęzie wielkich dębów w ogrodzie. Sebastian leżał bez ruchu, wsłuchany w odgłosy burzy, wpatrzony w niesamowite cienie tańczące na ścianach pokoju. Trochę bolała go głowa. Poczłł niczym niedający się wytłumaczyć strach.

Zastanawiał się, czy Jeremy i Katharine też nie śpią. Ale lęk przykuwał go do łóżka, nie pozwalał wstać i opuścić bezpiecznego pokoju. To nieznane dotąd uczucie naraz stało się bliskie, straszliwe. Świadomość, że nie ma czego się bać, nie dawała pocieszenia.

Ulgę przyniósł świt. Uspokoil Sebastiana. Pokój rozświetlił się, bezkształtne plamy nabrały ostrości. Chłopiec wygodniej oparł się o poduszkę, zamknął oczy i pomyślał, że jeszcze tylko kilka godzin drzemki i trzeba będzie wstawać. Zobaczy mamę i tatę. Ellie robi śniadanie dla niego, Jeremy'ego i Kate. Przypomniał sobie poprzedni dzień, mamę na scenie. Największa aktorka w Anglii, może nawet na świecie. Lęki gdzieś odeszły i Sebastian ponownie zasnął.

Ellie obudziła go o dziewiątej.

- Zbudź się, śpiochu.

- Dzień dobry, Ellie. - Sebastian przeciągnął się i szeroko ziewnął.

- Dzień dobry, kochanie.

- Gdzie mamusia?

- Wyszła na próbę, a tata poszedł do biura. Już najwyższy czas, żebyś wstał. Twoi przyjaciele już od dawna są na nogach i wygłodzeni czekają na śniadanie. Ale powiedziałam im, że muszą poczekać na ciebie.

- Dlaczego mamusia i tatuś nie przyszli do mnie przed wyjściem? - zapytał i poczuł, jak budzi się w nim niepokój z poprzedniej nocy. - Wczoraj mamusia obiecała, że przyjdzie do mnie, jak tylko wróci. Ale nie przysłała.

- Mam nadzieję, że długo nie czekałeś i zasnąłeś. - Ellie ściągnęła z niego kołdrę. Przyciągnęła go do siebie i uściskała. Była wesoła jak każdego ranka, chociaż jakoś szczególnie błyszcząły jej oczy... Sebastian nie mógł pozbyć się jakiegoś dziwnego uczucia, które ścisnęło go w żołądku, że coś się stało, coś jest nie tak, choć nie bardzo wiedział, co.

- Czy wszystko w porządku, Ellie? - zapytał.

- Oczywiście, kochanie. - Otworzyła szeroko jedno z okien.

- A teraz, raz, dwa, pośpiesz się, bo niedługo będzie obiad.

Zapomniał o tym uczuciu, kiedy zobaczył Jeremy'ego i Katharine, taką śliczną, z błyszczącymi, świeżo umyтыми włosami. Jedli owsiankę, jajka na bekonie i tosty z miodem, a Jasper i Rufus leżeli pod stołem kuchennym, czekając na kawałki bekonu i chleba z masłem, które Sebastian zrzucił im ze swojego talerza. Potem pognali do ogrodu. Świeciło słońce i znowu bawili się w odkrywców, a Katharine po raz kolejny zrobiła na Sebastianie i Jeremym ogromne wrażenie, dzielnie próbując wspiać się na dąb. Zupełnie jak chłopak.

I dopiero kiedy tuż przed obiadem Annabel Mariner i Jake Andersen, ojciec Katharine, bez zapowiedzi przyjechali po swoje dzieci, kiedy wszystkie twarze dorosłych wokół Sebastiana stały się nagle ponure, blade, uśmiechy - wymuszone, strach uderzył go mocno i okrutnie z nową siłą.

- Ale dlaczego musimy już jechać, tatusiu? - po raz drugi pytała ojca Katharine.

- Już ci mówiłem, kochanie. Musimy wracać do hotelu - tłumaczył spokojnie.

- Czy mamusia dobrze się czuje?

- Oczywiście, że tak. Już ci mówiłem. I Annie też, ale teraz musimy już jechać. - Ponownie się uśmiechnął, lecz tylko ustami. Jego oczy pozostały smutne. - Pożegnaj się z Sebastianem i z panią Wilkins, kochanie, i serdecznie podziękuj za gościnę.

- Dziękuję za wszystko - zwróciła się Katharine do Ellie, która pochylała się i pocałowała dziewczynkę w policzek. Katharine odwróciła się do Sebastiana. - Żałuję, że muszę już jechać - powiedziała miękko.

- Ja też - odparł.

- Ale Jeremy nie zamierzał poddać się bez walki. Zaparł się nogami w hallu i wbił wzrok w swoją matkę.

- Nie rozumiem, dlaczego mam wyjeżdżać.

Annabel Mariner, posągowa blondynka, spojrzała nań groźnie i powiedziała:

- Ponieważ ja ci każę. A teraz przestań grymasić i chodź już.

- Czy to świnka albo coś takiego? - Ciemne oczy Jeremy'ego były zamyślane.

- Ależ skąd. - Annabel uśmiechnęła się z przymusem.

- Pamiętam, jak któregoś dnia musieliśmy wszyscy w środku dnia opuścić szkołę. Co nie, Seb? Wtedy kiedy Jeffrey Beamish zachorował na świnkę.

- Na odrę - powiedział Sebastian zduszonym głosem. Nie wierzył, że to wszystko ma cokolwiek wspólnego ze świnką czy odrą. Ale rozumiał dostatecznie dużo, by widzieć, że nikt niczego im nie wyjaśni, bo są dziećmi, a to są sprawy dorosłych.

Kiedy Jeremy i Katharine już odjechali, próbował dowiedzieć się od Ellie, gdzie są jego rodzice. Jednak gosposia zbywała go, unikając odpowiedzi na wszystkie pytania. Podała obiad, którego prawie nie tknął, po czym zabrała go na spacer aż do Whitestone Pond, gdzie pozwoiliła mu puścić na wodę statek i karmić kaczki. Kiedy tam byli, węzeł w jego żołądku nieco się rozluźnił. A w drodze powrotnej, gdy skręcili w Dolinę Wrzosów, Sebastian zobaczył samochód ojca

zaparkowany przed domem. Wydał z siebie okrzyk radości i wbiegł do domu.

Andrew stał w salonie. Nad kominkiem wisiał portret Diany.

- Tatusiu! - Sebastian podbiegł do niego i pociągnął za rękaw. - Tatusiu, stało się coś strasznie dziwnego! Jeremy i Kate musieli wyjechać, oboje! Przyjechała mama Jeremy'ego i tata Kate, i ich zabrali. I nawet razem nie zjedliśmy obiadu. A ja myślałem, że mieli zostać tu kilka dni!

Wtedy ojciec się odwrócił. Szybko, w milczeniu, pochylił się i gwałtownie przytulił Sebastiana. Był to uścisk silny, aż bolesny, a zarazem przerażający. Kiedy odsunął się od niego, Sebastian zobaczył, że twarz ojca jest kredowobiała, a oczy zaczerwienione, jakby niedawno płakał.

- Tatusiu! - zawołał. - Co się stało?

Andrew otworzył usta. Wydawało się, że stracił mowę. Nagle Sebastian nie chciał już o nic pytać. Był zbyt przerażony. Przeczucie ostrzegало go, że jeśli teraz zapyta, to pewnie dostanie odpowiedź...

Po południu Sebastian bawił się samotnie w swoim pokoju. Usłyszał trzask zamykanych drzwi. Zaczęły docierać do niego odgłosy rozmowy ojca z jakimś mężczyzną. Wiedział, że podsłuchiwanie jest naganne, lecz poczuł wewnętrzny przymus, by to zrobić. Wymknął się z pokoju i usłyszawszy, że rozmówcy przeszli do gabinetu ojca, zszedł na dół po schodach i stanął pod drzwiami, nasłuchując.

Głos ojca brzmiał głucho i obco.

- A więc, mimo wszystko, będzie grać dublerka - mówił.

- Wiesz, że Diana nie chciałaby, żeby było inaczej - łagodnie odparł mężczyzna. Sebastian rozpoznał głos Dickie'ego Forbesa, agenta matki.

- Mylisz się - powiedział Andrew. - Och, ja wiem, że Diana była absolutną profesjonalistką... wszyscy to wiemy, a ja lepiej niż ktokolwiek. - Teraz w jego głosie brzmiała gorycz i straszny gniew. - Ale nie chciała, by inna aktorka dostała tę rolę. Grała większość wielkich ról, Bóg to wie, ale to o roli Heddy zawsze marzyła. - Głos mu się załamał. - Błagałem ją, żeby zrezygnowała. Wiedziałem, że to dla niej za wiele. Ale nie chciała słuchać. Nie mogła. I to ją zabiło.

- To i bez tego mogło nastąpić - powiedział Forbes.
- Nie.
- Oczywiście, że tak. Doktor uważa...
- Atak serca, wieńcówka, zawał. Mogą to sobie nazywać, jak im się podoba. - Głos Andrew Locke'a brzmiał teraz zupełnie wyraźnie. Był przepelniony nienawiścią. - Ale to Hedda ją zabiła.

Za drzwiami, w głębokim mroku korytarza, stał chłopiec. Usłyszał te słowa. Zabiła. Ten głos ojca. Nie słowa, choć i one, same w sobie, były wystarczająco potworne... Nawet nie ton głosu, choć i on był straszny. Chodziło o sam tylko dźwięk, tę barwę, która odzwierciedlała to, co w ojcu się działo. Sebastian miał dopiero siedem lat. Jednak w głosie Andrew Locke'a usłyszał coś przerażającego. Był to bolesny jęk udreżonej ludzkiej duszy.

I uczucie rwącego, piekącego bólu rozprzestrzeniło się w nim jak pożar, spalając jego serce i umysł.

Pochłonęło go.

Rozdział 2

Stolica jest jednym z najwspanialszych miast na świecie - pisała Louisa, matka Katharine Andersen, w listach do swojej matki mieszkającej w Minneapolis. Jednak z pewnością nie było to idealne miasto dla aktorki, która chce zrobić karierę. Co więcej, wybitny chirurg ortopeda nie stanowił dobrego materiału na męża aktorki, zwłaszcza że mieszkał i pracował w Waszyngtonie i najprawdopodobniej do końca życia nie zamierzał się z niego ruszyć.

Louisa Grahame Andersen pragnęła zostać aktorką, odkąd nauczyła się czytać i pisać. Chciała być gwiazdą i mieszkać w Nowym Jorku. Zresztą te dwa marzenia były nierozdzielne, bo przecież każdy wiedział, że Broadway to centrum teatralne Ameryki, a może i świata.

Louisa spotkała Jake'a Andersena w czasie pierwszej wycieczki do Nowego Jorku, kiedy miała zaledwie dziewiętnaście lat. Natknęła się na niego podczas antraktu nowej sztuki Lillian Hellman, wystawianej w Teatrze Fulton, i zakochała się w nim po uszy.

Jake, urodzony w Kopenhadze jako Jacob Andersen, był chudym blondynem o żywych niebieskich oczach i najpiękniejszych dłoniach, jakie Louisa kiedykolwiek widziała u mężczyzny. Był od niej o dziesięć lat starszy i sto razy mądrzejszy. Wraz z owdowiałą matką, Karen, wyemigrowali z Danii, kiedy miał szesnaście lat. Osiedlili się w Great Neck na Long Island, i Jacob, przeobraziwszy się w Jake'a, zaczął realizować swój cel: sprawić, by matka była z niego dumna. Wyróżniał się w szkole, dostał się do Harvard Medical School,

a na koniec zrobił specjalizację z ortopedii. Kiedy Louisa go poznała, Jake odbywał praktyki w New York Hospital. Ta drobniutka, ciemnooka brunetka z dołeczkami w policzkach nie mogła uwierzyć w swoje ogromne szczęście.

- To znacznie więcej niż tylko zestawianie złamanych kości - powiedział jej Jake podczas obiadu na pierwszej randce. - To pomaganie dzieciom urodzonym z krzywym kręgosłupem. To ofiarowanie pacjentom, którzy stracili ręce i nogi, możliwości poruszania się za pomocą innych urządzeń. W ten sposób mogą być znów niezależni.

- To brzmi cudownie - powiedziała Louisa, już zafascynowana.

- Wcale nie. Głównie chodzi o to, że ja mam zadbać o stronę techniczną. A potem to już bardzo ciężka praca i odwaga ze strony pacjentów - sprostował Jake.

Pobrali się, zanim skończyła dwadzieścia lat. Dopiero miesiąc później Jake obwieścił, że ma szansę otrzymać wspaniałą posadę w Georgetown University Hospital w Waszyngtonie.

- Jacob zajdzie na szczyty, wspomnisz moje słowa - usłyszała Louisa od Karen, jego matki. - W Waszyngtonie dopiero niebo jest granicą. Kto wie, może któregoś dnia prezydent złamie nogę, a mój syn ją poskłada...

- Nie sądzę, żeby Jake zrezygnował z niesienia pomocy zwykłym ludziom - Louisa nieśmiało się sprzeciwiła.

- Prezydent to też zwykły człowiek, czyż nie? - szorstko odparła Karen, kończąc rozmowę.

Louisa cieszyła się ze względu na Jake'a. Lecz przenosiny oznaczały koniec jej własnych marzeń o karierze aktorskiej, bowiem jedyny teatr w Waszyngtonie - Narodowy - został niedawno zamknięty przez związek aktorów z powodu uprzedzeń rasowych. Jednak Louisa zdawała sobie sprawę, że nie ma wyboru. Poleciałaby na Księżyc, gdyby mąż ją o to poprosił. Od dnia, kiedy spotkała Jake'a, jej życie obracało się wokół niego, pięknego domu w Georgetown i, od wiosny 1949 roku - wokół ich córeczki.

Wszyscy przyznawali, że Katharine od najmłodszych lat była wyjątkową pięknoscią. Trudno jednym słowem opisać kolor jej włosów. Był to ciemny blond, przetykany złotymi

pasemkami, tak że jej włosy były jedwabiste i lśniące. Również oczy dziewczynka miała niezwykłego koloru - błyszczących bursztynów...

- To kolor dobrego starego koniaku i ognia - mawiał Jake, kiedy wpadał w liryczny nastrój i wysoko podrzucał ukochaną córeczkę.

Po dwóch latach przyszła na świat jej siostrzyczka, Annie. Jake był równie zachwycony, gdyż dziewczynka była ciemnowłosa jak Louisa, miała jasną cerę i wielkie brązowe oczy.

- Czekolada z kremem - mówił, całując jej rączki i nóżki.

- Aż chce się zjeść.

Wszyscy kochali Annie za jej najśłodszy, zaraźliwy uśmiech, który poruszał serce każdego, kto na nią patrzył.

Louisa była szczęśliwa. Jake stanowił niemal ideał męża - utalentowany, poważany, kochający. I chociaż jego praca nie pozwalała na częste przebywanie z rodziną, nigdy nie sprzeciwiał się, by - po ponownym otwarciu Narodowego - jego żona wystąpiła czasem na scenie. Przecież dzieci miały nianię. Zaś w czasie gdy Louisa grała lub, co zdarzało się częściej, uczestniczyła w dobroczynnych kwestach, prowadzonych przez Czerwony Krzyż albo Szare Damy (jedną z elitarnych organizacji charytatywnych Waszyngtonu), pani Murray, gospodyni, dbała o Jake'a. Na początku roku 1953 kariera Louisy zaczęła się pomyślnie rozwijać. Jej agent zorganizował zdjęcia próbne do filmu kręconego na Zachodnim Wybrzeżu. Louisa dostała rolę w tym filmie zatytułowanym „Pułkownik Rose” Gregory Peck zagrał w nim pilota samolotów wojskowych, natomiast w roli głównej obsadzono charyzmatyczną angielską aktorkę, Dianę Lancaster. Louisa natomiast odgrywała rolę młodszej siostry Gregory Pecka. W Anglii kręcono zdjęcia tylko przez trzy tygodnie, lecz w tym krótkim czasie Louisa i Diana zbliżyły się tak bardzo, że przyjaźń ich trwała jeszcze długo po ukończeniu filmu.

Po tym doświadczeniu Louisie zdawało się, że osiągnęła coś ważnego w swoim życiu aktorskim - uczestniczyła w przedsięwzięciu, które zdobyło świetne recenzje i odniosło kasowy sukces w Ameryce i Europie. Teraz z większą radością wycofała się w dosyć spokojne życie rodzinne. Była szczęśliwa, organizując koktajle i pokazując się z mężem w mieście. Nawet

jeśli, co zdarzało się często, przyjemności te były przerywane przez nagłe wypadki. Absorbowało ją takie prowadzenie domu. Była to willa z czerwonej cegły, na rogu ulic Dwudziestej Ósmej i Q w Georgetown, którą podziwiała wielu znajomych. Dom miał piękną fasadę, kamienne schody z żelazną balustradą, łukowato wiodące do drzwi wejściowych, i wysokie, wąskie okna. Wnętrze również mogło zachwycić. Było tu mnóstwo pokoi, z których większość wyposażono bogato, ale bez przepychu. Urządzono małą bibliotekę i pokój muzyczny, w którym Louisa brała lekcje fortepianu (miała nadzieję, że dzieci pójdą w jej ślady). W domu był też śliczny, choć rzadko używany, pokoik do szycia i, ulubiony przez rodzinę, czarujący i jasny pokój śniadaniowy, wychodzący prosto na mały ogródek, z altanką obrosniętą wistarią, krzakami dzikiej róży i kwitnącymi czereśniami.

Ale największą dumę i radość stanowiły córeczki - piękna i inteligentna Katharine - i zawsze roześmiana, malutka Annie. Po „Pułkowniku Rose” Louisie wydawało się, że jej ambicja zniknęła w nadmiarze radości razem z dawno już porzuconym pragnieniem zamieszkania w Nowym Jorku. Wiosną 1954 roku cała rodzina wyjechała do Europy, aby uczestniczyć w uroczystej premierze „Heddy Gabler” z Dianą Lancaster w roli głównej. Po straszliwej tragedii, która dotknęła brytyjską aktorkę, zostawiając jej męża i synka pograżonych w bólu, Louisa jeszcze lepiej uświadomiła sobie, że niczego tak bardzo nie pragnie, jak tylko być ze swoimi najbliższymi.

Kiedy Annie poważnie zachorowała, a lekarze stwierdzili, że to białaczka, radość i szczęście rozwiały się. Dziewczynka miała dopiero cztery latka. Przez cały okres choroby, prawie do samego końca, jej odwaga dodawała siły innym - czasem w szpitalu, a najczęściej w domu, mała Annie wciąż uśmiechała się swym czarodziejskim uśmiechem. Kiedy umarła, przeżywszy zaledwie sześć lat, rodzina Andersenów się rozpadła. Może śmierć córeczki powinna zbliżyć Louise i Jake'a jeszcze bardziej. Utrata dziecka rozdzieliła ich jednak. Jake utopił swoją rozpacz w pracy, czerpiąc pocieszenie z pomagania innym, z chronienia pacjentów i ich rodzin przed

cierpieniem. Sądził, że żona ma Katharine, swoich przyjaciół i działalność charytatywną, które ją pocieszą, pomogą przetrwać udrękę. Lecz Louisa czuła, że nie zostało jej już nic i że jej życie już się skończyło...

Kiedy umarła Annie, Katharine miała osiem lat. Trochę wiedziała o umieraniu, ponieważ tatuś często opowiadał o śmierci pacjentów i zawsze go to zasmucało. Poza tym była u Sebastiana Locke'a w Anglii, kiedy zmarła jego mama, chociaż rodzice niczego jej nie wyjaśnili, dopóki nie opuścili wielkiego i starego domu Locke'ów i nie wrócili do hotelu. Katharine wysłała do Sebastiana list, bo mamusia mówiła, że tak trzeba zrobić. W liście napisała, jak bardzo jej przykro i że może sobie wyobrazić, co on przeżywa. Teraz jednak wiedziała, że wówczas nie rozumiała, co znaczy prawdziwy smutek, jak straszna, niewytłumaczalna jest nieodwracalność śmierci, i co musiał czuć Sebastian, tracąc mamę. Teraz, kiedy odeszła Annie, jej ukochana siostrzyczka, po tym, jak widziała ją umierającą, taką cichą, pogodzoną, Katharine uświadomiła sobie nagle, że każdy dzień przybliża śmierć, która jest nieuchronnym kresem życia.

Kłótnie zaczęły się siedem miesięcy po śmierci Annie. Przez pierwsze pół roku żałoby Louisa i Jake nie umieli sobie pomóc, jednak zdołali zachować szacunek dla wspólnego cierpienia. Kiedy jednak początkowa udręka minęła, a po niej nastąpił okres odrętwienia i apatii, zaczęły się pojawiać pierwsze oznaki złości i goryczy. Starali się ochronić swoją córeczkę przed najgorszym i nie sprzecali się przy niej, lecz nie zawsze było to możliwe.

Któregoś wieczoru Katharine usłyszała ich kłótnię. Właśnie przebudziła się ze straszego snu i szła do ich sypialni, szukając ukojenia.

- Nigdy cię nie ma w domu - Oskarżycielski głos matki powstrzymał ją od zapukania do drzwi.

- Jestem tak często, jak mogę - odparł ojciec.

- To nieprawda, i dobrze o tym wiesz.

W głosie Louisy brzmiała rozpacz. Katharine wiedziała, że mamusia często płacze. Zamykała się w sypialni i nigdy nie

plakała w jej obecności, ale Katharine wiedziała, bo oczy mamusi były zaczerwienione.

- Nie chodzi mi o siebie - mówiła dalej. - Ale Katharine potrzebuje nas bardziej niż zwykle.

- Ależ ma nas oboje - odpowiedział tatuś znużonym głosem.

- Tak myślisz?

- Oczywiście.

- Więc to ty jej to powiedz, Jake. Jeśli wystarczy ci czasu między wyjściem a pocałowaniem jej na do widzenia. Pocałunki są bezwartościowe, Jake. I uściski też.

- Czy to dlatego nie pozwalasz mi się do siebie zbliżyć?

- To nieprawda.

- Mylisz się. Bóg jeden wie, ile razy chciałem...

- Próbowalesz zaciągnąć mnie do łóżka. Seks nie jest lekarstwem, Jake.

- Wiesz, Louiso, ja traktuję to jako dowód miłości. Być może to jest mój błąd.

- Popelniasz wiele błędów.

- Ty za to jesteś Eleanor Roosevelt.

Katharine nie rozumiała, dlaczego mamusia mówi do tatusia, że popełnia dużo błędów, skoro jej wciąż powtarza, że tatuś jest najwybitniejszym lekarzem na świecie. Słyszała ból ukryty w głosie obojga i z trudem powstrzymywała się, by nie otworzyć drzwi i nie błagać ich, by zaprzestali kłótni. Ale dowiedzieliby się wtedy, że podsłuchiwała, a to mogłoby pogorszyć sytuację.

- Ja też jestem człowiekiem. - Usłyszała głos mamy. - Jestem matką, która straciła dziecko.

- Ja też straciłem Annie, pamiętasz o tym?

- Ale ja czuję się tak, jakbym jednocześnie straciła męża.

- To dziwne - smutno powiedział Jake. - Ja czuję to samo, jeśli chodzi o moją żonę.

Katharine miała jedenaście lat, kiedy rozpadło się małżeństwo jej rodziców. Przeżyła to prawie tak samo jak utratę siostry, ponieważ była świadkiem powolnego rozkładu ich związku i czuła się bezsilna, w żaden sposób nie mogąc tego procesu powstrzymać. W ostatnich miesiącach mamusia i ta-

tuś zachowywali się niemal jak obcy sobie ludzie, byli wobec siebie niemili i, co najgorsze, rywalizowali o jej względy.

Aż pewnego razu powiedzieli jej, że zamierzają wnieść sprawę o rozwód, bo nie mogą dłużej być razem.

Katharine, siedząc na skraju łóżka, pokrytego różową falbaniastą kapą, patrzyła na nich szeroko otwartymi oczyma. Stali przed nią tacy zakłopotani i nieszczęśliwi. Wiedziała, że zapadła ostateczna decyzja.

- Domyślałam się tego - powiedziała spokojnie.

- Naprawdę, kochanie? - zapytał Jake ochryplym głosem.

- To znaczy, wcześniej nie. Nie do końca. Teraz, kiedy weszliście razem, nabrałam pewności. - Katharine patrzyła to na matkę, to na ojca. - Ostatni raz byliście razem w moim pokoju w dzień moich urodzin.

Milczeli zaskoczeni. Miała rację, ale sprawy zaszły już tak daleko, że nic jednak nie mogli na to poradzić. Było już za późno.

- Tak nam przykro, kochanie - powiedziała Louisa. Usiadła na łóżku obok Katharine i zaczęła szlochać.

- Więc nie rozchodźcie się. Proszę.

- Chciałbym, żeby to nie było konieczne - rzekł Jake. - Lecz unieszczęśliwiamy się nawzajem, a to nikomu nie służy.

- Ja już jestem nieszczęśliwa, tatusiu.

- O mój Boże. - Louisa zakryła usta dłonią.

Rozwód nie oznaczał jeszcze ostatecznego rozstania. Podjudzani przez adwokatów, Jake i Louisa walczyli o córkę. Jake twierdził, że Louisa zbyt często przebywa poza domem, aby być naprawdę dobrą matką. Utrzymywał, że po śmierci Annie żona rzuciła się w wir pracy, że ostatnio poświęca się karierze aktorskiej i zbyt wiele czasu zajmuje jej działalność charytatywna. Utrzymywał, że trwonila pieniądze, wpadając w szaleństwo zakupów u Garfinckela. Poza tym - ciągnął Jake - Louisa sypia teraz z innymi mężczyznami i, choć dla jej dobra i Katharine nie wspominał o cudzołóstwie w toku postępowania rozwodowego, teraz czuł, że musi o tym powiedzieć. Walcząc jak lwica, Louisa przyniosła do sądu dowody, które pomogły ustalić, że wbrew temu, co twierdził Jake, to on zaniedbywał dom. Wygrała sprawę.

- Co to oznacza? - następnego ranka zapytała Katharine w pokoju śniadaniowym.

- To nic nie zmienia w stosunkach z tobą, kochanie - odparła Louisa, odstawiając kubek z kawą i biorąc jej dłoń w swoją. -I to jest najważniejsze.

Katharine utkwiała wzrok w szklance soku pomarańczowego i poczuła mdłości.

- Czy będę mogła odwiedzać tatusia?

Od kiedy Louisa i Jake się rozstali, Katharine spędzała każdy weekend w nowym domu ojca, w Chevy Chase. Nie lubiła tego miejsca. Ale dziewczynka tak bardzo pragnęła kontaktów z ojcem, że chętnie spotykałaby się z nim gdziekolwiek.

- Oczywiście, że tak - próbowała uspokoić ją Louisa. - Będziesz odwiedzała ojca, kiedy tylko zechcesz.

- Naprawdę?

- Obiecuję.

- A czy tatuś wróci do domu?

- Nie, kochanie. Przykro mi.

Katharine uważnie przyjrzała się matce.

- A czy ty chciałabyś, mamusiu, żeby wrócił?

Louisa odpowiedziała bez wahania:

- Oczywiście.

Katharine myślała o tym prawie bez przerwy. Bezgranicznie kochała rodziców, lecz była świadoma, iż po raz pierwszy w życiu czuje do nich żal za ból, który zadali sobie i jej. Jeśli kiedykolwiek wyjdzie za mąż - gorąco przysięgała sobie w duszy - nie dopuści do tego, by coś zniszczyło jej rodzinę.

- Jeśli kiedyś wyjdę za mąż - głośno rzekła Katharine w zaciszu swojego pokoju - to na całe życie, cokolwiek by się miało wydarzyć.

Przez całe dzieciństwo i potem, gdy była już nastolatką, Katharine nie miała żadnych wątpliwości, że Jake i Louisa wciąż są w sobie zakochani. Im była starsza, tym łatwiej przychodziło jej wymyślanie powodów, dla których rodzice mogliby się częściej spotykać. Nawet kiedy w 1964 roku, cztery lata po rozwodzie, Louisa poślubiła aktora z Broad-

wayu, Sama Raphaela, Katharine wciąż czuła ukłucie bolesnej radości, widząc Jake'a i Louisę razem.

Trzydziestodwuletni Sam Raphael, trzy lata starszy od Louisy, był przystojnym blondynem o szarych oczach. Bardzo uprzejmy, utalentowany, inteligentny, miał prawie same zalety. Kochał Louisę i dbał o Katharine. Gdy Louisa powiedziała mu - kiedy właśnie skończyli się kochać w jego pokoju w Willard, kilka godzin po jego oświadczeniach - iż zatrzymanie domu w Georgetown jest ważne dla utrzymania równowagi psychicznej Katharine, dobrze to rozumiał. Nawet jeśli będzie to oznaczało częste dla nich rozstania, gdy on będzie grał w Nowym Jorku.

- Nie będzie tak źle - powiedziała Louisa, wtulając twarz w jego szyję. - Katharine ma już piętnaście lat i będę mogła spędzać tam dużo czasu z tobą. Póki mamy panią Murray, wiem, że mogę wyjeżdżać z Waszyngtonu bez zbytniego niepokoju.

- No i jest Jake - przypomniał jej Sam.

- Tak sądzę - Louisa nie znośła mówić o Jake'u.

- Katharine zawsze może zostać u niego, prawda?

- Oczywiście.

- Sam przysunął się bliżej i spojrzał na nią.

- A więc, co powiesz na przyszły tydzień?

- A co ma być w przyszłym tygodniu?

- Mam to ważne przesłuchanie, pamiętasz? Strasznie chciałbym, żebyś była ze mną na Manhattanie, żeby dodać mi otuchy...

- Niestety, nie mogę.

- Dlaczego?

- Katharine bierze udział w szkolnym przedstawieniu. - Louisa zobaczyła, że Sam posmutniał. Drgnęła. - Przykro mi, najdroższy, ale muszę tam być. Ona gra pierwszoplanową rolę.

- Sądzę, że jej ojciec też tam będzie - powiedział Sam.

- Tak myślę. Jeśli Katharine go poprosiła, żeby przyszedł.

- A wątpisz w to? - Sam był z nimi już na tyle długo, by wiedzieć, co jego przyszła pasierbica czuje do swoich rodziców.

- Przecież to jej ojciec - powiedziała Louisa. - Czy ci to przeszkadza?

- Nie, jeśli to jest życzenie Katharine, a nie twoje.

- Chcę, byś tam był ze względu na nią, nie dla siebie.

W porządku, Sam?

- Chyba tak

Przez wszystkie lata nauki Katharine w National Cathedral, Jake i Louisa spotykali się, kiedy ich śliczna córka o bursztynowych oczach grała w szkolnym przedstawieniu. Katharine, tak jak wcześniej jej matka, często była obsadzana w rolach pierwszoplanowych, a czasem nawet projektowała scenografię. Bezdyskusyjnie była utalentowaną aktorką, lecz z biegiem lat coraz bardziej walczyła z pragnieniem pójsścia w ślady matki. Katharine uwielbiała grać, kochała to cudowne uczucie, kiedy dostawała nową rolę. Sprawiało jej przyjemność wcielanie się w nową postać, przeistaczanie się w kogoś innego. No i chodziła do teatru tak często, jak tylko mogła. Lecz w przeciwieństwie do Louisy, która w jej wieku najchętniej rozbiłaby namiot w teatrze, Katharine była równie szczęśliwa w Constitution Hall, słuchając muzyki, jak i spacerując w galeriach Corcoran czy National, oglądając sztukę amerykańską i europejską.

Kiedy zapowiedziała, że chce dostać się do Carnegie Mellon University w Pittsburghu na wydział scenografii, Louisa, Jake oraz Sam byli zaskoczeni. Jake nigdy nie łudził się, że Katharine odziedziczyła jego zainteresowania, lecz Louisa musiała przyznać, że pragnęła, iż Katharine zrealizuje jej własne marzenia.

Próbowała dać wyraz swojemu rozczarowaniu, mówiąc do Sama:

- Ona lepiej gra, niż maluje.

- Czy naprawdę w to wierzysz, czy też po prostu marzysz o tym, żeby została aktorką?

- Chcę, żeby była szczęśliwa.

- Na razie wygląda na to, że będzie to scenografia, jeśli się dostanie. - Sam uśmiechnął się. - Czy widziałas makietę projektu do „Jak wam się podoba”? Jest cudowna.

- Wiem o tym. - Louisa na chwilę zamilkła. - Ale dlaczego Pittsburgh? Tak jakby inne miasta nie istniały? Żelazo, stal i węgiel. - Wzdrygnęła się. - Dlaczego nie Nowy Jork? W Nowym Jorku moglibyśmy wszyscy być szczęśliwi.

- To przez Carnegie Mellon, wiesz przecież, Louiso. Carnegie Mellon to właśnie to miejsce. Najlepsze. Niektórzy zrobią wszystko, byleby się tam dostać.

- A potem przeżywasz te wszystkie tortury, przez trzy albo i cztery lata, żeby udowodnić, że jesteś za dobry, by cię wyrzucili? - Louisa wyglądała na zaniepokojoną. - Czy myślisz, że Katharine jest dość twarda, Sam?

- Żeby grać, trzeba być ze stali, najdroższa.

- Ja jednak wciąż nie mogę pozbyć się przeświadczenia, że właśnie Katharine jest stworzona na scenę. - Tu Louisa zarumieniła się lekko. - I to nie dlatego, że to ja o tym marzyłam - nie możesz sobie nawet wyobrazić, jaka z niej będę dumna, jeśli się dostanie. Mam nadzieję, że wie, co robi.

- Na twoim miejscu zaufałbym jej intuicji - stwierdził Sam.

Nie powiedział Louisie, że wie o prawdziwym powodzie, dla którego Katharine zrezygnowała z kariery aktorskiej.

Sam dobrze poznał swoją pasierbicę w ciągu tych kilku ostatnich lat. Katharine była otwartą, szczerą dziewczyną. Lubiała Sama. Wiedziała, że małżeństwo jej rodziców rozpadło się na długo przed jego pojawieniem się w życiu Louisy. A nawet gdyby taka sytuacja zaistniała i Katharine musiała wybrać między ojcem a nim, pozostałaby lojalna wobec Jake'a, ale uważała Sama za przyjaciela. Czasem rozmawiali o przeszłości. Katharine lubiła opowiadać o Annie i tamtych szczęśliwych latach dzieciństwa - chciała, by wspomnienia te nie straciły świeżości. Czasami przywoływała złe chwile i Sam zdał sobie sprawę, iż Katharine - świadomie czy też nie - za ostateczny rozpad małżeństwa rodziców obarcza winą powrót matki na scenę.

- Wiem, oczywiście, że to nie miało nic wspólnego z rozwodem - odpowiadała na sprzeciw Sama. - Kiedy straciliśmy Annie, mama odczuwała potrzebę czegoś swojego, własnego. Granie dawało jej szczęście.

- Ale sądząc po tym, co słyszałem o rozwodzie i o tej obłądnej walce o opiekę nad tobą - upierał się Sam - powrót Louisy na scenę i pewna swoboda, która się z tym wiązała, stanowiły sporą część zarzutów twojego ojca przeciwko niej.

Po tym stwierdzeniu Katharine nie chciała dłużej ciągnąć tej rozmowy. Sam ustąpił, czując, że nareszcie sprowokował

ją do głębszego przemyślenia tej decyzji. Musiała w głębi duszy przyznać, że mogłaby zostać wspaniałą aktorką, ale nie chciała iść w ślady matki. Miała jednak wiele szczęścia, była bowiem utalentowana również w innym kierunku. Fascynowała ją również scenografia. I jeśli miała jakąkolwiek szansę, by dostać się do Carnegie Mellon, wiedziała, że teraz musi podjąć ostateczną decyzję. Carnegie Mellon było bowiem wyzwaniem, miejscem dla zwycięzców.

RS

Rozdział 3

Sebastian Locke urodził się kilka minut przed północą, dwudziestego pierwszego kwietnia 1947 roku, w ekskluzywnej prywatnej klinice położniczej w St John's Wood, w Londynie. Kiedy podano go młodej mamie, przez ponad pół godziny wylewała na swoje dziecko łzy radości i szczęścia. Czekałym na zewnątrz w deszczu reporterom natychmiast przekazano komunikat, że matka i syn są w doskonałej formie. Nie bardzo przejęli się obecnością taty nowo narodzonego synka. Jednak jego również rozpieszczało szczęście i duma.

Prasa była tak licznie reprezentowana, ponieważ Diana Lancaster Locke, w wieku lat trzydziestu dziewięciu i po niemal dwudziestu latach przepracowanych w tym zawodzie, była jedną z najwybitniejszych i najbardziej wielbionych aktorek brytyjskich. Jej kariera rozpoczęła się w dobrym stylu i z wielkim powodzeniem w trupie teatralnej Sir Barry Jackson's Birmingham Repertory Theatre Company. W tamtym czasie zdobywał również popularność, nieznanym wówczas aktor, Laurence Olivier. Diana utrwaliła swoją pozycję na londyńskim West Endzie - zagrała serię ważnych ról drugoplanowych, mając dwadzieścia pięć lat była po raz pierwszy Julią w Old Vic, po niej Ofelią, po czym zdobyła wielką popularność zagrawszy w „Pigmalionie” Shawa, w Savoyu.

Diana nigdy nie uważała siebie za piękność, choć zdawała sobie sprawę z tego, iż jej powierzchowność robi wrażenie i stanowi ważny atut w karierze aktorskiej. Owalna twarz, z wystającymi kośćmi policzkowymi, arystokratycznym, rzymskim nosem, szerokimi, ruchliwymi ustami i silną szczę-

ką miała ogromną siłę wyrazu. Głowa była osadzona na pięknej, smukłej szyi. Pod łukami brwiowymi, o ton ciemniejszymi od wijących się gęstych, kasztanowobrazowych włosów błyszcząły ciemnobrązowe oczy. Zanim skończyła dziewięć lat, była już pewna, że urodziła się po to, by grać. Fakt, iż przez cały okres szkolny w sztukach wystawianych na koniec roku obsadzano ją w tytułowych rolach męskich, tylko spotęgował jej pewność, że może zagrać każdą rolę. Była jedynaczką. Mieszkała z ojcem, dyrektorem szkoły, Williamem Lancasterem i matką, Phyllis, pielęgniarzką w szpitalu niedaleko domu, koło Tunbridge Wells. Zniewalająca osobowość i siła perswazji Diany spowodowała, że William i Phyllis, po dość krótkim oporze, wyrazili zgodę na wyjazd córki do Londynu, gdzie miała zająć oferowane jej miejsce wśród studentów Royal Academy of Dramatic Art. Diana dzieliła mieszkanie w Belsize Park, niedaleko od stacji metra, z dwiema innymi studentkami. Była niezmiernie szczęśliwa, że oto kroczy wytyczoną sobie drogą. Gdy była nastolatką, chłopcy jej unikali. Teraz jednak, kiedy była już młodą kobietą, mężczyźni zaczęli żywo o nią zabiegać. Diana dość często się zakochiwała, choć nigdy nie było to głębokie ani trwałe uczucie. Swoje aktorskie umiejętności, teatr i to cudowne życie z nim związane stawiała ponad wszystkim. Będzie jeszcze mnóstwo czasu, myślała, na prawdziwą miłość i małżeństwo, a może i na dzieci, kiedy już osiągnie stabilną pozycję na West Endzie.

Po pierwszych dość znacznych osiągnięciach jako aktorka dramatyczna, Diana zaczęła odnosić sukcesy w musicalach i rewiach, dzięki dobremu, mocnemu głosowi i umiejętności tańczenia. Praca pochłaniała ją bez reszty, a kiedy nad Europą zawisł złowrogi cień wojny, rzuciła się w wir działania z jeszcze większym zapałem i determinacją. Kupiła biały domek, obrośnięty bluszczem, na stromym stoku wzgórza w Hampstead, tuż obok miasteczka; wokoło rozciągało się wrzosowisko. Otaczało ją grono wspaniałych przyjaciół, z których większość stanowili aktorzy, choć byli wśród nich również pisarze, malarze i muzycy. Wszystko, co miała, było dobre, solidne i bardzo angielskie. Lecz gdy Anglia wypowiedziała Niemcom wojnę, teatry w Londynie zostały zamknięte i aktorzy zostali bez pracy. Zakaz działalności teatralnej nie

trwał długo. Po kilku tygodniach przedstawienia zostały wznowione i szybko najzdolniejsi artyści zaczęli grać dla wojska i dla Czerwonego Krzyża w całym kraju.

Diana długo się zastanawiała, usiłując podjąć decyzję co do rodzaju pracy, jaką powinna w tym okresie podjąć. Miała poczucie winy, że zachowuje się zbyt egoistycznie jak na czasy wojenne. Nie lubiła samolotów, na chorobę morską cierpiała nawet płynąc w łódce na Serpentine w Hyde Parku. Nie znosiła widoku krwi, a wstawanie przed dziesiątą rano było dla niej prawdziwą karą za grzechy.

- Muszę coś zrobić - powiedziała do swojego agenta, Dickie'ego Forbesa.

- Ależ robisz, kochanie.

- Śpiewam, tańczę i recytuję przemowy. Beznadzieja.

- Wcale nie.

- Nie znam stenografii - ciągnęła - nie umiem pisać na maszynie. Nawet nie prowadzę samochodu, nie mówię już o ambulansie. Beznadzieja - powtórzyła.

Kiedy skończył się okres „dziwnej wojny”, stało się jasne, że ENSA* - the Entertainments National Service Association

- da Dianie możliwość wykazania się. Jeszcze przed 1944 rokiem śpiewała i wygłaszała monologi niemal w całym kraju, oraz przejechała, często cierpiąc dotkliwie z powodu fizycznej i psychicznej niewygody, cały region śródziemnomorski, Bliżni Wschód i większość terytorium Indii. Wróciła do Hampstead, do swojego domku, pokorna i wdzięczna za to, że żyje, że jest z powrotem w domu, a rodzice są cali i zdrowi. Wróciła odmieniona. Jej popularność zaś jako aktorki wzrosła.

Andrew Locke wkroczył w życie Diany siedem miesięcy przed zakończeniem wojny w Europie. Ona miała trzydzieści sześć lat, zaś on był czterdziestodwuletnim adwokatem i byłym kapitanem armii. W 1943 roku został z honorami zwolniony z wojska z powodu ciężkich obrażeń. Teraz Andrew był już w pełni sił, a jedyną pozostałością po odniesionych ranach było ledwo widoczne utykanie na jedną nogę. Poza tym był atrakcyjnym mężczyzną, wysokim, szczupłym i silnym,

* ENSA - *Narodowy Związek Usług Rozrywkowych (przyp. tłum.).*

o jasnych włosach, niebieskich oczach, gęstych, zmierzchnionych brwiach i z dołeczkiem w brodzie. Kobiety uważały, że jest wspaniały, jego wdzięk był naturalny i nie obliczony na efekt. W niewieścich oczach Andrew jawił się jako superman, czy to w pięknie skrojonym garniturze z Savile Row, w koszuli z Jermyn Street i krawacie, czy też w wełnianym pulowerze i sztruksowych spodniach. Mimo powodzenia był kawalerem, spokojnym, powściągliwym mężczyzną, znajdującym radość w pracy, lubiącym muzykę i teatr, lekturę i golden retrievery*. Nie przypuszczał, że pewnego jesienno-wieczoru będzie czekać za kulisami, jak nastoletni fan, by chociaż w przelocie ujrzeć pewną aktorkę.

Diana Lancaster grała Tytanie w „Śnie nocy letniej”, w Stratfordzie. W tym samym czasie Andrew prowadził badania do sprawy sądowej w pobliskim Warwick. Pewnego wieczora zapragnął rozrywki, wybrał się więc do Stradfordu na przedstawienie. Ponieważ nigdy przedtem nie widział Diany na scenie, zupełnie się nie spodziewał, że jej widok tak go zachwyci. Gdy opadła kurtyna, ani się spostrzegł, a już stał za kulisami między łowcami autografów, przepełniony radosnym oczekiwaniem.

Pojawiła się ubrana w brązowy golf i spodnie. Jej nieumalowana twarz była jeszcze bardziej piękna niż w pełnym makijażu w świetle rampy. Włosy miała związane w koński ogon. Wyglądała na zmęczoną, lecz ten tłum wielbicieli zdawał się ją radować; z uśmiechem podpisywała wszystkie książki i programy, zamieniając kilka słów z każdym z osobna.

Andrew stał z boku, zadowolony, że może na nią patrzeć. A potem Diana zauważyła go, gdy przedzierała się przez tłum w stronę samochodu. Spostrzegła, jak bardzo wydawał się nie na miejscu na tle ubranych niedbale studentów - w swoim nienagannie skrojonym garniturze, z płaszczem przeciwdeszczowym przewieszonym przez ramię i kapeluszem w dłoni. Ich oczy spotkały się. Zatrzymała się na moment. Andrew uśmiechnął się ostrożnie, Diana bez wahania. A potem poszła do samochodu i odjechała.

* *Angielska rasa wybitnie inteligentnych i przyjaznych psów myśliwskich (przyp. red.).*

Dwa dni później Andrew ponownie oglądał sztukę, pochylając się do przodu za każdym razem, gdy na scenie pojawiała się Diana, obserwując każdy jej ruch i gest, słuchając intonacji jej głosu, wychwytyjąc każdy niuans. Fascynowała go nieprawdopodobna mimika jej niezwyklej twarzy. Tym razem w rękę trzymał kwiaty. Gdy tylko skończyła się sztuka, bez najmniejszego wahania wyszedł i stanął za kulisami. Kiedy się pojawiła, natychmiast go rozpoznała. Nie ukrywając przyjemności, przyjęła kwiaty i z ciekawością mu się przyjrzała, podczas gdy on kurtuazyjnie jej się uklonił i odszedł. Kiedy następnego popołudnia Diana przybyła do teatru, zastała od niego liścik, w którym Andrew zapraszał ją nazajutrz na obiad w White Swan. Jej odpowiedź, przestana kurierem do hotelu w Warwick była błyskawiczna, życzliwa i - pozytywna.

- Bardzo mi się spodobały kwiaty - powiedziała Diana, gdy tylko usiedli przy stoliku w restauracji.

- Obawiam się, że niezupełnie o takich myślałem - odparł Andrew. - Chciałem podarować róże, ale nie mogłem ich nigdzie kupić.

- Uważam, że były bardzo piękne. - Uśmiechnęła się. - Liścik też mi się podobał.

- Nie sądziłem, że pani przyjdzie.

- A czemuż by nie? - zdziwiła się.

Obiad był doskonały mimo zwyczajnego jedzenia, restauracja, jak większość - dotknięta brakami produktów, ale *maitre d'hotel*, wielbiciel Diany, zdobył dla nich butelkę wybornego czerwonego wina i obsługiwał ich z największą uwagą i dyskrecją. Andrew, pewny siebie, doświadczony adwokat, prawie zaniemówił z radości, tak wielką przyjemność sprawiała mu każda, szybko upływająca chwila. Był pewien, że następnego obiadu nie będzie, ponieważ nie wierzył, że ta zachwycająca, sławna, utalentowana kobieta zechce się z nim ponownie spotkać. A jednak prawie natychmiast trzeźwy umysł prawnika i artystyczna, nieokiełznana dusza, wyszły sobie na spotkanie. Okazało się bowiem, że prawnik i aktorka mają ze sobą o wiele więcej wspólnego niż to silne, fizyczne przyciąganie, które kazało im się spotkać przy wspólnym stole.

Mieli takie samo poczucie humoru i dowcipu, delikatność, intuicyjną wrażliwość i krytyczny umysł.

Ponieważ żadne z nich nie pozostawało w związku małżeńskim, oboje rozumieli, co to jest niezależność. Wiedzieli, że czasem chęć przebywania wyłącznie we własnym towarzystwie niekoniecznie oznacza zamiłowanie do życia w samotności czy też to, że jest się niedostępnym.

- Od czasu do czasu czuję, że muszę pobyć z dala od ludzi - powiedziała Diana. - Na ogół jestem osobą towarzyską, lecz moje życie jest tak zwariowane, że gdyby nie te chwile wyciszenia, to życie byłoby dla mnie nie do zniesienia.

- Przypuszczam, że pod niektórymi względami nasze życie jest dość podobne - mówił Andrew. - Oczywiście mnóstwo nas na pozór dzieli, lecz w jakimś sensie oboje jesteśmy aktorami. - Uśmiechnął się. - Nie sądzę, żeby miewała pani treść.

- Przed każdym spektaklem mam mdłości. - Zrobiła zabawną minę. - Czy adwokatom też się to zdarza?

- Przed każdym wystąpieniem przed sądem. Chociaż, kiedy już wszystko się rozkręci, uspokajam się.

Diana upiła trochę wina.

- Czy czuje pan chwilę triumfu? - zapytała z ciekawością. Andrew kiwnął głową.

- Wiem też, kiedy jest źle. Chociaż w moim przypadku, oczywiście, jeśli się to zdarzy, jest duża szansa, że przeze mnie klient traci wszystko.

- To musi być dla pana straszne - powiedziała ze współczuciem. - Nawet gorsze niż kiedy zawiedzie się całą obsadę aktorską. My przynajmniej mamy kolejną szansę następnego dnia, lecz w pana przypadku klient mógłby nawet pójść do więzienia albo zostać powieszony!

Andrew roześmiał się.

- To się jeszcze nie zdarzyło, dzięki Bogu. - Zapukał w krzeselko. - Odpukać w niemalowane.

- Aktorzy też są potwornie zabobonni - powiedziała Diana z zadowoleniem.

Coraz więcej ich łączyło. Okazało się, że oboje kochają psy, lubią długie spacery, dobre towarzystwo, że fascynuje ich to, że każdy człowiek jest inny i ma swoje dziwactwa. Że ich

ulubioną restauracją jest Savoy Grill, oboje lubią tańczyć, nie znoszą kawioru, interesują się historią, a schrony przeciwlotnicze obojgu wydają się nieznośnie klaustrofobiczne. No i bez wątpienia łączyła ich wzajemna fizyczna fascynacja.

Poczułi, że coś się w nich zmienia. Dawniej Diana cieszyła się, że mieszka sama. Również Andrew lubił swoje samotne życie, z pracującą kilka godzin dziennie gosposią i z dwoma golden retrieverami, które dotrzymywały mu towarzystwa w niedużym, pomalowanym na jasny kolor domu, w sąsiedztwie Camden Town i Regent's Park. Jednakże od chwili gdy poznał Dianę, dotychczasowy tryb życia przestał sprawiać mu radość. Nie chciał być dłużej sam, pragnął być z Dianą w każdej chwili, a najbardziej cieszyło go to, że ona czuła to samo. Pobrali się po trzech miesiącach znajomości. Diana sprowadziła się do jego domu. Dla Andrew, nawet bardziej niż dla jego żony, życie zmieniło się nie do poznania. Z entuzjazmem i niezwykle energią kursował między biurami, sądami, domem w Camden Town i teatrami, w których akurat Diana miała próby czy występy. Nigdy nie była zazdrosna o jego pracę, zaś on zyskiwał wiele dobrego dzięki jej aktorstwu. Był szczęśliwy, mogąc sprawić, iż było jej dobrze.

Życie z Dianą było ekscytujące, jej przyjaciele różnorodni, interesujący i niezwykle zabawni. Locke'ów zapraszano na obiady i kolacje w każdą niedzielę - jedyny dzień tygodnia, gdy wszyscy byli wolni. Spotykali się z przyjaciółmi na późnych kolacjach w Savoyu lub u Ritza. Andrew zdawało się, że jego żona zna wszystkich - państwa Olivierów, Noela Cowarda, Redgrave'ów, oczywiście Binkiego Beaumonta, no i nawet Mountbattenów. Diana była gościnna. Czasem istniała obawa, że ich nieduży dom pęknie w szwach. Kiedy byli tylko we dwoje, panowała tu atmosfera pogody i błęgiego szczęścia. Diana studiowała scenariusze i uczyła się tekstów, Andrew zagłębiał się w papiery i sprawozdania, towarzyszyła im muzyka Mozarta, a psy leniwie leżały przed kominkiem; Andrew kosił mały trawnik w ogródku na tyłach domu, Diana się opalała; Andrew przyglądał się, jak żona szczotkuje włosy, siedząc przy toaletce; Andrew i Diana w łóżku w nie-

dzielne poranki, ptasi śpiew wpadający do pokoju przez otwarte okno, by umilać im czas miłości...

Swój dom, Dęby, znaleźli miesiąc po Dniu Zwycięstwa. Stał nieco na uboczu, w Dolinie Wrzosów w Hampstead, chroniony od wiatrów, które czasem wiały nad wrzosowiskiem. Tuż obok mała droga stromo pięła się po rozległym wrzosowisku, wyznaczając jego wschodnią granicę. Dom był obszerny, w stylu Tudorów, w połowie drewniany. W środku był pięknie obity dębowymi panelami, a ozdobnie wykończone sufity podierały belki; były też duże kominki.

- Jest doskonały - stwierdziła natychmiast Diana, chwytając Andrew za rękę, kiedy po raz pierwszy spacerowali po domu.

- Nic nie jest zupełnie doskonałe - odparł, zmuszając się do rozsądku, choć w rzeczywistości rozpierała go radość i podniecenie.

- Ależ ten dom jest doskonały - upierała się. - Każde pomieszczenie jest inne... te różnorodne kształty i wielkości. Ten cudowny hall i piękny salon...

- Biblioteka jest wspaniała - przyznał Andrew.

- I ten śliczny, zaciszny mały pokoik byłby idealny na twój gabinet, czyż nie, kochanie? A może chciałbyś coś większego?

- Nie, masz rację. - Uśmiechnął się. - Byłby dla mnie w sam raz.

- A to będzie, oczywiście, mój ulubiony pokój. - Stali w największej sypialni. Było to przestronne, jasne i przestronne pomieszczenie. - Trzeba tu będzie postawić łóżko z baldachimem, nie sądzisz, kochanie?

- Koniecznie. Łóżko z baldachimem.

- I szezlong, jak sądzę.

- Koniecznie.

- I coś wygodnego dla psów.

Był to dom jednocześnie imponujący i przytulny, stworzony do życia, śmiechu i miłości. Rufus i Jasper, psy Andrew, wydawały się uszczęśliwione rozmiarem i rozmachem swojego nowego domu i ogrodu, gdzie mogły biegać do woli. Diana cieszyła się na powrót do tego miejsca na północy Londynu - była to jej ulubiona część miasta. W wolnych chwilach mię-

dzy przedstawieniami chętnie zajmowała się domem z miłością i troską, całe godziny spędzając z dekoratorem, przesiadując nad próbkami tapet i wybierając materiały na zasłony. Bardzo często razem z Andrew jeździli do domów aukcyjnych Sotheby's i Christie's, gdzie kupowali antyczne meble i inne przedmioty, którym nie mogli się oprzeć.

Będąc teraz mężatką i mając poczucie stabilizacji i bezpieczeństwa, Diana stwierdziła, że jednak chce mieć dzieci. Upływ lat i przemijanie młodości, a wraz z nimi zdolność posiadania dzieci, nigdy tak naprawdę jej nie martwiły. Gdyby nie spotkała swojego męża, być może żyłaby tak dalej, niczym się nie martwiąc, wystarczająco usatysfakcjonowana swym twórczym trybem życia, by skutecznie odsuwać od siebie niepokojące myśli, że na macierzyństwo jest już za późno. Lecz spotkała Andrew. Teraz mieli Dęby - miejsce, które, jak jej się zdawało, było stworzone do wychowywania dzieci.

Andrew miał wątpliwości - wkrótce Diana miała skończyć czterdziesty rok życia. Słyszał o powikłaniach grożących kobietom rodzącym późno pierwsze dziecko. Poza tym, on był już po czterdziestce i gdyby teraz mieli potomka, Andrew byłby starszym człowiekiem, kiedy dziecko osiągnie wiek kilkunastu lat. Diana łagodnie kpiła z tych niepokojów. Tylko dlatego, iż spotkali się później niż większość par, wcale nie znaczy, że mają zrezygnować z prawa do rodzicielstwa - mówiła.

Jej postanowienie było niezłomne. Nie mogła jednak zajść w ciążę. Kiedy Locke'owie prawie już uznali się za pokonanych - ponad osiemnaście miesięcy później - okazało się, że Diana nareszcie spodziewa się dziecka. Przez cały czas ciąży męczyły ją okropne ataki porannych mdłości i częste migreny, a poród - w kwietniu 1947 roku - był wyjątkowo ciężki i długi. Przez kilka godzin Andrew i lekarz bardzo się o nią niepokoiili. Kiedy wreszcie podano jej do potrzymania Sebastiana, ich małego synka, Diana zapomniała o bólu i strachu, których doświadczyła.

- Jest fantastyczny, prawda? - szepnęła do Andrew, kołyszając maleństwo.

- Absolutnie fantastyczny - zgodził się Andrew. Gdy tak patrzył na synka w ramionach żony, jego serce przepęłniały miłość i duma, jakich nigdy jeszcze nie zaznał.

- Ale taki naprawdę doskonały. - Diana gładziła kosmyki jedwabistych, złotych włosów i przyglądała się maleńkiemu noskowi i usteczkom jak pączek róży. - I jest podobny do ciebie.

- Biedactwo.

Diana roześmiała się.

- Bez fałszywej skromności, proszę. Bardzo dobrze wiesz, jaki jesteś przystojny. A Sebastian jest najpiękniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widziałam.

Andrew włożył palec wskazujący prawej ręki w maleńką piąstkę swojego synka. Małe paluszki odruchowo się zacisnęły.

- Sądzę, że uważałbym go za najpiękniejsze dziecko na świecie, nawet gdyby był brzydki - powiedział cicho, zadumany. - Rozumiesz, o co mi chodzi?

Diana uśmiechnęła się do niego.

- Oczywiście, że tak.

- To nie ma żadnego znaczenia w tym wypadku, bo Sebastian jest absolutnie piękny.

- Doskonały - powtórzyła.

Sebastian nie tylko miał złote włosy i niebieskie oczy swojego ojca, lecz również miłe usposobienie. Rodzicielstwo pochłonęło ich bez reszty, byli skupieni na każdym etapie rozwoju dziecka przez całe jego niemowlęctwo i dzieciństwo.

Zgodnie stwierdzili, że przyniósł im całkowite spełnienie. Andrew niechętnie go opuszczał idąc do biura, zaś Diana nawet nie myślała, kiedy chciałyby wrócić z powrotem na scenę. Ponieważ jej mąż upierał się przy tym, zatrudnili nianię, lecz silne postanowienie Diany, że to ona będzie się głównie zajmowała dzieckiem, doprowadziła do tarć między kobietami. I kiedy w czasie choroby Sebastian dostał ataku drgawek, podczas gdy jego mama była w tym czasie z przyjaciółką na obiedzie poza domem, Diana bez namysłu zwolniła nianię.

- Czy na pewno miałaś rację, kochanie? - łagodnie spytał Andrew, kiedy wrócił do domu tego popołudnia. - To nie była wina tej biednej dziewczyny.

- Oczywiście, że tak. Dopuściła do przegrzania. Wiedziała, że Sebastian jeszcze ma gorączkę.

- Myślałem, że gorączka już spadła.

- Widocznie musiała z powrotem wzrosnąć, a doświadczona niania powinna to natychmiast zauważyć.

- Ale Michael mówi, że Sebastianowi nic nie będzie, prawda? - Nim Diana wróciła, Michael Adler, ich lekarz rodzinny, zbadał starannie chłopca i stwierdził, że wszelkie niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

- Tak, dzięki Bogu. - Diana wciąż była blada i roztrzęsiona po tym przejściu.

- Więc nie stało się nic złego.

- Nic złego? - Diane rzadko zdarzało się zdenerwować na Andrew, teraz jednak była oburzona. - Czy kiedykolwiek widziałeś atak drgawek? Nie? Tak myślałam. A ja widziałam. Jedna dziewczyna w szkole miała atak. Akurat siedziała tuż koło mnie przy obiedzie. - Diana zadrżała na samo wspomnienie. - To było straszne, Andrew. Zupełnie straciła panowanie nad sobą, jej gałki oczne wywróciły się do tyłu i cała zaczęła się trząść. Wszyscy byliśmy przerażeni.

- Przepraszam, kochanie - łagodnie powiedział Andrew, obejmując ją pocieszająco. - Z pewnością czułbym się tak samo, gdybym to ja tu był.

- O to właśnie chodzi - spokojnie odparła Diana. - Nie było mnie, prawda? Byłam w mieście na obiedzie z przyjaciółką.

- Przecież nie możesz być z nim przez cały czas.

- O tak, mogę. Powinnam być. I od tej chwili będę.

Od tamtego dnia troskliwość Diany stała się niemal obsesyjna. Obawa, że stanie mu się coś strasznego, stała się irracjonalna i przesadna. Tego ranka, tuż po piątych urodzinach Sebastiana, kiedy chłopiec miał pójść do przedszkola wybranego przez rodziców, w okolicy Regent's Park, Diana na samą myśl o tym reagowała nerwowo.

- Sebastian codziennie będzie z tobą w domu na obiedzie - zauważył Andrew, starając się ją uspokoić. - A wiesz przecież, że to dla niego ważne. Musi zacząć przyjaźnić się z dziećmi w swoim wieku.

- Wiem, wiem - odparła. Nie wpływało to jednak ani tro-

chę na jej stosunek do tej sprawy. - Już zaczynam się bać, co to będzie w przyszłym roku.

Bowiem we wrześniu następnego roku Sebastian miał pójść do zerówki w Hampstead i Diana doskonale zdawała sobie sprawę, że będzie to początek oddalania się jej synka od niej. I choć z wdzięcznością myślała o tym, że jej mąż nie należy do zwolenników wysyłania sześcioletnich chłopców do szkoły z internatem, wiedziała, iż w chwili kiedy Sebastian zacznie spędzać większość każdego dnia poza domem, jej życie stanie się puste i nieszczęśliwe, dopóki syn nie wróci do domu.

- Bardzo się staram, żeby nie wiedział, co czuję - mówiła teraz z niepokojem. - Andrew, czy wydaje ci się, że to mi się udaje? Nie zniosłabym, gdyby okazało się, że wpędziłam go w jakiś kompleks.

- Udaje ci się to w zupełności - szczerze odparł Andrew. - No, ale jesteś przecież jedną z najlepszych aktorek w kraju.

Diana najeżyła się.

- Nigdy nie grałam przed tobą czy Sebastianem.

- Wiem o tym. Mówię tylko, że udało ci się ukryć przed nim swoje niepokoje, to wszystko.

Jego żona westchnęła.

- Przepraszam, kochanie. Doskonale zrozumiałam, co miałeś na myśli. Obawiam się, że robię się przesadnie drażliwa. To absurdałne.

- Nigdy nie mogłabyś zachowywać się nieodpowiedzialnie, najdroższa.

Sebastian uwielbiał szkołę, tak samo jak kochał dom. Był radosnym dzieckiem, miał dobry kontakt z ludźmi, przychodziło mu to równie łatwo jak oddychanie. Z przyjemnością się uczył, a świat był dla niego cudowną, wciąż odkrywaną przygodą. W przedszkolu mocno zaprzyjaźnił się z chłopcem o imieniu Jeremy Mariner, którego rodzice mieli duży, wspaniały dom z oknami wychodzącymi na Regent's Park i jeszcze jeden duży dom na farmie w Yorkshire Dales. Chłopcy oszaleli z radości, kiedy okazało się, że Jeremy - za zgodą rodziców - pójdzie do tej samej zerówki co Sebastian.

Jeremy i Sebastian stanowili przeciwieństwo. Sebastian był blondynem, Jeremy zaś miał ciemne włosy i piwne oczy.

Obaj byli chudzi, ale Jeremy miał szczupłą, kanciastą sylwetkę. Nawet sposób mówienia chłopców był zupełnie odmienny. Choć Sebastian, tak jak Jeremy, niekiedy ulegał emocjom, na ogół mówił spokojnie, miał miły tembr głosu. Jeremy natomiast raz mówił powoli i leniwie - co drażniło jego rodziców i nauczycieli, którzy myśleli, że chłopiec jest znudzony czy nonszalancki - innym razem zaś gwałtownie i ostro wybuchął, co z kolei brzmiało niegrzecznie, agresywnie i zuchwale. Istniały tylko dwie osoby, które zawsze go rozumiały. Pierwszą był jego brat Thomas, o dwa lata młodszy, lecz już odznaczający się większą ogładą. Drugą zaś był Sebastian.

- Jak to możliwe, że mnie lubisz? - zapytał pewnego dnia Jeremy Sebastiana na boisku szkolnym.

- Nie wiem.

- Ale lubisz mnie, prawda? - Jeremy czuł, że musi zadać to pytanie, choć był pewien, że zna odpowiedź.

- Oczywiście, że tak.

- Ale dlaczego?

- A dlaczego nie?

- Nikt mnie nie lubi.

- Nie gadaj głupot.

- To nie bzdury. Tak jest. Jedyne dwie osoby na całym świecie, które mnie lubią, to Thomas i ty.

- A twoi rodzice? - zapytał Sebastian.

- Mój ojciec chyba nie ma mi nic specjalnie do zarzucenia - przyznał Jeremy. - Ale moja mama wcale mnie nie lubi.

- Na pewno cię lubi. - Sebastian był wstrząśnięty.

- Nie - rzeczowo odparł Jeremy. - Mówiła mi wiele razy. Powiedziała, że mnie kocha, chociaż tego też nie jestem pewien, ale mnie nie lubi. Mówi to zawsze, kiedy okropnie się zachowuję, ale ja myślę, że to czuje prawie zawsze.

- Ja ciebie lubię - powiedział Sebastian z przekonaniem.

- Ale nie powiedziałeś, dlaczego.

- Bo jesteś moim najlepszym przyjacielem.

- To nie jest odpowiedź.

Sebastian zmarszczył czoło.

- Nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć. Od razu cię polubiłem, tego pierwszego dnia w przedszkolu, pamiętasz? Trochę się spóźniłem i usiadłem obok ciebie.

- To dlatego, że koło mnie było wolne miejsce - powiedział Jeremy. - Gdyby nie ten fakt, nie kolegowalibyśmy się, prawda?

- Myślę, że i tak byśmy się zaprzyjaźnili. - Sebastian zastanowił się nad tym. - Wydałeś mi się trochę inny niż wszyscy. Weselszy. I wydawało mi się, że i ty mnie lubisz.

- Bo tak było. - Jeremy się uśmiechnął. To była kolejna różnica między nimi. Sebastian uśmiechał się ze swobodą i bez trudu: otwartym i naturalnym uśmiechem, przy którym marszczyła mu się skóra wokół oczu. Jeremy zaś robił to rzadko: jego uśmiech był ledwo widoczny i ostrożny, tak jakby chłopiec myślał, że lada moment ktoś zakaze mu się uśmiechać. - Naprawdę cię lubię - potwierdził.

- No, to wszystko w porządku.

Kiedy na początku 1953 roku - Sebastian wciąż jeszcze chodził wówczas do przedszkola - Andrew zasugerował Dianie, że przecież mogłaby wrócić do pracy, jego żona była wprost oburzona. Powrót do teatru jest zupełnie wykluczony, powiedziała. Już i tak mieli z Sebastianem mało czasu dla siebie, a za parę miesięcy będą go mieli jeszcze mniej, więc gdyby do tego wszystkiego jeszcze wróciła na West End, jej syn mógłby zapomnieć, że w ogóle ma matkę. Była to ich pierwsza większa kłótnia i Diana była przekonana, że to ona wygrała. Andrew jednak, w głębi serca pewien, że żona tęskni za teatrem, potajemnie odwiedził jej agenta, Dickie'ego Forbesa.

Przeszedł prosto do sprawy.

- Dickie, czy sądzisz, że mógłbyś znaleźć dla Diany rolę w filmie?

- Nigdy nie grała w filmie.

- Wiem przecież. Po prostu myślę, że powinna.

- Diana kocha teatr, Andrew. Nigdy nie miała złudzeń co do Hollywoodu i w ogóle co do kina. Dlaczego zmieniła zdanie?

- Nie zmieniła - rzekł Andrew. - To jest mój pomysł. Diana nie wie, że przyszedłem się z tobą zobaczyć. Jeśli się dowie, obedrze mnie żywcem ze skóry.

- Więc co tu robisz, jeśli wolno mi zapytać? - agenta zdenierwowała pewność siebie adwokata, lecz tak bardzo chciał

widzieć Dianę z powrotem w pracy, że powstrzymał się od uwag.

- Ponieważ sędzę, iż Diana tęskni za teatrem.

- Teatr tęskni za nią - odparł Forbes miłym tonem.

- Ale odmawia przyjęcia roli w sztuce, póki nasz syn jest mały. Uważa, że potrzebuje jej w domu.

- Jestem w stanie to zrozumieć. - Forbes zamilkł na chwilę. - Dziwię się tylko, że ty, jej mąż, nie jesteś wręcz zachwycony taką jej postawą.

- Jeśli o mnie chodzi, moja żona powinna robić to, co czyni ją szczęśliwą - odparł Andrew trochę oschle. - A powiedziała jasno i wyraźnie, że przedsięwzięcie teatralne, z możliwością wielu przedstawień, na razie zupełnie nie wchodzi w rachubę.

- Ale gdyby scenariusz filmowy miał jakoś do niej dotrzeć - powiedział Forbes - można by sprawę rozważyć.

- Dokładnie - Andrew zawahał się. - Odpowiedni scenariusz, oczywiście.

Dickie Forbes po raz pierwszy szczerze się uśmiechnął.

- Jasne!

Po dwóch miesiącach scenariusz był gotowy. Rola w „Pułkowniku Rose” była wymarzona dla Diany. Nie był to film wojenny, lecz historia pewnej kobiety, w stopniu pułkownika w WRNS*, która pod koniec wojny zebrała grupę osieroconych dzieci i zorganizowała dla nich przytułek w Devon. Zaproponowano Gregory Peckowi, aby zagrał bohatera amerykańskiego, nie było zaś żadnych wątpliwości, iż rola pełnej współczucia, odważnej bohaterki jest idealna dla Diany.

Nie chciała nawet przeczytać scenariusza, wściekła na Andrew, że działał w zмовie z Dickie'em Forbesem. Lecz kiedy go przeczytała, musiała uznać jego wartość. Przewidywała, że przedsięwzięcie może się udać. Powiedziała mężowi, że ma do niego żal za spiski za jej plecami, ale w głębi duszy czuła, że kocha go jeszcze bardziej właśnie za to - oto

* *Women's Royal Naval Service - Królewskie Służby Kobięce w marynarce (przytłum.).*

Andrew zauważył, iż tęskni za aktorstwem. Świadoma, że jest na granicy poddania się, bez przerwy zapytywała siebie o motywy swojego działania. Jednak to, co bez wątpienia było dla niej jasne, to fakt, iż Sebastian w żaden sposób nie zostanie skrzywdzony i że ich małżeństwo tylko zyska. No i była to przecież dobra rola.

Diana wreszcie skapitulowała i kiedy bez żadnego wysiłku dostała rolę, z entuzjazmem zaangażowała się w produkcję filmu. Nawet to, że musiała wstawać przed świtem, nie wydawało się już tak straszne. Było to nie znane jej dotąd doświadczenie. Diana Lancaster Locke wciąż była głodna wiedzy. Wiedziała, że profesjonalizm na planie filmowym w Shepperton Studios jest jeszcze istotniejszy niż na scenie. Towarzyska i kontaktowa, Diana łatwo znajdowała nowych przyjaciół. Zaprzyjaźniła się z ładną, młodą Amerykanką, Louisa Grahame Andersen, obsadzoną w roli młodszej siostry bohatera, granego przez Gregory Pecka. Louisa miała dwoje małych dzieci i męża, lekarza, którego najwyraźniej ubóstwiała. Diana czuła, że mają ze sobą wiele wspólnego.

Aktorzy i ekipa filmowa mieli przeczucie, że „Pułkownik Rose” osiągnie kasowy sukces. Rzeczywiście, nie rozczarowali się, gdyż film został entuzjastycznie przyjęty przez krytykę, zaś publiczność tłumnie przybywała do kin, by zobaczyć obraz, uznany za najlepsze dzieło srebrnego ekranu od czasu „Brief Encounter”. Sebastian był zachwycony, że jego mama jest gwiazdą filmową, a Andrew oglądał film siedmiokrotnie i za każdym razem miał bezwstydnie wilgotne oczy. Diana siedziała obok niego, bardziej zakochana niż kiedykolwiek.

Bóle głowy zaczęły się pod koniec listopada. Były jeszcze bardziej dokuczliwe niż migreny, na które cierpiała w czasie ciąży. Diana była zdrową kobietą i rzadko chorowała, czasem dopadało ją zwykle przeziębienie. Poradziła się Michaela Adlera, lecz ten, jakkolwiek zaniepokojony jej cierpieniem, nie potrafił postawić trafnej diagnozy. Bóle utrzymywały się przez miesiąc, po czym - tuż przed Bożym Narodzeniem i akurat kiedy Diana zgodziła się pójść do specjalisty - ustały. Święta były bardzo udane. Sebastian, już sześćioletni, był zachwycony, gdyż oboje rodzice byli w domu przez kilka dni,

mama czuła się lepiej, a sam dom był wspaniały: ze ścianami obwieszonymi ostrokrzewem, gałęziami i jemiołą, z buzującym ogniem w kominkach.

Niestety, tuż po świętach bóle głowy wróciły. Tym razem jednak świadomie lekceważyła objawy. Przecież wcześniej Michael nic złego nie stwierdził w jej stanie zdrowia. Andrew pracował o wiele za ciężko, by mu przysparzać kłopotów, a Sebastian był niezadowolony, kiedy musiała położyć się do łóżka przed świętami. A poza tym Diana była teraz w stanie radosnej euforii, jakiej nigdy wcześniej jako aktorka nie zaznała. Oto jej ambicji już wkrótce miało stać się zadanie: długo wyczekiwana rola stała się faktem.

Miała ogromne szczęście jako aktorka. Wcieliła się w większość młodych bohaterek szekspirowskich, zagrała w sztukach Sheridan, Czechowa, Shawa i Oscara Wilde'a, i pokazała się w dwóch przedstawieniach według Ibsena - raz jako Pani Elvsted w „Heddzie Gabler”. Jednak rola tytułowa, o której przez wiele lat Diana marzyła, wciąż jej umykała. Dowiedziała się, że Leonard Beauchamp, stary przyjaciel i jeden z niezwykle przez Dianę cenionych producentów, miał zamiar na nowo wystawić tę sztukę. Wiedząc zaś, iż Diana wciąż marzy o roli Heddy, zaproponował jej objęcie roli tytułowej. Nareszcie rola ta należała do niej i Diana była pewna, że nic - a już z pewnością nie jej własna słabość - nie stanie jej na drodze.

Usiłowała zapomnieć o dręczącym bólu, zażywała aspirynę, która nieco łagodziła ból. Wybierała się na wrzosowisko, na długie, spokojne spacerowanie z psami; jak najwięcej czasu spędzała z Sebastianem, ponieważ godziny w towarzystwie syna były najlepszą terapią.

Próby rozpoczęły się w kwietniu. Dla Diany praca ta była najbardziej wykańczająca ze wszystkich, jakie kiedykolwiek wykonywała. Jednak jej wycucie profesjonalizmu, odpowiedzialność i pasja wspomagały ją w te godziny. A na scenie, jak zawsze, adrenalina i magia grania roli Heddy pomagały jej zapomnieć, jak bardzo źle się czuła.

Andrew wszystkiego się jednak domyślał.

- Musisz z tego zrezygnować, najdroższa - mówił Dianie.
- Zrezygnować z Heddy? Nigdy.

- Ale ty jesteś chora.
- Bzdura! Czuję się dobrze, jestem tylko trochę zmęczona.
- To więcej niż zmęcznie. To głowa. Znowu cię boli, prawda?
- Żadne bóle nie zmuszą mnie, bym zrezygnowała z grania. Przecież wiesz, jaki mam stosunek do tej roli, Andrew.
- Pozwól przynajmniej, żeby Michael jeszcze raz cię zbadał.
- Już mnie badał - spierała się Diana.
- I zasugerował wizytę u specjalisty.
- U neurologa. - Nie chcę o tym słyszeć!

Andrew wiedział, iż nie ma szans na to, by ją przekonać. Rozumiał, że to właśnie w takiej kobiecie się zakochał - Diana będzie na scenie, aż kurtyna spadnie po raz ostatni. Nikt i nic nie zdoła jej powstrzymać.

Diana nie dożyła do premiery. Wspaniale grała Heddę na trzech próbach generalnych. Podczas trzeciej, ostatniej, oglądał ją zachwycony syn i pełen podziwu mąż. Lecz trzy godziny po skończonej próbie, kiedy Andrew odwiózł Sebastiana, Jeremy'ego i Katharine, córeczkę Louisy Andersen, do Dębów, a potem wracał do West Endu po żonę, Diana zasłabła w garderobie. Gdy przyjechał - już nie żyła.

Andrew był zdruzgotany. Nie wyobrażał sobie, że może ją tak szybko stracić. Rola Heddy Gabler zabiła ją. Diana go zostawiła. I Sebastiana.

Rozdział 4

Andrew ostrzegał Dianę, że jest za stary, by zostać ojcem. Teraz był pięćdziesięciodwuletnim wdowcem z siedmioletnim synem, którego cała przyszłość zależała wyłącznie

Tf3.6 0 TD 0.12 T

- Ależ za co?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Myślałem...

- Co myślałeś? - łagodnie zapytał Andrew i poczuł, jak uderza go fala wstydu, znał bowiem odpowiedź. - Że będę miał coś przeciwko temu, iż patrzysz na swoją mamusię?

Na krótko zapanowała cisza i Andrew wiedział, że Sebastian w pełni zrozumiał to, co przed chwilą się stało, a mianowicie, że Andrew sam nareszcie zaczął mówić o Dianie.

- Często patrzę na ten obraz - powiedział Sebastian. - To mój ulubiony.

- Ona też lubiła go najbardziej.

- A ty, tatusiu?

Andrew utkwiał wzrok w zwróconej ku niemu twarzyczce syna.

- Trudno mi... bardzo trudno mi na niego patrzeć.

- Dlaczego?

- Za bardzo mnie rani.

- Bo tęsknisz za nią.

- Tak, właśnie.

Sebastian zbliżył się do ojca i wyciągnął dłoń, by ująć jego rękę w swoją.

- Ja czasem trochę lepiej się czuję, kiedy tu przyjdę.

Andrew miał ściśnięte gardło.

- Myślę, że jesteś odważniejszy ode mnie.

- Wcale nie - zdecydowanie zaprzeczył Sebastian, po czym, jakby zwierając się, dodał:

- Często płacę.

- Ja też.

- Naprawdę, tatusiu? - zdziwił się Sebastian.

- Oczywiście, że tak - Andrew usłyszał, że głos mu drży. -

Co noc, kiedy leżę w łóżku.

Znowu zapadło milczenie.

- Jeśli czujesz się samotny - odezwał się Sebastian - zawsze możesz przyjść do mojego pokoju.

- Mogę? - zapytał Andrew, uśmiechając się przez łzy.

- Ja też - Sebastian znów się zawahał. - Kiedy nie będziemy mogli spać, możemy porozmawiać o mamusi. - I jego oczy były wilgotne, choć jednocześnie zdawały się jaśniej-

sze, wypełnione nadzieją. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, oczywiście.

Andrew uklęknął i mocno go przytulił.

- Nie, Sebastianie. Nie sądzę, żebym mógł być temu przeciwny.

Wraz z upływem czasu z coraz większym trudem przychodziło ojcu utrzymanie chwiejnego poczucia bezpieczeństwa w życiu Sebastiana. Przedtem chłopiec był przedmiotem jego dumy i radości, teraz stał się centrum wszechświata. Jeśli Sebastian obudził się z płaczem, Andrew już przy nim był, zanim jeszcze Ellie usłyszała płacz dziecka. Jeśli Sebastian upadł, przeziębził się albo miał jakiś kłopot w szkole, jego ojciec obwiniał za to siebie. Gdyby Andrew wrócił do pracy i do swojej praktyki na pełnym etacie, sytuacja być może ustabilizowałaby się szybciej, zamiast to jednak zrobić, całymi miesiącami odwoływał spotkania i przekazywał sprawy innym adwokatom, aby jak najwięcej czasu spędzać z synem. Zdawał sobie sprawę, że zachowuje się prawie tak samo obsesyjnie jak Diana przez kilka pierwszych lat życia chłopca, ale nie potrafił inaczej. Przyjaciele i koledzy przyglądali się temu z troską i niepokojem, wyobrażając sobie, jaki wpływ na przyszłość chłopca może wyrzucić to rozpieszczanie dziecka i nadopiekuńczość. Wyglądało jednak na to, że ich obawy były jeśli nawet nie bezpodstawne, to przesadzone. Chłopiec odczuwał dotkliwą tęsknotę za matką, ale nie krył się z tym. Z czasem łatwiej mu było pogodzić się ze stratą matki, proces ten przebiegał szybciej niż u ojca.

Mimo że Sebastian miał Andrew, Ellie, swego najlepszego przyjaciela, Jeremy'ego, Rufusa i Jaspera, stare psy myśliwskie, wciąż czuł się bardzo osamotniony. Po śmierci Diany, kiedy przekonano chłopca, by wrócił do szkoły, okazało się, że oprócz Jeremy'ego większość jego kolegów trzyma go na dystans. Może czuli zakłopotanie z powodu straty, którą poniósł Sebastian, a może i niechęć w obliczu śmierci, o której nie myśli się w tym wieku.

Najtrudniejsza była dla niego noc. Kiedy zdarzało się, że sen nie przychodził od razu, Sebastian leżał sztywno w łóżku,

z mocno zaciśniętymi powiekami. Od śmierci matki coraz bardziej bał się ciemności. Czasem, kiedy było już całkiem źle, zapalał nocną lampkę. Powoli się uspokajał. Te czarne, bezimienne kształty przestawały przerażać i na powrót stawały się znajome. Niestety, często kiedy zapalał światło, ojciec lub Ellie, zatroskani i przejęci, przychodzili sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Sebastian czuł się winny, że ich niepokoi, i gasił lampkę.

- Jeśli chcesz, możesz spać przy zapalonym świetle - powiedział mu raz Andrew, tonem łagodnym, choć rzeczowym.

- Nie, tak jest dobrze - odparł Sebastian. - Po prostu zapomniałem zgasić, to wszystko.

- Bo jeśli lepiej się czujesz przy zapalonym świetle, nie ma w tym nic złego.

- Nie boję się ciemności - rzekł Sebastian zdecydowanie.

- Ja bałem się w twoim wieku - powiedział Andrew, choć w rzeczywistości nigdy nie był to jeden z jego lęków.

- Naprawdę, tatusiu?

- Dzieci czasami boją się ciemności. Zresztą dorośli też. Sebastian zastanowił się przez chwilę.

- No, a ja... nie - powiedział w końcu. Pomyślał, że ojciec i tak ma dość zmartwień, by on jeszcze przysparzał mu nowych. - Wszystko w porządku, tatusiu, naprawdę.

- I powiedziałaś mi, gdyby było źle, prawda?

- Oczywiście, że tak, tatusiu.

Jednak ciągle powtarzały się noce, w które strach wracał ze zbyt wielką siłą. Sebastian czekał, by upewnić się, że jego opiekunowie zasnęli, po czym wymykał się z pokoju i na palcach szedł do garderoby matki. Tam, w szafach z drewna orzechowego, wciąż wisiały jej ubrania. Bardziej niż cokolwiek na świecie uspakajał go zapach matki. Kobieta potrafiłaby rozpoznać tę woń: mieszankę perfum Mitsouko, mydła Roger et Gallet, talku dla dzieci firmy Johnson, szminek do teatralnego makijażu firmy Leichner. Sebastianowi jednak ten zapach kojarzył się z matką.

Kiedy otworzył drzwi szafy, ukląkł i ukrył twarz w ubraniach, które wcześniej dotykały skóry Diany, w materiałach gładzonych przez jej miękkie ręce; Sebastian wyobrażał so-

bie, przynajmniej przez krótką chwilę, że matka jest z nim, że go obejmuje, przytula - i strach zniknął. Czasami nawet zakradał się na strych, gdzie w dużej skrzyni ojciec umieścił niektóre teatralne kostiumy i rekwizyty. Raz zdarzyło mu się tam zasnąć, na podłodze, z palcami zaciśniętymi na jednej z sukien matki, ale ani Andrew, ani Ellie go nie znaleźli i tajemnica Sebastiana pozostała nieodkryta.

Prawie dwa lata po śmierci żony Andrew stwierdził, że może przejrzeć jej rzeczy i opróżnić szafy. Natomiast Sebastian nauczył się, jak przywoływać silne wspomnienie zapachu matki, kiedy tylko zechciał.

Większą część wakacji letnich 1959 roku Sebastian i Jeremy spędzili oddzielnie, ponieważ Locke'owie wyjechali za granicę, do Francji, zaś Marinerowie przebywali w Yorkshire. Ostatni tydzień lata zbliżył jednak chłopców do siebie bardziej niż wszystkie razem spędzone chwile.

Jeremy nigdy nie czuł, że on i reszta jego rodziny naprawdę pasują do otoczenia, w którym jemu i Thomasowi dane było się urodzić. Jego prapradziad, Adam Mariner, straciwszy dwóch synów i dwóch braci rybaków w wodach Oceanu Atlantyckiego, sprzedał dom i łódzie, i opuścił wioskę rybacką w Kornwalii, w której się wychował. Adam zabrał żonę, Leonie, jedyne żyjącego brata, kawalera, i wyruszył w drogę na północ. Postanowił, że znajdzie kawałek gruntu na stałym lądzie i osiedli się na nim, z dala od widoku, zapachu i okrucieństwa morza.

Adam Mariner znalazł ziemię i dom w Riding of Yorkshire, w nieprawdopodobnie pięknym sercu Dales. Dom, wybudowany sto pięćdziesiąt lat wcześniej i przez ostatnich dziesięć lat nie zamieszkaany po strasznym pożarze, był nieproporcjonalnie wielki, jak na ich skromne potrzeby. Poza tym panowało w nim przejmujące do szpiku kości zimno, wilgoć i przygnębiająca ciemność. Lecz Adam i John, dwóch silnych, zahartowanych Kornwalijszczyków, przyzwyczajonych do ciężkiej harówki i walki z przeciwnościami losu, natychmiast zabrali się do pracy i po trzech latach Leonie mieszkała już w domu wystarczająco wygodnym, w którym mogła wychowywać swojego nowo narodzonego synka.

Marinerowie w tamtych czasach hodowali owce i kury, a z czasem i bydło, zaś życie w domu skupiało w kuchni, z jej kamienną podłogą, kamiennym zlewem i piecem z lanego żelaza. Leonie i Mary, jej nowa szwagierka, młoda dziewczyna z Aysgarth, którą John pojął za żonę w kilka miesięcy po przybyciu na te ziemie, wiele czasu spędzały w kuchni, wypiekając ciasteczka pszenne, gotując szynki, wędząc soloną wołowinę, robiąc pranie, polerując narzędzia, garnki i patelnie, szorując palenisko, wokół którego cała rodzina siadywała wieczorami, kiedy całodzienna praca już była skończona.

Cztery pokolenia później Annabel Mariner wprowadziła do tej kuchni: zainstalowała piec elektryczny i lodówkę, zlikwidowała starą komorę nad paleniskiem, w której niegdyś wieszano płaty boczku, a w górnej jej części znajdowała się sypialnia pana domu. Kuchnia zmieniła oblicze. Została ozdobiona włoskimi kafelkami z późnych lat pięćdziesiątych, które Annabel sprowadziła z Mediolanu, wyposażono ją w zamrażarkę i pralkę automatyczną, zaś wszelkimi pracami domowymi zajęły się gospośnia i pokojówka. Lecz Annabel pochodziła z Londynu i, choć głęboko kochała Jamesa, kiedy się pobierali w roku 1946, nigdy nie lubiła Dales i gardziła Mariner Hall, wiekowym dziedzictwem swojego męża.

Dom stał na wzgórzu między małą wioską Thoraby i nieco większą, Aysgarth. Okna wychodziły na Bishopdale, a w zasięgu wzroku znajdowało się kilka malowniczych, starych wiosek z domkami zbudowanymi z kamienia. Niestety, dom był usytuowany w odległości kilkunastu kilometrów zarówno od Hawes, na zachodzie, jak i od Leyburn, na wschodzie - najbliżej położonych znaczących miasteczek w okolicy. Poza tym godzina jazdy dzieliła go od Ripon, jedyne miasta, jakie Annabel uznała za warte odwiedzania. Rozległe widoki z Mariner Hall były wspaniałe: wzgórze opadało ku dolinie, a za nią wznosiły się łagodne, soczyste i miękkie, zielone połoniny. Widać też było cudowne, asymetrycznie układające się prostokąty pól i pastwisk, podzielone kamiennym ogrodzeniem, budowanym z luźno ułożonych, wapiennych głazów, i wiekowe stodoły z tego samego kamienia. Była to piękna, zachwycająca ziemia', która zadziwiała

mało zmieniała się od czasu, kiedy związał z nią swe życie Adam Mariner. Wraz ze zmieniającymi się porami roku była tu młoda, żywa zieleń wiosny i kołysząca się żółć kaczeńców w czerwcu; senne, sielankowe ciepło mżącego deszczykiem angielskiego lata; ogniste barwy jesiennego lasu i cichy, śnieżny dywan śniegu w zimie. No i zawsze był domowy inwentarz - bydło, dziś najczęściej czarno-białe krowy fryzyjskie i owce, z czarnymi pyszczkami i cudownym wełnianym okryciem.

James Mariner był związany z Yorkshire. Jego przywiązanie do życia na roli nie było silne, jeszcze bardziej osłabło w dniu, kiedy pod wpływem żony uległ pokusom życia w wielkim mieście. Rodzice wysłali Jamesa do szkoły w Yorku i już wtedy poczuł się mniej związany z ziemią. Życzenie Annabel, by zostali w Londynie, podsunęło mu tylko wymówkę, której od dawna szukał, aby przenieść się do miasta. Jednakże, James wciąż czuł lojalność wobec swojego dziedzictwa, a Mariner Hall darzył szczerą miłością.

Gdyby nie to, w jaki sposób potoczyło się jego dzieciństwo, Jeremy nigdy nie dowiedziałby się, czy dzieli uczucie miłości i przywiązania, jakim jego ojciec darzył Dales. Annabel dopilnowała, by nawet nauka w szkole podstawowej odbywała się jak najdalej od Bishopdale. Mariner Hall i Dales stały się dla Jeremy'ego i jego młodszego brata drugim domem i magicznym miejscem zabaw.

Thomas podziwiał Jeremy'ego. Starszy brat był jego przywódcą i bohaterem. Jeśli Jeremy zechciał wstać o północy, żeby pomyszkować w spizarni, Thomas szedł za jego przykładem. Jeśli zapragnął wykraść ptasie jaja z gniazd, Thomas był jego współnikiem. I kiedy w lecie 1959 roku, Jeremy miał wówczas lat dwanaście, a Thomas dziesięć, starszy chłopiec zaproponował, by pojechali na rowerach do Aysgarth i bawili się w odkrywców, jego starą, ulubioną zabawę, młodszy brat oczywiście przystał na to z ochotą.

- Jedziemy do lasu? - zawołał Thomas, zjeżdżając ze wzgórza za swoim bratem.

- Oczywiście! - odrzyknął Jeremy. - Jeśli nie będzie za dużo ludzi.

Często bawili się w Freeholders' Wood, na północnym brzegu rzeki Ure. Wdrapywali się na drzewa, rwali kwiaty, rzucali w wiewiórki orzechami i wypatrywali jeleni, choć im tego zabraniano. Annabel ustanowiła dla synów wiele zakazów. Ale zazwyczaj była w Londynie, nawet podczas wakacji, natomiast ojciec był zbyt zajęty prowadzeniem gospodarstwa, żeby ich pilnować.

Jeśli Freeholders' Wood znajdował się już poza terytorium dozwolonym, to wodospad Aysgarth Falls był z pewnością miejscem zakazanym, chociaż chłopcy, a w szczególności Jeremy, nie mogli zrozumieć, dlaczego. Przecież wodospad nie był groźny jak Niagara, nawet nie był tak niebezpieczny jak Hardraw Force w pobliżu Hawes, gdzie woda spadała z głazów trzydzieści metrów w dół. Aysgarth Falls dzielił się na trzy odcinki, a półki skalne, ponad którymi przetaczały się wody rzeki Ure, znajdowały się zaledwie na wysokości siedmiu metrów. Bez trudu można było zsunąć się na dół, na brzeg, szczególnie na odcinku Middle Falls, i wyjść prosto na szeroką półkę o ostrych krawędziach, na północnym brzegu. Była to całkiem bezpieczna, duża półka z płaskiej skały, którą miejscami tylko kryła bystro płynąca woda. W pogodne dni ten odcinek wodospadu był spokojny. Lecz kiedy stan wody w rzece podnosił się po ulewie, wodospad nabierał rozpędu, a chmury piany wypełniały powietrze hukiem i łoskotem.

Kiedy chłopcy dotarli do wodospadu, padał deszcz, a raczej była to gwałtowna letnia ulewa, przerywana krótkimi, ciepłymi i słonecznymi przejaśnieniami.

- Wspaniale - powiedział Jeremy, stając na chwilę, by między drzewami przyjrzeć się rzece. - Naprawdę wysoki poziom.

Zjechali z wąskiej drogi, która oddzielała Freeholders' Wood od Ure, przepchnęli rowery przez bramkę i wzdłuż słabo udeptanej ścieżki. Tam je porzucili na szczycie szerokich stopni. Prowadziły one w dół, na pomost widokowy, z którego zwiedzający bezpiecznie mogli podziwiać Middle Falls.

- Nie widzę nikogo - powiedział Thomas, wyciągając szyję.

- Super - Jeremy przesunął rower na krawędź ścieżki i wepchnął go pod krzak. - Swój też schowaj, na wszelki wypadek.

- Na wypadek gdyby co się stało, Jerry? - Ich matka nie znosiła zdrobniałych form, Tom i Jerry, od ich „wystarczająco dobrych imion”. Bawiło to jednak Jeremy'ego, więc Thomas nazywał go „Jerry”, kiedy tylko Annabel nie było w pobliżu.

- W razie gdyby przybyli tubylcy, oczywiście. - Jeremy patrzył, jak brat chowa rower. - W porządku. Teraz popłyniemy Amazonką...

- Znowu? - zapytał Thomas.

- To jest cholernie długa rzeka, a tym razem jesteśmy o wiele dalej na północ i są tu kanibale i tygrysy, i węże w dżungli, więc musimy jak najszybciej dotrzeć do wody, zanim zaczniemy robić dalsze plany.

Zdjęli buty i skarpetki, podwinęli nogawki spodni i skokami pokonali schody, mijając pomost widokowy. Wdrapali się na brzeg, gdzie kucnęli i dokonali obserwacji terenu, ukryci za krzakami. Słońce rzucało teraz ciepły blask, tak że w pianie nad wodospadem unosiły się małe tęcze. Oprócz odcinka środkowego, gdzie woda, kłębiąc się, przybierała kolor żółtordzawy, widok był prześliczny.

- Jaki jest plan, wodzu? - Thomas, nawykły do przyjmowania rozkazów, z radośnie zaróżowionymi policzkami, czekał na instrukcje. Miał włosy o wiele jaśniejsze od czupryny Jeremy'ego, był tak samo szczupły, lecz delikatniejszej budowy. Błyszczące niebieskie oczy odważnie patrzyły na świat.

- Czekaj, daj mi pomyśleć. - Jeremy rzucił okiem na rzekę. - W porządku. Tak jest. Rozbiliśmy kajak o skały w górnym odcinku rzeki i całe nasze zapasy zatoneły razem z nim. Absolutnie wszystko zależy teraz od naszej inteligencji, jasne?

- Jasne. - Thomas pogmerał w kieszeni spodni. - Uchroniłem to przed wodą. - Wyciągnął na wpół zjedzony batonik Marsa.

- Świetnie - powiedział Jeremy. - Możemy go potem potrzebować, jeżeli wszystko nas zawiedzie i utkniemy na tym brzegu. Widzisz tamte owoce? - Wskazał na zwisające gałęzie drzewa. - Są trujące. Wszystko po tej stronie rzeki jest trujące. Tom. To dlatego musimy przedrzeć się na drugą stronę.

- Na drugą stronę?

- Oczywiście. To nasz cel.

- Ale jak? - pytał Tom. - Nie mamy łódki...

- A pływanie jest zbyt niebezpieczne - dodał Jeremy - z powodu katarakt i rekinów...

- Rekinów?

- Rekinów-ludojadów, ośmiornic dusicieli i trujących meduz.

- Super! - powiedział Thomas i uśmiechnął się szeroko, ukazując bardzo białe zęby.

- Oczywiście biorę na siebie najgorsze niebezpieczeństwo, bo jestem przywódcą.

- Jak to zrobisz?

- Spróbuję wyjść na tę półkę skalną, żeby lepiej się przyjrzeć, co nam grozi.

- Może ja pójdę, wodzu - zgłosił się na ochotnika Tom. - Często wysyła się zwiadowców, prawda?

- Czasami - zgodził się Jeremy. - Ale w obliczu naprawdę wielkiego niebezpieczeństwa, Tom, wodzowie, ci naprawdę dobrzy, nigdy nie proszą swoich ludzi, by zrobili robotę, której sami nie chcą się podjąć.

Gdyby Jeremy nie zdjął butów i skarpetek, chłód wody nie przeniknąłby go tak gwałtownie, kiedy bosa stopy dotknęły skalnej półki; gdyby jego ciało nie doznało wówczas wstrząsu zwiastującego niechybne nadejście ataku astmy, to popołudnie zapewne zakończyłoby się równie niewinnie, jak się zaczęło. Jeremy ostatnio miewał ataki łagodne i rzadkie, poczuł ucisk w piersiach i gardle, a kiedy spróbował odechnąć głębiej, powietrze wydobyło się z silnym charczeniem. W panice ukląkł na skale.

- Wodzu! - zawołał Thomas.

Jeremy nie odpowiedział, koncentrując się na próbie złapania oddechu.

- Wodzu, czy wszystko w porządku? - zawołał Thomas, przekrzykując huk wody.

- Nie - zdołał wykrztusić Jeremy, wciąż klęcząc.

Wtedy Thomas zobaczył jego bladą twarz i szeroko otwarte usta i zrozumiał, co się dzieje. Widywał to już wcześniej.

- Czy to atak astmy? - Nie czekając na odpowiedź, chłopiec skoczył na równe nogi i zsunął się z brzegu do rzeki. - Już idę! - zawołał, zapomniawszy o zabawie. - Czy możesz wstać, Jerry?

Wciąż walcząc o oddech, Jeremy spróbował stanąć, lecz mu się to nie udało.

- Nie martw się, ja ci pomogę.

Thomas stanął na półce i aż jęknął, kiedy lodowata woda obmyła jego bosc stopy i kostki.

- Ojej, lodowata, no nie? - Wcześniej wydawała się taka płytka i łagodna, a płynęła o wiele szybciej i z nieporównanie większą siłą, niż przypuszczał.

- Idę - powtórzył ze stoickim spokojem, ale Jeremy nie odpowiedział.

Podaj mi rękę - powiedział Thomas, lecz Jeremy tak strasznie charczał, że Thomas nie był pewien, czy brat go usłyszał. - No, Jerry... - Pochylił się, wyciągnął rękę i dotknął pochylonych pleców brata...

- Nie! - wycharczał Jeremy, znów ulegając panice. Raptem machnął prawą ręką i niechcący uderzył Thomasa w klatkę piersiową. Ten stracił równowagę, pośliznął się na mokrej, wapiennej skale i runął w dół. Upadając do tyłu, uderzył głową o ostrą krawędź półki, po czym całym ciężarem wpadł do wody.

Jeremy nie oddychał przez długą chwilę, która zdać się mogła wiecznością. Potem doczołgał się do krawędzi, z trudem chwytając powietrze i gwałtownie drząc na całym ciele.

- Tom? - Nie poznał własnego głosu. - Tom?!

Popatrzył w dół i wyraźnie zobaczył Thomasa, w rwącej, spienionej wodzie. Leżał prawie zupełnie nieruchomo, tylko jego włosy falowały na powierzchni. Jego skórzany pasek zaczepił o ostry występ skalny i mocno trzymał, nie pozwalając, by porwał go nurt rzeki.

- Tom - powtórzył Jeremy cicho.

Na twarzy Thomasa zastygło zdziwienie, miał otwarte oczy i usta, i Jeremy wiedział, że brat nie żyje. Kiedy Jeremy patrzył, jak bladoporóżowe smugi krwi wypływają z głowy Toma, poczuł, że do jego płuc wraca oddech i wypełnia je wilgotnym, świeżym powietrzem. Wreszcie zaczął krzyczeć.

Jego krzyk mieszał się z wściekłym hukiem rzeki i wodospadu. Nurek, ptak z białym upierzeniem na piersi, wystraszony wzleciał w błękit nieba. I bargieły, i gajówki pokrzewki, i zięby uniosły się wysoko ponad drzewami Freeholders'

Wood. A nieco dalej przy brzegu siwowłosa kobieta, wsparta na lasce, wyprostowała się nagle, zdjęta przerażeniem.

Jeremy wiedział, że rodzice obwiniają go o spowodowanie wypadku, i to było przerażające. Najtrudniej jednak było mu znieść to, że on też tak uważał. Choroba pod wpływem stresu nasiliła się. Matka starała się, aby miał dobrą opiekę i żeby niczego mu nie brakowało. Lecz Jeremy wiedział, że Annabel zawsze bardziej kochała Thomasa niż jego. A teraz wiedział, że matka go nienawidzi. Po wypadku nie chciał przyjeżdżać do Mariner Hall.

- Nie cierpię teraz tego domu - powiedział Jeremy Sebastianowi, kiedy spędzali razem weekend w Dębach pod koniec wakacji. - Wszystko przypomina mi Toma. To jest nie do zniesienia.

Byli po kolacji i siedzieli w pokoju Sebastiana. Szykowali się do spania. Dawne reguły wciąż ich obowiązywały i Jeremy musiał spać w oddzielnej sypialni.

- Ale na pewno dobrze jest o nim myśleć, prawda?

Jeremy pokręcił głową.

- Mnie nie. - Jego oczy były ciemniejsze niż zwykle, na tle bladej, wymizerowanej twarzy. - Poza tym są jeszcze oni.

- Twoi rodzice.

- Gapią się na mnie, kiedy myślą, że nie widzę, obwiniając mnie.

- Jestem pewien, że się mylisz - już nie po raz pierwszy usiłował pocieszyć go Sebastian. - To był wypadek. Wiedzą o tym.

- Nie mówię, że uważają, że go zamordowałem albo coś takiego - ponuro odparł Jeremy. - Ale to na jedno wychodzi.

- Oczywiście, że nie. - Sebastian przypomniał sobie, jak ojciec mówił mu, żeby jak tylko może, starał się odciągnąć uwagę Jeremy'ego od myślenia o tej tragedii. - Tak czy inaczej, co robimy jutro? Moglibyśmy pojeździć rowerami po wrzosowisku.

- Już nigdy nie wsiądę na rower - powiedział Jeremy, a jego głos brzmiał twardo. - I nigdy więcej nie będę się bawił w odkrywców, z nikim, i nie zbliżę się do żadnej rzeki, ani...

- Jeremy - łagodnie przerwał Sebastian - przestań.

- I nie chciałbym nigdy więcej oglądać Yorkshire. - Jego głos zaczął się łamać, a oczy wypełniły się gorącymi łzami. - Chcę zostać w Londynie i nigdy więcej nie widzieć moich rodziców.

- Wcale tak nie myślisz.

- Właśnie, że tak, bo oni mnie nienawidzą...

- Nieprawda, Jerry.

- On tak na mnie wołał, a ja nazywałem go Tom i mama tego nie znosiła z powodu kreskówek, więc jeszcze częściej tak na siebie wołaliśmy. - Teraz już łzy płynęły ciurkiem. - Tak bardzo za nim tęsknię! - zawołał - i zrobiłbym wszystko, żeby wrócił...

- Wiem - powiedział Sebastian, wstrząśnięty wybuchem rozpacz przyjaciela. Jeremy zawsze przybierał maskę chłodu i hardości i nigdy nie pozwalał sobie na słabość.

- Skąd możesz wiedzieć! - ostro odparł Jeremy. - Przecież nie masz brata.

- Czuję to samo, kiedy umarła moja mama. - Sebastian wciąż przemawiał łagodnie. - Już wiele z tego wszystkiego zapomniałem, ale pamiętam, jak marzyłem, że ona wraca, a potem to było jeszcze gorsze, kiedy okazywało się, że nie wróciła. - Przerwał. - Ale po długim czasie naprawdę zrobiło się lepiej.

- Ty nie zabiłeś swojej mamy - powiedział Jeremy.

- A ty nie zabiłeś Thomasa - odparł Sebastian z przejęciem.

- Dlaczego, skoro to prawda? - i gorące łzy płynęły nadal.

Tej nocy złamali ustanowiony przez Annabel Mariner zakaz spania w jednym pokoju. Kiedy godzinę później Ellie zajrzała do chłopców i zastała ich przytulonych do siebie w łóżku Sebastiana, postanowiła im nie przeszkadzać.

- Biedak - powiedziała do Andrew, który wrócił z prosojnej kolacji chwilę później. - Widziałam, że płakał. Nie widziałam w tym nic złego, żeby zostali razem.

- Tak, wręcz przeciwnie - stwierdził Andrew. - Sądzę, że Jeremy potrzebuje pocieszenia, a Sebastian doskonale nada się do tej roli.

- Minie trochę czasu, zanim się z tym pogodzi, nie sądzi pan? - ze smutkiem powiedziała Ellie.

- Z niektórymi rzeczami tak naprawdę nigdy nie można się pogodzić - odrzekł Andrew.

W 1960 roku, kiedy Sebastian miał trzynaście lat, Andrew wysłał go do Marchmont School w Buckinghamshire. Długo rozważali razem różne możliwości i na koniec wybrali Marchmont. Była to jedna z najładniejszych prywatnych szkół dla chłopców w Anglii, która miała sławę spokojnego, szczęśliwego miejsca, a jednocześnie doskonałej placówki oświatowej. Poza tym także Jeremy Mariner został tam zapisany przez rodziców.

Andrew zdawał sobie sprawę, że Diana nigdy nie przystałaby na wysłanie ich syna do szkoły z internatem. Był jednak przekonany, że jest to dobre dla Sebastiana. Marchmont zapewniał wykształcenie liberalne, popierał indywidualizm i własną inicjatywę, podparte dyscypliną, przestrzeganą w granicach zdrowego rozsądku. Poza tym, choć Andrew miło wspominał swoje lata szkolne spędzone w Rugby, spotkał kilku mężczyzn, którzy ukończyli Marchmont i bardzo tę szkołę chwalili.

Dewizą szkoły było *Omnem movere lapidem* - Porusz każdy kamień. Gmach główny był pięknym, obrosniętym bluszczem budynkiem z czasów Tudorów, mniejsze budynki i akademiki były ładnie umeblowane i przyjemne. Cały teren mieścił boiska, korty tenisowe, pięknie zaprojektowane ogrody kwiatowe i ogródki warzywne, wszystko utrzymane w doskonałych proporcjach. Sebastian nigdy naprawdę nie poznał, co to brzydota. Lecz kiedy rankiem, po spotkaniu z dyrektorem szkoły, stanął na szczycie kamiennych stopni wiodących do głównego gmachu i po raz pierwszy ogarnął spojrzeniem śliczne trawniki, ścielące się w dół, do jeziora, w którym kąpano się w lecie, poczuł, jak ogarnia go fala radości i miłego oczekiwania.

Tego września, kiedy w ciszy przejechali przez wysoką żelazną bramę i gdy znów rozpostarło się przed nimi szerokie pole zieleni, Andrew rzucił na Sebastiana ukradkowe spojrzenie. Jego wewnętrzny niepokój potęgowało jeszcze ciężkie milczenie syna.

- Wszystko w porządku? - zapytał.
- Tato, czy zechciałbyś na sekundę się zatrzymać?

Andrew zahamował gwałtownie.

- Coś nie tak?

Sebastian uśmiechnął się.

- Nic, tato. Ale... - Zamilkł na chwilę. - Po prostu miałem takie przeczucie, że kiedy już przejedziemy przez ten... -

Spojrzał przed siebie na ładny, niewielki mostek, który rozciągał długi podjazd, wiodący do głównego budynku.

- Wątpliwości ostatniej chwili? - serce Andrew załomotało boleśnie.

- Ależ skąd - odparł Sebastian. - Po prostu chciałem jeszcze chwilę być z tobą sam na sam, to wszystko... - przerwał. - Posłuchaj, tato. Wiem, że naprawdę bałeś się wysłać mnie z domu, ale nie myśl, że jest mi smutno. Nie, jestem tylko troszkę zdenerwowany, ale też podekscytowany.

Ucisk lęku, który Andrew odczuwał w gardle i który utrudniał mu mówienie, osłabł nieco. Po raz kolejny poczuł wdzięczność dla syna za jego wrażliwość.

- Obiecuj mi coś - powiedział.

- Oczywiście.

- Jeśli będziesz miał jakiegokolwiek problemy, spróbuj rozwiązać je sam, jeśli będziesz potrafił. - Andrew chwycił dłoń Sebastiana. - Ale jeśli będą one zbyt trudne, obiecuj, że będziesz pamiętać, że masz mnie o każdej porze dnia i nocy.

- Obiecuję, tato.

- Zawsze mogę tu być w kilka godzin, nie zapominaj o tym.

To samo dotyczy ciebie - powiedział miękko Sebastian. - Musisz obiecać, że powiesz mi, jeśli coś złego stanie się w domu.

- Już ty się o mnie nie martw.

- To działa w dwie strony, tato.

Chociaż oczywiście Sebastian tęsknił za ojcem i Ellie, w Marchmont był niemal bezgranicznie szczęśliwy. Nauka sprawiała mu przyjemność, lubił większość sportów i łatwo nawiązywał przyjaźnie. Z każdym uływającym rokiem robił się coraz bardziej przystojny, lecz pozostał nieświadom tego, jak podobają się jego gęste włosy barwy pszenicy, jego żywe błękitne oczy, mocne, regularne rysy i szczupła sylwetka. Nauczyciele cenili go za to, że był dobrym i pilnym uczniem, zaś koledzy lubili, bo nie był zarozumiałym kujonem. Poczucie

humoru i uprzejmość wobec innych jeszcze bardziej się umocniły i z czasem koledzy z klasy zaczęli grupować się wokół niego. Sebastian był popularny, ponieważ, dzięki wrodzonej umiejętności łączenia zabawy ze zdrowym rozsądkiem, często wybawiał innych chłopców z kłopotów, gdyż doskonale wiedział, kiedy przestać żartować. I chociaż nigdy nie pragnął być przywódcą, od początku pobytu w Marchmont rola ta naturalnie mu przypadła.

Chłopcem, który najczęściej zwracał się do Sebastiana, był Jeremy. Choć już ponad trzy lata minęły od śmierci jego brata, Jeremy nigdy naprawdę nie pogodził się z tą stratą. Ta dawna iskra dynamizmu i żywotności, którą Sebastian zawsze dostrzegał u swojego przyjaciela, ta radość życia, przynajmniej na jakiś czas w nim wygasły.

Mimo że ich przyjaźń przetrwała, chłopcy różnili się. Podczas gdy Sebastian uważał, że teren Marchmont i okoliczne wioski są piękne, Jeremy tęsknił za miastem. Kiedy nadchodził czas przygotowań do egzaminów, Sebastian dokładał starań, aby ojciec był z niego dumny, natomiast Jeremy, choć uzdolniony, robił jedynie minimalny wysiłek, by zdać, a i to dlatego tylko, że oblanie egzaminu i ewentualne wyrzucenie ze szkoły oznaczałoby prawdopodobnie konieczność powrotu do domu, do Mariner Hall. Jedną z niewielu wspólnych pasji Sebastiana i Jeremiego był teatr i film. Jedynymi okazjami, kiedy Sebastian rozpoznawał dawną iskrę u Jeremy'ego, były chwile, gdy rozmawiali o filmie, który widzieli, albo o przedstawieniu wystawionym przez kółko teatralne. Wówczas Sebastian też był w swoim żywiole. Nie było w tym nic dziwnego, zważywszy na jego dziedzictwo, że odkrył w sobie żywe zainteresowanie teatrem i kinem.

Podczas przerwy międzysemestralnej wiosną 1962 roku, kiedy Jeremy i jego matka przebywali w mieszkaniu przy Regent's Park, Annabel zabrała syna do teatru, aby uczcić jego urodziny. Gdy po przedstawieniu wyszli na Shaftsbury Avenue, padał rześisty deszcz. Jeremy zaproponował, że poszuka taksówki, na co Annabel chętnie przystała.

- Poczekam w foyer - powiedziała. - Postaraj się wrócić szybko, kochanie.

- Wróć, zanim się obejrzysz - odparł Jeremy.

Kiedy Annabel zobaczyła go ponownie, było pierwsza w nocy. Lekkim krokiem wszedł do mieszkania.

- Gdzie byłeś do tej pory?!

- Zgubiłem się.

- Na dwie i pół godziny? - aż pobladła z gniewu. - Odchodziłam od zmysłów, zamartwiając się o ciebie.

- Niepotrzebnie - powiedział Jeremy.

- Niepotrzebnie?!

- Wszystko było w porządku, tyle tylko że się zgubiłem.

To wszystko.

- Jak mogłeś się zgubić, kiedy byliśmy na samym środku Shaftsbury Avenue?

Jeremy był nadal niewzruszony.

- Stałem na rogu całe wieki i nigdzie nie było wolnych taksówek, więc skręciłem w boczną uliczkę...

- Którą?

- Nie wiem. Potem skręciłem w kolejną ulicę i zauważyłem wolną taksówkę. Pobiegłem za nią i znów skręciłem, a potem chyba się zgubiłem.

Annabel spiorunowała go wzrokiem.

- Nie wierzę ci.

- A wyobrazasz sobie, że gdzie byłem, mamo?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że mnie zostawiłeś i byłam przerażona, że coś ci się stało. - Jej oczy były zimne. - Ale nie zmartwiłbyś się tym, prawda? Bo zawsze byłeś niewrażliwym, samolubnym chłopcem.

Gdyby Annabel wiedziała, że godziny nieobecności Jeremy spędził z prostytutką z Soho, a resztę pieniędzy, które dostał w prezencie urodzinowym, wydał na haszysz, byłaby bardziej wstrząśnięta. A gdyby Jeremy nie próbował sprzedać narkotyku innemu chłopcu w szkole...

- W mojej szafce... - Jeremy szepnął do ucha Sebastianowi, kiedy tylko dowiedział się, iż został wezwany przez kierownika internatu. - Usuń to, na miłość boską.

- Co mam usunąć?

- Po prostu zrób to, proszę. Jeśli to znajdą, koniec ze mną.

- Ty idioto!

- Proszę, Seb.

Sebastian zrobił to, o co prosił przyjaciel, szybko, nie pozwalając sobie na myślenie, jakie ryzyko podejmuje. Gdyby narkotyki zostały znalezione w internacie, Jeremy z pewnością zostałby wydalony ze szkoły. Gdyby natomiast odkryto, że Sebastian mu pomagał i był jego współnikiem, miałby to szczęście, gdyby nie spotkał go ten sam los. W każdym razie, do momentu gdy nakazano przeprowadzenie poszukiwań, po haszyszu nie było już ani śladu. Jeremy i ten chłopiec, który na niego doniósł, ponad godzinę spędzili w gabinecie dyrektora. Ponieważ jednak nie było dowodów, a Jeremy uparcie wszystkiemu zaprzeczał, sprawę umorzono.

Lęk, jaki przeżył Sebastian w związku z tą sprawą, kosztował go niejedną bezsenłą noc. Wciąż dręczył go silny niepokój. Nie znosił nocnych hałasów internatu.

Wtedy przyszła do niego zjawa, falując ku niemu w ciemności, zbliżyła się, aż objęła go całego. Poczował delikatną, miękką woń; mieszankę perfum Mitsouko, mydła Roger et Gallet i kosmetyków do makijażu Leichnera, przypominającą mu matkę, że w oczach stanęły mu łzy zdumienia i radości. Uczucie to było tak pełne słodczy i tęsknoty, że Sebastian powitał je jak starego przyjaciela i pozwolił mu się ukoić i delikatnie ukołysać do snu.

W czerwcu następnego roku duchy wróciły, by straszyć Sebastiana, kiedy kółko teatralne wystawiło „Hedde Gabler”. Ponieważ był bardzo zajęty egzaminami, nie miał bezpośredniego kontaktu z tym przedsięwzięciem. Jednak w dniu próby generalnej ciekawość kazała mu pójść do hali głównej, żeby przedstawić obejrzeć. Minęło dziewięć lat od tamtego wieczora, gdy Sebastian był świadkiem ostatniego występu swojej matki.

Siedział w czwartym rzędzie na prawo, oglądając pierwszą scenę. Jak zwykle rozbawił go widok studentów w rolach kobiecych. Na scenę wszedł aktor grający rolę George'a Tesmana, kiedy rozległ się rozdzierający krzyk. Sebastian podskoczył na fotelu.

- Niech to diabli!...

Próba została przerwana. Dan Jacobs, siedzący w pierw-

szym rzędzie reżyser sztuki, uniósł ręce do góry, dłońmi w stronę sceny, i zastygł w milczeniu.

- Mamy zacząć od nowa? - zapytał z wahaniem chłopiec, obsadzony w roli Juliany Tesman.

Krzyk rozległ się znowu. Przerwano próbę. Sebastian biegł z innymi, za scenę, do wspólnej garderoby, skąd dochodził ten straszny dźwięk.

Charlie Grenville leżał na podłodze, wijąc się z bólu, wyglądał groteskowo w peruce Heddy i długiej sukni.

- Pomóżcie mi! - Rękoma drapał się po twarzy. Jego oczy, podmalowane grubą warstwą makijażu, były rozszerzone od wstrząsu i cierpienia. - Moja twarz... pomocy!

- Charlie, co się stało!?! - Dan Jacobs padł na kolana i ode-rwał od twarzy wczepione w nią ręce, by móc coś zobaczyć. - Och, mój Boże... - Starał się ukryć obrzydzenie, lecz mu się to nie udało. Skóra młodego aktora od nozdrzy po brodę była czerwona od smug rozmazanej szminki, zmieszanej z krwią.

- Niech ktoś sprowadzi pomoc! - ostrym głosem powiedział Don Jacobs. Jeden z chłopców wybiegł i zwymiotował na zewnątrz. Charlie Grenville jęczał, usiłując rozszarpać skórę twarzy.

- Na litość boską, zróbcie coś! - krzyknął reżyser.

W głowie Sebastiana szumiało. Serce gwałtownie pulso-wało. Bał się wykonać jakikolwiek ruch. Własna niemoc zdumiewała go.

- Seb, przynieś trochę zimnej wody - powiedział Dan Jacobs. Sebastian znieruchomiał.

- Locke!

Oprzytomniał.

- Woda, tak jest.

Podbiegł do umywalki, znalazł ręcznik i umoczył go w zimnej wodzie. Ukląkł przy Charlie'em Grenville'u i przyłożył mu kompres do poranionej twarzy.

Obrażenia spowodował - pisał Sebastian do ojca kilka dni później - kwas solny w szmince Charliego. Dzięki Bogu, obrażenia nie były aż tak poważne, jak się wydawało. Doktor, zdaje się, uważa, że nie będzie blizny ani żadnego śladu. Ale cała szkoła jest w szoku i wezwano policję, bo pan Giles (profesor od chemii)

zgłosił zniknięcie z laboratorium pewnej ilości kwasu solnego. Wszystkie niebezpieczne materiały są zamykane w szafce co wieczór, więc pewnie uważają, że ktoś je zwinął w czasie lekcji.

Wiesz, tato, to było dość obrzydliwe. Szczegółowo przesłuchano każdego chłopaka, ale jak dotąd ani winowajcy, ani jakiegoś motywu tego czynu nie znaleziono. Jeden z profesorów powiedział nam dwa dni po tym, co się stało, że myślą, iż był to jakiś kawał, który się nie udał. A Jeremy mówi, że kiedy jego przesłuchiwali, czepiali się go i wypominali mu kawały, które robił chłopcom w przeszłości. Tak jakby Jerry mógł kiedykolwiek zrobić coś tak podłego. Obaj wiemy, jaki on jest - wiem, że ranił ludzi słowami, ale nigdy, za żadne skarby, celowo nie skrzywdziłby nikogo.

Przecież to nie do pomyślenia, żeby ktokolwiek był zdolny do takiej nikczemności, prawda? Większość z nas wolalaby sądzić, że to po prostu był wypadek, choć przyznaję, że trudno zrozumieć, jak to się mogło stać.

W każdym razie, tato, już niedługo wakacje. Cieszę się, że znowu cię zobaczę, no i oczywiście, Ellie, i nie mogę już się doczekać wyjazdu do Grecji.

Całuję, Twój Sebastian

Początek wakacji był wspaniały, mimo przykrych wspomnień ze szkolnego przedstawienia, na kilka dni przed wyjazdem Sebastiana i Andrew do willi przyjaciół na Rodos, Sebastian po raz pierwszy kochał się z dziewczyną.

Nazywała się Vanessa Mills, mieszkała niedaleko Locke'ów, przy Church Street. Poznała Sebastiana w Coffee Cup w Haverstock Hill. Vanessa miała rude włosy, zielone oczy i piegi. Była pociągająca, zabawna i inteligentna, i z pewnością najbardziej zalotna spośród dziewczyn, jakie Sebastian kiedykolwiek spotkał. Kiedy skończył piętnaście lat, umawiał się kilkakrotnie na randki, całował po francusku i dwukrotnie pieścił dziewczynę w Everyman Cinema, lecz podczas obiadu z Vanessą w La Gaffe, romantycznej restauracji na Heath Street, wyczuł, że ona ma ochotę na coś więcej.

- Przyjedziesz do mnie do domu na kawę? - zapytała.
- Tak. Twoi rodzice nie będą mieli nic przeciwko temu?
- Nie dowiedzą się.
- Jak to?

Vanessa uśmiechnęła się zalotnie, ukazując małe, białe ząbki.

- Wyjechali za miasto. Po obiedzie spędzą noc u przyjaciół. Będziemy mieli cały dom dla siebie.

- Super - powiedział Sebastian.

Podobał mu się pokój Vanessy. Lekkość kwiecistej tapety i brzoskwińowego kretonu, wszystkich tych pikowanych materiałów i falban, odurzyła go prawie tak mocno jak widok dziewczyny, bez zahamowań wyslizgującej się z ubrań. Była ładną dziewczyną, lecz kiedy stanęła przed nim naga, wydała się Sebastianowi niezmiernie śliczna. Jej nogi były długie i kształtne, ramiona szerokie, talia wąska, a piersi sterczące i pełne, z różowymi sutkami.

- Czy podoba ci się to, co widzisz? - pytała, podchodząc bliżej.

Był bardzo zdenerwowany.

- Jesteś piękna.

- Naprawdę?

Z trudem oddychał.

- Jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem.

- Więc pocałuj mnie.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował mocno i namiętnie, jak tylko potrafił, a świadomość jej nagości, miękkiej, pełnej wgłębień i wypukłości, zawróciła mu w głowie.

- Może się rozbierzesz? - zamruczała Vanessa z ustami przy jego wargach. - Masz wspaniałą erekcję, czuję ją. - Aby tego dowieść, przytuliła się jeszcze bliżej. - Mm... cudowna... - powtórzyła.

Szybko się rozebrał, zakłopotany, bo oderwał guzik od koszuli. Do tego mocno się zaczerwienił, gdy ona rozpięła mu pasek od spodni i włożyła prawą rękę w rozporek.

- Śliczny - powiedziała. - Wiesz, naprawdę powinieneś go wypuścić.

- Chryste - powiedział Sebastian i zrzucił spodnie.

Pocałował ją znowu w nieznośnej gorączce podniecenia,

Po czym upadł z nią na łóżko. Kochał się z nią niezręcznie, lecz radośnie, wstrzeliwując nasienie w jej otwarte, chciwe ciało o wiele wcześniej, niż mógłby sobie tego życzyć.

- Przepraszam - wymamrotał, kiedy odzyskał głos.
 - Nie ma za co przepraszać - szepnęła Vanessa. - Było cudownie.
 - Ale zbyt... - przerwał, za bardzo zażenowany, by dokończyć.
 - Zbyt szybko? Nic nie szkodzi, mamy mnóstwo czasu. -
- Sięgnęła po jego dłoń i poprowadziła palce w swoje wilgotne wnętrze. - Czy podoba ci się mój krzaczek, kochanie? - Był złotaworudy jak jej włosy. - Tutaj, tak trzeba mnie dotykać.
- Jęknął i jego palce przyspieszyły. - Właśnie tak, dokładnie tak, kochanie.

Dopiero później, kiedy skończyli się kochać, Sebastian po raz pierwszy zakosztował rozczarowania. Nie miał żadnych konkretnych oczekiwań, pewien był jednego - że po wszystkim będzie chciał Vanesę objąć, mocno ją przytulić i cieszyć się ciepłem jej ciała, jednak nie czuł do niej najmniejszej życzliwości. Trochę go to przeraziło.

Zapytywał siebie w duchu, wciąż leżąc przy niej pod pomiętymi prześcieradłami. Przecież nie był jakimś hipokrytą, żeby ją obłudnie potępiać. Ależ nie, to nie o to chodziło - uważał Vanesę za godną podziwu, wolną i cudowną duszę. A może czuł się winny za to, że ją wykorzystał? Ale przecież nie było tu żadnego powodu do poczucia winy, bo to ona zainicjowała seks. Nie mógł pojąć, dlaczego czuł tę uczuciową oziębłość. I później tego wieczora, leżąc już w swoim łóżku, wciąż nie mógł przestać o tym myśleć. Próbował odtworzyć tamte, jakże cudownie przyjemne wrażenia. Zamiast tego zagubił się w dziwnych, zamglonych wspomnieniach z przeszłości o wiele bardziej odległej - pogrążonych w cieniu wspomnień objęć i pieszczot swojej matki. I nagle Sebastian zdenerwował się na siebie, i jeszcze bardziej przeraził przez skojarzenie tych myśli z miłością Edypa.

Przesadzasz - powiedział do siebie, wstając z łóżka i podchodząc do otwartego okna. - Na miłość boską, uspokój się.

Starając się myśleć rozsądnie, stwierdził, że to spadek emocji po wielkim przeżyciu. Taka reakcja jest całkiem naturalna. To normalne, że nie czuje związku uczuciowego z Vanesą. Dlaczegoż miałby go czuć? Przecież gdyby miał się zakochiwać w każdej dziewczynie, z którą się prześpi, stworzyłby sobie niezłe piekło.

Rozdział 5

Katharine tyle musiała się nauczyć. Żaden widz w najmniejszym stopniu nie zdawał sobie sprawy, z ilu czynników składała się nieskomplikowana nawet oprawa widowiska teatralnego. Był to cały świat do odkrycia, ogromny materiał historyczny. Katharine dowiedziała się o pierwszych „maszynach latających”, używanych w teatrze greckim; o niezwykłym rozmachu rzymskiej architektury teatralnej i o wzniesieniu pierwszego Globe Theatre w Londynie, którego strzecha nad galerią zapaliła się od wybuchu armaty w czasie przedstawiania „Henryka VIII”, przez co teatr został do cna zniszczony. Dowiedziała się o fantastycznych i skomplikowanych efektach specjalnych, które stały się popularne w średniowieczu. Do ich stworzenia wykorzystywano czasem bardzo liczne ekipy, które pomagały przy drzwiach zapadowych i blokach do podnoszenia; wiele trudu zadawano sobie, by stworzyć autentyczne dźwięki i zapachy, nawet kiedy używano kukieł do sceny palenia na stosie, wypychano je wnętrznościami, aby scena wydawała się bardziej realna.

- Nowoczesna amerykańska sztuka teatralna wydaje się przy tym prawie zupełnie nijaka - stwierdził Howard Hart, student scenografii i chłopak Katharine.

- Sama nie wiem - odparła. - Popatrz, co zrobił Norman Bel Geddes w latach dwudziestych i trzydziestych...

- Nie mówię o tym, co było wtedy - przerwał jej Howard.

- Mam na myśli czasy nam współczesne.

- Czy coś było nie tak z „West Side Story”? - zapytała Katharine. - A jeśli to wydaje ci się zbyt staroświeckie, to co

powiesz o „Skrzypku na dachu”? Tamte dekoracje były wspaniałe, całkiem mnie urzekły. A „Kabaret”?

- To wszystko musicale.

- Kocham musicale!

- Zauważyłem - powiedział Howard kwaśno. Nie uznawał tych przedstawień, ponieważ bilety na nie były zawsze droższe niż na zwykłe sztuki teatralne. Fakt, iż ich produkcja była o wiele bardziej kosztowna, powinien wpłynąć na jego zrozumienie tej kwestii, lecz jeśli chodziło o Howarda, to w momencie kupowania biletów stawał się zwyczajnym widzem i przestawał być scenografem.

Większość studentów chodziła do teatru bardzo często. Oglądali przedstawienia w Pittsburghu, a kiedy pozwalał na to czas - i kiedy nie pozwalał - również w Filadelfii, i, oczywiście, w Nowym Jorku. Katharine dziękowała swoim gwiazdom, że obdarzyły ją tak niespożytą energią, bowiem odkąd przybyła do Carnegie Mellon, jej życie było bardzo aktywne. Całą energię wkładała w studia, ale nie zaniedbywała życia towarzyskiego. Wyjeżdżała do Waszyngtonu na każde wakacje i ferie. Dom uważała za świątynię, miejsce, do którego naprawdę należy. Czasem zostawała u Jake'a. Louisa przyjeżdżała z Nowego Jorku, kiedy tylko mogła, ale dość często Katharine łączyła swoje teatralne wizyty na Manhattanie z wizytą u mamy i Sama. Z rzadka jeździła na Long Island, by odwiedzić swoją babcię, Karen Andersen, która kilka lat wcześniej przeprowadziła się do pięknego, nowego domu w Easthampton, uważając się za grande dame.

Mimo gorączkowego trybu życia Katharine zdawała sobie sprawę, że żyje niemal jak pod kloszem. Ona i jej koledzy przechodzili w życiu etap pokoju i miłości, podczas gdy inni studenci na całym świecie starali się, by świat usłyszał ich głos w tych czasach buntu, zamieszek i Wietnamu. Jednakże jej wewnętrzny świat wydawał się Katharine mniejszy, łagodniejszy, przeniknięty teatrem. Kiedy pracuje się ciężko nad deską kreślarską albo nad sztalugami; kiedy często dyskutuje się o swoich projektach ze stolarzami i malarzami w wielkim sklepie z dekoracjami teatralnymi; kiedy próbuje się przewidzieć wpływ, jaki oświetlenie i przestrzeń będą miały na wy-

gląd tkaniny, której planowało się użyć, jak i, w rezultacie, współgranie tkaniny z twarzami i strojami aktorów; lub też kiedy siedzi się w Kresge Theatre, próbując rozważyć każdy element, który spowodował, że oprawa sceniczna odniosła sukces lub poniosła klęskę - trudno jest pamiętać o tym, co dzieje się na zewnątrz, w świecie realnym.

W połowie drugiego roku studiów Katharine w Carnegie Mellon, niespodziewanie przyjechała do Pittsburgha jej matka. Wyglądała na znużoną, i Katharine przeraziła się, że Louisa jest chora. Lecz podczas pierwszego wieczora, kiedy jadły spaghetti w małej knajpce, Louisa zapewniła Katharine, że czuje się zdrowa. To jej małżeństwo z Samem się nie układa.

- Myślałam, że jesteście szczęśliwi. - Katharine była wstrząśnięta.

- Kiedyś byliśmy - powiedziała Louisa, po czym westchnęła. - Lecz obawiam się, że od dłuższego czasu nie jesteśmy. - Pod jej ślicznymi, piwnymi oczyma pojawiły się cienie, a wokół oczu i ust - tu i ówdzie drobne zmarszczki.

- Co się stało? - Katharine uniosła karafkę z chianti i nalą matce kolejny kieliszek.

- Nic dramatycznego. Nie było cudzołóstwa ani okrucieństwa. - Louisa uśmiechnęła się blado. - Sam jest przyzwoitym człowiekiem, sama wiesz. A ja byłam mu wierna.

- Ale? - Katharine czekała.

- On twierdzi, iż nigdy nie czuł, że naprawdę jestem jego żoną.

- Co to ma znaczyć?

- Prawdopodobnie tyle, że Sam chciał więcej, niż ja mogłam mu dać. Więcej mnie samej, moje wnętrze, no wiesz...?

- Louisa zagryzła wargę. - Parę tygodni temu powiedział, że czasem czuje się tak, jakbym wciąż była żoną Jake'a... że to Jake jest moim prawdziwym mężem, a on tylko dublerem.

Dawna, na wpół zduszona nadzieja zatrzepotała w sercu Katharine, ale nie odezwała się.

- Uważasz, że ma rację?

- Oczywiście, że nie - odparła Louisa. - Przecież nie wzięłam ślubu z Samem tuż po rozwodzie. Poślubiłam go z miłości, a nie na przekór twojemu ojcu.

- Ty naprawdę sądzisz, że to koniec?
- Obawiam się, że tak. Sam uważa, że wszystko skończone.
- Ale jesteście małżeństwem od sześciu lat. Dobrym małżeństwem. Nie chcesz walczyć, mamó?

- Walczyłam, najmilsza. To nie zdarzyło się ot, tak... nie pokłóciłam się z Samem i nie wskoczyłam do samolotu do Pittsburgha, żeby wypłakać się na twoim ramieniu.

Katharine musiała o to zapytać.

- A co z tatusiem? - Jake nigdy nie ożenił się powtórnie, choć w jego życiu nigdy nie brakowało kobiet.

- A co ma być? - odparła Louisa. Było to pytanie retoryczne, które nie wymagało dyskusji.

- Na chwilę zapadła cisza.

- Tak bardzo lubię Sama - odezwała się Katharine. - Jeśli nie dojdziecie do porozumienia, będzie mi naprawdę przykro.

Oczy Louisy były posępne.

- Mnie też, kochanie.

Latem 1969 roku życie towarzyskie Katharine było wypełnione po brzegi i szczęśliwe. W średniej szkole regularnie umawiała się na randki, lecz kiedy poszła do Carnegie Mellon, uwalniając się od narzuconych ograniczeń, krępujących ją w domu, horyzonty jej możliwości znacznie się poszerzyły. Choć była skromna z natury, wiedziała, że jest ładna, gdyż trudno było tego nie wiedzieć, kiedy młodzi mężczyźni i - jeszcze bardziej przekonująco - jej koleżanki, wciąż powtarzały, że tak jest. Wiedziała, że ludzie lubią jej towarzystwo, i ten fakt właśnie umacniał jej poczucie własnej wartości. Im bardziej zaś rosła pewność siebie, tym stawała się piękniejsza i bardziej czarująca.

Howard Hart dawno odszedł z życia Katharine. Jego miejsce zajął natomiast Rob Newman, student trzeciego roku i dramaturg; po Robie pojawił się Joe Maretti, uzdolniony młody aktor, który nie mógł zrozumieć, jak Katharine mogła przedłożyć scenografię nad aktorstwo.

- Jesteś szalona - powiedział jej pewnego wieczoru, kiedy pomogła mu opracować nowy scenariusz. - Masz wrodzony talent.

- Wcale nie - odparła.

- Oczywiście, że tak. Dlaczego nie grasz?

Katharine wzruszyła ramionami.

- Uwielbiałam i granie, i scenografię, musiałam więc wybrać.

- Nie pojmuję - powiedział Joe. - To znaczy, twoje projekty są wspaniałe, ale według mnie jesteś taka, jakbyś była jedną z nas.

Katharine lubiła Joego, ale on burzył jej spokój i przestała się z nim widywać po kilku tygodniach. Lubiła wszystkich swoich chłopców. Miała zasadę, że nie spotka się z nikim, kogo natychmiast nie polubi i nie będzie szanować, jednak jej związki nigdy nie trwały dłużej niż kilka miesięcy. Dlatego właśnie Katharine wciąż jeszcze była dziewicą, co niektórych zdumiewało. I chociaż nie hołdowała staroświeckim przekonaniom, że seks przed ślubem jest zabroniony, myślała jednak, że chciałaby pierwszą noc spędzić z mężczyzną, w którym będzie naprawdę zakochana.

Saula Stone'a, studenta reżyserii, spotkała pewnego wrześniowego ranka. Wracała ze sklepu spożywczego, przed pierwszym wykładem tego dnia, i zepsuł jej się samochód. On zatrzymał się, by jej pomóc. Katharine rzuciła jedno spojrzenie na jego czarne włosy, zielone oczy i namiętne, podniecające usta i stwierdziła, że to ten - jeden jedyny. Kolana się pod nią ugięły, zapomniała o wykładzie, zaś jej serce zaśpiewało ze szczęścia. Saul bowiem raz za razem unosił głowę znad maski, aby się jej przyjrzeć. Kiedy poprosił, by dała mu swój numer telefonu, zgodziła się bez wahania. Zadzwoził tego samego wieczora i zaprosił ją na kolację, a ona przyjęła zaproszenie. Delikatnie pocałował ją w usta po odwiezieniu do domu. Katharine była rozdarta między radością, że jest taki wstrzemięźliwy, a strachem, że on nie pragnie jej tak bardzo, jak ona jego.

Jednakże po drugiej randce wiedziała już, że jej strach był bezpodstawny.

- Czekałem na to bardzo długo. - Saul oparł się o lodówkę w maleńkiej kuchence, obserwując ją.

- Naprawdę? - Katharine nie przerywała parzenia kawy, nakazując sobie spokój.

- Sto procent. - Saul zrobił krok w jej stronę, a jego głos upajał ją. - Jesteś najcudowniejszą dziewczyną na uniwersytecie, Katharine.

Zaróżowiła się i uśmiechnęła szeroko.

- Oboje wiemy, że to nieprawda.

Wyciągnął dłoń i pogłaskał ją po włosach.

- To nie grzech przyjąć komplement. W każdym razie mówiłem szczerze.

Zanieśli kawę do pokoju. Na ścianach wisiały plakaty i wszędzie pełno było książek i projektów Katharine. Była zadowolona, że, zanim wyszła, zdążyła złożyć tapczan.

Saul przykucnął, aby lepiej się przyjrzeć jednemu z modeli scenograficznych.

- Podoba mi się - powiedział, prostując się. - Może któregoś dnia popracujemy razem.

- Bardzo bym chciała - odparła ucieszona.

- Ale najpierw rzeczy najważniejsze. - Saul wziął Katharine za rękę, pociągnął ją na tapczan i pocałował. Był to długi pocałunek. Zanim się od niego oderwała, poczuła, że jej ciało płonie.

- Czy wahasz się, ponieważ ci się nie podobało? - zapytał Saul. - Czy dlatego, że ci się podobało? - Nie czekał na jej odpowiedź. - Tak czy inaczej, muszę cię ostrzec, że jeśli wkrótce nie pozwolisz mi się ze sobą kochać, może nie będę zdolny wykrzesać z siebie ani jednej spójnej myśli i będziesz odpowiedzialna za to, że przypadnie dla świata jeden z wielkich reżyserów.

Katharine roześmiała się.

- To nie jest śmieszne - obruszył się Saul i ponownie wziął ją w ramiona.

W następnym tygodniu Katharine zaczęła brać tabletki antykoncepcyjne, a Saul czekał, niecierpliwy niby lew czyhający na zdobycz, póki nie powie, że jest gotowa. Kiedy nadszedł ten wieczór, Saul był jednak uważający i romantyczny - przyniósł jej jedną białą różę i uparł się, że zabierze ją na kolację do najdroższej restauracji, niż mógł sobie na to pozwolić. Nasyceni dobrym jedzeniem i winem, wrócili do jego mieszkania.

Katharine nie rozczarowała się. Saul kochał ją tak cudownie, jak sobie to wyobrażała. Ból - to był pierwszy raz - nie był wielki, jak opisywały to niektóre dziewczęta. Ale Katharine była rozbawiona, ponieważ nie mogła pozbyć się wrażenia, że Saul traktuje rzecz mechanicznie.

- Teraz, Katharine - nakazał jej - rozewrzyj nogi. A po chwili, kiedy pierwszy spazm bólu minął i Katharine zaczęła odczuwać przyjemność, powiedział:

- Nie bój się ruszyć, kochanie... o tak właśnie, wspaniale, och, jak dobrze...

Kochali się tej nocy trzykrotnie, lecz problem polegał na tym, iż za każdym razem, kiedy Katharine właśnie miała osiągnąć orgazm, dziewczyna czuła, jakby odgrywała przed Saulem jakieś przedstawienie, gdyż ten wciąż ją instruował.

- Tak, kochanie, daj mi to.... tak trzymaj... O Chryste, jak cudownie wyglądasz... nie, nie powstrzymuj tego, tak jest doskonale, to jest doskonale... jesteś najlepsza, kochanie, absolutnie najlepsza!

Mimo że Katherine przyjemnie wspominała swój pierwszy raz, to jednak nie była zakochana w Saulu Stonie, i odczuła głębokie rozczarowanie. Ale niczego nie żałowała.

Spotykali się jeszcze potem przez kilka tygodni, choć wiedzieli, że nie jest to wielka miłość, wbrew temu, w co wierzyli wcześniej. Jednak lubili się i szanowali, miło też im było razem spędzać czas. Koniec romansu był teatralny. Katharine weszła na scenę Kresge Theatre, aby przyjrzeć się dekoracjom do „Pięknej Heleny”, i przyłapała Saula w trakcie aktu miłosnego z Królową Heleną na kanapie Menelaosa, przy czym uzupełniał on ten czyn instrukcjami o wiele bardziej obrazowymi niż te, które niegdyś dawał jej. Katharine miała nieporównanie większą ochotę, by wybuchnąć śmiechem niż płaczem.

Kiedy małżeństwo Louisy i Sama skończyło się rozwodem w styczniu 1970 roku, Katharine zrobiła wszystko, by pocieszyć matkę. Ponieważ jednak był to ostatni rok studiów w Carnegie Mellon, nie mogła jej poświęcić tyle czasu, ile chciała. Jak się później okazało, sytuacja ta miała lepsze skutki, niż mogło się wcześniej wydawać, gdyż jedyną bliską Louisie osobą, do której mogła się zwrócić, był jej były mąż.

Byli z Jake'em rozwiedzeni od ponad dziesięciu lat, lecz przez ostatnie pięć ich przyjaźń się zacieśniła, choć ograniczała ją odległość i Sam. Po rozpadzie drugiego małżeństwa Louisa wróciła na stałe do Waszyngtonu i zaczęła spotykać się z Jake'em. Zdała sobie wówczas sprawę, że być może podejrzania Sama dotyczące natury jej związku z Jake'em wcale nie były przesadzone.

Kiedy z okazji dwudziestych pierwszych urodzin Katharine, podczas ferii wiosennych tego roku Jake i Louisa wyprawili przyjęcie na jej cześć w hotelu Shoreham, niemal od początku tego wieczoru stało się dla Katharine jasne, że jej rodzice myślą o pogodzeniu się.

Była to najszczęśliwsza noc w jej życiu. Tańczyła mocno przytulona do Teda Lowella, który był od kilku miesięcy jej chłopcem. Ted był architektem z Filadelfii. Katharine wiedziała, że nie jest w nim zakochana, ale była pod jego urokiem. Teraz jednak oczu nie mogła oderwać od Jake'a i Louisy.

- Czyż nie wyglądają razem cudownie? - zapytała Teda, patrząc, jak rodzice tańczą przytuleni.

- Są piękną parą - przyznał Ted i zaczął nucić.
- Zastanawiam się... - mówiła półgłosem Katharine.
- Nad czym?
- Już nic.

Próbowała myśleć rzeczowo, wmawiała sobie, że to po prostu szczególna noc dla nich wszystkich, prawdopodobnie nic więcej niż bliska przyjaźń, spotęgowana wspomnieniami z dawnych czasów i zbyt dużą ilością wypitego Dom Perignon. Jednak Katharine czuła, jak rośnie w niej serce, pełne nadziei i radości.

Nieco po pierwszej w nocy, Louisa, promieniejąca w swojej miodowej krepdeszynowej sukni od Diora, odciągnęła córkę na bok.

- Kochanie, czy bardzo będzie ci przeszkadzało, jeśli teraz wyjdziemy?

- My?

Katharine zauważyła, jak rumieniec oblewa policzki matki.

- Ty i tata?... - urwała. - Razem?

Louisa roześmiała się.

- Co cię tak dziwi?
- Ach tak? - żartowała sobie Katharine.
- To są insynuacje.
- A czy bezpodstawne?

- Niezupełnie - odparła Louisa i znów się zarumieniła, akurat kiedy przy jej boku pojawił się Jake, niosąc płaszcz.

- Zostawiamy was, młodych, żebyście bawili się tak długo, jak tylko chcecie. Czy mama już ci mówiła? - zapytał. - Nie masz nic przeciwko temu, kochanie?

- Oczywiście, że nie, tatusiu - odparła Katharine i pocałowała go w policzek. - I dziękuję wam obojgu za dzisiejszy wieczór. To było cudowne... wspaniałe przyjęcie.

- Niech cię Bóg błogosławi. - Oczy Jake'a pełne były czułości.

- Odprowadzisz nas, kochanie? - zapytała Louisa.

Stojąc w wejściowych drzwiach hotelu, Katharine zobaczyła, jak oboje odjeżdżają w lincolnie - kabriolecie ojca, mimo że z mamą przyjechały samochodem Louisy. Widziała, w jaki sposób Jake podtrzymał Louise pod ramię, pomagając jej wsiąść do samochodu i jak mama z uśmiechem podniosła na niego wzrok. Katharine, upojona tym widokiem, pobiegła z powrotem do Teda i przyjęła wcześniej przedstawioną przez niego propozycję, by spędzić z nim tę noc. Zgodziła się nie dlatego, że tak bardzo tego pragnęła, lecz na wszelki wypadek, gdyby Jake i Louisa wpadli na pomysł, by pojechać do ich dawnego, wspólnego domu. Katharine chciała mieć pewność, że rodzice, nie licząc dyskretnej pani Murray, cały dom będą mieli dla siebie.

Myśl o tym wypełniła Katharine radosnym optymizmem.

Była za pięć szósta rano, kiedy w pokoju hotelowym zaczął dzwonić telefon. Katharine, zbudziwszy się szybciej niż Ted, przerażona i nieprzytomna, sięgnęła po słuchawkę, żeby go odebrać.

- Halo? - powiedziała, wciąż na wpół śpiąc.
- Katharine? Czy to ty?
- Kto to? - W pokoju było jeszcze ciemno, światło wczesnego poranka nie wdarło się przez ciężkie zasłony. Katharine po omacku szukała włącznika lampki. - Halo?

- Och, Kate...

Dopiero po chwili zorientowała się, że głos po drugiej stronie należy do pani Murray, a po kolejnej sekundzie czy dwu uświadomiła sobie, że ona płacze.

- Pani Murray, co się dzieje? - Usiadła na łóżku wyprostowana jak struna, a Ted, leżący koło niej, poruszył się. - Co się stało?

- Och, moja kochana...

- Pani Murray, proszę mi powiedzieć, co się stało, proszę!

- Tyle godzin próbowałam cię znaleźć. Katharine, musisz wracać do domu.

- Dlaczego?

- Teraz, zaraz. Musisz wracać do domu.

- Co się dzieje? - zapytał Ted, oprzytomniawszy na widok wyrazu jej twarzy. - Kto dzwoni?

Katharine nie była w stanie mu odpowiedzieć. Czowała, jak rośnie w niej strach, od samego dołu, od lodowatych palców stóp. Pełźnie wyżej i wyżej, chwyta ją za żołądek, gardło, twarz i oczy. W tym czasie pani Murray, łkając, powiedziała jej, że na samochód ojca najechał pijany kierowca na Potomac Parkway. Jake i Louisa zginęli na miejscu.

Rozdział 6

Kiedy sześć lat później Sebastian cofnął się myślą do swoich lat szkolnych, począwszy od przedszkola, a skończywszy na studiach uniwersyteckich w Edynburgu, trudno było mu zdecydować, który okres był dla niego najszcześniejszy. Czasy spędzone w Marchmont były, oczywiście, fantastyczne, lecz uświadomił sobie, jak jedyne w swoim rodzaju były doświadczenia życia uniwersyteckiego, od samego początku do końca i smutku pożegnania. To zdobywanie wiedzy, poszerzanie horyzontów, zawieranie nowych przyjaciół - po raz pierwszy od trzynastu lat byli z Jeremym Marinerem rozdzieleni - przewyciężanie trudności, wykorzystywanie własnych możliwości i uświadamianie sobie własnych osiągnięć; wszystko to ciągnęło się jak silna nić, wspólna latom uniwersyteckim, od pierwszego semestru, aż po ostatni spacer od Zamku Edynburskiego, w dół Royal Mile, ku Holyroodhouse. Największym jednak prezentem, jaki ofiarowało mu życie uniwersyteckie, była wolność.

Mimo że w Marchmont też panował względny liberalizm i swoboda, to jednak życie w zamkniętej społeczności sprzyja duchowi współpracy, a to nieuchronnie szkodzi rozwojowi indywidualizmu. Pierwszy rok pobytu w Edynburgu był dla Sebastiana okresem, w którym zdał sobie sprawę z tego, że ma prawo budować swoją niepowtarzalną tożsamość. Czasem wydawało mu się, że jego umysł jest tak chłonny, że jest zdolny przyswoić masę informacji. To stanowiło przepustkę do życia, które wybrał. A jego życie, Sebastian był o tym przekonany, wiązało się z teatrem.

Nie był aktorem, miłością do teatru zaraziła go Diana. Przeciwwagą był jego ojciec, z krytycznym umysłem prawnika i doskonale wyrobioną intuicją biznesmena. Wraz z upływem lat i nieuchronnie zbliżającym się końcem studiów jakaś część umysłu Sebastiana zaczęła coraz poważniej myśleć o dziedzinie, która najbardziej go fascynowała - o prowadzeniu agencji teatralnej.

- Nawet najznakomitszy aktor nie osiągnie nic bez dobrego agenta - powiedziała raz Diana.

Sebastian nie był pewien, czy rzeczywiście pamięta, jak matka mówiła te słowa, czy też cytował je Andrew już po jej śmierci, ale wydawało mu się, że Diana powiedziała więcej:

- Naprawdę dobry agent ma za zadanie nie tylko zapewnić pracę swoim klientom. Musi o nich dbać. Musi znać ich możliwości lepiej niż oni sami, aby w pełni mogli wykorzystać tkwiący w nich talent.

Po skończeniu z wyróżnieniem filologii angielskiej Sebastian oparł się zaproszeniom przyjaciół, by przyłączyć się do egzotycznych podróży po Ameryce, Indiach i Dalekim Wschodzie, i zamiast tego zajął się przygotowywaniem podwalin pod swoją przyszłość. Podczas gdy Andrew wypoczywał w Cap d'Antibes, Sebastian pozostał w Londynie, pracując przy biurku ojca w Dębach, rozwijając swoje pomysły, aż zaczęły one nabierać kształtów. Opracowywał jedną po drugiej strategię działania, póki nie uznał, że obrany kierunek jest tym właściwym.

Jego pierwsze zadanie polegało na zbadaniu tej dziedziny biznesu jako całości, możliwie najdokładniej i najszybciej. Skrupulatnie wybrał i przygotował listę niektórych usług organizacji badającej rynek, po czym dał jej przedstawicielom miesiąc na przedłożenie mu raportu z ich działalności. Kazał przedstawić sobie szczegółowy opis pracy kilku agencji, stwierdziwszy, iż zakres ich usług obejmuje to, czym i on chciałby się zająć. Chciał poznać pole ich działań, dane na temat ich personelu, celów, możliwości, ich mocne i słabe strony. Chciał też pozostać anonimowy. Zlecenie to drogo go kosztowało, była to jednak świetna inwestycja. Przemysłał swoje atuty i zastrzeżenia. Zdawał sobie sprawę, że być może

częściej praktykowaną metodą rozpoczynania kariery jest szukanie pracy w istniejącej już agencji. Z pewnością ktoś mógłby powiedzieć, że pieniądze nie zastąpią doświadczenia. Jednak poprzez kupowanie tego doświadczenia zdobytego przez innych i staranne studiowanie zebranych informacji Sebastian wiedział, że w ciągu kilku miesięcy osiągnie to, na co inni potrzebowali wielu lat pracy. Poza tym wszelkie osobiste zdolności i umiejętności, jakie, być może, posiada, będą mogły działać na korzyść jego klientów i jego samego, a nie pracodawcy.

Zaczynał pełen ideałów, przekonany, że mu się powiedzie. Zobaczył szeroką i dotąd niemal niepokonaną przepaść między agencjami „potworami” a małymi firmami. Najlepsze małe firmy były prowadzone twardą ręką, w ramach skromnego budżetu, zaś na szarym końcu znajdowały się byle jakie, walczące o przetrwanie, nic nieznaczące agencje. Sebastian miał swoją własną wizję, według której agencja powinna być zwartą organizacją, którą jest w stanie kierować grupa utalentowanych, oddanych pracy ludzi. Na liście klientów winni się znaleźć wyłącznie nieliczni artyści, wybrani ze względu na ich wyjątkowość, która będzie działać na korzyść firmy. Na wymarzonej liście Sebastian umieściłby nie więcej niż jedną osobę z każdej kategorii. Znalazłby się na niej jeden aktor filmowy do ról pierwszoplanowych, o mocnej, ustalonej pozycji, jedna aktorka, itd. Każdy z nich stanowiłby stabilną, nieodzowną dla firmy jednostkę, której pozycji nie zagrażałyby sprzeczne interesy czy zawodowa zazdrość, ich funkcje bowiem nigdy by się na siebie nie nakładały.

Sebastian pragnął też znaleźć jakiś nowy talent, wspierać go i pielęgnować, widzieć, jak rośnie i utrwala swoją pozycję. Marzenia Sebastiana na tym się nie kończyły. Miał szersze plany, jeszcze do końca niesprecyzowane. Chciał poszerzyć pole działania firmy o znakomitości w dziedzinie produkcji, tak by z czasem sprzedawać wybitne, wszechstronne talenty branży teatralnej.

Plany te rozrastały się, aż stały się jego obsesją. Sebastian nie mógłby już nawet wyobrazić sobie innej dla siebie przyszłości. Z każdym mijającym dniem na nowo odkrywał, jak

bardzo fascynujący jest przemysł otaczający i wspierający branżę teatralno-filmową. Agent był istotnym elementem tego przemysłu - miał pomagać mu kwitnąć. Sebastian bardzo dobrze zdawał sobie sprawę z tego, jak wiele kontaktów ułatwia mu matka. Dziedzictwo to i jednocześnie znakomita sytuacja finansowa jego rodziny stawiały go w korzystnej sytuacji. Gdyby inny absolwent uniwersytetu, pozbawiony tych sprzyjających czynników, miał podobne projekty, mógłby jedynie zostać posądzony o wybujałą fantazję. Sebastian natomiast czuł, że nikt nie będzie drwił z syna Andrew Locke'a i Diany Lancaster. A nawet gdyby ktoś taki się znalazł, już on by się postarał, żeby przestano go ignorować.

Zaczął angażować się w pracę z ludźmi w branży. Rozmawiał z aktorami, dyrektorami castingu, szukał okazji do rozmów z kierownictwem teatrów, gawędził z ich asystentami i sekretarkami, jadał obiady z ich księgowymi i prawnikami. Wiele oddałby też za to, by móc porozmawiać z samymi przedstawicielami zawodu agenta, musiał się jednak zadowolić długimi rozmowami z Dickie'em Forbesem, agentem matki, obecnie już na emeryturze.

- Jeden z powtarzających się problemów, przysparzających agentów o ból głowy - powiedział mu Forbes - jest nieumiejętność utrzymania artystów, odnoszących sukcesy, przez cały czas kiedy odnoszą sukcesy. Wiele agencji zaskarbia sobie dobrą opinię przez zbudowanie albo podtrzymanie kariery artysty, albo też czasem przez wskrzeszenie jej na nowo. Bardzo niewielu agencjom jednak udaje się połączyć wszystkie te trzy zadania.

„Budujących kariery” stanowiły najczęściej te małe, wygłodniałe firemki, agresywnie walczące o swoich klientów od rana do nocy. Lecz kiedy pierwsze, nawet długotrwałe uniesienie sukcesem przemijało, wdzięczność czasem wygasła. Wtedy artyści dawali się porwać wielkim magikom. Ci z kolei nie mieli wyboru i - zmuszeni mierzyć tryumf obrotem finansowym - często wycofywali się ze swej roli wszechmocnych opiekunów, gdy tylko sława artysty zaczynała przygasać. Sebastian czuł, że istnieje pewna luka i jest zapotrzebowanie na powstanie nowego typu agencji. Musiałaby ona łączyć kompetencję oraz, w idealnej sytuacji, najwyższej ja-

kości profesjonalizm i entuzjazm, finansową stabilizację i uczciwość. Musiałaby być zdolna do wylansowania gwiazd i doprowadzenia do nowych sukcesów, jak i do utrzymania na dobrym poziomie tych dziedzin działania, które będą zarabiać pieniądze, takich jak reklamy telewizyjne. Jednak Sebastian czuł, że czynnikiem decydującym i najważniejszym ze wszystkich było bezwzględne utrzymanie ograniczonego rozmiaru agencji. Jego firma miała być dziełem małym, lecz doskonałym.

Przyjechał do domu z Edynburga pod koniec czerwca 1969 roku, uzbrojony w niewiele ponad garść pomysłów. W ostatni poranek września do teczki ze świńskiej skóry włożył ostateczną, wielokrotnie zmienioną wersję swojego planu. Wsiadł do taksówki, która zawiozła go na Heathrow, gdzie miał wylądować samolot z Nicei z jego ojcem na pokładzie. Andrew przed odlotem zostawił swojego bentleya w garażu koło lotniska, pojechali więc nim teraz do Londynu na obiad, gdzie Sebastian zarezerwował stolik u Scotta. Po prawie ośmiu tygodniach wyczerpania Andrew czuł się zrelaksowany i w doskonałej formie. Był niezmiernie ciekaw, co też znajduje się wewnątrz skoroszytu, leżącego między nimi na stole, obok filiżanek z kawą i kieliszków koniaku.

Sebastian czekał w pełnym dręczącego niepokoju milczeniu, podczas gdy ojciec, z okularami wciśniętymi na czubek nosa, z nieprzenikniętymi oczyma i niewzruszoną twarzą, czytał długi dokument. Na koniec, odłożywszy skoroszyt na stół i zdjęwszy okulary, Andrew popatrzył na syna niebieskimi oczyma pełnymi tak wielkiej radości, że Sebastian ze wzruszeniem zrozumiał, że ojciec jest z niego bardzo dumny.

- Jestem poruszony - spokojnie powiedział Andrew.

Sebastian wciąż milczał.

- Jestem dumny. I po raz pierwszy od wielu lat tak bardzo coś mnie ucieszyło. - Zamilkł na chwilę. - Ale... spodziewałeś się, że będą zastrzeżenia, prawda?

- Oczywiście - Sebastian zapalił papierosa i przygotował się na najgorsze.

- Mam kilka podstawowych wątpliwości. - Andrew napił się koniaku. - Jak sądzę, znam cię dobrze i wiem, że jeśli

w cokolwiek zainwestowałeś tyle czasu, uwagi i pieniędzy, to postanowiłeś się temu poważnie poświęcić.

- Tak jest - powiedział Sebastian.

- To bardzo frapująca propozycja, Sebastianie, ale skąd pewność, że nie jest to tylko przedłużenie twojej nauki akademickiej?

- Wierzę, że stoi za tym o wiele więcej.

Andrew przytaknął.

- Więc pójdźmy o krok dalej. Twoją propozycję czyta się jak opracowanie profesjonalisty, lecz z pewnością u jej podstaw, w samym sednie, wyczuwa duszę rękę idealisty. A tylko stuprocentowy realista byłby w stanie propozycję tę wprowadzić w życie.

- Zgadzam się z tobą, tato.

- Jeszcze nie skończyłem - powiedział Andrew i uśmiechnął się. - Aby zacząć jakikolwiek biznes, który miałby odnieść sukces, trzeba mozolnie pracować. Ale rozhuśtanie właśnie tego biznesu wymaga szczególnego rodzaju sprytu, pokory, agresji i dyplomacji. Oczywiście, nigdy nie byłem agentem, lecz byłem mężem twojej matki przez dziesięć lat i sam pracowałem dla wielu ludzi z tej branży.

- Dlatego właśnie muszę wiedzieć, co o tym myślisz, tato.

- Sebastian uśmiechnął się szeroko. - W każdym razie jest to jeden z powodów.

- Aby być dobrym agentem, trzeba mieć niezachwianą pewność siebie - ciągnął Andrew. - I niesamowity wdzięk. Trzeba mieć nieomyślne oko, które rozpozna talent i intuicję, by umieć ten talent odszukać. No i bezwzględną gotowość do szybkiego przyznania się do błędów.

-Poza tym - kontynuował za ojca Sebastian - aby być agentem, trzeba sprostać wymaganiom koniecznym do uzyskania licencji, znaleźć odpowiednie miejsce na biuro i zatrudnić odpowiedni personel. Trzeba zbudować godne zaufania i uwagi podstawy, tak by uczciwie przyciągnąć artystów...

- urwał, patrząc ojcu prosto w oczy. - No i oczywiście, przede wszystkim, wymaga to poważnej inwestycji.

Andrew odwzajemnił otwarte spojrzenie syna.

- Nie ma rzeczy niemożliwych - powiedział.

Rozdział 7

Po śmierci rodziców Katharine przytłoczyła samotność. Nawet po ich rozwodzie, nawet kiedy wszyscy - ona, Louisa i Jake - mieszkali w różnych miastach, Katharine zawsze wiedziała, że mama i ojciec zrobią dla niej wszystko, że gdzieś są, wystarczy tylko parę godzin jazdy, by się spotkać, gdyby się wzajemnie potrzebowali. Teraz jedyną rodziną, która jej na świecie została, była matka Jake'a, Karen, matka Louisy, Lilian Grahame, w Minneapolis, i wuj Jake'a, Henrik Andersen, w Kopenhadze.

Katharine nie знаła dobrze żadnej ze swoich babć. Przed tą tragedią spotykała Lilian Grahame jedynie z okazji ważniejszych rocznic rodzinnych i na pogrzebie Annie. Zaś Karen Andersen ostatnimi czasy stała się nieobecna myślami i smutna, a towarzysząca jej pielęgniarka, niejaka Gudrun Nielsen - dając wyraz swojemu żalowi - powiedziała Katharine podczas ostatniej wizyty, iż pani Andersen była w lepszej formie, kiedy nie miała do czynienia z głosami z przeszłości, z którą nie umiała już sobie poradzić.

- Czy mam rozumieć, że sądzi pani, iż nie powinnam odwiedzać mojej babci?

- Oczywiście, że nie - pośpiesznie zaprzeczyła pani Nielsen. Choć nie była ubrana w kitel, wydawało się, jakby była wykrochmalona. - Jestem przekonana, że wizyty składane od czasu do czasu bardzo cieszą panią Andersen.

Katharine uśmiechnęła się z przymusem.

- Ale nie powinny być one regularne.

Natomiast swojego wuja nie spotkała jeszcze nigdy, ponieważ Henrik Andersen, jak powiedział jej kiedyś ojciec,

nigdy nie podróżował za granicę. Usłyszawszy o śmierci jej rodziców, wuj Henrik nie przyjechał do Waszyngtonu na podwójny pogrzeb, jednak napisał do Katharine list bardziej wzruszający niż wszystkie poprzednie. Zapraszał ją, z niewątpliwą szczerością, by go odwiedziła. „Możesz u mnie zostać, tak długo, jak tylko zechcesz - pisał Henrik - Na jedną noc. Na rok. Na zawsze”.

Katharine nie czuła się na siłach, by jechać do Danii. Nie potrafiła jednak zostać w Waszyngtonie, ani nawet wrócić do Pittsburgha, by skończyć studia w Carnegie Mellon. Myślała o tym, aby sprzedać dom w Georgetown, posegregować rzeczy należące do Jake'a i Louisy, oraz swoje własne pamiątki, odsunąć ten dokuczliwy ból z drogi i uciec od przeszłości.

- To nie jest mądra decyzja - powiedział Sam Raphael, odwiedzając ją w Waszyngtonie tego lata. Był bardzo przejęty sytuacją. - Mogę zrozumieć, że chcesz sprzedać ten dom. Jednak nie wrócić do Carnegie Mellon to szaleństwo, Katharine.

- Być może - zgodziła się. - Jednak nie zamierzam tam wracać.

- Przecież masz tam przyjaciół, masz swoje życie... życie, którego nigdy nie dzieliłaś z Louisa i Jake'em. Poczujesz się lepiej, kiedy już się tam znajdziesz.

Siedzieli w małym ogródku w Georgetown, na bujanym fotelu ogrodowym, który umieściła tu Louisa, kiedy Annie miała roczek. Louisa uwielbiała tu siadać ze swoimi dwiema córeczkami. Wistaria na altance pokryła się kwieciami, a między rozkwitłymi różami aż roiło się od pszczół. Pani Murray przyniosła dzban lemoniady z lodem i świeżo upieczone ciasteczka migdałowe.

- Nie, nie sądzę, żebym miała się tam poczuć lepiej - odparła Katharine. Poczęstowała Sama ciasteczkiem. - Do tej pory lubiłam być z dala dlatego, że cieszyłam się na przyjazdy do domu albo na odwiedziny mamy i taty. Nie mogłam się doczekać, kiedy ich zobaczę. Carnegie Mellon przypominałoby mi tylko, że już ich tu nie ma, Sam.

- Przynajmniej przez jakiś czas wszędzie będziesz się tak czuła, dokądkolwiek pojedziesz. - Sam bardzo dobrze rozu-

miał jej uczucia. I on pogrążony był w bólu po śmierci Louisy. Nigdy, nawet po rozwodzie, nie przestał jej kochać.

- Z pewnością masz rację. -Katharine westchnęła. - Ale kiedy zacznę robić coś całkiem nowego, może przynajmniej nie będę wspominać ich w każdej minucie, każdego dnia. - Zamilkła na chwilę. - A w Carnegie Mellon nie było mi łatwo...

- Przecież tam nie ma być łatwo. Przeżywają tylko najlepsi, pamiętasz o tym?

- Może nie należę do najlepszych. - Katharine odegnała osę.

- Bzdura.

- Wcale nie, Sam. To i tak był cud, że w ogóle dostałam się do Carnegie Mellon. Oboje o tym wiemy.

- Masz wielki talent.

- Talentów nie brakuje, Sam. Większość, jeśli nie wszyscy moi koledzy ze studiów, prawie od urodzenia wiedziała, co chce robić. Od momentu kiedy usłyszeli o Carnegie Mellon, wiązali z nim swoje plany. Gotowi byli zrobić wszystko, żeby się tam dostać. A wśród nich byłam ja, osoba, która w szkole wciąż miała przeświadczenie, że zostanie aktorką.

- Więc zmieniłaś zdanie - powiedział Sam. -1 co z tego? Wypił już lemoniadę i Katharine naląła mu następną.

- Zawsze domyślałeś się powodów, dla których zmieniłam zdanie, prawda? - zapytała. - Myślałeś, iż zrezygnowałam z aktorstwa, bo w głębi duszy uważałam, że ono było przyczyną, dla której moi rodzice się rozeszli. Może miałeś rację.

- Ale przecież udowodniłaś, że to ty miałaś rację, czyż nie? Dostałaś się do Carnegie Mellon i utrzymałaś się na studiach, podczas gdy inni poodpadali. I twoje projekty są dobre. Nie, są wręcz znakomite.

- Moje prace są niezłe - przyznała. - Pewnie na tyle dobre, że mogłabym zacząć pracę w Nowym Jorku, nawet bez tytułu magistra.

- Ale magisterium zapewni ci wejście na rynek na innym Poziomie - perswadował Sam.

- Niekoniecznie. Trudno jest się przebić, niezależnie od Punktu wyjścia... - urwała. -I szczerze mówiąc, już mi na tym nie zależy, Sam. Już nic nie ma takiego znaczenia jak dawniej.

- To z minie czasem - powiedział łagodnie.

- Ale jestem zbyt wielkim tchórzem, żeby z tym wszystkim walczyć. Jeśli istnieje droga choć odrobinę dla mnie łatwiejsza, to chcę ją znaleźć.

Sam uśmiechnął się.

- Decyzja już zapadła, prawda? Nie wracasz.

- Nie.

- I przenosisz się do Nowego Jorku?

- Wybór wydaje mi się oczywisty, jeśli mam dać sobie zawodową szansę. - Ujęła go za rękę. - Poza tym, mój ulubiony ojczym mieszka w Nowym Jorku, jeden z moich niewielu żyjących członków rodziny.

W oczach Sama odbiło się zadowolenie.

- Chyba powinienem być za to wdzięczny.

- Możesz tego żałować... Będę potrzebowała twojej pomocy, Sam.

- Kiedykolwiek będziesz mnie potrzebowała, kochanie, możesz na mnie liczyć.

Nowy Jork. Był to wybór oczywisty i Katharine czuła, że jedyny. Manhattan również wzbudził wspomnienia. Jednak był tu Broadway i przynajmniej знаła to miasto.

Zamknęła dom, dopełniła formalności, obdarowała panią Murray wszelkim dobytkiem i przeniosła się do najbardziej bezpiecznego mieszkania, w najmniej niebezpiecznej okolicy, jaką udało się jej znaleźć na Manhattanie. Dzielnica Upper East Side, z imponującymi budynkami mieszkalnymi, eleganckimi hotelami i potwornie drogimi galeriami sztuki nie budziła w niej żadnych emocji. Mimo że jej mieszkanie było przestronne, pięknie umeblowane i mieściło się w solidnym budynku z czerwonej cegły, na Osiemdziesiątej Siódmej Ulicy, między Madison a Piątą Aleją, i mimo że był to doskonale utrzymany dom z całodobową portiernią, Katharine zupełnie nie potrafiła sobie wyobrazić, że kiedyś poczuje się tu jak w domu.

- Czy to na pewno jest w twoim stylu? - zapytał Sam Raphael, kiedy po raz pierwszy przyszedł w odwiedziny. Stał w chłodnym i pięknym holu jej mieszkania. - To znaczy, tu jest ślicznie, ale...

- Tu jest doskonale - stanowczo odparła Katharine. - To jest dokładnie to, czego chcę. Mogę iść spacerem do galerii

Met i Frick, do Whitney, a i muzeum Guggenheima jest niedaleko, i...

- I jest bezpiecznie - dokończył za nią Sam.

Chciała dodać, że ma blisko do Central Parku. Jednak nie przyznałaby się Samowi, że tak naprawdę nie miałyby odwagi sama tam pójść na spacer. Odkryła bowiem, że wraz ze śmiercią rodziców opuściła ją cała ufność, odwaga, poczucie bezpieczeństwa. Pamiętała, że kiedyś, dawno temu, w podobny sposób wstrząsnęła nią śmierć Annie. Wtedy jednak miała zaledwie osiem lat i zawsze czuła się w Waszyngtonie bezpieczna, choć i tam czyhało wiele niebezpieczeństw. Ale Nowy Jork przerażał ją. Przerażało ją życie.

Mogę nazwać ten czas moim „okresem tchórzliwym” - pomyślała kwaśno, urządzając swoje nowe mieszkanie - i tylko mieć nadzieję, że nie będzie trwał zbyt długo.

Oczywiście praca okazała się jej wybawieniem. Miała spore portfolio zawierające szkice, złożone modele dekoracji scenicznych i fotografie prac, które zrobiła w Carnegie Mellon. Zabrała się do nawiązywania kontaktów z osobami, którym o niej Sam wspomniał, i zaczęła odwiedzać w mieście wszystkich przedstawicieli kierownictwa produkcji teatralnej, którzy zechcieli ją widzieć. Na samym początku jeden z producentów zdawał się szczególnie zachwycony jej pracą i pomysłami, lecz Katharine zauważyła, że jeszcze bardziej podobają mu się jej gęste, złote włosy, pełne piersi i długie nogi, więc podziękowała mu za zainteresowanie i kontynuowała poszukiwania.

Często ludzie mówili jej, że żyje na zbyt wysokiej stopie i ubiera się zbyt wytwornie, by przekonać kogokolwiek, iż walczy o przetrwanie w roli scenografa. Lecz tak naprawdę Katharine chciała odnaleźć siebie po tragedii na Potomac Parkway, w noc po jej dwudziestych pierwszych urodzinach. Miała głębokie przekonanie, że jeśli ugnie się pod naciskiem tych obcych ludzi, którzy prawdopodobnie zazdroszczą jej tego, co ma, może już nigdy się nie odnaleźć. Od czasu do czasu odwiedzała tych, którzy tak bardzo chcieli ją zmienić, i czasem ich maleńkie mieszkanie - pracownie były przytulne i schludne. Częściej jednak ich łóżka były niepościelone,

a wokół walały się na podłodze skarpety i sterty niepozmywanych, pokrytych pleśnią naczyń. Wówczas Katharine przeproszała ich uprzejmie i uciekała do domu przy Osiemdziesiątej Siódmej Ulicy, do umundurowanego portiera, który uchylał czapki, witając ją po imieniu, i naciskał przycisk w windzie.

To wszystko było częścią jej „okresu tchórzliwego”.

Pierwsza praca Katharine polegała na przygotowaniu jednego zestawu dekoracji do wystawianej w podrzędnym teatryku dwuaktówki, napisanej przez świeżo upieczonego dramaturga. Rzuciła się w wir pracy. Niestety, kiedy sztukę wystawiono, okazało się, że gra aktorska jest jeszcze gorsza od scenariusza i Katharine wątpiła, czy ktokolwiek zwróciłby na dekoracje uwagę, nawet gdyby wyrzeźbiła je w marmurze z Carrary. Jednak Sam Raphael, który dostał się do gwiazdzbioru aktorów telewizyjnych, grając czołową rolę w popularnym, pierwszorzędnym westernie, namówił swojego agenta i dwóch reżyserów, by przyszli na sztukę po to tylko, by popatrzeć na scenografię Katharine. Wiedziała więc, że jej praca nie poszła na marne.

Awansowała do roli scenografa dla lepszych teatrów, choć ciągle poza Broadwayem, projektując dekorację do komedii, a następnie pracując na próbę jako asystentka Burta Brice'a, zdolnego scenografa o ustalonej, dobrej sławie. Niestety, często się sprzeczali, przy czym Brice walczył z nią otwarcie i żywiołowo, zaś Katherine najeżała się i zamykała w sobie, zamiast dać wyraz swojej zranionej dumie i gniewowi. Potem nie miała ofert pracy przez wiele miesięcy. Pewnego wieczora w styczniu 1971 roku Sam zabrał ją do restauracji na kolację. Zauważył, że jest bardziej przygnębiona i samotna niż kiedykolwiek przedtem. Po tygodniu zadzwonił, by oznajmić, że Laszlo Eles, jedna ze sław ostatniego dziesięciolecia, gotów jest się z nią spotkać i ewentualnie zatrudnić na planie swojego przedstawienia, które ma być wystawione w Kennedy Center w Waszyngtonie.

Katharine pojechała pociągiem. Potrzebowała czasu, bała się wracać tam, do domu. Na koniec jednak, po spotkaniu z Elosem i z obiecana pracą, wiedziała już, że podróż do Wa-

szyngeonu była punktem zwrotnym o pozytywnym znaczeniu, gdyż zmusiła ją do zmierzenia się z własnym lękiem. Odwiedziła grób Louisy, Jake'a i Annie, przeszła obok starego domu na skrzyżowaniu ulic Dwudziestej Ósmej i Q. Poszła do szpitala ojca, odwiedziła jego dawny oddział, wdychając woń środków antyseptycznych, którą niegdyś ojciec przynosił ze sobą do domu. I choć czuła straszny, przeszywający ból, wiedziała już, że wbrew wszystkiemu poszła dalej. Przetrwała.

Gdy nadeszła wiosna 1973 roku, Katharine czuła się już lepiej. Asystowała bowiem Laszlo Elesowi w przygotowywaniu sztuki w Morosco Theatre. Stosunki między nią a Elosem układały się znakomicie i Katharine zaczęła się czuć niemal jak rodowita nowojorczanka, scalona z miastem, niemal jak w domu, mając poczucie bezpieczeństwa. Miała teraz przyjaciół, wydawała przyjęcia i jadła obiady poza domem. Z przyjemnością wybierała się na zakupy, a czasami wynajmowała samochód i wyjeżdżała na weekendy za miasto, żeby zwiedzić stan albo pojechać dalej na północ, aż do Nowej Anglii.

I nawet jeśli nie była tak odporna na stresy jak dawniej, czuła, że się odradza. Musiała też przyznać, iż wygląda nieźle, często bowiem zauważała odwracające się za nią głowy, kiedy szła ulicą, wchodziła do sklepu, restauracji, czy teatru. Nie działało się to jedynie dzięki jej atrakcyjnemu wyglądowi - bursztynowym, pełnym ogników oczom i lwiej grzywie o złotych refleksach. Nie sprawiało tego też jej smukłe ciało ani piękna cera. Miała w sobie iskrę. Wracała jej równowaga duchowa i znikał strach przed przyszłością.

Ostatnio chadzała sama ulicami, nawet po zmroku. Spacerowała też po Central Parku, choć nigdy w nocy ani o zmierzchu. Zachodziła tam wczesnym rankiem, często, zanim kupiła gazetę i zjadła śniadanie, kiedy młodzi mężczyźni i kobiety uprawiali jogging, starsi panowie wyprowadzali na spacer psy, wiewiórki szukały pożywienia, łapczywie wypatrując przysmaków, a powietrze było tak świeże, jak tylko było to możliwe w Nowym Jorku. Katharine nie uprawiała regularnie joggingu ani żadnego innego sportu. Czasem Przeplýwała czterdzieści albo pięćdziesiąt razy basen w klu-

bie sportowym, a w lecie trochę grała w tenisa. Jednak zwyczajnym krokiem szła do parku w pobliżu Osiemdziesiątej Piątej Ulicy, maszerowała w stronę jeziora w dresie albo w swetrze i dzinsach, wymachując rękoma, żywo przyglądając się wszystkiemu i wszystkim, wchłaniając kolory, odcienie i kształty, zapamiętując ubiory, twarze, gesty.

Był cudowny poranek pod koniec marca, rześki, słoneczny i pachnący, kiedy Katharine zawróciła do domu, marząc o kawie i jajecznicy. Wtedy na ścieżce przed sobą zobaczyła mężczyznę.

Ubrany był w fioletowy dres i czarne adidasy. Stał pochylony i miał skrzywioną twarz. Przez chwilę Katharine sądziła, że po prostu zabrakło mu tchu i zrobił sobie przerwę. Zaczekała, ale jednak spostrzegła, że bardzo cierpi. Zatrzymała się.

- Przepraszam. Czy nic panu nie jest?

Uniósł głowę. Jęknął.

- Jest pan chory? - zapytała Katharine. - Czy mogę jakoś panu pomóc?

- Usiąść - mruknął z wysiłkiem. Skinął głową w stronę ławki, parę metrów dalej.

- Dobrze - godziła się Katharine.

Objęła go jedną ręką w pasie, ustawiając się odpowiednio, by przejąć ciężar jego ciała.

- Ostrożnie - powiedziała.

Wtem mężczyzna gwałtownie się wyprostował. Zamachnął się prawą ręką i zaciśniętą pięścią mocno uderzył ją w nos.

Katharine krzyknęła. Poczowała ból. Czowała, że krwawi. A mężczyzna dalej bił, tym razem niżej, zadawał brutalne ciosy w żołądek.

- Nie! - krzyknęła jeszcze raz. - Proszę!

Pchnął ją w tył. Upadła na ścieżkę, jęcząc, usiłując rękoma zakryć twarz, zwijając się w kłębek, żeby uchronić się od dalszych razów. Zobaczyła, jak klęknął obok niej. Czowała, jak wkłada rękę w kieszenie jej spodni. Sprawdził każdą po kolei.

- Spadaj, ty dziwko! - usłyszała, jak warknął. Wiedziała, że to dlatego, iż miała przy sobie tylko dziesięć dolarów. Zadrżała i przygotowała się na kolejne ciosy. Wstając, kopnął ją raz w pośladki.

- Proszę! - krzyknęła, wciąż zakrywając twarz. I potem usłyszała jego kroki. Uciekał. Najpierw kilka metrów biegł ścieżką, a potem przez trawnik. Wiedziała, że to już koniec.

Po pewnym czasie, kiedy próbowała się podnieść, znalazło ją dwóch młodych mężczyzn, wyprowadzających swoje spaniele na spacer. Jeden z nich usiadł z nią, trzymał ją za rękę i łagodnie do niej przemawiał, podczas gdy drugi pobiegł do telefonu. Wkrótce przyjechała policja. Pomogli jej wsiąść do karetki, która zabrała ją do Metropolitan Hospital na rogu Ulic Dziewięćdziesiątej Ósmej i Pierwszej. W izbie przyjęć Katharine usiłowała wytłumaczyć, że czuje się dobrze i chce wracać do domu, ale powiedzieli jej, iż ma złamany nos, a ponieważ napastnik bił ją w brzuch, trzeba sprawdzić, czy nie doznała wewnętrznego krwotoku.

Katharine próbowała usiąść, ale kręciło jej się w głowie i drżała na całym ciele. Zaczęła płakać i pielęgniarka zapytała, czy może do kogoś w jej imieniu zadzwonić, ale Katharine nikt nie przychodził do głowy. I dalej płakała, chociaż pogardzała sobą za okazaną słabość. Bo wiedziała przecież, że mogło być o wiele gorzej, mogła zostać zgwałcona albo nawet zamordowana.

- Sukinsyn!
- Co za sukinsyn!
- Gdybym dostał go w swoje ręce...

Sam Raphael przyjechał do szpitala natychmiast po otrzymaniu wiadomości. Po półgodzinie przybył również Laszlo Eles. Obydwaj byli wstrząśnięci wypadkiem Katherine. Eles, niski, szczupły i niezwykle elegancki mężczyzna, o siwych włosach, mówił po węgiersku, w swoim ojczystym języku, wyłącznie w momentach niezwykłego podniecenia. Dopilnował teraz, by Katharine została przewieziona do New York Hospital. Jednocześnie Sam wykonał serię telefonów, dopóki nie załatwił Katherine wizyty u jednego z najlepszych chirurgów Plastycznych w mieście, który miał nastawić jej nos.

- Nie musi pan robić zbyt wiele - powiedział chirurgowi Eles, wyrwawszy słuchawkę z rąk Sama. Telefonowali z pokoju Katherine. - Nos panny Andersen był doskonały. Prosty i ładny, dokładnie taki, jaki nos być powinien.

- Nos Jake'a - dodał Sam i Katharine, głęboko wzruszona, znów wybuchnęła płaczem.

Chirurg nazywał się David Rothman i nawet jeśli ci dwaj panowie, którzy mówili mu, co ma robić, w dużym stopniu go irytowali, nie dał tego w ogóle po sobie poznać. Po prostu słuchał cierpliwie, aż skończą.

- Zdjęcia - powiedział i zwrócił swą uwagę ku Katharine.

- Czy ma pani jakieś zdjęcia, które pokazują pani nos z różnych stron?

Kiwnęła głową.

- Ale były robione kilka lat temu.

- Nic nie szkodzi, muszą tylko pochodzić z okresu, kiedy była pani dorosła.

- Takie właśnie są.

- Czy myśli pani, że jeden z obecnych tu dżentelmenów mógłby pójść do pani domu i je przynieść?

- Ja pójdę - powiedział Sam.

- A czy nie powinieneś być w studiu? - zapytał go Eles.

- Chryste, rzeczywiście. - Sam po raz pierwszy od kilku godzin spojrzął na zegarek.

- Ja mogę pójść - rzekł Węgier. - Jeśli Katharine to nie przeszkadza.

- Oczywiście, że nie. - Spróbowała się uśmiechnąć. - Byłabym niezmiernie wdzięczna, Laszlo.

- Zrobiłbym wszystko dla mojej pięknej asystentki. - Rozpromienił się z radości.

- Doskonale - rzekł Rothman. - Prosiłbym, by spróbował pan wybrać kilka zdjęć, które pokazałyby twarz panny Andersen z przodu i oba profile, jeśli to możliwe.

Począł, aż panowie wyszli, zanim bardzo delikatnie zbadał jej nos jeszcze raz i zrobił parę pomiarów.

- Czy bardzo panią boli?

- Nie bardzo - odparła Katharine, mimo że bolała ją każda część ciała i trudno było stwierdzić, co dokucza jej najbardziej.

- Dam pani coś, co uśmierzy ból. - Uśmiechnął się do niej. - Zdaje się, że przyjaciele są przekonani, iż pani nos pod każdym względem był doskonały. Czy podziela pani tę opinię?

Katharine wzruszyła ramionami.

- Czy będzie pan uważał mnie za próżną, jeśli powiem, że i ja lubiłam swój nos?

Doktor się uśmiechnął.

- Wręcz przeciwnie. Po prostu uznam, że jest pani szczerą, inteligentną i prawdopodobnie niezwykle piękną.

- Chociaż trudno to teraz stwierdzić? - spytała, krzywiąc się. Poglaskał ją po dłoni.

- Wróci pani do zdrowia, zanim się pani obejrzy.

Katharine oparła się o poduszki.

- Nie mogę się doczekać.

Następstwa napadu na Katharine były wielorakie i poważne. Przez kilka pierwszych dni po operacji nosa cierpiała straszne bóle i miała bardzo złe samopoczucie. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła się w lustrze, była wstrząśnięta. Lecz doktor Rothman zapewnił ją, że była to drobna operacja i że ujrzy swoje dawne oblicze już za kilka tygodni. I Katharine mu uwierzyła.

David Rothman był - jak na tak młodego i dobrze prosperującego chirurga - całkowicie pozbawiony arogancji. Przy tym działał na pacjentów kojąco, opiekując się nimi w sposób naturalny i skromny. Katharine musiała również przyznać, że jest przystojnym mężczyzną. Miał gęste, kręcone, ciemne włosy, żywe, łagodne, piwne oczy i delikatne dłonie, które bardzo przypominały dłonie jej ojca. Jego wizyty sprawiały Katharine przyjemność, natomiast kiedy odchodził, czuła się smutna i zdawała sobie sprawę, że nikomu obcemu nie ufała tak jak jemu. Nie tylko ona go podziwiała. Niejedną pielęgniarka podkochiwała się w przystojnym lekarzu.

- Gdyby doktor Rothman powiedział mi, że powinnam zrobić operację na jakiegokolwiek części ciała, począwszy od czaszki, a skończywszy na pupie - jedna z nich zwierzała się Katharine pewnego popołudnia - myślę, że poszłabym za nim prosto na salę operacyjną i położyła się na stole.

- Ja chyba nie posunęłabym się tak daleko - śmiała się Katharine. - Ale rzeczywiście wygląda na miłego człowieka.

- Wspaniały, bogaty, cudowny i... miły też. - Pielęgniarka mrugnęła do niej. - Same zalety, a do tego jeszcze kawaler.

Przysłano do niej psychoterapeutkę, z którą Katharine miała omówić emocje związane z napadem. Dziewczyna czuła się jednak w tak dziwny sposób opanowana, że uprzejmie, acz stanowczo, odmówiła rozmowy z psychologiem. Katharine zdawało się, iż to tragiczne wydarzenie, a przynajmniej to, co po nim nastąpiło, niespodziewanie miało na nią leczniczy wpływ.

- Jak, do cholery, mogło to podziałać na ciebie terapeutycznie? - pytał Sam, kiedy przyszedł w odwiedziny. - Podobało ci się to, że zmasakrowano ci twarz?

- Nie - Katharine próbowała wytłumaczyć mu, co czuje. - Ale, po pierwsze, często miałam siebie za tchórza, można by więc sądzić, że coś takiego powinno jeszcze bardziej mnie przerazić.

- A nie było tak?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Może dlatego, iż zdarzyło się to, co najgorsze albo prawie najgorsze. Jednak wciąż tu jestem, mniej więcej w całości... - przerwała. - I jeszcze jedno. Ten ostatni tydzień udowodnił mi, że wcale nie jestem taka samotna, jak myślałam.

- Powiedziałbym ci to, gdybyś mnie zapytała - odparł Sam. - Byłoby to o wiele mniej bolesne niż przeżycie napadu.

- Nie jestem pewna, czy bym ci uwierzyła. - Katharine na chwilę spoważniała, przypominając sobie ostatnie wydarzenie. - Kiedy byłam na sali przyjęć, tuż po wypadku, ktoś zapytał, do kogo mają zadzwonić i przez chwilę nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Nie pomyślałaś o mnie od razu? - zapytał Sam.

- Oczywiście, że tak, Sam. Ale miałam kompletny chaos w głowie, byłam skołowana. Właśnie miałam podać im twoje nazwisko, ale zaraz pomyślałam: nie, pytają o krewnego, o męża. A ja nikogo nie mam, oprócz moich babć. Nie chciałam jednak, żeby po raz kolejny dzwoniło do nich ze szpitala.

- A teraz?

- Zdałam sobie sprawę, naprawdę po raz pierwszy zrozumiałam, że nawet bez rodziców nie jestem sama. Mam ciebie, no i oczywiście, László. Był wspaniały.

- Eles bardzo cię lubi.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się. - ...I różni ludzie wpadali do mnie w odwiedziny. Moja babcia przyjechała z Long Island.

Kiedy już sama mogłam zadzwonić, pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli ją zawiadomię. Karen jest wspaniałą starszą damą- Zostawiła na dole swojego szofera i kazała mu czekać przez cały czas wizyty, przy czym dopilnowała, by wszyscy się o tym dowiedzieli.

Przyszli też inni: Rosy Krantz, którą Katherine spotkała w Gristede's i z którą czasami jadała obiady, kilku aktorów i innych ludzi teatru, z którymi pracowała. Odwiedził ją nawet Ike Sherman, portier budynku, w którym mieszkała. Jej pokój wypełnił się kwiatami i kartkami. I chociaż jej nos wciąż był zabandażowany, a brzuch ciągle poobijany i obolały, Katharine poczuła, że życie jest piękne.

Powrót do domu był trudniejszy. Sam zabrał ją ze szpitala i odwiózł do mieszkania. Przedtem wypełnił lodówkę. Zaś Laszlo przepięknie pomalował kawałek jedwabiu i powiedział, że może on służyć za przykrycie na łóżko albo jako kimono do noszenia po domu. Nadszedł jednak moment, kiedy została sama, i po raz pierwszy od napadu Katharine poczuła, że lęki wracają. Trzykrotnie sprawdziła zamki w drzwiach, zasłoniła okna natychmiast, gdy zapadł zmrok, i włączyła telewizory w sypialni, salonie i kuchni, aby dotrzymywały jej towarzystwa.

Tego wieczora, tuż po dziesiątej, przyszedł David Rothman.

- Wiem, że wpierw powinienem był zadzwonić - powiedział. - Wpuścił mnie portier, pracujący na nocną zmianę.

- W szpitalu nigdy nie dzwoniłeś. -Katharine jeszcze nigdy nie była taka szczęśliwa.

- Przyniosłem coś. - W rękach trzymał torbę lekarską i reklamówkę z szarego papieru z zakupami.

- Co to? Bandaże? - zaczerwieniła się trochę, nagle niepełna, jak ma się do niego zwracać.

- Chińskie jedzenie i coś do popicia. - Zawahał się. - Pewnie już jadłaś, ale ja nie miałem czasu. Pomyślałem, że coś przekąszę, zanim złożę dziś ostatnią wizytę domową.

- Czy chirurdzy składają domowe wizyty?

- Czasami. Naprawdę umieram z głodu. Mam nadzieję, że me będę ci przeszkadzał.

Katharine nie za bardzo wierzyła w te wizyty domowe, ale cieszyła się, że go widzi. Usiedli na dywanie przed komin-

kiem, bo wieczór był chłodny. Porozstawiali naczynia na niskim stoliczku do kawy. Katharine nic wcześniej nie jadła, ale teraz poczuła nagle, że umiera z głodu. Jeszcze nigdy nie tak jej nie smakowało, jak te gotowane żeberka, bułki z jajkiem i naleśniki z nadzieniem z kaczki.

A David Rothman był najlepszym kompanem na świecie.

Kiedy Katharine po raz ostatni przyszła na oddział, powiedział jej, co do niej czuje. Niewiele czasu potrzebował, by odkryć, że Katharine Andersen jest wyjątkowa. W pewnym stopniu do tego odkrycia przyczyniła się żywa, wzruszająca troska Sama Raphaela i Laszlo Elesy, dwóch dystyngowanych panów, z których żaden nie był jej kochankiem.

Dwa dni po ich ostatnim spotkaniu David zaprosił Katharine na obiad w La Cote Basque.

- Czy na zawsze mnie znienawidzisz, jeśli powiem, co poczułem pierwszego dnia, kiedy cię zobaczyłem? - zaczął, gdy zasiedli na jednej z wygodnych, czerwonych ław. - Wbrew nakazom rozsądku i profesjonalizmu, poczułem wielką ulgę, kiedy okazało się, że nie masz męża ani narzeczonego.

- Nie mogłabym się na ciebie gniewać.

Po raz pierwszy od wielu tygodni Katharine była zadowolona ze swego wyglądu. Nie wyglądała jednak na przekonaną.

- Ale nie jestem pewna, czy ci wierzę.

- Uwierz mi, tak było. Wtedy właśnie to poczułem.

Katharine wiedziała, że Rothmanowi zależy na niej nie tylko z powodów profesjonalnych. Tamta złożona z chińskich dań kolacja, którą jej przyniósł, nie była ostatnia. Od tamtego czasu wiele razy ją „tak, przy okazji” odwiedził. Zazwyczaj przynosił ze sobą precle albo rogałe, jeśli był to ranek, dania chińskie czy nawet termos zupy domowej, wieczorem. Za każdym razem oglądał jej nos i twarz i pytał, czy cierpi na jakieś inne dolegliwości. Poza tym jednak nigdy jej nie dotknął, nie zadał pytania natury osobistej, nie wspominając już o sprawach intymnych. Był żywo zainteresowany, nawet zafascynowany jej pracą. Powiedział jej, że sam zna wielu aktorów, reżyserów i pisarzy, lecz nigdy wcześniej nie spotkał scenografa. Długo i z namysłem przyglądał się jej modelom,

starannie wykonanym, maleńkim miniaturom pokoi, ogrodów, scenek ulicznych, na których ustawione były śliczne, ma-
lutkie figurki. Większość tych projektów nigdy miała nie za-
istnieć na scenie. Uważnie słuchał, patrząc czułym wzrokiem
na Katharine, kiedy opisywała, co czuła, gdy projektowała
scenografię. Jak bardzo ciekawa była praca ze stolarzami
i malarzami; jak wiele radości czerpała z dyskusji na temat
mebli do salonu z pracownikiem technicznym; jak porażająca
była chwila, kiedy praca została skończona, i Katharine na
premierze stała za kulisami, patrząc, jak jej dekoracje stano-
wią jedność ze spektaklem teatralnym.

- Chciałbym ci coś wyznać - powiedział do niej w restau-
racji David Rothman. - Już tamtego pierwszego dnia zako-
chałem się w tobie.

- Och... - powiedziała Katharine, utkwivszy wzrok w kie-
liszku martini.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

- Nie - odparła. Naraz gwałtownie uświadomiła sobie, że
siedzą bardzo blisko siebie i że David nie dotknął jej ani ra-
zu od momentu, kiedy otarł się o jej ramię, gdy podchodzili
do stołu. - Nie wiem, co powiedzieć.

- Wszystko w porządku - odparł. - Daje mi to więcej cza-
su na wytłumaczenie tego, co czuję. - Zajrzał jej w oczy. -
Czy uwierzysz mi, jeśli przysięgnę, że nigdy wcześniej mi się
to nie przytrafiło, że nigdy wcześniej nie zakochałem się
w pacjentce, na sali przyjęć ani nigdzie indziej... w rzeczy
samej...?

- Tak - odpowiedziała Katharine. Uświadomiła sobie, jak
bardzo pragnie, by jej dotknął.

- Wtedy, w tamtej chwili, nie wiedziałem jeszcze, że to
miłość - ciągnął Rothman. Był najwyraźniej wzburzony. - Po
pierwsze, byłem twoim lekarzem. Miałem cię leczyć. Wyle-
czenie było zadaniem daleko ważniejszym niż wszystko.

- Dziękuję.

Katharine wiedziała, że to niewłaściwa odpowiedź, ale
właśnie tylko to słowo przyszło jej do głowy i miała dość od-
wagi, by je głośno wypowiedzieć. Oczywiście myśli kołatały
jej się po głowie. Czuła się bardzo szczęśliwa, słysząc to, co

właśnie powiedział. Potem pomyślała, że spotkanie Davida jest czymś najlepszym, co dotychczas zdarzyło jej się w życiu. Jednak myśli te wydały się zbyt bezpośrednie, zbyt spontaniczne, by je wypowiedzieć.

- Wszystko było w porządku, póki byłeś w szpitalu - powiedział, zniżywszy głos. - Nie sprawiało mi wiele trudu utrzymanie między nami typowego układu między lekarzem a pacjentem. Ale kiedy wyszłaś ze szpitala, było mi trudno to znieść.

- Nieźle dawałeś sobie radę - powiedziała Katharine. David zamrugał oczyma.

- To wszystko brzmi, jakbym był jakimś uwodzicielem, który z nadzieją czeka stosownej do ataku chwili... O Boże, chyba w pewnym sensie tak właśnie było.

- Nie, nie powiedziałabym. - Uśmiechnęła się łagodnie. - Chociaż muszę przyznać, że nigdy nie widziałam, żeby lekarz przynosił tyle jedzenia na swoje wizyty domowe.

David Rothman odpowiedział uśmiechem.

- Jestem łakomym chirurgiem.

Chociaż Katharine wcześniej domyślała się, że David coś do niej czuje, dotąd nie przyszło jej nawet do głowy, iż może to być miłość. Nie pomyślała też, że i ona mogłaby się w nim zakochać. Miała świadomość, że David ją pociąga, lecz często słyszała o nawet zupełnie dojrzałych kobietach, które zakochiwały się w swoich lekarzach, a szczególnie w chirurgach. Prawdopodobnie miało to coś wspólnego z siłą i umiejętnościami lekarzy. Najbardziej ze wszystkich właśnie chirurdzy plastyczni wzbudzali tak silne uczucie wdzięczności, że łatwo było je wziąć za miłość. Z pewnością jednak ona, córka chirurga, powinna bez trudu te uczucia rozróżnić.

Teraz, kiedy oficjalny układ między nimi się skończył, David całkiem zawrócił Katharine w głowie. Nie знаła nikogo, kto pracowałby tak ciężko - może oprócz Jake'a. Mimo to David potrafił wygospodarować dla niej czas. Przy każdej okazji zabierał ją w coraz to nowe miejsca. Oboje lubili jeść, więc często odwiedzali znane restauracje. Bywali w Plaża, Stanhope, w Chinatown, w Central Parku. Zdarzało im się

jeść nawet w łóżku. Przepyszne obiady spożywali w Four Seasons, Russian Tea Room, Tavern on the Green, w Stage Delicatessen; jedli hot dogi z preclami w Central Park Zoo. Kolację zjadali u Sardiego, w Rainbow Room, Bitter End w Village, w La Grenouille, w The Palm i Elaine's, w jadalni Davida, na podłodze w salonie u Katharine. Przynajmniej raz w tygodniu szli do teatru, odwiedzali muzea i galerie, razem robili zakupy, chodzili na pływalnię i do dyskoteki.

Oświadczył się Katharine po sześciu tygodniach znajomości. Miasto było potwornie gorące i przesycone wilgocią i David zaproponował, by na pokładzie jednego ze statków, opływających Manhattan, zjedli kolację. Spędzili radosny wieczór. Jedzenie było niespecjalne, lecz atmosfera uroczysta. Katharine i David chwilę potańczyli, po czym wyszli na pokład, by nacieszyć się chłodnym wiatrem i popatrzeć na rzekę.

- Jest tak pięknie - zamruczała Katharine, opierając się o niego. Jej włosy niesfornie powiewały wokół jej głowy.

- Dokładnie tak jak trzeba - odparł David i zamilkł.

- Co się dzieje? - zapytała po chwili, podniósłszy na niego wzrok. - Myślam, jesteś daleko.

- Nawet bardzo jestem z tobą... - urwał. - Myślę, że bardziej, niż przypuszczasz.

- Powiedz - ponagliła go cicho.

David powoli pokiwał głową.

- Dobrze więc. Mam trzydzieści dwa lata. Nigdy nie byłem żonaty, choć mieszkalem z dziewczyną przez ponad trzy lata, kiedy studiowaliśmy na akademii medycznej.

- Mówiłeś mi o niej - powiedziała Katharine - o Joannie.

Przeżyliśmy wspaniałe chwile i zależało nam na sobie, ale oboje wiedzieliśmy, że nie jest to związek na stałe. I mieliśmy zbyt wiele planów, aby już wtedy się ustatkować.

Znów przerwał, podczas gdy kilkunastoosobowa grupa turystów przecisnęła się obok nich, głośno się śmiejąc i rozmawiając.

- Chodzi o to, Katharine, że ja nie chcę po prostu z tobą mieszkać. Ja chcę cię poślubić. Ale nie wiem, co ty o tym myślisz. - Odetchnął głęboko. - Nie wiem nawet, co do mnie czujesz.

Zaskoczona Katharine nie odpowiedziała. Zupełnie nie była na to przygotowana. Poczła się oszołomiona. Podniosła wzrok i zobaczyła, że statek płynie równolegle do Empire State Building. Uświadomiła sobie, że nikt nigdy nie oświadczył jej się w bardziej romantyczny i czuły sposób.

- Nie wiem, co powiedzieć - zaczęła. Wiedziała, że coś powiedzieć musi, zanim David pomyśli, że z przerażenia odjęło jej mowę.

- Zaczynj od tego, co do mnie czujesz - łagodnie zasugerował David.

- To jest łatwe. Kocham cię.

- Bogu dzięki. - David ujął jej dłoń, a czując, że jest zimna, uściskał ją. - A więc, co sprawia ci trudność?

- Ta część dotycząca małżeństwa.

- Aha. - David wciąż trzymał ją za rękę. - W porządku.

- Nie - odparła szybko Katharine. - To nie jest w porządku. To nie jest takie proste.

- Więc powiedz mi, jakie jest.

Ktoś nieostrożnie wyrzucił niedopałek papierosa przez burzę, który przeleciał tuż obok policzka Katharine. David, szybszy od niej, pociągnął ją do tyłu.

- Cholerni idioci! - powiedział gniewnie.

- Nie dotknął mnie.

- Mógł uderzyć cię w oko. - David przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Nigdy nie mieszkałam z mężczyzną - powiedziała Katharine i nagle wiedziała, co czuje, i pragnęła być z nim szczerą.

- Naprawdę cię kocham i tak wspólnie jest nam razem, że aż nie mogę uwierzyć we własne szczęście. Ale ja... - zawahała się - boję się małżeństwa.

- Dlaczego?

- Nie wiem. - Zamilkła na chwilę. - Naprawdę.

- Czy sądzisz, że to ma coś wspólnego z twoimi rodzicami?

- Chyba tak - odparła bez wahania. - Obawiam się być w stałym związku. Boję się bólu rozstania.

- Nie zranię cię. - David gwałtownie pokręcił głową. - To niemądre tak mówić, prawda? Przecież nie mogę być pewien, że nigdy cię nie zawiodę.

Katharine uśmiechnęła się.

- Jestem pewna, że nie jesteś zdolny do zadawania bólu, gdybyś nawet chciał - odparła. - Mój ojciec nie miał zamiaru ranić mojej mamy i wiem, że ona też nie chciała krzywdzić ojca ani Sama. Ale właśnie to robili.

- Czy nie warto podjąć tego ryzyka? - zapytał David z nadzieją.

- Jestem pewna, że tak - odpowiedziała Katharine. - Kiedy się wie. Kiedy ma się naprawdę absolutną pewność, bez cienia wątpliwości. - Zajrzała mu w oczy, zobaczyła, jak bardzo były dobre i spokojne. - Albo kiedy się wie, że nie można żyć bez tej drugiej osoby.

- Wszystkim się to zdarza - powiedział David, usiłując ukryć, że te słowa go zraniły. - Myślę, że będzie lepiej, jeśli poczekamy, aż będziesz pewna. W przeciwnym razie nigdy nie będę miał tej szansy. - Uniósł jej dłoń i ucałował. - Myślisz, że mogłabyś być ze mną?

Katharine uśmiechnęła się lekko.

- Davidzie, kto ma ją mieć jak nie ty.

Wciąż ostrożna, lecz świadoma, że odmowa zrazi Davida i może go stracić, Katharine wprowadziła się do niego w połowie lipca. Miał obszerne mieszkanie na najwyższym piętrze, w pobliżu Gracie Mansion, z ogromnymi oknami, pięknym widokiem na East River, oraz bogatą kolekcją współczesnej sztuki amerykańskiej. David był człowiekiem wrażliwym i znakomicie rozumiał kobiety, ale jego mieszkanie jednak było urządzone po spartańsku.

- Chciałbym, żebyś wszystko tu zmieniała - zaproponował Katharine.

- Nie mogę - odparła.

- Proszę cię. To jest teraz również twój dom.

Wiedział, że Katharine ma zbyt wiele szacunku do jego gustu, by cokolwiek w mieszkaniu zmieniać. - Jedyne pokój, do którego jestem bardzo przywiązany, to mój gabinet. W innych pokojach przydałoby się wprowadzić zmiany. Chciałbym, żebyś to zrobiła.

- Pomyślę o tym - obiecała Katharine.

Jednak zmieniała wystrój sypialni - zamówiła nowe zasłony, narzutę na łóżko i wykładzinę. David zapytał, czy wolałaby

przenieść się do innego mieszkania. Kathanne wzruszyła jego miłość, opiekuńczość i chęć uczynienia jej szczęśliwą, jednak wiedziała, że decyzja o przeprowadzce to prawie zobowiązanie do poślubienia Davida, a na to nie była przygotowana.

Było im ze sobą wspaniale. David wiedział, że Katharine potrzebuje pracowni, zdawał sobie jednak sprawę z tego, że ona nie zdobędzie się na to, by przystosować jedno z pomieszczeń w mieszkaniu do swoich potrzeb. Więc kiedy Katharine wyjechała na kilka tygodni do Filadelfii, wezwał dwóch robotników, którzy wyremontowali dwa nieużywane pokoje. W ten sposób Katharine stanęła przed koniecznością zaprojektowania nowego pomieszczenia według własnego pomysłu. Teraz, kiedy już miała swoją pracownię, czuła się znacznie swobodniej. Już dawniej odczuwane pragnienie, by stworzyć mu dom, spotęgowało się. Katharine doskonale wiedziała, jak trzeba dbać o mężczyznę. Wspominała dawne czasy w Georgetown, jeszcze przed chorobą Annie, kiedy mama była szczęśliwą, dobrą żoną i partnerką Jake'a. Pamiętała też, jak strasznie cierpiał jej ojciec przez te wszystkie smutne, ponure lata, które nastąpiły później, kiedy nastąpił koniec ich małżeństwa.

- Zawód chirurga jest ważny - Katharine próbowała tłumaczyć Laszlo. Przyszedł obejrzeć jej nową pracownię i zmobilizować ją do poświęcania więcej czasu projektom scenograficznym niż opiece nad Davidem. - O wiele ważniejszy niż zawód scenografa.

- Bzdura, *kedves* - odparł Laszlo.

- Jak możesz tak mówić?

- To łatwe. Więcej osób odwiedza teatry niż gabinety chirurgów plastycznych, musisz się z tym zgodzić.

- Nie chcę tego słuchać.

- Musisz to przyjąć do wiadomości - dowodził Laszlo. - Dbamy o rozwój duchowy ludzi. Nasz zawód, nasze rzemiosło jest równie ważne... Cały ten mit o wielkości chirurgów... To przesada, Katharine, cokolwiek byś mówiła.

- Ale David taki nie jest - przekonywała. - On wcale nie twierdzi, że jest lepszy. Uważa, że moja praca jest bardzo ważna.

- Więc dlaczego ty tak nie myślisz?
- Ależ mylisz się!
- Więc dlaczego pół życia spędzasz na gotowaniu, robieniu zakupów, odbieraniu jego ubrań z pralni chemicznej... - Laszlo z wściekłością potrząsnął głową. - ...zamiast tworzyć w tej pięknej pracowni?
- Bo on nie ma czasu.
- A ty masz. - Laszlo spiorunował ją wzrokiem. - No właśnie.

David rzadko brał urlop, lecz odkąd Katharine z nim zamieszkała, uparł się, że wynajmą dom w Sag Harbor. Mogliby uciekać w lecie z rozżarzonego upałem miasta, kiedy tylko zechcą.

- Co ty na to? - zapytał, kiedy pokazał jej dom po raz pierwszy.

- Jest cudowny. - Katharine spojrzała na werandę, z białobłękitną markizą; na kremowe ściany i dywany, zaścielające cały dom; na kwieciste kretony i meble z epoki wczesnoamerykańskiej. - Jak tu pięknie. Wydaje się, jakby nikt inny nigdy tutaj nie mieszkał.

- Miałem nadzieję, że ci się spodoba - powiedział David. - Ale nie chcę, żebyś myślała, że to *fait accompli*. Jeśli chciałabyś zobaczyć inne domy, zanim podpiszemy umowę, nie mam nic przeciwko temu.

Katharine uśmiechnęła się, wzruszona jego troskliwością.

- Przecież tu jest pięknie, kochanie. Poza tym, wynajmujemy go tylko na lato, ale ja już teraz czuję, że mogłabym tu zostać na zawsze.

- Jeśli będzie ci tu dobrze, moglibyśmy podpisać umowę jeszcze na następny rok.

Roześmiała się.

- Lepiej poczekajmy. Nigdy nie można być niczego pewnym. Zobaczmy, jak się tu mieszka. Potem podejmiemy decyzję.

Katharine szybko przekonała się, że to jej miejsce na ziemi. Cudownie było mieć u stóp ocean. Odwiedzała babcię, która ostatnio niedomagała. Przyjemnie spędzała czas z zaprzyjaźnionymi sąsiadami, żeglowała, a czasem łowiła ryby.

Gdy przyjeżdżał David w weekendy, było jeszcze weselej. Robili barbecue w ogrodzie z tyłu domu, pływali w oceanie albo w basenie, często kochali się, wyłączwszy uprzednio telefon.

Katharine została na Long Island przez prawie cały sierpień. Była szczęśliwa, że nie musi wracać do rozżarzonego upałem miasta. Żyli tak, jak wiele małżeństw w Hamptons. David wracał do miasta w niedzielne wieczory, przedzierając się przez ruch uliczny.

Za bardzo mi to przypomina małżeństwo - uświadomiła sobie Katharine. Próbowwała zerwać z miłą stagnacją - jak tę sytuację oceniała - i gdy nadszedł wrzesień, znów rzuciła się w wir pracy, starając się być taką, jakiej potrzebował i pragnął David, jednocześnie nie przestając być sobą.

To właśnie było trudne. Życie z Davidem było warte wszelkich wyrzeczeń i żadna kobieta nie mogłaby żądać więcej. Trzeba pracować nad każdym związkiem, żeby był udany. Katharine wiedziała, że to bardzo trudne.

Jednak wydawało się, że David jest szczęśliwy. Lubił swoją pracę, jego sława chirurga rosła i kochał Katharine. Gdyby tylko zgodziła się zostać jego żoną... Pragnął mieć z nią dzieci.

- Jeszcze nie teraz - mówiła za każdym razem, kiedy poruszał ten temat w rozmowie. - Nasze życie jest wspaniałe. Nie zepsuj tego. Czy aż tak bardzo zależy ci na ślubie, najdroższy?

- Oczywiście, że nie - odpowiadał i starał się cieszyć tym, co miał.

Zresztą Katharine miała zaledwie dwadzieścia cztery lata - o czym często mu przypominała - i mieli jeszcze dużo czasu.

Rozdział 8

Pięć linijek tekstu na stronie tytułowej w „Daily Express” i artykuł w „The Stage” doniosły o pierwszym oficjalnym dniu pracy firmy Locke Artists, piątego stycznia 1970 roku. Sebastian wynajął biuro z trzema pomieszczeniami, na pierwszym piętrze ekskluzywnego budynku przy Albermarle Street, niedaleko od tylnego wejścia do Asprey. Miał centralkę z trzema liniami telefonicznymi, sekretarkę Caroline, ale ani jednego klienta.

Od wpół do dziesiątej telefon był bez przerwy zajęty. Dzwonili głównie bezrobotni artyści. Dobijały się też firmy, które miały nadzieję sprzedać Sebastianowi artykuły papiernicze, wyposażenie biurowe, ubezpieczenie lub miejsce na reklamę. Kiedy w południe Caroline powiedziała mu, że Jeremy Mariner czeka na połączenie, Sebastian był zdziwiony i uszczęśliwiony.

- Na miłość boską, gdzie jesteś? - Nie widzieli się od trzech lat, ponieważ od 1967 roku Jeremy przebywał w Nowym Jorku.

- W Londynie.

- Kiedy przyjechałeś? Odwiedzasz kogoś czy masz zamiar zostać na stałe?

- Chyba zabawię tu dłużej.

- Żartujesz?

- To zależy od ciebie.

- Dlaczego? - Sebastian nie dokończył rozmowy. - Czy mógłbym zadzwonić do ciebie później, Jerry? Koś usiłuje się ze mną połączyć, a ja chciałbym z tobą dłużej pogadać.

- Muszę cię koniecznie zobaczyć.
- Ja też chcę się z tobą spotkać, ale musimy umówić się później.
- To nie może czekać, Seb.
- Jak to?
- Czy możesz spotkać się ze mną dziś wieczorem?
- Jestem zavalony pracą. To pierwszy dzień działalności firmy.

- Ale ja muszę pilnie z tobą porozmawiać.

Sebastian usłyszał naleganie w głosie starego przyjaciela.

- Oczywiście - powiedział. - Gdzie i o której?

Spotkali się u Ritza o dziesiątej. Jeremy zajął stolik w rogu, w Palm Court. Wstał, spostrzegłszy wchodzącego po schodach Sebastiana. Zobaczył, jak bardzo, i jednocześnie jak niewiele przyjaciel się zmienił i uświadomił sobie, że od lat nie ucieszył się na czyjś widok tak bardzo.

O Boże, jak dobrze cię widzieć!

Ciebie też.

Uścisnęli dłonie, uśmiechnęli się i objęli, po czym usiedli i zamówili szampana. Sebastian obserwował Jeremy'ego, jak rozmawia z kelnerem i pomyślał, że Nowy Jork dokonał przemiany, która zaczęła się u przyjaciela wiele lat wcześniej. Ten interesujący chłopiec stał się fascynującym młodym mężczyzną. Jeremy, niegdyś niepozorny nastolatek, teraz był smukły, miał pociągłe rysy twarzy. Włosy dość długie były doskonale ostrzyżone. W garniturze wyglądał elegancko i statecznie.

- Mój ojciec zmarł dwa tygodnie temu - nagle odezwał się. Sebastian był zaskoczony.

- Przykro mi... Nic nie wiedziałem.
- Skąd mogłeś wiedzieć?
- Co się stało? Czy był chory?
- Na serce. Matka zadzwoniła do mnie godzinę po tym, jak przyjęli go do szpitala. Umarł wkrótce po moim przyjeździe.
- Szkoda, że nie powiedziałeś mi o tym wcześniej - spokojnie powiedział Sebastian. - Ale może teraz mógłbym coś dla ciebie zrobić.

Jeremy lekko wzruszył ramionami.

- W niczym nie możesz mi pomóc. Pogrzeb i cały ten zgiełek skończyły się po kilku dniach. A potem wszedłem w konflikt z matką.

- Jak ona się miewa?

- Nieźle, zważywszy na jej sytuację. - Przerwał. - Jedzie do Ameryki Południowej.

- Nie mówisz poważnie.

Jeremy uśmiechnął się.

- Sam w to nie mogłem uwierzyć. Ale to prawda. Annabel Mariner, najbardziej angielska z róż, pakuje się i odlatuje do Buenos Aires.

- Sama?

- Pewnie ma przyjaciół. - Znów wzruszył ramionami. - Zawsze bardzo nienawidziła wsi. Chce wyjechać możliwie najdalej stąd.

- Ale zawsze kochała Londyn, prawda?

- Kiedy miała ojca. Ale teraz mówi, że nie chce wspomnień. Naprawdę kochała staruszka, muszę jej to oddać. Mówi, że Buenos Aires to jedno z najwspanialszych miast na świecie. Więc wyjeżdża.

- A co z majątkiem?

- Wszystko ma być sprzedane - odpowiedział Jeremy. - A propos, to przypomina mi o celu naszego spotkania. - Wziął do ręki kieliszek szampana. - Nie skontaktowałem się z tobą wcześniej, ponieważ chciałem, żeby to wszystko było już ustalone, zanim się spotkamy. I kiedy dziś rano zobaczyłem notatkę Williama Hickeya, to... jakbym dostał w łeb.

Sebastian nie odpowiadał. Czekał, zaintrygowany.

- Mam dla ciebie propozycję, Seb. I chcę, żebyś się zastanowił, zanim odpowiesz, bo jakkolwiek wyda ci się ona nieoczekiwana, jeszcze nigdy w życiu nie byłem niczego tak pewien.

- W porządku - powiedział Seb.

Jeremy upił szampana i odstawił kieliszek.

- Chcę wejść w ten interes. Chcę być twoim partnerem.

Przez bardzo długi czas po śmierci brata - a stało się to niemal dziesięć lat temu - wszystko przypominało Jeremy'emu o Thomasie. Najbardziej ze wszystkiego przypominało mu brata jego własne odbicie w lustrze. Nawet March-

mont, z nauczycielami pełnymi werwy i życzliwości, pocieszająca i podtrzymująca na duchu obecność Sebastiana, nie zdołały uleczyć uczucia wyizolowania, goryczy i autodestrukcji, które Jeremy odczuwał jeszcze wiele lat po wypadku. Z pewnością było mu lepiej w szkole niż w Mariner Hall, lecz on wolałby mieszkać w mieście.

Zdał egzaminy do liceum głównie dlatego, że tak zrobił Sebastian. Jeremy był leniwy, nie powodowała nim żadna wielka ambicja, nie miał określonego celu ani pasji. Kochał teatr i kino, ale wiedza o nich była bardzo powierzchowna. Skończył szkołę i nie wiedział, co dalej ze sobą zrobić. Sebastian jechał do Edynburga i po raz pierwszy od piątego roku życia mieli się rozstać. Jeremy musiał podjąć decyzję. Jego ojciec chciał, by przejął po nim zarządzanie Mariner Hall, lecz on wiedział, że to go nie interesuje. Wiosną 1965 roku kolega zaproponował mu pracę w radiu. Jeremy postanowił ją podjąć i napisał do BBC.

Na początek został urzędnikiem w bibliotece podręcznej w Broadcasting House przy Portland Place. Po dwóch tygodniach potwornie się znudził tą pracą i tak szybko, jak pozwoliło mu na to poczucie przyzwoitości, napisał podanie o jedyną posadę, dzięki której znalazłby się blisko teatru. Było to znowu stanowisko urzędnicze, tym razem jednak w bibliotece teatru radiowego. Teraz przynajmniej miał dostęp do scenariuszy i ludzi, którzy adaptowali je na słuchowiska. Już dawno zdał sobie sprawę z tego, że zrobił fatalny błąd, nie idąc na uniwersytet, ponieważ wszystkie wysokie stanowiska dla stażystów przy produkcji programów były osiągalne jedynie dla absolwentów szkół wyższych. Dlatego postanowił, że praca ta jest tymczasowa i że wytrwa w niej tylko po to, by zdobyć jak najwyższe kwalifikacje i doświadczenia, zanim wyżej awansuje. W BBC istniał system czasowego zatrudniania pracowników, zapewniając im potrzebne szkolenie i dając szansę wykazania się zdolnościami. Po kilku miesiącach nauki wracali na swoje dawne stanowiska. Jeremy czytał scenariusze w zespole scenariuszy radiowych przez dziewięć miesięcy. Gdy kontrakt dobiegał końca, musiał zaniechać prac, które sprawiały mu tak wielką radość, i wrócić do roli urzędnika.

Kiedy wygrał konkurs na stanowisko asystenta w produkcji ważnego serialu słuchowisk radiowych, Jeremy rzucił się w wir pracy z pasją dotąd sobie nieznaną. W szkole nie przykładął się do nauki, a tu zagłębiał się w każdą dziedzinę produkcji, przypatrywał i przysłuchiwał się producentom i kierownikom studia, którzy robili wszystko od tworzenia najlepszej osiągalnej jakości dźwięku, poprzez dobieranie efektów dźwiękowych ze zbioru dostępnego w bibliotece. Podpatrywał i słuchał też sekretarek, które były wielką pomocą dla producentów, dla których pracowały i które często wiedziały tyle samo, co ich szefowie.

Jeremy nauczył się, kiedy może upierać się przy swoim zdaniu, a kiedy dyskretnie się wycofać, by skutecznie wchłaniać pożyteczne informacje i czerpać z doświadczenia innych. Dwukrotnie miał okazję współreżyserować dwa epizody. Wspaniała, utalentowana obsada i zespół studyjny były już tak sprawnie działającą machiną, że nie mogło mu się nie udać. Wywiązał się z zadania nieźle, dopracował metody sprawnej współpracy w zespole i miał wszelkie dane po temu, by zostać dobrym reżyserem. A ponownie, kiedy praca się skończyła, został odesłany do biblioteki teatru radiowego. Pozwolono mu wykorzystywać zdolności twórcze na tyle długo, aż nabrał pewności siebie, nabył stosownych umiejętności, odkrył w sobie tę iskrę, po czym nakazano mu wycofanie i powrót na dawne stanowisko. To było nie do zniesienia.

Jeremy odszedł z BBC na początku 1967 roku. Wiedział, że nie zmarnował czasu, nauczył się bardzo wiele i, co najważniejsze, odkrył, że casting jest właśnie tą stroną produkcji scenicznej, do której ma szczególny talent. Miał niezawodną pamięć do wybitnych przedstawień. W ostatnich miesiącach pracy w dziale teatralnym niektórzy młodzi reżyserzy zaczęli go nawet prosić o radę. Jeremy dla własnej przyjemności bawił się w reżysera castingu, wyobrażając sobie coraz to innych aktorów w rolach odgrywanych w sztukach radiowych, telewizyjnych czy też teatralnych. Całymi godzinami ślęczał nad księgami castingowymi „Spotlight” i zaprzyjaźnił się z jedną z pań wybiegających artystów do słuchowisk radiowych. Podczas tych spotkań Jeremy wydoby-

wał z niej informacje na temat jej pracy i koneksji poza BBC. Głównie dzięki niej i rozmowom telefonicznym, które pozwalała mu podsłuchiwać, Jeremy odkrył nieocenioną wartość dobrego agenta w karierze aktora.

- To wtedy się zdecydowałem - mówił teraz Sebastianowi, podczas gdy kelner otwierał drugą butelkę szampana. -Zaczęłam myśleć o zatrudnieniu się w agencji.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- Bo mi się nie powiodło. Nie miałem praktycznego doświadczenia jako agent, ale byłem za to wyspecjalizowany w robieniu herbaty albo bieganiu na posyłki. Gdybym był kobietą, mógłbym zacząć jako sekretarka. Jednak w tej sytuacji nie zaufano mi na tyle, by powierzyć jakąś bardziej odpowiedzialną funkcję.

Rosło w nim poczucie zniechęcenia. Kiedy jego rodzina świętowała pięćdziesiąte urodziny ojca, James i Annabel, próbowali przekonać go, by wrócił do Mariner Hall i uczył się prowadzić gospodarstwo rodzinne, póki jego ojciec ma siły, aby nim pokierować. Wtedy właśnie Jeremy postanowił wyjechać z kraju.

- Z pewnością zrozumiałeś - mówił James, siedząc przy urodzinowym obiedzie w sali do grilla, w hotelu Connaught - że to czysta głupota odwracać się plecami do takiego wspaniałego dziedzictwa.

- Z pewnością nauczyłeś się już - dodała Annabel - że życie to nie jest zabawa.

- Wiem - zapewnił Jeremy.

- Bogu dzięki - powiedział James.

- Dlatego właśnie jadę do Nowego Jorku.

- Nie mogę w to uwierzyć - Annabel aż pobladła z gniewu. - Nie wierzę, że jesteś aż tak nieodpowiedzialny.

Jeremy próbował być łagodny.

- Nie mogę wrócić do Yorkshire, mamo.

- Dlaczegoż to nie?

- Z powodu Thomasa - powiedział miękko. - Nie zniosę tego.

- To zdarzyło się osiem lat temu - odezwał się James. - Musisz postarać się przez to przejść, stary.

- Czy sądzisz, że nam było łatwiej? - zapytała Annabel oschłym tonem. - Dość już miałeś czasu, żeby się ukrywać. My nie mieliśmy innego wyboru, musieliśmy stawić temu czoło.

- Nie, mam, nie sądzę, że wam było łatwo.

- Dlaczego więc raz w życiu nie możesz przestać być takim cholernym egoistą i nie zrobisz tego, o co cię prosimy?

- Bo nie potrafię. - Jeremy zamilkł. - Kiedy nie będzie mnie w kraju, nie będziecie mnie widywać i może zapomnicie, czyja to wina, że Thomas nie żyje. On na pewno przejąłby gospodarstwo. Kochał dom, naszą ziemię.

- Ty też je kiedyś kochałeś - smutno powiedział James.

Kupił bilet i z wizą wbitą do paszportu na kilka dni pojechał do Edynburga, żeby zobaczyć się z Sebastianem.

- Przyjechałem, żeby się pożegnać - powiedział. - Wyjeżdżam do Nowego Jorku.

- Na jak długo? - Sebastian był zdumiony.

- Kto to wie? - Jeremy wzruszył ramionami. - Muszę stąd uciekać, Seb. Moja rodzina wpędzi mnie w szaleństwo, jeśli zostanę w Anglii, a nie zgodzę się na harówkę w Yorkshire. Moja matka myśli, że jestem egoistą i niewdzięcznikiem.

- A twój tata?

- Po prostu wygląda na nieszczęśliwego. Mówiąc szczerze, ta sytuacja mnie przerasta. Trudno żyć z poczuciem winy.

W Edynburgu trwał festiwal teatralny i przyjaciele spędzili razem tydzień, bywając na sztukach, koncertach i przedstawieniach. Któregoś dnia obejrzeni Szekspira w Lyceum, wysłuchali Mozarta w Usher Hall, zobaczyli nową sztukę amatorską w Traverse Theatre Club i Ibsena w przerobionym na teatr budynku Tollcross. Ostatnie przedstawienie było tak kiepskie, że kiedy Sebastian dostał bólu głowy i chciał wyjść w czasie pierwszego aktu, Jeremy był zachwycony.

- Dokąd teraz? - zapytał.

- Jeśli chodzi o mnie, to wracam do domu - powiedział Sebastian, masując kark, by ulżyć napiętym mięśniom.

- Chodź najpierw na drinka. Może potem znajdziemy jakiś wart zobaczenia film.

Sebastian pokręcił głową. Był w kiepskiej formie przez większość popołudnia. Kilka ostatnich minut siedzenia na twardej, wąskiej ławce w teatrze wzmogło jeszcze ból w skroniach. Zaczęło ogarniać go też dziwne uczucie wyobcowania, aż wreszcie poczuł, że musi wyjść na świeże powietrze.

- Idź beze mnie, Jerry.

- Rzeczywiście, wyglądasz kiepsko - przyznał Jeremy. - Jesteś pewien, że dasz radę sam wrócić do domu?

- Na sto procent. - Sebastian zmusił się do uśmiechu. - Idź. Do zobaczenia.

- Nie czekaj na mnie - Jeremy uśmiechnął się szeroko.

Sebastian odczuł ulgę, kiedy został sam. Potrzebował samotności, jak zawsze, kiedy miał migrenę. Tym razem ból był nie do zniesienia. Tego wieczora było gorzej niż zwykle.

Chciał dojść do przystanku autobusowego, lecz nagle poczuł się gorzej. Może się napiję - pomyślał na wpół przytomnie. - I zapalę. Włożył rękę do kieszeni, potem przypomniał sobie, że ostatniego papierosa wypalił przed przedstawieniem. Napiję się piwa - postanowił. - A potem do domu.

Skierował się w stronę pobliskiego pubu.

O drugiej nad ranem Sebastian stał na ulicy, w otoczeniu innych ludzi. Niektórzy wyszli z sąsiednich domów i mieszkań, odziani w szlafroki albo piżamy. Na nogach mieli kapcie lub też stali boso na chodniku. Po drugiej stronie ulicy, kilkadziesiąt metrów dalej, jeden za drugim stały trzy wozy strażackie, z migoczącymi światłami. Edynburska Straż Pożarna walczyła z ogniem w starym budynku Tollcross. Nawet z tej odległości czuł gorąco. Palił go żar, a oślepiający blask był oszałamiająco piękny. Zamknął oczy i nasłuchiwał. Huk pożaru, trzask pękającego szkła, odgłos lejącej się wody, podniesione głosy strażaków i podniecony szum przestraszonych głosów otaczającego go tłumu. Sebastian wdychał dym, gorzki i cierpki, czuł go w ustach i w gardle. Jego serce waliło w rytm pulsującej w skroniach krwi.

- Proszę się odsunąć - powiedział jeden ze strażaków stanowczym tonem. Jego głos zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Sebastian otworzył oczy i zobaczył, że większość tłumu wyco-

fała się w głąb ulicy. - Nie chcesz chyba stać nam na drodze, chłopcze?

Sebastian dołączył do tłumu gapiów.

- Gdzie poszedłeś wczoraj w nocy? - zapytał Jeremy przy kawie następnego ranka. - Wracam do domu po pierwszej, pewien, że zastanę cię śpiącego jak suseł, a tu ciebie nie ma...

- Oglądałem pożar - powiedział Sebastian.

- O czym ty mówisz?

Sebastian wzruszył ramionami.

- Po prostu. Patrzyłem, jak pali się teatr. Właściwie nie do końca się spalił... Zgasili go całkiem szybko. Popatrz... - Podał Jeremy'emu dziennik „Scotsman”. - To ten teatr awangardowy, z którego wyszliśmy.

Jeremy wziął do ręki gazetę.

- Jezu Chryste - powiedział, czytając. - Niezły zbieg okoliczności. - Odłożył pismo i posmarował masłem kawałek tosta. - Dobrze, że przynajmniej nie było ofiar.

- Podaj mi marmoladę - powiedział Sebastian.

- Jak to się stało, że się tam znalazłeś? - zapytał Jeremy.

- Poszedłem na drinka.

- Myślałem, że miałeś potworny ból głowy.

- Tak, ale nie miałem siły czekać na autobus, więc poszedłem do pubu.

- Dobry?

- Nie pamiętam - odparł Sebastian.

Trzy dni później Jeremy poleciał do Nowego Jorku. Od Jamesa i Andrew Locke'a dostał liczne adresy, jednak był to skok w nieznane, co go zachwycało. Oczarował go Manhattan. Miasto to było wszystkim, o czym Jeremy marzył. Autentyczna betonowa dżungla, eksplodująca światłami i życiem. Czuł się tak, jakby przeżywał scenariusz filmowy. Wykorzystał wszystkie dane mu kontakty i nawiązał nowe. Bezwstydnie korzystał z amerykańskiej gościnności i szybko odkrył, że zaatakował Nowy Jork w momencie, kiedy niemal każdy Brytyjczyk mógł liczyć na ciepłe przyjęcie.

Nawet został zatrudniony w małej agencji, która działała w dwóch zaniedbanych pomieszczeniach biurowych w pobli-

zu Times Square. Prowadził ją małomówny, lecz życzliwy, starszy mężczyzna, Louis R. Schwartz, który przynajmniej kilkanaście razy dziennie pociągał bourbona z piersiówki. Kiedy się uśmiechał, a robił to często, jego oczy niemal całkowicie chowały się w fałdach pomarszczonej skóry.

Jeremy spodobał się Schwartzowi, ze swoją interesującą powierzchownością, manierami prosto z angielskiej szkoły prywatnej i akcentem. Chłopak był ambitny, a jego wrodzony spryt, który stary nowojorczyk w nim wyczuł, wart był, żeby na niego postawić. Jeremy'emu Schwartz również się spodobał, ponieważ był przebiegły jak lis.

- Dasz sobą wycierać kąty i jeszcze dostać psią forszę za ten przywilej? - zapytał Schwartz Jeremy'ego, gdy spotkali się po raz pierwszy.

- Według mnie zapowiada się nieźle - odparł Jeremy. - Pod jednym warunkiem.

- Wał.

- Jeśli przyprowadzę nowy talent, da mi pan szansę i pozwoli się nim zająć.

Oczy starego przyglądały mu się bacznie.

- Masz zamiar znaleźć mi kolejnego Paula Newmana?

- Być może.

Nauczenie się biznesu zajęło Jeremy'emu rok. Potem jednak, poznawszy tajniki tej branży; wiedział niemal wszystko, co dzieje się w Nowym Jorku; potrafił bez specjalnego zachodu zdobyć wiadomości o tym, co dzieje się w teatrach, telewizji i przemyśle kinematograficznym w każdym innym mieście Stanów Zjednoczonych. Drugi rok pracy przyniósł mu pierwszych własnych klientów, zaś trzeci - zaufanie szefa i oferty pracy od dwu innych, większych agencji, które zresztą odrzucił. Właśnie miał możliwość zostania partnerem Louisa Schwartza, kiedy zadzwoniła matka, by poinformować go o poważnej chorobie ojca. Gdy Jeremy dotarł do Middlesex Hospital, James był już w stanie krytycznym. Przemówił tylko raz, zanim skonał. Wyszeptał imię Jeremy'ego.

- Odziedziczyłem posiadłość - mówił Jeremy do Sebastiana. - Wszystko - dom, owce i podatek od spadku.

- A twoja mama?

- Jest dobrze zabezpieczona, nie martw się o nią. Mieszkanie londyńskie należy do niej, a to tylko ułamek tego wszystkiego, co ojciec przepisał na nią lata temu. - Jeremy przerwał. - Mój ojciec był roztropnym człowiekiem, Seb. Będę młodym bogaczem. Niektórym może się to wydać obrzydliwe, lecz taka jest prawda. Kiedy już Mariner Hall i cały majątek zostaną sprzedane, będę chciał inwestować. - Nalał szampana do kieliszków. - I właśnie tu widzę miejsce dla ciebie.

Sebastian czekał.

- Kiedy, jak już ci powiedziałem, usłyszałem o twojej agencji, to było jak zrządzenie losu, musiałem natychmiast do ciebie zadzwonić. - Jeremy uśmiechnął się. - Nie istnieje na świecie nikt, w kogo zainwestowałbym z większą gotowością niż w ciebie, Seb. Nie ma nikogo, z kim mógłbym pracować. Chciałbym, abyś został moim partnerem w interesach, Seb.

Sebastian nie wahał się ani przez chwilę. Powiedział Jeremy'emu, że musi przedyskutować to z ojcem, swoją podporą i partnerem. Zdawał sobie też sprawę z tego, że potrzebuje trochę czasu, żeby się zastanowić, ponieważ metamorfoza przyjaciela z ławy szkolnej, tamtego pozbawionego motywacji leniucha w przebojowego, młodego człowieka, o nieodpartej sile była zdumiewająca. Jednak Sebastianowi zawsze zależało na Jeremym, ufał mu, rozumiał i szanował, choć tak bardzo się różnili. Te kontrasty wciąż będą istnieć, lecz przetrwa też przyjaźń i zaufanie. Rzeczywiście, Sebastian musiał zgodzić się z Jeremym, że było to niezwykle zrządzenie losu, którego nie wolno zlekceważyć.

Porozmawiał z ojcem, kiedy tej nocy wrócił do domu, i w przeciągu pół godziny obydwaj uznali, iż to dobry pomysł.

- Doświadczenie Jeremy'ego nie jest być może dokładnie tym, na co mógłbyś liczyć, jeśli chodzi o codzienne prowadzenie agencji - zazaczył Andrew. - Przypuszczam jednak, że jego biegła znajomość rynku amerykańskiego okaże się łatwa do przełożenia na warunki brytyjskie.

- Wiem, co chcę osiągnąć - powiedział Sebastian. - Ale obaj doskonale zdajemy sobie sprawę, że nie mam za grosz Praktycznego doświadczenia. I nagle, pewnego dnia, spada

nam z nieba Jeremy Mariner, prawdziwy agent, z masą doświadczeń i mnóstwem kontaktów, które okazują się pożyteczne.

- Ręczysz za niego, prawda?
- Bardziej niż kiedykolwiek mógłbym sobie wyobrazić - odparł Sebastian.

Spotkali się następnego ranka w biurze przy Albemarle Street. Andrew zobaczył młodego człowieka, który odnalazł swoją drogę i doskonale wiedział, czego chce. Oczy Jeremy'ego pałały ogniem i energią. Jeszcze wyraźniej była w nim widoczna ta dawna chęć kroczenia śladami Sebastiana - tak, jak było niegdyś, kiedy byli chłopcami. Omówili interesy, uścisnęli sobie dłonie i poszli na obiad do hotelu Brown's, gdzie wznieśli toast za nowe partnerstwo i do późnego popołudnia omawiali plany działania firmy.

- Dopiero jeden dzień w branży, a już trzeba zmieniać nazwę firmy - zaśmiał się Sebastian. - Przynajmniej nie dowiedzą się, że mi się nie powiodło.

- Nie trzeba nic zmieniać - powiedział Jeremy.
- Oczywiście, że trzeba, ponieważ teraz będziemy partnerami.
- Popieram - zabrał głos Andrew.
- Co powiecie na Locke Mariner? - zapytał Sebastian.

Jeremy milczał.

- Agencja Locke Mariner - powtórzył Andrew kilkakrotnie, smakując te słowa i kiwając głową. - Brzmi dobrze. Podoba mi się.

- Jerry?

Jeremy oparł się o oparcie krzesła. Oczy pociemniały mu z emocji.

- To brzmi wspaniale - powiedział.

Rozdział 9

Prawda to przez wielu znana, że początki bywają skromne. Niektórzy uważają nawet, że lepsze są właściwie takie niż natychmiastowe efekty i, być może, niepewne sukcesy. Lecz to, co robili Sebastian i Jeremy z firmą Locke Mariner, wielu ludzi uznałoby za ryzykowne i niebezpieczne, przeciągali oni bowiem do granic wytrzymałości pierwszą, wyjątkowo bezowocną fazę rozwoju firmy.

Przez kilka tygodni nie mieli ani jednego klienta, a kiedy w końcu podpisali kontrakt z pierwszym, pozostał bez pracy dłużej niż kiedykolwiek w czasie ostatnich lat. Simon Kean był zbliżającym się do trzydziestki aktorem o młodzieńczej twarzy. Po obiecujących początkach w zawodzie zbyt łatwo wpadł w kategorię aktorstwa, zwaną przez Sebastiana „zarobkową”. Kean poznał Jeremy'ego w BBC. Rozczarował go jego agent i kiedy usłyszał, co mają do zaoferowania Sebastian i Jeremy, postanowił spróbować z nimi szczęścia.

- Zagrałeś w kilkunastu sztukach i serialach telewizyjnych, jednak wątpię, czy wielu widzów skojarzyłoby twoją twarz z nazwiskiem - bez ogródek powiedział mu Jeremy.

- Masz talent - dodał Sebastian - i świetny wygląd. Obaj jesteśmy przekonani, że posiadasz również ten rodzaj energii wewnętrznej, która mogłaby stać się prawdziwą charyzmą na ekranie, gdyby dać jej odpowiednią szansę.

- To tylko kwestia strategii - dodał Jeremy.

Kean otrzymał propozycję wielu małych ról, lecz agenci nie zgodzili się, aby aktor przyjął którąś z nich. Kean był niezadowolony, potem niespokojny, a na koniec rozgniewał się.

Sebastian i Jeremy doskonale rozumieli jego uczucia, jednak intuicja zawodowa podpowiadała im, by dyskretnie kontynuować poszukiwania roli dla Keana, która mogłaby stanowić przełom w jego karierze.

- Jak długo mam jeszcze czekać?
- Wytrzymaj z nami jeszcze trochę - powiedział Sebastian.
- Wszystko świetnie, ale czekanie nie zapłaci mojego

czynszu.

- Jeszcze trzy miesiące - przekonywał Jeremy.

- To za długo.

- Daj nam trzy miesiące i jeśli nic się nie pojawi, pchniemy cię z powrotem na bezpieczne tory - powiedział Sebastian.

- Za trzy miesiące już mnie tu nie będzie - odparował Kean.

Tydzień później Andrew dowiedział się od starej znajomej, dyrektorki Thames Television, że zamierzano wyprodukować nowy serial, opowiadający o perypetiach dziennikarza detektywa, przeznaczony do emisji na rynkach zagranicznych, zaś jego adaptację powierzyć zespołowi, który przygotował sztukę „The Avengers”.

- Doskonale - orzekł Sebastian.

- I co teraz? - zapytał Kean.

- Teraz wykradamy scenariusz i przygotowujemy cię do objęcia tej roli. Zaczynasz dietę, uprawiasz gimnastykę, by nabrać dobrej formy i dać sobie radę ze wszystkim, czego od ciebie zażądata. Niech to diabli, zrobimy wszystko, byś zagrał główną postać w serialu.

- Naprawdę myślicie, że to wyjdzie? - Kean wahał się.

- Nigdy się nie dowiemy, jeśli nie spróbujemy... - Sebastian przerwał w pół zdania. - Wiem, że to zabrzmie cynicznie, ale jeśli szczęście choć trochę nam dopisze, reżyser castingu zobaczy to, co widzimy my.

Było to sprzedawanie ładnie opakowanego towaru i rodzaj hazardu. Jednak mieli szczęście - jak zdarza się to początkującym - choć przyszło ono z siedmiomiesięcznym opóźnieniem. Ich pierwszy klient podpisał korzystny kontrakt z Thames, a Sebastian i Jeremy, wspomagani przez nową sekretarkę, Elspeth Lehmann, rozpoczęli poszukiwania następnego aktora.

Elspeth znano w roli ich sekretarki i to był jej własny pomysł. Od samego początku jednak zakładano, iż awansuje na administratora agencji. Ta szykowna kobieta w średnim wieku, o szczerych oczach, niskim głose i kulturalnym sposobie wysławiania się miała ogromną wiedzę, którą zdobyła przez dwadzieścia lat pracy w branży. Ostatnio pracowała dla jednego agenta, który niedawno zmarł. Elspeth rozważała możliwość przejścia na wcześniejszą emeryturę, aż do momentu, kiedy dotarły do niej intrygujące wieści na temat firmy Locke Mariner. Nawiązała z agencją kontakt. Z miejsca polubiła Sebastiana, Jeremy zaś wydał się jej interesującym, młodym człowiekiem. Elspeth miała absolutną pewność, że to, czy im pomoże i wesprze swoim doświadczeniem, będzie czynnikiem decydującym o ich sukcesie albo porażce.

Elspeth była niezastąpiona. Wzór wydajności i dyplomacji, dowcipna, pełna ciepła i zawsze gotowa do kompromisu. Natychmiast zabrała się do tworzenia systemu, na którym miała być oparta działalność agencji; ustaliła zasady i metody pracy. Co dzień przypominała im o zadaniach do wykonania, które młodzi agenci bez doświadczenia odrzuciliby jako nieważne, a które w efekcie stanowiły o sprawnym prowadzeniu firmy.

Ufali Elspeth na tyle, że zostawiali firmę na jej głowie, natomiast zaczęli podróżować. Trzy dni w tygodniu odwiedzali teatry prowincjonalne, tak jak w przeszłości praktykowało to wielu agentów. Sebastian stwierdził, że skoro w dawnych czasach teatry prowincjonalne bywały schronieniem dla wielkich talentów, to można zakładać, że nie zdarzy się to również teraz.

To Jeremy odkrył Janet Johns, młodą aktorkę z Bolton, która swój talent trwoniła w szmirowatych kryminałach. Była bardzo kobieca i miała naturalne wyczucie dramatyczne. Jeremy zwrócił uwagę na niezwykłą witalność jej gry i przekonał się, że ma zacięcie komediowe. Zabrał Janet na kolację. Kiedy usłyszał, że dziewczyna przepada za komedią, i kiedy upewnił się, iż dojrzała do zmian, natychmiast podpisał z nią kontrakt. Z nową fryzurą od Leonarda, z dwiema sukniami wybranymi przez Elspeth, na diecie niskowęglowodanowej,

po lekcjach makijażu w firmie Elizabeth Arden, a także z nowym imieniem, Judy Johns wkroczyła do londyńskiego świata przesłuchań teatralnych. Instynkt Jeremy'ego nie zawiodł. Pod koniec września Judy zachwyciła reżysera wystawiającego komedię w William Douglas-Home. Po kilku tygodniach krytycy ogłosili narodziny nowej gwiazdy.

Sebastian i Jeremy zainteresowali się inną dziedziną castingu - dubbingiem. Podpisali kontrakt z aktorem, który był niezadowolony z pracy swojego agenta, a którego sugestywny głos zdołał już zachęcić tysiące widzów telewizyjnych i miłośników teatru do picia pewnego gatunku wódki i palenia pewnej marki papierosów. Zawarli umowę z aktorką z dawnej agencji szefa Elspeth. Choć jej wygląd nie przykuwał uwagi, nigdy nie brakowało jej pracy, ponieważ miała głos o niezwykle wszechstronnych możliwościach. To dzięki niemu była lektorem w radiu, czytała teksty w filmach dokumentalnych, upominał się o nią również świat reklamy.

Dzięki Andrew firma Locke Mariner podpisała kontrakt ze swoją pierwszą wybitną artystką. Barbara Stone miała czterdzieści dwa lata, błyszczące złotorudawe włosy i ciepłe, piwne oczy. Była to aktorka o wyrazistej urodzie, wybitnej inteligencji i zmysłowości. Niejednokrotnie porównywano ją do nieżyjącej Diany Lancaster, choć ani Andrew, ani Sebastian nie mogli się w niej dopatrzeć podobieństwa do Diany. Nieżyjąca artystka była bowiem aktorką dramatyczną, zaś Barbara Stone miała predyspozycje do odtwarzania ról z lżejszego repertuaru. Firma prawnicza Andrew reprezentowała ją w sprawie o zniesławienie przeciwko jednej z gazet. Barbara wyznała miłość Andrew, a kiedy ten nie przyjął jej afektów, zostali przyjaciółmi.

- Nie pracowała od dwóch lat, wiesz o tym? - powiedział Andrew.

- Trudno w to uwierzyć - odparł Sebastian. - Chyba ani na chwilę media nie przestały się nią interesować.

Barbara Stone przez trzy lata była gwiazdą jednego z najpopularniejszych seriali brytyjskiej telewizji. Zapewniło jej to większą popularność niż granie klasycznych ról teatralnych. Na falach sławy przeżyła świetnie rozreklamowany ro-

mans z francuską gwiazdą filmową, o dziesięć lat od niej młodszym Thierryem Dupontem. Gdy okazało się, że jest w ciąży, Barbara była bardzo szczęśliwa, lecz zdecydowanie odmówiła poślubienia Duponta i ich związek się rozpadł.

- Zrezygnowałam z pracy tuż przed urodzeniem Patryka - opowiadała Andrew. - Czyli niewiele ponad dwa lata temu, a wydaje mi się, iż nie gram przynajmniej od dziesięciu lat i że wyhodowałam trzy podwójne podbródki i śnieżnobiałe włosy.

Narzekwała, że jej agent namawia ją, by przyjęła rolę, którą instynkt każe jej odrzucić jako nieodpowiednią na powrót na scenę.

- To rola charakterystyczna, kochanie, mała perełka, cudowna rola, oczywiście dla właściwej osoby. - Barbara pochyliła się ku Andrew. - Ale czy naprawdę sądzisz, iż to odpowiedni moment, bym pokazała się taka postarzała i pogrubiona przez makijaż i poduszki? Nikt by mnie nie rozpoznał.

W marcu 1971 roku Andrew zaaranżował spotkanie między Barbarą a Sebastianem, przy kolacji w Terrace Room, w restauracji Dorchester. Barbara jak zwykle przyciągała uwagę, głównie z powodu szalowej, czarnej minisukienki, o śmiałych dekoltach z przodu i na plecach. Sebastian pomyślał, że aktorka wygląda jeszcze bardziej zachwycająco niż zwykle. Macierzyństwo i dwa lata spędzone z dala od kamer i sceny dodały jej parę zmarszczek wokół oczu i ust. Płonął w niej jednak jakiś nowy płomień. Sebastian ostrożnie kierował rozmową, nie krytykując otwarcie agencji, która się zajmowała aktorką przez tyle lat. Natomiast zastanawiał się, co kryło się za tak wyraźnie niekorzystną propozycją. Zamiast atakować agenta, zaczął krytykować materiał: scenariusz filmowy jako całość, jak również źle dobraną dla niej rolę. Była nieobecna na scenie przez dwa lata i publiczności boleśnie jej brakowało - mówił Barbarze. Najgorszym błędem będzie przyśpieszanie jej powrotu. Jeśli wyczeka się na odpowiedni moment, publiczność padnie jej do stóp, tak jak tłumy widzów szturmowały kina, by zobaczyć jego matkę w „Pułkowniku Rose”.

Minęły cztery miesiące, nim Barbara Stone została klientką Locke Mariner. Jej przybycie sprawiło, że firma awansowała do grona najlepszych agencji. Sebastian i Jeremy mogli za-

cząc przebierać wśród ofert cenionych artystów. Tej jesieni Sebastian kupił mały domek przerobiony ze stajni, w Mayfair, na tyłach Park Lane. Choć z bólem zostawiał Andrew i Dęby, zdawał sobie sprawę, że odejście jest konieczne. Ale mieszkanie z dala od ojca powodowało, że spędzali ze sobą więcej czasu. Podczas gdy wcześniej często się mijali, teraz jadalili razem obiady i kolacje i spotykali się, by pomówić o interesach.

Sebastian polubił swój domek, bawiło go urządzenie wnętrza, meblowanie, wyszukiwanie obrazów do powieszenia na ścianach. Praca w agencji była przyjemnością, kochał ją bardziej, niż mógłby to sobie wyobrazić. Mimo że była to często uciążliwa, żmudna praca, wszystko zaczynało układać się po jego myśli. A poza tym nawet nie przyszłoby mu do głowy, iż jego partnerem zostanie najlepszy przyjaciel; że ojciec zaangażuje się w agencję całym sercem i że będzie nimi tak umiejętnie kierować wspaniała Elspeth Lehmann.

Z początkiem roku 1972 Sebastian stwierdził, że przy tak interesującym i satysfakcjonującym życiu zawodowym, pora spróbować uregulować sprawy osobiste.

Nigdy nie brakowało mu towarzystwa dziewcząt. Sebastian prowadził bogate życie erotyczne, którego niejeden młody człowiek mógłby mu pozazdrościć. Jednak to były przelotne romanse. Sebastian nie angażował się uczuciowo. Bardzo go to martwiło. Czy sypiał z wieloma kobietami, czy też z jedną przez dłuższy czas, efekt był zawsze ten sam: przyjemność zmysłowa i odprężenie przychodziły łatwo, lecz pozostawało poczucie niespełnienia.

Miłość była ważnym elementem życia Sebastiana. Głęboko kochał ojca, żywił gorące uczucie do Jeremy'ego, swoje przyjaźnie traktował poważnie, a wszelkie związki międzyludzkie uważał za niezmiernie istotne. Jednak w tej jedynej sferze, w której pragnął znaleźć ciepło i bliskość, bez przerwy ponosił porażkę. Nie miał już wątpliwości, że uprawianie seksu bez miłości wypala go. Ciągle wierzył jednak, że znajdzie kobietę swojego życia.

Już od kilku tygodni spotykał się z młodą kobietą, która organizowała rezerwacje dla jednego z londyńskich studiów

dźwiękowych, gdzie wiele agencji reklamowych nagrywało dubbing do reklam telewizyjnych. Sabrina Bright była dwudziestotrzyletnią brunetką, o wyglądzie nimfy i żywym temperamencie. Była namiętna w łóżku i czuła po akcie miłosnym. Nie przeszkadzało jej to, że jeśli kochali się w jej mieszkaniu, Sebastian niezmiennie zostawiał ją samą przed czwartą nad ranem, zaś jeśli byli w jego łóżku w Mayfair, zwykł odsuwać się od niej w milczeniu, kiedy już było po wszystkim.

Sebastian odczuwał pewien spokój, obcując z Sabriną. Choć jego życie codzienne było uporządkowane, czasem toczyło się w szalonym tempie. Może za wiele od siebie żądam - zastanawiał się. Gdyby przestał zamartwiać się swoimi reakcjami i po prostu dał miłości szansę, powstałaby jakaś silniejsza więź.

- Kolacja jutro? - zapytał przez telefon pewnego rześkiego styczniowego poranka.

- Cudownie - odpowiedziała Sabrina. - Gdzie?

- U mnie. Ja gotuję.

- Świetnie. Mam coś przynieść?

- Nie trzeba, dzięki. Ja się tym zajmę.

- Nie mogę się doczekać.

Zaplanowanie romantycznego posiłku *a deux* zajęło Sebastianowi trochę czasu. Następnego dnia w porze obiadu poszedł na zakupy do Soho. Potem, po pracy, pojechał po Sabrinę do jej studia i przywiózł ją do domu.

- Masz ochotę mi pomóc, czy czujesz się zbyt zmęczona?

- To nie w twoim stylu prosić mnie o pomoc - powiedziała zdziwiona Sabrina.

Miała rację. Zazwyczaj kiedy Sebastian gotował, cenił sobie samodzielność i nikogo nie chciał dopuścić do kuchni. Tego wieczora jednak zachęcił Sabrinę do pomocy, poskramiając irytację, kiedy użyła nie tych naczyń, co trzeba, albo rozlała ocet na sosnowy blat. Upominał sam siebie, że nie będzie mógł nawet marzyć o wspólnym życiu z kobietą, jeśli nie pozbędzie się nadmiernej pedanterii. Rutyna i konserwatywne zasady są dopuszczalne w biurze, ale nie w domu, a już z pewnością są zabójcze dla związku dwojga ludzi.

- Wszystko w porządku? - zapytała, patrząc, jak zapala świecę.

- W porządku - odparł. - A dlaczegoż by nie?

- Wydajesz się... inny.

Uśmiechnął się.

- Inny?

- Chyba tak. - Sabrina zamilkła. Sebastian wypił łyk bordeaux, które wcześniej otworzył. - W każdym razie - ciągnęła - tak jest dobrze.

- Tak. Dobrze jest... napić się wina.

Sebastian świetnie się bawił z Sabriną. Była energiczna, wesoła, prześliczna i chyba jej na nim zależało. Patrząc na nią ponad stołem, stwierdził, że warto zrobić dla niej wysiłek. Poprzysiągł sobie w duchu, że nie pozwoli na odrzucenie jej propozycji spędzenia razem nocy, niezależnie od tego, jak mocno będzie pragnął pozostać sam.

Kiedy później rozbierali się nawzajem w jego sypialni, Sebastian uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie poprosił Sabriny, by została u niego na noc. Miał zamiar zrobić z tego specjalne wydarzenie. Sabrina często zostawała, ale tylko dlatego, że dobre maniere nie pozwoliły mu poprosić ją, by sobie poszła. Dziś w nocy chciał, żeby wiedziała, iż jest to jego wybór, jego życzenie - że pragnie, by została. Jednak ciało Sabriny było - jak jego własne - tak pełne pożądania, że wkrótce zapomniał o słowach. Padli na łóżko, całkowicie pochłonięci wzajemną namiętnością.

Potem, kiedy Sebastian leżał nasycony w ciemności, ogarnęła go senność. Powieki mu się zamykały. Sabrina przysunęła się bliżej i poczuł raczej, niż zobaczył, jej dłoń na poduszce, zbliżającą się do jego twarzy, by pogłaskać jego policzek.

Gwałtownie odwrócił się i odsunął od niej, lecz, przypomniawszy sobie wcześniejsze postanowienie, drgnął.

- Przepraszam - powiedział miękko i z wahaniem wyciągnął po nią rękę.

- Wszystko w porządku - Sabrina przytuliła się do niego.

- Jestem do tego przyzwyczajona.

Sebastian odczekał jeszcze chwilę.

- Zostaniesz ze mną dziś w nocy? - nawet dla niego samego słowa te zabrzmiały sztucznie i nieszczerze. Poczuł, jak Sabrina sztywnieje w jego ramionach.

- Czy zostanę?... - Sabrina urwała. - Przecież zawsze zostaję, prawda?

Nic nie powiedział, leżał tylko cicho, przeklinając siebie pod nosem.

Sabrina usiadła.

- A więc? - powiedziała.

- To prawda, zawsze zostajesz.

- Chociaż nigdy wcześniej nie zrobiłeś mi tego wielkiego zaszczytu i mnie nie zaprosiłeś. - Wyciągnęła rękę i zapaliła jedną z lampek nocnych. Zaskoczył go ten nagły, nieznany mu gniew, malujący się na jej twarzy i brzmiący w głosie. - A czy wyobrażałeś sobie, iż nigdy nie zauważyłam, że odsuwasz się ode mnie najdalej, jak możesz, kiedy już skończymy... kiedy ty skończysz...?

- Sabrino, nie... - Sebastian usiadł, przerażony.

- Zachowujesz się tak, jakbym była chora.

- To nieprawda. - Sięgnął po papierosa i zapalił.

- Nie? - Wyszła z łóżka, chwytając narzutę, żeby się okryć. - Twoje towarzystwo jest całkiem miłe, Sebastianie - powiedziała oschle - i jesteś cholernie przystojny, ale teraz mogę ci powiedzieć, że jeszcze nigdy nie spotkałam zimniejszego faceta.

- Sabrino...

- Nie, nic nie mów. - Wciągała na siebie w pośpiechu ubranie, nie zważając na to, że rozmaże makijaż na kaszmirowym golfiku i zrobi dziury w rajstopach. - Tolerowałam to do tej pory, bo przynajmniej nie udawałeś, że coś do mnie czujesz...

- Oczywiście, że czuję...

- Proszę! - była bliska łez, ale powstrzymał je gniew. - Ale właśnie tego, co powiedziałaś dzisiejszej nocy, nie rozumiem... Dzisiaj prawie uwierzyłam, na jedną tylko chwilę, że może jednak zależy ci na mnie.

Sebastian zszedł z łóżka, chcąc podejść do niej i objąć. Lecz coś w niej, a może w nim samym, powstrzymało go, i stanął w pół drogi.

- Zależy mi na tobie, Sabrino.

Zawahała się.

- Być może, tak. Może to dziwaczne, sztywne zaproszenie, bym została, coś dla ciebie znaczyło, nie wiem. Ale wiem jedno i przypuszczam, że wiedziałam to cały czas, tylko nie chciałam się do tego przyznać... - przeczesła palcami włosy.

- Wiem teraz, że naprawdę jesteś zimny. A to nie dla mnie.

Sebastian nic nie powiedział, a Sabrina podeszła do drzwi sypialni i otworzyła je.

- Dziękuję, ale nie skorzystam - powiedziała cicho. - Nie zostanę na dzisiejszą noc. Ani na żadną inną.

Kiedy Sabrina wyszła. Sebastian leżał przez chwilę na łóżku, po czym poszedł do łazienki i mocno odkręcił prysznic. Kiedy igły zimnej wody kłuły jego twarz i ciało, uprzytomnił sobie gorzką i bolesną prawdę, choć szczerze żałował, że zranił Sabrinę, jednocześnie poczuł ulgę, kiedy dziewczyna poszła.

Odświeżony przez prysznic, zawiązał się w szlafrok, zszedł na dół, podkręcił centralne ogrzewanie i z antycznej komody dębowej, która służyła mu za barek, wyjął butelkę whisky Glenfiddich. Nie potrzebował światła. Księżyc był w pełni i przez drzwi balkonowe widział cienką warstwę szronu, srebrzącą nagie grządki w małym ogródku. Wszystko zdało się zimne. Ciche, samotne i zimne.

- Na zdrowie - szepnął i jednym haustem wychylił szklankę whisky. Potem wrócił do łóżka. Ulgę, jaką poczuł, kiedy został sam, zaczęło zastępować uczucie przygnębienia. Być może brzmiało mu wciąż w uszach echo głosu rozgniewanej, robiącej mu wyrzuty Sabriny.

- Jesteś zimny - powtórzył jej słowa.

Oczywiście, miała rację, lecz przykro było to usłyszeć z jej ust, szczególnie teraz, kiedy zaczął mieć nadzieję, że ich związek się zmieni. Jednak skoro padły te słowa, znów był sam. A co gorsza, był z tego zadowolony.

Pogrzyżył się w niespokojnym śnie. Sebastian rzucał się na łóżku, ogarniał go coraz większy niepokój i smutek. Jego podświadomość zarejestrowała delikatną woń, balsamiczny urzekający zapach, który tak często towarzyszył mu w dzieciństwie.

I nareszcie zasnął twardym snem. I spał, nic nie śniąc, do rana.

Rozdział 10

Już prawie od roku Andrew spędzał bardzo dużo czasu ze starą przyjaciółką rodziny, Virginią Hart. Mężem sześćdziesięcioletniej Virginii był nieżyjący już Matthew Hart, wybitny psychiatra, przyjaźniący się z Andrew przez ponad dziesięć lat. Virginia była klasyczną Angielką, spokojną, elegancką, lecz pełną życia. Miała naturalnie falujące, brązowe, przetkane białymi pasemkami włosy i ubierała się głównie w stroje firmy Jaeger.

Sebastian wiedział, iż Virginia i Andrew spotykają się i że czują się dobrze w swoim towarzystwie. Nigdy jednak nie pomyślał, że ich związek wykracza poza granice zażyłej przyjaźni. Kiedy w kwietniu ojciec powiedział mu, że poprosił Virginię o rękę, a ona go przyjęła, Sebastian był oszołomiony. Jednak widząc szczęście malujące się na twarzy ojca, zareagował z radością.

- Nie masz nic przeciwko temu. - Ulga, jaką odczuł Andrew, nie miała granic.

- Nie mam nic przeciwko temu? - Sebastian chwycił ojca za ramiona. - Przez te wszystkie lata, od kiedy sięgnę pamięcią, jeszcze nie widziałem, żebyś był tak szczęśliwy. Jak mógłbym mieć ci to za złe?

Zaplanowali, że wezmą ślub w Caxton Hall. Sebastian był wzruszony, widząc dbałość Andrew o każdy najdrobniejszy szczegół. Odbyły się oficjalne zaręczyny, z anonsem w „Timesie” i z pierścieniem ze szmaragdem od Aspreya; nie było tylko prezentów, gdyż narzeczeni obwieścili, że są one zbędne. Tak radośnie przeżywali każdy etap romansu, jakby

mieli po dwadzieścia lat i pobierali się po raz pierwszy. Virginia miała przenieść się do Dębów i jej narzeczony rzucił się w nietypowe dla siebie szaleństwo. Chciał, by jego nowa żona miała wszystko świeże i nieużywane: pościel, wyposażenie kuchni, naczynia. Ona sama miała zaś dość zajęć, by uporządkować swoje mieszkanie przy Cadogan Square.

Na początku czerwca, na dwa miesiące przed ślubem, w drodze powrotnej do domu po rozrzutnym wypadzie do Harrodsa i The White House przy New Bond Street, Andrew i Sebastian postanowili zjeść obiad w Keats. Ponieważ praca w Locke Mariner zajmowała ostatnio Sebastianowi dużo czasu i pochłaniała wiele energii, ojciec i syn rzadko mieli okazję cieszyć się wspólnym posiłkiem. Delektowali się więc kremem z homarów i chateaubriandem, po czym ruszyli mało uczęszczaną, biegnącą wzdłuż wrzosowiska drogą, na którą kładł się właśnie głęboki fioletowy cień późnego zmierzchu.

- Zostań na kieliszek koniaku - zaproponował Andrew.
- Chyba dość już wypilem.
- Tylko mały kieliszek. Nie chcę, żebyś już jechał.

W domu panowała cisza. Ellie jak zwykle wcześniej poszła spać. Panowie, ciesząc się swoim towarzystwem, weszli do salonu. Podczas gdy Andrew nalewał koniak i zapalał cygaro, Sebastian zapadł w jeden z głębokich foteli i zapatrzył się w pusty kominek. Szczególnie w miesiące wiosenne i letnie większość ludzi zazdrościła Andrew lokalizacji Dębów: z dywanem wrzosów tuż za progiem i ze światłem słonecznym przez wiele godzin wpadającym przez okna. Jednak Sebastian zawsze wolał dom w zimie, kiedy w kominkach paliły się gładkie kłody drewna, odbijające migotliwy blask płomieni. W lecie po zmierzchu w salonie panowała chłodna, wręcz przygnębiająca atmosfera. Może teraz, kiedy w domu znowu pojawi się gospodyni, wszystko się zmieni - pomyślał.

Kontynuowali niefrasobliwą, zaczęta w restauracji pogawędkę, o agencji, Virginii, ślubie.

- Wszystko się zmienia - miękko powiedział Sebastian.
- Co właściwie masz na myśli? - zapytał Andrew.
- Przede wszystkim to - powoli zaczął Sebastian - że kiedy mieszkaliśmy razem w chwilach wytchnienia i refleksji -

wiele czasu spędziliśmy na rozmyślaniach o minionych czasach. A teraz nagle patrzymy przed siebie, w przyszłość.

- Myślisz, że nie pozwalam ci odwrócić się od przeszłości?

- Nie sędzę. Nie bardziej niż sam tego nie chcę - Sebastian zamilkł na chwilę. - Ciągle pamiętam te dni po jej śmierci. Kiedy nie chciałeś mówić o mamie. Nie potrafiłeś. Oczywiście teraz to wiem. A potem któregoś dnia to się zmieniło. Zacząłeś mówić mi, co czujesz. Pozwoliłeś mi się do siebie zbliżyć i poczułem się znacznie lepiej. - Uśmiechnął się. - Nadal lubię, kiedy o niej mówisz, wciąż uwielbiam słuchać o dawnych czasach, kiedy jeszcze nie było mnie na świecie. To jest to ogniwo, które nas łączy z przeszłością, z nią.

- Pamiętam ten dzień, kiedy stwierdziłem, że mogę o niej mówić i nie pęknie mi serce - powiedział Andrew.

Sebastian wstał z fotela i spojrzał w górę na wielki portet Diany pędzla Nathana Smitha, wiszący nad kominkiem.

- Właśnie - odezwał się Andrew. - Tam stałeś tamtego dnia. Powiedziałeś mi, że często tu przychodzisz, żeby popatrzeć na ten obraz. - Stało mu przed oczyma przejmujące wspomnienie małego, płowowłosego synka, jak stał w tym samym miejscu, poważny i samotny, zapatrzony w portret matki. - Byłaby z ciebie taka dumna, Sebastianie.

Sebastian milczał.

- Jakie wspomnienia masz o swojej matce? - łagodnie zapytał Andrew. - Ale byłeś taki mały, kiedy ją straciliśmy, i nie mam pewności, co dokładnie pamiętasz.

Sebastian podszedł do okna i spojrzał na pogrążony teraz w ciemności ogród. Przez ostatnią godzinę nagromadziły się chmury i zaczęły padać deszcz.

- Najwyraźniej pamiętam to - powiedział - że była piękna.

Wyciągnął rękę i palcem przeszedł tor kropli, ześlizgującej się po drugiej stronie szyby. Okno zaczęło pokrywać się parą. Było trochę tak, jakby oglądał swoje odbicie przez gazetę. Jego oczy wydawały się większe, ciemniejsze.

- Prawdopodobnie wszystkie dzieci uważają, że ich matki są piękne - mówił miękko głosem. - Oczywiście w moim przypadku były setki fotografii i obrazy, które mogły świadczyć o tym, że to nie był tylko mój punkt widzenia.

- Nie - odezwał się Andrew - wszyscy tak sądzili.

- Jej oczy - ciągnął Sebastian. - Jej ciemne, cudowne oczy nigdy mnie nie opuściły... - urwał. - Zawsze czułem, że rozumiem, dlaczego publiczność tak ją kocha, chociaż sam nigdy nie widziałem, jak grała... nie licząc „Pułkownika Rose”.

Andrew, zdziwiony, podniósł na niego wzrok.

- Przecież widziałeś ją na scenie. Raz. - Wezbrał w nim dawny smutek. - Nie pamiętasz?

Sebastian odwrócił się i oparł o ścianę. Jedną dłonią w roztargnieniu gładził ciężką, atłasową zasłonę.

- Tak. - Jego oczy załśniły. - Pamiętam... - Znów zamilkł. - W tej roli, której nie zagrała nigdy - dokończył.

Andrew spojrzał na niego, zaskoczony nagłą, dziwną ostrością jego tonu. Wyraz twarzy Sebastiana był nie do odgadnienia. Znowu się odwrócił, ku ciemnemu, zmytemu przez deszcz oknu.

- Tamta rola ją zabiła - powiedział.

- W pewnym sensie - zgodził się Andrew. - Chociaż ja...

- Zabiła ją - powtórzył Sebastian z cichą, osobliwą wściekłością.

Andrew wstał zdenerwowany tą zagadkową odmianą, która dokonała się w jego synu. Cygaro wypadło mu z ręki na dywan. Gorący popiół sparzył palce. Andrew mechanicznie podniósł niedopałek i odłożył go do popielniczki.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał łagodnie.

Sebastian stał nieruchomo, twarzą do okna. Patrzył w swoje zamglone odbicie. Tarczą napiętych pleców odgradził się od ojca.

- Ty to powiedziałeś.

- Co powiedziałem?

- Że Hedda ją zabiła.

Nie chodziło o same słowa, lecz o to, jak zostały wypowiedziane. Pusto, obco i gorzko, niemal z pasją. Gdyby nie to, że Andrew stał niecały metr od niego, nie uwierzyłyby, że głos ten należał do jego syna.

Sebastian powoli odwrócił się ku niemu i Andrew zadrżał. Nagle poczuł, że salon go przygniata, że się dusi. Z trudem oddychał.

- Nikt inny nie zagra Heddy - wysyczał Sebastian. Teraz wściekłość czaiła się w jego oczach. - Słyszałem ją. Pamiętam.

Andrew zaniemówił. Zbliżył się do niego i wyciągnął dłoń, ale Sebastian patrzył przez niego, na wskroś, jakby ojciec był niewidzialny. Potem zamknął oczy i głęboko odetchnął, jakby wdychał jakiś cudowny zapach.

- Nie czujesz jej? - W jego głosie brzmiała litość.

Andrew opuścił rękę, jego palce drżały. Stał nieruchomo, obawiając się poruszyć. Między nimi była jakaś przedziwna, krucha równowaga. Tak jakby stał blisko lunatyka, na krawędzi przepaści.

Sebastian otworzył oczy. Jego wzrok był skupiony na jakimś punkcie, poza Andrew. Miał czarne, szeroko rozszerzone źrenice.

- Nie czujesz zapachu jej perfum?

Andrew poczuł ucisk w żołądku. Odruchowo cofnął się krok do tyłu, z przerażeniem patrząc na syna. Stary zegar w drugim końcu pokoju głośno odmierzał czas. Deszcz mocniej zadzwonił o szyby. Andrew obliznął wargi, żeby je zwilżyć. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł takiego strachu.

- Sebastianie - powiedział słabo.

Po chwili powtórzył z naciskiem, a jego głos zabrzmiał ostro i niecierpliwie:

- Sebastianie!

Sebastian zamrugał, rzęsy zatrzepotały gwałtownie, jak w jakimś nieprzytomnym koszmarze. Andrew zobaczył, że oczy syna go hipnotyzują, przyciągają, podczas gdy reszta tak dobrze znanej, ukochanej twarzy nagle stała się tylko maską. Jeszcze raz mrugnął, już spokojniej. I Andrew zobaczył, że Sebastianowi wraca zdolność widzenia. Przez chwilę czuł bolesną ulgę, i strach, który ścisnął go za serce, odrobinę zelżał. Przez jakiś czas patrzyli na siebie. Andrew badał twarz chłopca, wciąż jednak nie mogąc odczytać jej wyrazu, niepewny, czy widzi w niej zamęt czy strach.

A potem, kiedy już Andrew był pewien, że dłużej tego nie znieśnie, Sebastian wrócił. Gdyby miał opisać zmianę, która odmalowała się na twarzy syna, nie potrafiłby znaleźć właściwych słów. Była ona bowiem prawie niezauważalna. Po pro-

stu powrót z transu. I tak, jak się to szybko zaczęło, tak nagle się skończyło.

Sebastian uniósł lewą rękę i spojrział na zegarek.

- Robi się późno - powiedział. - Chyba powinienem już iść. Mamy z Jeremym spotkanie przy śniadaniu. - W jego głosie pobrzmiwało znużenie. Ostrożnie, dwoma palcami dotknął skroni, jakby bolała go głowa.

Andrew zmusił się do mówienia.

- Czy...? - Słowa ugrzęzły mu w gardle.

- Co, tato?

Andrew przełknął ślinę.

- Czy czujesz się dobrze?

- Doskonale. - Sebastian wzruszył ramionami. - Jestem tylko trochę zmęczony. I sam wiesz, jak nie cierpię wczesnych spotkań przy śniadaniu. - Na jego czole uwydatniła się wąska zmarszczka, lecz nawet najłżejsza nuta niepewności nie zakłócała zwyczajności tych słów.

Jednak Andrew nadal nie mógł mówić. Był zbyt wstrząśnięty, jakby całe jego życie legło w gruzach. To było niepojęte, ale Sebastian zachowywał się tak, jakby nic się nie zdarzyło.

- Ty też wyglądasz na zmęczonego, tato. - Sebastian wyciągnął rękę i łagodnie dotknął ramienia ojca. - Może na dzisiaj wystarczy. - Uśmiechnął się. - Inaczej Virginia będzie obwiniała mnie za to, że cię wymęczyłem przed ślubem.

Znowu ten sam Sebastian, kochający, bezpośredni. Zwyczajny.

Andrew wiedział, że trzeba coś powiedzieć, rozważyć to, co się wydarzyło. Jednocześnie był zbyt wstrząśnięty, żeby zrobić to teraz.

- Jesteś w stanie prowadzić samochód? - zdołał z siebie wydusić.

- Oczywiście.

- Na pewno?

Sebastian był zdziwiony.

- Ależ tato, czuję się dobrze.

Andrew automatycznie zrobił to, co zwykle: podszedł do drzwi, objął syna, patrzył, jak ten idzie przez zwirowany podjazd do swojego jaguara. Chrząst kroków ostro odbijał się w ciszy. Deszcz znowu przestał padać. Nad wrzosowis-

kiem unosił się gęsty zapach wilgotnej trawy i ziemi. Była piękna noc.

- Dobranoc, tato - ponownie zawołał Sebastian, otwierając drzwi samochodu. - Miłych snów.

Andrew poczekał, aż jaguar wyjedzie spokojnie z podjazdu na drogę. Potem zamknął ciężkie drzwi na zasuwę, zgasił światła w holu i w salonie i z powrotem usiadł w fotelu.

Jakoś łatwiej było znieść ciemność niż agresywną jasność lamp elektrycznych. Długo tak siedział, w tym samym fotelu, w którym jeszcze niedawno z zadowoleniem oddalał się od przeszłości, wkraczając w przyszłość. Minęło zaledwie kilka minut, by nagle, niewytłumaczalnie, przyszłość ta zawisła w powietrzu, przestała być bezpieczna i pewna. Nawet przeszłość zdała się mu naraz złudzeniem, oszustwem, choć nie rozumiał dlaczego.

Andrew próbował wrócić do równowagi. To trwało tylko kilka minut, ta cała scena. Dlaczego więc czuł się tak, jakby zdruzgotała go jakaś niewidzialna siła?

Przesadzam - pomyślał. Może Sebastian za dużo wypił. Może to przez ten koniak, po czerwonym winie, który pił do obiadu. Źle zrobił, pozwalając mu jechać do domu.

Uderzył pięścią w oparcie fotela. Potem znów spróbował się uspokoić, kilkakrotnie głęboko zaczerpnął powietrza, wypełniając płuca. To oczywisty absurd, przesadna nadwrażliwość. Przecież jest prawnikiem, człowiekiem myślącym logicznie. Dzisiejszego wieczora, w przeciągu mniej więcej pięciu minut, zdarzyło się coś, co zrujnowało jego spokój. Musi istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie, dlaczego tak się stało. Logika ma do odegrania swoją rolę. Co się dokładnie zdarzyło i dlaczego? I co było w jego własnym umyśle, co sprawiało, że miał pewność, iż epizod ten nie miał nic wspólnego z upiciem się ani też z niczym innym, równie normalnym?

Co wprawiło w ruch ten ciąg okropnych, bezładnych wydarzeń? O czym mówili przedtem? Nie mógł sobie przypomnieć. Wydawało mu się, że zdarzyło się to dawno temu. Udręczony Andrew szarpał się za włosy. Fizyczny ból sprawił, że oprzytomniał. Tak, ale to wspomnienie pozostawiło po sobie dziwny chłód.

Diana. Oczywiście. Rozmawiali o Dianie. O aktorce - nie o matce czy żonie. Wspomnienia Sebastiana. Dotkliwa tęsknota, oczywiście, może nieco wyidealizowana, ale odczuwana w pełni świadomie. A potem Sebastian gwałtownie zmienił się, tak jakby ten normalny, znany mu Sebastian się w sobie zamknął.

- Tamta rola ją zabiła - powiedział. Hedda Gabler. A co powiedział potem? Nikt inny nie zagra Heddy.

Na wpół ukształtowane, zamglone wspomnienie, które - nagle Andrew nabrał pewności - uzasadniało ten przesadnie silny strach, przemknęło mu raptem przed oczyma. Żeby znów mu nie umknęło, celowo mocno zacisnął powieki, z uporem chcąc je zatrzymać. I wtedy zobaczył je niemal z fotograficzną dokładnością.

List. Zwinęty biały papier listowy, pokryty ładnymi, wyraźnymi, okrągłymi literami. Mały, niebieski kleks w górnym, prawym rogu. List od Sebastiana, napisany w Marchmont. Dlaczego, na miłość boską, myślę o tym teraz? Ile lat miał wtedy Sebastian? Piętnaście? Nie, szesnaście. Andrew uzmysłowił sobie, że pamięta ten smutek nastolatka, którym przepojony był list. Pamiętał też, że Sebastian opisywał w nim dziwaczny atak na chłopca, odgrywającego główną rolę w szkolnym przedstawieniu. Wzburzenie i obrzydzenie, jakie incydent ten w Sebastianie wzbudził, wyraźnie odbijało się w każdej linijce listu.

Zabiła ją. Teraźniejszość wróciła i uderzyła Andrew z nową siłą. Dziwaczny, wściekły ton głosu syna.

Hedda.

Wstał i w ciemnościach zaczął przemierzać pokój. Jego kroki tłumił dywan. Pragnął odsunąć od siebie te myśli, lecz nie potrafił się ich pozbyć. Przeklinał swoją fotograficzną pamięć, która przez całe życie pomagała mu w pracy, najpierw ułatwiając mu badanie sprawy, a potem tak często wspomagając go w sądzie. Cholerne, wiernie wszystko zapisujące, wewnętrzne oko, które teraz wydobyło z pamięci tę banalną scenę sprzed ponad dziesięciu lat... kiedy otworzył ten list... stół nakryty do śniadania... światło słoneczne wpadające z ogrodu... palce lepkie od marmolady. Andrew wytarł starannie ręce, zanim zabrał się do czytania...

Zabiła.

Andrew z powrotem usiadł. Znow zaczął drzeć. Od najwcześniejszego dzieciństwa głównymi rysami charakteru Sebastiana były zdrowy rozsądek i wrodzona wrażliwość na uczucia innych. Andrew nie mógł sobie przypomnieć nawet jednej sytuacji, w której uwidoczniłaby się w charakterze Sebastiana choćby najdrobniejsza tendencja do przemocy. A jednak dzisiejszego wieczora pod tymi dziwnymi słowami niezaprzeczalnie wrzała wściekłość. A potem, zaledwie chwilę później, w taki przedziwny sposób wycofał się i zagłębił w samym środku siebie, mówiąc te prawdziwie zdumiewające słowa, które Andrew przeraziły najbardziej:

Nie czujesz jej?

Andrew gwałtownie wstał z fotela. Zachowywał się teraz absurdalnie, pozwalając swojej wyobraźni tak szaleńczo wybiegać poza ramy rzeczywistości. Tamten list był całkowicie naturalnym opisem nieprzyjemnego wydarzenia w szkole. Nie miał nic wspólnego z Sebastianem. Fakt, że wystawiano „Hedde Gabler” to zbieg okoliczności...

Ale skąd ta ekstaza?

Nie czujesz zapachu jej perfum?

I te szeroko otwarte oczy, i puste spojrzenie.

Nagle wszystko zawirowało Andrew przed oczami. Ugięły się pod nim kolana i upadł na podłogę. Znalazł się na dywanie na czworakach. Kręciło mu się w głowie, czuł nudności i słabość. Pomyślał, że zaraz nastąpi atak serca. Przeczuwał ból, który jak obuch za chwilę uderzy go w piersi. Ale po długiej chwili drzenie minęło i ostateczny cios nie nastąpił. Czuł jedynie straszliwą słabość. Ostrożnie przesunął się, by złapać się za oparcie sofy. Począł, aż powróci jasność myślenia. Potem wolno wstał.

Stary zegar wybił północ. Andrew chwiejnym krokiem przeszedł do chłodnego holu. Pomyślał, że chyba jest chory. Miał lodowate dłonie i rozpalone policzki. Musi pójść do łóżka, wypocząć. Zaczął wspinać się po schodach, kręcąc głową.

Wyobraźnia - pomyślał. - Potrzebuję snu. We śnie to szaleństwo minie...

Lecz ucieczka nie była wcale taka łatwa. Leżąc bezsennie w łóżku, na godzinę przed świtem, Andrew wiedział już, że

nie pozbedzie się strachu. Dobrze usłyszał te słowa, nie mógł pomylić się co do tonu, jakim zostały wypowiedziane, nie mógł źle odczytać wyrazu oczu syna. Sebastian był kiedyś pięknym dzieckiem i wyrósł na przystojnego, silnego, wspa- niałego i świetnie rokującego na przyszłość mężczyznę. Syn, z którego można być dumnym. A jednak w umyśle Andrew Locke'a pękła jakaś tama i nic już nie mogło powstrzymać fali straszliwego przerażenia.

Dobry Boże - modlił się. - Spraw, żeby to była nieprawda.

Lecz jakiś głos w jego głowie powiedział mu:

Nie mylisz się.

Rano, kiedy Andrew wziął prysznic, ogolił się, ubrał i gdy usłyszał w słuchawce słodki, niski głos Virginii, poczuł się nieco lepiej. Stał przy oknie sypialni i ogarnął spojrzeniem wrzosowisko. Był krystalicznie czysty poranek i Andrew mógł sięgnąć wzrokiem aż do samego centrum londyńskiego City. Widział kopułę katedry Świętego Pawła, maleńką z tej odle- głości, lecz jaśniejącą w blasku porannego słońca. Pomyślał, że być może za kilka godzin wydarzenia minionej nocy rów- nież nabiorą bardziej zwyczajnych wymiarów.

Zszedł na dół na śniadanie, które jak każdego ranka przy- gotowała mu Ellie. Próbował normalnie rozmawiać, zjeść coś i poczytać gazetę. Wiedział jednak, że to wszystko nie ma sensu. Sam przed sobą nie mógł udawać, że nic się nie stało. Był tylko jeden, jedyny sposób, aby siebie uspokoić. Natych- miast twarzą w twarz stanąć z Sebastianem.

Sebastian akurat wrócił ze spotkania przy śniadaniu, kie- dy Elspeth powiedziała mu, że przyjechał Andrew.

- Tato - Sebastian stanął w drzwiach swojego gabinetu. - Co za niespodzianka. Nie jesteś w biurze? - Wydawało się, że jest w dobrej formie, pełen życia i całkiem spokojny.

- Mam umówione spotkanie w St James - skłamał An- drew - i przyjechałem za wcześnie, więc pomyślałem, że wpadnę.

- Wejdz.

- Może kawy?

- Nie, dziękuję.

Gdy tylko zamknęły się drzwi, Andrew zaczął rozmowę.

- Właśnie wpadłem na starego znajomego - zaczął. - Na Bond Street. Ojciec chłopca, który był z tobą w Marchmont, jak sądzę. Anthony Jacobs.

Sebastian przelotnie spojrział na niego znad papierów, które przeglądał.

- Ojciec Dana?

- Dokładnie. Pamiętasz go?

- Jasne. Nie znałem go dobrze. Był starszy o rok albo więcej.

- Dziwna rzecz - lekkim tonem mówił Andrew. - Gawędzieliśmy przez chwilę, pomówiliśmy o Marchmont i Jacobs wspomniał ten potworny incydent. Kiedyś mi o tym opowiadałeś, to przedstawienie szkolne, które odwołano.

- Zgadza się. Dan był reżyserem „Heddy Gabler”. - Sebastian wzdrygnął się na to wspomnienie. - Koszmarna sprawa. Dan Jacobs zachował spokój, pamiętam, zapanował nad sytuacją.

Była to spontaniczna reakcja. Obojętna. Krótka przerwa w pracy, by wspomnieć na pół zapomniane wydarzenie. Kiedyś wstrząsające, lecz dawno minione. Naturalna reakcja. Andrew poczuł się tak, jakby krew, która na wiele godzin zastygła w jego żyłach, teraz znów zaczęła płynąć. Jeszcze tylko jedno pytanie - pomyślał.

- Czy kiedykolwiek znaleziono winnego? - zapytał.

Sebastian, znów patrząc w dół na swoje papiery, pokręcił głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Jego głos był spokojny. Lecz kiedy podniósł wzrok na ojca, Andrew zauważył, że jego oczy są bardziej puste niż niewinne. Pozbawione uczuć. Jak krótkie zwanie. Nienaturalne.

A potem zadzwonił telefon i ta chwila minęła. Jego syn, ten znany mu mężczyzna, mówił zwięźle, uśmiechał się do niego, a kiedy Andrew podchodził do drzwi, przesłał mu w powietrzu pocałunek. I Andrew przeszedł obok Elspeth, niemal bez słowa, z bladym uśmiechem. A gdy znalazł się na ulicy, na Albemarle Street, skręcił w Piccadilly, tuż za Royal Academy zobaczył pustą taksówkę i przywołał ją. Poprosił taksówkarza, by odwiózł go do Hampstead.

- Czy coś się stało, panie Locke? - Ellie odkurzała dywan na schodach, kiedy Andrew wszedł frontowymi drzwiami.

- Nic się nie stało, Ellie - powiedział, siłąc się na wesołość.

Wyłączyła odkurzacz z kontaktu i zeszła na dół do holu.

- Czy czegoś pan zapomniał? - Przyjrzała mu się uważnie zza okularów błyszczącymi, zatroskanymi oczyma. - Jeśli wolno mi zauważyć, wygląda pan na zmęczonego. Mam nadzieję, że nie czuje się pan źle? Nie teraz, przed ślubem?

- Nie, Ellie, naprawdę czuję się dobrze. - Andrew podszedł prosto do swojego gabinetu i otworzył drzwi. - Muszę w domu popracować nad paroma dokumentami, to wszystko.

- To dobrze - powiedziała z uśmiechem. - To rozsądny pomysł spędzać więcej czasu w domu, właśnie w takim momencie. Czy chciałby pan napić się herbaty?

- Może później.

Zamknął za sobą drzwi gabinetu, wyjął z kieszeni pęk kluczy i otworzył głęboką szufladę na dole, po lewej stronie biurka. Po brzegi wypełniały ją papiery i rozmaite drobiazgi. Był tu niezły bagaż wspomnień, nagromadzonych przez ponad dwadzieścia pięć lat życia. Wyjął z szuflady cały stos przedmiotów i rzucił je na blat biurka.

Ponad godzinę zajęło mu znalezienie listu. Tak wiele było tu rzeczy, które odciągały jego uwagę: fotografie, wyjęte z albumów i ramek, świadectwa, para białych bucików, teraz brudnych i postrzępionych, jedyna rzecz wydziergana przez Dianę na drutach. Były tu też szkolne świadectwa Sebastiana, wszystkie zapowiadające wspaniałą przyszłość, świadczące, że chłopiec jest niemal geniuszem.

Lecz był tam też list. Andrew wiedział, że go tu znajdzie, gdy tylko sobie o nim przypomniał.

Dzięki Bogu, obrażenia nie były aż tak poważne, jak się wydawało. Doktor, zdaje się, uważa, że nie będzie blizny ani żadnego śladu. Ale cała szkoła jest w szoku...

Był też wystrzępiony wycinek z miejscowej gazety z Buckinghamshire, którą Sebastian przywiózł do domu w czasie szkolnych ferii, a o którym Andrew zapomniał. Pisano w nim o kwasie, wykradzionym ze szkolnego laboratorium, z którym wymieszano teatralną szminkę:

„...Przecież to nie do pomyślenia, żeby ktokolwiek był zdolny do takiej nikczemności...”

Andrew przeczytał list i wycinek z gazety trzykrotnie, po czym ostrożnie je zwinął i włożył do portfela. Po chwili namysłu wyjął je i zamknął ponownie z innymi papierami w szufladzie. Tu będą bezpieczniejsze, z dala od obcych oczu. Nigdy niczego nie można być pewnym.

Pojechał bentleyem na Gower Street i zaparkował naprzeciwko księgarni uniwersyteckiej. Trzy kwadransy później wyszedł z paczką pod pachą i pojechał dalej, do Foylesa na Charing Cross Road. Pod wycieraczką znalazł mandat, lecz, nie dbając o to, zostawił go tam i pojechał prosto do Doliny Wrzosów.

- Ellie! - zawołał, wchodząc do domu. Nie było odpowiedzi. Zawołał ponownie: - Ellie!

Zadowolony, że gospodyni wyszła, zapewne na zakupy, Andrew wrócił do gabinetu i zamknął się na klucz. Usiadłszy w skórzanym fotelu naprzeciwko biurka, nożem do papieru przeciął papierowe opakowanie obydwu paczek i wyjął z nich książki, jedną po drugiej. Były ciężkie. Trzymał je ostrożnie, delikatnie, jakby to był ładunek wybuchowy, gotów eksplodować w jego rękach. Ułożył je w stos, obok podkładki ze świńskiej skóry, którą Virginia kupiła mu w Smythsonie na urodziny, i usiadł głębiej w fotelu.

Okna jego gabinetu wychodziły na podjazd. Rosła tam piękna wierzba płacząca, nisko pochylona, tak że czasem jej gałęzie, poruszane wiatrem, uderzały o szyby. Młoda, wysoka kobieta, w dżinsach i czerwonych kaloszach, żywym krokiem przeszła przez jezdnię z suką rasy labrador, w drodze na grząskie po deszczu wrzosowisko. W koronie dębu wesoło śpiewał kos, a gdyby Andrew zechciał, usłyszałby cichy pomruk popołudniowego ruchu ulicznego, dobiegający z East Heath Road.

Andrew zatęsknił za spacerami z psami. Rufus i Jasper, stare złociste retrievery, zdechły wiele lat temu. Andrew nie miał serca zastąpić ich innymi psami, aż do chwili kiedy Virginia zaczęła namawiać go, by o tym pomyślał. Kochała zwierzęta i uważała, że dom bez psa i kota nie jest prawdziwym domem.

- Tęskniłam za zwierzętami, od kiedy Matthew zmarł, ale nigdy nie wydawało mi się w porządku skazywanie ich na życie w mieście - mówiła.

- Znajdziemy psa, kiedy się pobierzemy - obiecał.

- Może pojedziemy do Battersea? - zaproponowała.

- Obawiam się, że to przeżycie będzie zbyt bolesne - powiedział Andrew.

- Ale warto wysiłku, jeśli zapewnimy dom jakiemuś biednemu stworzeniu.

Myśli o szczęśliwych rodzinach, weselach i zwierzętach domowych zdawały mu się teraz odległymi mrzonkami. Odwrócił oczy od piękna za oknem i spojrzał na nieszczęście, leżące w stosie na biurku. Strach i nienawiść do samego siebie podeszły mu do gardła.

- Nie - powiedział cicho. - Nie dzisiaj.

Wstał i otworzył jedną z szafek za biurkiem. Następnie wziął książki, umieścił je na górnej półce i zamknął szafkę z powrotem na klucz. Były tu teraz, w jego domu, nie był jednak jeszcze na nie gotowy. Nie mógł na nie patrzeć. Jeszcze nie teraz.

Przez następnych kilka dni większość czasu Andrew spędzał w swoim gabinecie, zamknięty ze swoimi książkami. Wychodził tylko na posiłki i krótki odpoczynek nocny. Często odzywał się telefon. Dzwonili zatroskani współpracownicy i personel biura, niepokojący się o niego Virginia i Sebastian. Andrew pouczył Ellie, by mówiła wszystkim, którzy telefonowali, że jest bardzo zajęty pracą albo że jest na mieście. Jednak na trzeci dzień zdjął słuchawkę z widełek na długi czas.

- Ależ panie Locke, to znaczy, że nikt nie będzie się mógł do nas dodzwonić - powiedziała nieco skonsternowana Ellie.

- Rzeczywiście.

- Ale to może być coś pilnego. Pani Hart lub Sebastian mogą pana potrzebować albo może nastąpić jakiś kryzys w...

- Przykro mi, Ellie - powiedział Andrew, znów w drodze do swojego gabinetu. - Po prostu nie chcę, żeby mi przeszkadzano.

- Ale...

- Będę dzwonił do pani Hart i Sebastiana dość regularnie, żeby się nie martwili. I ty też nie powinnaś się martwić, Ellie.

- Oj, ja to z pewnością się o pana martwię - stanowczo stwierdziła Ellie. - Wygląda pan strasznie, panie Locke... w rzeczy samej, jakby był pan chory.

- Nie jestem chory.

- Więc rozchoruje się pan, jeśli potrwa to dłużej.

Andrew zamknął drzwi. Nie miało już znaczenia to, co pomyśli Ellie albo ktokolwiek inny. Nawet uczucia Virginii nagle zajęły drugorzędne miejsce. Dzwonił do niej, tak jak to obiecał Ellie, codziennie rano i wieczorem, wiedząc, że jeśli tego nie zrobi, Virginia przyjedzie do Dębów.

- To tylko nawał pracy - próbował ją zmylić. - To naturalne w obliczu zbliżającej się podróży poślubnej.

- Być może w biurze, ale dlaczego w domu?

- W biurze zbyt wiele rzeczy mnie rozprasza. Lepiej pracuje mi się tutaj.

Virginia początkowo nie dała się przekonać, po rozmowie z Ellie zaczęła się martwić, a na koniec się rozgniewała. Była pewna, że - tak jak obawiała się tego Ellie - Andrew podpadnie na zdrowiu, jeśli dłużej będzie zachowywał się w tak nieodpowiedzialny sposób. Jej narzeczony był strasznym pedantem, znała go z tej strony, ale zawsze wiedział, kiedy skończyć pracę i zostawić sobie czas na przyjemności i relaks.

- To niemądre, kochanie - powiedziała mu.

- Nie ma powodu do strachu - odparł ostrzej, niż zamierzał.

- Andrew, proszę cię... to jest do ciebie niepodobne. Musisz natychmiast z tym skończyć albo przynajmniej powiedzieć mi, co się stało.

Nie mógł ani jej powiedzieć, ani z tym skończyć. Andrew bez przerwy zmuszał się do powrotu w przeszłość. Próbował analizować każdy etap życia Sebastiana. Rozpamiętywał bolesny okres po śmierci Diany, starając się wychwycić jakiś znak, który być może wówczas przeoczył, a który mógłby świadczyć o nieprawidłowościach w rozwoju syna. Zawsze jednak wracał myślami do zdolności przystosowawczych Sebastiana, do tego, w jaki sposób syn pomógł mu pogodzić się ze stratą żony.

Cofnął się też w jeszcze dalszą przeszłość, badając związek Sebastiana z Dianą. Tak silnie do niego przylgnęła, już wtedy o tym wiedział. Czy była nadopiekuńcza? Ale przecież nawet jako mały chłopiec Sebastian był towarzyski, a oni oboje zachęcali go do nawiązywania przyjaźni. Bez końca Andrew zagłębiał się w to, co wiedział na temat niezależnego, dorosłego życia syna. Z pewnością najbardziej rzucał się w oczy odniesiony przezeń sukces. Lecz mimo niewątpliwie dużej ambicji i oddaniu pracy, Sebastian, tak jak jego ojciec, potrafił się zrelaksować. Andrew rozważał jego życie towarzyskie. Z pewnością syn miał wiele różnych dziewcząt. Pomyślał, że prawdopodobnie Sebastian nie zaznał jeszcze wielkiej miłości, lecz był przecież zaledwie dwudziestoparoletnim młodzieńcem, więc nie było powodu do zmartwienia. Miał jeszcze mnóstwo czasu na miłość. Andrew przecież poznał Dianę dopiero w wieku czterdziestu kilku lat, a ponownie zakochał się, mając lat siedemdziesiąt.

W przeciągu tygodnia skutki cierpienia duchowego, jakiego doznawał Andrew, widoczne były nie tylko w jego zachowaniu, ale i w wyglądzie. Prawie wcale nie sypiał, a kiedy zasnął, miał koszmary. Schudł prawie trzy kilo. Kiedy dwukrotnie pod koniec tygodnia Virginia i Sebastian pojawili się w Dębach, zmuszając go, by się z nimi zobaczył, byli przerażeni jego wymizerowaniem i nietypową dla niego zgryźliwością. Jednak Andrew czuł, że nie może zwierzyć się Virginii, a Sebastianowi nie potrafił spojrzeć w oczy.

Ósmej nocy, po trzech bezsennych godzinach, Andrew cicho zszedł na dół do gabinetu i otworzył szafkę za biurkiem. Jak co dzień, wyjął książki i usiadł.

Czuł się dziwnie spokojny, wyobcowany, daleki - jakby nagle opuściła go panika, zostawiając go z dziwnym uczuciem pogodzenia się z tym, od czego nie było już ucieczki. Przejrzał tytuły, wybrał tom, do którego dotąd nie chciał zaglądać i położył go na biurku. Litery na okładce jak przez mgłę zatańczyły mu przed oczyma. Sięgnął do kieszeni szlafroka po skórzane etui i włożył okulary.

W świetle lampki zobaczył tytuł. Tylko dwa słowa. Bardzo bezpośrednie.

„Choroby psychiczne”.

Rozdział 11

Piętnastego czerwca 1972 roku, o godzinie wpół do dwunastej przed południem, zgodnie z planem, Virginia i Andrew wzięli ślub w Caxton Hall w pobliżu St James Park. Był przepiękny dzień i powietrze przesyciła radość, kiedy uśmiechnięci nowożeńcy wyszli z pałacu ślubów. Wokół rozlegał się trzask aparatów fotograficznych i gratulacyjne okrzyki, sypało ryż na szczęście i konfetti. Jamiego, młodszego syna Virginii, jakaś ważna sprawa zatrzymała w Kalifornii, lecz Hugh, starszy syn, przyjechał na tę okazję wraz z żoną i córeczką z Edynburga. Kiedy robiono zdjęcia, zachwycone dziecko chichotało, siedząc na ramionach Sebastiana i słuchając strasznych historii, opowiadanych przez Jeremy'ego Marinera.

Obiad zjedzono w Mirabelle, w gronie bliskich przyjaciół i rodziny. Następnie Sebastian odwiózł ojca i macochę na Heathrow, gdzie wieczornym samolotem mieli odlecieć do Nicei. Bagaż został nadany i, podczas gdy Virginia wybierała powieść do czytania w podróży, Andrew z Sebastianem poszli do baru i zamówili dwie szklanki wody Perrier, by wychylic ostatni toast.

- Życzę ci długiego, szczęśliwego życia, tato - powiedział Sebastian. - Kocham was oboje.

- Virginia także cię kocha - uśmiechnął się Andrew. - A ja nie muszę ci mówić, co czuję, prawda?

Sebastian pokręcił głową, odstawił szklankę i uważnie spojrzał na ojca. Andrew wrócił do życia po tygodniu odosobnienia, który zdawał się trwać wieczność i który wszystkich tak martwił. Sebastian i Virginia nie mieli wyboru - musieli

przyjąć zapewnienia Andrew, że wszystko wróciło do normy. Jednak Sebastianowi wątpliwości nie dawały spokoju.

- Tato - powiedział teraz pośpiesznie, widząc nadchodzącą Virginie. - Czy u ciebie już wszystko w porządku? Pamiętam, co mówiłeś, ale czy jesteś całkiem pewny, że przed wyjazdem nie chciałbyś mi czegoś powiedzieć? Może poczułbyś się lepiej?

Andrew odpowiedział natychmiast i bez wahania.

- Wszystko jest w absolutnym porządku, Sebastianie. Jestem zupełnie szczęśliwy.... - urwał. - ...dopóki ty jesteś.

Ich oczy spotkały się. Była w nich miłość, czułość, troskliwość. I strach.

Każdy pobyt w Hotel du Cap w Cap d'Antibes był dla Andrew nowym źródłem przyjemności. Tym razem jednak jego radość była szczególna. Virginia przyjechała tu po raz pierwszy i czuła, jak rozpiera ją szczęście. Wysiadła z taksówki, wygładziła swój płócienny kostium koloru lososiego i przyjrzała się wyniosłej sylwetce hotelu, jego kremowym murom, jasnoniebieskim markizom i okiennicom.

- Och, Andrew, miałeś rację. To jest najpiękniejsze miejsce na świecie - powiedziała, wdychając powietrze. - I ten zapach! - Zamknawszy oczy, zaciągnęła się nim. - Sosna, jaśmin, mimoza i co jeszcze?

- Bugenwilla - powiedział Andrew. -I oczywiście róże, ale jeśli chcesz znać resztę, musisz zapytać ogrodnika. - Włożył rękę pod jej ramię. - Chodź. Tu jest ich o wiele, wiele więcej, wierz mi.

Pierwszy tydzień ich podróży poślubnej minął w błogim szczęściu. Każdego poranka budzili się odświeżeni i spokojni. Podziwiali wspaniały widok cichego parku hotelowego, z którym graniczyła szeroka, żwirowana droga, prowadząca prosto do Eden Roc Pavilion, na basen i nad Morze Śródziemne. Czasem jedli śniadanie w łóżku, innym razem na balkonie, a czasami na tarasie, wychodzącym na ogrody, gdzie z pobliskich kortów dochodził wyraźny, cichy dźwięk porannej gry w tenisa.

Codziennie opalali się, było też dość ciepło, by włożyć stroje kąpielowe i popływać w basenie. Obiady jadali w Eden

Roc, gdyż byli zbyt rozleniwieni, by chciało im się wychodzić poza obręb hotelu. Raz pojechali do Saint-Paul-de-Vence, innym razem podziwiali malarstwo Legera w muzeum w Biot, a któregoś wieczora wynajęli małego, szkarłatnego peugeota i zaryzykowali wycieczkę do Grand Corniche, aby obejrzeć zachód słońca. Virginia zauważyła, że Andrew wraca do równowagi. Z radością zauważyła, iż przestało go najwyraźniej trapić to, co martwiło go przed ślubem. To przebywanie we wzajemnym towarzystwie było dla nich rajem, cieszyli się sobą. Andrew czuł się tak, jakby miliony kilometrów dzieliły go od jego lęków i, rzeczywiście, wraz z upływem dni, zdawały mu się one coraz bardziej nieprawdopodobne. Swoje obawy odrzucał za dnia, zaś w nocy spał spokojnie.

Choć bardzo się kochali, nie przebywali ze sobą bez przerwy. Andrew przyzwyczał się do prywatności po tylu latach samotnego życia, a i Virginia lubiła samotne chwile. Najczęściej po południu Virginia pierwsza szła na górę do ich pokoju, żeby wziąć prysznic i przebrać się, po czym jechała do Antibes do fryzjera lub spacerowała po sklepach. Andrew czekał, aż żona wyjdzie z łazienki i brał prysznic, a następnie udawał się do Juan-les-Pins, gdzie kupował angielskie gazety w zatłoczonej papeterii. Potem zasiadał w jednej z ulicznych kafejek i czytał, popijając dubonnetę albo café noir.

Dziesiątego dnia podróży poślubnej usiadł przy stoliku na zewnątrz Pam-Pam, zamówił drinka, zapalił kubańskie cygaro, po czym zabrał się do czytania. Na początku przejrzał „Timesa”, następnie „Telegraph”, a potem leniwie zaczął przrzucać strony „Daily Express”.

Była to tak mała notatka, że równie dobrze mógłby ją całkiem przeoczyć. Jednak jego wzrok padł właśnie na nią. Tak, jakby to była jedyna pozycja na stronie dotyczącej informacji i plotek teatralnych.

Wczoraj Peter March ogłosił, że po sukcesie, jakim była inscenizacja „Dzikiej kaczki”, planuje wystawienie na West Endzie „Heddy Gabler”. Zapytany o obsadę, March był tajemniczy, chociaż...

Andrew nie czytał dalej. Strach chwycił go za gardło. Wstał, w kieszeni poszukał banknotu i, nawet na niego nie

patrząc, rzucił go na stół. Zostawił gazety. Smagający kartki wiatr, zaczął je przewracać, aż zsunęły się na ziemię. Andrew zaczął iść, wpiersw wolno, potem coraz szybciej - za szybko - z powrotem główną ulicą, mijając spokojne tego popołudnia kasyno, ochładzane wiatrem plaże, hotele Juana, Provencal i Belles Rives, w kierunku Cap d'Antibes.

Była to długa droga, o wiele za długa, ale Andrew nawet nie pomyślał, żeby wziąć taksówkę czy choć na chwilę się zatrzymać. Jednak kiedy zbocze stało się bardziej strome, a Hotel du Cap zniknął w oddali, musiał się zatrzymać. Nie mógł oddychać, a w boku czuł piekący ból.

To tylko ukłucie - pomyślał - nic więcej. Stał na skraju drogi, wspierając się o skalną ścianę. Z twarzy lał mu się pot, serce waliło, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Płuca walczyły o oddech.

Dobry Jezu - modlił się - proszę, nie teraz, Boże, nie teraz.

I kiedy tak chwilę odpoczął, oparty się o skałę, wróciły mu siły. Wyciągnął płócienną chusteczkę i otarł czoło i oczy. Hotel wciąż był daleko, ale wszystkie taksówki, które go mijaly, były zajęte. Nie uda mu się. Zamknął oczy. Pod powiekami pojawiły się litery... „nowa Hedda"... Przecież musiano kiedyś ją wystawiać - próbował myśleć racjonalnie. Później, po powrocie z Londynu, okazało się, że wystawiano tę sztukę wiele razy.

Ale wtedy Sebastian był studentem. Nie był agentem, którego całe *raison d'etre* polegało na wiedzy, kto będzie obsadzony w jakiej sztuce. Andrew się wyprostował. Chciał, by okazało się, że się myli, a ten strach to tylko dzieło jego wybujałej wyobraźni. Wróci do domu, by obserwować Sebastiana i być blisko niego.

Znów odezwał się strach. Andrew szybko szedł w stronę wzgórz.

Virginia była przerażona, gdy zobaczyła, w jakim stanie jest jej mąż. Nie dowierzała, gdy zaczął się upierać, że natiychmiast musi wrócić do Londynu. Na koniec zaś wpadła w furję, kiedy Andrew odmówił wyjaśnienia, co się stało w czasie tych ostatnich kilku godzin.

- Jeśli próbujesz uchronić mnie przed zmartwieniem - mówiła - to zapewniam cię, że już i tak odchodzę od zmysłów!

Kiedy wrócił, drzemała na łóżku w szlafroku, niecierpliwie na niego czekając. Teraz nerwowym krokiem przemierzała pokój.

- Przykro mi bardziej, niż jestem w stanie to wyrazić, kochanie. - Andrew mówił spokojnym głosem. - Gdybym mógł się tym z tobą podzielić, zrobiłbym to, musisz mi wierzyć.

- Ale mi nie ufasz. - Virginia była blada.

- Zawierzyłbym ci moje życie. - Andrew spróbował ująć jej dłoń, ale mu je wyrwała. - Nie istnieje na tym świecie nikt, komu ufałbym bardziej.

- Ale nie na tyle, żeby mi powiedzieć, dlaczego chcesz skrócić naszą podróż poślubną.

Twarz Andrew pokryła się czerwienią.

- Zdaję sobie sprawę, jak niezwykle musi ci się to wydawać...

- Poślubiłam mistrza niedomówień - ucięła Virginia. Była bliska łez.

- ...i wiem, że przez to, że nie chcę się tym z tobą podzielić, będziesz sobie wyobrażała coś gorszego niż to, co się stało.

- Więc powiedz mi.

- Nie mogę. - Andrew pokręcił głową. Miał smutne oczy. - Boże, jakże bym chciał. Ale nie mogę.

- A więc bardzo dobrze. - Virginia otworzyła jedną z szaf, zaczęła ściągać suknie z wieszaków i rzucać je na łóżko.

- Co robisz? - spytał Andrew.

- A jak myślisz?

- Kochanie, nie wolno ci... Chcę, żebyś tu została, odpoczywała i cieszyła się tym pobytem. - Wziął dwie sukienki, ale Virginia wyrwała mu je z rąk. - To szaleństwo rujnować też twoje wakacje.

- To nie są wakacje - powiedziała zdławionym głosem. - Myślałam, że to ma być podróż poślubna. I niech mnie diabli, jeśli zostanę tu z tobą.

Andrew nie mógł powiedzieć ani zrobić nic, co by ją pocieszyło. Byli teraz małżeństwem i kochał ją, ale te sprawy należały do niego. Nie chciał jej okłamywać, a gdyby teraz jej się zwierzył, już zawsze czułby, że zdradził Sebastiana.

Aż do rana nie było żadnego lotu. Kiedy minął Virginii gniew i wypłakała już gorące łzy rozczarowania, postanowili

zrobić wysiłek - przebrali się przed zejściem na kolację do Eden Roc.

Na zewnątrz, za dużymi, panoramicznymi oknami fale rozbijały się o skały i biała, gęsta piana morska unosiła się wysoko w powietrze. Tej nocy nie było gwiazd, a księżyc umykał ciężkim, gromadzącym się chmurom, co jakiś czas wynurzając swój rozmyty sierp.

Między nimi panowała przygniatająca smutkiem cisza. Przez ponad rok Andrew robił wszystko, co tylko było w jego mocy, by otoczyć Virginie miłością i spokojem. Troszczył się o nią, jak można najlepiej i okazywał uwielbienie, robił wielki, szczerzy wysiłek, by dzielić się z nią każdym okrucostwem swego życia. A teraz, nagle poczuła się przez niego opuszczona. Wcześniej miała nadzieję, że kiedy znajdą się w restauracji, w jednym z ich ulubionych miejsc, być może Andrew otworzy przed nią serce. Wydawał się jednak bez reszty czymś zaabsorbowany. Prawie nie tknął steku, który zamówił. Zapatrzony w dal, ledwo maczał usta w bordeaux. Virginia żałowała, że nie zostali w swoim pokoju, ponieważ ta piękna restauracja wydawała się stworzona do radości i ożywionych rozmów. Nie było tu miejsca na nieszczęście.

- Wiem, że to jest związane z twoim dziwnym zachowaniem przed ślubem - odezwała się Virginia. - Wiedziałam wtedy, jakkolwiek nie chciałeś mnie zmylić, że to musiało być coś strasznego.

Andrew nic nie odpowiedział, miał w rękach serwetkę.

- Bez przerwy próbuję sobie wyobrazić, co to może być. - Virginia znów była bliska łez, zacisnęła zęby, usiłując je powstrzymać. - Przyszła mi do głowy myśl, że wtedy, w Londynie, bałeś się, iż możesz być bardzo chory, a dzisiejszego popołudnia dowiedziałeś się....

- Nie - przerwał Andrew.

Siedziała bez ruchu.

- Wszystko z tobą w porządku?

- Tak - powiedział miękko. - Nic złego ze mną się nie dzieje, moja najdroższa.

- Przysięgnij.

- Zapewniam cię, że nie.

- A Sebastian? Może jest chory, czy ma kłopoty?

- Nie. - Wahanie przed odpowiedzią było niezauważalne.

Virginia obserwowała męża. Zdawał się nieco mniej elegancki dzisiejszego wieczora. Srebrzyste włosy i gęste brwi bardziej pobielały, interesujące zmarszczki stały się głębokimi bruzdami, wyżłobionymi przez wiek i troski. Każde wypowiedziane przez niego słowo brzmiało ochryple, tak bardzo był przygnębiony. Wyglądał staro. Ale kochała go bardziej niż zwykle.

- Kocham cię - powiedziała.

Podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

- Mimo wszystko?

Zastanowiła się, zanim odpowiedziała.

- Myślę, że zawsze będę cię kochać. Nawet jeśli będziesz próbował skłonić mnie do tego, żebym cię znienawidziła.

- Czy myślisz, że właśnie to robię? - zapytał smutno.

- Takie mam wrażenie.

Taktownie zachowując milczenie na temat ledwie tkniętego jedzenia, kelner zaproponował im sery, a potem deser. Odmówili.

- Poproszę tylko o kawę - powiedziała Virginia.

Dla mnie też. - Andrew poczekał, aż kelner odejdzie i wstał. - Przepraszam, kochanie, ale muszę wyjść na chwilę.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Oczywiście.

Virginia rzadko paliła. Ale teraz wyjęła jednego z torebki i pozwoliła przechodzącemu obok kelnerowi podać sobie ogień. Zaciągnęła się dymem i wyjrzała przez okno, na ciemne Morze Śródziemne. Skały na dole były ponure, odstraszające. Trudno było uwierzyć, że jeszcze tego ranka opalający się turyści rozsiadali się na nich, odprężeni i szczęśliwi.

Na zewnątrz restauracji zaczął się jakiś ruch. Słyszała podniesione głosy i kątem oka zauważyła biegnącego szybko mężczyznę. Jakaś kłótnia - pomyślała - a może sprzeczka kochanków. Z powrotem spojrzała w okno, na własne, zacienione odbicie. Mocno wyprostowane, całkiem nieruchome, samotne. Kelner przyniósł kawę, nalał jej maleńką filiżankę i cicho odszedł. Virginia dotknęła jedną ręką policzka i po-

czuła, że jest wilgotny od łez. Nawet nie wiedziała, że płacze. Bardzo zakłopotana, szybko otarła łzy i zaczęła mieszać kawę.

W tym momencie spostrzegła, że mała grupka, stojąca w holu, patrzy w jej stronę. A potem maitre d'hotel pośpiesznie zaczął iść w kierunku jej stolika. Zobaczyła, że jego twarz jest blada.

Serce Virginii ścisnęło się, przeniknięte panicznym, paraliżującym strachem. Podskoczyła, wywracając filiżankę. Kawa rozlała się na biały obrus i dywan.

- Co się stało? - Gardło miała ściśnięte z przerażenia.

Maitre d'hotel pochylił się ku niej. Ustami niemal dotknął jej ucha, by inni goście nie usłyszeli i nie zdenerwowali się.

- Proszę wyjść ze mną, madame Locke. Pani mąż...

Ale Virginia już biegła przed nim, nieświadoma twarzy odwracających się za nią przy każdym stole. *Maitre d'hotel* zatrzymał się na chwilę, by wziąć jej torebkę; zgasił papierosa i kazać kelnerowi wytrzeć rozlaną kawę i zmienić obrus. Potem poszedł za nią, myśląc w duchu, że wiele by dał za to, by nie przynieść tej przykrej wiadomości.

W holu szatniarz i jeszcze jeden mężczyzna zagrodzili Virginii drogę.

- Proszę mnie przepuścić - powiedziała spokojnie. Coś niepokojącego w barwie jej głosu przecięło ciszę. Mężczyźni się odsunęli.

Andrew leżał tuż obok drzwi, z twarzą zwróconą ku kamiennej posadzce. Jedną rękę miał wyprostowaną, z rozstawionymi szeroko palcami, jakby po coś sięgał. Druga ręka była zwinięta nienaturalnie. Jakiś ciemnoskóry mężczyzna o kręconych włosach, ubrany w śnieżnobiałą koszulę, przyklęknął obok niego, chcąc podłożyć pod jego policzek swoją zwiniętą marynarkę. Kiedy zobaczył Virginie, zastygł w bezruchu.

Przez jedną krótką chwilę miała jeszcze nadzieję. Otworzyła usta, by zacząć krzyczeć na mężczyzn, stojących nieruchomo. Zróbcie coś! - chciała krzyknąć. - Sprowadźcie pomoc!

Ale nie krzyknęła, nawet nic nie powiedziała. Stała jak sparaliżowana, a obcy człowiek, klęczący koło jej męża, podłożył marynarkę pod biedną, martwą twarz Andrew, jakby

miała chronić ją przed zimnem i twardością posadzki. Potem wstał i, nie mogąc się zdobyć na spojrzenie Virginii w oczy, wycofał się.

Maitre d'hotel, nie wiedząc, jak jej pomóc, ujął ją delikatnie za ramię, lecz, czując jej sztywność, po chwili je puścił. Później opowiadał innym, jak bardzo zaimponowała mu odwaga Virginii. Nie miało to jednak nic wspólnego z odwagą. Stała sama i bezradna. Na razie nie czuła nic. Była jak martwa.

Jakiś głos za jej plecami wymamrotał: *Voyage de nocés* i Virginia uświadomiła sobie, że w holu zgromadził się niewielki tłum. Dobiegł do niej szmer pełnych współczucia słów, małych, lodowatych ukłuc litości. Drgnęła wtedy i zwróciła się do *maitre d'hotel*.

- Czy mógłby pan poprosić, by wszyscy odeszli, monsieur - powiedziała cicho, niemal spokojnie.

- Oczywiście, madame.

Tłum, pełen powagi szybko się rozszedł. Szepty ucichły.

- Czy ja też mam odejść, madame? - zapytał *maitre d'hotel*.

- Tak, bardzo proszę.

Zamknął za sobą drzwi. Została z Andrew sama.

Następnego dnia po śmierci Andrew „Daily Express” wydrukował kilka linijek tekstu: Mówiąc, że opuściła go wena, producent Peter March ogłosił, że zrezygnował z wystawienia nowej „Heddy Gabler”.

Sebastian, siedząc w pierwszej klasie samolotu lecącego do Nicei, niemal automatycznie przeczytał tę notatkę w gazecie. Treść wywołała w nim gwałtowny wstrząs. Przez chwilę się zastanawiał nad tym. Ale potem lekki ból głowy, z którym się obudził, wzmógł się, i Sebastian zapomniał...

Tego ranka był pogrążony w smutku, okryty żałobą. Słowa te nic dla niego nie znaczyły.

Rozdział 12

Pogrzeb odbył się w mokre, wietrzne popołudnie, zaledwie szesnaście dni po ślubie. Andrew został pochowany obok Diany na Hampstead Cemetery. Wiele z osób, które przybyły z kondolencjami dla Sebastiana i Virginii, dwa tygodnie wcześniej dzieliły ich radość z powodu ślubu. Tym razem byli obecni obydwaj synowie Virginii, przyszli też koledzy i klienci Andrew, i wielu ludzi bogatych i znanych, co przyciągnęło uwagę prasy. Większość z nich zgromadziła się tu z powodu pogrążonych w żałobie wdowy i syna, niektórzy jednak chcieli tu być ze względu na pamięć Diany Lancaster, która przedstawiła ich swojemu ukochanemu, skromnemu, przystojnemu adwokatowi trzydzieści lat temu.

Sebastian stał obok macochy. Prawą rękę włożył delikatnie pod jej ramię, gestem pocieszenia raczej niż dla fizycznego wsparcia. Virginia była blada, lecz opanowana, pełna godności. Sebastian wiedział, że tylko on czuje jej nieznośne napięcie. Nawet kiedy rzucano na trumnę ciężkie grudy ziemi, wątpił, czy ktokolwiek zauważył ból, który nią wstrząsnął.

Kwestia miejsca pochówku ojca nie dawała mu spokoju, od dawna bowiem było ustalone, że Andrew zostanie pochowany obok Diany. Teraz jednak nie wydawało się to Sebastianowi słuszne. Virginia natomiast nie miała takich wątpliwości.

- Andrew należał do twojej matki przez prawie trzydzieści lat - powiedziała do Sebastiana. - Do mnie nie należał nigdy. Ja byłam z nim tylko chwilę.

- Kochał cię całym sercem.

- Wiem o tym - odparła Virginia i ścisnęła dłoń Sebastiana, wdzięczna za jego wrażliwość. - Jednak twoi rodzice powinni leżeć obok siebie i jedynie to wydaje się słuszne. Nie wolno ci myśleć, że w ten sposób to, co łączyło Andrew i mnie, dozna jakiegoś uszczerbku.

Sebastian nie potrafił spokojnie mówić o stracie, która go dotknęła. Załamała go wstrząsająca nagłość śmierci ojca; tragiczne było to, że zdarzyło się to tuż po ślubie. Zauważył jednak, że potrafi przeżywać żalobę w sposób naturalny.

- Był najlepszym ojcem, jakiego w ogóle mógłbym sobie wyobrazić - powiedział Jeremy'emu po pogrzebie w zatłoczonym salonie w Dębach. - Dla mnie był wszystkim - ojcem, przyjacielem, partnerem. Był taki rozsądny... - nalał sobie drugą szklankę whisky i zapalił papierosa - ale i tak strona uczuciowa w nim przeważała. Nigdy nie podjął żadnej decyzji, kierując się tylko zdrowym rozsądkiem, jeśli miałyby to komuś sprawić ból.

- Był moim bohaterem - spokojnie powiedział Jeremy.

- Naprawdę? - Sebastian nie krył zdziwienia. - Nie wiedziałem.

- Nigdy nie mówiłem ci o tym. - Jeremy wzruszył ramionami. - Nie sądzę, żeby i Andrew był tego świadom. Wiedział, że go szanuję. I pewnie też, że go lubię. - Przerwał. - Nie spotkałem wielu ludzi tak godnych podziwu.

- Myślałem, że podziwiasz swojego ojca.

- Tak. - Jeremy uśmiechnął się krzywo. - Głównie za to, że wytrzymał z moją mamą, no i ze mną. Podziwiałem Louisa Schwartza nie tylko za to, że dał mi szansę w Nowym Jorku. Ale twój tato... Myślę, że był moim bohaterem od początku, odkąd byliśmy w przedszkolu. Był taki, jak wyobrażałem sobie wodza wikingów. No i zawsze mogłeś na niego liczyć.

- Bardzo cię lubił - powiedział miękko Sebastian. - Pamiętam ten dzień, kiedy przedstawiłem mu pomysł naszej współpracy. Prawie ani przez jeden moment się nie wahał.

- Wiedział, że nigdy cię nie zawiodę - odparł Jeremy.

Po pogrzebie trzeba było podjąć bolesne decyzje. Wszystkie rzeczy Virginii zostały przed ślubem przewiezione do

Dębów. Sebastian był przekonany, że Virginia zostanie w Hampstead.

- Ale to jest twój dom - protestowała.
- Ja tego nie czuję - odparł Sebastian.
- Gdybym mieszkała tu z Andrew, prawdopodobnie bym się z tobą zgodziła, ale nie spędziliśmy tutaj razem ani jednej nocy.

Sebastian uparł się.

- Ja mam swój dom - powiedział. - Odpowiada mi, lubię go. Tata chciał, żebyś mieszkała tutaj, w tym domu. Jednak jeśli postanowisz, że nie chcesz tu zostać, przypuszczam, że trzeba będzie go sprzedać. - Zamilkł. - Nawet nie wiesz, jak bardzo bym tego nie chciał.

- To brzmi jak szantaż - łagodnie odparła Virginia.
- Przepraszam. - Zamyślił się na chwilę. - A co powiesz na kompromis? Zamieszkaś tu na jakiś czas. Ellie już mi mówiła, że chciałyby tu zostać. A jeśli mnie przyjmiesz, zostanę z wami, póki nie poczujesz się swobodnie.
- A jeśli nie wytrzymamy ze sobą?
- Wtedy jeszcze raz się zastanowimy.

Sebastian został cztery tygodnie. Przez pierwsze dwa ani na chwilę nie przestawali przychodzić goście. Razem z Virginią na przemian czuli ulgę i zdenerwowanie z powodu tych odwiedzin. Chcieli być sami, ale jednocześnie pragnęli towarzystwa innych ludzi. Opóźniał się w ten sposób moment, kiedy od samotności nie da się już uciec.

Miesiąc potem Sebastian przeniósł się do Mayfair. Ten od lat kochany dom - Sebastian tak bardzo pragnął, by znów wypełnił się szczęściem i ciepłem - teraz zdawał się zimny i szary. Wiedział, że musi zostawić Virginię jej własnemu losowi, zanim za bardzo uzależni się od jego towarzystwa. Miał nadzieję, że wybierze pozostanie na stałe w Dębach, choć obiecał, że jeśli się rozmyśli, pomoże jej w znalezieniu nowego domu.

Poza tym nadszedł już czas, by wrócił do pracy w agencji. Przez pierwsze tygodnie Jeremy sam prowadził firmę. Na szczęście ich działalność nie została zagrożona przez tę bolesną stratę. Należało jednak przywrócić dawny porządek, aby

nie narazić się na utratę z takim trudem uzyskanej pozycji. Kiedy Sebastian wrócił do Locke Mariner, jeszcze wyraźniej uświadomił sobie, jak bardzo będzie mu brakować ojca.

Był początek sierpnia, kiedy Virginia poprosiła, by Sebastian przyjechał do Dębów, aby, co było to nieuniknione, przejrzeć rzeczy należące do Andrew.

- Jest trochę przedmiotów, na które może wolałbyś rzucić okiem sam - mówiła. - Wiem, że oboje się tego lękamy, ale kiedyś trzeba będzie to zrobić.

- Czy jesteś już na tyle silna, aby temu podołać? - zapytał Sebastian, wiedząc, że on nie jest gotów.

- Oczywiście, że nie - odparła Virginia. - Ale lepiej mieć to za sobą, nie sądzisz?

- Jutro rano?

- Będę na ciebie czekać.

Virginia zaczęła, zanim przyjechał Sebastian. Na łóżku z baldachimem, w głównej sypialni, leżały skrzętnie poukładane stosy marynarek, koszul, krawatów i swetrów Andrew.

- Pomyślałam, że przekazemy te rzeczy różnym organizacjom charytatywnym - powiedziała żywo, choć jej zaczerwienione oczy świadczyły o tym, że płakała przy tym zajęciu. - Tych kilka przedmiotów chciałabym zatrzymać. Wiem, że to niemądre, ale szczególnie lubiłam go w tym swetrze, a ten krawat był jego ulubionym.

- Dałam mu go na urodziny kilka lat temu.

- Mówił mi o tym. - Virginia mówiła z wysiłkiem:

- Nie byłam pewna, czy chcesz zatrzymać którąś z tych rzeczy na pamiątkę. Może wpadniesz tu później, żeby to przejrzeć?

- Dobrze. - Sebastian zawahał się. - Myślałem, że może... jeśli nie masz nic przeciwko temu, zrobię przegląd w gabinecie taty.

- To dobry pomysł. Wszystkie te papiery... - przerwała, zgadując, że Sebastian chce ją uchronić przed osobistymi pamiątkami, które mogły być związane z pierwszym małżeństwem Andrew. - Był niezłym kolekcjonerem, prawda?

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i do pokoju zajrzała Ellie.

- Czy mieliby państwo ochotę na filiżankę herbaty?

Sebastian uśmiechnął się.

- Nawet jeszcze nie zacząłem, więc nie sędzę, żebym sobie na nią zasłużył.

Dolna warga Ellie zadrżała, ale przygryzła ją szybko.

- Nawet sama myśl o takiej pracy wymaga herbaty - nalegała. - Zrobię dobrą i mocną.

Sebastian nie wchodził do gabinetu ojca od jego śmierci. Teraz uprzytomnił sobie, że nie zrobił tego, ponieważ to właśnie było najbardziej osobiste miejsce Andrew w całym domu. Kiedy Sebastian zamknął za sobą drzwi, poczuł wręcz namacalną obecność ojca.

Usiadłszy za biurkiem i włożywszy jeden z kluczy w zamek środkowej szuflady, Sebastian zawahał się. Poczł niechęć do przeszukiwania rzeczy ojca. Ale musiał to zrobić.

Było tu kilka teczek, których szukali partnerzy Andrew, kopie dokumentów prawniczych i jakieś ważne papiery, zbiór jego własnych listów z czasów szkolnych z Marchmont i większość jego korespondencji z Edynburga. Ten dowód wrażliwości i ojcowskiej miłości, która cechowała Andrew, głęboko Sebastiana wzruszył. Odłożył listy na bok, by później lepiej im się przyjrzeć. Następnie zajął się pierwszą z trzech stalowych szafek pod ścianą. Znalazł w niej kolekcję przedmiotów, nawiązujących do wspomnień, od których chciał uchronić Virginię: cztery grube albumy w skórzanej oprawie, zawierające wycinki artykułów i recenzji z przedstawień Diany, dziesiątki fotografii i, obwiązane czerwoną wstążką, jej listy miłosne.

To w ostatniej szafce znalazł książki. Wziął do ręki pierwszą, obojętnie zerknął na tytuł i wyciągnął inne, jedną po drugiej. Odłożył je na biurko.

Po krótkiej chwili poszedł po Virginię.

- Widziałaś je przedtem?

Potrząsnęła głową, tak samo zdziwiona jak on.

- Nie, nigdy. Andrew nie przejawiał najmniejszego zainteresowania psychologią ani psychiatrią. Ponieważ mój pierwszy mąż był psychiatrą, musiałoby to wyjść na jaw w czasie naszych rozmów, nie sądzisz

- Może miały one coś wspólnego z przypadkiem, nad którym pracował? - zastanawiał się Sebastian.

- Mam je wysłać do jego biura?

Sebastian pomyślał chwilę.

- Jeśli będą ich potrzebowali, z pewnością się o nie upomnę. Nie myśl już o nich. - Poczował silne pragnienie, by odłożyć książki z powrotem tam, skąd je wziął. Nie chciał dłużej na nie patrzeć. Tak jakby miały w sobie coś wstrętnego i odstręczającego.

Kiedy Sebastian już odjechał, a Ellie położyła się spać, Virginia wróciła do gabinetu i jeszcze raz otworzyła szafkę. To odkrycie ją zaniepokoiło. Zaczęła się zastanawiać, czy może jest jakiś związek między tymi książkami a tajemnicą, która tak strasznie gnębiła Andrew przed śmiercią.

Książki miały jeden temat wspólny - chorobę psychiczną. Każda z nich zajmowała się rodzajem schorzeń: chorobami nerwowymi, obsesjami, natręctwami, depresjami, psychozami albo schizofrenią. Czy jest to możliwe - zastanawiała się Virginia - żeby jakiś potworny, irracjonalny lęk o własny stan zdrowia spowodował ten straszny, wymizerowany wygląd Andrew przed ślubem?

- Nie - powiedziała na głos. - To absurdalne.

A jednak ta dziwaczna zmiana w jego zachowaniu w ostatni dzień życia zmuszała ją do rozważenia tej kwestii. Virginia, przybita przykrymi wspomnieniami, zadrzała. Zauważyła, że wszystkie książki były poznaczone w wielu miejscach zakładkami albo pozaginanymi rogami, choć Andrew nie miał takiego zwyczaju.

Virginia otworzyła pierwszą książkę, po czym z powrotem ją zamknęła. Czowała się wypalona. A poza tym, co mogła teraz zyskać na tym, że zajrzy - być może - w jedną z niewielu ciemnych sfer w życiu męża? Oczywiście Andrew poznał smutek, przeżył tragedię, ale w znacznej mierze siedemdziesiąt lat jego życia wypełniała pomyślność. Lepiej pozostać przy tej myśli.

Westchnęła i wstała. Z powrotem położyła książki na górnej półkę i odwróciła się. Po namyśle uważnie zamknęła szafkę na klucz i, wyczerpana, wolno poszła na górę do sypialni.

Rozdział 13

Katharine Andersen, prowadzącą takie wspaniałe, aktywne życie, mającą cudownego, kochającego Davida, i piękne mieszkanie na Manhattanie, nękał jakiś nieokreślony niepokój. Trudno jej było pojąć, dlaczego tak się dzieje. Gniewała się sama na siebie i zastanawiała się, czy jej przeznaczeniem jest stać się jedną z tych wiecznie niezadowolonych kobiet, które niezmiennie chcą mieć to, czego nie mają.

- Czy sądzisz, że jestem za bardzo podobna do mojej mamy?

- spytała Sama Raphaela podczas jednej z prób samoanalizy.

Sam zmarszczył czoło.

Z Louisą nie było tak źle, oprócz tego tylko, że nigdy nie przestała kochać Jake'a, ale się do tego nie przyznawała.

A jednak oddaliła się od niego w małżeństwie. - Katharine wiedziała, że zachowuje się nietaktownie i że nie powinna przeprowadzać z ojczymem takich rozmów. Lecz już wiele razy przeszli tę drogę, a Samowi, co było dość znamienne, zdawało się to nie przeszkadzać.

Oddaliła się od niego, ale tylko dlatego, że żal po Annie był dla niej nie do zniesienia.

- Więc jak to się dzieje, że ja czuję ten przymus, by odsunąć się od Davida? - pytała bezradnie.

Sam uśmiechnął się.

- Nikt za ciebie na to pytanie nie odpowie. Może David. Porozmawiaj z nim.

Laszlo Eles przebywał w Europie, i nie mając w najbliższej przyszłości perspektywy pracy, Katharine jeszcze bar-

dziej czuła się złapana w pułapkę, co z kolei wzmagało jej poczucie winy. Wiedziała, że Sam miał rację i że jedyną osobą, której powinna zawierzyć w kwestii swoich uczuć, jest David. Jednak zdobyła się na odwagę dopiero pod koniec listopada, gdy szykowali się do snu, pewnej nocy tuż po Święcie Dziękczynienia.

- To nie twoja wina - mówiła, rozpaczliwie próbując zmniejszyć ból, który wiedziała, że musi mu zadać. - I nie ma nic wspólnego z tobą. To wszystko tkwi we mnie w środku.

- Wiem o tym - powiedział David. Siedział na krawędzi łóżka, z nagle pobladłą twarzą. - Może nawet wołałbym nie wiedzieć. Bo gdybym to ja coś źle robił, może potrafiłbym temu zaradzić.

- Nie - szybko odparła Katharine, siadając obok niego. - Nawet nie wolno ci myśleć o tym, żeby coś w sobie zmieniać. Kocham cię takim, jaki jesteś. Problem nie leży w tobie.

Na chwilę zapadła cisza, po czym David podszedł do okna.

- Przypuszczam, że najbardziej przeraża mnie to - powiedział powoli - że może nie jesteśmy sobie przeznaczeni.

- Ależ jesteśmy cudowną parą - zaprzeczyła Katharine. David westchnął. I w tym momencie Katharine zobaczyła strach w jego oczach i wiedziała, że David boi się, iż może ją stracić. Poczowała ogromną ochotę, by podejść do niego, otoczyć go ramionami, przytulić i dać mu to poczucie bezpieczeństwa, które on zawsze jej dawał. Ale nie była na to pora. Zbyt dużo czasu potrzebowała, by zdecydować się na tę rozmowę.

- W porządku - odezwał się raptem David. - Mam propozycję.

- Tak? - Teraz Katharine była przerażona.

- To pomysł wyłącznie na krótką metę. Niczego nie rozwiąże, ale może da ci czas na oddech, którego potrzebujesz. Twój wuj, szwagier twojej babci...

- Henrik?

- Często do ciebie pisuje, prawda? A czy nie zaprasza cię za każdym razem w odwiedziny, do Danii?

- Oczywiście, ale...

- Dlaczego nie pojedziesz? - Brązowe oczy Davida ożywiły się, na chwilę zniknął z nich strach, a jego miejsce zajął

optymizm. - Samotna wycieczka za granicę do ojczyzny twojego ojca mogłaby okazać się dokładnie tym, czego potrzebujesz.

- Chcę pojechać tobą - powiedziała Katharine.

- To w pewnym sensie zniweczyłoby nasz cel, nie sądzisz?

- Wrócił do łóżka i delikatnie przyciągnawszy ją ku sobie, ucałował jej włosy. - Przestań o mnie myśleć tylko na chwilę, dobrze? Ta wyprawa jest dla ciebie, wyłącznie dla ciebie. Będę tutaj, kiedy wrócisz.

- Jesteś pewien?

- Czego? Że tu będę?

- Że nie masz nic przeciwko temu.

- Mam - odparł David. - Ale chcę, żebyś była szczęśliwa.

Katharine przyjechała do Kopenhagi w połowie grudnia. Nie była w Europie od czasu kiedy miała pięć lat. I choć być może wolałaby przed wszystkimi innymi miastami zobaczyć Londyn i Paryż, czuła, że wycieczka do Kopenhagi jest bezpieczniejsza. W Anglii i Francji nie miała rodziny i nikogo nie знаła. Tutaj zaś przynajmniej miała wujka.

- Wspaniale, wspaniale! - radował się Henrik, kiedy spotkali się na lotnisku. - Jesteś piękna, jak myślałem. - Otoczył ją ramieniem i mocno przytulił. - Czy wiesz, że mam tylko jedną rękę? - zapytał swobodnie.

- Tatuś mi mówił i babcia - odparła Katharine z ulgą, że wspomniał o tym w taki sposób. Mimo że była na ten widok przygotowana, gdy pierwszy raz spostrzegła jego pusty prawy rękaw, poczuła się trochę nieswojo.

- Jak się miewa Karen? - spytał Henrik, odbierając jej wózek z bagażem i kierując się w stronę wyjścia. - Od dłuższego czasu nie pisze.

- Przypuszczam, że ostatnio czuje się marnie, choć pani Nielsen tak skutecznie broni do niej dostępu, że czasami trudno czegokolwiek się o niej dowiedzieć, nie mówiąc już o zobaczeniu się z nią.

- Jaka ona jest, ta Gudrun Nielsen? Czy należycie opiekujecie się Karen?

- Niewątpliwie. Jest formalistką...

- Formalistką? - nie zrozumiał Henrik.

- Jest sztywna, zasadnicza. Ale widziałam je razem i jest całkiem inna z moją babcią: robi się łagodna i dość zabawna. Sądzę, że są dobrymi przyjaciółkami.

Wyszli z sali przylotów. Było słonecznie i mroźnie. Katharine cieszyła się, że wzięła płaszczyk z futrzaną podpinką.

- Będiesz potrzebowała czapki - powiedział Henrik. - Dziś nie ma wiatru, ale zobaczysz, że kiedy wieje, mróz naprawdę szczypie.

- Czy jedziemy taksówką?

Wuj pokręcił głową.

- Przyjechałem samochodem. Jeśli poczekaś tutaj z bagażem, sprowadzę go. - Spojrzał na nią i zaśmiał się. - Zastanawiasz się, jak mogę prowadzić bez prawej ręki?

- Nie, jestem pewna, że...

- Mam specjalnie przystosowany samochodzik i prowadzę jak diabeł. Boisz się?

- Jestem przerażona.

Henrik Andersen miał sześćdziesiąt lat i byłby tylko o cztery lata starszy od swego bratanka, Jake'a, gdyby ojciec Katharine żył. Wynikało to z tego, że ojciec Henrika późno ożenił się po raz wtóry. Henrik był wysokim blondynem, o niebieskich, przenikliwych oczach. Jak Katharine zdążyła już tego doświadczyć, potrafił ścisnąć kogoś z siłą niedźwiedzia, mimo posiadania tylko jednej ręki.

Stracił rękę we wczesnych dniach wojny, podczas ćwiczeń wojskowych, gdy służył w duńskim wojsku. Kiedy Niemcy zaatakowali jego kraj, Henrik, przygnębiony i wściekły, został zmuszony do przesiadywania na tyłach, wraz ze swoimi rodakami. Wiedział, że nie ogłoszono oficjalnego stanu wojny między Danią a Niemcami i przebywałby tu nawet będąc pełnosprawnym, bowiem inwazję tę, znaną jako „pokojowa okupacja”, zastosowano pozornie dla utrzymania neutralności Danii.

Do sierpnia 1943 roku administrowanie krajem wciąż jeszcze prawnie leżało w gestii Danii, choć pozostawało pod dużym wpływem nazistów. Jednak kiedy w sierpniu rząd podał się do dymisji, Niemcy rozszerzyły swoje wpływy. Wtedy działał już w Danii ruch oporu.

Mimo że Henrik nie miał ręki, poprzysiągł sobie, że odegra swoją rolę do końca. Na początku, kiedy w Londynie dopiero formował się ruch oporu, Henrik bez przerwy ćwiczył swoją prawą dłoń i ramię, dopóki nie zyskał pewności, że jest sprawny. Nie wystarczało mu, że pisał czytelnie, mógł kochać się ze swoją żoną Anne-Marie, jak również zmieniać pieluszki swojego synka. Henrik pragnął móc jeździć na rowerze, nauczyć się obsługiwać tajny odbiornik radiowy, strzelać z pistoletu i walczyć z faszystami. Dzięki niezwykle silnej woli i dyscyplinie, jaką sobie narzucił, starał się zapomnieć o bólu, który wciąż dokuczał. Robił wszystko, co mogło usprawnić rękę. Wykańczał nawet robótki żony, trzymając w ustach patyk, który służył mu jako prymitywna proteza ręki. Choć Henrik nigdy bezpośrednio nie walczył z żadnym Niemcem, pomagał przy drukowaniu jednej z licznych gazet ruchu oporu, oraz brał udział w wielu strajkach i demonstracjach. Co najważniejsze, w początkowych dniach października 1943 roku, które zostały wyznaczone przez nazistów jako dni łapanek i deportacji ludności żydowskiej, Henrik pomagał w pomyslnym skoordynowaniu akcji ratowania i wywiezienia do bezpiecznej Szwecji wielu osób uratowanych od zagłady.

Anne-Marie, jego żona, zmarła w dwa lata po skończeniu wojny. Henrik, nie mogąc znieść bez niej życia w ich wspólnym domu na Jutlandii, zabrał dzieci - syna Erika i córkę Agnes - do Kopenhagi. Kupił piękne, przestronne mieszkanie na eleganckiej ulicy Esplanaden, sąsiadującej z Winston Churchill Park. Zaledwie krótki spacer dzielił mieszkanie od zatoki, Kastellet, siedemnastowiecznej cytadeli i od muzeum duńskiego ruchu oporu. Henrikowi ta lokalizacja wydała się wprost doskonała - tak blisko wzruszających pamiątek z tych strasznych i pełnych chwały lat.

- Mój brat - wyjaśniał Katharine pierwszego, wspólnego popołudnia - zmarł przed wojną, a wdowa po nim, Karen...
- Moja babcia.
- Właśnie... Wzięła swojego jedyne go syna Jacoba, twojego tatę, do Ameryki, w roku 1934.
- Musiałeś czuć się samotnie - powiedziała Katharine. - Po tym, jak straciłeś żonę.

- Oczywiście. Ale dzięki Bogu, miałem jeszcze dzieci. I wspaniałych przyjaciół z czasów ruchu oporu. Poza tym, żeby mieć zajęcie, zatrzymałem jeden z trzech sklepów z antykami, które posiadaliśmy razem z bratem przed jego śmiercią. Wciąż jeszcze istnieje i jest otwarty, przy Bredgade. Musisz go odwiedzić.

- Bardzo bym chciała... - Katharine urwała. - Ani Erik, ani Agnes nie mieszkają w Kopenhadze, prawda?

Henrik potrząsnął głową. Napełnił fajkę tytoniem i zapalił.

- Nie przeszkadza ci dym?

- Nie, lubię jego zapach.

Milczał przez chwilę.

- Erik mieszka w Sztokholmie, razem ze swoją rodziną, a Agnes w Aalborg, na północy.

Powiedział Katharine, że ma pięcioro wnuków, jednak zbyt rzadko je widuje, i że niewielu z jego starych przyjaciół jeszcze żyje. Tak więc wiódł spokojne życie. Wciąż jeszcze parę razy w tygodniu odwiedzał swój sklep. Był prowadzony doskonale, więc Henrik czuł, że bardziej przeszkadza, niż naprawdę pomaga. Resztę czasu spędzał na spacerach ze swoimi dwoma sznaucerami-miniaturkami, słuchał muzyki i palił jedną z fajek ze swojej bogatej kolekcji.

Psy - suczka, wabiąca się Fanny i jej brat, Asger - były głównym powodem, dla którego Henrik niechętnie daleko podróżował. Wszędzie mu towarzyszyły i nigdy się z nimi nie rozstawał. Kiedyś jednak musiał je zostawić same i bardzo to przeżyły.

- Od tamtej pory - powiedział Henrik - wyjeżdżałem z Kopenhagi jedynie wówczas, gdy mogłem podróżować pociągiem albo samochodem. Psy uwielbiają jazdę pociągiem. - Przerwał. - Dlatego właśnie nie pojechałem do Ameryki na Pogrzeb twoich rodziców.

- Zrozumiałam to.

- Nie, nie przypuszczam. Prawda była taka, że śmierć Jacoba przywołała wspomnienia o moich własnych stratach, choć było to tak dawno. Obawiałem się, że znowu wpadnę w depresję.

- Nie wiedziałam o tym. Twoje listy były takie cudowne. I wciąż przychodziły następne. Pocieszyły mnie o wiele bar-

dziej, niż uczyniłaby to jedna krótka wizyta, szczególnie dlatego, iż nie sędzę, żebym zdawała sobie wtedy sprawę z tego, co się dookoła dzieje.

Miałem nadzieję, że przyjedziesz tutaj, do mnie - powiedział Henrik. - Jacob pisywał mi o tobie, kiedy byłaś mała i potem, kiedy rosłaś. Twój tata był z ciebie taki dumny. Zawsze przysyłał mi kopie programów sztuk, w których grałaś w szkole, a i potem, kiedy robiłaś projekty scenograficzne na uniwersytecie.

- Ja też byłam z niego dumna - miękko powiedziała Katharine.

- Oczywiście bardzo za nim tęsknisz. I za swoją mamą. - Fajka Henrika zgasła. Na powrót ją zapalił. - Spotkałem Louise tylko dwukrotnie, kiedy przyjechali mnie odwiedzić. Była piękną kobietą, inteligentną i delikatną.

- Tak, właśnie taka była. - Przypominam bardziej Jacoba niż ją.

- Sylwetka, wzrost... chociaż te oczy... - Henrik przyjrzał się jej bliżej. - Nigdy nie widziałem oczu w takim kolorze. Zdjęcia nie pokazują ich w pełnej krasie.

Wspaniale się ze sobą czuli. Henrik miał młodzieńcze usposobienie, był ciepłym, żywotnym człowiekiem, z cudownym poczuciem humoru i ogromnym optymizmem. Katharine była zafascynowana tym, iż nareszcie ma okazję zobaczyć miasto, w którym wyrósł jej ojciec, a wuj był zachwycony, że może je siostrzenicy pokazać. To nie była najlepsza pora dla Kopenhagi - powiedział jej - ponieważ Tivoli, często odwiedzane tak przez turystów, jak i Duńczyków, zostało zamknięte na miesiące zimowe. Poza tym było bardzo zimno. Z drugiej jednak strony już za dwa tygodnie będą święta Bożego Narodzenia i na ulicach, w restauracjach, barach, kawiarniach i sklepach zapanuje świąteczna atmosfera. Henrik urządził dla Katharine przejażdżkę wokół miasta, oprowadził ją po wszystkich muzeach, zabrał ją do Christiansborg Castle, by zobaczyła sejm w czasie obrad. Zabrał ją też na Jutlandię, by pokazać, gdzie mieszkali jej dziadkowie.

- To wszystko jest tak niepodobne do tego, co sobie wyobrażałam przed przyjazdem - powiedziała Henrikowi Ka-

tharine. - Kiedy myślałam o Kopenhadze, miałam przed oczyma wizję zwartego miasteczka, chyba dość kolorowego i staroświeckiego. A w rzeczywistości jest to miasto znacznie bardziej przestronne i dostojne. Te wszystkie imponujące, znakomite, stare budynki i te wspaniałe, eleganckie place.

Jednym z największych uroków miasta było to, że w jednej chwili można było spacerować wąską, wyłożoną kocimi łbami ulicą, aby później znaleźć się na otwartej przestrzeni, wśród okazałych gmachów. Katharine, która wyrosła w Waszyngtonie, była oczywiście przyzwyczajona do pięknej, imponującej architektury, ale tutaj wszystko było takie stare.

- Mówię jak prawdziwa amerykańska turystka, prawda? - śmiała się.

- Przecież właśnie nią jesteś - odparł spokojnie Henrik. - Nie ma w tym nic złego.

- Powiem ci, co jeszcze jest wspaniałe - ciągnęła z entuzjazmem. - Wasze powietrze. Nigdy jeszcze nie oddychałam tak czystym i świeżym powietrzem. I nie macie korków ulicznych. Nie wiem, czy to dlatego, że po prostu jest zbyt zimno, by rozsądnym ludziom chciało się wychodzić z domów. Ale w porównaniu z Nowym Jorkiem tutejsze ulice są wręcz puste.

Kiedy Katharine dobrze poznała miasto, zaczęła postrzegać Kopenhagę jako ogromny projekt scenograficzny. Kiedy tak spacerowała po mieście, czuła, jak zaczyna w niej ożywać wena twórcza. Kupiła blok rysunkowy, ołówki, węgiel do rysowania i pastele i zaczęła tworzyć - chodząc, zbierała pomysły do przyszłych, jeszcze nie sprecyzowanych projektów.

Uważała, że kopenhaskie pomniki są cudowne. Miasto pełne było niezwykle oryginalnych, często imponujących, rzeźbionych pomników: na Radhusplandsen była fontanna z Bykiem i Smokiem, w Glyptotekken znajdowała się Matka Wody, w pobliżu mieszkania Henrika, w parku, blisko Langeinie, mieściła się niezwykle fontanna Gefion. Któregoś poranka Katharine po wielogodzinnym rysowaniu siedziała sama, w wygodnej, przytulnej restauracyjce, przy oknie wychodzącym na największy plac w mieście - Kongens Nytorv. Po prawej stronie widziała Danish Royal Theatre, a po drugiej barokowy budynek Charlottenburg i miała wrażenie,

że patrzy na szarawą, lecz wspaniałą scenerię, do której niewidzialna ręka mistrza dodała obsadę aktorską, samochody i przechodniów, rowery i psy - a wszystko to dla wzmocnienia realizmu sceny.

Ale to w domu prawdziwy urok i swojskość Kopenhagi były najbardziej widoczne. Pokoje wuja zastawione antykami były zaciszne i przytulne. Można było rozłożyć się na kanapie, zając kanapkę, bez śladu skrepowania. Fakt, że Fanny i Asgerowi pozwolono na spanie w nocy na łózkach, powodował, że Katharine czuła się jeszcze swobodniej, jak w domu.

- Jestem już gotowa - powiedziała do Henrika. Była prawie jedenasta wieczorem i w salonie słuchali koncertu fortepianowego Szopena.

- Na co?

- Powiedziałeś, że mam ci dać znać, kiedy będę gotowa przedyskutować problemy, które mnie tu sprowadziły. - Zamilkła. - Zajęło mi to tyle czasu... już prawie mam wracać do domu. Ale sądzę, że nie będę już lepiej przygotowana do podjęcia tej rozmowy.

- Więc pozwól, że zapalę fajkę i usiądę wygodnie. Wtedy możemy zacząć.

Katharine czekała, aż Henrik się usadowi na fotelu.

- Chodzi o to, że tak naprawdę sądzę, iż chyba nie mam żadnych problemów. - Zamilkła na chwilę. - A raczej, mam poczucie winy z powodu tego uczucia.... To znaczy... że mam problemy. Czy rozumiesz, o czym mówię?

- Jeszcze nie.

- Moje życie, odkąd wprowadziłam się do Davida, jest wspaniałe. Szczęśliwe, wygodne, uporządkowane. A David jest tak dobry i kochający.

- Mów dalej.

Henrik pozwolił Katharine wszystko z siebie wyrzucić. Czuł, że jego siostrzenica została wychowana może zbyt poprawnie. Jej wykształcenie i środowisko nauczyły ją zbyt wielkiej powściągliwości. Wyglądało to tak, jakby z powodu bogactwa i luksusu Katharine czuła, że jej życie jest uprzywilejowane i że to wstyd czuć strach czy nieszczęście, a przynajmniej przyznawać się do nich. Zaś życie - myślał Henrik -

wcale nie było dla niej takie łaskawe. Po pierwsze, strata młodszej siostrzyczki, potem rozwód rodziców, a na koniec ich tragiczna śmierć. Henrik domyślał się, że kiedy to się stało, Katharine ukrywała swoje prawdziwe uczucia. W głębi duszy zaś była jeszcze dzieckiem.

- Ten twój David - odezwał się, kiedy wreszcie skończyła - wygląda na bardzo przyzwoitego człowieka.

- Bo jest nim.

- Ale jeśli nie jesteś do niego przekonana, może nie jest odpowiednim dla ciebie mężczyzną. -Henrik postukał fajką, żeby wytrzepać z niej popiół. - Życie jest długie i pełne, i warto przeżyć je jak najlepiej, moja kochana Katharine. Mężczyzna, którego wybierzesz, by z nim je przeżywać, musi być tym odpowiednim mężczyzną. To jest trudne, ale trzeba szukać, póki nie będzie się pewnym, że to właśnie ten.

- Jak to poznać?

- Będiesz wiedziała, kiedy poczujesz pewność. Daję ci słowo. Jesteś wyjątkowa i powinnaś zadowolić się czymś dobrym, a nie najlepszym.

- Ale David Rothman jest najlepszy.

- Może dla kogoś innego. Niekoniecznie dla Katharine Andersen. - Zapalił zapalną, przez chwilę zaciągał się fajką, po czym kontynuował:

- Chirurg, jak Jacob, jest w porządku, oczywiście. A do tego dobry człowiek, to jeszcze lepiej. Ale gdzie to jest napisane, że kierowca autobusu, aktor, pisarz albo prawnik nie byłby dla ciebie lepszy? Właśnie dla ciebie?

Katharine nie odpowiedziała.

- Przypuszczalnie oczekiwałaś, że powiem ci, byś została ze swoim Davidem. A czy myślisz, że to byłoby właściwe? Boisz się skrzywdzić tego miłego, dobrego człowieka. Przeraza cię pustka, jeśli go zostawisz.

- Może - powiedziała cicho. - Często się tego obawiam.

- Wszyscy się lękamy, o wiele częściej, niż chcemy się do tego przyznać... Nie mogę i nie chcę dawać ci rad co do wyboru w tak istotnej kwestii - ciągnął. - Ale radzę, byś posłuchała swojego wewnętrznego głosu serca i wzięła je pod uwagę. I nie śpiesz się Katharine, daj sobie tyle czasu, ile potrzebujesz. I bądź trochę łagodniejsza dla siebie.

David nie protestował, gdy postanowiła z powrotem wprowadzić się do swojego mieszkania. Poczekwała z zawiadomieniem go o tym, aż skończyły się święta Bożego Narodzenia. Zrobiła to dlatego, że sama chciała upewnić się, iż robi to, co powinna, a także dlatego, że nie mogła znieść myśli o unieszczeniu Davida przed samymi świętami. W tej sytuacji jednak była tak niespokojna, nerwowa i spięta, że i tak wszystko psuła, co z kolei ją zawstydzalo. Wina, wina, wina! Dość miała tego poczucia. Henrik miał rację. Nie można było na tym budować długotrwałego związku, nie mówiąc już o zawarciu małżeństwa.

Wyprowadziła się w noworoczny poranek 1974 roku, po najpiękniejszej nocy, jaką ze sobą spędzili. Kochali się z desperacją i czułością, i Katharine czuła, że David jest jej bliższy niż kiedykolwiek przedtem. Gdy tylko się obudziła, poczuła, że wypełnia ją tkliwość i radość. Ale już po chwili wróciła świadomość postanowienia, że odchodzi, pamięć miesięcy chaosu i uczuciowego zamętu, które przeżyła wcześniej. Byłoby głupie i złe, gdyby cofnęła tę boleśnie podjętą decyzję właśnie teraz.

- To nie jest koniec - powiedziała mu, pragnąc wtulić się w niego, przedłużyć ich ostatnie wspólne chwile w ciepłym, bezpiecznym łóżku. - Przynajmniej nie z mojej strony. Chociaż zrozumiałabym, gdybyś ty chciał ze mną ostatecznie zerwać.

- Wiesz, że tego nie chcę - odpowiedział. - Nie chcę, żebyś odchodziła, chociaż myślę, że to rozumiem.

- Naprawdę?

- Próbuję rozumieć.

Przez resztę poranka David był milczący. Zniósł dzielnie tę porażkę. Przeprowadził ją do mieszkania, uparł się, że zanieśnie jej rzeczy. Katharine kilkakrotnie podkreślała, że robi tylko krok do tyłu, aby rozsądnie ocenić swoje uczucia. Wiedziała jednak, że dla Davida jest to bolesne, bowiem nie miał wobec niej żadnych wątpliwości, nie podzielał jej lęków i obaw. Tylko i wyłącznie miłość, troskliwość i szacunek.

- Mam zrobić kawę? - spytała niezręcznie, kiedy znaleźli się już w jej mieszkaniu i zamknęli za sobą drzwi.

- Nie, dziękuję.

- W porządku. - Katharine czuła się tak źle, że jej głos drżał. David pobladł. Wiedziała, iż jest bliski załamania i że powinna pozwolić mu odejść.

- Więc... - odezwał się. - Chyba potrzebujesz czasu, żeby się rozpakować i z powrotem przyzwycząić do tego miejsca.

Kiwnęła głową.

- Będzie dziwnie.

- Tak. - Jego oczy były ciemne i smutne.

- Czy zobaczę cię kiedyś? To znaczy...

David uśmiechnął się blado.

- Wracamy do randek. Zawsze ich nienawidziłem.

- Nie wracamy do tego - odparła Katharine z rozpaczą. - Ale nie odrzucam tego wszystkiego, co między nami było,

Davidzie, przysięgam. Za wiele to dla mnie znaczy.

- Wiem. - Poruszył się. - Ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym już wyjść... Na dzisiaj już starczy, dobrze?

Dajmy sobie szansę, żeby jakoś się pozbierać.

- Dobrze - powiedziała smutno.

Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz mnie potrzebowała. -

Ujął jej lewą rękę w swoją. Dotknął jej po raz pierwszy od chwili, gdy weszli do mieszkania. - Naprawdę. Cokolwiek zechcesz. Jakikolwiek będziesz miała problemy.

- Wiem, że mogę na ciebie liczyć - powiedziała Katharine głosem ochrypłym od gorzkich łez. - Kocham cię, Davidzie.

- Ja też cię kocham, Katharine.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, zaczęła płakać.

Wstrzymywała łkanie tak długo, aż mogła być pewna, że jej nie usłyszysz. Potem usiadła na kremowej sofie - swojej własnej, samotnej, zimnej sofie - i długo, długo płakała. A potem znalazła butelkę wina i upiła się. Wstąpiła w to pierwsze popołudnie nowego roku bardziej zagubiona i nieszczęśliwa niż kiedykolwiek.

Karen Andersen zmarła w lutym. Pogrzeb wzbudził w Katharine smutne wspomnienia, świadoma jednak była, że to Przygnębienie ma jeszcze głębsze korzenie. Mieszkała teraz sama, spotykała się z Dawidem dwa lub trzy razy w tygodniu, lecz zawsze wracała do swojego domu. Jednak miała poczucie, że jej życie jest jak mozaika ze źle dopasowanych części.

Mocno tęskniła za życiem z Davidem. Zbyt dobrze pamiętała, co wtedy czuła. I choć zdawała sobie sprawę z tego, że może go stracić na zawsze, jeśli okres tego zawieszenia będzie się przedłużał, czuła się bezsilna i nie potrafiła zmienić biegu wydarzeń.

Stało się to w kwietniu, trzynaście miesięcy od ich poznania. David powiedział Katharine, że ta sytuacja stała się dla niego nieznośna i że dłużej nie może tego tolerować. Ma trzydzieści trzy lata, chciałby się ożenić, a to oczekiwanie doprowadza go do obłądu.

- Wciąż cię kocham, wiesz o tym, prawda? - mówił po tym, jak powiedział jej, że to już koniec. - Ożeniłbym się z tobą w tej chwili, gdybym tylko wiedział, że właśnie tego chcesz.

- Wiem. - Głos Katharine zmienił się w szept.

- Ale nie jesteś gotowa, prawda?

- Nie mogę - odparła.

Kiedy tym razem wyszedł z jej mieszkania opuścił jej życie - Katharine zabrakło łez. Nie czuła nawet bólu. Stało się coś gorszego - w ogóle nie czuła nic. Tylko rozpaczliwe pogodzenie się z losem.

Rozdział 14

Bar hotelu Carlton w przedostatnią noc Festiwalu Filmowego w Cannes w 1974 roku, był zatłoczony, zadymiony i śmierdział whisky, pernodem i duszącą mieszaniną perfum. Sebastian nie chciał wchodzić głębiej w tłum i stał przy wejściu, rozglądając się za Jeremym. Zauważył go przy barze ze szklanką w dłoni.

- Przepraszam za spóźnienie. Co pijesz? - Przyjrzał się szklance przyjaciela, po czym dał znak barmanowi. - Comme d'habitude, s'il vous plait, monsieur.

- Jak poszło? - spytał Jeremy.

- Dobrze. - Sebastian rozejrzał się wkoło. - Omówimy szczegóły na gorze, ale oni chcą Barbarę tak bardzo, że praktycznie możemy już napisać naszą własną wersję kontraktu.

- Wiedzą, że nie będzie podróżować bez synka?

Sebastian kiwnął głową.

- I że musi być w Londynie na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Wobec tego wszystko uzgodnione.

Odkąd Barbara Stone stała się klientką Locke Mariner, nigdy nie żałowała tej decyzji. W 1972 roku nakręciła komedię sensacyjną z Michaeliem Caine'em, która stała się ogromnym sukcesem kasowym, zaś jej ostatnie londyńskie przedstawienie zostało przeniesione na Broadway i otrzymało fantastyczne recenzje. Kiedy wyemitowano jej stary serial w telewizji w Stanach Zjednoczonych w godzinach najwyższej oglądalności i po tym, jak z wielkim sukcesem pokazała się w kilku talk-show - wliczając w to dwa spotkania z Johnnym Carsonem w przeciągu sześciu miesięcy - Barbarę

okrzyknięto najlepszą amerykańską aktorką. Właśnie w poprzednim miesiącu jej zdjęcie ukazało się na okładce „Today” - tuż po nominacji do Nagrody Tony'ego. A teraz w Cannes Sebastian podpisał korzystny dla niej - po raz pierwszy w nowej roli gwiazdy - kontrakt.

- Dzwoniłeś już do niej? - spytał Jerry.

- Jeszcze nie. - Sebastian skosztował armaniaku. Przyjemność sprawiała mu subtelna ostrość trunku i powoli szeroki uśmiech rozszerzył jego usta. Dzisiejsze interesy zostały załatwione w miłej atmosferze w Negresco, w Nicei, ale samo uczestniczenie w festiwalu było wyczerpujące.

- Nadal jesteś zdecydowany dziś w nocy opuścić miasto?

- Absolutnie.

Nawet w najlepszym dla Cannes okresie Sebastian nie lubił tego miasta, a teraz nie był to z pewnością ten najlepszy czas. Cannes można było krytykować, ale za to tuż obok było pięknie i uroczo. Już dawno obiecał sobie, że opuści Cannes jeszcze tego wieczora i pojedzie na wzgórze, do Saint-Paul-de-Vence, gdzie zrobił rezerwację w Colombe d'Or.

- Może pojechałbyś ze mną, Jerry? - zapytał, choć wiedział, że pytanie to jest bezcelowe. Jeremy rozkwitł w atmosferze festiwalowej, a jego kompani na ten wieczór i noc z pewnością już czekali w kolejce. Sebastian wiedział, że Jeremy rzadko śpi sam.

Spółka Locke Mariner była ostatnimi czasy uważana za jedną z najsilniejszych w branży. Lecz im lepiej Sebastiano wi i Jeremy'emu się powodziło, tym bardziej musieli tolerować różnice, które od zawsze istniały między nimi jako indywidualnościami. Prawie zawsze mieli odrębne gusty, prowadzili inny tryb życia. Jednak łączyła ich jedna rzecz, coś, co nie miało nic wspólnego z agencją, o czym nigdy nie dyskutowali - uprawianie seksu bez miłości. Ale i tu dzieliły ich ogromne różnice. Jeremy, będąc biseksualistą, stawał się coraz bardziej rozwiązły. Krążyły żartobliwe, acz złośliwe plotki, że Jeremy Mariner przespałby się ze wszystkim, co się rusza, nawet z królikiem, byle tylko był dość urodziwy. I choć Jeremy słyszał te złośliwości, nie uczynił nic, aby położyć im kres. Seks w jego życiu był bardzo ważny. Podobnie

jak Sebastian, Jeremy nigdy nie był uczuciowo zaangażowany w związek z kobietą. Jeremy doskonale wiedział, dlaczego sprawy właśnie tak się mają. Kochał Sebastiana. Był zakochany w Sebastianie. Kochał go od zawsze. I wiedział, że nigdy nie powie mu o swoich uczuciach.

Jeremy zawsze z tego powodu cierpiał. Wiedział, że choć Sebastian bardzo go lubi, zależy mu na nim i ma dla niego szacunek, niezależnie od wszelkich plotek i złośliwości - nigdy nie odwzajemni jego miłości. Sebastian Locke był najlepszym, najinteligentniejszym, najbardziej przyzwoitym mężczyzną, jakiego Jeremy znał. Nie było w nim niegodziwości i zdrady. Jako człowiek dorosły pozostał tym samym złotym chłopcem, którym był w szkole, człowiekiem niezdolnym do wyrachowanego zła. Niestety, Sebastian był heteroseksualny.

Jeremy prowadził przyjemne życie. Miał luksusowy dom w Chelsea, jeździł morganem, miał mnóstwo pieniędzy i to szczęście, że praca dawała mu pełną satysfakcję. Wciąż jednak Sebastian był najlepszą częścią jego życia. Jeremy nauczył się kontrolować swoje uczucia; był świadom tego, że mądrzej będzie w taką noc jak dzisiejsza zostać w Cannes, podczas gdy Sebastian sam pojedzie do Saint-Paul. Wiedział, jak każdy dzień przeżyć w pełni i świadomy był bólu, który w sobie tłumił. Jednocześnie wiedział, że nigdy nie odejdzie od swego partnera, jakkolwiek cenę przyjdzie mu za to zapłacić.

Dwadzieścia minut zajął Sebastianowi wyjazd wynajętym mercedesem z miasta. Croisette było tego wieczoru prawdziwym zagrożeniem, tylu kierowców i przechodniów najwyraźniej pozostawało pod wpływem alkoholu i narkotyków. Sebastian był zadowolony z tego, że ograniczył się tylko do tej jednej szklaneczki armaniaku. Za Martinez droga była zablokowana przez volkswagena i citroena, które uległy wypadkowi. Kraksa była niewielka, ale obydwaj kierowcy wysiedli z samochodów i jeden z nich, mocno zbudowany mężczyzna w koszulce i szortach, klął głośno i gestykulował. Sebastian siedział w samochodzie, zrezygnowany i rozbawiony, podczas gdy inni kierowcy za nim trąbili klaksonami.

Ładna, młoda prostytutka podeszła do mercedesa, pokazała Sebastianowi wszystkie swoje wdzięki, dając mu trzydzieści sekund do namysłu, po czym niespiesznie odeszła ku fiатовi, stojącemu za nim.

Konflikt został zażegnany i skłócenie kierowcy odjechali z piskiem opon. Sebastian wrzucił bieg, spojrzął w tylne lusterko, w którym zobaczył młodą prostytutkę, wracającą na chodnik przed hotelem, i wcisnął pedał gazu. Tydzień był interesujący, a dzień dzisiejszy dość owocny i przyjemny, lecz teraz odczuł intensywne pragnienie, by zostawić za sobą wybrzeże i wjechać na wzgórze.

Cote d'Azur straciło dla Sebastiana wiele ze swojego uroku od śmierci Andrew w Cap d'Antibes. Uznawał fakt, że nie było z jego strony szczególnie rozsądne to, iż kojarzył zawał serca - który równie dobrze mógłby zabić ojca gdziekolwiek indziej - z tym miejscem albo jakimś regionem świata. Niedługo przed przyjeźdem na lotnisko w Nicei, kiedy samolot leciał tak nisko nad Morzem Śródziemnym, że, zdało się, iż zaraz zawadzi o małe, białe jachty i żagłówki, zawsze wzbudzało w Sebastianie szczególny, wręcz bolesny zachwyt. Teraz zaś przypominało mu to tylko czerwcowy dzień 1972 roku, kiedy przyjechał tu, aby zabrać ciało ojca.

Właśnie dochodziła druga w nocy, kiedy mercedes pokonał ostatni zakręt pod górę i znalazł się w Saint-Paul-de-Vence. Nawet niski pomruk silnika wydawał się przeszkadzać panującej w tym miejscu ciszy. Portier nocny w Colombe d'Or drzemał. Sebastianowi wydawało się, że popełnia niemal grzech, gdy znów budzi go ze snu.

Widok z ogrodu nie był tak cudownie piękny, jak jeszcze parę godzin przedtem. Z poprzednich doświadczeń pamiętał, że wszystkie światła na zboczu wzgórza, z punktami maleńkich wiosek na tle winnic i kwietnych ogrodów, migotały wówczas jak rój gwiazd. Teraz było bardzo ciemno, przy cienkim sierpnie księżyca zawieszonym na niebie. Jednak z niczym nieporównywalna woń tej krainy wciąż jeszcze wisiała w powietrzu, ten słodki zapach jaśminu i mimozy. Sebastian głęboko wciągnął go w płuca i zdał sobie sprawę, jak strasz-

nie jest zmęczony. Ugięły się pod nim nogi i poczuł falę krańcowego wyczerpania, której nie mógł się oprzeć. Wyszedł z ogrodu, przeszedł obok portiera, który znów zdążył zasnąć, i wrócił do swojego pokoju.

Rozebrał się, zostawił ubranie na krześle i nalał sobie lampkę koniaku, z butelki, którą wcześniej zapakował do walizki. Następnie wyłączył światła i rozłożył się nagi na chłodnych prześcieradłach. Przez otwarte okno wpadało delikatne powietrze i pieściło jego nagą skórę, podczas gdy kończył drinka.

Po chwili poczuł, że mu zimno i wśliznął się pod przykrycie. Nie mógł zasnąć. Wciąż bolały go wszystkie mięśnie. Uzmysłował sobie, że koniak podziałał na niego stymulująco, zamiast usypiająco. Przewracał się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Przyszło mu do głowy, że poczyta coś przed zaśnięciem, ale wymagałoby to zbyt wiele wysiłku. Pomyślał o Jeremym, leniwie zastanawiając się, z kim też spędza on dzisiejszą noc w Cannes. Potem zaczął myśleć o Barbarze Stone i o kontrakcie, który wcześniej tego dnia wynegocjował na jej korzyść. Leżąc w łóżku, rozmyślał o interesach agencji. Zdarzało mu się to zbyt często.

W ciągu dwu lat, które minęły od śmierci Andrew, Locke Mariner, bardziej niż kiedykolwiek przedtem, stało się całym życiem Sebastiana. Szczęście nie opuszczało agencji ani na chwilę i partnerzy musieli na początku tego roku przenieść się do większych pomieszczeń biurowych, kilkaset metrów dalej, wzdłuż Albermarle Street. Elspeth Lehmann kierowała biurem, lecz przyjęli również dwie nowe sekretarki, księgowego na pełen etat oraz doradcę prawnego. Kiedy Sebastian nie siedział przy biurku - opracowując nowe programy kampanii reklamowych czy nowe strategie działania z Jeremym, albo próbując usprawnić metody administracyjne z Elspeth - przebywał w teatrach, w pokojach przesłuchań lub w biurach, czy też w salach konferencyjnych firm telewizyjnych i filmowych. Jeremy był całkowicie oddany agencji Locke Mariner, lubił jednak tak samo bawić się, jak i ciężko pracować. Kiedy biura w Wielkiej Brytanii kończyły pracę pod koniec dnia, Jeremy wydzwaniał do klientów i firm, pracujących w innych strefach czasowych.

Sebastian wyglądał i czuł się bardziej sprawny fizycznie niż kiedykolwiek. W działalności zawodowej odznaczał się zręcznością, wnikliwością, i był na tyle twardy, jak było to konieczne. Zaś w życiu prywatnym, jeśli tylko czas mu na nie pozwalał, był życzliwy, bystry, rozluźniony i szczodry. Kobiety nadal wkraczały w jego życie i opuszczały je w oszalamiającym tempie, lecz miłość wciąż pozostawała dla niego nieodkrytym mitem. Nadal regularnie spotykał się z Virginią, która, tak jak miał nadzieję, pozostanie w Dębach. Wciągał ją, jeśli tylko mógł, do życia towarzyskiego agencji. Jednak poza szczerą sympatią do swojej macochy nie umiał w żaden sposób zappełnić pustki, którą zostawił po sobie Andrew.

Trzy miesiące po powrocie z Francji Sebastian i Jeremy znaleźli się w Los Angeles, by pomóc w pokierowaniu karierą Simonowi Keanowi, który stanął właśnie w obliczu międzynarodowego sukcesu. Nieoczekiwanie pojawiła się przed agencją szansa, aby Locke Mariner podpisał kontrakt z pierwszym dużym nazwiskiem kina amerykańskiego. Michael Jaffe był aktorem o ciemnych, zmierzwionych włosach i słowiańskich rysach, którego zdolności dramatyczne i wdzięk przyciągnęły setki tysięcy fanów do kin w kilku krajach. Od ponad trzech lat wygrywał castingi na wiodące role w niektórych najlepszych i najlepiej sprzedawanych filmach. Michael Jaffe był gwiazdą.

I wtedy Jeremy wykorzystał okazję. Jaffe zawarł właśnie porozumienie ze swoim dotychczasowym agentem, który prowadził małą agencję na Manhattanie i któremu był wierny od samych początków kariery w warsztatach teatralnych. Używszy aprobatę agenta, Jaffe miał zamiar znaleźć dodatkowego reprezentanta do pomocy na scenie europejskiej, na którą miał właśnie zamiar wejść. Agentem w Nowym Jorku był Louis R. Schwartz. To on właśnie dał Jeremy'emu Marinrowi pierwszą pracę w branży. Kiedy Jeremy zadzwonił do niego z Los Angeles, jak zwykle, kiedy był w Stanach Zjednoczonych, Schwartz bez wahania skontaktował go z Jaffem.

- Jeśli mu się spodobać - mówił Schwartz do Jeremy'ego - ty i twój partner będziecie musieli przyjechać do Nowego Jorku, żeby to wszystko obgadać.

- Jutro ci pasuje?
- Jutro jest szabat, Jeremy.
- Od kiedy jesteś religijny, Lou?
- Starzeję się - odparł Schwartz. - Zabezpieczam się na wszystkie strony.
- Myślisz, że spodobamy się Jaffe'owi? - zapytał Jeremy.
- Nie zaproponowałbym spotkania, gdybym tak nie myślał.
- Jak to się dzieje, że nie idzie prosto do wielkich agencji, Lou? To znaczy, nie zrozum mnie źle, bardzo się cieszymy, że tego nie robi. Ale większość gwiazd kalibru Jaffe'a lubi schronić się pod jednym, dużym parasolem.
- Michael jest dzieckiem Brooklynu - wyjaśnił Schwartz.
- Duży biznes wywołuje u niego wysypkę. On lubi intymność. Ty i Locke powinniście mu pasować.

Jaffe polubił Jeremy'ego i Sebastiana. Spodobała mu się agencja Locke Mariner, pokochał Elspeth Lehmann, przypadł mu do gustu sposób, w jaki prowadzono biura w Anglii, zaś Londyn był istnym rajem, zaraz po Nowym Jorku.

- Nie zrozumcie mnie źle, chłopcy. Nowy Jork to najwspanialsze miasto na świecie. Nowy Jork to dom. Ale Londyn to całkiem co innego.

Jaffe szukał słowa, które może nie brzmiałyby w jego ustach tak, jakby był przeciętnym turystą. Nie udało mu się to jednak.

- Chyba oni mają rację. Londyn to klasa. Wy, chłopaki, jesteście klasa, wszyscy.

- Co możemy na to powiedzieć? - śmiał się Jeremy.

- Dzięki, to powinno wystarczyć - powiedział Sebastian. - To samo myślimy o tobie.

- Jest jedna rzecz - mówił Jaffe. - Jak to możliwe, że nie macie biura w Nowym Jorku? Nie mam na myśli siebie. Jestem związany z Lou Schwartzem na wieki, oby żył wiecznie. Ale Locke Mariner to klasa, jak już mówiłem. Tam też świetnie by się wam powiodło.

- Może - odezwał się Sebastian. - Któregoś dnia.

- Ale jeszcze nie teraz - potwierdził Jeremy. - Rozważamy to, ale nie jesteśmy do tego przygotowani.

- Szkoda - powiedział Jaffe. - Bo mam przyjaciela. To

wielki aktor. Od prawie czterech lat gra główną rolę w show w NBC w godzinach największej oglądalności. Chciałby już coś ze sobą zrobić.

- Kto to? - zapytał Sebastian.
- Nazywa się Sam Raphael.
- Jack Granville ze „Star Rider” - powiedział Jeremy.
- Dokładnie.
- Czy to nie on grał Larry'ego Cottona w „Going Forth”?

Jestem prawie pewny, że widziałem go w 1968 roku w Lyceum. - Jeremy przytknął oczy. -I czy to ten Raphael, który zagrał w „Ryszardzie III” z Folger Theater w Waszyngtonie, w 1970 roku?

- Zdumiewasz mnie - powiedział Jaffe.

Sebastian uśmiechnął się.

- Mój partner jest chodzącą encyklopedią castingu.
- Raphael jest dobry - stwierdził Jeremy.
- Ja to wiem i Sam też, ale jego agent, zresztą nie bez kozery, uważa, że w dobrej porze nadany western to najlepsza rzecz, jaka może się przytrafić aktorowi nie pierwszej młodości. Sam ma ponad pięćdziesiąt lat, ale wciąż ma to „coś”, no i miałby ochotę wrócić do teatru.

- I jeśli coś dużego i odpowiedniego pojawi się na jego drodze - powiedział Sebastian - może być za późno, jeśli nie będzie miał wolnych rąk, by to złapać w porę.

- Wspominał coś o zmianie agenta - ciągnął Jaffe.
- Powinien mieć kogoś, kto uszanuje jego potrzeby - zgodził się Sebastian.
- Potrzebuje was, chłopaki.

Rozdział 15

- Do Paryża?
- Właśnie to powiedziałem, Katharine.
- Chcesz, żebym jechała do Paryża? Teraz?
- Jakieś kłopoty z uszami, kedves?
- Po prostu nie mogę w to uwierzyć. I to właśnie teraz...
- Nie możesz jechać?
- Wręcz przeciwnie. To jest właśnie ten najlepszy moment! Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo chcę się stąd wyrwać, z tego miasta.... Laszlo, jesteś aniołem i geniuszem.
- O tym drugim wiedziałem, ale to pierwsze to dla mnie nowość.

Zaledwie Laszlo Eles zdążył wrócić do Nowego Jorku z przeciągającej się wyprawy po Europie, natychmiast zatrudnił Katharine, swą ulubioną asystentkę, do przedyskutowania nowego przedsięwzięcia - musicalu. Planowano wystawienie go w Winter Garden Theater w październiku, pod prostym tytułem „Paryż”. Tam też miał być osadzony. „Obfitość” - to kluczowe słowo, z którym miało się to przedstawienie kojarzyć, a i budżet na ten cel przeznaczony był niemały.

Scenariusz autorstwa Gerarda Legreque'a, muzyka Howarda Blausteina, słowa piosenek Sydneya Kane'a...

- Scenografia Laszlo Eles - dokończyła za niego Katharine.
- Oczywiście - uśmiechnął się Eles - przy współpracy z Katharine Andersen... - Urwał. - A Zizi Markheim zgodziła się zaprojektować kostiumy. Mamy pracować razem, co nie zawsze będzie łatwe...

- ...i nie obejdzie się bez burz - dodała Katharine. - Czy już się z nią spotkałeś?

- W Mediolanie. Wie dokładnie, czego chce, tak jak ja, choć musimy jeszcze usłyszeć, czego oczekują kompozytorzy. I, oczywiście, żadne z nas nie ma najmniejszego zamiaru ulec ani im, ani sobie nawzajem. - Węgier mrugnął do niej swoim ciemnym okiem. - Myślę, że tak czy owak, efekty będą urzekające.

- Mogę zacząć czytać?

- Natychmiast... - Eles urwał. - Przyłączasz się do nas, kochana Katharine?

- Oczywiście, że tak.

- Dobrze. Więc weź scenariusz i idź się spakować.

- Po co?

- Jedziemy do Paryża.

Katharine jako asystentka Elesa numer jeden, obdarzona jego bezwarunkowym zaufaniem, odgrywała teraz o wiele ważniejszą i bardziej kluczową rolę niż w czasie ich wcześniejszej współpracy. Laszlo znał Paryż od podszewki, chciał jednak, by Katharine również zapoznała się z tym miastem. Postanowił więc wysłać ją do Paryża na cały czerwiec, do hotelu Ritz, akcja „Paryża” bowiem miała rozgrywać się na tle trzech scenerii: w apartamencie tego najświetniejszego hotelu świata, w kafejce ulicznej przy Saint-Germain des Pres, oraz w Ogrodach Luksemburskich.

- Widzę Paryż, *kedves*, oczyma impresjonistów - mówił Eles do Katharine. - I chociaż marzę, żeby nasza widownia poczuła tak żywo i realistycznie, jak tylko to możliwe, że znajduje się u Ritza i w parku, i że spędza miłe popołudnie w kawiarni, chcę, by jednocześnie ludzie wczuli się w atmosferę, w ducha tego miasta.

- Rozumiem.

Eles pokręcił głową.

- To niemożliwe, zanim sama nie zobaczysz Paryża. Jeśli masz naprawdę zrozumieć, co chcę osiągnąć w tym przedstawieniu, musisz przeżyć wielkie dzieła sztuki sam na sam z Paryżem. Musisz go zakosztować, *kedves*, posmakować, powąchać, dotknąć.

Katharine zakochała się w Paryżu. Porównywała to doświadczenie do przeżycia młodej dziewczyny, zatapiającej twarz w słodyczy i radości swojego pierwszego bukietu. To była miłość od pierwszego wejrzenia, tak jak tego się spodziewała. I kiedy rankami wychodziła na Place Vendôme, w jej krokach nie było wątpliwości, najmniejszego śladu niepokoju ani nawet rezerwy. Jeśli czuła przed przyjazdem jakiś lęk przed samotną podróżą do tego niezwykłego miasta, zniknął on już w pierwszych godzinach pobytu w Paryżu. Dwudziestopięcioletnia kobieta nie potrzebowała u swego boku mężczyzny, by czerpać przyjemność z oglądania tego miasta. Sam Paryż wystarczył, by czuła się piękna, energiczna i oryginalna - by czuła, że żyje. Poza tym Katharine nie przyjechała tu, aby przeżyć przygodę miłosną, lecz po to, by pracować.

Ale jak można by komukolwiek udowodnić, że to jest praca? Budzenie się rano w apartamencie Ritza; próbowanie najpyszniejszego jedzenia, jakie tylko świat może zaoferować; spacer przez Saint-Germain-de-Pres; przesiadywanie z blokiem rysunkowym w Les Deux Magots, albo w Cafe de Flore lub też późnym wieczorem na rue de Furstenberg; patrzenie na widoki z Butte na Montmartrze; próba uchwycenia wyrazu twarzy artystów w Ogrodach Luksemburskich; albo wędrowanie po Jeu de Paume czy Orangerie, wchłaniając piękno Pissarra, Renoira i Moneta. Katharine jeszcze nigdy nie czuła się taką szczęściarą, nie była tak usatysfakcjonowana swoim własnym towarzystwem ani tak zadowolona z samej siebie.

Wróciła w lipcu do buchającego żarem Manhattanu, z którego już nie było ucieczki, bowiem kompozytorzy i producenci gotowi byli na przedstawienie swych planów Elesowi, bez czego z kolei nie mogli zabrać się do kolejnego, właściwego etapu pracy. Kiedy już to się zaczęło, Katharine wiedziała, że Laszlo sam będzie pracował bez wytchnienia - i będzie tego oczekiwał od niej - w najgorszych nawet warunkach, niepomyślny na nic, póki nie osiągnie tego, co na razie było tylko gładką plamą w jego wyobraźni.

Kiedy Laszlo zasłabł w swojej pracowni, na początku

sierpnia, byli dopiero w połowie prac nad pierwszą częścią scenerii.

- To serce - powiedziała Erzsebet, jego żona (przyjaciele mówili do niej Betty), kiedy kilka godzin później Katharine przyjechała do New York Hospital.

- Czy to coś poważnego?

- Mówią, że miał szczęście, dzięki Bogu. Ale jeśli chce całym się wyleczyć, lekarze nalegają, żeby odpoczywał przez co najmniej sześć tygodni.

- Sądysz, że zrobi, jak mu każą?

Betty była blada, lecz spokojna. Uśmiechnęła się.

- A jak to sobie wyobrażasz, moja droga? Znasz go przecież wystarczająco dobrze.

- Nie wyobrażam sobie Laszla odpoczywającego - przyznała Katharine.

- Ja też nie.

Kiedy minął pierwszy etap choroby, a wraz z nim początkowy strach, Laszlo wypowiedział kardiologom i pielęgniarkom wojnę na śmierć i życie - tak, jak tego obawiały się Betty i Katharine.

- Nic nie przekona Laszlo Elesą, by zostawił swoją pracę przed jej zakończeniem - zadeklarował, leżąc na łóżku. - Nic, tylko śmierć!

Lekarze, jego żona i Katharine próbowali wszystkiego, by ich posłuchał, podczas gdy producenci i kompozytorzy usiłowali nie dać po sobie poznać, że w głębi duszy życzą sobie, aby wielki scenograf nie poddał się tej presji.

- Jeśli zmuszą go do zaprzestania pracy - straszyl Sydney Kane -to go zabije.

- Na miłość boską, Sid, nie mów takich rzeczy - krótkowzroczne oczy Howarda Blausteina zaokrągliły się z przerażenia.

- Jak daleko zaszedł ze swoimi projektami? - dopytywał się Gerard Legreque, który przyleciał właśnie z Monte Carlo.

- Nikt tego nie wie, może oprócz jego asystentki. - Kane przerwał. - Kiedy miałem atak serca - mówił, znów zapalając się do tematu - chcieli, żebym przerwał pracę na trzy miesią-

ce, a ja wróciłem do pracy po pięciu tygodniach i, patrzcie, nadal żyję.

- Odpukać w niemalowane - zekł Blaustein.

Na trzynasty dzień od zawału, a w trzy dni po tym, jak Betty zabrała męża do domu, Laszlo zdumiał wszystkich, ogłaszając, że odchodzi na emeryturę.

- Nie wierzę w to - powiedział Blaustein.

- On po prostu nas nabiera - stwierdził Kane.

- Nie sądzę - odparł Legreque.

- Nigdy mu nie ufałem, cholerny Węgier - powiedział Kane.

- Przestań, Sid, to niemiłe - skarcił go Blaustein.

- Mnie też nie jest przyjemnie, Howardzie.

- Może Eles jest umierający - rzekł Legreque posepnie.

- Więc niech najpierw skończy swoją robotę - oświadczył Kane.

Katharine była oszołomiona i przestraszona.

- Nie wiedziałam, że chcą, żebyś się wycofał, Laszlo.

Byli w salonie, w mieszkaniu Elesa, przy Central Park South. Scenograf siedział na sofie, w jasnoszarym, jedwabnym szlafroku i miękkich kapciach z cielecej skóry.

- Wcale tego nie chcą - odparł.

- Nie rozumiem. Czy jest jakiś związek między kilkutygodniowym wypoczynkiem a odejściem na emeryturę?

- Dla mnie nie, *kedves* - Laszlo, jak zwykle, był uparty. - U mnie zawsze było tak: albo wszystko, albo nic. Nie mogę pracować z zegarkiem w ręku, Katharine, żeby wyłączyć wewnętrzną twórczą, kiedy przyjdzie czas na łyknięcie tabletki albo pójście spać.

- Ale czy potrafisz przestać? - zapytała go łagodnie. - Czy to zniesiesz?

- Tak sądzę. Dokonałem wielkiego dzieła i jestem prawie całkiem usatysfakcjonowany. - Ujął jej dłoń i uściśnął. - Chyba nie chcę jeszcze umierać i okazuje się, że Betty też chciałaby mnie tu zatrzymać jeszcze jakiś czas. - Uśmiechnął się. - Byłem pewien, że chętnie by się mnie pozbyła. Jestem szczęściarzem.

- Oczywiście, że jesteś. - Katharine zawstydzila się. -
Przepraszam, Laszlo. Zachowuję się egoistycznie. Ale to był szok. Nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, że chciałbyś kiedyś pójść na emeryturę.

Betty nalegała, by Katharine została u nich na obiedzie. Kiedy podała rybę z grilla i sałatkę, on sam zapowiedział, że ma dla Katharine jeszcze jedną szokującą wiadomość.

- Powiedziałem ci wcześniej, że jestem zadowolony z mojej pracy.

- Masz powody, żeby być - odezwała się Betty.

- Proszę, Erzsebet, nie przerywaj.

- A ty nie mów do mnie jak do dziecka.

- Przepraszam.

- O czym mówiłeś? - spytała Katharine, próbując powstrzymać śmiech.

- Chciałem powiedzieć, że tylko wtedy będę mógł ze spokojnym sumieniem przejść na emeryturę, jeśli tobie pozwolą dokończyć projekty sceniczne do „Paryża” i ocenić dekoracje, które zostaną według nich wykonane.

Katharine patrzyła na Elesę szeroko otwartymi oczyma.

- Nie mówisz poważnie.

- Dlaczego nie?

- Pomyślała, że zaraz pęknie z dumy.

- Nigdy się na to nie zgodzą.

- Dlaczego tak twierdzisz?

- Bo jestem tylko asystentką.

- No więc? Wszyscy kiedyś byliśmy asystentami, nawet ja.

- Ale do takiego przedstawienia chcą najlepszych ludzi.

I jeśli komukolwiek przekażą tę pracę, ona zatrudni swojego własnego asystenta. - Uśmiechnęła się do niego z miłością. - To cudowne z twojej strony, że o mnie pomyślałeś, Laszlo. Szczególnie teraz. Ale nie musisz się o mnie troszczyć. Zapewnię im wszelką pomoc, o którą poproszą, a potem wycofam się z godnością.

- Zwariowałaś?!

- Laszlo - powiedziała Betty z łagodnym wyrzutem.

Uderzył pięścią w stół.

Mówisz bez sensu, a nie jak utalentowana projektantka!

- Laszlo, nie bądź niegrzeczny i pamiętaj o swoim sercu – powiedziała Betty, tym razem ostrzej.

- *Kuss!*

- Nie mów, żebym się zamknęła!

- Proszę - powiedziała Katharine z niepokojem - nie kłóćcie się z mojego powodu.

- My zawsze się kłócimy - zapewnił ją Laszlo. - A ty i tak mówisz głupstwa. Nawet nie ma mowy o współpracy z innym scenografem. Wszyscy byli zachwyceni naszymi projekami. Nikt inny w Nowym Jorku, Londynie, Paryżu i Berlinie nie potrafiłby mieć tak szerokiego spojrzenia, które ja... jeden jedyny Laszlo Eles... wniosłem w to przedsięwzięcie...

- Oczywiście, że nie - odezwała się Betty, nieco złośliwie.

- Nie przerywaj! - kontynuował. - Nikt inny nie ma tak niezrównanego smaku, takiej wyjątkowej umiejętności dokonywania trafnych wyborów. Nawet ty, Katharine... no, może jeszcze nie...

- Nigdy - potwierdziła Katharine.

- Skromność - popatrzył na nią groźnie - jest oczywiście czarującą cechą u dziewczynki wychowanej w Georgetown... ale u kobiety bliskiej szczytów w swojej branży na Broadwayu...

- W porządku - powiedziała Katharine, śmiejąc się. - Jestem niezwykła.

- Pewnego dnia zostaniesz gwiazdą.

- Jedz rybę, Laszlo - odezwała się Betty. - I przestań już gadać i się podniecać, bo się wykończysz.

- Już prawie skończyłem - powiedział i nagle zamilkł. Obie kobiety spojrzały na niego z lękiem. - Mam do powiedzenia jeszcze tylko jedno. Albo wezmą Katharine Andersen i zapłacą Katharine Andersen obowiązującą stawkę, i oddadzą Katharine Andersen wszelkie hołdy, albo podpale wszystko, co do tej pory zrobiliśmy.

- Nie zrobiłbyś tego. - Katharine była przerażona.

- O tak. - Laszlo wziął do ręki widelec. - I wtedy musieliby zacząć od zera i po dwakroć płacić bająnskie sumy. Zobaczmy, jak im się to spodoba.

Producenci przez kilka dni ostro walczyli z Laszlo, ale kiedy Katharine - nauczona przez wielkiego scenografa - dała

Kane'owi, Blausteinowi i Gerardowi Legreque'owi przedsmak tego, co nastąpi później, zmienili zdanie i przeszli na jej stronę.

- Eles wie lepiej niż jakikolwiek inny scenograf, który przychodzi mi na myśl, jak ożywić nasze dzieło - mówił Blaustein - jak wyciągnąć widzów z foteli, tak że staną się częścią przedstawienia.

- Przedyskutowaliśmy to - zgodził się Kane - i myślimy, że na tym etapie wolimy oddać się w ręce Katharine Andersen, nawet jeśli jest nieznaną. Ma przynajmniej błogosławieństwo Eles.

- Laszlo jest zbyt dumny - dodał Legreque - by ręczyć za kogoś, kto nie jest nic wart. Przecież ryzykuje swoją własną reputacją.

- Gerard ma rację - powiedział Blaustein. - Bez względu na to, co Eles zdołał przez te wszystkie lata, i jak często został obwoływany geniuszem, polecił właśnie ją. I jeśli przedstawienie będzie katastrofą, będzie to jego wina.

Kiedy powierzono już jej tę pracę, Katharine wpadła w panikę. Przecież, na miłość boską, była dopiero w połowie drogi do stania się renomowanym scenografem. Cokolwiek by Laszlo mówił, była tylko asystentką. Jeśli się tego podejmie, wystawi się na pośmiewisko. Może będzie musiała wyjechać z Nowego Jorku, a może, i niech to licha - z kraju!

Przez tydzień nie jadła, ani nie spała. Potwornie tęskniła za Davidem. On zrozumiałby, co czuje, powiedziałby jej, żeby przestała się zadrećcać, że ma przecież prawo im wszystkim odmówić. Zgodziłby się z nią, że rezygnacja nie zawsze oznacza klęskę.

A potem uświadomiła sobie, że sama siebie okłamuje. David by tego nie powiedział. Usprawiedliwiłby ją, nawet gdyby się nie udało.

Zaprosiła Sama na kolację. Stary przyjaciel jeszcze mocniej utwierdził Katharine w jej postanowieniu.

- Czas już, żebyś wyrwała się z letargu, Katharine - powiedział surowo. - Jeśli tę propozycję odrzucisz, nie tylko zawiedziesz Laszla w sytuacji, w której najbardziej cię potrzebuje, ale zawiedziesz samą siebie...

- Wiem, Sam.
- A poza wszystkim, nikt inny nie da ci już szansy i, co więcej, nie będziesz na nią zasługiwała.
- Powiedziałam przecież, że wiem, Sam.
- Co wobec tego postanowiłaś?
- Zrobię to.
- To wspaniale. - Uściskał ją. - Więc co tutaj robisz, tak siedząc? Do roboty, kobieto. Czas na przedstawienie.

Przedstawienie odniosło wielki sukces, choć Katharine musiała poświęcić mu się bez reszty. Zaczęła od tego, że zatrudniła własną asystentkę, wyrzuciła ją po dwóch dniach, po czym zjawiła się urocza siedemnastolatka o imieniu Dixie Callaghan. Była drobna, ruda, zielonooka. I nikt inny znany Katharine nie miał w sobie tyle werwy co ona. Była dobra w tym, co robiła i uważała, że jej pracodawczyni jest utalentowana, olśniewająca, najcudowniejsza i najpiękniejsza z wszystkich kobiet, które знаła. Zaś projekty sceniczne do „Paryża” są znakomite.

I rzeczywiście były bardzo udane, musiała się zgodzić Katharine, wszystkie zasługi przypisując Laszlo, nawet nowe pomysły i innowacje, które opracowała sama. Wciąż pracuję pod jego wpływem - mówiła sobie.

- Scenografia w hotelu Ritz jest doskonała - powiedziała do Dixie. - No, ale przecież Laszlo i ja zgodziliśmy się już tego dnia, kiedy wróciłam z Paryża, że samo tylko przebywanie w apartamencie u Ritza jest wydarzeniem teatralnym najwyższych lotów. Więc wiedzieliśmy, że wszystko, co do nas należy, to wiernie odtworzyć realia, a reszta już pójdzie sama.

- Bardzo chciałabym się tam wybrać - westchnęła Dixie.
- Teraz nigdzie nie pójdziesz - rzekła Katharine - chyba że do warsztatu stolarskiego.

Dixie się zaperzyła.

- Przysięgam na Boga, szefowo, że teraz nie popłynęłabym nawet wokół wysp greckich na jachcie Jacka Nicholsona. Nawet gdyby błagał mnie na klęczkach.

- A czy Jack Nicholson ma jacht?
- Nie mam pojęcia, ale nie opuściłabym cię, nawet gdyby miał.

Wykonanie dekoracji do Ogrodów Luksemburskich nie było już takie łatwe. Nie istnieje bowiem piękno obiektywne. A poza tym Katharine zdołała zauważyć nawet w ciągu krótkiego pobytu w Paryżu, że na Ogrody Luksemburskie niesamowity wpływ miały zmiany oświetlenia.

- W ten projekt naprawdę musicie się włączyć - powiedziała Gerardowi Legreque'owi przez telefon. - Oczywiście, scenariusz pewne rzeczy ustawia, ale chcę, żebyście byli w pełni zadowoleni ze sposobu, w jaki to ujęliśmy.

A potem pracowali nad scenografią do scen w kawiarni, która wydawała się już prawie dopracowana. Katharine wiedziała, że ta scena nie będzie realna bez obecności ludzi. Saint-Germain nie mogło zaistnieć bez przedstawienia typowych jego stałych bywalców.

Zadzwoiła do Zizi Markheim, do jej salonu przy Avenue Montaigne w Paryżu.

- Czas, byśmy się spotkały, madame - powiedziała.

- *Bien sur*, Katharine - odparła Markheim chłodno. - Jeśli porozmawiasz z moją sekretarką jestem przekonana, że na pewno cię gdzieś wciśnie. Kiedy przylatujesz?

- Pani nie rozumie, madame. To ważne, by zobaczyła pani projekty i byśmy przedyskutowały kostiumy *in situ*.

- *C'est impossible*.

- Z pewnością jest - powiedziała Katharine, bardziej stanowczo. - Laszlo zapewniał mnie, że zgodziła się pani przyjechać do Nowego Jorku właśnie w tym okresie.

- To, co być może uzgodniłam z Laszlo - rzekła Markheim z pogardą - nie ma dla ciebie żadnego znaczenia.

Po raz pierwszy Katharine naprawdę się zirytowała. Słyszała, że Zizi Markheim ma opinię kobiety niedostępnej. Jeszcze zanim zadzwoniła, przyszło jej do głowy, że może będzie musiała uciec się do próśb, zaraz jednak przypomniała sobie, że Laszlo nigdy nie błagał, Laszlo nalegał.

- Jestem zdziwiona - odparła łagodnie.

- *Pourquoi?*

- Ze słów Laszlo wywnioskowałam, że pani projekty są jej pasją, madame Markheim.

- Moje pasje nie powinny cię obchodzić, moja droga Katharine.

- Naturalnie, że mnie nie obchodzą... Mogę jednak podzielić się z panią moimi pasjami, madame, a akurat teraz dotyczą one mojej scenografii do „Paryża”. Jestem przekonana, że jeśli nie zaczniemy właśnie teraz współpracować, tak by moje projekty stały się doskonałym tłem dla pani kostiumów, trzeci akt przedstawienia może być nieudany.

- Przecież możesz wysłać szkice i fotografie, może jeden albo dwa modele...

- To niemożliwe - naciskała Katharine. - Poza tym sędzę, że obie powinniśmy zająć się obsadzeniem statystów do sceny na Saint-Germain. - Chyba, że jest pani wszystko jedno, kto będzie nosił pani kostiumy, madame.

Zizi Markheim westchnęła głośno.

- Ale nie wcześniej niż w przyszłym tygodniu.

Katharine uśmiechnęła się.

- Przyszły tydzień będzie idealny, madame.

Katharine rozkwitała. Wcześniej nie przypuszczała, że tak łatwo potrafi się przystosowywać i że kryje w sobie tak wielkie siły twórcze. Dixie była jej podporą, obrońcą i ochroną. Dbała o to, żeby szefowa - jak z uporem nazywała Katharine - pamiętała, by rozsądnie się odżywiać, odpoczywać i od czasu do czasu znaleźć czas na pływanie i masaż, dzięki którym utrzymywała dobrą formę.

Próby rozpoczęły się na początku września. Trwały ostatnie, gorączkowe prace nad przygotowaniem dekoracji. Katharine oddała już wszystkie projekty w ręce stolarzy, techników i malarzy, i mogła teraz podczas prób siadywać tam, gdzie najbardziej lubiła - w samym sercu, w samym „jądrze” teatru, jak mawiał Sam Raphael.

- Przez całe dzieciństwo i lata szkolne - opowiadała Katharine Dixie - myślałam, że będę robić właśnie to.

- Grać? - Dixie była zdziwiona. - A ja wyobrażałam sobie, że zawsze byłaś scenografem.

- A ty zawsze byłaś pewna, czego chcesz, Dixie?

- Dopiero kiedy skończyłam dziesięć lat. Przedtem chciałam być maszynistą pociągu, klaunem, a następnie prezydentem.

- Stanów Zjednoczonych?

- Jasne. - Zielone oczy Dixie zabłysły. - No, ale potem rodzinka zabrała mnie na wznowienie „Annie Get Your Gun” i po trzech minutach nie byłam już w teatrze, tylko naprawdę tam, z Wild West Show. No, a potem chciałam wiedzieć, jak oni to ze mną zrobili...

- I wpadłaś.

- I to jeszcze jak. - Dixie z zaciekawieniem przyjrzała się Katharine. - Więc, szefowo, byłaś dobra jako aktorka?

- Myślę, że byłam niezła.

- O ile cię znam, to byłaś wspaniała. Więc co spowodowało, że zajęłaś się scenografią? Oczywiście - dodała szybko - cieszę się, że to zrobiłaś. Ale dlaczego?

- Z różnych powodów - odpowiedziała Katharine wymijająco.

- Ale jesteś szczęśliwa, że zajęłaś się scenografią, no nie, szefowo?

- Szczęśliwsza, niż w ogóle można to sobie wyobrazić, Dixie.

Ogromne dekoracje zostały przewiezione do Winter Garden Theatre dopiero na dwa tygodnie przed premierą. Katharine gorączkowo przyglądała się, jak koncepcje Laszlo i jej własne nabierają kształtów pod surowym okiem dyrektora i kierownika sceny, jak również głównego stolarza.

- Szefowo, jesteś geniuszem - powiedziała Dixie z zachwytem, kiedy ręce fachowców rozwieszały i zwijały cenne tkaniny. Katharine uparła się, by je zastosować do sceny w hotelu Ritz.

- Myślisz, że spodobają się Zizi? - Katharine i Zizi Markheim zwracały się do siebie po imieniu, odkąd Francuzka przyjechała do Nowego Jorku na konsultację z Katharine.

- Może nie od razu się do tego przyzna, ale założę się, o co chcesz, że w głębi duszy uważa, że są cudowne.

Katharine i Dixie uczestniczyły w niekończącej się próbie świateł, obgryzając paznokcie i załamując ręce, kiedy zobaczyły, że ich wspaniałe zestawy kolorystyczne okazały się wyblakłe - ponieważ nie wykonano ich dokładnie - a cienie drzew w Ogrodach Luksemburskich padają w nieodpowiednim kierunku. Kiedy na koniec podczas próby młody wykonawca upadł całym ciężarem na dekorację, rozrywając przy

tym materię zawieszoną z tyłu sceny, Katharine skoczyła na równe nogi, z trudem tłumiąc okrzyk udręki.

- Nie martw się, szefowo - powiedziała Dixie serdecznie, chociaż i ona aż spociła się z emocji. - Będzie w porządku.

- Co mi po tym? - warknęła Katharine.

- No już dobrze - odparła Dixie, wiedząc, że Katharine bardzo rzadko krzyczy. - To będzie sensacja.

- Oczywiście, że będzie, kiedy pół chóru zادةpcze fontannę medycejską!

Dixie westchnęła.

- Poddaję się. Będzie krach. Katastrofa.

Katharine spojrzała na nią bacznie.

- Aż tak źle?

Pierwsza próba generalna przeszła gładko. Dekoracje wszystkim bardzo się podobały, a dla Katharine najmilsze były chwile, kiedy dwóch aktorów odszukało ją, by powiedzieć, że dekoracje we wspaniały sposób przyczyniły się do sukcesu przedstawienia. A jedna aktorka opowiadała Dixie, że scenografia była tak sugestywna, że gdy po próbie wyszła z teatru i znalazła się na Broadwayu, poczuła się zaskoczona, bo myślała, że jest w Paryżu.

Gorączka znów zapanowała w czasie drugiej próby generalnej, na dwa dni przed prapremierą. Katharine zaczęła odczuwać paraliżującą treść. Przecież miano ją rzucić - ponad światłami reflektorów i nad kanałem dla orkiestry - bezlitosnym wilkom na pożarcie: widzom, którzy zapłacili za bilety, i krytykom, którzy jednym pociągnięciem pióra mogli zadecydować o losie spektaklu, jak i o przyszłości początkującej pani scenograf. Najgorsze było to, że na premierę miał przybyć Laszlo Eles.

- On mnie zabije - powiedziała do Dixie.

- Nie denerwuj się.

- Nie znasz Laszlo.

- Nie znam, ale nie mogę się doczekać, kiedy go poznam.

W prapremierowy wieczór Katharine schowała się w garderobie. Dixie zastała ją akurat wtedy, kiedy jej szefowa weszła na krzesło.

- Nie za wcześnie, żeby się wieszać, szefowo?

- Przestań, Dixie!
- Więc, co robisz?
- Próbuję odłączyć ten przeklęty głośnik.
- Po co?
- Żeby nie musiała słuchać gwizdania.
- Chcesz, żebym ci pomogła?

- Nie, dziękuję. - Katharine spojrzała na Dixie dzikim wzrokiem. - I nie chcę z nikim rozmawiać, jak już będzie po wszystkim.

- Nawet ze mną?

- Tylko, jeśli obiecasz, że nie będziesz mówiła o przedstawieniu.

A potem nadeszła premiera.

- Nie idę - powiedziała Katharine do Sama, który po nią przyjechał.

- Oczywiście, że idziesz.

- Nie. - Usiadła na krzeselku kuchennym ze sztywnym oparciem. - Spójrz, ciało odmawia mi posłuszeństwa.

- Z twoim ciałem nic się nie dzieje - odparł spokojnie Sam. - Potrzebujesz kielicha.

- Nic bym nie przełknęła - odpowiedziała ochryłym głosem. - Czuję się tak, jakbym była sparaliżowana, Sam. Ledwo mogę złapać oddech.

- Przełkniesz. - Sam przyjrzał jej się surowo. - Chcesz drinka czy nie?

Katharine pokręciła głową.

- Mówię ci, że nie mogę.

- No, to czas iść.

- Nie idę... - jej głos zabrzmiał piskliwie. - Jeśli mnie zmusisz, Sam, będziesz mnie musiał nieść, i to będzie twoja wina, kiedy umrę ze strachu!

Katharine przeżyła, a „Paryż” odniósł wielki triumf. Gwiazdy przedstawienia zanotowały sukces, a Howard Blau-stein, Sydney Kane i Gerard Legreque oszaleli z radości. Bill Fuller, reżyser, objął Katharine, a Joe Pirelli, choreograf, ucałował ją i Dixie. A Katharine czuła się tak, jakby za chwilę miała się unieść i fruwać.

A potem podszedł Laszlo, trzymając pod rękę Betty, opalony i w najlepszej formie. Uważnie wpatrzyła się w jego przystojną twarz, usiłując wniknąć głębiej, poza ten ciepły uśmiech, poznać kryjącą się za nim prawdę.

- *Kedves* - to było wszystko, co powiedział. I Katharine zobaczyła, że ten uśmiech był głęboki, prawdziwy, że malował się również w jego oczach. I że kryła się w nim prawdziwa aprobata, uznanie i czyste, szczerze zadowolenie.

Producenci wydali przyjęcie u Sardiego. Katharine – wsparta na ramieniu Laszlo - weszła do restauracji, mijając morze twarzy w świetle błyskających fleszy aparatów fotograficznych. A potem był już tylko czysty zachwyt, przedni szampan i jedzenie, które ledwie tknęła.

W pewnej chwili poczuła, że ktoś dotyka jej ramienia. Odwróciła się i zobaczyła Davida - przystojnego, w smokingu.

- Cześć, geniuszu - powitał ją spokojnie.

Objęli się, David mocno ją przytulił i pocałował w usta.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, jak bardzo się cieszę, że cię widzę? - spytała Katharine.

- Naprawdę?

- Bardziej niż kogokolwiek.

- Wiesz o tym, że ten show to wielki sukces, prawda?

- Tak myślisz?

- Wystarczy tylko rozejrzeć się wkoło i posłuchać. I nie tylko tutaj. - Oczy Davida były łagodne i kochające. - Postanowiłem chwilę w foyer teatru i mówię ci, ludzie zachwycili się tym przedstawieniem.

- Podobały ci się dekoracje? - zapytała Katharine onieśmielona.

- Myślałem, że jestem w Paryżu - odparł z prostotą. - Szczególnie w kawiarni. Czuję, że lada moment zobaczę Hemingwaya albo Gertrudę Stein, to było takie wrażenie.

- Dzięki - powiedziała oszołomiona.

- Zasługujesz na triumf - dodał.

Wtedy ktoś zawołał Katharine i musiała się na chwilę odwrócić od Davida. Kiedy zaś z powrotem skierowała się w jego stronę, pragnąc powiedzieć mu, jak szczerze uszczęśliwiło ją to spotkanie i jak bardzo się za nim stęskniła, Davida

nie było. Zaczęła rozglądać się po restauracji, lecz po chwili uświadomiła sobie, że on odszedł i na moment odczuła smutek, rzucający cień na ten wspaniały wieczór. Ale potem podbiegła Dixie, w ekstrawaganckiej szmaragdowej kreacji z atlasu, z długim sznurem pereł i nastroszonymi, rudymi włosami, i zaczęła ciągnąć ją za rękę, żeby porozmawiała z kimś, kto po prostu umiera z chęci poznania jej. Katharine zapomniała o Davidzie i dała się porwać zabawie.

To była najlepsza noc w jej życiu, wiedziała o tym - noc, którą zapamięta na zawsze. Tęskniła za Jake'em i Louisą, myślała szczególnie o matce, wiedziała bowiem, co ten wieczór i sukces znaczyłyby dla niej. Przypomniała sobie też, że musi zadzwonić do Henrika i dopiero kiedy odebrał, zaspany, zdała sobie sprawę, że w Kopenhadze jest piąta rano.

- O Boże - powiedziała - przepraszam, nie chciałam cię obudzić.

- Nie ma sprawy - zapewnił ją Henrik. - Przecież chciałem się dowiedzieć... no, mów.

- Poszło wspaniale, chociaż jest za wcześnie, by mówić o triumfie.

- Ale ludziom dziś wieczorem podobało się? - Henrik, oprzytomniawszy nieco, pytał teraz z ożywieniem. - A ty jesteś z siebie zadowolona?

- Tak bardzo, że robię się nieznośna.

- Gratuluję sukcesu!

- A ty jak się czujesz? - zapytała Katharine. - Fanny i Asger?

- Wszyscy mamy się dobrze - odparł Henrik. - Tęsknimy za tobą i mamy nadzieję, że wkrótce znów nas odwiedzisz.

- Kocham cię - powiedziała Katharine i posłała mu przez telefon pocałunek. A potem wróciła na przyjęcie.

Dixie, nieco wstawiona, wyplakiwała się na ramieniu Katharine, opowiadając, jak bardzo będzie za nią tęskniła. Napicie rosło, bowiem cały zespół czekał na poranne recenzje. Bill Fuller, reżyser, zaczął wygłaszać - pod niewątpliwym wpływem szampana - improwizowane przemówienie o tym, jak bardzo wszystkich kocha i jakie pierwszorzędne było

przedstawienie, niezależnie od tego, jak oceniają je krytycy... a widzowie pokazali, co o tym myślą... i ludzi w kolejkach do kas było zatrzęsienie, jeszcze przed ukazaniem się recenzji z prapremiery... a tak właśnie się dzieje, kiedy tylu geniuszy zbierze się razem...

I wtedy Katharine ujrzała go po raz pierwszy.

Nieznajomy był wysoki i przystojny. Miał proste, pięknie przystrzyżone włosy koloru dojrzałej pszenicy. Szczupły, wspaniale prezentował się w smokingu. Z ożywieniem rozmawiał z Samem Raphaelem, a jego oczy były błękitne, szczerze i przejrzyste.

Pięknie gestykulował, były to raczej wymowne, oszczędne ruchy dłoni. A potem Sam powiedział coś, co nieznajomego rozśmieszyło i Katharine usłyszała po raz pierwszy jego głos. Jego śmiech był głęboki i dźwięczny. Poczula skurcz w sercu. Zdała sobie sprawę, że nie może oderwać od niego wzroku.

A potem on spojrzał na nią. Jego śmiech zamarł.

I wtedy się to zaczęło.

Rozdział 16

Sebastian przebywał w Nowym Jorku, by zorganizować przeniesienie z Londynu na Broadway przedstawienia, „Antoniusz i Kleopatra”. Michael Jaffe uprzedził Sama Raphaela, który właśnie miał przerwę w zdjęciach w Colorado i był w mieście, by oczekiwał telefonu od Sebastiana. Kiedy spotkali się na drinku w Blue Bar przy Alonguin, od razu się polubili, tak jak przewidywał Jaffe.

Problem polega na tym, że akurat teraz do niczego tak naprawdę ci się nie przydamy - powiedział Sebastian Raphaelowi.

- Ponieważ wciąż jeszcze nie macie biura w Nowym Jorku?
- Raphael wzruszył ramionami. - A są jakieś plany na widoku?
Sebastian skinął głową.

- Przyglądamy się jednej agencji w mieście.

- Żeby ją przejąć?

- Jest to możliwe. A nawet prawdopodobne.

- Mam podpisany kontrakt na jeszcze jeden sezon ze sztuką „Star Rider”, więc mamy trochę czasu do stracenia. - Raphael przyjrzał się Sebastianowi z ciekawością. - Tak naprawdę, to nie zależy wam bardzo na powiększeniu agencji, prawda?

Michael z pewnością mówił ci o tym, że staramy się nie rozpraszać.

- Tak. To nietypowe.

Sebastian uśmiechnął się.

- Chcemy być elitarną agencją, więc nie możemy przyjmować wszystkich chętnych, co oczywiście nie wyklucza powiększenia firmy. Oznacza to, że mamy swój sposób działania.

Na dzień przed odlotem Sebastiana do Londynu Sam Raphael zaprosił go na premierę „Paryża”, nowego musicalu, wystawionego w Winter Garden Theatre.

- Dobrze się bawisz? - zapytał go Raphael podczas pierwszej przerwy.

- Jak dotąd.

- Będzie jeszcze lepiej.

- Widziałeś to już?

- Czytałem recenzję z prapremiery. - Widzowie zaczęli wracać na salę. - Później jest przyjęcie u Sardiego. Chciałbyś pójść?

- Muszę wcześniej wstać.

- Jeśli show będzie ci się podobał, chodź ze mną. Będzie parę osób, które powinieneś poznać.

- W porządku. - Sebastian uśmiechnął się. - Tylko na chwilę. Dzięki.

Po przedstawieniu Sebastian był w dobrym nastroju i cieszył się, że zgodził się pójść na przyjęcie. Muzyka była dobra, gra aktorska świetna, scenariusz Legreque'a potrafił utrzymać widzów w napięciu do końca spektaklu, zaś dekoracje i kostiumy - bajecznie piękne. Restauracja pękała w szwach, lecz podano smaczne potrawy i panował tam ogólny nastrój triumfu. Sebastian spotkał kilka osób, które darzył sympatią i kilka innych, z którymi należało się spotkać dla dobra interesów. Wypił więcej szampana, niż zamierzał, i pomyślał sobie, że nie ma lepszego miasta niż Nowy Jork do urządzania popremierowych przyjęć.

Pograżył się w rozmowie z Samem Raphaelem o Paryżu, mieście, nie przedstawieniu. Wymieniali swoje ulubione restauracje i kluby nocne, kiedy naraz Sebastian poczuł, że ktoś na niego patrzy i odwrócił się, by zobaczyć, kto to taki.

Zaparło mu dech w piersiach.

W pierwszej chwili pomyślał, że to jakieś niezziemskie zjawisko, ale to była stuprocentowa kobieta. Najcudniejsza, jaką Sebastian kiedykolwiek widział. Miała na sobie jedwabne kimono od Kenzo w kolorze bladozłotym, z maleńkimi białymi cekinami przyszytymi wzdłuż szwów i wokół szyi. Była wy-

soka, niemal jego wzrostu, w złotych sandałach na wysokich obcasach. Jej włosy, długie i falujące, w rzadkim odcieniu ciemnoblond, przetykały złote pasma. Oczy również były oryginalne w kolorze - bursztynowe jak oczy kota, pełne iskier i, przede wszystkim, zaraźliwej radości i zachwytu.

Nie mógł oderwać od niej wzroku. Był jak sparaliżowany, jedyne, co potrafił zrobić, to stać tak i patrzeć. Dopiero kiedy zauważył rumieniec na jej policzkach, delikatny, lecz wyraźny, nagle poczuł zakłopotanie i odwrócił oczy. Od przechodzącego kelnera wziął kolejny kieliszek szampana. Chciał rzucić z siebie ten urok.

Nie udało mu się jednak. Kobieta przesunęła się metr albo dwa, rozmawiała z jakąś młodą, ekstrawagancko wyglądającą dziewczyną, o kędzierzawych, rudych włosach i w jaszkrawozielonej sukience. Sebastian zauważył, że rozmawiają radośnie i z ożywieniem. Wykorzystał moment, kiedy nieznaną była zajęta, i znów zaczął się jej przyglądać. Śmiała się z czegoś, co powiedziała dziewczyna. Dźwięk ten dotarł do niego i Sebastian tylko chciał, by roześmiała się jeszcze raz dla niego. Podszedł do niej jakiś mężczyzna, objął, uścisnął, a ona uśmiechnęła się i Sebastian od razu go znienawidził, ogarnęła dziwna zazdrość. Ale potem zobaczył, że ona wysuwa się z jego objęć taktownie, lecz zdecydowanie. Sebastian nigdy jeszcze nie zaznał takiej ulgi.

Poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia i odwrócił się.

Sam. Przepraszam.

Co się z tobą stało? - Sam wyglądał na rozbawionego. - W jednej chwili jesteśmy w Dzielnicy Łacińskiej, a w następnej już ciebie tu nie ma.

To wszystko trwało tylko kilka minut, choć Sebastianowi wydawało się, że minęła wieczność.

Przepraszam - powtórzył. Próbował wrócić do rozmowy, wiedział jednak, że jego oczy wciąż jej szukają, wracają do niej i z przyjemnością zauważył, że i ją coś do niego przyciąga. Najwyraźniej była bardzo popularna, cieszyła się powodzeniem. Była bardziej ożywiona i pełna energii, niż cała reszta otaczającego ją tłumu. Jej uroda żarzyła się niezwykle blaskiem.

- Aha - powiedział Sam. - Teraz rozumiem.

Sebastian uśmiechnął się.

- Wybacz... - przerwał. - Kto to jest?

- Moja pasierbica, w rzeczy samej.

- Żartujesz?

- Tak naprawdę, to była pasierbica. Jej matka była moją żoną przez niemal sześć lat.

Sebastian doznał olśnienia. To przeznaczenie. Mieli się dziś w nocy spotkać. A teraz to przypadkowe zaproszenie na przedstawienie i to przyjęcie...

- Ona nie grała w spektaklu, prawda, Sam? - zapytał cicho. - Zauważyłbym ją, nawet gdyby zagrała epizod... Chociaż, mogłaby być tancerką.

- Nie jest tancerką, zajmuje się scenografią.

- Tego przedstawienia? „Paryża”? Och, to wspaniale - ucieszył się Sebastian, bo dekoracje do tego spektaklu go urzekły, były bezkonkurencyjne. Nie będzie więc potrzeby uciekać się do grzecznych formułek i półkłamstewek, kiedy się poznają. Ona jest utalentowana, nie tylko piękna. Spotkają się, był o tym przekonany. To było nieuniknione.

- Jej imię - powiedział. Nagle zaczął się spieszyć. - Powiedz, jak ona ma na imię, Sam.

Katharine Andersen - odparł Sam.

Sebastian był bardzo poruszony.

- Kiedyś spotkałem dziewczynkę o tym imieniu - powiedział. - Miała pięć lat, a ja siedem.

Zamknął oczy i wróciły wspomnienia. Śliczna blondyneczka. To właśnie o niej mówili, on i Jeremy. Uśmiechnął się i otworzył oczy.

- To niemożliwe, oczywiście. Na świecie muszą być setki Katharine Andersen, tysiące... - Przerwał. - O ile pamiętam, nazwaliśmy ją Kate.

- Nie sędzę, żeby ktokolwiek zwracał się do Katharine per Kate - powiedział Sam.

- Przyjechała do Londynu z rodzicami, w odwiedziny z Waszyngtonu. Przyszła do nas, do domu. - Sebastian wciąż wspominał. - Jej mama chyba była aktorką.

- Louisa Grahame - powiedział Sam spokojnie. - Louisa Grahame Andersen.

- A więc jednak to nie był zbieg okoliczności. Przeznaczenie. Sebastian w nie wierzył.

- Przedstaw mnie, Sam - powiedział. - Natychmiast.

Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Stwierdził, że z bliska jest jeszcze śliczniejsza, kiedy zobaczył jej delikatną, doskonałą cerę, zupełnie wyjątkowe, bursztynowe oczy, miękkie, namiętne usta. Z bliska - pomyślała Katharine, w przyływie zachwyty - on okazał się znacznie bardziej pociągający. Już się nie uśmiechał, spoważniał, wręcz sępniał. A wyraz jego oczu dotknął jej serca, ścisnął duszę...

Sam powiedział:

- A to jest Sebastian Locke.

Kiedy usłyszała to imię i ona na chwilę zamknęła oczy, przypominając sobie chłopca, którego spotkała jako pięcioletnia dziewczynka. Pamiętała jego ojca i przyjaciela, Jeremy'ego, dom, gosposię, ich ogród, i portret jego sławnej mamy, która zmarła tego dnia, kiedy się poznali.

- To niesamowite - powiedziała i ze zdumieniem stwierdziła, że jej oczy są wilgotne od łez, wtedy było to jej pierwsze spotkanie ze śmiercią, zanim umarła Annie, na długo przed odejściem rodziców. I oto się spotkali, ponad dwadzieścia lat później.

A więc to właśnie nazwano przeznaczeniem...

Rozdział 17

Od Sardiego wyszli razem, taksówką pojechali do jego hotelu, Carlyle na Madison Avenue, usiedli na chwilę w Cafe Carlyle i zamówili butelkę szampana.

- Na pewno chcesz jeszcze? - spytała Katharine.
- Chętnie się napiję.
- Ja chyba mam już dość.

Spochmurniał.

- Już?
- Na przyjęciu ciągle napełniali mi kieliszek.
- Mówisz o szampanie - powiedział Sebastian z ulgą

w głosie.

- Oczywiście. - Katharine urwała. Zobaczyła wyraz jego twarzy. - Myślałeś, że mam nas na myśli. Ależ dopiero się poznaliśmy.

Uśmiechnął się do niej.

- Wiem.

Zostawili szampana, nawet go nie spróbował. Chcieli rozmawiać, być razem, cieszyć się wspólnie spędzonym czasem. Poszli wzdłuż Madison Avenue, w kierunku południowym, mijając małe, prywatne galerie, Whitney i Westbury. Szli dalej, aż skręcili w Szóstą Ulicę, po czym zaczęli z powrotem iść na północ, wzdłuż Piątej Alei. Stopy Katharine, uwięzione w złotych sandałkach na wysokich obcasach, zaczęły ją bardzo boleć, ale to nie miało znaczenia. Była z nim.

- Jesteś zmęczona - powiedział Sebastian. Miał poczucie winy. - Musisz być wyczerpana po ostatnich wydarzeniach, a ja zmuszam cię do spacerów, kiedy powinnaś...

- Nie - przerwała prędko - nie jestem zmęczona, to tylko te niewygodne buty. Tak naprawdę nie nadają się do spacerów.

- O Boże, kulejesz, a ja tego nie zauważyłem.

- To nic takiego, naprawdę.

Chciał wziąć ją na ręce i nieść w ramionach, lecz bał się, że ją przestraszy.

- Dlaczego w tym mieście nigdy nie ma żadnej taksówki, kiedy się jej potrzebuje? - zapytał.

- Nie potrzebujemy taksówki - odparła Katharine łagodnie. - Już prawie jesteśmy na miejscu.

- Gdzie?

- Tu właśnie mieszkam.

Gdy tylko przeszli przez próg, zrzuciła sandały i od razu jej wzrok padł na bladoróżowe i białe róże wypełniające hol.

- Jakie piękne! - Katharine czytała bileciki. - Od Laszlo i Betty... Są dla mnie tacy dobrzy! A te są od Sama... - Jej oczy, już wcześniej roziskrzzone, były radosne. - Nie wierzę w to - pisze, że recenzje są świetne. Och, Dzięki Bogu! Jak to możliwe, że to wszystko dotarło tu tak szybko?

- Wyszliśmy od Sardiego ponad godzinę temu - odparł Sebastian. - Pewnie kwaciarnie w Nowym Jorku są otwarte do późnej nocy.

Na automatycznej sekretarce nagrano wiadomość. To Dixie z informacją, że krytykom niezmiernie podobał się „Paryż”. I dlaczego Katharine wyszła tak wcześniej?

- Oni wszyscy cię kochają, prawda? - powiedział Sebastian miękko. - Wszyscy ci ludzie. - Usłyszał ciepło w głosie Dixie i już wiedział, że Katharine Andersen jest kobietą, która wzbudza w innych dobre uczucia.

- Ja też ich kocham - powiedziała. - O Boże, jestem taka szczęśliwa!

- Ja też - powiedział Sebastian.

- Naprawdę?

Chciał jej powiedzieć, co czuje. Pomyślał jednak, że może Katharine posądzi go o zbytnią pewność siebie.

- Jednocześnie - powiedział - boję się.

- Czego?

- Że to nie dzieje się naprawdę. Że to sen.

- Chcesz, żebym cię uszczypnęła?

I zobaczył, że kiedy Katharine się uśmiecha, w obu jej policzkach pojawiają się małe dołeczki. A kiedy odgarnęła z twarzy do tyłu swoje długie, ciemnozłote włosy, zobaczył jej piękną, gładką szyję. Pragnął jej dotknąć, ale wstrzymał się, wiedząc, że jeszcze jest na to za wcześnie.

Samolot Sebastiana miał odlecieć z lotniska Kennedy'ego wcześniej tego ranka. Nie pierwszy raz wracał do hotelu po to tylko, by zabrać bagaże i się wymeldować, nie mając czasu na sen. W czasie pierwszej półgodziny od poznania Katharine zastanawiał się, jak szybko będzie mógł wrócić do Nowego Jorku. Po dwóch godzinach wiedział już, że nie polecą porannym lotem. Nic nie zmusi go do wyjazdu, dopóki nie upewni się, że Katharine rozumie, iż nie jest to jedynie jakieś krótkotrwałe, przemijające szaleństwo, lecz coś znacznie więcej.

Zostawił ją o czwartej nad ranem. Marzył, by się z nią kochać. Wyczuwał, że i ona jego pragnie. Ale nawet jej nie pocałował. Będzie jeszcze na to czas. Bał się tej miłości. Miał dwadzieścia siedem lat i nigdy wcześniej nie był zakochany. Ona była tym wszystkim, o czym zawsze marzył. To, co czuł teraz, było dokładnie takie, jak sobie zawsze wyobrażał. I całym sercem, całą duszą pragnął, żeby tym razem było inaczej. Jednak obawiał się, że tak się nie stanie.

Wrócił bez zaproszenia o dziesiątej. Nie chciał jej budzić. Bał się jednak, że Katharine może wcześniej wstawać i że jej nie zastanie, jeśli przyjdzie później. Portier przyjrzał mu się podejrzliwie i zadzwonił. Upłynęło kilka minut, nim Katharine odpowiedziała. Sebastian miał obawy, że zostanie odesłany, lecz portier kazał mu odczekać piętnaście minut, po czym iść na górę.

Gdy Sebastian wyszedł się z windy, Katharine czekała w otwartych drzwiach.

- Dzień dobry - powiedziała. - Jaka miła niespodzianka.

- Obudziłem cię? Twój portier wyglądał na niezadowolonego.

- Wcale nie. Ike jest tylko nadopiekuńczy.

Miała na sobie niebieskie dżinsy i koszulkę z krótkimi rękawami. Jej stopy były białe, a paznokcie u stóp pomalowane

na różowo. Sebastian wiedział, że pewnie przerwał jej kąpiel, bo włosy Katharine były zawinięte w biały ręcznik. I kiedy przeszedł obok niej, gdy ona zamknęła drzwi, poczuł delikatny zapach mydła, szamponu i talku i zobaczył, że jej twarz, bez śladu makijażu, jest jeszcze śliczniejsza.

- Mam nadzieję, że lubisz rogate? - powiedział.

Katharine z radością spojrzała, na papierową torbę, którą trzymał w rękach. Podniosła na niego oczy.

- Uwielbiam rogate - powiedziała.

Sebastian poczuł się absolutnie szczęśliwy, spokojny i bez troski. I wtedy ją pocałował, zanim zdążyła zaprotestować. Był to zupełnie inny rodzaj pocałunku niż te, które znał. Nie oznaczał preludium do fizycznego zbliżenia, lecz do miłości; był zmysłowy tak bardzo, że Sebastian poczuł, jak poraził go od stóp do głów. Oznaczał jednak znacznie więcej - ciepły i radosny - podniecenie i powitanie.

- Nie przestawaj - szepnęła, czując, że Sebastian się odsuwa. Jej twarz płonęła, oczy lśniły, serce waliło jak młotem. Widziała, że i on jest oszołomiony, tak jakby nie wiedział, gdzie jest. Uśmiechnęła się do niego.

- Może powinnam zrobić kawę.

Pokiwał głową.

- To brzmi zachęcająco.

Katharine wyciągnęła do niego rękę i on wziął ją w swoją. Zaprowadziła go do kuchni.

- Myślałam, że może jednak zmienisz zdanie i polecisz rano.

- Mówiłem ci, że nie lecę.

- Wiem.

Chwycił jej dłoń.

- Nigdy się nie okłamię, Katharine Andersen.

Katharine spojrzała mu w oczy.

- Wierzę ci - odparła.

Potem zjedli obiad w The Sign of the Dove, po czym znów poszli na spacer, tym razem do Central Parku. Potem Sebastian odprowadził ją do teatru.

- Czy zobaczę cię później? - zapytał.

- Chcę jeszcze raz zobaczyć show dziś wieczorem - powiedziała przeproszającym tonem.

- Mogę go oglądać dwa razy dziennie, jeśli tylko pozwolisz mi siedzieć obok siebie.

- Tylko dzisiejszego wieczora - powiedziała Katharine. - Chcę sprawdzić parę rzeczy. Wczoraj byłam zbyt przejęta.

Siedzieli na balkonie na pierwszym piętrze. Sebastian przyglądał się twarzy Katharine, kiedy tak spoglądała w dół na swoje dzieło. Śliczny był ten jej nieśmiały uśmiech, kiedy uchwyciła wpatrzona w siebie jego spojrzenie. Trzymali się za ręce jak nastolatki. Po przedstawieniu znów byli głodni. Oboje mieli ochotę na pierwszorzędną wołowinę, więc poszli do Gallaghery, gdzie zjedli smaczne żeberka wołowe. Następnie wzięli taksówkę, pojechali z powrotem do hotelu Carlyle i słuchali płyt Bobby'ego Shorta. Katharine była śpiąca i Sebastian odprowadził ją do domu. Pocałował ją namiętnie na do widzenia.

Katharine długo leżała tej nocy i nie mogła zasnąć. Myśli kłębiły się w jej głowie. To wszystko było jak sen - może więc nie potrzebowała już snu. Triumfalne przyjęcie, przedstawienie, serdeczność ludzi, no i Sebastian.

- Sebastian Locke - powiedziała miękko w ciemność.

Tak dobrze pamiętała go jako chłopca. Jak była mu wdzięczna za to, że okazywał jej uprzejmość i życzliwość. Już wtedy, w wieku siedmiu lat, wydawał jej się przystojny, jak chciała mu zaimponować, wchodząc na drzewa, mimo że się bardzo bała.

Wiedziała, że odwołał lot tego ranka ze względu na nią. Czowała, że Sebastian się w niej zakochał. Zdziwiło ją trochę to, że po pocałunkach Sebastian tak szybko się odsuwa, lecz jednocześnie to wszystko było częścią jakiejś tajemnicy. I jeszcze David, którego widok tak ją uszczęśliwił. Kochany David, taki dobry...

Zamknawszy oczy, pomyślała o Davidzie. Te kochane rysy, które widziała zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu, a które wspominała całymi miesiącami po ich rozstaniu... kręcone brązowe włosy, łagodne, kochające oczy. Oczywiście ciągle je pamiętała, potrafiła je opisać, lecz nagle nie mogła przywołać ich w wyobraźni. Przewróciła się na bok, pomyślała o pięknych dłoniach chirurga, o długich palcach, lecz kie-

dy położyła twarz na poduszce, zamiast nich zobaczyła dłonie Sebastiana, również wąskie i piękne. Ręce, które mogłyby cudownie pieścić...

Jej ciało boleśnie pragnęło jego dotyku. Zastanawiała się, jak dużo czasu Sebastian potrzebuje, żeby się zdecydować na seks.

Usiadła na łóżku i zapaliła lampkę nocną. Była czwarta. Zastanowiła się, czy do niego nie zadzwonić. A co będzie, jeśli wyjechał z miasta bez powiadomienia jej o tym? A może traktowała go ze zbyt dużym dystansem, znaki, które dawała, nie były dosyć wyraźne? Zawsze była zbyt powściągliwa, zbyt długo wahała się - tak sądzili niektórzy mężczyźni. Co będzie, jeżeli Sebastian pomyślał, że ona tak naprawdę go nie chce? A jeśli odleci dzisiaj porannym samolotem?

Potem uczucie paniki minęło. Katharine zgasiła światło i położyła się. Nie zadzwoniła do niego. I wiedziała na pewno, że on nie wyjedzie.

W swoim apartamencie w Carlyle Sebastian też miał bezsenną noc. Wiedział, że może zostać na Manhattanie jeszcze tylko jeden dzień. Miał ważne sprawy do załatwienia w Londynie, klientów, którzy mu zaufali. Jeremy wątpił, czy uda im się przejęcie amerykańskiej agencji, a Elspeth potrzebowała krótkiego urlopu.

Dwadzieścia cztery godziny na to, by adorować kobietę, którą - był tego pewien - kocha. By o nią zabiegać i ją zdobyć. Kochać się z nią, jeśli ona go zechce. I aby odkryć, na dobre czy na złe - czy tym razem będzie inaczej.

Czuł się jak nastolatek, stęskniony i niepewny, jednak ten strach, że zawiedzie Katharine, był prawdziwym lękiem dorosłego mężczyzny. Utrata Katharine Andersen nie wchodziła w rachubę. Zostawiłaby - uzmysłowił to sobie - ogromną próżnię w jego życiu. Byłaby to dla niego tragedia.

Zastanowił się, czy starannie nie zaplanować nadchodzącego dnia, lecz przypomniał sobie wieczór sprzed paru lat, który tak gorliwie zorganizował dla Sabriny Bright, a który skończył się katastrofą.

O brzasku zadzwonił do Sama Raphaela.

- Halo? - odezwał się zaspany aktor.

- Sam, przepraszam, że cię budzę.
- Sebastian? Co się dzieje?
- Nic, Sam. Wiem, że jest wcześnie...
- Wcześnie? To pieprzony środek nocy.
- Wiem...
- Więc, czego chcesz?
- Potrzebuję twojej rady - Sebastian mówił prędko, tonem

przepraszającym, lecz natarczywym - Pomyśl o jakiejś najładniejszej i najprzyjemniejszej wycieczce na jeden dzień za miasto.

- Kpisz sobie ze mnie.

- Nigdy nie byłem bardziej poważny. - Wymijające odpowiedzi byłyby bezcelowe. - Sam, ja się w niej zakochałem, a to mój ostatni dzień. Nie wolno mi popełnić błędu. Znasz Katharine bardzo dobrze, wiesz co lubi, co sprawia jej radość...

- W porządku. - Sam już oprzytomniał. Zastanawiał się. - Przynajmniej jesteś szczery... Muszę cię uważać za uczciwego, bo inaczej nie chciałbym, żebyś był moim agentem...

- Dokąd mam ją zabrać, Sam?
- Dasz człowiekowi czas na oddech?

Ranek był ciepły i słoneczny, kiedy tak jechali wynajętym japońskim samochodem, w górę Hudson River Valley. Zostawili za sobą drapacze chmur i brzydkie, uprzemysłowione peryferie miasta, skręcili w Route 9 i podążyli w stronę Putnam County. Minęli Tarrytown, zrobili mały objazd, by zobaczyć Sleepy Hollow Restorations i w sam raz w porze obiadu dotarli do Hawk House Inn.

- Ojej! - zawołała Katharine radośnie. - Tu jest cudownie.

- Niech Bóg błogosławi Sama Raphaela - zgodził się Sebastian.

Był to stary, uroczy zajazd, z dachem pokrytym niebiesko-białym gontem, położony nad rzeką. Sala restauracyjna była przyjemna, z belkami podtrzymującymi strop i narożnym kominikiem. Okna wychodziły na śliczny ogród.

- To był świetny pomysł - powiedziała Katharine, kiedy już usadowili się przy stoliku pod oknem. - Wspaniale jest wyrwać się z miasta na kilka godzin.

- Wiem, że tkwiłaś w mieście miesiącami - Sebastian wziął do ręki swoją kartę. - To dziwne, że nie masz jakiegoś domku na weekendy. Czy latem się w mieście nie dusisz?

- Ubiegłego lata wynajmowałam dom na Island z Davidem. Cudownie było uciec z miasta, szczególnie w sierpniu.

Katharine opowiedziała Sebastianowi o Davidzie pierwszej nocy, kiedy spacerowali po przyjęciu. Chciała natychmiast wszystko mu o sobie opowiedzieć. A David Rothman niegdyś był ważną częścią jej życia.

- My w Londynie nie potrafimy tak miło spędzać weekendów - powiedział Sebastian. - Może dlatego, że miasto jest takie rozległe i potrzeba wyjazdu nie jest tak silna jak tutaj.

- Ciągłe mieszkasz w tej samej dzielnicy?

- Hampstead? - pokręcił głową. - Mam dom w Mayfair w samym sercu Londynu. To maleńki, biały domek. Nie mógłby bardziej różnić się od Dębów.

- Pamiętam twój dawny dom - mówiła Katharine. Wiesz, jak to jest z naprawdę odległymi wspomnieniami. Rozmazują się, fałszują prawdziwy obraz, są trochę jak sny.

- Nie zawsze - odparł Sebastian. - Ja pamiętam ciebie tak wyraźnie. - Uśmiechnął się. - Mała Kate, opowiadająca nam historie o duchach. Nawet na Jeremym zrobiło to wrażenie, co jest niemałym osiągnięciem.

- Pamiętam, że za mną nie przepadał.

- Nie? Prawdopodobnie cię lubił, ale nie chciał się do tego przyznać. Jeremy taki już jest.

- A teraz jest twoim partnerem.

- Chociaż nigdy tego nie planowaliśmy. To też było przeznaczenie. - Sebastian zamilkł i spojrzał na nią uważnie. - Wygląda na to, że najlepsze rzeczy są nam przeznaczone.

Zjedli wspaniałe żeberka, a potem sery, wypili dobre czerwone wino, rozmawiając, już nie tak chaotycznie, jak poprzedniego dnia, lecz swobodnie i miło. Opowiadali sobie o swojej przeszłości i otwierali przed sobą ciemne zakamarki swojego życia chętniej niż przed kimkolwiek wcześniej. Katharine słabo pamiętała Andrew Locke'a, lecz wspomnienie to było znacznie bardziej mgliste niż pamięć o Sebastianie i Jeremym. Słyszając o śmierci Andrew, poczuła szczery

smutek i głębokie współczucie dla Sebastiana i jego matki, znała bowiem doskonale wstrząs, jaki powoduje taka nagła strata bliskiej osoby. Kiedy Katharine opowiedziała Sebastianowi o przedwczesnej, tragicznej śmierci Jake'a i Louisy, przeżywał to razem z nią. Zaś gdy opisała swoje przeżycia i głęboki uraz, co doprowadziło do zerwania z dotychczasowym życiem w Waszyngtonie i przerwania studiów w Carnegie Mellon, jego podziw dla niej jeszcze bardziej wzrósł.

- Czy kiedykolwiek żałowałaś tych decyzji? - zapytał.

- Nigdy. - Wolno pokręciła głową. - Ani trochę. Oczywiście podejmowałam ryzyko. Ale kiedy Sam przedstawił mnie Laszlo, wszystko wróciło na właściwe miejsce. To był chyba po prostu szczęśliwy traf.

- Taki talent jak twój nie ma nic wspólnego z przypadkiem. - Sebastian przyglądał się, jak Katharine rumieni się z radości. - Nie powinnaś nisko się cenić. Musisz wierzyć, że jesteś dobra.

- Przyznaję, że trochę zaskoczyłam samą siebie w „Paryżu”. I cokolwiek mówią inni, włącznie z Laszlo, było odwrotnie - cała koncepcja dekoracji do „Paryża” była jego pomysłem. Nie moim.

- Co dalej? - spytał Sebastian.

- Nie wiem.

Pochylił się do przodu i położył prawą rękę na obrusie. Powolnym, zdecydowanym ruchem Katharine oddała mu swoją lewą dłoń.

Oboje zadrżeli lekko, przeszło ich to samo słodkie pożądanie i Sebastian delikatnie uścisnął jej palce. Katharine cofnęła rękę i położyła ją na kolanach.

- Napijesz się kawy? - zapytał miękko.

- Nie, dziękuję - mówiła cicho i wyraźnie. - Nie chcę kawy ani deseru. Nic więcej, dziękuję.

- Poproszę o rachunek.

- Tak - odparła Katharine.

Zapłacił i wyszli z sali restauracyjnej. Prawie bez słowa podeszli do recepcji. Sebastian wcześniej nie odważył się zarezerwować pokoju, teraz jednak był pewien, że oboje tego pragną.

Pokój był zachwycający, z łóżkiem pod baldachimem. Ogarnął ich spokój, pomimo wzajemnego ogromnego pożądania. Stali na środku pokoju, wpatrzeni w swoje twarze.

To Sebastian pokonał pierwszy dzielącą ich odległość. Delikatnie dotknął podbródka Katharine i podniósł jej twarz ku górze, nim pocałował ją z bezgraniczną czułością.

Znów się rozdzielili tylko na jedną krótką chwilę.

Zaczęli się nawzajem rozbierać. Czerwona, bawełniana spódnica Katharine spadła na podłogę, Sebastian wysunął się z džinsów, chwycił jej białą bluzkę bez guzików i zdjął ją przez głowę, a gęste włosy Katharine rozsypały się na plecy. Rozpiął jedwabny stanik, a ona ze śmiechem, szarpiąc, zdjęła mu bieliznę. I ogarnęła ich radosna ulga. Te upragnione wrażenia dotyku skóry o skórę zawładnęły nimi i pchnęły na łóżko. Nie mieli czasu zdjąć narzuty. Czuli, jak łomoczą im serca, niemal słyszeli szalone pulsowanie krwi w żyłach.

I miłość zaczęła się i trwała. Spleceni - jego ręce, jej ręce, dotykające, szukające, odkrywające. Sebastian pragnął wielbić ją, przelać się w nią, lecz czekał, kochał ją. Katharine przyplýwała ku niemu, spragniona każdego centymetra jego ciała. Chciała, by całował jej ciało, pieściła jego palce, język, członek, gładkość jego skóry, wysmukłe, lecz mocne biodra, krągłość pośladków. Ich namiętność rosła i wzbijała się w górę, oszalamiająco, dziko, pożądliwie, ekstatycznie, aż wydało im się, że pokój stanął w płomieniach, z ich rozpalonymi ciałami i słońcem wpadającym przez okna, i z tym jednoczącym rytmem, z wygięciem w łuk, kochaniem...

A potem Katharine zasnęła na chwilę, a Sebastian czuwał przy niej, tulił ją, jej głowa spoczywała w zagięciu jego ramienia. Okrył ją narzutą i czule całował jej włosy.

Tym razem miłość nie skończyła się wraz z aktem miłosnym. Było tak jak zawsze marzył, tak jak wiedział, że powinno być, ale znacznie lepiej. Katharine była tak nieskończenie piękna, pragnął jej całej, chciał, by z nim była całkowicie, do końca. I wiedział, że to na nią czekał całe swoje dorosłe życie.

Wrócił do Londynu tylko na cztery dni. Już pierwszego dnia zrobił w agencji popłoch, ogłaszając podczas spotkania

personelu, że znów leci do Nowego Jorku, przynajmniej na tydzień, a może i na dłużej.

- Co się dzieje? - spytał Jeremy.
- Mówiłem ci.
- Spotkałeś kobietę.
- Nie jakąś tam kobietę. Katharine.
- Którą poznałeś, kiedy miała pięć lat. Pasierbicę Sama

Raphaela...

- Byłą pasierbicę.
- I która zrobiła scenografię do „Paryża”...
- To przebój sezonu, mówiłem ci?
- Dwadzieścia pięć razy. Wciąż nie pojmuję, dlaczego musisz od razu wracać do Nowego Jorku.

Sebastian spojrział na Jeremy'ego, próbując zachować cierpliwość.

- Naprawdę nie rozumiesz, prawda?
- Nie.
- Zakochałem się w niej, Jeremy. Nigdy jeszcze nie byłem zakochany i nie mam zamiaru jej stracić. Sama myśl, że przez kilka dni mam być daleko od niej, jest nie do zniesienia.
- Dlaczego to ona nie może przyjechać do Londynu? - spytał Jeremy rozsądnie. - Jej praca jest skończona, prawda? Twoja nie. Masz tu klientów, którzy od ciebie zależą.
- Którzy zależą od nas. Ty tutaj będziesz, a ja przecież nie wyjeżdżam na zawsze.
- Jak długo cię nie będzie?
- Tak długo, jak trzeba.

Katharine wyszła po niego na lotnisko Kennedy'ego. Pogoda się zmieniła i dziewczyna była opatulona w gruby sweter, płaszcz przeciwdeszczowy, a wokół szyi zawiązała długi szalik.

- Bałam się, że nie przyjedziesz.
- Jak mogłaś w to wątpić? - Przytulił ją mocno.
- Myślałam, że może to jest zbyt dobre, żeby mogło być prawdziwe.

Zakreślił końce jej szalika wokół swoich nadgarstków.

- Czy możemy stąd pójść? Chcę to wszystko pościągać...
- Nie pamiętasz?

Pocałował ją w usta.

- To ty powiedziałaś, że pamięć może być zdradliwa.
- Gdzie się zatrzymasz?

Zawahał się.

- U ciebie, jeśli mnie przyjmiesz. To znaczy... jeśli to kłopot, pójdę do Carlyle'a albo gdzieś indziej, o ile...
- Chodźmy.
- Jesteś pewna?
- Czy muszę nieść twoje bagaże?

Żadne z nich ani przez moment nie miało wątpliwości.

Przez następne cztery dni byli razem bez przerwy, ani na chwilę się nie rozdzielali. Były to dni najśłodzych odkryć. Sebastian znalazł w sobie cały wachlarz nowych emocji, możliwości, zdolności, przeżył po raz pierwszy prostą radość wynikającą z bliskości fizycznej, nie związanej z seksem. Zrozumiał sens stałego przebywania razem z ukochaną kobietą, jak również po raz pierwszy doświadczył bolesnego, ostrego ukłucia zazdrości, kiedy Katharine uśmiechnęła się do innego mężczyzny.

- Myślałem, że wciąż jesteś zakochana w Davidzie - powiedział Sam do Katharine przez telefon pewnego poranka, gdy Sebastian brał prysznic.

- Ja też tak myślałam - przyznała Katharine. - Wiem, że to zabrzmie cholernie banalnie, ale chyba nigdy nie wiedziałam, co to jest miłość.

- Aż do teraz.

- Lubisz go, prawda, Sam?

- A czy sprawiłoby to jakąkolwiek różnicę, gdybym go nie lubił?

- Nie zmieniłoby to mojego stosunku do niego. Ale dla mnie ma znaczenie to, co myślisz, Sam.

- Lubię Sebastiana - odparł Sam. - Polubiłem go od razu, kiedy go spotkałem. Mam nadzieję, iż sprawy poukładają się tak, że zostanie moim agentem. Ale o wiele bardziej zależy mi na tym, żeby ułożyło się między wami.

Katharine przez jakiś czas porównywała to, co przeżywała z Davidem, z tym, co czuje do Sebastiana. Jednak nie dało się tych uczuć porównać. Może po prostu dlatego, że David nie był Sebastianem. W każdym razie wszystko sprowadzało się do jednego:

- Kochamy się - powiedziała Laszlo.
- Oczywiście.
- Nie podoba ci się to.

Był to czwarty wieczór pobytu Sebastiana. Laszlo i Betty przyszli na obiad, aby go poznać. Katharine ubijała pianę na deser, kiedy Laszlo wszedł do kuchni.

- Nie potrzebujesz mojej aprobaty - Laszlo złagodniał. - W każdym razie to nieprawda, że mi się to nie podoba. Dopiero co poznałem Locke'a. Wygląda na porządnego faceta. I to jasne jak słońce, że cię kocha.

- Więc w czym leży problem?
- Obawiam się, że postąpisz pochopnie i że cię stracimy, *kedves*.

- Nigdy mnie nie stracisz, Laszlo - odparła Katharine wzruszona. - Jesteś jednym z moich najlepszych przyjaciół.

- Wyjdiesz za Sebastiana?

Katharine dalej przyrządzała deser.

- Nie poprosił mnie o to.
- Rumienisz się, Katharine.
- Gorąco mi od ubijania piany.
- Poprosi cię - Laszlo nie dał się zwieść. - Co mu odpowiesz?

Odstawiła miskę.

- Deser gotowy - powiedziała.

Pewnego wieczoru znowu wybrali się, żeby obejrzeć „Paryż”, po czym poszli na kolację do Alessandro na Park Avenue. Po kaczce z wiśniami, kiedy czekali, aż przyniosą deser, Sebastian sięgnął po dłoń Katharine.

- Wyjdź za mnie.

Katharine szeroko otwartymi oczyma wpatrzyła się w jego twarz. Milczała.

- Wiem, że to wariactwo, w pewnym sensie... i o wiele za prędko, ale...

- Nie - odpowiedziała.
- O Boże.
- Nie, to nie wariactwo i nie, to nie jest za prędko.

Serce Sebastiana mocno zabiło.

- Więc zgadzasz się?
- Zapytaj mnie jeszcze raz.

Trzymał jej dłoń, jakby to był największy skarb na świecie.

- Katharine Andersen. Czy wyjdiesz za mnie?

Oczy dziewczyny wypełniły się łzami.

- Tak.

Dwa dni później sędzia udzielił im ślubu. Świadkami byli Sam Raphael i Dixie Callaghan. Tempo tego romansu zrobiło wielkie wrażenie na Dixie, Sama natomiast ten pośpiech rozbawił i zaniepokoił. Katharine usiłowała mu wytłumaczyć, że Sebastian, który nie jest impulsywnym człowiekiem, po prostu nie chciał czekać.

- A ty? - zapytał Sam.

- Sądzę, że to dla niego ważne - odparła Katharine. - Myślę, że byłoby inaczej, gdyby żyli jego rodzice. Mówi, że teraz ja jestem jego rodziną i marzy o tym, by przywieźć do domu swoją pannę młodą.

- A ty - dalej pytał Sam - co ty czujesz?

- Chcę poślubić Sebastiana. Nie mam najmniejszych wątpliwości. I nie ma dla mnie znaczenia, czy wyjdę za mąż w kościele, w sądzie, czy też na polu. Chcę po prostu z nim być, uczynić go szczęśliwym.

- I pojedziesz do Anglii?

- Tak, Sam.

- Przecież jesteś Amerykanką, Katharine.

Uśmiechnęła się.

- Ale kocham Anglika.

- Możemy pobłogosławić nasze małżeństwo, jeśli tego pragniesz - powiedział Sebastian do Katharine, kiedy usiedli z tyłu limuzyny w drodze do sądu. - Możemy to zrobić w kościele w Anglii, w Nowym Jorku, w Waszyngtonie, a nawet w Danii. Gdziekolwiek zechcesz, tylko żebym nie musiał czekać jeszcze jeden dzień, aż zostaniesz moją żoną.

- To szaleństwo, wiesz? - śmiała się Katharine, jej twarz była radosna. - To wszystko jest zwariowane. Ja po prostu nie robię takich rzeczy. A przynajmniej nie robiłam, zanim nie spotkałam ciebie.

To była prawda. Katharine Andersen rzadko dawała się ponosić emocjom. Zdawała sobie jednak sprawę, że samo za-

kochanie się spowodowało, że oszalała, a skoro już tak się stało, chciała, żeby już tak zostało na zawsze. Gdyby Sebastian wyraził życzenie, by poleciała z nim na Księżyc, zgodziłyby się. A najbardziej niezwykle w tym było to, że czuła się taka spokojna i wydawało się jej, że postąpiła słusznie.

- Czy naprawdę jesteś pewna? - zapytał ją miękko, gdy z Samem i Dixie czekali na sędziego. - To znaczy, czy jesteś całkiem pewna, że to jest właśnie to, czego chcesz?

Na tysiąc procent - szepnęła. - Wiem, że mówiłam, iż to jest szaleństwo. Ale wydaje mi się, że poślubienie ciebie jest najbardziej oczywistą, najbardziej właściwą rzeczą, jaką kiedykolwiek w życiu zrobiłam.

Miała na sobie biały kostium od Saint Laurenta, który kupiła w zeszłym roku, kapelusz z szerokim rondem i jasnopomarańczową wstążką. Stroju dopełniały takiegoż koloru rękawiczki i pantofelki. Dixie przygotowała dla niej bukiet lilii i aksamitnych róż herbacianych, zaś Sam dał jej jasnoniebieską podwiązkę.

- Czy masz na sobie coś starego, szefowo? - spytała Dixie. Katharine dotknęła pereł na szyi.

- Należały do mojej mamy, Dixie. Więc jestem gotowa.

- Wyglądasz... - Dixie pokręciła głową. - Brakuje mi słów. Zawsze wyglądasz pięknie, szefowo, ale dzisiaj...

- Dziękuję, Dixie - Katharine uścisnęła jej rękę. - Kiedy przestaniesz nazywać mnie szefową?

- Nigdy. - Dixie pochyliła się ku niej. - To jest jedyna rzecz, która naprawdę mnie wkurza w całym tym interesie, szefowo.

- Co takiego?

- Jeśli będziesz mieszkała w Londynie, czy będziemy jeszcze kiedykolwiek razem pracować? Bo masz zamiar nadal projektować, prawda?

- Nie wiem - odparła Katharine. - Prawdopodobnie. A najwspanialsze w tym wszystkim jest to, Dixie, że wcale mi na tym nie zależy.

W podróż poślubną pojechali do Wenecji do Gritti Pałace. Były to niebiańskie dni. Pograżyli się w cudownej nierealno-

ści tego miasta morza, z jego magicznym pięknem. Wszystko było im tak dobrze znane z wielu obrazów i filmów. Unosili się poza czasem, tak jak wtedy, kiedy się poznali. Budzili się o brzasku, kochali się, znowu zasypiali, jedli śniadanie na balkonie - żona i mąż, kochankowie, przyjaciele.

- Spójrz na sufit - zamruczała, kiedy znów położyli się do łóżka. - Czy to nie najpiękniejszy sufit, jaki kiedykolwiek widziałeś, mój najdroższy?

- Tak, aniele - przytaknął, lecz patrzył na jej twarz, włosy, rozpostarte na poduszce, szyję, ramiona i w dół, na piersi, na ich doskonałe sutki, i dalej w dół, na łagodne wzniesienie jej brzucha i niżej, na ciemnozłotą kępkę jej wżgórka łonowego. - Najpiękniejszy - powiedział, całując ją.

A potem w gondoli powiedziała:

- Czy kiedykolwiek widziałeś takie niebo, mój ukochany? To najdoskonalsze niebo na świecie.

Spojrzał w górę. Katharine miała rację. Był to doskonały, przejrzysty błękit, choć lato dawno już minęło. A potem z powrotem spojrzał na twarz żony, na małe, lecz niezwykle cuda, zauważał bowiem coraz to coś nowego, za każdym razem, kiedy się jej przyglądał, zapamiętując szczegóły: rozsiane na jej ślicznym nosku cudowne piegi, które pojawiły się wraz z ciepłym słońcem; sposób, w jaki dołeczki pojawiały się na policzkach, kiedy się śmiała; drobniutkie zmarszczki, biegnące od nosa do kącików ust, zaznaczone przez śmiech; niezwykle miękkość warg.

- Masz rację, aniele - powtórzył, bo tak teraz o niej myślał - była jego żoną-aniółem. Najbardziej ze wszystkiego żałował, że nie poznał jej Andrew. Sebastian wiedział, że ojciec pokochałby Katharine tak jak on.

I tak słodko mijała ich podróż poślubna. Obiady jedli w Harry's Bar, karmili gołębie na Placu Świętego Marka. Przytulali się w wąskich, ciemnych zaułkach, spacerowali po wygiętych w łuk mostkach i marszczyli nosy, mijając cuchnącą wodę w kanałach. Siedzieli cicho, trzymając się za ręce, i w chłodnym spokoju małych kościółków słuchali dzwonów bijących na kampanilach. Zanurzali się razem w perfumowanej kąpieli, a służba hotelowa przynosiła im obiad. Zatracili się w miłości.

Rozdział 18

Virginia czekała na nich na lotnisku Heathrow, z twarzą ściągniętą napięciem. Jednak gdy tylko zobaczyła młodą parę wychodzącą z hali przylotów, jej wątpliwości i niepokoje zniknęły. Natychmiast odczytała bijące z nich czyste szczęście, zauważyła piękno i promiennosc Katharine.

- Witaj - Virginia podeszła, ujęła dłonie Katharine w swoje i ucałowała ją w policzek. - Nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo się cieszę z naszego spotkania.

- A całus dla mnie? - zapytał Sebastian.

- Oczywiście. - Virginia stanęła na palcach, żeby go objąć. - Kochanie, już teraz cię rozumiem. Wystarczyło jedno spojrzenie na twoją piękną Katharine.

- Jest pani bardzo miła, pani Locke - powiedziała Katharine. Poczula ulgę, kiedy zobaczyła, że ta delikatna, atrakcyjna, starsza pani mówi to całkiem szczerze. - Muszę pani powiedzieć, że czuję się tak, jakbym już panią знаła. Sebastian tak wiele mi o pani opowiadał.

- W takim razie - odparła Virginia - myślę, że się zaprzyjaźnimy.

Pojechali taksówką do domu Sebastiana. Podczas gdy Virginia płaciła taksówkarzowi, Sebastian uparł się, że przeniesie Katharine przez próg. Katharine rozglądała się, pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej o mężu, którego niemal nie znała. Sebastian znalazł w lodówce butelkę szampana, otworzył ją i napełnił trzy kieliszki.

- Za moją piękną żonę - powiedział, wznosząc toast.

- Za was oboje - rzekła Virginia.
- Za nas wszystkich - dodała Katharine.
- Jak ci się tu podoba? - spytał Sebastian. - Pozwól, że cię oprowadzę.
- Zanim to zrobicie... - zaczęła Virginia i urwała w pół słowa.
- O co chodzi Virginio? - spytał Sebastian.
- Dobrze - Virginia wzięła głęboki oddech. - Wiem, że dopiero co przyjechaliście i oboje musicie być zmęczeni...
- Przyjechaliśmy tylko z Włoch - powiedział Sebastian. - I jeśli chodzi o mnie, nigdy nie byłem w lepszej formie.
- A ty, Katharine?
- Czuję się świetnie - odparła Katharine. - Naprawdę.
- W takim razie przypuszczam, że ten moment jest równie dobry jak każdy inny, by wam powiedzieć, że sądzę, iż nie powinniście myśleć o urzędzeniu się tutaj, w tym domu.
- Dlaczego nie? - zapytał Sebastian.
- To czarujący, mały domek, nowoczesny i doskonały dla samotnego biznesmena, dla kawalera. - Virginia przerwała. - Ale wy macie wspaniały dom w Hampstead.
- O nie - stanowczo odpowiedział Sebastian. - Nie zgadzam się, Virginio. Dęby są twoim domem, mieszkasz tam już od ponad dwóch lat...
- Na nieszczęście - przerwała Virginia, a widząc strapienie odbijające się na twarzy Sebastiana, pokręciła głową. - To naturalnie przesada, kochanie. Oczywiście nie takie wielkie nieszczęście, ale nie będę dłużej udawać, że byłam tam szczęśliwa.

Katharine patrzyła na nich.

- Może powinniśmy usiąść. - Zawahała się. - A może ja pójdę na górę, żeby się rozejrzeć?
- Proszę cię Katherine. - Virginia usiadła w jednym z foteli. - Chcę, żebyś to słyszała. Teraz dotyczy to ciebie bezpośrednio, przecież jesteśmy rodziną.
- Chodź, usiądź tutaj, kochanie. - Sebastian pociągnął Katharine, by usiadła obok niego na sofie. - Mów dalej, Virginio, proszę.

Virginia ciągnęła:

- Poza tym trzeba wziąć pod uwagę, że jesteście teraz małżeństwem i chociaż jest jeszcze o wiele za wcześnie - i to

nie ja powinnam rozważać takie sprawy - być może zdecydowanie któregoś dnia, że chcecie mieć dzieci. - Zamilkła. - Po to właśnie są Dęby, tego potrzebuje ten dom.

Ponieważ ani Sebastian, ani Katharine się nie odzywali, Virginia ciągnęła dalej.

- Bez Andrew nie ma w nim dla mnie życia, Sebastianie. A przecież jest to wspaniały dom i zależy mi na nim.

- Przepraszam, Virginio - powiedział Sebastian cicho. - Powiniennem wiedzieć, co czujesz.

- Jak mogłeś się domyślać, skoro nigdy ci tego nie powiedziałam? Nie chciałam obarczać cię moimi kłopotami, a mówiąc szczerze, dopóki nie powiedziałeś, że się żenisz, nie marnowałam wiele czasu na myślenie o moich prawdziwych uczuciach. Wydawało mi się, że nie ma to sensu.

- Ale teraz co o tym sądzisz?

- Wiem, że odziedziczyłam Dęby, ponieważ byłam żoną Andrew - mówiła Virginia. - Ale nigdy nie czułam, że są moje. Nie spędziliśmy pod tym dachem ani jednej wspólnej nocy. Ale nigdy nie przestałam uważać Dębów za twój rodzinny dom, Sebastianie.

Siedzieli przez chwilę w ciszy.

- Kochanie - odezwała się łagodnie Katharine. - Co o tym myślisz?

- Nie wiem. Byłem potwornym egoistą, nie uświadamiając sobie, co naprawdę Virginia czuje. Nie, Virginio, nie zaprzeczaj. Powiniennem był... - Urwał. Zmarszczył czoło. - Gdzie chciałabyś mieszkać?

- Mam - powiedziała Virginia ożywionym głosem. - Bardzo chciałabym znaleźć ładne mieszkanie, może z tarasem, w pobliżu Hyde Parku. W miejscu, z którego spacerkiem można by dojść do Harrodsa, do wielu restauracji, sklepów i kawiarni.

- To brzmi cudownie - powiedziała Katharine.

- Prawda, że tak? - uśmiechnęła się do niej Virginia. - Oczywiście musisz myśleć, że jestem potwornie pewna siebie. Przecież nawet nie wiemy, czy w ogóle polubisz Dęby, nie mówiąc już o tym, czy zechcesz tam zamieszkać.

- Katharine sama będzie musiała je zobaczyć - stwierdził Sebastian.

- Już widziałam - przypomniała mu Katharine.
- Miałaś wtedy pięć lat - zwrócił jej uwagę Sebastian.
- Z pewnością nie pamiętasz domu, prawda? - zapytała Virginia.

- Pamiętam niektóre rzeczy. Chociaż najbardziej chyba przypominam sobie atmosferę Dębów. Pamiętam, że uważałam je za ogromne.

- Pięciolatkom chyba wszystko wydaje się większe, nie sądzisz? - powiedziała Virginia.

- Wiem, że wtedy mi się podobało.

- Nawet jeżeli nadal tak będziesz uważała - odezwał się Sebastian - znajdziesz tam mnóstwo rzeczy, które będziesz chciała zmienić.

- To staroświecki dom - zgodziła się Virginia - ale wyjątkowo wspaniały. - Wstała i podeszła do drzwi balkonowych, wychodzących na maleńki ogródek. Jej głos ścichł, stał się mniej przenikliwy. - Tam jest cudowny ogród. I piękny salon, z belkami i z olbrzymim kominkiem, choć Ellie i ja rzadko trudzimy się, żeby rozpaść w nim ogień... - odwróciła się, by spojrzeć na Katharine. - A propos, Ellie Wilkins to gospoś, jedna z tych lojalnych, cudownych członków służby i domowników, o których czytuje się w powieściach.

- Była tam wtedy, przed laty, prawda? - spytała Katharine.

Myślę, że Ellie pojawiła się w tym samym czasie co Dęby - odparł Sebastian.

Po raz pierwszy Virginia spojrzała na niego błagalnie.

- Chcę odejść, Sebastianie. Naprawdę muszę zacząć życie od nowa.

Wstał.

- Nigdy nie będziesz sama, póki masz nas.

- Wiem, kochanie. - Podeszła do niego. - To po prostu dla mnie za smutne, zbyt trudne do zniesienia, by mieszkać w domu Andrew bez niego. - Ujęła jego dłoń. - Wiem, że chciałeś dla mnie dobrze.

- Dobroć nie ma z tym nic wspólnego.

- Jeśli tak twierdzisz. - Virginia uśmiechnęła się do niego.

- W każdym razie to teraz nie jest najważniejsze. Poza tym niczego nie ustalimy, póki Katharine nie zobaczy Dębów.

- Może pojedziemy dzisiaj? - zaproponował Sebastian.

- Dzisiaj? - zaskoczona Katharine podniosła na niego wzrok.

- I tak odwożę Virginie do domu. A nie chcę zostawić cię samej w nasze pierwsze popołudnie w Londynie. Chyba że jesteś zbyt zmęczona.

- Mogę wziąć taksówkę - powiedziała Virginia.

- Ależ nie - szybko odparła Katharine. - Chodźmy teraz.

- Jesteś pewna? - Sebastian spojrział na nią. - Nikt cię nie pogania, kochanie.

- Nie pogania? - zaśmiała się Katharine. - Oboje zapomnacie, że przez ponad pięć lat mieszkałam w Nowym Jorku. Tam pośpiech towarzyszy nam od samego rana.

Pojechali do północnego Londynu czarnym astone m Martinem Sebastiana. Katharine siedziała ściśnięta na tylnym siedzeniu, wbrew protestom Virginii, czuła jednak, że nie miałyby nic przeciwko podróżowaniu na tylnym siodełku motocykla, byle tylko widzieć drogę. Zapomniała już, jak wielkie jest to miasto, a kiedy jechali w górę Heath Street w Hampstead, aż westchnęła z zachwytem.

- Jak to możliwe, że to nadal jest Londyn?

- Miasto jest pełne czarujących dzielnic - powiedziała Virginia. - Hampstead jest jedną z najładniejszych.

- Już prawie jesteśmy na miejscu. - Sebastian skręcił w East Heath Road, a potem w lewo, do Wrzosowej Doliny. - To nasza ulica, a to - wjechał na podjazd - są Dęby.

Przez kilka chwil Katharine stała na podjeździe, w milczeniu zapatrzona w dom.

- A jednak pamiętałam - odezwała się miękko.

Było wietrzne popołudnie, powietrze wypełniały dźwięki szumiących drzew, szeleszczących liści i ptasich śpiewów.

- Myślę, że jest piękny - powiedziała.

Virginia otworzyła ciężkie, dębowe drzwi i od razu poszła na górę. Weszli do przestronnego holu i Katharine zobaczyła ślicznie zdobione witrażami okna, ozdobny sufit, wdzięczne łuki przy wejściach do salonu i jadalni. I niemal natychmiast poczuła to, na co zareagowali rodzice Sebastiana, kiedy po wojnie pierwszy raz zobaczyli ten dom. Było to wspaniałe

siedlisko. Drewno dębowe reaguje na nastroje ludzi i ich uczucia. Katharine od razu zgadła też, że musi to być straszne miejsce dla kogoś, kto jest nieszczęśliwy.

- Biedna Virginia - powiedziała bardzo cicho.

- Tak - Sebastian zawstydził się z powodu swojej niewrażliwości.

Przyjechać tu, chcąc tu zamieszkać, z takim optymizmem i radością, dokładnie tak, jak my przyjechaliśmy do Londynu. A potem nie móc nawet spędzić jednej wspólnej nocy z twoim ojcem. - Katharine chwyciła rękę Sebastiana.

Zrozumiała, co czuła Virginia. Wierzyła, że pragnęła ona stąd odejść. Tutaj mogły czekać na nią już tylko duchy, tylko stracone nadzieje i marzenia.

- A co z nami? - zapytał Sebastian, czytając w jej myślach.

- Z nami będzie inaczej - odparła.

Dęby miały osobowość, swój własny charakter, już teraz to wiedziała. I czuła, że ją witają.

Że będą tu szczęśliwi.

CZĘŚĆ

DRUGA

RS

Fragment zeznania złożonego policji przez Jeremy'ego Jamesa Adama Marinera w Szpitalu Świętego Jerzego w Londynie, trzydziestego pierwszego grudnia 1976 roku.

Chcieli być szczęśliwi, i to jak bardzo. Sebastian potrzebował tego szczęścia. Sebastian, mój najdroższy przyjaciel, mąż Katharine, syn Diany. Oczywiście to ostatnie było najważniejsze, o wiele bardziej nawet, niż potrafił to sobie uświadomić.

O ile pamiętam, powiedziałem wam wcześniej, że nie żywiłem do Katharine nienawiści. Nie było to kłamstwo. Lecz nieprawdą byłoby stwierdzenie, że nie czułem do niej wrogości. Ta wrogość i zazdrość w stosunku do niej pożerała mnie.

Kate wszystko zmieniła. Zepsuła. Odebrała mi Sebastiana. Więc robiłem, co mogłem, żeby wszystko jej obrzydzić. Chociaż, oczywiście, robiąc to, bardziej szkodziłem jemu, mojemu przyjacielowi. Zachowywałem się okropnie, szczególnie na początku. Chociaż ludzie byli przyzwyczajeni do mojego złego zachowania. Oprócz Seba. On zawsze był wyjątkiem w moim życiu, najlepszą osobą - kimś, dla kogo chciałem być tak dobry, jak tylko umiałem.

Zazdrość potrafi z ludźmi zrobić straszne rzeczy, prawda? A może to miłość powinniśmy obwiniać? Czasami myślę, że miłości przypisuje się zbyt wiele zasług. Wystarczy tylko spojrzeć, co zrobiła z naszą trójką.

Rozdział 19

Umówili się, że Virginia spokojnie rozejrzy się za właściwym mieszkaniem, a Katharine będzie odwiedzać Dęby tak często, jak będzie miała na to ochotę, zaznajamiając się z domem i zastanawiając się powoli i spokojnie, które partie domu chciałaby inaczej urządzić, a może nawet zaaranżować na nowo. A tymczasem mieli mieszkać z Sebastianem w Mayfair. Katharine jednak nie miała zamiaru zapuszczać tam korzeni, nie uważała małego domku za prawdziwy dom.

Sebastian wrócił do agencji Locke Mariner w trzecim dniu od ich powrotu do Londynu. Tak, jak miał na to nadzieję, towarzyszyła mu Katharine. Był dumny, że poślubił taką piękną kobietę. Katharine po raz pierwszy od przyjazdu do Anglii czuła się nieswojo. Elspeth Lehmann otworzyła drzwi, przywitała ją uprzejmie i szybko okazała życzliwość.

- Gdzie Jeremy? - zapytał Sebastian.

- Jeszcze go nie ma.

Sebastian nic nie powiedział, lecz Katharine spostrzegła w jego oczach wyraz zdziwienia, ponieważ przyjaciele nie widzieli się, odkąd Sebastian poleciał do Nowego Jorku. Katharine wiedziała, jak bardzo jej mąż cieszył się na to spotkanie.

- Nie mogliśmy się doczekać, kiedy cię poznamy, Katharine - powiedziała Elspeth. - Mogę zwracać się do ciebie po imieniu, prawda? Pani Locke brzmi tak oficjalnie.

A ja mogłabym nie zauważyć nawet, że zwracasz się do mnie. - Katharine uśmiechnęła się. - Do tylu rzeczy będę musiała jeszcze przyzwyczać.

- Z pewnością - odparta Elspeth ze współczuciem. - Ale zawsze możesz zwrócić się do mnie o pomoc.

Obie sekretarki i księgowy, Max Wolf, nawet nie starali się ukryć ciekawości. Katharine nagle uświadomiła sobie, że zapewne była tematem rozmów przez ostatnich kilka tygodni.

- Teraz zabieram moją żonę i posadzę ją w moim gabinecie z filiżanką kawy - odezwał się Sebastian po kilku minutach rozmowy na temat Nowego Jorku, przedstawienia ze scenografią Katharine i podróży poślubnej.

- Oni wszyscy są tacy mili - powiedziała Katharine, kiedy drzwi się zmknęły. - A tu - dodała, rozglądając się dokoła w gabinecie Sebastiana - jest jeszcze przyjemniej.

- Bardzo podobał jej się gabinet męża.

- Tutaj - powiedziała z satysfakcją - czuje się siebie.

- Naprawdę? - odpowiedział lekkim tonem, lecz było mu miło. - To po prostu miejsce pracy. I muszę przyznać, że je lubię.

Katharine wiedziała, jak ważne miejsce w jego życiu zajmuje agencja. Jego gabinet to było eleganckie, przestronne pomieszczenie, z łazienką i kuchenką; urządzone w prostym i praktycznym stylu. Biurko było wykonane z kosztownego, lśniącego mahoni, wykończone ciemnozieloną skórą. Za nim całą ścianę zajmowały półki z książkami. Po lewej stronie na ścianie wisiały dwie litografie Matisse'a, powieszona tak, by Sebastian mógł je dobrze widzieć, a tuż obok mały obrazek Chagalla.

- To piękny gabinet - orzekła Katharine.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Jerry. - Sebastian wstał. - Nareszcie.

W drzwiach stanął mężczyzna, niższy od Sebastiana, lecz bardzo szczupły, ciemnowłosy i elegancki.

- To, jak się domyślam, jest pani Locke - rzekł Jeremy.

- To Katharine. - Na twarzy Sebastiana odmalowała się radość. - A to chwila, na którą bardzo się cieszyłem. - Ujął dłoń Katharine. - Kochanie, chciałbym, żebyś poznała Jeremy'ego Marinera.

Katharine uśmiechnęła się do Jeremy'ego.

- My już się spotkaliśmy, chociaż ty prawdopodobnie mnie nie pamiętasz.

- Pamiętam cię, nawet nieźle. - Przyglądał się jej. - No, no, bardzo wyrosłaś.

- Bardzo się cieszę, że znowu cię widzę, Jeremy.

Odwzajemniła jego badawcze spojrzenie. Twarz miał pociągłą, o ostrych rysach. Uśmiechał się, lecz Katharine wy-czuła, że jest nieszczerzy.

- Nie pogratulowałem ci jeszcze. - Jeremy pocałował ją w policzek.

- Mnie chyba też nie - odezwał się Sebastian.

- Nie było to łatwe, bo najwyraźniej się ukrywałeś.

Jeremy spojrzał z wyrzutem na Sebastiana.

- Byłoby miło być na waszym ślubie, ale mnie nie zaprosiłeś.

Sebastian otoczył Katharine ramieniem.

- Obawiam się, że sprawiliśmy przykrość wielu osobom z tego powodu. - Uśmiechnął się. - To moja wina. Nie mogłem dłużej czekać. Bałem się, że Katharine zmieni zdanie.

- Jak widać, nie zrobiła tego - odparł Jeremy.

- Zakochałam się - powiedziała Katharine.

To może Seb chciał się rozmyślić - zasugerował Jeremy.

- W końcu udało mu się pozostać kawalerem przez niemal trzydzieści lat.

Przestałem nim być, gdy tylko ujrzałem Katharine - spokojnie stwierdził Sebastian. - Wszystko się zmieniło, kiedy ją zobaczyłem.

Mam nadzieję - zwróciła się Katharine do Jeremy'ego - że będziemy przyjaciółmi.

Jeremy uśmiechnął się.

- Na pewno - odparł.

- On mnie nienawidzi - powiedziała później Katharine Sebastianowi, kiedy znów byli sami.

- Oczywiście, że nie.

- No to z pewnością zraził się do mnie, tego nie możesz zaprzeczyć.

- Jest mu tylko przykro, że pobraliśmy się w Stanach.

- Rozumiem. Przecież jest twoim najlepszym przyjacielem.

Sebastian westchnął.

- Przypuszczam, że powinienm go poprosić, by przyleciał

do Nowego Jorku. - Potrząsnął głową. - Ale myślałem tylko o tobie.

- Będziesz musiał mu to jakoś wynagrodzić - stwierdziła Katharine. - Czy sądzisz, że on się martwi, iż nasze małżeństwo wpłynie w jakiś sposób na waszą przyjaźń?

- Nie ma powodów, żeby tak myślał.

- A jednak uważam, że to ważne, byś nie zaniedbywał obowiązków towarzyskich. Zjedz z nim dziś kolację...

- Ale ja chcę być z tobą.

- Mamy całe życie na to kochanie - nalegała. - Sądzę, że trzeba Jeremy'ego upewnić, że nic się między wami nie zmieniło.

- Przecież się ożeniłem!

- Nie między wami... - Katharine urwała. - Uważam, że to całkiem zrozumiałe, iż niektórzy ludzie mają pewne wątpliwości co do naszego związku. I Sam, i Laszlo uważali, że niepotrzebnie spieszymy się do małżeństwa, że powinniśmy zaczekać.

- Ale nie żałujesz niczego, prawda? - zaniepokoił się Sebastian.

- Ani trochę. - Katharine uśmiechnęła się. - Ale dobrych, prawdziwych przyjaciół nie ma się zbyt wielu. Myślę, że ich uczucia są dla was zbyt istotne, by je lekceważyć.

Sebastian i Jeremy jedli tego wieczora kolację w Rules.

- Katharine stwierdziła, że jej nienawidzisz - powiedział Sebastian prosto z mostu.

- Ależ to nieprawda - odparł Jeremy, nie podnosząc wzroku znad karty menu.

- To właśnie jej powiedziałem. Ale nie było to najserdeczniejsze powitanie, nie uważasz?

Jeremy spojrział na niego.

- Być może nie uważałem, że to odpowiedni moment, aby okazywać serdeczność. Wprowadziłeś ją do biura, żeby poznała personel... i dosyć przypadkowo przedstawiłeś nas sobie.

- Wcale tak nie było - Sebastian był skonsternowany. - Jak w ogóle mogłeś tak pomyśleć? Marzyłem o tym, żebyście się spotkali i to wydawało się najbardziej naturalną...

- Może bardziej taktowne byłoby zaproszenie mnie do domu? Choć przypuszczam, że jest to przedłużenie waszej podróży poślubnej. Obcy są wtedy niemile widziani.

- Przepraszam, Jerry.

- Za co?

- Za wszystko. Za to, że wyszło mi zupełnie z głowy, jak powinno się zaplanować ślub. - Sebastian potrząsnął głową. - Nie było to też fair w stosunku do Katharine, teraz to widzę. Ale niemal obsesyjnie pragnąłem, żeby ją poślubić. Bałem się, że ona odejdzie, jeśli nie zadziałam natychmiast.

- Jeżeli nie włożysz jej obrączki na palec... - Jeremy z powrotem wziął do ręki kartę. - Chyba rozumiem.

- W całej tej gorączce nie pomyślałem nawet, że mógłbyś przylecieć na ślub.

- Przecież powiedziałem, że wszystko jest w porządku.

- Nie, to było bezmyślne, przepraszam.

- Jesteś gotowy, żeby coś zamówić?

- Co myślisz o Katharine? Czyż nie jest cudowna?

- Jest śliczna... Chyba wezmę wołowinę.

Sebastian wyglądał na przygnębionego.

- Jerry, mówimy o mojej żonie. To dla mnie ważne, co o niej myślisz.

- Rzeczywiście? Nie powinno być. - Jeremy się uśmiechnął. - Ale naprawdę uważam, że to śliczna i bardzo inteligentna dziewczyna. No i wydaje się, że cię kocha. Nic więcej nie mogę powiedzieć, bo jeszcze jej dobrze nie znam.

- Ona jest najważniejsza w moim w życiu - spokojnie powiedział Sebastian.

- Cieszę się - odparł Jeremy.

Ponieważ Sebastian szybko powrócił do pracy w agencji, Katharine i Virginia zaczęły spędzać razem wiele czasu. Znalazły nowe mieszkanie dla Virginii na Montpelier Square. Zakupił je dla niej Sebastian, podczas gdy ona przepisała Dęby na niego. Virginia zaprowadziła Katharine do najlepszych sklepów i magazynów w Londynie, zaś Katharine zajęła się urządzeniem mieszkania Virginii.

- Musisz mieć nowe meble kuchenne - stwierdziła.

- Chyba rzeczywiście ten zestaw nie jest zbyt porządny - zgodziła się Virginia.

- I trzeba urządzić ładnie łazienkę.

- Ale dlaczego?

- Wanna wygląda tak, jakby używała jej drużyna piłkarska. I nie sądzę, żeby hydraulika była sprawna? A ty, co o tym myślisz?

- Chyba masz rację - przyznała Virginia.

- A może nie powinnam się wtrącać? - zapytała Katharine, nagle zakłopotana. - Przepraszam, Virginio, nie mam prawa...

- Jestem szczęśliwa, że mi pomagasz - zapewniła ją Virginia. - Zawsze byłam beznadziejna w takich sprawach.

Po prostu zostawiasz taki przestronny i wygodny dom. Chcemy, byś miała wszystko, o czym zamarzysz.

- I będę miała, moja droga - odparła Virginia z wdzięcznością. - Dzięki twojej pomocy.

Praca nad wystrojem domu i mieszkania była prawdziwym dobrodziejstwem dla Katharine. Było to prawie jak projektowanie scenografii, a nawet przyjemniejsze - bo choć dekoracje te miały służyć tylko kilku zaprzyjaźnionym osobom, a nie widzom w teatrze.

Katharine zauważyła, że ma dar mobilizowania ludzi do wydajnej pracy. Zachęcała do działalności elektryków, malarzy i hydraulików. Sebastian zachwycił się jej zdolnościami i cieszył się, że spotkał bratnią duszę. Gdy w grudniu musiał wyjechać na kilka dni z miasta, Katharine i Virginia spędzały z sobą jeszcze więcej czasu. Różnica wieku nie miała znaczenia w trwałej przyjaźni. Kruchość i wrażliwość Katharine budziła instynkty macierzyńskie Virginii. Dla Katharine ich związek był źródłem wielkiej pociechy. Życie poza krajem i zamieszkanie w obcym środowisku stwarzało sporo problemów, mimo ogromnego szczęścia, które czerpała z małżeństwa z Sebastianem.

Katharine nie jeździła samochodem, odkąd opuściła Pittsburgh, teraz jednak kupiła sobie małe, niebieskie renault 5 i niemal każdego poranka przebijała się przez londyński ruch uliczny do Hampstead, gdzie sprawdzała postępy w pracach remontowych i skąd zabierała Virginie. Potem albo ro-

biły zakupy i jadły gdzieś obiad, albo odwiedzały jakąś wystawę, szły na popołudniowe przedstawienie lub też - jeśli tylko było to możliwe - robiły sobie przyjemność i jechały na wycieczkę za miasto. Drżały z zimna na wczesnogrudniowym wietrze, spacerując po urzekających uliczkach Windsoru, Eton czy Oksfordu i - marzyły o wiosnie. Lecz później odkrywały maleńkie herbaciarnie - z niskimi stropami, wspierającymi się na belkach, z ogniem płonącym w kominku - gdzie podawano prawdziwą angielską herbatę ze śmietanką i herbatnikami i konfitury truskawkowe domowej roboty. I zima nie była już taka straszna.

W drugim tygodniu marca Virginia przeniosła się do świeżo wyremontowanego mieszkania na Montpelier Square. Tydzień później Katharine i Sebastian mieli przeprowadzić się do Dębów. O piątej tego ranka zadzwonił telefon na stoliku nocnym Sebastiana.

- Halo? - Po omacku poszukał włącznika lampki i spojrzał na zegar. - Kto to?

- Kochanie? - Katharine odwróciła się ku niemu.

- Chryste - powiedział. - Czy wszystko z nią w porządku?

- Virginia? - Katharine zatrwożona usiadła na łóżku. -

Czy to Virginia?

Sebastian pokręcił głową, wciąż słuchając.

- Tak, oczywiście, mogę przyjechać. Gdzie? Będę jak naj-
szybciej. - Odłożył słuchawkę. - To jedna z naszych klientek,
Elaine Christie...

- Co jej się stało?

Sebastian już wstał.

- Przedawkowała jakieś tabletki nasenne. - Miał ponury
wyraz twarzy. - Ona ma dwadzieścia trzy lata, na miłość bo-
ską, po co miałyby coś takiego robić?

- Żyje?

- W szpitalu w Middlesex robią, co mogą, aby ją urato-
wać. Znaleźli moje nazwisko w jej notatniku. Nie mogą od-
szukać żadnych krewnych, więc ja muszę jechać.

- Oczywiście. - Katharine odsunęła kołdrę. - Zrobię ci kawę-

- Nie ma czasu, najdroższa.

- Chcesz, żebym pojechała z tobą?

Pokręcił głową.

- Nie ma sensu, żebyśmy siedzieli tam oboje, wyczekując.

W każdym razie... - Zatrzymał się. - Zapomniałem.

- O czym?

- Dzisiaj się przeprowadzamy.

Katharine objęła go.

- Nie martw się tym.

- Ale nie mogę właśnie dzisiaj cię zostawić. Zadzwońię do Jeremy'ego. Elaine jest też jego klientką. On może pojechać do szpitala.

- Na pewno?

Sebastian już wykręcał numer przyjaciela.

- Pieprzona sekretarka automatyczna... gdzie on, u diabła, się podziewa?

- Ty musisz pojechać - orzekła Katharine. - Niczym się nie martw, naprawdę. O ósmej ma przyjechać Virginia, żeby pomóc w pakowaniu, a Harrods będzie tu o dziewiątej.

W Dębach czeka Ellie.

- Naprawdę nie masz nic przeciwko temu? - Sebastian wciągnął dzinsy.

- Nie bardzo mi się to podobało, ale musisz jechać do tego szpitala i zobaczyć, co możesz dla niej zrobić.

Sebastian dzwonił do Katharine kilkakrotnie, dopóki telefon w Mayfair nie został wyłączony. Lecz do Dębów wrócił dopiero po dziesiątej wieczorem.

- Ona już śpi - szepnęła Ellie w drzwiach. - Biedaczka, miała ciężki dzień. I ty też, sądząc po twoim wyglądzie. Czy z tą dziewczyną wszystko w porządku?

- Chyba tak - Sebastian uścisnął ją. - Ty też pewnie padasz z nóg, Ellie. Może już pójdziesz spać?

- Tak zrobię, jeśli niczego już nie potrzebujesz.

Pokręcił głową.

- Tylko trochę snu.

- To cudownie, że znowu będziesz tu mieszkał - powiedziała Ellie.

- Jak w dawnych czasach.

Katharine, w wytartych dzinsach i w jednej z obszernych, białych, bawełnianych koszulek Sebastiana, była w salonie.

Drzemała w jednym z dużych foteli, którego tapicerkę kazała zmienić. Ogień tlił się słabo na kominku. Obok Katharine, na stoliku kawowym, w wiadrze z na w pół roztopionym lodem, chłodziła się butelka szampana Cristal. Obok na srebrnej tacy stały dwa kieliszki.

Sebastian pochylił się i delikatnie obudził ją pocałunkiem.

- Cześć, aniele.
- Cześć - usiadła zaspana.
- Która godzina?
- Kwadrans po dziesiątej. Moje biedne kochanie, sama musiałaś stawić czoło przeprowadzce.
- Ellie i Virginia mi pomagały.
- To okropne, że cię zostawiłem.

Usiadł na sofie.

- Jak tam Elaine?
- Wyciągnęli ją z tego. Zdaje się, że jest zadowolona, że przeżyła, biedna, szalona dziewczyna. Ale nie chciała zostać sama i musiałem pojechać z nią do domu.

- Oczywiście, kochanie.

Katharine zauważyła, że mąż jest bardzo zmęczony. Pod oczyma miał cienie, jego włosy były zmierzwiłone. Ubranie miał w nieładzie, a krawat, który pośpiesznie chwycił tego ranka, był wetknięty w kieszeń marynarki.

Rozglądając się wokół, Sebastian nie mógł uwierzyć własnym oczom, co Katharine udało się osiągnąć.

- To jest niesamowite.
- Co takiego?
- Ten pokój. - Sebastian, napełniony nową energią, wstał.

Był to ten sam pokój, który znał od zawsze, lecz jednocześnie jakże odmienny.

- Podoba ci się?

W pokoju znalazły się przedmioty, które zbierał, odkąd przeprowadził się do Mayfair. Zostały one ustawione obok dawnych rzeczy, które tu przedtem się znajdowały. Wszystko było utrzymane w jednej tonacji: jedna lub dwie ozdoby, stara, srebrna puszka na herbatę, którą Katharine znalazła na aukcji u Philippsa; para dzbanków z purpurowego kryształu z innej aukcji w Sotheby's; piękne delikatne rośliny rozstawione w pokoju, tworzące interesującą całość.

- Bardzo mi się podoba - powiedział.

Salon został tak zaaranżowany, że nic, co stanowiło o jego niepowtarzalnym charakterze, nie zostało naruszone.

- Starałam się zachować wszystko, co piękne i stare - mówiła Katharine. - Nie chciałam niczego zepsuć.

- I udało ci się.

Sebastian spojrzał na tłący się ogień. Pamiętał, jak Virginia mówiła, że nie trudziła się, by rozpałać na kominku. Ogarnął go smutek - pomyślał o Andrew, o tym, jak bardzo ojciec pokochałby Katharine, jak ona uwielbiałaby jego. Lecz kiedy spojrzał w cudowne oczy swojej żony, wpatrzone w niego z przejęciem, rozchmurzył się.

- Napijmy się szampana.

Korek wystrzelił, Sebastian otworzył butelkę i nalał trunku do kieliszków. Przez chwilę popijali, po czym odstawili kieliszki i przytulili się do siebie delikatnie i czule. Sebastian przyglądał się jej twarzy.

- O czym myślisz, kochanie? - Katharine, wciąż w jego ramionach, wyczuła w nim jakąś zmianę.

- Myślę, że to nie tylko powrót - wyszeptał. - To wejście do nowego, skończonego domu. Czuję się tak, jakby dawno zgubiony fragment mnie samego został mi przywrócony, jakby wrócił na swoje miejsce. - Przytulił ją mocno, wiedząc, że to jej zasługa.

- Pójdziemy na górę? - łagodnie spytała Katharine.

- Dobrze.

Wypuścił ją z objęć, przytłumił ogień na kominku i zgasił światła, a ona podała mu rękę i wyprowadziła z salonu po szerokich schodach na górę. Sebastian tylko na ułamek sekundy zawahał się, nim wszedł do sypialni, która niegdyś należała do jego rodziców. Otworzył drzwi i zamarł zdumiony.

- Katharine rzadko pozwalała mu tu wchodzić, odkąd zaczął się remont domu. Był zadowolony, że Katharine wzięła urządzenie sypialni na siebie.

- Teraz rozumiem - powiedział.

- Co?

- Że chciałaś utrzymać to w tajemnicy.

Pokój przeszedł całkowitą metamorfozę. Katharine stworzyła zupełnie nowe, świeże wnętrze sypialni, a jednocześnie

udało jej się zachować atmosferę cennych dla nich obojga wspomnień. Znalazło się tu połączenie kolorów białego i niebieskiego - tak miłe, by się przy nim budzić - z ich apartamentu w Wenecji, z podróży poślubnej. Stylizacja baldachimu została zaczerpnięta z ornamentacji łoża, na którym kochali się po raz pierwszy w Hawk House Inn. Zaś drążki baldachimu pochodziły z łożka rodziców, lecz Katharine kazała je wypolerować i zmienić ich odcień na jaśniejszy.

Była to najpiękniejsza sypialnia, jaką można sobie wymarzyć. Ściany i dywany były w kolorze kremowym, a przytulności dostarczyły też dywaniki perskie, z delikatnym różowym i niebieskim rzucikiem. Karnisze były obite materiałem, zaś zasłony z wytworną prostotą spływały do podłogi. Przy łożku stał szezlong. Toaletka Katharine, obszerna, z miseczkami pełnymi płatków kwiatów i parą lamp osłoniętych kloszami, stała pod dużym oknem. Garderobę oddała Sebastianowi, ceniąc sobie intymność. Rano chciała szczotkować włosy w obecności męża. Choć łożko było wyposażone w baldachim, Katharine zrezygnowała z kotar. W pomieszczeniu stały też piękne fotele i stare tremo, którego ramę Katharine doskonale dopasowała do koloru drążków łożka i nóg szezlonga.

- Podoba ci się? - spytała, nagle zaniepokojona jego długim milczeniem.

W odpowiedzi Sebastian podniósł ją i okręcił lekko wkoło, jakby była lekka jak piórko. Potem mocno ją przytulił, pocałował ją w usta, po czym stopą zatrzaskał drzwi.

- Podoba ci się... - szepnęła Katharine w jego objęciach.

- Bardziej niż można wyrazić to w słowach - odparł szybko, po czym postawił ją i zaczął zdejmować z niej ubrania, jedno po drugim, całując każdą część jej powoli odkrywanego ciała.

- Mój Boże, jak ja cię kocham - szepnęła, czekając, aż będzie całkiem naga. Jej skóra płonęła, sutki naprężyły się aż do bólu. Zaczęła iść w jego ślady, pieszcząc go ustami, kiedy ściągała z niego koszulę i odpinała pasek od spodni.

- Aniele... - powiedział tylko.

Zaczynając całować ją znowu, teraz z większym pożądaniem, Sebastian poczuł, jak odpływa od niego zmęczenie

i smutek minionego dnia. Poczul, że wypełnia się energią i pożądaniem. Tej nocy Katharine była zalotna, ruszała się jak kocica, rozpalając go, igrając z nim, koniuszkami języka wodząc po jego ciele, przeżąc się zmysłowo, prowadząc jego dłoń po swojej miękkiej, cieplej skórze, a potem, jeden po drugim całując koniuszki jego palców. Aż zapłonął żądzą, by ją natychmiast posiadać...

...I wtedy bez ostrzeżenia zaatakowała go inna siła. Przybyła znikąd, przypelzła zdradziecko i rozprysła się ukradkiem wokół niego jak błędne ogniki. Ten stary, dobrze znany, dziwnie piękny zapach Mitsouko, mydła Roger et Gallet i kosmetyków do makijażu Leichnera. Zapach Diany - niewytłumaczalny, nocny pocieszyciel z dzieciństwa Sebastiana.

Lecz teraz, kiedy Katharine wiała się, omdlała w jego ramionach, pobudzona, z rozgrzaną, jedwabistą skórą, rozwarzymy udami, z oczekującym na niego, rozpalonym, gotowym do przyjęcia go ciałem - woń ta zdała się go atakować, owijać się wokół niego, nad nim. Nie była już delikatna, lecz ciężka, obrzydliwa, przyprawiająca o nudności...

- Nie!

Z gwałtownym szarpnięciem Sebastian odsunął się od Katharine. Usłyszał jej zdumiony jęk, był świadom jej przerażenia, lecz mógł jedynie sztywno leżeć na plecach. Jego ciało było lodowate, bezsilne, na czole i dłoniach wystąpił pot.

- Kochanie, co się stało?

Świadomość, że przy nim jest Katharine, pełna niepokoju, oczekująca wytłumaczenia, była dla niego potworna. Czuł, że nie może się poruszyć ani nic powiedzieć.

- Sebastianie, kochanie, co się stało?

Jej głos był zdziwiony, pełen troski i delikatności. Wreszcie, z trudem graniczącym z bólem fizycznym, Sebastian zmusił się do odpowiedzi.

- Nie wiem. - Pod kołdrą zacisnął pięści tak mocno, że paznokcie wpiły mu się w skórę dłoni. - Chyba jestem zmęczony.

- Oczywiście. - Ucałowała go czule w czoło, a jej włosy musnęły jego wargi. - Cały ten horror w szpitalu.

- Przykro mi.

- Nie ma żadnego powodu, żeby ci było przykro, najdroższy. - Odsunęła się od niego. - Teraz się prześpij.

Leżał bez ruchu przez długi czas, jedynym dźwiękiem, rozlegającym się w sypialni, stało się ciche, miarowe oddychanie żony, kiedy tak spokojnie spała u jego boku. Dziękował Bogu, iż przyjęła jego wyjaśnienie. On zaś leżał odrętwiały, wypełniony strachem po tym przeżyciu. Wiedział, że nie może powiedzieć o tym Katharine.

Wydało się bowiem Sebastianowi, że ten zapach - ta halucynacja, o której był przekonany, że jest wytworem jego podświadomości, że on nad nią panuje i może ją odesłać zgodnie z własną wolą, kiedy zechce.

Najgorsze jednak było odkrycie, które przyszło z wonią, która go prześladowała. To szokujące wrażenie, że w samym szczycie ich namiętności Katharine i Sebastian nie łączyli się w akcie miłosnym, lecz kazirodczym.

Było po dziesiątej, kiedy się obudził. W sypialni było jasno, choć zasłony jeszcze były zaciągnięte, a przy nim leżała Katharine. Wsparta na łokciu, obserwowała go. Na jej ustach igrał uśmiech.

- Dzień dobry, śpiochu.
- Cześć, aniele. - Odwzajemnił jej uśmiech. - Długo już nie śpisz?
- Od jakiegoś czasu. Wzięłam kąpiel i zrobiłam kawę.
- Jakim więc sposobem znów jesteś w łóżku?
- Miałam ochotę na ciebie popatrzeć. Uwielbiam przyglądać ci się rano.

Sebastian znów przymknął oczy i pogłaskał miękkie ramię Katharine. Pomyślał, że spał tak głęboko i nie śnił po tym dziwnym koszmarze na jawie. Przypomniał go sobie teraz, ale uświadomił sobie, jaki jest szczęśliwy, budząc się i widząc obok Katharine. Wiedział już, że nie mogło to być nic innego niż wstępna faza snu, niespokojnego i męczącego, spowodowanego wydarzeniami poprzedniego dnia.

- Dobrze się czujesz? - spytała Katharine łagodnie.
- Świetnie, kochanie.

Przytuliła się do niego, a on powiódł palcem od jej podbródka, ku nasadzie szyi i w dół, w ciepły rowek między jej piersiami. Poczuł, że drży z rozkoszy i otworzył oczy. Jej sutki naprężyły się pod bladym jedwabiem koszuli nocnej. Na fali

budzącego się pożądania, pociągnął ją tak, że znalazła się na nim. Jednym, pełnym gracji ruchem, Katharine ściągnęła koszulę przez głowę, a jej włosy rozsypały się w ciemnozłotą falę. Położyła ręce na jego ramionach i całym ciałem przylgnęła do jego niego, piersiami, brzuchem, wzniesionym łonem, udami...

W jednej chwili Sebastian zapomniał o nocnych koszmarach.

RS

Rozdział 20

Wiosna i lato 1975 roku upłynęły spokojnie. Sebastian i Katharine byli ze sobą szczęśliwi, a Locke Mariner nadal odnosił sukcesy. W swoim nowym mieszkaniu Virginia czuła się tak, jakby z jej ramion zdjęto wielki ciężar. Jeremy pogodził się już z faktem, że w ich świecie pojawiła się Katharine. Teraz kiedy państwo Locke zamieszkali w Dębach i Sebastian znowu poświęcił się pracy w agencji, Jeremy zaczął doceniać entuzjazm Sebastiana, gdy wchodził do biura każdego ranka.

Jego własne życie towarzyskie toczyło się z dala od życia Locke'ów. Kiedy Jeremy nie był zajęty działalnością związaną z agencją, swój wolny czas spędzał w rozpustny sposób. Przez jego mieszkanie w Chelsea wciąż przewijały się tłumy kochanków obu płci, z których niektórzy nawet zostawali dwa, trzy tygodnie. Ponieważ ostatnio pił umiarkowanie i zauważył, iż palenie haszyszu często powoduje u niego ataki astmy, zaczął zażywać kokainę. Nic jednak nie odciągało go od wydajnej pracy w Locke Mariner. Była to przecież jego firma, jedyna rzecz, którą chciał w życiu robić. Najważniejsze jednak było to, że nigdy nie zawiódłby Sebastiana, nigdy by go nie zdradził.

Oczywiście, był zazdrosny o Katharine. Nigdy dawniej nie doznał takiego uczucia, ale też Sebastian nie był nigdy prawdziwie zakochany. Jeremy wiedział już, że nie potrafi jej zniecierpliwienia. Jak Jeremy mógł nie lubić kogoś, kto kochał

Sebastiana? Wolał więc unikać jej towarzystwa. Kiedy zaś musiał się z nimi spotkać przy obiedzie lub na przyjęciu, jego zachowanie cechowała chłodna uprzejmość.

Czy on kiedykolwiek mówił ci, dlaczego tak mnie nie lubi? - Katharine zapytała Sebastiana po tym, jak Barbara Stone posadziła ją obok Jeremy'ego na jednym ze swoich niedzielnych obiadów.

- Oczywiście, że nie, ponieważ to nieprawda. - Sebastian protestował przeciwko takiemu stwierdzeniu.

Istnieją różne powody, dla których kogoś się nie lubi. - Lekko wzruszyła ramionami. - Pewnie wszystko jest w porządku. Tak naprawdę to Jeremy nigdy nie bywa nieuprzejmy, a nawet niegrzeczny.

- Ale mimo to martwi cię jego stosunek do ciebie?

- Po prostu szkoda i tyle. Powinnam żywić wobec niego przyjazne uczucia, bo przecież jest twoim najlepszym przyjacielem i partnerem w interesach, no i widzę, jak bardzo mu na tobie zależy.

- Porozmawiam z nim - powiedział Sebastian.

- Nie, kochanie, nie rób tego.

- Chciałbym tę sprawę raz na zawsze wyjaśnić.

- Jeszcze bardziej wszystko pogorszysz. - Katharine uśmiechnęła się. - Jedyne czas może zmienić stosunek Jeremy'ego do mnie. Muszę być tylko trochę bardziej cierpliwa.

Sebastian wielokrotnie zauważał powściągliwe, lecz gorliwe starania Katharine, by obalać mur, który stawiał przed nią Jeremy. Gniewało go to coraz bardziej.

Pewnego dnia, kiedy w biurze nie było klientów, zapytał go o to wprost.

- Na czym dokładnie polega twój problem z Katharine? Jeremy ze zdziwieniem podniósł wzrok znad biurka.

- Nie wiedziałem, że mam z nią jakiś konflikt.

- Ależ najwyraźniej masz, skoro tak często i otwarcie okazujesz jej niechęć.

- Wręcz przeciwnie. - Twarz Jeremy'ego była nieruchoma, głos spokojny pełen rezerwy. - Naturalnie, że bardzo lubię Katharine. Jest sympatyczną osobą.

- Jest również bardzo inteligentna - ostro odparł Sebastian - i o wiele za bardzo wrażliwa, by nie zasmucał jej brak akceptacji z twojej strony. Jerry, za bardzo mi zależy na tobie, by pozwolić, by nasza przyjaźń została zniszczona, ponieważ ty nie chcesz być ze mną szczery w tej sprawie. Nie rozumiem zresztą, dlaczego.

- Chcesz, żebym powiedział prawdę?

- Oczywiście.

Jeremy uśmiechnął się z przymusem.

- Znamy się prawie całe życie, lecz od dłuższego czasu jedynie, co nas łączy, to Locke Mariner.

- Ależ nasza przyjaźń jest głębsza. - Sebastian był przygnębiony. - Na miłość boską, ufam ci bardziej niż komukolwiek!

- Oprócz Kate.

- No, oczywiście, że ufam swojej żonie. Ale mówimy o tobie i o mnie.

- Myślałem, że chcesz rozmawiać o Katharine - odparł Jeremy. - Seb, ja też ci ufam, zawierzyłbym ci moje życie, wiesz o tym. Ale Kate i ja nie mamy ze sobą nic wspólnego. Ty jesteś jedynym ogniwem, które nas łączy.

- Czy to nie wystarczający powód, żebyś się postarał zmienić swoje nastawienie?

Twarz Jeremy'ego pobladła.

- Posłuchaj mnie, Sebastianie. Wychodzę z biura w nocy, idę do domu i pieprzę każdego, kto mi się nawinie pod rękę. Zażywam kokainę. Żyję w innym świecie.

- A ja chciałbym, żebyś tego nie robił. Wolałbym, żebyś spędzał więcej czasu z nami. Oboje chcemy, Katharine też. Dlatego zawsze cię zaprasza w odwiedziny albo do restauracji...

- Katharine jest damą - rzekł Jeremy już łagodniej. - Jest wrażliwa i bystra, tak jak powiedziałaś. Ale przeznaczenie, w które tak wierzysz, że was zetknęło, nie ma ze mną nic wspólnego.

- Czy mam rozumieć, że nawet nie spróbujesz zmienić zdania?

- Gdyby Kate do mnie się zbliżyła - spokojnie mówił Jeremy - mój sposób życia by ją zniesmaczył.

Twój sposób życia wcale nie jest taki zły, jak go przedstawiasz...

- Nie mówmy już o tym - przerwał Jeremy.
- Nie mogę przestać o tym mówić.
- Przykro mi i skończmy tę rozmowę.

Jedynym stałym elementem w życiu Sebastiana były Dęby, które znów stały się jego domem. Ale nawet one się zmieniały. Po dwudziestu latach, podczas których dom był niezamieszany, teraz znów stał w pełnej krasie, jak zaniedbana kobieta, której dano szansę odmiany swego życia. Dęby zawsze stanowiły wspaniałą scenerię do zabawy i teraz Sebastian - jak niegdyś Diana i Andrew - miał szansę w pełni to wykorzystać.

Jednak na radości z przebywania w Dębach kładła się cieniem ta pierwsza dramatyczna noc. Każdego wieczoru, kiedy z Katharine wspinał się po schodach do sypialni, czuł lekkie mrowienie wzdłuż pleców, jakby dreszcz strachu. Ów urojony zapach prześladował go czasem. Kiedy był intensywny, Sebastian odsuwał się od Katharine. Ona zaś najwyraźniej pogodziła się z tą z rzadka pojawiającą się u męża impotencją, nie uważając ją za nic poważnego, jedynie symptom przepracowania i przemęczenia. I rzeczywiście, przypadki te zbiegały się z chwilami, kiedy Sebastian był bardziej wyczerpany niż zwykle. Ta sytuacja zaczęła go męczyć.

Czasami leżał obok Katharine, pragnąc się z nią kochać, lecz bał się po nią sięgnąć. Wyglądało to tak, jakby ta woń się przyczaiła. Wtedy serce waliło mu gwałtownie w piersiach, dłonie wilgotniały od potu i przygniatało go uczucie wstrętu do samego siebie. Trwało to aż do chwili, gdy znowu udało mu się odzyskać samokontrolę. Wtedy uspokajał się, myśląc, że Katharine ma rację. Zmuszał się, by uwierzyć, że to tylko zmęczenie i napięcie nerwowe, nic więcej.

Katharine jednak, choć rzeczywiście nie przejmowała się nawiedzającymi męża atakami impotencji, nie była w pełni szczęśliwa, jak pozwalała mu wierzyć. Mimo przeświadczenia, że podjęła właściwą decyzję wychodząc za Sebastiana i przenosząc się do Wielkiej Brytanii, wciąż tęskniła za przyjaciółmi, pracą i Nowym Jorkiem. Tęskniła za Ameryką.

- Londyn jest cudowny - powiedziała do Virginii pewnego czerwcowego popołudnia. Siedziały w ogrodzie w Dębach, popijając świeżo przygotowaną lemoniadę. - Ale tu jest tak inaczej.

- Na pewno czasami jest ci bardzo ciężko - odparła Virginia. - Nigdy nie byłam w Nowym Jorku, choć oczywiście odwiedzałam Jamiego w Kalifornii.

- Ponoć Zachodnie Wybrzeże jest zupełnie inne. To tak jakby odwiedzało się inny kraj - mówiła Katharine. - Bardzo mało podróżowałam przed przyjazdem do Londynu. Może dlatego czasem jest mi ciężko.

- Uczysz się nowych obyczajów i musisz się do nich dostosować. - Virginia wczuła się w sytuację Katharine. - Cały czas starasz się dopasować. Uważam, że nad podziw ci się to udaje, moja droga. A i tak jestem pewna, że Sebastian nie chciałby, żebyś cokolwiek w sobie zmieniała.

- Też tak przypuszczam. - Katharine zamilkła, przyglądając się ptakom na trawniku. - Choć być jego żoną nie zawsze jest łatwe. Och, sądzę, że jest zadowolony. Mówi mi, iż jeszcze nigdy nie był tak szczęśliwy, ale...

- Co?

- Jest w nim to ukryte napięcie, które czasem mnie martwi. - Katharine uśmiechnęła się. - Sebastian jest najbardziej tajemniczym mężczyzną, jakiego znam. Trudno dotrzymać mu kroku. W interesach jest energiczny, zrównoważony i pewny siebie.

- Ale...? - znów ponagliła ją Virginia.

- W domu... czasami wyczuwam w nim brak wiary. Jakąś niepewność.

- W związku z czym?

- W stosunku do siebie samego, jak sądzę. - Katharine zawahała się, po czym ciągnęła dalej: - Wiesz sama, ile ciepła potrafi okazywać Sebastian. Ale potrafi też być taki daleki...

- Zamyka się w sobie. Ale jest w nim też ciepło i serdeczność. Trzeba tylko sprawić, by je okazał.

- I warto na to czekać?

- Oczywiście, że tak.

Virginia zastanowiła się przez chwilę.

- A może Sebastian jest nie przyzwyczajony do intymności, która jest częścią małżeństwa? Nie mówię oczywiście

o seksie. Zanim cię poznał, na pewno miał wiele dziewcząt, kochanie. Ale nigdy wcześniej nie mieszkał z kobietą. - Uśmiechnęła się. - Myślę, że w wielu kwestiach jest taki sam jak Andrew. On był konserwatywnym mężczyzną. A jednak, kiedy zgodziłam się wyjść za niego za mąż, stał się taki romantyczny, że przez niego poczułam się znowu niemal jak młoda dziewczyna.

- Sebastian z pewnością jest sentymentalny - stwierdziła Katharine.

- Ale chociaż sądzę, że znałam Andrew bardzo dobrze - ciągnęła Virginia - były takie chwile, kiedy nawet nie próbowałam rozszyfrowywać jego tajemnych myśli. - Uśmiechnęła się. - Może to cecha Locke'ów?

- Przypuszczam, że nikt nnie potrafi wejrzeć do cudzych myśli - rzekła Katharine, z zadowoleniem wystawiając twarz do słońca. - Niektóre sprawy powinny pozostać tajemnicą drugiego człowieka.

- Virginia przyglądała jej się przez moment.
- Czy nie sądzisz, że może trochę się nudzisz?

Katharine usiadła prosto.

- To ostatnia rzecz, którą mogę o sobie powiedzieć.
- Ale z pewnością jesteś przyzwyczajona do pracy? - powiedziała Virginia.

Katharine wzięła do ręki szklany dzban z lemoniadą, stojący na stole ogrodowym i napełniła szklanki.

- Nie myślałam o pracy. Przynajmniej na razie. Najpierw był dom...

- I moje mieszkanie.
- A potem trzeba było jakoś się dostosować do tych wszystkich zmian.
- A teraz?
- Chyba pomyślałam, że byłoby mi zbyt trudno próbować się przebić jeszcze raz od nowa.

- Wyobrażam sobie, że mogłoby tak być - przyznała Virginia. - Ale jesteś utalentowaną kobietą, moja droga, z fachem w rękę i świetnym dorobkiem. - Uśmiechnęła się. - I coś mi się wydaje, że Sebastian byłby pierwszą osobą, która mogłaby ci pomóc. Powiedz mu, że właśnie tego chcesz. Oczywiście, jeśli tak jest naprawdę.

Katharine poczuła, jak wiatr owiewa jej twarz.

- Zastanowię się nad tym - obiecała.

Po kilku dniach rozmawiała z Sebastianem.

- Nie proszę o pomoc. Po prostu chcę, byś wskazał mi właściwy kierunek.

- Rozumiem to, kochanie.

- Myślisz, że mam tu jakąkolwiek szansę?

- Z twoim talentem? Bez wątpienia.

- Więc z kim mam porozmawiać?

- Zostaw to mnie. Porozmawiam z Jerrym, zobaczę, co on zaproponuje.

- Z Jeremym? - Katharine miała wątpliwości. - A musisz?

- On zajmuje się obsługą klientów. I łatwiej mu przychodzi śledzenie zmian na rynku pracy. - Sebastian spojrzał na nią. - Jeremy jest profesjonalistą. Jeśli chodzi o interesy, nie mogłabyś mieć do czynienia z lepszym fachowcem.

Katharine przez moment milczała.

- Dobrze - powiedziała wreszcie. - W porządku, porozmawiaj z nim.

- Jesteś tego pewna?

Kiwnęła głową.

- Może to będzie dobre dla nas wszystkich. - Uśmiechnęła się. - Przynajmniej wtedy będziemy mieli z Jeremym temat do rozmowy przy kolacji.

Dwa dni później zadzwonił do niej Jeremy.

- Seb mówi, że myślisz o powrocie do pracy.

- Tak... Co ty o tym sądzisz?

- Może zjemy razem obiad?

- Naprawdę? - była zaskoczona. - Masz czas?

- Jutro jestem wolny. A ty?

- Ja też. Świetnie. Dziękuję, Jeremy.

- Jeszcze nie ma za co.

- O której i gdzie? - zapytała.

- Znasz restaurację Gay Hussar na Greek Street?

- Jeszcze nie.

- Tam się spotkamy. Jutro o pierwszej.

Katharine przyszła pierwsza i zamówiła lampkę białego wina, żeby ukoić nerwy. Trudno jej było wyobrazić sobie Jeremy'ego Marinera w roli jej sojusznika. Jednak miała nadzieję, że oto może zbliżyć się moment przełomowy w ich wzajemnych stosunkach.

Jeremy pojawił się dwie minuty po pierwszej.

- Spóźniłem się? - pochylił się, by lekko pocałować ją w policzek.

- To ja byłam za wcześnie.

- Cieszę się, że przyszłaś. - Jeremy skinął na kelnera.

- Dzięki, że to zaproponowałaś.

- Jesteś potencjalną klientką. - Spojrzał na jej kieliszek.

- Jeszcze jedną lampkę wina?

- Nie, dziękuję, wystarczy.

Zamówił kieliszek szampana i z powrotem zwrócił się ku Katharine.

- Powiedz mi więc, co chcesz robić.

- Chcę wrócić do pracy.

- Muszę wiedzieć, czym dokładnie chcesz się zająć. Kolejnym musicaliem? Sztuką teatralną? Czy masz nadzieję utorować sobie drogę w operze albo w balecie? Na początku musimy ustalić kierunek.

Katharine uśmiechnęła się.

- Chyba miałam skromniejsze zamiary. Przecież jestem nowa na tym rynku.

- Ale nie jesteś nowicjuską w branży.

To prawda, jednak bardzo mało wiem na temat teatru w Wielkiej Brytanii.

- Teatr to teatr - odparł Jeremy.

Podano szampana.

Wziął kieliszek do ręki.

- Na zdrowie.

- Na zdrowie. - Katharine upiła trochę wina. - Miałam nadzieję, że może pomożesz mi zacząć od nowa.

- Jestem pewien, że będę w stanie zrobić więcej, Kate - odparł Jeremy.

Uśmiechnęła się jeszcze raz.

- Od lat nikt, poza tobą, tak mnie nie nazywał.

- Tak o tobie myślę. Kiedy miałaś pięć lat, prosiłaś, żebyś-

my tak się do ciebie zwracali.

- Jestem zdziwiona, że to pamiętasz.
- Mówiłem ci, że dobrze cię zapamiętałem... - urwał. - Czy będzie ci przeszkadzało, jeśli będę na ciebie mówił Kate?
- Nie.

Jeremy zjadał swój gulasz z wielkim apetytem. Katharine natomiast zamówiła porcję lekko marynowanego łososia.

- O jednym możesz zapomnieć. Mianowicie o tym, by nosić ze sobą swoją teczkę albo zestaw prac - mówił Jeremy.
- Ale czy nie jest to przyjęta metoda?
- To ty zaprojektowałaś dekoracje do „Paryża” - zaznaczył.
- Na Broadwayu. Nie mogę oczekiwać, żeby ludzie znali to przedstawienie.

- Nie musieli go widzieć. Najważniejsze, że mówiono o nim. A co jeszcze ważniejsze - kojarzą cię. Jesteś fantastycznym scenografem, Kate. Ja też nie oglądałem twoich dekoracji, ale wiele o nich słyszałem.

Katharine miała wątpliwości.

- Ale chyba nie sugerujesz, że mam po prostu pójść tam, dokąd mnie wyślesz, i powiedzieć: „To ja. Nie mam zamiaru udowadniać, że jestem wiele warta. Bierzcie mnie albo do widzenia”. - Potrząsnęła głową. - Gdyby w Stanach coś podobnego powiedziała by ktoś, kto chce się przebić, dostałby takiego kopniaka, że z Broadwayu przeleciałby do Iowa albo i dalej.

Jeremy uśmiechnął się.

- Ale ty nie jesteś jakąś tam, próbującą się przebić Amerykanką. Od scenografa musicalu, który stał się wielkim przebojem, będą oczekiwali bardziej śmiałego ataku.
- Mimo że macie swoich wspaniałych scenografów?
- Wszyscy z nich pochodzą z kilku jakichś tam szkół - lekceważącym tonem powiedział Jeremy.
- Z wielkich szkół o świetnej reputacji.
- To prawda, ale wszystkie szkoły zostawiają na swoich studentach swoje piętno, swój styl. A ty przecież studiowałaś w Carnegie Mellon, prawda? I uwieńczyłaś swoją naukę praktyką w rękach mistrza.
- Tak właśnie było. Znasz Laszlo Elesę?

- Nie spotkaliśmy się. Ale, naturalnie, znam go... - Jeremy zamilkł. Pochylił się do niej. - Jesteś indywidualnością, Kate. Nic więcej nie chcę powiedzieć. Nie rób błędu i nie bądź przesadnie skromna. Jeśli zaproponują ci współpracę, to nie ty będziesz ich potrzebowała, ale oni ciebie. Po prostu o tym pamiętaj.

Dwa tygodnie później Jeremy zajrzał do gabinetu Sebastiana.

- Masz trochę czasu?
- Jasne.
- Jeremy usiadł naprzeciwko niego.
- Szkocka?
- Poproszę.
- Co się stało? - spytał Sebastian. - Jakies kłopoty?
- W zasadzie jeden.
- Mów. - Postawił dwie szklanki whisky na biurku.
- Chodzi o Kate.

Sebastian podniósł na niego zdziwiony wzrok.

- Co się stało?... Czy to ma coś wspólnego ze spotkaniem, na które ją umówiłeś dziś po południu?

- Właśnie. - Jeremy odczekał chwilę. - Dzwoniła do ciebie?
- Jeszcze nie. Chyba potem miała spotkać się z Virginią.

W czym problem?

Trochę niezręczna sprawa.

- Już mówiłeś. O co chodzi?

Jeremy podniósł swoją szklankę.

Jakaś godzinę temu dzwoniła do mnie Aileen Fisher z CWP. Była na spotkaniu z Katharine i Fitzwaltersami i zdało mi się, że była trochę zaniepokojona.

- Czym?
- Postawą Katharine.

Oczy Sebastiana zwały się.

- Co jej się nie podobało w postawie Katharine? Jerry, czy mógłbyś przestać owijać w bawełnę i przejść do sedna?
- Aileen uważa, że Katharine była arogancka.
- Arogancka? - Sebastian zaśmiał się. - Czy mówimy o tej samej Katharine? Moja żona nie potrafiłaby być wyniosła.

- Zgadzam się z tobą. - Jeremy wzruszył ramionami. - Kate zawsze wydawała mi się bardzo skromna i powściągliwa.
- Oczywiście, że taka jest. - Sebastian się rozgniewał. - O czym, do cholery jasnej, gada ta Aileen Fisher?
- Najwyraźniej Katharine pojawiła się bez swojej teczki...
- Mówiła mi, że to był twój pomysł.

Jeremy pokręcił głową.

- Niedokładnie. Powiedziałem jej, że nie ma potrzeby zachowywać się jak nowicjuszka. A zdaje się, że tak sobie to wyobrażała. Użyłem teczki jako pewnej ilustracji, metafory.

- A ona wzięła to dosłownie i wcale się jej nie dziwię.
- Ale z pewnością nie proponowałem jej, żeby kazała Ke-

nowi i Barriemu Fitzwalterom lecieć do Nowego Jorku, jeśli

coś jej prace.

ne tak powiedziała? - Sebastian był zdumiony. -

Nie, Kr

ć!

3

1

6

8

(k)

- To duża dziewczynka - odparł Jeremy. - Powiodło jej się na Broadwayu. Jestem pewien, że potrafi znieść odrobinę londyńskiego chamstwa.

- Nie mam wątpliwości, że potrafi - chłodno skwitował Sebastian. - Co nie znaczy, że chcę, żeby musiała to znosić.

Kiedy tego wieczora Sebastian rozmawiał z żoną przy kolacji, Katharine zachowywała pozorny spokój. Zauważył jednak, że popołudniowe spotkanie ją zdenerwowało.

- Jestem profesjonalistką... a przynajmniej mam nadzieję, że jestem - mówiła. - Ale z pewnością tak nie wypadłam. Niech to wszyscy diabli!

- Fitzwalterowie wiedzą, że jesteś profesjonalistką - odparł Sebastian. - I do tego cholernie dobrą. Jeremy uważa - a ja się z nim zgadzam - że prawdopodobnie podjęli decyzję, jeszcze zanim tam weszłaś.

- Wątpię. Okropnie się czułam, idąc tam bez teczek projektu. Ale Jeremy upierał się, że w ten sposób będę zaniżać swoją wartość.

- Mówił mi, że użył tego stwierdzenia jako metafory, a nie jako rady w sensie dosłownym.

- Ach tak? - powiedziała Katharine sucho.

- Nie wierzysz mu?

- A ty? - pokręciła głową. - Nie zwracaj na mnie uwagi... Naprawdę jestem wściekła, ale na siebie, nie na Jeremy'ego, ani na kogokolwiek innego. Dość długo już pracuję w branży, żeby wiedzieć najlepiej, co robić, a nie słuchać rad, z którymi się nie zgadzam.

Sebastian spojrzał na nią zdumiony.

- O czym ty mówisz? Że Jeremy specjalnie źle tobą pokierował?

- Nie, oczywiście, że tego nie mówię. - Katharine wzruszyła ramionami.

- Jedno nieudane spotkanie jeszcze niczego nie przesądza, aniele.

- Jedno beznadziejne spotkanie - poprawiła. - I to z najlepszymi producentami w mieście.

- To wina złego pomysłu - twierdził Sebastian. - Następnym razem spisujemy się lepiej, obiecuję.

- Nie śpieszmy się tak, dobrze?
- Będzie tak, jak zechcesz.

Dopiero po trzech tygodniach Katharine była znów gotowa, by poruszyć ten temat. Był niedzielny wieczór, pod koniec lipca, jeden z tych rzadkich spokojnych momentów, które mieli dla siebie. Siedzieli w pokoju na pierwszym piętrze, który Sebastian zamienił w maleńkie, prywatne kino. Miał tam zwyczaj dla przyjemności oglądać na wideo przedstawienia teatralny albo stare filmy.

Właśnie oglądali ostatnie kadry „Kobiety i mężczyzny” Leloucha. Romantyczność tego filmu sprawiła, że Katharine czuła się niespokojna i ożywiona. Widząc, że Sebastian wygodnie siedzi w miękkim, skórzanym fotelu, spokojny i odprężony, stwierdziła, iż jest to właściwy moment, by zacząć rozmowę.

- Moja praca... - zaczęła.
- Co z twoją pracą, aniele?
- Myślałam o tym.
- Nic nie mówiłem, bo nie chciałem cię do niczego zmuszać, póki sama nie będziesz gotowa.
- Właśnie o to chodzi - powiedziała Katharine. - Nie jestem pewna, czy jestem gotowa.

Uśmiechnął się.

- Nie ma pośpiechu. Daj sobie tyle czasu, ile potrzebujesz. Do tak wielu rzeczy musisz się przyzwycząić. A wystarczy jedno twoje słowo i zacznę działać. - Zawahał się. - Sądzę, że sam zacznę się tobą zajmować. Nie Jeremy. Tak będzie lepiej, prawda?

- Na pewno wołałabym, żeby tak było, chociaż...
- Ale co? - Sebastian spojrzał na nią. - Czy może wołałabyś niezależnego agenta, kochanie? Nie pomyślałem o tym, ale jeśli tego właśnie chcesz, zrozumieć to.
- Dlaczego, u licha, miałabym potrzebować innego agenta
- odparła Katharine - kiedy jestem żoną najlepszego?...

Więc, o co chodzi, kochanie? - W jego oczach był niepokój. - Czy tęsknisz za Nowym Jorkiem? Czy rozważasz podjęcie tam pracy?

Katharine zaśmiała się.

- Oczywiście, że nie. Być z dala od ciebie to ostatnia rzecz, której mogłabym pragnąć.

- Bogu dzięki - odetchnąłem z ulgą. - Po prostu zdaję sobie sprawę z tego, że gdybyś tam została, dostawałabyś teraz stosy ofert. A tutaj może to zająć trochę czasu i wysiłku, zanim machina pójdzie w ruch.

- Nie przeszkadza mi to - stwierdziła Katharine.

- Ale chcesz wrócić do pracy, prawda? Kiedy się spotkaliśmy, czułem, że to uwielbiasz.

- Tak było... i tak jest, jak sądzę. - Próbowała mu to wytłumaczyć. - Ale z różnych powodów, których sama nie mogę do końca pojąć, perspektywa zaczynania wszystkiego od nowa, sprzedawania siebie na nowym rynku, napełnia mnie bardziej przerażeniem niż radosnym oczekiwaniem.

- Nie doceniasz siebie, Katharine. - Po „Paryżu” twoja pozycja jest ugruntowana.

- Właśnie to usiłował mi uświadomić Jeremy.

- I miał rację.

- Nie jestem taka pewna. Nie w Londynie, gdzie są dziesiątki dobrych scenografów, którzy będą walczyć do upadłego, zanim pozwolą jakiejś Amerykance ukraść sobie pracę.

- Ja ująłbym to inaczej: „zarobić” to chyba właściwsze słowo, niż „ukraść”. Jeśli wygrasz konkurs wykonania dekoracji, będą cię za to szanować.

- Być może. Może to faza przejściowa, najdroższy, ale wcale nie jestem taka pewna, czy chcę podejmować tę walkę.

Sebastian wstał i wolno podszedł do wbudowanego w ścianę barku. Wyjął butelkę koniaku.

- Więc, o czym dokładnie myślisz, jeśli nie o scenografii?

- Nalał alkoholu do kieliszków. - Niewykluczone, że się mylę, ale nie wyobrażam sobie ciebie siedzącej w domu jeszcze zbyt długo.

- I nie mylisz się.

- A więc, czego pragniesz?

Spojrzał na nią i z bólem uświadomił sobie, jak bardzo Katharine jest zagubiona. Ciągle wierzył, że daje jej szczęście, ale wiedział, że jego żona nie nadaje się na kurę domową.

Sebastian wiedział, do czego Katharine została stworzona. Tak jak on nie mogła żyć bez teatru.

Lata praktyki spowodowały u Sebastiana coraz większą biegłość w wyszukiwaniu talentów. Pomagała mu w tym intuicja. Sebastian uzmysłowił sobie, że właśnie to zadziało tamtej nocy u Sardiego, kiedy spotkał Katharine. Wyczuł wtedy jej ogromny potencjał twórczy. Nawt pierwsze oszołomienie nie mogło wpłynąć na rzeczową ocenę jej zdolności.

- Sebastianie?

Usłyszał głos Katharine i ocknął się.

- Przepraszam, zamyśliłem się.

Podszedł do niej i podał kieliszek koniaku.

- Czego pragniesz, Katharine? - zapytał ponownie.

Wiedział, iż musi z nią rozmawiać ostrożnie, bo Katharine raz była zadowolona z siebie, a innym razem ogarniała ją niepewność; do tego dołączyły się niepokoje związane z zamieszaniem w innym kraju. Jeśli teraz będzie wywierał presję, to z pewnością ją odstraszy i sprawa się nie powiedzie.

Katharine upiła odrobinę koniaku.

- Sama chciałabym wiedzieć.

Sebastian zaczął łagodnie.

- A co byś powiedziała na aktorstwo?

Katharine była zaskoczona.

- Nie jestem aktorką, lecz scenografem.

Sebastian odparł lekkim tonem:

- Ale na początku, kiedy się spotkaliśmy, powiedziałaś mi, że twoją pierwszą pasją było aktorstwo. Że odziedziczyłaś to po mamie. Mówiłaś, że lubiłaś grać w przedstawieniach szkolnych. Przyznałaś się nawet, że byłaś w tym dobra.

- Ale wybrałam scenografię. Zrezygnowałam z aktorstwa.

- Tylko dlatego, że obwiniałaś karierę zawodową matki o to, że twoi rodzice się rozeszli. Mówiłaś, że Sam zwrócił ci na to uwagę, a ty uświadomiłaś sobie, iż ma rację.

- To nie był jedyny powód, z pewnością musiały być inne - odparła Katharine. - Wiedziałam, jak ciężkie jest życie aktora. To trudny zawód.

Sebastian uśmiechnął się.

- Właśnie to mówiłaś mi o scenografii, a udało ci się dotrzeć na szczyt, na najtrudniejszym rynku, jak mówimy w branży teatralnej. Gdybyś była wierna aktorstwu, nigdy nie wiadomo, co dotychczas mogłabyś osiągnąć.

- Za późno, by o tym mówić.

- Czyżby?

- Oczywiście, że tak. - Spojrzała na niego. - W każdym razie, gdybym nadawała się do tego zawodu z pewnością, nie zrezygnowałabym z niego za nic na świecie.

Sebastian milczał, uśmiechał się tylko, dając jej czas na oswojenie się z tą myślą. Usiadł obok niej, upił trochę koniaku i ujął jej dłoń.

- Jak oceniasz swój talent? - spytał wreszcie. - Czy naprawdę uważałaś, że jesteś dobrą aktorką, zanim postanowiłaś zostać scenografem?

- Tak - przyznała. - Myślę, że byłam całkiem niezła. Ale nie chciałam tak żyć, a może wiedziałam, że nie umiem do reszty poświęcić się teatrowi. - Pokręciła głową. - W każdym razie, dlaczego właśnie teraz o tym rozmawiamy? Mam dwadzieścia sześć lat. Jestem mężatką, czuję się szczęśliwa.

- To znaczy, że boisz się powtórzenia losu swojej mamy?

- Mówię tylko, że nie jestem aktorką.

- W porządku. - Sebastian odchylił się razem z fotelem do tyłu i uniósł ręce do góry gestem poddania. - Rozumiem. Ale nie musisz przede mną nic ukrywać.

- Powiedziałaś ci prawdę - odparła Katharine.

- A ja miałem wrażenie, że chcesz porozmawiać o dawnych czasach.

Katharine milczała, po czym dodała:

- Masz rację, oczywiście. Nie ma nic złego we wspomnianiu. - Uśmiechnęła się. - Nawet jeśli pogrzebałam swoje marzenia, to ciepło myślę o rolach, które niegdyś grałam, próby...

- Opowiedz mi o tym - cicho powiedział Sebastian.

Katharine wzruszyła ramionami.

- Nie ma wiele do opowiadania. Poza tym że uwielbiałam tę atmosferę: poczucie więzi z ludźmi teatru, podnosząca się adrenalina podczas gry... A nawet tremę. Naturalnie większość z tych powodów decyduje także o tym, że uwielbiam scenografię...

- Jednak nie ma w tym samego grania.

- Tak. Ale i tak czuję się częścią całego zespołu. Wiem, że scenografia nie to samo co aktorstwo, że pozostaję właściwie na marginesie. Moje ukończone dzieło, wykonane projekty wjeżdżają na scenę, stając się jego duszą, a ja siedzę z tyłu

i cieszę się, że uczestniczę w tym wspaniałym misterium, jakim jest teatr.

Siedzieli, rozmawiając do późna w nocy. Sebastian delikatnie zachęcał Katharine do wspomnień o tamtych młodzieńczych czasach, kiedy marzyła o karierze teatralnej w świetle reflektorów.

- Hipotetycznie - odezwał się - czysto hipotetycznie...

Gdybyś miała dzisiaj wybór... Jakie role chciałabyś zagrać?

- Nie wiem - odparła. - Od tak dawna już o tym nie myślałam.

- To pomyśl teraz.

- Nie potrafię, ot tak, od razu.

- Potrafisz, wiem, że tak. Zastanów się chwilę.

- Rozalinda - szybko odpowiedziała Katharine i zarumieniła się.

- „Jak wam się podoba”.

Sebastian uśmiechnął się.

- Romantyczna.

- Zaprojektowałam na uczelni dekoracje do Szekspira.

- Bardzo chciałbym zobaczyć cię w roli Rozalindy.

- Ale to nie moja dusza. Pytałeś, czy istnieje rola, którą czuję. Nie ma takiej roli. To właśnie miałam na myśli, mówiąc, że nie jestem stworzona do aktorstwa.

- A może telewizja? - Sebastian zmienił taktykę. - Film?

- Nie.

- Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

- Zawsze czułam, że należę do teatru.

Sebastian uśmiechnął się.

Po drugiej w nocy Katharine, oszołomiona nieco koniakiem, uważnymi, acz nieustępliwymi dociekaniem Sebastiana, jak i swoją pobudzoną wyobraźnią, była gotowa przełamać swoje zahamowania.

- Sądzę, że pamiętam epilog Rozalindy - powiedziała nieśmiało. - Czy miałbyś ochotę mnie posłuchać?

- Ogromną. - Uścisnął jej dłoń. - Ale tylko, jeśli ty dobrze będziesz się czuła, aniele.

- Już tyle minęło czasu, od kiedy... A co tam, u licha, przecież tutaj wszystko mogę. - Wstała nieco niepewnie i rozśmiała się. - Chyba jestem trochę wstawiona.

- Kochanie - namawiał ją łagodnie. - Zaczynaj.

Katharine zaczęła recytację. W czasie wypowiedzania pierwszych słów jej głos drżał i ręce jej się trzęsły. Żałowała, że w ogóle zaczęła. Nie wyobrażała sobie, że może czuć się tak niezręcznie w obecności własnego męża.

I wtedy przestała się bać. Zdawała sobie sprawę, że brakuje jej doświadczenia ani też nie zna techniki grania. Ale czuła magię teatru.

Sebastian zapomniał, że to jego żona. W tej chwili był agentem, łowcą talentów. Czuł się tak, jakby ujrzał Katharine Andersen Locke po raz pierwszy.

Oczywiście była nowicjuszka, a ustęp, który wybrała do recytacji, zapamiętała, będąc jeszcze uczennicą. Żaden profesjonalista z pewnością nie wybrałby go na przesłuchanie. Jednak Sebastian natychmiast zdał sobie sprawę z tego, że Katharine ma trzy istotne zalety: wrodzoną inteligencję, która nie była dla niego niespodzianką; wyrazisty, ciepły głos - jej akcent był znacznie bardziej brytyjski, niż mógłby się tego spodziewać; oraz niemal bezbłędne, naturalne wyczucie dramatyczne. Ale co najważniejsze, Katharine miała w sobie coś przykuwającego uwagę, coś, co nie pozwalało oderwać od niej wzroku.

Można by oczekiwać, że po miesiącach spędzonych z Katharine, Sebastian oswoił się z jej pięknem. Ale teraz znów zachłannie wpatrywał się w nią, jak wtedy w Nowym Jorku.

Lecz oczy, którymi Sebastian oglądał teraz Katharine, nie były oczyma romantycznego kochanka. Były zimne i profesjonalne. Sebastian obserwował każdą zmianę, sprawdzał, czy na pewno się nie myli, czy miłość nie wpływa na trzeźwość oceny.

...Gdybym sama była kobietą, dałabym całusa każdemu, kto ma ładną brodę, gładką cerę i przyjemny oddech. I jestem pewna, że każdy z was by z tej oferty skorzystał, ale skoro nie możecie, pokażcie mi chociaż na pożegnanie brawami*.

* *William Szekspir, Jak wam się podoba, przeł. S. Barańczak, Poznań 1993, str. 145.*

Skończyła. Stała teraz nieruchomo, czekając, aż on się odezwie.

- Poczekaj - powiedział. Wstał gwałtownie z fotela, dużymi krokami przemierzył pokój i otworzył drzwi.

- Dokąd...?

- Proszę, bądź cierpliwa - powiedział.

Wrócił po paru minutach.

- Proszę.

Rzucił jej scenariusz.

- Co to jest?

- Pierwszy scenariusz, który wpadł mi w ręce. - Spojrzał na nią z przejęciem. - Sarah Bernhardt mogła czytać książkę telefoniczną i wzruszyć widownię do łez, Katharine.

- Ale ja nie jestem Sarah Bernhardt.

- Zrób mi ten zaszczyt. - Wziął scenariusz z jej rąk i otworzył na chybił trafił. - Proszę. Przeczytaj obie role.

Katharine spojrzała na niego przeciągle, po czym popatrzyła na otwarte strony.

- Nie mogę najpierw przeczytać po cichu?

- Nie. - Sebastian usiadł i skrzyżował ręce na piersiach.

- Kochanie...

- Proszę, aniele - powiedział cicho, nalegająco. - Zrób to dla mnie.

Katharine zeszywniała. Podniosła scenariusz i uniosła brodę. Ciemnozłote włosy musnęły policzek. Odrzuciła je do tyłu. I zaczęła czytać.

Sebastian poczuł, jak profesjonalny obiektywizm zaczyna go opuszczać. Nie mógł teraz przyglądać się żonie z chłodnym dystansem. To było zupełnie nowe odkrycie.

- Był pewien - ona to miała. Niektórzy nazywali cechą gwiazd, inni charyzmą.

Aż do tej pory jego małżeństwo z Katharine cechowały szczerłość i bezpośredniość, których nie zaznał w żadnym poprzednim związku. Jednak teraz Sebastiana ogarnęło dziwne i nieznane uczucie - irracjonalny lęk przed tym, co nieuchronnie wydarzy się w niedalekiej przyszłości w ich życiu.

Rozdział 21

- To przeznaczenie - powiedział Sebastian następnego wieczora. Siedzieli w gabinecie Jeremy'ego, czekając na telefon z Los Angeles.

- Bzdura. Kate jest scenografem, nie aktorką.

Sebastian pokręcił głową.

- To nie tak. Katharine pracowała jako scenograf, lecz w istocie jest aktorką.

- Ależ ona jest dobrym scenografem.

- Tak. Katharine jest wszechstronnie utalentowaną kobietą. - Sebastian powiedział bez wahania, a nawet z determinacją. - Lecz jej przeznaczeniem jest aktorstwo.

- Sebastianie, posłuchaj sam siebie. - Jeremy był zirytowany. - Za chwilę zaczniesz mówić o znakach zodiaku i księżycu w pełni. Jesteś agentem, a nie jakimś pieprzonym wróżbitą.

- Wiem, jak to brzmi. - Sebastian uśmiechnął się. - Ale gdybyś ją usłyszał i zobaczył, czułbyś dokładnie to samo. Katharine zboczyła ze swojej drogi w trudnym momencie życia. Poszła w złym kierunku.

- Nawet jeśli to prawda, jest już o wiele za późno, by z tej drogi zawrócić. Ma dwadzieścia sześć lat, trochę za dużo jak na rozpoczynanie studiów aktorskich.

- Niekoniecznie, są inne sposoby. - Sebastian był bardzo spokojny. - Nie można powiedzieć, że w naszej branży nie słyszy się o ludziach, którzy zmienili kierunek działania.

Wielu aktorów zajmuje się reżyserią czy pisarstwem.

- A niemądre żony producentów dostają się do filmów czwartej kategorii. Nie sędzę, żeby Katharine pasowała do tego modelu.

Sebastian ostro spojrział na Jeremy'ego.

- Nie mam czasu na czczą gadaninę, Jerry. Liczyłem na to, że mi pomożesz.

- Niezależnie od tego, jakie mam zdanie?

- Tak.

- Mam tylko jeszcze jedno pytanie.

- O co chodzi?

- Czy Kate zgadza się z tobą w tej kwestii? Czy jest gotowa porzucić wszystko, żeby zaczynać od nowa?

- Jest gotowa spróbować.

- Dlatego, że sama chce, czy też ponieważ ty tego chcesz?

Sebastian uniósł brew.

Nie wiedziałem, że interesują cię uczucia Katharine.

- To twoje uczucia mnie interesują - odparł Jeremy. - Nie pamiętam, żebyś kiedyś aż tak zapalił się do jakiegoś pomysłu.

- Katharine jest moją żoną.

Jeremy się uśmiechnął.

- Bardziej mnie to fascynuje, niż dziwi.

Katharine znalazła się w zupełnie nowym dla siebie świecie. Jeszcze nie zdążyła przyznać, że sama myśl o tym, iż, by może, nie jest jeszcze za późno na rozpoczęcie kariery aktorskiej jest dla niej podniecająca, a już Sebastian wkroczył do akcji.

- Tylko spokojnie - powiedziała mu. Oszołomiła ją szybkość jego działania. - Nie jestem aż tak pewna jak ty, że właśnie to jest słuszne.

- Jestem o tym przekonany, aniele - odparł. - Zaufaj mi.

- Wiesz, że ci ufam.

- Nie będę cię do niczego zmuszał.

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową, ponieważ ufała mu bezwarunkowo i kochała go bardziej niż kiedykolwiek. Wiedziała, że Sebastian chce tylko jej szczęścia.

Sebastian zabrał się do dzieła. Wykorzystał wszystkie znajomości, by załatwić Katharine angaż aktorski, a wraz z nim

tymczasową legitymację Związku Aktorów. Nie interesowało go obsadzenie żony w drobnym epizodzie w filmie. Poza tym Katharine wołała teatr. Uważał, że jej miejsce jest na scenie. Wiedział, jak działają teatry brytyjskie i jaki jest ich poziom. Był przecież jednym z najlepszych agentów w Londynie. Wierzył, że często kryją się tam największe talenty przyszłości. Niewiele jednak już pozostało takich teatrów w kraju, których albo on, albo Jeremy nie odwiedzili w ostatnich latach.

- Co sądzisz o Bromsgrove Playhouse? - zapytał Sebastian Jeremy'ego pewnego ranka.

- Staram się nigdy o nim nie myśleć - odparł Jeremy.
- Pomyślałem o nim jako o miejscu debiutu Katharine.
- Żartujesz?
- Nigdy nie byłem bardziej poważny.
- To bardzo małe miasto. - Jeremy zaśmiał się. - Żartujesz, prawda?

- Doskonale nadaje się na nasze potrzeby - stwierdził Sebastian. - Pracuję nad „Arszenikiem i starymi koronkami” i nad „Wszystkimi moimi synami”, i dwiema jednoaktówkami Pintera. Znajdują się w tych sztukach trzy niezłe role dla Katharine...

- Amerykańska projektantka dekoracji grająca w sztuce Pintera w Bromsgrove?

- Katharine świetnie mówi ze standardowym, brytyjskim akcentem. Zdziwiłbyś się.

- Chciałbym, abyś miał rację.
- Poczekaj, a sam się przekonasz - odparł Sebastian.
- Chciałbym zrozumieć to bez zastrzeżeń - mówił Jeremy.

- Chcesz wysłać swoją piękną, odnoszącą sukcesy, amerykańską młodą żonę do uprzemysłowionego miasteczka w Midlands na kilka miesięcy...

- Na trzy i pół miesiąca.
- ...żeby zdobyła podstawowe umiejętności zawodowe w przeciętnym towarzystwie...

- Chcę, by Katharine odbyła swoje pierwsze praktyki zawodowe bez większych napięć - cierpliwie tłumaczył Sebastian. - Playhouse jest idealny do tego celu. Był tu w zeszłym tygodniu Alan Bridehouse, widział Katharine i chce ją za-

angażować. Wie, że jest początkującą aktorką, a ty i ja wiemy, że to nie jest wielki teatr. Ale nauczą ją tam zawodu.

- A jeśli jest tak dobra, jak twierdzisz - dodał Jeremy - może poznają się na jej talencie.

- No widzisz? - Sebastian uśmiechnął się. - Wiedziałem, że zrozumiesz.

Katharine przyjechała do Bromsgrove na spotkanie z reżyserem, targana wątpliwościami i sprzecznymi uczuciami. Stara część miasta miała w sobie sporo uroku, z drewnianymi domami i szkołą średnią założoną w szesnastym wieku. Lecz ponura atmosfera lokum, w którym miała mieszkać przez czas trwania kontraktu, przygnębiła ją.

- Czy nie mogłabym zatrzymać się w hotelu? - zapytała Sebastiana w drodze powrotnej do Londynu. - Birmingham jest dość blisko, prawda?

- Nie, jeśli chcesz dopasować się do zespołu.

- Szybko przyzwyczajam się do nowego środowiska - odparła Katharine.

- Wiem, że tak jest, aniele, ale tym razem będzie inaczej. Westchnęła.

- Chyba wiem, o czym mówisz. Przeszłam przez coś podobnego w Nowym Jorku, na samym początku. Miałam mieszkanie na Upper East Side. I tak próbowałam się przebić, będąc nic nieznaczącą początkującą projektantką, która nie skończyła szkoły. Wielu ludziom to się nie podobało.

Wziął ją za rękę i czule uściskał.

- Zrobię, co w mojej mocy, żeby dopilnować, by ludzie nie uprzykrzyli ci tego pobytu.

- Czy sądzisz, że będą mieli do mnie wrogi stosunek? Do Amerykanki, która dostała pracę?

- To może być trudne - przyznał. - No i jesteś bardzo piękna. Odniosłaś sukces na Broadwayu i jesteś bogata.

- Nie zamierzam się tym chwalić - odparła Katharine.

- Nie będziesz musiała. Aktorzy to najbystrzejsi ludzie na świecie, kochanie. Wyczują pieniądze i sukces. I nawet jeśli będą przyzwoici, istnieje prawdopodobieństwo, że nie będzie im się to podobało.

Spróbowała się uśmiechnąć.

- Jakoś sobie poradzę. Przecież jadę do Bromsgrove, żeby się od nich uczyć. Muszę tylko się postarać, by o tym wiedzieli.

Sebastian przyjrzał się jej badawczo.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić, prawda? To znaczy... nie robisz tego tylko dla mnie?

- Z pewnością nie - odparła z oburzeniem. - Ale nie mogę powiedzieć, że cieszysz się faktem, iż będziemy osobno...

Będę przyjeżdżał tak często, jak tylko będę mógł.

I tak będziemy daleko od siebie.

- Może nie powinnaś tego robić...

Głos Katharine zabrzmiał stanowczo.

- Podpisałam już kontrakt i dopełnię jego warunków.

I spójrzmy na jasną stronę sprawy: jeśli po tych trzech miesiącach wciąż będę kochała teatr, będzie to znaczyło, że miałeś rację.

Kiedy Katharine przekazała Virginii wiadomości, ta, oburzona, spotkała się z Sebastianem zaraz następnego ranka w Locke Mariner.

- Jak mogłeś pomyśleć o tym, by zostawić Katharine w takim miejscu! - zawołała. - Bóg jeden wie, jakim szokiem dla niej było znaleźć się w Londynie, w warunkach tak odmiennych od tych, do których przywykła. A teraz nie tylko masz zamiar rzucić ją wilkom na pożarcie, ale chcesz ją tam zostawić.

Sebastian próbował się tłumaczyć.

- Wybraliśmy...

- Nie mogę uwierzyć, że jesteś bez serca. - Virginia nie dała sobie przerwać. - A już z pewnością na pewno biedna, kochana Katharine nie miała nic wspólnego z tą decyzją.

Wątpię, czy w ogóle słyszała o Birmingham, nie mówiąc już o Bromsgrove.

- Czy mogę już coś powiedzieć? - spytał Sebastian łagodnie.

- Co masz na swoją obronę?

- Virginio, oczywiście, to był mój pomysł. I naturalnie Katharine bardzo mało wiedziała o brytyjskim teatrze...

- Więc, jak u licha...?

- Proszę, daj mi wytłumaczyć...

Virginia zamilkła, mocno zaciskając usta.

- Wybrałem ten teatr, w tym właśnie miejscu, z powodów, które uważam za jak najbardziej słuszne. Katharine pragnie grać, a ponieważ jest w dość zaawansowanym wieku, jak na rozpoczynanie takiej kariery, i ponieważ branża nie czeka z zapartym tchem, aż londyński agent wepchnie swoją żonę na scenę, nie można powiedzieć, żeby inne teatry ubiegały się o zaangażowanie jej.

- Ale przecież właśnie dlatego powinieneś ją od tego wszystkiego odwozić - odparła Virginia niecierpliwie.

- Katharine jest dojrzałą kobietą, chyba się z tym zgodzisz? - zapytał Sebastian.

- Mówisz rzeczy oczywiste.

- A więc, czy uważasz, że poddałaby się kaprysom męża, gdyby sama się z nim nie zgadzała?

- Chyba nie - powiedziała Virginia bez przekonania. - Ja wciąż jednak myślę, że to tak, jakby posadzić orchideę między chwastami.

Sebastian jeszcze nigdy nie widział Virginii tak rozgniewanej.

- Kochana Virginio, zrozum, że to nie takie proste, jak się wydaje. Katharine rozumie, że to ważne, by zamieszkała w podobnych warunkach jak reszta kolegów z teatru. Wie, jak ważne jest dopasowanie się do zespołu.

- Czy sądzisz, że zostanie zaakceptowana?

- Tak myślę. Jest zupełnie zielona i będzie robiła błędy. Ale jeśli przy tym zaprzyjaźni się z ludźmi, będzie mogła doskonale spożytkować czas trwania tego kontraktu na naukę.

- A co będzie, jeśli okaże się to katastrofą?

- Jeśli jej się nie uda, może wrócić do Dębów, wiedząc, że spróbowała. Z drugiej strony, jeśli wygra, wróci, pragnąc więcej.

- A co z waszym małżeństwem? - zapytała Virginia spokojnie. - Czy ono przetrwa?

- Oczywiście, że tak - odparł z całkowitą pewnością.

- To długa rozłąka, kochanie.

- Ale będę tam jeździł w weekendy. - Pokręcił głową. - Cierpię na samą myśl, że będziemy daleko od siebie. Ale my się kochamy, Virginio, i jesteśmy bardzo szczęśliwi.

- Ty naprawdę wierzysz, że to mądra decyzja?

Sebastian ujął dłoń Virginii.

- Tak, przysięgam. To właściwa decyzja dla przyszłego szczęścia Katharine. Dla nas obojga.

Playhouse zadziałał na Katharine swoją magią od samego początku. Mieścił się na szarej ulicy. Był to ciekawie wyglądający budynek, ładnie wykończony i ozdobiony rzeźbami, z małym, połączonym foyer, lodowatozimną widownią, wyglądającą trochę jak stodoła, z trzeszczącą sceną i niewygodnymi, przesiąkniętymi wilgocią garderobami. Wiele dzieliło go od Winter Garden Theatre w Nowym Jorku. Lecz kiedy już artyści znaleźli się za kulisami, robiąc makijaż kosmetykami Maxa Factora, Playhouse stawał się ziemskim, archetypowym teatrem, a jego specyficzny zapach wciskał się w nozdrza z taką samą siłą, jak w teatrach na Shaftsbury Avenue czy na Broadwayu.

Kiedy Katharine już się zadomowiła, uświadomiła sobie, ile pewności siebie dały jej te lata za sceną i jak wiele zawdzięczała Laszlo, a przed nim - Carnegie Mellon. Potrafiła zintegrować się z zespołem, przystosować się i nie odczuwała już lęku przed nieznanym, jak niegdyś.

- Teraz cieszą mnie wyzwania - powiedziała Virginii przez telefon któregoś wieczora. Trwał drugi tydzień prób do „Arszeniku i starych koronek”. - Och, wciąż jestem przerażona. Jeszcze wczoraj miałam potworne obawy. Ale wiem, jak mu teraz sprostać: trzeba odpukać w niemalowane...

- Czy dobrze cię tam traktują, kochanie?

- Są przemili - mówiła Katharine rozentuzjasmowanym głosem. - To wszystko jest oczywiście trochę dziwne. Ale w pewien sposób samo przebywanie tutaj przypomina granie na scenie.

To było inne życie, zupełnie różny świat. Katharine nikogo w Stanach nie zawiadamiała ani o zmianie kierunku pracy, ani o Bromsgrove. Zastanawiała się jednak, co powiedzieliby Laszlo, Sam czy Dixie, gdyby ją tu zobaczyli. Albo David. Pomyślała, że prawdopodobnie ten pomysł w ogóle by mu się nie spodobał i próbowałby ją od niego odwieść. Ofiarowałby jej też wsparcie, którego by potrzebowała. Ale David o niczym nie wiedział, a Katharine była szczęśliwsza, zbyt wiele o nim

nie myśląc. Nie dbała zaś o zdanie innych. Osobą, która liczyła się najbardziej, był Sebastian. Jej mąż, kochanek, najlepszy przyjaciel, a teraz jej menedżer. Bo wiedziała, że zgodziła się zostać aktorką, tylko dlatego, że tak chciał Sebastian.

Ludzie, z którymi pracowała, byli życzliwi i serdeczni. W tej kwestii nie okłamała Virginii. Katharine zrozumiała, że Sebastian mądrze wybrał dla niej to miejsce, choć na początku nie było to takie oczywiste. Teatr w Bromsgrove wystawiał kiepskie sztuki, bo miał niski budżet, ale nie brakowało w nim zdolnych aktorów. Dekoracje były skromne, a ich artystyczna oprawa nieudana i Katharine aż się rwała, by nad nimi popracować, lecz nie na tym polegała jej rola. Miała inne zadanie. I Sebastian nie zmuszał jej do obrania tej drogi.

Mówi się, że ludzie, którzy kogoś kochają, często znają tę osobę lepiej, niż ona siebie sama. Jeśli Sebastian, który przyjeżdżał do niej dwa razy w tygodniu, mówił, że widzi ją szczęśliwszą, czy mogła to kwestionować?

Spektakl „Arszenik i stare koronki” spodobał się publiczności, Alan Bridehouse był zadowolony z Katharine. I choć wiedziała, że dla niektórych osób jej obecność w zespole była niepożądana, to przynajmniej nie miała wrogów. Jednak kiedy w połowie października wystawiono sztuki Pintera, widownia była wypełniona tylko w połowie. Choć wszyscy wiązali wielkie nadzieje ze sztuką Artura Millera, licząc na to, że znacznie poprawi sytuację, Katharine nie mogła sobie wyobrazić, by jakiegokolwiek przedstawienie mogło wzbudzić entuzjazm w Bromsgrove Playhouse.

Pod koniec listopada Katharine wpadła w ciężką depresję. Było wilgotno, ponuro i zimno. Praca była stymulująca i przyjemna, i Katharine wiedziała, że z czasem będzie wspominać te trzy miesiące jako prawdziwie wartościowe doświadczenie. Ale kiedy późną nocą wracała do pustego mieszkania, tęskniła za Sebastianem tak mocno, że spędziła wiele bezsennych nocy.

- Czy wszystko w porządku, moja ukochana? - zapytał, gdy przyjechał na premierę „Moich wszystkich synów”.

- Najzupełniej - skłamała.

- Jeśli chcesz to rzucić, zrozumieć to.

- Chcę po prostu do domu bardziej niż czeokolwiek na świecie - powiedziała. - Bo bardzo za tobą tęsknię. Ale nie zostawię tego, póki kurtyna nie opadnie po raz ostatni, po ostatnim przedstawieniu.

- Jak przystało na starą aktorkę. - Sebastian przytulił ją mocno, wdychając zapach jej włosów. - Ja też za tobą tęsknię, aniele, bardziej niż jestem to w stanie wyrazić.

- Jeszcze tylko dwadzieścia sześć nocy - powiedziała, pocierając nosem o jego ramię. Potem odsunęła się i spojrzała na torbę stojącą za nim. - Co mi przywiozłeś?

Za każdym razem, kiedy Sebastian przyjeżdżał w odwiedziny, przywoził Katharine z Londynu drobne prezenty. Ich spotkania zawsze były takie romantyczne - pikniki w salonie z palącymi się świecami i smakołykami z firmy Fortnum & Mason, na dywaniku od Harrodsa, a po nich noce pełne miłości i czułości. Wtedy zapominała o wcześniejszych złych nastrojach.

- Dziś mamy białęgę i Dom Perignon - powiedział Sebastian.

- Cudownie - odparła Katharine, znów się do niego przytulając.

Odwrócił się i otworzył torbę.

- I mamy też olejki aromatyczne z drzewa sandałowego i... - wyjął trzy szklane buteleczki i odczytał małe napisy - ...paczuli i geranium, które, jak mnie zapewniano, mają właściwości odprężające. Stosuje się je także do erotycznego masażu...

- Aha - miękko powiedziała Katharine, siadając na brzegu łóżka.

- Rusz się, kochanie - powiedział Sebastian. - Potrzebujemy jakieś szkło.

- Nie potrzebujemy żadnych kieliszków.

- Nie?

- Przynies tylko tutaj te buteleczki i zdejmij ze mnie ubranie.

- A potem?

- A potem nauczysz mnie sztuki masażu.

- Nie możemy tego zrobić na łóżku, bo olejek zniszczy materac. - Ściągnął z niej sweter.

- Podłoga jest za zimna, najdroższy - zamruczała Katharine, odpinając mu spodnie.

- Jak długi jest stół w kuchni?

Szeroko otworzyła swoje bursztynowe oczy.

- Żartujesz, prawda?

- Masaż zgodnie z tradycją odbywa się na stole - stwierdził Sebastian, biorąc ją za rękę i prowadząc do kuchni. - Jest odpowiedniej długości. - Oparł się o niego całym ciężarem. - I mocny. Potrzebujemy ręcznika kąpielowego...

- Tak - szepnęła i rozpięła mu rozporek. - I lepiej będzie, jeśli zasuniemy zasłony.

- Jezu Chryste - powiedział Sebastian z ręką w jej majteczkach. - Już jesteś mokra, aniele. - Przyciągnął ją do siebie, czując swoją erekcję, twardą i szybką.

- Nie ma mowy - odezwała się Katharine.

Zakołysała biodrami, ocierając się o niego.

- Nie uda ci się wykręcić od tego masażu.

Puścił ją. Jego niebieskie oczy zaśniły.

- Przynies dwa ręczniki - powiedział ochryple - i wskakuj na stół.

- Nie chcę poplamić blatu.

- Do cholery z tym stołem! - krzyknął Sebastian.

Gdy Sebastian wrócił do Londynu, czas spędzany samotnie do połowy grudnia, kiedy wygaszał kontrakt Katharine, wydawał się jej nieznośnie długi. Zaprzyjaźniła się z zespołem, chodzili razem do pubów i klubów. Zaczęła rekompensować sobie lęki objadaniem się. Jedzenie dawało jej pociechę. Pochłaniała steki i puddingi z nerek, kiełbaski z tłuczonymi ziemniakami z sosem, mięso z groszkiem z puszki. Kiedy miała ochotę na coś bardziej egzotycznego, korzystała z zapasów, które przywoził jej Sebastian, albo kupowała chińszczyznę na wynos. Często odwiedzała indyjską restaurację, prowadzoną przez uprzejme małżeństwo.

A poza tym była czekolada Cadbury zjadana w wielkich ilościach i kubki mocnej herbaty. Wieczorem po przedstawieniu, gdy Katharine zadzwoniła do Dixie, do Nowego Jorku, by życzyć jej szczęśliwego Święta Dziękczynienia, uśmiechała się na myśl o tym, jak szybko przeobraziła się w Angielkę. Za-

miast indyka z żurawiną i ciasta dyniowego przed Katharine leżał dorsz z frytkami, a jedyną amerykańską rzeczą na stole była butelka keczupu pomidorowego Heinza.

Jedenastego grudnia, pożegnawszy się poprzedniej nocy z zespołem, Katharine wzięła taksówkę do Birmingham i złapała wczesny pociąg do Londynu. Sebastian zapowiadał, że po nią przyjedzie, ale Katharine uparła się, że wróci sama, wiedząc, iż wizyty Sebastiana i tak zrobiły dużo zamieszania w jego porządku dnia.

- Już zabrałeś do domu większość moich rzeczy. Sądzę, że z dwiema walizkami jakoś sobie poradzę - powiedziała mu wcześniej. - Może wyjdiesz po mnie na stację po południu w niedzielę, najdroższy? W ten sposób będziesz mógł odrobić całą tę swoją poranną papierkową robotę, a ja będę miała ciebie tylko dla siebie, kiedy przyjadę.

Teraz jednak, kiedy dzień wyjazdu nadszedł, Katharine poczuła nieprzepartą chęć, aby jak najszybciej opuścić to mieszkanie. Zastanowiła się, czy nie zadzwonić do Sebastiana, żeby go o tym powiadomić, ale w końcu postanowiła zadzwonić do niego dopiero z Euston.

Był zimny poranek, a po zatłoczonych peronach hulał mroźny wiatr. Katharine znalazła bogażowego, obładowała go pakunkami i natychmiast poszła do telefonu.

Po trzech sygnałach telefon odebrała Ellie Wilkins.

- Tu Katharine. Ellie, jak się miewasz?

- Kiedy słyszę twój głos, kochana, jeszcze lepiej. Ale wiem, że nie dzwonisz po to, by rozmawiać ze mną.

- Gdzie on jest? Bierze kąpiel?

- Poszedł do biura bardzo wcześnie.

- Ach tak. W porządku, Ellie, zadzwonię później.

Telefon Sebastiana dzwonił przez jakiś czas, aż odebrał go

- Jeremy Mariner.

- Czy wy dwaj nigdy nie przestajecie pracować? - beztro-
skim tonem zapytała Katharine.

- Kate? Gdzie jesteś? Seb próbował się z tobą skontaktować.

- Jestem na stacji Euston.

- Ale on spodziewał się ciebie dopiero po południu.

- Nie mogłam wytrzymać ani chwili dłużej - Katharine zerknęła do swojej portmonetki. - Jeremey, czy mógłbyś dać Sebastiana do telefonu? Kończą mi się drobne.
- Nie ma go tu.
- Wyszedł do domu?
- Obawiam się, że nie.
- Wróci jeszcze? Mogłabym wskoczyć do taksówki i przyjechać do biura, żeby zrobić mu niespodziankę.
- Sebastian nie wróci, Kate. Jest w drodze na Heathrow.
- Po co?
- Będzie próbował złapać lot do Nowego Jorku.
- Żartujesz, Jeremey.
- Obawiam się, że nie. Wczoraj w nocy dostaliśmy ważny teleks. Problemy z Michaelem Jaffe'em. Dzisiaj obydwaj przyszedliśmy do pracy wcześniej, żeby zobaczyć, czy uda nam się załatwić sprawy tu, na miejscu, ale niestety, okazało się to niemożliwe.
- A ty nie mogłeś pojechać? - zapytała chłodno Katharine.
- Mam zbyt wiele spraw na głowie.
- Więcej niż Sebastian?
- Tak uważałem. Przykro mi, Kate. Wiem, że jesteś rozczarowana, ale jestem pewien, że Seb zadzwoni do ciebie później.
- Zrobi to na pewno.
- Chociaż wątpię, czy będzie miał czas na lotnisku.
- Oczywiście, że nie - odrzekła Katharine. - Do widzenia, Jeremey.

Katharine po raz pierwszy była wściekła na Sebastiana. Nic, co działo się w Nowym Jorku, w żaden sposób nie mogło usprawiedliwiać jego wyjazdu akurat dzisiejszego dnia. A jeśli nawet było to coś ważnego, to z pewnością Jeremey mógł go zastąpić. Oczywiście, niczego dobrego nie spodziewała się po Jeremym Marinerze. Podejrzewała, że bawiło go przekazanie jej złych wiadomości. Ale Sebastian wiedział, jak bardzo się za nim stęskniła, i sam jej powiedział, że czuje to samo. Żyli z dala od siebie przez trzy i pół miesiąca. Katharine całym sercem pragnęła znów być przy nim.

Kiedy dotarła do Doliny Wrzosów, już dokładnie wiedziała, co robi. Ellie, zobaczywszy taksówkę, czekała na nią w otwartych drzwiach.

- Właśnie się rozminęliście, kochana, dzwonił z lotniska. Był niepokieszony, że musi wyjechać bez zobaczenia się z tobą.

Taksówkarz wniósł jej walizki do holu. Katharine dała mu pięć funtów napiwku i zamknęła drzwi.

- Ach tak, był zrozpaczony? - powiedziała lekkim tonem.

- A więc już wiesz o Nowym Jorku?

- Tak, wiem, Jeremy mi mówił.

- Nie uprzedził mnie, bo sama bym cię powiadomiła, kiedy zadzwoniłaś.

- Wiem - odparła Katharine łagodniej. - Nie martw się, Ellie.

- Właśnie wstawiłam czajnik. Chodź napić się herbaty. Katharine pochyliła się i pocałowała ją w policzek.

- Przepraszam, Ellie, ale nie mam czasu na herbatę. Muszę coś zrobić. Wytłumaczę ci później.

- Mogłabym przynieść ci dzbanek na górę.

Już na schodach, w drodze na górę, Katharine się odwróciła.

- Czy mogłabyś raczej zrobić kawę? Dawno już takiej nie piłam.

Katharine w ogóle nie czuła radości z powodu powrotu do Dębów. Odbyła dwie rozmowy telefoniczne, nalała wody do wanny, zdjęła ubranie i wrzuciła je do kosza na brudną bieliznę. Ellie przyniosła tacę z dzbankiem świeżo zmielonej kawy i z domowym, kruchym ciastem. Katharine, ze wzrokiem utkwionym w zegarze nad kominkiem, wypila dwie filiżanki i zjadła ciasto. Szybko wykapała się; później będzie miała mnóstwo czasu na lenistwo. Następnie wyjęła z szafy jedwabną bieliznę, ubrania z czystej wełny, kaszmiru i skóry, i zaczęła się pakować.

- Zadzwoniłam po taksówkę - powiadomiła Ellie na dole w holu, stawiając walizki pod drzwiami wejściowymi. - Teraz jadę na Heathrow.

Oczy Ellie zabłysły, gdy zobaczyła, że Katharine wyciąga futro z norek z szafy w holu.

- Dołączasz do Sebastiana?

- Nie, Ellie. - Katharine sprawdziła, czy ma w torbie paszport i karty kredytowe. - Sebastian nic nie wie. I wcale się nie martwię, czy będzie mu przykro.

- Czy wszystko w porządku, kochana? - Ellie wyglądała na zaniepokojoną.

- Wszystko jest dobrze. - Katharine powstrzymała cisnące się jej nagle do oczu łzy i zdołała się do niej uśmiechnąć.
- Chyba po raz pierwszy mam ochotę naprawdę pokłócić się z Sebastianem. Żałuję tylko, że go tu nie ma!

Henrik był w siódmym niebie, widząc ją znowu; podobnie zachowywały się i Fanny i Asger, które radośnie skakały wokół Katharine, a potem usadowiły się na łóżku w jej pokoju, by przyglądać się, jak się rozpakowuje.

- Wejdz, Henriku, proszę! - zawołała. - Bardzo chcę, żebyś tu był ze mną.

Był ubrany w niebieski sweter robiony na drutach ścięciem z warkoczami, a prawy rękaw jak zwykle podpiął, nie dopuszczając, by zwisał bezużytecznie.

- Aż trudno mi uwierzyć, że może być tak dobrze u ciebie, wujku.

Henrik usiadł na łóżku. Suczka sznaucerka ułożyła mu się na kolanach, a pies oparł się o swego pana.

- Muszę się przyznać, że jestem nieco rozczarowany, Katharine.

- Dlaczego?

- Oczywiście, bardzo chciałem poznać twój męża.

- I on chce poznać ciebie, ale obawiam się, że na razie masz tylko mnie i kilka fotografii z podróży poślubnej.

Henrik wyciągnął dłoń i delikatnie ją uściskał.

- Pierwsza kłótnia? - zapytał.

- Skąd wiesz?

Wzruszył ramionami.

To łatwe do odszyfrowania. Mówiłaś, że nie było cię w domu przez trzy miesiące, a teraz wracasz, a on wyjechał. Jesteś na niego zła, prawda?

- Wściekła!

- I dobrze, to normalne. - Uśmiechnął się, a jego twarz nagle rozjaśniła się radośnie. - To ja jestem szczęściarzem, bo mam ciebie na kilka dni. Wyglądasz pięknie, ale robisz wrażenie trochę zmęczonej.

- Jestem wyczerpana - przyznała.

Henrik wstał i zgonił psy z łóżka.

- Więc, pierwsza rzecz, którą zrobisz, to weźmiesz długą kąpiel, a potem odpoczniesz i niczym nie będziesz się martwić, kochanie.

Moczyła się w pianistej kąpieli prawie przez godzinę, natarła skórę pachnącym balsamem do ciała i położyła się na dużym, miękkim łożu, owinięta w puszysty szlafrok. Obok niej leżała Fanny, która wkradła się do pokoju. Tego wieczora Henrik ugotował kolację i Katharine znowu zachwycała się jego umiejętnościami, a posiłek był wspaniały.

Kiedy już zjedli i pili kawę, zadzwonił telefon. Dzwonił Sebastian z Nowego Jorku.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał ostrożnie. Próbował wybadać, jak bardzo jest na niego zła, skoro zdecydowała się na nagły wyjazd do Kopenhagi. - Bardzo się zamartwiałem, kiedy Ellie powiedziała mi, że wyjechałaś.

- Naprawdę? - Wujek taktownie wyszedł z pokoju, ale Katharine, wciąż świadoma jego obecności w pobliżu, zmusiła się, by nadać swojemu głosowi beztroskie, obojętne brzmienie. - Chyba nie podejrzewasz, że ucieszył mnie twój wyjazd do Nowego Jorku?

- Czy wyobrażasz sobie, że pojechałbym, gdyby to nie było ważne?

- Sądziłam, że mój powrót do domu będzie dla ciebie ważniejszy niż interesy.

- To była beznadziejna sytuacja, kochanie.

- Mógł pojechać twój partner.

- Jeremy miał zobowiązania.

- A ty nie miałeś!

- To nie było takie proste, Katharine. Mieliśmy około pół godziny, by wszystko zorganizować, a Jeremy się uparł. Michaelowi Jaffe'owi też jestem coś winien.

- To sprawa agencji.

- Masz rację. I gdybyśmy mieli choć trochę więcej czasu, jestem przekonany, że Jeremy zdołałby rozwiązać swoje problemy, ale...

- Ale w zaistniałej sytuacji, to twoje problemy łatwiej było załatwić - powiedziała lodowatym tonem.

- Katharine, proszę, bez ciebie czuję się okropnie.
- Miałeś trzy miesiące, by się do tego przyzwycząić.
- To nieprawda. Przyjeżdżałem za każdym razem, kiedy miałem okazję.

- Nie wiedziałam, że to było dla ciebie takie poświęcenie.

- Katharine doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że zachowuje się jak jędra i wyczuwała, jaki nieszczęśliwy i przybity był Sebastian. Pewnie mu wybaczy, ale jeszcze nie teraz.

- Kocham cię, Katharine.
- Tak myślałam.
- Załatwię wszystko tutaj w rekordowym tempie.
- Nie spiesz się ze względu na mnie.

Sebastian zamilkł. Katharine czuła, jak mąż dusi w sobie gniewną odpowiedź.

- Zadzwonisz do mnie jutro? - zapytała, wciąż chłodno, po czym dodała - Jeśli będziesz miał czas.

- Będę miał czas. Czy mi wybaczysz?
- Może.
- Kocham cię.
- Dobranoc, Sebastianie.
- Marzę, żebym mógł tam z tobą być.
- Ja też - odparła Katharine sucho i odłożyła słuchawkę.

Następne dwa dni Katharine spędziła spokojnie. Chodziła na długie spacerunki z psami po Churchill Park i biegała, już sama, na skraj Langelinie i wokół parku, a jej oddech zamieniał się w parę w mroźnym powietrzu. Poszła do salonu piękności na Stroget - mieszczącego się przy długim deptaku w centrum handlowym, i poddała się zabiegom pielęgnacyjnym włosów, zrobiła manicure, pedicure i masaż. Poszła na zakupy i kupiła dwa piękne swetry w butik przy Ostergade i bluzkę w butik Chanel. Nabyła też śliczną figurkę porcelanową w Royal Copenhagen Porcelain i wytworną nową fajkę dla Henrika w W.O. Larsen.

Sebastian dzwonił do niej trzy razy dziennie i Katharine wiedziała, że mąż musi nastawiać budzik, by rozmawiać z nią z samego rana, zgodnie z czasem duńskim. Do tej pory zdążyła mu już prawie wybaczyć, ale postanowiła nie dać mu tego na razie poznać, póki się nie spotkają.

Ranek trzeciego dnia Katharine spędziła z Henrikiem w jego sklepiku z antykami na Bredgade, a potem poszli na obiad do francuskiej knajpki w Hotel d'Angleterre. Wieczorem Henrik dał Katharine całkowitą swobodę w kuchni, by mogła wypróbować kilka skandynawskich przepisów kulinarnych, które znalazła w starej, oprawnej w skórę książce kucharskiej. Cudownie się tu czuła, jak w domu, swobodna i relaksowana.

Wtedy znowu zadzwonił Sebastian, tym razem z Londynu.

Myślałam, że zostaniesz tam jeszcze kilka dni - powiedziała Katharine, nie starając się ukryć radości.

- Obiecałem, że skończę tak szybko, jak tylko to możliwe, aniele.

- To prawda. - Poczula, jak wypełnia ją radość na myśl o tym, że go niedługo zobaczy. - Więc przylecisz tutaj i dołączysz się do nas?

- Do Kopenhagi?

- Właśnie. Mój wuj nie może się doczekać spotkania z tobą. Tu jest cudownie.

Sebastian westchnął ciężko.

- Niczego innego nie pragnę tak bardzo, jak spędzić tam z wami kilka dni, kochanie. Ale ten nieoczekiwany wyjazd z Londynu pogmatwał pewne sprawy w agencji. Jeśli chcesz zostać jeszcze kilka dni ze swoim wujem, zrozumieć to. Wiem, jak bardzo go lubisz.

- Tak więc zrobię.

- Chłód w głosie Katharine zaniepokoił Sebastiana.

- Kochanie, znowu nie rozumiesz.

- Nie rozumiem? - odparła. - Wątpię w to. - Miała ściśnięte gardło. - W każdym razie zostanę tutaj, tak jak proponujesz. Wiem, że jestem tu mile widziana. I jeśli znajdziesz chwilę czasu w tygodniu, znów możesz zadzwonić.

I szybko odłożyła słuchawkę.

I tym razem Virginia powiedziała Sebastianowi, co o nim myśli.

- Z pewnością nie może cię dziwić reakcja Katharine - powiedziała mu, kiedy zadzwonił do niej następnego ranka z biura. - Dopiero co jesteście po ślubie, a już spędziliście osobno zbyt wiele czasu.

- Z czego każda chwila była dla mnie nieznośna - odrzekł Sebastian.

- Ale to był twój pomysł, by wysłać ją do Bromsgrove.

- Nie dlatego, że chciałem być sam.

- Mam nadzieję, że nie.

- Nie miałem wyboru. Musiałem jechać do Nowego Jorku, Virginio. Katharine nie jest dzieckiem. Wie, na czym polegają interesy.

- Nawet kochająca kobieta nie musi być naiwna - szorstko odparła Virginia. - Myślałam, iż zdajesz sobie sprawę, jak wielkie miałeś szczęście, spotykając Katharine.

- Mam tego świadomość. Dziękuję swoim szczęśliwym gwiazdom każdego dnia. - Elspeth otworzyła drzwi, lecz Sebastian gestem ją odesłał. - Ale Katharine tak naprawdę nie ułatwia mi życia, Virginio. Robiłem wszystko, by szybko wrócić z Nowego Jorku.

Virginia nie dawała za wygraną.

- I myślałeś, że ona wskoczy do pierwszego samolotu, żeby przylecieć w twoje ramiona. Jeśli chodzi o to, że ona nie ułatwia ci życia, to co powiesz o Katharine? Na jakie przejścia ty ją skazałeś przez ostatnie trzy miesiące?

- Na miłość boską! Mówiłem ci już ze sto razy, że Katharine chciała pojechać, ona chce być aktorką.

- A teraz jest na tyle mądra, by wiedzieć, że urlop, nawet krótki, jest dokładnie tym, czego oboje potrzebujecie, zanim będziecie próbować znowu wrócić do normalnego życia.

- Bardzo chciałbym pojechać na urlop z Katharine - odparł Sebastian zrozpaczony - ale teraz nie ma na to czasu.

Virginia była zirytowana i smutna. To ciekawe - pomyślała - że mężczyzna o tak błyskotliwym umyśle, obdarzony wielką wrażliwością w stosunku do innych, może być tak nieczuły wobec osoby, którą kocha najbardziej na świecie.

- Sebastianie, kochany, spróbuj mnie wysłuchać. Jeśli naprawdę nie możesz pojechać do Danii akurat w tym momencie, powinieneś poprosić Katharine, by natychmiast wróciła do domu.

- Oczywiście, że jej pragnę.

- Więc masz dziwny sposób okazywania tego.

Sebastian poczekał kilka minut, zanim powtórnie zatelefonował do mieszkania Henrika Andersena. Był spięty - mogli się, by Katharine była w domu.

- Kochanie - powiedział, gdy tylko usłyszał jej głos - jednak przyjeżdżam. Nie przeżyję ani jednego dnia bez ciebie. Oszaleję, jeśli wkrótce cię nie zobaczę.

Usłyszał, jak Katharine cicho westchnęła z radości, zanim mu odpowiedziała:

- Na pewno chcesz przyjechać?

- Oczywiście.

- I jesteś pewien, że znajdziesz na to czas? - W jej głosie nie było śladu ironii.

- Przylatuję jutro pierwszym samolotem - odparł Sebastian.

- Nie - powiedziała Katharine.

- Tak.

- Nie ma takiej potrzeby - wytłumaczyła, a w jej głosie brzmiała ulga i szczęście. - Bo to ja wracam do domu.

- Naprawdę?!

- Oczywiście, Sebastianie.

Wyszedł po nią na Heathrow. Na jej widok dech mu zaparło - tak jak wtedy u Sardiego - jakby zapomniał, jakie wrażenie robi na nim jej uroda. W powrotnej drodze do Hampstead trzymali się za ręce, spoglądali na siebie czule i wymownie milczeli.

Sebastian wszystko ustalił wcześniej z Ellie i wiedział, że obiad będzie gotowy. Razem poszli na górę - Katharine się rozpakowała i przygotowała kąpiel. Sebastian, przyglądał się, jak Katharine się myje i jak puch piany koronką otacza jej ramiona i szyję. Sycił oczy jej widokiem i czuł, że twardej z pożądaniami.

- Chodź tutaj - odezwała się Katharine ochryple.

- Nie, aniele.

- Dlaczego nie? - Na jej sutkach osiadła piana, a usta rozchyliły się, spragnione pocałunków.

- Najpierw obiad.

- Jesteś niezwykle opanowany - powiedziała.

- Najwyższy czas, nie uważasz?

Jadalnia wyglądała cudownie. Światła były przygaszone, a Ellie postawiła na stole świeczniki w stylu georgiańskim. Przyrządziła krem ze szparagów, według przepisu otrzymanego od Katharine, i solę Dover z grilla, z sosem łososiowym. Sebastian i Katharine pili doskonale Pouilly Fuisse i siedzieli naprzeciwko siebie w wysokich, rzeźbionych krzesłach, wpatrując się sobie w oczy. W domu panowała zupełna cisza.

Było to pojednanie pełne uniesienia. Od wielu miesięcy nie byli sobie tak bliscy. Była jego żoną. Jego najlepszym, najdroższym przyjacielem. Jego kochanką.

- Czy sądzisz, że teraz moglibyśmy pójść na górę? - spytała Katharine miękko, kiedy skończyli pić kawę.

- Jesteś pewna, że nie wolałabyś jeszcze napić się koniaku?
- Oczywiście.
- W takim razie...

Spokojnie szli po schodach, trzymając się za ręce. Wypełniało ich namiętne oczekiwanie, najsilniejsze z tych, jakich doznali od tamtego pierwszego razu, w zajeździe, lecz bez tej niezręcznej niecierpliwości. Była w nich gorączka, wzajemne gwałtowne pożądanie. Nie spieszyli się. Mogli zatracić się w zmysłowości tak długo, jak tylko mieli na to ochotę.

- Rozbierz mnie - szepnęła Katharine, kiedy znaleźli się w sypialni, a drzwi zamknęły się za nimi.

Sebastian potrząsnął głową.

- Chcę na ciebie patrzeć.
- Ja też.

Pożerała męża wzrokiem, podziwiała piękno jego ciała, jego siłę i słodycz, długie nogi i ręce, płaski brzuch, dłonie, które już wkrótce będą dotykały jej skóry, jego roznamietnioną twarz, błękitne oczy.

Wtedy Sebastian zgasił światła i rozsunał zasłony, tak że jasna skóra Katharine świetliście zajaśniała w księżycowej poświacie. Dopiero wtedy podszedł do niej. Najpierw pocałował ją w usta, pragnąc, by Katharine poczuła całą jego miłość, czułość i namiętność w tym pierwszym pocałunku. Potem pochylił głowę i wargami musnął jej piersi, wolno smakując pożądanie. A Katharine jęknęła z rozkoszy i zaczęła go pieścić, ocierać się o niego i przekreśliła głowę, by oddać jego pocałun-

ki. Nareszcie położyli się na łóżku, a jej włosy, niemal srebrne w świetle księżyca, rozsypały się po poduszkach.

I wtedy, dokładnie w najważniejszej chwili tej najwyższej radości, w szczytowym momencie ich wzajemnego odkrywania się na nowo, właśnie to, czego Sebastian obawiał się najbardziej, lecz wierzył, że już się tego pozbył, wróciło, żeby go nękać. Było wszędzie wkoło niego - miał to w nozdrzach, ustach, gardle. Był więźniem, nie mógł oddychać...

Katharine wzmocniła uścisk ramion i nóg wokół niego. Był już głęboko w niej. Ale tylko na wpół świadomie usłyszał jej jęk rozkoszy, tylko w połowie poczuł, jak Katharine zaczyna kołysać biodrami, ledwie rozpoznał swój własny jęk. Na zewnątrz wielka, czarna chmura przysłoniła księżyc i w pokoju zapanowała ciemność, okryła ich na łóżku, jakby gigantyczny, czarny nietoperz położył na nich cień swoich skrzydeł. Pokój zaczął wirować wokół Sebastiana, poczuł, że robi mu się słabo...

Przez mgłę bólu wpatrywał się w Katharine, w jej twarz wykrzywioną namiętnością. I ta woń pokonała go ostatecznym, zwycięskim uderzeniem. Ponownie zawładnęło nim to ohydne, obrzydliwe uczucie kazirodczej miłości i już nie miał wyboru - musiał oderwać się od ciała Katharine, wyrwać się na wolność.

- O Boże, nie!

Okrzyk ten miał taką moc, był pełen takiego wstrętu, że Katharine przez dłuższą chwilę leżała zbyt oszołomiona i zdumiona, aby się poruszyć. Kiedy w końcu udało jej się wyciągnąć rękę i włączyć lampkę, zobaczyła, że Sebastian siedzi na krawędzi łóżka z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Sebastianie - szepnęła - co się z tobą dzieje?

Drżał gwałtownie.

- Na litość boską, kochanie, powiedz mi.

Nie mógł nic powiedzieć, nie miał słów, próbował zebrać w sobie siłę, by wstać, wyjść z pokoju, uciec.

- Jak, u diabła, mogę ci pomóc, jeśli nie chcesz mi powiedzieć?!

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego pleców. Sebastian odskoczył, jakby go poparzyła.

- Przepraszam - powiedział zduszonym głosem.

Katharine patrzyła, jak idzie do łazienki i zamyka za sobą drzwi. Usłyszała klucz przekręcany w zamku. Sebastian wymiotował, a potem zaczęła lać się woda, najpierw w jednej z umywalek, potem z prysznicza. Chciała do niego pójść, lecz zamknięte drzwi oznaczały, że jej nie chce, a to zadało jej ból.

Gdy wrócił z łazienki, Katharine leżała w łóżku z kołdrą podciągniętą po brodę, sztywna i opanowana. Jej szeroko otwarte oczy obserwowały go. Czekwała.

Sebastian próbował mówić. Ale nie wiedział, co powiedzieć.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć - odezwał się. - Oddałbym wszystko, by podzielić się tym z tobą. Ale nie potrafię.

Katharine zamknęła oczy, odsunęła się od niego i sztywno leżała na drugim końcu łóżka. A Sebastian patrzył na jej nagie, odwrócone plecy i wiedział, że teraz nie może jej dotknąć.

Gdyby wbił jej nóż, nie mógłby chyba czuć do siebie większej nienawiści.

RS

Rozdział 22

Przez osiem dni dzielących ich od świąt Bożego Narodzenia życie w Dębach toczyło się w takiej atmosferze jak przed wyjazdem Katharine. Miłość i czułość wciąż były, ale zabrakło bez troski i spontaniczności.

Żadne z nich nie wspomniało tamtej nocy. Sebastian nie próbował nawet tego wyjaśniać. Pragnął jedynie o tym zapomnieć. A Katharine udawała, że nic się nie stało. Zajął się zorganizowaniem przyjęcia, które planowali wydać w noc sylwestrową. Przynajmniej mogła skupić energię na tym, jak i na przygotowaniu ich pierwszych świąt w Dębach i sprawieniu, aby były najszcześniejsze i najspokojniejsze.

W nocy jednak tamto wspomnienie ciężko wisało między nimi. Szli na górę cicho, ostrożnie, zawsze osobno i tak manewrowali, by wejść do sypialni wtedy, kiedy drugie już spało. Leżeli w bezruchu i ciszy, wypełnieni bólem.

Na cztery dni przed świętami, we wtorek po południu, Sebastian wrócił wcześniej z biura i zastał Katharine w ogrodzie na tyłach domu, wpatrzoną w nagie grządki.

- Cześć, aniele. - Lekko pocałował ją w policzek i podał jej długą paczuszkę, pięknie opakowaną.

- Możesz otworzyć od razu.

- Teraz?

- Tak.

Rozerwała papier.

- Bilety lotnicze?

- Popatrz na nie.

- Londyn - Genewa - Londyn.

- Dla ciebie, dla mnie i Virginii - dodał. - A w Genewie pożyczamy samochód i jedziemy do Gstaad.

- Na narty? - Oczy Katharine roziskrzyły się. - Nie jeździłam od lat.

- Szybko sobie przypomnisz.

Posmutniała.

- Ale nasze plany: przyjęcie, święta...

Sebastian ujął jej dłonie.

- To jest ważniejsze niż wszystkie plany. - Jego oczy błagały ją. - Wynająłem domek poza Gstaad i wysłałem bilet kolejowy do twojego wuja.

Katharine nie mogła w to uwierzyć.

- Przyjeżdża?

Rozmawiałem z nim dziś rano. Przyjeżdża z psami. - Ciągnął pośpiesznie: - I możemy wrócić przed przyjęciem. I proszę, Katharine, pozwól mi to dla nas zrobić.

Virginia trochę protestowała.

- Powinniście jechać sami - stwierdziła, co łatwo można było przewidzieć. - To niemądre z waszej strony wyjeżdżać ze starą kobietą. I nie byłam na stoku od ponad dwudziestu lat. A poza tym zupełnie nie mam się w co ubrać.

Ani Katharine, ani Sebastian nie zwracali na jej słowa uwagi.

- Bez ciebie nie jedziemy - powiedziała Katharine. - Mamy całe pół dnia na zakupy, a Elspeth już mi mówiła, że jeśli pójdziemy do Simpsona i Lillywhite'a, będziemy miały dość czasu, żeby kupić wszystko, czego potrzebujemy.

- A resztę możecie kupić w Gstaad - dodał Sebastian.

- Pokochasz wujka Henrika - mówiła Katharine, po raz pierwszy od wielu miesięcy tak rozentuzjasmowana. - I wiem, że on też będzie uważał, że jesteś cudowna.

- Biedak, usidlony w moim towarzystwie.

- Virginio, kochanie - przerwał jej Sebastian - przestań gadać i idźcie na zakupy.

Domek był wspaniały. Stał na wzgórzach Rellerligrat, skąpany w słońcu i z pięknym widokiem na Gstaad. Mieli łatwy

dojazd do wykwintnych sklepów, czarujących kafejek, hoteli Stublis i Palace, jednocześnie pozostając nieco na uboczu. Na parterze był wielki salon, z imponującym kominkiem. Część półpiętra stanowiła galeria. Zaś pokoje na pierwszym piętrze, choć wszystkie przestronne, były jednocześnie zaciszne i przytulne. Wszystkie miały kominki i były wyposażone w łazienki. Sufit i ściany ozdobiono drewnem, w miedzianych stojakach koło kominków leżały kłody drzewna.

Henrik przybył dzień po nich razem z Asgerem i Fanny.

- Dwa razy w jednym miesiącu - powiedział do Katharine z ogromną radością, kiedy wszyscy wyszli na stację, żeby go powitać. - I ty, mój drogi przyjacielu. Jestem szczęśliwy, że wreszcie mogę cię poznać.

Sebastian podał mu rękę, a Henrik potrząsnął nią żywo.

- Dobrze, że pan przyjechał, sir - odparł Sebastian. - Tak naprawdę nie daliśmy panu wiele czasu do namysłu.

- Kto potrzebuje czasu do namysłu, kiedy w grę wchodzi rodzina i sporty zimowe? I proszę, mów do mnie Henrik. - Zwrócił się ku Virginii. - Czy nikt nie przedstawi mnie tej pięknej damie? - Ujął jej dłoń i ucałował. - Chociaż wiem bardzo dobrze, że zapewne mam przyjemność z panią Locke.

- Proszę mówić do mnie po imieniu - powiedziała rozbrowniona. - Widzę, że Katharine miała rację co do pana. Mówiła, że jest pan najbardziej czarującym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznała.

W Wigilię zjedli kolację w domu. Lilianna, gospodyni, przychodziła do domku trzy razy dziennie, by przygotować śniadanie, pościelić łóżka i posprzątać, oraz przygotować posiłki. Jednak tego wieczora Virginia i Katharine uparły się, że pomogą Liliannie stworzyć w kuchni coś specjalnego. Była to radosna i imponująca uczta, na którą złożyły się kokilki Saint-Jacques, chateaubriand z wątróbkami gęsimi i suflet Grand Marnier.

Zeszli do miasteczka na Pasterkę. Była to najcudowniejsza msza, jaką mogliby sobie wymarzyć. Kiedy wyszli z kościoła, przószył śnieg, a twarze wiernych były szczęśliwe. Henrik i Virginia wrócili po mszy prosto do domu, zaś Sebastian z Katharine poszli na kieliszek koniaku do hotelu Palace.

Nie zostali tam jednak długo, ponieważ zaledwie usiedli, poczuli, że muszą wrócić do domu i być tylko we dwoje.

Lilianna zdjęła narzutę z łóżka w ich pokoju. Na serwetkach z białej koronki, przykrywających ich poduszki, ułożyła dwie długie, czerwone róże, a na każdej szafce przy łóżku postawiła uroczystą, czerwoną świecę. Sebastian zapalił je obie, po czym wrócił do Katharine i jego oczy spoczęły na długim lustrze na ścianie, w drugim końcu pokoju.

Stali blisko siebie, a jednak ich odbicie ukazywało dwie nierealne postaci, jakoś dziwnie od siebie oddzielone. Twarze i ciała pozostawały w cieniu i tylko ich głowy lśniły w świetle. Sebastian nagle poczuł ukłucie samotności i głęboki strach wobec tego uczucia wyobcowania, które go ogarnęło. Katharine, odczuwszy jego lęk, z niepokojem podniosła na niego oczy.

- Co się stało? - spytała łagodnie.

Oderwał wzrok od lustra, spojrzął w dół, na jej śliczną twarzyczkę i zobaczył wielką miłość do niego. Szybko podszedł do komody, po czym wrócił do Katharine, trzymając w ręku małe, delikatne pudełeczko w ładnym opakowaniu.

- Daj mi swój płaszcz - powiedział miękko i włożył jej pudełeczko do ręki.

Katharine rozerwała papier i zobaczyła, że to oprawne w skórę pudełko od Cartiera. W środku leżał zachwycający naszyjnik z diamentów i pereł z mórz południowych.

- Wesółych Świąt, moja ukochana.

Drżącymi rękoma wyjęła naszyjnik z pudełka, a światło świec odbiło się w kamieniach i rzuciło na ścianę i sufit kalejdoskop migoczących ogni.

- To najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam - szepnęła, a w jej oczach zalśniły łzy. - Myślałam, że ta podróż jest moim prezentem... To już i tak za wiele.

- Dla ciebie? Nigdy.

Sebastian wziął naszyjnik z rąk Katharine, zapiął go na jej szyi i położył dłonie na jej ramionach. Nie ruszał się, czuł tylko jej bliskość, tak błogą. Chciał powiedzieć, co czuje, boleśnie pragnął dokładnie opisać niezwykłą intensywność swej miłości do niej, absolutną bezcenneść tej miłości, lecz nie potrafił znaleźć właściwych słów.

Katharine sięgnęła po jego rękę i w milczeniu poprowadziła go ku lustru i stanęła obok niego.

Sebastian zobaczył, że to niepokojące rozdzielenie i irracjonalny strach, które zwierciadło w nim wywołało, odeszły. Być może - pomyślał - nigdy nawet tego nie było. Patrzył teraz na odbicie ich dwojga, wyraźne i czyste. Stali blisko siebie, tworząc jedność, trzymali się za ręce, twarze mieli radosne i spokojne.

- Kochaj mnie - miękko odezwała się Katharine.

I kiedy odwróciła się do niego, a on zobaczył moc miłości do niego odbitą w jej oczach, przepłynęły przez niego siła i radość i wiedział już, że dzisiejsza noc będzie wspaniała.

Następnego ranka znalazło się jeszcze więcej prezentów, nim wybrali się do Palace na uroczysty obiad. Litografia Chagalla od Katharine dla Sebastiana; para ciężkich, srebrnych ramek do fotografii od Virginii dla nich obojga; figurka arlekina z Meissen od nich dla Virginii; a od Henrika dwie wiktoriańskie, srebrne buteleczki do perfum dla Katharine i Virginii oraz osiemnastowieczna pieczęć z uchwytem wyrzeźbionym w kształcie maleńkiej sceny z podniesioną kurtyną dla Sebastiana.

- Kiedy zobaczyłem, że na uchwycie wyryto twoje inicjały - powiedział mu Henrik - nie mogłem się powstrzymać.

- Jest wspaniała - rzekł Sebastian. - To nadmierna hojność.

- Nie większa niż twoja, mój przyjacielu.

Jedyny cień tego dnia został spowodowany przez pewną paczuszkę - Jeremy poprosił Virginie, by dostarczyła ją Sebastianowi. Była to cudowna złota papierośnica, w której prawym dolnym rogu wyryto znak firmowy Locke Mariner, zaś w środku, maleńkimi literkami napis Dla SL od JM.

- To bardzo piękne - podziwiała papierośnicę Katharine.

- Nieprawdaz?... - odparł Sebastian. W jego oczach jednak był gniew, ponieważ Jeremy tak otwarcie zignorował Katharine. Sebastian zamknął papierośnicę z trzaskiem i niedbałym ruchem wsunął ją do kieszeni kamizelki.

Urlop był cudowny. Po pierwszych niepowodzeniach Katharine okazała się zręczniejszą, lepiej wyszkoloną narciarką niż jej mąż. Jednak braki w finezji ruchów Sebastian z nawiązką

nadrabiał brawurą, wręcz graniczącą z nietypowym dla siebie brakiem ostrożności. Każdego ranka jeździli na nartach, sankach, łyżwach albo obrzucali się śnieżkami. Oboje mieli nadzieję, że ten krótki urlop jest rzeczywiście lekarstwem na wszystkie napięcia, które przyniosły ostatnie miesiące. Nawet jeśli była to krótka przerwa w codziennej rutynie, krystalicznie czyste, mroźne powietrze, a przede wszystkim ich wzajemna, nieustająca, gwałtowna namiętność sprawiły, że urlop ten był równie cudowny jak ich podróż poślubna do Wenecji.

- I nie jesteśmy tu jedyni - powiedziała Katharine do Sebastiana przedostatniego dnia pobytu. Zapadł zmierzch, czas zwany przez Francuzów l'heure bleue, czas miłości. Leżeli wtuleni w siebie pod kołdrą, oboje rozkoszując się każdą chwilą.

- Jesteś po prostu nieuleczalną romantyczką - zażartował z niej Sebastian, wiedząc, że Katharine ma na myśli Virginie i Henrika.

- Nie możesz zaprzeczyć, że dobrze się ze sobą bawią. Katharine pogładziła go po wewnętrznej stronie ramienia.

- Czy to nie byłoby absolutnie cudowne, gdyby oni się w sobie zakochali, kochanie?

- Nie jestem pewien, czy Virginia jest na to gotowa, ani le. - Sebastian pocałował ją w ucho. - Chociaż, zgadzam się, rzeczywiście, byłoby to cudowne.

- Wspaniale - powtórzyła cicho.

- A więc? - zapytała Katharine Virginie w czasie powrotnego lotu do Londynu, podczas gdy Sebastian drzemał po lekkim obiedzie.

- A więc co, kochanie?

- Wujek Henrik, oczywiście.

- Co w związku z nim?

- Umierałam z ciekawości, a Sebastian twierdził, że nie-taktem byłoby cię o to zapytać.

- O co dokładnie? - Oczy Virginii zdradzały rozbawienie.

- Czy go lubisz?

- Oczywiście, że go lubię, jakże mogłabym go nie lubić?

- Ale czy czujesz coś więcej? - nalegała Katharine. - Pytam tylko dlatego, że jestem pewna, że on oszalał na twoim punkcie.

- Ależ ... Skąd to przypuszczenie?
- Powiedział mi, że jesteś najwspanialszą kobietą, jaką spotkał od co najmniej dziesięciu lat.
- Zmyślasz, Katharine.
- A ty się rumienisz. - Katharine zerknęła kątem oka na Sebastiana, po czym znowu zwróciła się do Virginii. - Powiedz coś więcej, póki on śpi.
- Jesteś niemożliwa, kochanie. - Virginia uśmiechnęła się do niej. - No dobrze, przyznam ci się do jednej rzeczy, ale musisz przyrzec, że tego nie wyolbrzymisz.
- Słowo harcerza.

Virginia spoważniała.

- Po prostu po tym, jak straciłam Andrew, sądziłam, że już nigdy nie będą mnie cieszyły święta Bożego Narodzenia.
- Ujęła dłoń Katharine i uściśnęła ją. - Ale dzięki wam wszystkim - nie wyłączając Henrika, oczywiście - byłam szczęśliwa.

Pogoda w noc sylwestrową była wyjątkowo nieprzyjemna. Była to noc - jak powiedział Sebastian, kiedy się ubierali - iscie makbetowska. Po wrzosowisku hulała wichura z deszczem, chłostając dojmującą wilgocią. Jednak Dęby - bezpiecznie przycupnięte w Dolinie Wrzosowej, z frontonem tonącym w powodzi świateł - zdawały się przyjaznym portem dla gości, którzy, opuściwszy auta, biegli po wysypanym żwirrem podjeździe, skuleni pod parasolami, przy takim wietrze niemal bezużytecznymi.

- Boże, co za noc! - zawołała Barbara Stone, którą poryw wiatru niemal wepchnął przez frontowe drzwi. - Kochani, potrzebuję lustra i drinka.

Sebastian, jeszcze bardziej smukły w czarnej, aksamitnej marynarce, w śnieżnobiałej koszuli i krawacie koloru burgunda, stał przy drzwiach, witając gości. Ellie odbierała płaszcze i prezenty, zaś Katharine kierowała panie do garderoby, gdzie mogły poprawić swe zrujnowane fryzury.

- Dom wygląda absolutnie niebiańsko - powiedziała jej Barbara. - Oczywiście, zawsze był piękny, ale ty dokonałaś tu cudów, kochanie.

- Nie zrobiłam aż tak wiele - szczerze odparła Katharine.

Barbara miała rację, bowiem nawet jeśli Dęby były piękne w normalnych warunkach, tej nocy prezentowały się po prostu urzekająco. Nie po raz pierwszy Katharine miała uczucie, że to o wiele więcej niż tylko zwykły dom i że ma swoje nastroje, które odzwierciedlają jego przeżycia. A dzisiejszej nocy - z ogniem, stwarzającym atmosferę ciepła i gościnności, palącym się na kominkach w salonie, jadalni i w obszernym holu obitym boazerią, z pięknie lśniąącym drewnem, wypolerowanym przez Ellie olejem lnianym - dom zdawał się jeszcze bardziej niż dotychczas zapraszać do wejścia.

Teraz Katharine stwierdziła, że dobrze zrobiła, unikając dodatkowych, balowych dekoracji. Dęby nie potrzebowały już nic więcej, aby błyszczeć. Jej jedynym ustępstwem na rzecz zbytku było odtworzenie w małym saloniku baru z fortepianem w stylu nowojorskim. Był on pograżony w lekkim półmroku; przy fortepianie siedział Billy Jacques, popularny pianista jazzowy, którego Katharine wynajęła na tę noc. Już teraz bar był wypełniony po brzegi, zadymiony, jak każdy inny bar, a Billy śpiewał gardłowym głosem i pił burbona z kilkoma swoimi wielbicielami.

Lista gości została wnikliwie przemyślana. Przyjęcie to było przede wszystkim wydarzeniem sezonu teatralnego. Nie dało się tego uniknąć, bowiem Sebastian zdawał sobie sprawę z tego, że, wykonując ten zawód, musi utrzymywać stosunki z szerokim kręgiem ludzi. I tak, do wpół do jedenastej w gronie gości - obok producentów, reżyserów, pisarzy, impresariów, reżyserów castingu, agentów, kolegów po fachu i, oczywiście, aktorów - znaleźli się dwaj projektanci mody, trzech prawnicy, dwaj bankierzy międzynarodowi, fotografik, fryzjerka, chirurg plastyczny i psychiatra. Obecna była większość klientów agencji Locke Mariner, prócz tych, którzy nie mogli przybyć. Nawet Michael Jaffe - który przyleciał do Londynu na premierę sztuki, wystawianej w celach charytatywnych - obiecał przybyć przed północą.

Katharine nigdy jeszcze nie bawiła się tak dobrze. Gdziekolwiek się obróciła, napotykała zwrócony na siebie wzrok, pełen podziwu, a czasem zazdrości. Miała na sobie beżowo-

złotą długą suknię z szyfonu, w stylu dyrektoriatu z wysokim stanem. Suknia była tak lekka, że niemal przezroczysta i miała mocno wycięty dekolt, by uwydatnić kształty Katharine i wyeksponować naszyjnik z diamentów i pereł, który Sebastian ofiarował jej na Boże Narodzenie.

- Wyglądasz zachwycająco, Kate - przyznał Jeremy, kiedy przybył z tulącą się do niego brunetką, przytrzymującą go pod ramię. - Jak co najmniej dwa miliony dolarów.

Przyjęcie trwało, a Katharine, korzystając z przywileju gospodyni, zachowując pewien dystans, przyglądała się gościom, w grupkach oddającym się różnorodnym rozrywkom. Obserwowała i przysłuchiwała się głosom radosnym, życzliwym, a czasem też pełnym złośliwości ukrytej pod maską uśmiechów i pocałunków. Wieczór ten obdarował Katharine niespotykanym szczęściem.

- To dziwne - zwierzyła się Virginii w cichym zakątku. Było parę minut po jedenastej. - Choć mieszkam tu od dziewięciu miesięcy i wydaliśmy tyle przyjęć, których atmosfera była po tysiąckroć bardziej intymna... to właśnie dzisiejszego wieczora czuję się w idealnej harmonii...

- Z Sebastianem?

Katharine kiwnęła głową.

- I z Dębami. Z moim życiem. Nigdy wcześniej aż tak tego nie czułam.

- To wymaga czasu - rzekła Virginia - żeby poczuć się jak w domu.

- Mam uczucie, że tutaj jest moje miejsce - powiedziała Katharine miękko. - Dla niektórych ludzi, zebranych tutaj dzisiejszej nocy, jestem żoną Sebastiana Locke'a. Dla innych - synową Andrew Locke'a. Być może dla jeszcze innych, tych, którzy znali matkę Sebastiana, jestem po prostu częścią kolejnego pokolenia.

- Czy sprawia ci to przykrość?

- Myślę, że dotychczas było to dla mnie trochę przykre.

Wszystkie te związki z przeszłością, która nie jest moja...

- Podczas gdy przecież masz swoją własną, i to wspaniałą przeszłość? - dokończyła jej myśl Virginia.

- Otóż to. - Ta domyślność przyjaciółki wywołała u Katharine uśmiech. - Dużo czasu zajął mi proces dojrzewania...

- I sędzę, że kiedy już w końcu nauczyłam się, jak być niezależną, spodobało mi się to. Przyzwyczyłam się myśleć o sobie jako o niezależnej jednostce.

- Wolnym duchu.

- Miałaś rację parę miesięcy temu, kiedy powiedziałaś, że powinnam wrócić do pracy. Ale dopiero Sebastian zrozumiał, czego naprawdę potrzebuję. Nie sędzę, żeby wielu mężów zrobiło to, co on dla mnie. On popchnął mnie, żebyśmy stanęła na nogi.

- Złościłam się o to na niego - powiedziała Virginia. - Uważałam, że potwornie ryzykuje.

- Czym ryzykuje? - zapytała Katharine. - Że mnie straci?
- Żywo pokręciła głową. - Nigdy nie mogłabym go porzucić. - Znów się uśmiechnęła. - W każdym razie chyba pobyt tak daleko od domu sprawił, że to wszystko stało się jeszcze bardziej dla mnie cenne. Mogę być po prostu żoną Sebastiana dla niektórych ludzi... i to wszystko, co mówiłam wcześniej, ale jednocześnie jestem Katharine Andersen Locke i mam prawo być w tym domu. Tu jest moje miejsce.

Ale jedna osoba wciąż jej nie zaakceptowała i Katharine była pewna, że nigdy to nie nastąpi. Jeremy mógł powiedzieć jej wcześniej komplement i być dla niej miły, jak to ostatnio najczęściej bywało, lecz nie żywił do niej żadnych cieplejszych uczuć. Katharine patrzyła, jak przemierzał pokój, przechodząc od jednej osoby do drugiej - czarujący, przemawiający błyskotliwymi, ironicznymi, przymilnymi słowami, podczas gdy jego wąskie oczka flirtowały, rozbierały, podziwiała. Jakże chciała móc go po prostu ignorować! Przecież to, że Jeremy jest partnerem jej męża nie znaczy, że musi go lubić. Jednocześnie wiedziała, że jest on absolutnie lojalny wobec Sebastiana, a to, co ona czuje, myśląc o nim, to przede wszystkim smutek, gdyż nie potrafi pokonać bariery jego niechęci i braku zaufania.

Dwadzieścia minut przed północą Katharine otworzyła drzwi i na progu ujrzała Michaela Jaffe'a.

Ucałował ją.

- Przybywam, obładowany prezentami, a raczej jednym, gwoli ścisłości.

Katharine spojrzała na niego. Włosy miał potargane i był jakby trochę nie na miejscu w brązowych sztruksach i golfie. Nie dostrzegła jednak żadnych paczek.

- Zamknij oczy - powiedział, a ona posłuchała. - W porządku. Teraz otwórz.

Wydała okrzyk radości.

- Laszlo! - Rzuciła mu się w ramiona. - Mówiłeś, że nie możesz przyjechać... Nie mogę w to uwierzyć! - Cofnęła się. - A gdzie Betty?

- W Kalifornii. Szykuje się do roli babci.

Katharine zamknęła drzwi i popatrzyła na Michaela.

- Masz najcudowniejsze pomysły na świecie. Gdybyś nie przedstawił Sebastiana Samowi Raphaelowi, nigdy byśmy się z Sebastianem nie pobrali. A teraz, jakby tego było mało, przywozisz mi najwspanialszy prezent, o jakim mogłabym zamarzyć.

- To Sam zauważył, że lecimy do Londynu tego samego dnia - odrzekł Michael. - Więc pomyśleliśmy z Laszlo, że zrobimy ci niespodziankę.

- Wejdźcie i napijcie się czegoś i coś zjedzcie. Musicie być wygłodzeni. - Wzięła przyjaciela pod ramię. - Laszlo, jeszcze bardziej wyprzystojniałeś. Jak ty to robisz? I dlaczego nie jesteś w Kalifornii z Betty? Nie, żeby narzekała, ale...

- Przyjechałem, żeby omówić pewne interesy, które nie mogły czekać.

- Interesy? Naprawdę?

- A dlaczego nie? - Jego ciemne oczy zalsniły. - Myślisz, że to dla mnie już przeszłość?

- Nie, nigdy. Ale sam mówiłeś, że się wycofujesz. - Katharine chwyciła go za ramię z nagłym entuzjazmem. - Chyba nie zamierzasz tutaj pracować?

- Wszystko jest możliwe, *kedves*.

- Gdzie Sebastian? - spytał Michael.

- Chciałabym to wiedzieć - Katharine rozejrzała się po zatłoczonym holu, po czym sprawdziła, która godzina. - Jeśli któryś z was go znajdzie, przyślijcie go do mnie. Muszę go mieć o północy.

- Jakieś dziesięć lat temu spędzałem sylwestra w Anglii - powiedział Michael. - Pamiętam, że były dzwony o północy. Usłyszemy je dziś w nocy?

- Dzwon Big Ben i dudy szkockie - odparła Katharine. - Ale jeśli nie pójde dopilnować paru spraw, może się to nie udać.

Na pięć minut przed północą Katharine wciąż jeszcze nie znalazła Sebastiana. Nie było ani jednego gościa, którego kieliszek do szampana byłby pusty, a nad wejściem wisiała chmura balonów, gotowych do wypuszczenia w powietrze. Lecz stojąc tak, otoczona radością i oczekiwaniem, Katharine poczuła nagle, jak ogarnia ją panika.

- Szukasz kogoś? - za jej plecami rozległ się głos Sebastiana.

- Kochanie... - odwróciła się i oparła głowę na jego ramieniu. - Już myślałam, że nie znajdę cię na czas.

- Szukałem cię wszędzie. - W jego oczach też odbijała się ulga.

- Widziałeś Michaela Jaffe'a? I Laszlo tu jest... spotkałeś się z nim?

- Widziałem ich. - Sebastian ujął jej prawą dłoń. - Chodź.

Poprowadził ją poprzez tłum - zewsząd składano im życzenia - aż dotarli do ich ulubionego miejsca w salonie przed kominkiem.

- Posłuchaj - powiedziała Katharine.

Na ostatnie dwie minuty roku 1975 w domu zapadła cisza, przerywana tylko przez niepokojący, uporczywy jęk wiatru na zewnątrz i przejmującą, melancholijną melodię wygrywaną na dudach przez wędrującego po domu kobziarza, który w ten sposób żegnał stary rok.

- To był najlepszy rok w moim życiu - powiedział Sebastian miękko, patrząc na wspartą o niego Katharine. Przytknęła oczy. - Nigdy nie przypuszczałem, że można kochać kogokolwiek tak bezgranicznie.

- Czy wiesz, jak bardzo cię kocham? - zapytała gorączkowo. To uczucie wezbrało w niej mocniej niż wszystkie, jakich kiedykolwiek doznała. - Czy wiesz, że zrobiłabym dla ciebie wszystko?

- A ja dla ciebie.

Wkoło nich stali goście, niektórzy się obejmowali, inni biegali po ogrodzie. Zdawać się mogło, że w powietrzu nagle

zawisła potrzeba okazywania miłości. I wtedy zaczęły bić dzwony. Rozbrzmiewały dźwięcznie echem po obitym boazerią holu, po rozświetlonych pokojach nieubłagane, na zawsze żegnając każdą wybijaną sekundę. A Sebastian i Katharine zapomnieli o gościach, o całym bożym świecie, skupieni tylko na sobie nawzajem.

- Chcę, by ten rok zbliżył nas do siebie jeszcze bardziej - szepnął jej do ucha i pocałował w usta.

- Nigdy więcej rozstań - odparła żywo.

- Nigdy, jeśli tylko będzie to zależało ode mnie, aniele.

Po chwili podeszła do nich Virginia z oczyma pełnymi łez i teraz stali wszyscy troje objęci. A potem dołączył się do nich Jeremy. I dzwonił telefon - Henrik i rodzina jego syna ze Sztokholmu i Sam z Nowego Jorku. I przynajmniej przez te parę minut wszystkie ich myśli były radosne, pełne miłości i nadziei.

Nie minęła jeszcze godzina, a już zaczęły wracać stare zasady i świeżość Nowego Roku nieco przygasła. Bo tak właściwie 1976 rok niczym nie różnił się od 1975. Przyjęcie miało się toczyć jeszcze przez wiele godzin, wciąż płynął szampan, donośniej rozbrzmiewały rozmowy. Sebastian stał w rogu i patrzył, jak Katharine tańczy z Michael'em Jaffe'em. Jej złotem przytkane włosy lśniły w świetle, gdy tak poruszała się rytmicznie, z wdziękiem, a dołączki zdobiły jej roześmianą twarz.

Poczuł dotyk na ramieniu i odwrócił się.

- Jerry, wszystko w porządku?

- Peter March chce z nami mówić, Seb. - Jeremy był podkscytowany.

- Teraz?

- Moment dobry jak każdy inny. Powiedziałem, że przyłączymy się do niego w bibliotece. W porządku?

- Przyniosę butelkę.

Krew w żyłach Sebastiana zaczęła płynąć szybciej. Obydwaj z Jeremym poczuli, że oto prawdopodobnie nadszedł punkt zwrotny w losach firmy Locke Mariner. Już wcześniej dowiedzieli się, że March, szef jednej z najbardziej awangardowych londyńskich firm producenckich, poszukuje inwesto-

rów do jakiegoś wspaniałego przedsięwzięcia, bliżej jeszcze niesprecyzowanego. Już jakiś czas temu Jeremy i Sebastian zdecydowali, że to właśnie będzie ich następny ruch: finansowe angażowanie się w poważną produkcję, a na koniec, być może, otwarcie własnej firmy producenckiej.

- Chodź zatańczyć - powiedziała Katharine z lekko przyspieszonym oddechem, stanąwszy koło niego.

- Przykro mi, kochanie. Właśnie idę na spotkanie do biblioteki.

- Teraz? Z kim, na miłość boską?
- Z Peterem Marchem i Jeremym...
- W środku naszego przyjęcia?
- To ważne, aniele, wierz mi.
- Lepiej, żeby było!

Peter March siedział na krześle z wysokim oparciem. Był to wytworny, nieduży mężczyzna, o przeredzonych, siwych, elegancko przyczesanych włosach i porządnie przystrzyżonej, siwej brodzie.

- To miło z waszej strony, że znaleźliście dla mnie czas - powiedział do Sebastiana i uklonił się w stronę Jeremy'ego.

- Bardzo jesteśmy ciekawi, co masz nam do powiedzenia - odparł Sebastian. - To dobry moment na rozmowę, choć Katharine ostrzegła mnie, żeby lepiej nie zajęło nam to za dużo czasu.

- Miała rację - uśmiechnął się March. - Przejdę bezpośrednio do sprawy, a raczej do jej trzech punktów. Punkt pierwszy dotyczy Sama Raphaela, z którym już rozmawiałem, a który, jak rozumiem, jest ojczymem twojej żony.

- I dobrym kolegą - dodał Sebastian.

- Punkt drugi dotyczy Barbary Stone. Podejrzewam, że tak naprawdę jest jeszcze za wcześnie na plany, ale chcę sprawdzić, czy ona jest w ogóle osiągalna.

- A trzeci punkt? - zapytał Jeremy.

- Wasze pieniądze.

W małym saloniku, Billy Jacques grał cichą, romantyczną, muzykę. Laszlo Eles i Katharine zasiedli przy narożnym stoliku.

- Jak dobrze cię widzieć - powiedziała.

- Chciałem na ciebie patrzeć, *kedves*, rozmawiać z tobą, zobaczyć, co zrobili z ciebie Brytyjczycy.

- I jaki wniosek?

- Właściwie wyglądasz tak samo - odparł Laszlo, przyglądając się jej. - Może jesteś nawet piękniejsza. Wyobrażam sobie, że to dlatego, iż jesteś zakochana. Ale, dzięki Bogu, wciąż jesteś tą samą Katharine Andersen.

- Nie zmieniłam się - mówiła Katharine. - Choć zajęło mi trochę czasu, nim się do wszystkiego tutaj przyzwyczaiłam. To pod wieloma względami inny świat, Laszlo... i tęsknię za moimi przyjaciółmi.

- My też za tobą tęsknimy, Katharine. - Spojrzał na nią czule. - Najważniejsze jest jednak to, czy jesteś szczęśliwa, *kedves*? Absolutnie szczęśliwa?

Z Sebastianem? - uśmiechnęła się. - Mieliśmy swoje wzloty i upadki, ale ani przez chwilę nie żałowałam, że wyszłam za niego za męża.

Billy Jacques zaczął śpiewać „Noc i dzień” i na kilka minut w saloniku zapadło milczenie.

- Czy to prawda, że grałaś? - odezwał się po chwili Laszlo.

- Kto ci powiedział?

- Jeśli chciałaś utrzymać to w tajemnicy, to niepotrzebnie powiedziałaś Dixie.

Katharine zaśmiała się.

- To nie jest żadna tajemnica - uśmiechnęła się ponownie. - Czy możesz sobie mnie wyobrazić w sztuce Harolda Pintera?

- Wyobrażam sobie, że potrafisz dokonać wszystkiego, jeśli tylko sobie tak postanowisz, *kedves*.

- A ty, Laszlo? Jakie są twoje plany? Po co tak naprawdę tu przyjechałeś?

- Do Londynu przyjechałem, żeby omówić nowy show. A tutaj, dzisiejszej nocy, jestem, żeby być z tobą, oczywiście. I aby przedstawić ci pewną propozycję.

Pochyliła się do przodu, zaciekawiona.

-Mów.

- Larry Sherman napisał musical na podstawie „Sagi rodu Forsyte'ów” Galsworthy'ego. Z początku pomyślałem, że to

najgorszy pomysł pod słońcem, ale tak naprawdę okazał się wspaniały. Sherman ma nadzieję, że może wrócić do pracy i zrobić scenografię.

- I zrobisz to?

- Być może. Moja decyzja zależy trochę od twojej reakcji, Katharine. Czy podoba ci się ten pomysł?

- Chcesz, żebym była twoją asystentką? - Serce Katharine zaczęło bić jak oszalałe.

- Nie. - Laszlo zirytowany pokręcił głową. - Wciąż jeszcze stawiasz się w roli asystentki, nawet po „Paryżu”? Katharine, chcę pracować z tobą jak z równym sobie partnerem, współpracownikiem... - Wzruszył ramionami. - Choć, być może, nasze role nie byłyby całkiem równorzędne, bo lekarze i Betty wciąż upierają się, że nie wolno mi się prze-męczać.

- A co Betty myśli o twoim powrocie do pracy?

Wie, iż jestem znudzony, wskutek czego jeszcze trudniej niż kiedyś ze mną wytrzymać. Myśli, że miło byłoby spędzić kilka miesięcy w Londynie. - Laszlo spojrział na Katharine. - A więc, co o tym myślisz?

- Sama nie wiem - odparła szczerze. - To dla mnie za-szczyt, oczywiście, i jestem bardzo wzruszona... Ale jedno-cześnie mam lekki chaos w głowie.

- Z powodu aktorstwa?

- Tak. To było cudowne, Laszlo. Przedtem zdażyłam już zapomnieć, jak bardzo to kochałam. Bez reszty pogrzebałam swoje teatralne wspomnienia, pragnienie grania... Gdyby Sebastian tego we mnie nie obudził, chyba nigdy nie zdałabym sobie z tego sprawy.

- A jednak jesteś bardzo utalentowanym scenografem. - Laszlo wzruszył ramionami. - Czy istnieje jakieś prawo, które zakazywałoby ci projektowania i grania jednocześnie?

- Chyba nie - wolno odpowiedziała Katharine i uśmiech-nęła się. - Z pewnością warto to przemyśleć. - Grupa słu-chaczy w saloniku gorąco oklaskiwała Billy'ego Jacquesa. - Katharine drgnęła. - Ale nie teraz. Prawie zapomniałam, że jestem gospodynią przyjęcia. - Wstała. - Wybaczysz mi, Laszlo?

On również wstał.

- Wracaj do swoich gości, *kedves*. - Ujął jej dłoń i ucałował. - Ale obiecaj, że to przemyślisz. Jeśli chcesz, zdobęde dla ciebie scenariusz i nuty, żebyś się im przyjrzała.

- Jak długo będziesz w Londynie?
- Tydzień.
- Ile mam czasu na podjęcie decyzji?
- Siedem dni.

- To moje nowe przedsięwzięcie - mówił Peter March do Sebastiana i Jeremy'ego - jest oczywiście dopiero w pierwszej fazie rozwoju, ale Samowi Raphaelowi bardzo zależy na tym, żebyście wy w tym uczestniczyli. Noel Harvey i ja mamy nadzieję, że uda nam się zdobyć kilka dużych nazwisk, zanim jeszcze

Wtedy nagle uderzyła go zupełnie inna wizja. Zdało mu się, że Jaffe i Eles blakną, a wraz z nimi cichną głosy Jeremy'ego i Marcha, i odgłosy przyjęcia, a to wszystko zamienia się w bezkształtną mgłę. March mówił dalej, lecz Sebastian prawie go nie słyszał.

W mgnieniu oka w swojej wyobraźni ujrzał Katharine na środku sceny w całkiem nowej roli. Nagła świadomość ironii losu oszołomiła go swoją mocą. Sebastian poczuł, jak jego życie zatoczyło pełne koło. Raptem uzmysłowił sobie, że do tego właśnie, choć nieświadomie, przygotowywał Katharine. To z tego powodu przyciągnęła go do siebie w Nowym Jorku.

Zapatrzył się w nią. Była doskonała.

- Na tym etapie rozmawiamy z jak najmniejszą liczbą ludzi - mówił March. - Ale Raphael ma wielką ochotę grać Ibsena w Londynie. Do tego stopnia, że chce zainwestować w produkcję. Poza tym oboje z Noelem mamy przeczucie, że Barbara jest stworzona do roli Nory. Mam nadzieję, że przynajmniej się ze mną skonsultujecie, zanim zaaranżujecie dla niej inny kontrakt, który mógłby jej w tym przeszkodzić.

- Ale tak naprawdę mamy tu mówić o możliwej inwestycji Locke'a Marinera, prawda? - odezwał się Jeremy.

Wkładając w to nie lada wysiłek, Sebastian zmusił się, by skupić się na rozmowie. Z trudem oderwał wzrok od Katharine i zwrócił oczy na twarz producenta.

- Wiem, oczywiście - ciągnął March - że absolutnie nie możecie do niczego się zobowiązać, póki nie zobaczycie scenariuszy i nie zaznajomicie się ze szczegółowymi planami. Będziemy rozmawiać z kilkoma innymi potencjalnymi sponsorami, ale...

- Ale chciałbyś wiedzieć, czy w ogóle jesteśmy tym zainteresowani - dokończył Jeremy. - Sebastianie?

Sebastian skinął głową, powoli, świadomie wyciszając zmysły i starając się uspokoić. Spojrzał w oczy Jeremy'emu i zrozumiał, że odpowiedź partnera jest pozytywna, lecz Jeremy czeka - jak zresztą wciąż często to robił - by to on, Sebastian, przejął prowadzenie.

- Tak - powiedział, zwracając się do Marcha. - Wstępna odpowiedź brzmi: tak.

Rozmowa została zakończona. Jeremy wyszedł z biblioteki razem z producentem. Znowu był głodny i udał się do jadalni, gdzie na podgrzanych półmiskach podawano śniadanie. Sebastian natomiast został w bibliotece. Odgłosy przyjęcia znowu zaczęły się oddalać. Myślał intensywnie.

Katharine jako Hedda.

Od dzieciństwa miał mnóstwo marzeń i planów, z których wiele się spełniło. Lecz teraz poczuł, że czeka go nowe zadanie i ogarnęło go podniecenie. Naturalnie - to znowu przeznaczenie. Jednak samo przeznaczenie mogło wskazać im jedynie kierunek, a Sebastian wiedział, że będzie musiał użyć wszelkich swoich zawodowych sztuczek i podstępów, dokładnie wszystko zaplanować, aby ambitne plany - które wiązał ze swoją żoną - mogły się spełnić.

Jednocześnie gdzieś głęboko w podświadomości poruszył się pewien dawno pogrzebany od lat na wpół uśpiony wróg.

Katharine jako Hedda?

RS

Rozdział 23

- Będziemy musieli wkrótce się zastanowić - powiedział Sebastian pewnego wieczoru po kolacji.

- Nad czym? - zapytała Katharine, wygodnie rozparta na sofie.

- Nad jakąś pracą dla ciebie.

- Jest jeszcze zbyt wcześnie, by o tym myśleć.

- Już wypoczywasz. To nie jest sposób na zrobienie kariery.

- Dopiero zaczynam się odpręzać po powrocie do domu, najdroższy - leniwie odparła Katharine. - W Gstaad było niebiańsko, przyjęcie było cudowne, ale nie zaszkodziłaby mi odrobina spokoju.

Sebastian zapalił papierosa.

- Sugeruję tylko, żebyśmy się trochę nad tym zastanowili

- odparł obojętnym tonem. - Nie ma żadnej gwarancji, że w przeciągu kilku miesięcy dostaniesz jakiś angaż, ale musimy porozmawiać o twojej przyszłości w zawodzie.

- Tak naprawdę - odezwała się Katharine - jest inna możliwość, którą rozważałam. - Zawahała się. - Nie chciałam o tym mówić, zanim sama nie uporządkuję swoich myśli.

- Przypuszczam, że to ma coś wspólnego z Laszlo?

- Wiesz o tym? - Była zaskoczona.

- Wiem, że Eles jest w Londynie, żeby omówić musical „Forsyte'ów”. - Uśmiechnął się na widok jej zdziwionej miny. - Zapominasz, że na tym polega moja praca, muszę wiedzieć, co się dzieje. A więc, nie myliłem się?

- Laszlo chce, żebym zrobiła z nim scenografię.

Sebastian poczuł niewielki, pulsujący w skroniach ból.

- A co ty o tym sądzisz?
 - Nie jestem jeszcze pewna, czy tego chcę.
 - Spróbuj sprecyzować swoje uczucia. Naturalnie, jeśli chcesz to ze mną omówić.
 - Oczywiście, że chcę - odparła Katharine.
 - Dziwię się, że nie zrobiłaś tego wcześniej, to wszystko.
 - Chyba sama nie chciałam o tym myśleć, tak szybko po przyjęciu. Byliśmy tacy szczęśliwi. Nie chciałam tego psuć.
- Sebastian zaciągnął się dymem.
- Co poczułaś, kiedy Laszlo po raz pierwszy wspomniał ci o przedstawieniu?
 - Podekscytowanie - odparła. - Ale też niepewność.
 - Czy w pierwszym odruchu chciałaś się tego podjąć, wrócić do projektowania?

Katharine wstała, nagle niespokojna.

- Z jednej strony poczułam ogromną radość, że będę miała okazję powtórzyć „Paryż”... lecz jednocześnie czułam, że byłoby to cofanie, a nie rozwijanie się.

- Niekoniecznie - lekkim tonem stwierdził Sebastian. - Mogłaby to być dla ciebie jeszcze jedna wielka szansa. A to, że Eles jest w Londynie, nie powtórzy się tak prędko.

- Chyba masz rację.

Patrzył, jak Katharine podchodzi do okna i wraca w stronę kominka.

- Jednak musisz zrozumieć jedną rzecz, Katharine. Jeśli wrócisz do tego teraz, sądzę, że odejdziesz od aktorstwa raz na zawsze.

- Bałam się, że tak powiesz.

- Myślałem, że kiedy podjęłaś decyzję w tamtym roku - ciągnął Sebastian nieco ostrzej - wiedziałaś, że bierzesz na siebie pewien obowiązek.

- Tak było - odparła Katharine. - Ale są też inne kwestie, które trzeba rozważyć.

- Na przykład jakie?

- Jeśli wybiorę aktorstwo, istnieje duża szansa, że przez jakiś czas będę musiała pracować poza Londynem. Jeśli natomiast wybiorę musical i pracę z Laszlo, zostanę w domu.

- Zabrzmiało to tak, jakby nasze małżeństwo powstrzymało cię przed robieniem tego, czego naprawdę chcesz.

- Uważam nasze małżeństwo za istotne.
- A sądzisz, że ja nie?

Katharine usiadła na sofie.

- To jest niemądre. Właśnie dlatego nie chciałam jeszcze o tym rozmawiać.

- Musimy.
- Dopiero kiedy będę gotowa.

- Sądziłem, że jesteś profesjonalistką, Katharine! - powiedział ostro Sebastian. - I, szczerze mówiąc, myślałem, że jesteś odważniejsza.

- Nie uważam, żeby to miało coś wspólnego z odwagą - odparła urażona Katharine.

- Myślisz, że nie ma? - zapytał obcesowo. - Nauczenie się nowego zawodu to bardzo ciężka praca. Życie w niewygodach może być znośne przez jakiś ograniczony czas, ale jestem pewny, że wolałabyś do tego nie wracać.

- Rozumiem - Katharine była oburzona. - Uważasz, że zastanawiam się, czy nie wybrać musicalu dlatego, że jest to przyjemna alternatywa, tak? Otóż pozwól, iż coś ci uświadomię, Sebastianie. W scenografii nie ma nic przyjemnego i ani przez sekundę nie uważałam, że byłoby nam z Laszlo, w najmniejszym choćby stopniu łatwo się przystosować do wymogów sceny brytyjskiej.

- Być może nie - odparł. - Ale jednak wolałabyś unosić się na fali sukcesu.

- A więc teraz uważasz, że to moje ego o wszystkim zdecydowało? - mówiła z gniewem. - Naprawdę masz mnie za tak płytką i tchórzliwą, że odrobina niewygody, a nawet poniżenie, mogłaby powstrzymać mnie przed walką o coś, czego naprawdę pragnę ponad wszystko?

- Nigdy nie miałem cię za powierzchowną czy mało odważną - powiedział Sebastian.

- Przez cały czas, kiedy studiowałam w Carnegie Mellon - ciągnęła Katharine - coś mi mówiło i obarczało winą za to, że nie powinnam tam się znaleźć, ponieważ projektowanie dekoracji nie było moim tak wielkim pragnieniem jak innych studentów.

- Nigdy wcześniej mi o tym nie mówiłaś - odrzekł Sebastian spokojnie.

- Ponieważ ledwie przyznawałam się do tego sama przed sobą. Moja mama wiedziała, że wybrałam nieodpowiedni kierunek, ale ja uważałam, że się myli. A kiedy Sam chciał mnie zatrzymać, żebym mogła to przemyśleć, byłam pewna, że już wszystko rozgryzłam. A potem, w Nowym Jorku, kiedy zaczęło się to jakoś układać i kiedy już spotkałam Laszlo, byłam przekonana, że podjęłam właściwą decyzję.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że teraz nie jesteś pewna?

- Nie wiem, co mam ci powiedzieć.

- Gdyby Laszlo nie pojawił się w sylwestra, czy nadal chciałabyś być aktorką?

- Tak sądzę.

- Tak czy nie? No, Katharine, przynajmniej tyle musisz wiedzieć.

- No już dobrze... tak...

- Tak, chciałabyś być aktorką?

- Powiedziałam, że tak, do jasnej cholery, tak! - Znów podskoczyła i popatrzyła na niego groźnie. - Nie wiedziałam, że potrafisz być takim tyranem, Sebastianie.

- Tylko dlatego, że tak bardzo mi na tym zależy.

- Tak bardzo, że nie możesz się doczekać, żeby znowu się mnie pozbyć.

- To ostatnia rzecz, której mógłbym chcieć, i dobrze o tym wiesz.

- Ale jeśli odmówię Laszlo i z powrotem się do ciebie zwrócę, znów zakopiesz mnie w jakimś małym teatrze, do którego nikt ważny nigdy nie przychodzi, żebym się uczyła, praktykowała, zdobywała doświadczenie...

- Nie uważasz, że potrzebujesz doświadczenia? - zapytał.

- Oczywiście, że tak, ale nie o to tu chodzi.

- A o co?

- Chodzi o to, że cię kocham - odparła Katharine znużonym tonem - i nieznośne było przebywanie z dala od ciebie.

Sebastian zgasił papierosa, wstał i stanął przed nią.

- Gdybym ci przysiągł, że zrobię, co w mojej mocy, żebyśmy się już więcej nie rozstawali na dłużej... Gdybym ci powiedział, że już nigdy nie zostawię cię w podobnym miejscu, że wszystko będzie lepsze następnym razem, wszystko... Czy nadal byś grała?

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Ty naprawdę wierzysz, że temu podołam, prawda?
- Wiesz, że tak jest.
- Uważasz, że mam dosyć talentu.

- Jestem zawodowcem - odparł spokojnie. Znam lepsze sposoby spędzania czasu niż zajmowanie się klientem, którego nie uważam za utalentowanego.

Katharine przez kilka sekund milczała.

- A więc w porządku - odezwała się wreszcie.
- To znaczy...?

- To znaczy, że wygrałeś. Ty wierzysz we mnie, ja wierzę w ciebie. Zrobię to, co będziesz uważał za stosowne.

Sebastian patrzył na nią uważnie przez chwilę, jakby chciał zmierzyć prawdziwość jej słów, po czym nagle odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem, niepohamowanym, gromkim śmiechem, cały się przy tym trzęsąc.

- Na miłość boską, Sebastianie, co w tym jest tak śmiesznego?

- Nic - odpowiedział zduszonym przez śmiech głosem. - Nie ma w tym nic wesołego. Po prostu jesteś najcudowniejszą istotą na świecie, to wszystko...

I jednym zdecydowanym ruchem pochylił się i wziął Katharine na ręce, jakby prawie nic nie ważyła.

- Sebastianie! - Katharine zaczęła walić go w piersi. - Postaw mnie!

Wyniósł ją z pokoju i skierował do sypialni. Patrząc w twarz męża, Katharine zobaczyła w jego oczach moc pożądania i przestała się opierać.

Zatrzasnął drzwi nogą, postawił ją na ziemi i bez najmniejszych wstępów zaczął się rozbierać, prędko, gorączkowo, zostawiając ubrania tam, gdzie upadły.

- Sebastianie? - Katharine stała całkiem nieruchomo.

Wziął ją w ramiona i pocałował. Był to długi, niemal dziki pocałunek i Katharine zadrżała z podniecenia - nigdy wcześniej w ten sposób Sebastian jej nie całował. Jej ciało odpowiedziało chciwie z taką samą namiętnością. Cofnął się, zerwał z niej sweter, rozpiął dżinsy, pożądliwie włożył rękę między jej uda i mocno ją do siebie przyciągnął. Jakiś maleńki impuls na kształt strachu przeszył Katharine. Sebastian za-

wsze był bardzo uważnym kochankiem, dbał o jej przyjemności i dążył do tego, aby zwiększyć jej rozkosz. Dzisiejszej nocy było jednak całkiem inaczej. Zdawał się bliski obłędu.

- Kochanie...

Nie odpowiedział, jakby nic do niego nie docierało. Katharine zobaczyła w jego oczach gorączkowy płomień i naraz przygniotło ją uczucie osamotnienia i wrażenie, że Sebastian zapomniał, kim ona jest, jakby w ogóle już się nie liczyła.

Chwyciwszy ją za nadgarstki, Sebastian przycisnął jej ręce do boków i popchnął na łóżko.

- Sebastian, nie... nie w ten sposób...

Jego ręce były wszędzie. Nie gładziły, nie pieściły, lecz brały ją w posiadanie, atakowały, przesuwały się po jej plecach i ścisnęły piersi i pośladki tak mocno, że zawołała:

- Na miłość boską! Przestań!

Wszedł w nią brutalnie, wbił się w nią, cofnął, wbił się jeszcze raz i jeszcze. Zaczęła się bać, a jednocześnie wezbrał w niej gniew. Jednak nie broniła się już, nie była już nawet pewna, czy chce się bronić, ponieważ pamięć tamtych chwil odrzucenia wciąż bolała ją jak świeża rana. A poza wszystkim pragnęła go. Lecz kiedy tak wchodził w nią, jeszcze raz i jeszcze, kiedy tak czuła, jak ją wypełnia, wbija się w nią i kiedy poddała się mu, jęczącemu i rzucającemu się tak dziwnie i gwałtownie, otworzyła oczy, spojrzała Sebastianowi w twarz i zobaczyła, że jeszcze mniej niż poprzednio jest świadom jej obecności i że teraz jego oczy wypełnia ból, sięgający głębiej niż ta słodko-gorzka męska agonია, która tak często wypełnia ostatnie sekundy przed orgazmem.

- Kochanie! - krzyknęła, lecz on zdawał się jej nie słyszeć. Chwilę później wydał z siebie ostatni, kulminacyjny jęk

i wytrysnął w nią konwulsyjnie. I wtedy, niemal natychmiast, podczas gdy ona wciąż jeszcze czuła wstrząs tego ostatecznego pchnięcia, cofnął się. Została sama, pusta i obolała, podczas gdy on odsunął się na drugi koniec łóżka.

Katharine leżała bez ruchu. Jedynymi dźwiękami, słyszalnymi w pokoju, było tykanie zegara nad kominkiem i ich nierówne oddechy. Czuła kompletny chaos, niepewna, czy bardziej gniewa się na niego, czy na samą siebie. Nie

wiedziała, czy powinna opuścić łóżko, pokój, czy też zażądać od Sebastiana wyjaśnień. Wtedy przypomniała sobie potworny ból w jego oczach i jej gniew minął, a jego miejsce zajęła litość.

Przysunęła się bliżej niego ostrożnie, uważnie wyciągnęła dłoń, by pogłaskać go po głowie. Była przygotowana na to, że Sebastian odepchnie jej rękę. Lecz czując dotyk jej palców, odwrócił się i Katharine zobaczyła, że jego oczy są mokre od łez. Otworzyła ramiona i, kiedy przytulił się do niej, westchnęła z ulgą.

Leżeli tak przez długi czas, pozornie spokojni. Jednak Katharine wiedziała, że nie jest to naturalny wynik zbliżenia, bo sam akt miłosny daleki był od naturalnego. Zazwyczaj upajała się tymi cichymi chwilami po seksie, kiedy ich ręce i nogi wciąż były splecione, a oni sami - wyczerpani. Teraz jednak ich ciała leżały bezsilnie. Katharine zdawało się, że słyszy, jak ich umysły pulsują zgodnie z tykaniem zegara.

Na koniec, kiedy nie mogła już dłużej znieść tego napięcia, odezwała się cicho:

- Czy teraz mi powiesz?
- O czym?
- Co się z tobą dzieje... A może to ze mną...
- Wszystko jest z tobą w porządku.
- Więc dlaczego? - ciągnęła łagodnie i ostrożnie. - Nigdy

jeszcze taki wobec mnie nie byłeś.

- Nie. - Przepraszam - odparł.
- Już dobrze.
- Nie. Nie jest dobrze.

Odczekała moment.

- Czy to ma coś wspólnego z tym, o czym wcześniej rozmawialiśmy? Jesteś pewien... To znaczy... Czy naprawdę jesteś pewien, że nie będzie ci przeszkadzało, jeśli znów będę musiała gdzieś wyjechać? Rozmawialiśmy o tym, co ja czuję, ale nie mówiliśmy o...

- Na miłość boską! - Sebastian wyrwał się z jej objęć. - Czy nie możesz przestać grać? - Klęczał nad nią w rozkroku.

- Ależ ja niczego nie gram. - Z zapartym tchem patrzyła na niego. - Sebastianie, co, u licha, się z tobą dzieje?

- Ty wciąż nic nie rozumiesz, prawda? - Mocno chwycił ją za ramiona, aż zaboląło. - Nie traktujesz tego poważnie. Jeśli nie chcesz być aktorką... nie chcesz spełnić tej jednej rzeczy...

- Sebastianie, oszalałeś?! Puść mnie!

- Nie rozumiesz? - Jego oczy pociemniały z wściekłości, a twarz pobieląła od furii. - Nie potrafię czuć związku z tobą, kiedy nie jesteś aktorką... Nawet nie mogę cię pieprzyć, do jasnej cholery! To po prostu już na mnie nie działa!

- Nie wiem, o czym mówisz! - Katharine próbowała go odepchnąć, lecz on nie zwalniał uścisku. - Sebastianie! Przerazasz mnie!

- Nie chcę zwyczajnej, uległej gospodyni domowej, Katharine - mówił urywanymi zdaniem. - Zakochałem się w tobie, ponieważ byłaś inna. Nie chodziło tylko o twoją urodę i słodycz, ale o twój talent... Jeszcze nie zrozumiałaś? Nie potrafię kochać byle jakiej kobiety, nigdy nie umiałem. Ty byłaś pierwsza. Jesteś jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek pokochałem!

Nagle ją puścił, a ona uciekła z łóżka, chwytając narzutę, żeby okryć swą nagość. Sebastian leżał wsparty o poduszki. Wyczerpany, zakrył jedną dłonią oczy. Katharine zobaczyła, że drżą mu usta.

- O Boże - odezwał się cicho. - O mój Boże, co ja zrobiłem?

- Sebastianie - szepnęła, patrząc na niego.

Odjął dłoń od oczu i Katharine zobaczyła w nich cierpienie i potworny strach.

- Czy odejdiesz ode mnie? - zapytał tak cicho, że ledwie go słyszała.

Wolno pokręciła głową. Nie była w stanie wydobyć głosu.

- Zrozumiałbym, że to nie twoja wina, gdybyś chciała - powiedział.

- Czy chcesz, żebym odeszła? - wyszeptała.

Podniósł na nią wzrok.

- Umarłbym, gdybyś mnie zostawiła.

- Może będę musiała.

- Nie mogę bez ciebie żyć!

Milczeli przez dłuższą chwilę. Sebastian nieruchomo leżał na łóżku, a Katharine stała dalej, zaciskając narzutę mocno wokół piersi. Chciała tam zostać, w bezpiecznej odległości od niego, bo przerażał ją, ranił. Kiedy jednak spojrzała mu

w oczy i zobaczyła w nich pustkę, ale mimo wszystko miłość do niej, poczuła, jak coś ją do niego przyciąga. Przecież są małżeństwem, jest jej mężem i jakkolwiek wstrząsające były te słowa, nie miała wątpliwości, że Sebastian kocha ją bardziej rozpaczliwie niż kiedykolwiek.

Usiadła na krawędzi łóżka, wyciągnęła dłoń i on chwycił ją, tak jak chwyta się linę ratunkową. Trwali tak przez długi czas, jakby kruchość ich związku skupiła się w ciepłe złączonych dłoni.

- Muszę cię zapytać... - wreszcie odezwał się Sebastian.

- Nie.

- Muszę.

Milczała.

- Czy zdecydowałaś już... - mówił niskim głosem przez ściśnięte gardło - ...co zrobisz?

Katharine westchnęła.

- Tak - powiedziała.

Wiedziała, że mówi mu to, co on musi usłyszeć. Wmawiała sobie, że przecież sama tego chce. I tak wydawała się to niewielka cena za to, by go uspokoić, żeby położyć temu kres.

- Tak - powtórzyła. - Postanowiłam.

- I co?

Sebastian znieruchomiał.

- Będę aktorką.

- Odmówisz Laszlo?

- Tak.

I poczuła, jak on się odpręży, palce rozwierają uścisk. Zobaczyła, jak rozluźniają się jego mięśnie, a na twarzy maluje się ulga i wdzięczność.

I, zrezygnowana, wiedziała, że przynajmniej ta walka - ta dziwna, niepojęta walka - zakończyła się.

Tej nocy Katharine długo leżała bezsennie. Była głęboko przejęta i oszołomiona. Nie potrafiła tego pojąć, dlaczego to właśnie miało uspokoić Sebastiana. Skąd się brała jego obsesja, by została aktorką, skoro tak bardzo podobały mu się jej projekty? Wspominała minione miesiące. Prawdą było, że ich zbliżenia miłosne były o wiele bardziej spontaniczne i swobodne, kiedy Sebastian odwiedzał ją w mieszkaniu w Bromsgrove

i gdy pochłaniało go całkowicie tworzenie jej nowej kariery. Ale dlaczego? Czemu tak bardzo miałby pragnąć dla niej tego rodzaju osiągnięć? Zwłaszcza skoro spotykały go sukcesy każdego dnia w pracy. Czyż nie powinien raczej pragnąć i potrzebować kobiety mało ambitnej, kochającej ognisko domowe?

Lecz nawet gdyby mogła znaleźć odpowiedzi na te pytania, nie wytłumaczyłyby tego nagłego wybuchu przemocy seksualnej.

- Nie mogę cię nawet pieprzyć, kiedy nie jesteś aktorką!

Katharine zadrżała, bo dokładnie tym było ich dzisiejsze zbliżenie. Nie było w tym miłości, tylko dzikość i gwałtowność.

Pomyślała o tamtych przypadkach, kiedy tak nagle zostawiał ją w środku aktu miłosnego. Czowała się wtedy odrzucona i teraz zdała sobie sprawę, że były to objawy tego samego problemu. Ale przecież zdarzały się, zanim nawet zaczęli rozważać możliwość zmiany kierunku jej kariery. Więc gdzie, na miłość boską, był tu związek z tym, co zdarzyło się dzisiejszej nocy?

Potrzebuję pomocy - pomyślała na chwilę przed świtem. On potrzebuje pomocy. Ale z kim mogła pomówić o tak intymnych problemach? Virginie za bardzo by one zmartwiły. I tak przyjaciółka miała już zbyt wiele zgryzot w życiu, by dodawać jej nowych. Był jeszcze Jeremy. Ale Katharine wolałaby umrzeć niż mu zaufać. - Ale jeśli powiem Laszlo, albo zadzwonię do Sama, każą mi go zostawić i wracać do domu - tam gdzie jest moje miejsce - pomyślała.

Gdzie jest jej miejsce. Nie zrozumieliby, bo nie widzieli, jak Sebastian potrafi kochać, jaki umie być czuły, łagodny. Ona przecież należy do tego miejsca, do tego domu, że teraz tu jest jej życie, jej małżeństwo. Pamiętała, jak bardzo obawiała się małżeństwa z Davidem. Pamiętała, jak wmawiała sobie, iż można związać się z kimś ostatecznie tylko wówczas, kiedy jest się pewnym, nie ma cienia wątpliwości, że nie może się żyć bez tej drugiej osoby.

Usnęła, kiedy weszło słońce, a gdy obudziła się ponownie, Sebastian był w łazience, i golił się. Bardzo wolno wyszła z łóżka, już spięta i niepewna, czego może się po nim spodziewać. Lecz kiedy wszedł do sypialni, zachowywał się tak, jakby nie stało się nic niezwykłego.

- Dzień dobry, aniele.

- Dzień dobry - odparła Katharine, a kiedy podeszła do niego, by lekko ucałować go na powitanie w policzek, przyciągnął ją do siebie i obdarzył jednym z tych dłuższych pocałunków. W każdy inny poranek pocałunek taki napełniłby ją radością. Tylko że akurat dzisiejszego ranka to wszystko jakoś do siebie nie pasowało

- Muszę przyznać, że bardzo mi smutno, *kedves* - powiedział Laszlo, gdy dwa dni później spotkali się w jego pokoju w hotelu Claridge.

- Ale rozumiesz, prawda?

- Wcale nie rozumiem. - Uśmiechnął się. - Wiem to, co mi powiedziałaś. Wszystkie argumenty brzmią sensownie i nie kwestionowałbym żadnego z nich, gdyby twoje oczy nie przekonywały mnie, że sama w nie wierzysz.

Naprawdę w nie wierzę, Laszlo - odparła Katharine. - Tylko strasznie żałuję, że muszę ci odmówić. Tak bardzo chciałabym znowu z tobą pracować.

- Wiem, *kedves*.

- Powiedziałeś mi w noc sylwestrową, że sądzisz, iż potrafiłabym dokonać wszystkiego, jeśli tylko sobie tak postanowię. - Zmusiła się do weselszego tonu. - Chyba postanowiłam postawić na aktorstwo.

- A zrobienie sobie kilkumiesięcznej przerwy naruszyłoby to postanowienie - powiedział Laszlo.

- Tak sądzę. Sebastian twierdzi, że jego plany wobec mnie nabrały rozpędu. Odbyłam podstawowe praktyki w Bromsgrove Playhouse, naprawdę na podstawowym poziomie, wierz mi. I jeśli przerwę teraz, Sebastian uważa, że będzie mi jeszcze trudniej niż przedtem zacząć od nowa, jeśli w ogóle będzie to możliwe.

- Ale czy jesteś pewna, że tego chcesz, Katharine? Masz talent do scenografii. Czy będzie cię satysfakcjonowało to, że jesteś tylko aktorką?

- Mówiłam ci na przyjęciu, że bardzo mi się to podoba.

- Nawet odgrywanie tych drobnych, nieistotnych ról w tym okropnym miejscu?

- Ale i tam była magia. - Katharine wzięła głęboki oddech. - Gdy skończyliśmy pracę nad „Paryżem” patrzyłam na aktorów na scenie i wiedziałam, iż to oni powodują, że to się staje. To oni są w środku, Laszlo, są sercem i duszą przedstawienia.

- I Sebastian naprawdę wierzy, że może z ciebie zrobić gwiazdę.

Katharine roześmiała się.

- Wątpię w to. Nie sądzę, żeby słowo „gwiazda” znajdowało się w jego słowniku. Jest na to zbyt powściągliwy, zbyt brytyjski. Ale chyba wierzy, że mam talent i potencjalne możliwości, aby tak się stało.

- Co dokładnie znaczy owo „to”?

- A kto to wie? I kogo, u licha, to obchodzi, skoro robię to, co chcę robić, i jesteśmy razem szczęśliwi.

- Naprawdę?

- Szczęśliwi. - Katharine znów się uśmiechnęła. - Mówiłam ci już w sylwestra.

- Wiem, wiem - powiedział sceptycznie Laszlo. - Pamiętam.

Wymusiwaszy na Katharine obietnicę, że nie porzuci grania, Sebastian zajął się interesami. Pracował w imieniu żony i wszystkich swoich klientów, wkładając w swoją pracę ogromny zapał. Katharine pozostawała nieświadoma kierunku, jaki obrał dla niej Sebastian po rozmowie z Peterem Marchem. Niczemu się nie sprzeciwiając, postępowała zgodnie z jego wskazówkami. Pokazywała się na każdym przesłuchaniu, na jakie ją wysyłał, i uczęszczała na wszelkie kursy, które według niego mogły jej się przydać.

- Posługujesz się dość dobrym brytyjskim angielskim - powiedział. - I masz niezłe uzdolnienia fonetyczne. Ale jeśli masz zbudować karierę w tym kraju, musisz na żądanie umieć pozbyć się najmniejszego śladu ojczystego akcentu.

Dwa razy w tygodniu Katharine chodziła po południu na lekcje dykcji do nauczyciela w Kensington. W poniedziałek rano nauczyciel ruchu scenicznego przyjeżdżał do niej, by z nią pracować, a dwa razy w tygodniu uczęszczała na kurs tańca w Dance Centre. W niedzielne poranki przyjeżdżał do

Hampstead Freddie Buchanan Smith, nauczyciel interpretacji dramatycznej, który ćwiczył z nią aż do obiadu. Wtedy przerywali lekcję, jedli obiad z Sebastianem, po czym jechali do Chalk Farm, gdzie z kolei w pustym magazynie, do którego Freddie miał klucze, przystępowali do ćwiczeń nad rolą, którą mieli próbować.

Następna prawdziwa szansa dla Katharine pojawiła się w lutym, kiedy przystąpiła do przesłuchania i dostała rolę Laury w „Szklanej menażerii” Tennessee Williamsa, w Briars, dobrze zapowiadającym się centrum teatralnym w Barstaple, w Devonie.

- Nie mogę w to uwierzyć - opowiadała Virginii z podnieceniem. Jadły obiad w Richoux, w pobliżu mieszkania Virginii. - To jedna z moich ukochanych sztuk, a rola Laury jest wspaniała. Biedna, kaleka Laura zawsze mi przypomina mój „tchórzliwy okres”. - Widząc zdziwienie, malujące się na twarzy Virginii, wytłumaczyła:

- Tak nazwałam okres w moim życiu, kiedy zaczęłam mieszkać na Manhattanie. Strasznie się wszystkiego bałam.

- A ja uważam cię za bardzo odważną, młodą kobietę - stwierdziła Virginia.

- Wcale taka nie jestem. - Katharine wzruszyła ramionami. - Teraz oczywiście jest lepiej, jestem silniejsza, nie boję się podejmowania ryzyka jak dawniej. No i w niczym nie przypominałam Laury Wingfield. Przede wszystkim miałam porządną, normalną rodzinę i nie byłam fizycznie upośledzona.

- Ale wydaje ci się, że na tyle potrafisz się wczuć w jej postać, że możesz ją zagrać?

Katharine skinęła głową.

- Sebastian uważa, że powinnam trochę schudnąć.

- Ty?! - wykrzyknęła Virginia. - To najbardziej absurdalny pomysł, o jakim w życiu słyszałam. Masz cudowną figurę.

Katharine uśmiechnęła się do niej.

- Nie martw się. On lubi moją figurę taką, jaka jest. Ale twierdzi, że Laura musi być bardziej wiotka. Musi być tak krucha, żeby publiczność myślała, że może ją przewrócić podmuch wiatru.

- Ale czyż nie zależy to od umiejętności aktorskich, ko-

chanie? Stworzenie iluzji kruchości. Chyba nawet grubi ludzie mogą robić takie wrażenie?

- Oczywiście, masz rację - zgodziła się Katharine. - Myślę jednak, że Sebastian też się nie myli. Na tym etapie potrzebuję jak najwięcej środków pomocniczych i właśnie stracenie paru kilogramów może mi trochę ułatwić utożsamienie się z Laurą.

- No dobrze, ale bądź ostrożna - powiedziała Virginia z niepokojem. - Będziesz potrzebowała sił, zwłaszcza kiedy zaczną się próby.

- Nie musisz się o mnie martwić - Katharine spojrzała na swój talerz. - Nie wytrzymam długo takiej diety. Jeszcze trochę i wrócę do normalnego jedzenia.

Katharine natychmiast polubiła Barnstaple. Było to czarujące miasteczko z ryneczkiem, położone nad Taw Estuary, zaledwie dwadzieścia kilometrów od Kanału Bristolskiego i w niedużej odległości od dzikiej przyrody regionu Exmoor. Ludzie z tamtych stron byli mili i życzliwi. Tym razem nie zamieszkała w obskurnym mieszkaniu jak w Bromsgrove, lecz Sebastian znalazł dla niej uroczy, umeblowany domek, na skraju miasteczka, z małym, zadbanym ogródkiem. W salonie był kominek. Kiedy Sebastian przyjeżdżał w każdy weekend, Katharine z radością zauważyła, że łatwo przychodzi mu zrzucenie stresów i problemów całego poprzedniego tygodnia. Uwielbiała, kiedy tu był. Przypominało jej to początkowy okres ich małżeństwa, te spokojne czasy, zanim przeprowadzili się do Dębów, gdzie zaczęły się piętrzyć kłopoty.

Nie było między nimi już więcej złych chwil od tamtej okropnej nocy w styczniu. Katharine zdawała sobie sprawę z tego, że powinna stanąć twarzą w twarz z Sebastianem i nalegać, by o tym porozmawiali. Jednak unikała każdej sprzyjającej okazji, w obawie że przyniesie to więcej szkody niż pożytku. Sebastian zachowywał się tak, jakby nigdy nic się nie stało. Był dawnym, panującym nad sobą, kontrolującym się, ożywionym, kochającym Sebastianem. W końcu Katharine zaczęła się zastanawiać, czy może to ona nie nadała temu incydentowi jakichś nieproporcjonalnych rozmiarów.

Próby do „Szklanej menażerii” miały trwać trzy tygodnie, a przedstawienia - następnych pięć. Od pierwszego dnia dla Katharine była to najbardziej absorbująca praca jej życia. Pozostali aktorzy, uzdolnieni, niezwykle inteligentni, byli doświadczonymi profesjonalistami. Ich wspólne spotkania wypełnione były fascynującymi dyskusjami i fizycznie ciężką pracą. Helena Hardy, grająca Amandę, matkę Laury, była świetną aktorką i przyjazną duszą. Od samego początku wzięła Katharine pod swoje skrzydła i w maleńkiej, wspólnej garderobie pomagała w robieniu fachowego makijażu, w zamian za co Katharine poprawiała jej akcent z St Louis.

- Byłaś absolutnie wspaniała dzisiaj wieczora, anielle - powiedział Sebastian po premierze. Jego oczy były ciepłe, ożywiała je radość i duma. - Żyłaś w świecie Laury i doskonale wszystko uchwyciłaś. Byłaś romantyczna i smutna, ale nie sentymentalna.

- Naprawdę tak myślisz? - dopytywała się Katharine, ciągle jeszcze drżąc z podniecenia wywołanego przedstawieniem.

Nie mówiłbym tego, gdybym tak nie uważał, wiesz przecież. I publiczności też bardzo się spodobałaś.

- Miałaś rację - powiedziała Katharine cicho.

- A konkretnie?

- We wszystkim. Że mnie tu przysłałeś, że mobilizowałeś mnie do nauki. - Uśmiechnęła się. - A najbardziej w tym, że spowodowałeś, iż sama się przekonałam, jak bardzo do tego pasuję.

- Wyglądasz na szczęśliwą.

Katharine dotknęła jednej z róż, które jej przyniósł. Pod palcami poczuła ich aksamitną gładkość.

- Bo jestem, kochanie. Jestem bardzo szczęśliwa.

- Nie żałujesz, że odmówiłaś Laszlo?

Zajrzała mu głęboko w oczy. Odpowiedział jej uważnym, lecz spokojnym spojrzeniem.

- Jestem zadowolona, że mu odmówiłam.

Jeszcze podczas pobytu Katharine w Devonie, Sebastian nie przestawał zachęcać jej do doskonalenia swoich umiejętności i podbudowywania pewności siebie. Przynajmniej raz

w tygodniu, kiedy nie było przedstawienia popołudniowego, jechała do Bristolu swoim renault. Tam uczestniczyła w zajęciach baletowych, wymowy i dialogu i w krótkim, intensywnym kursie technik gry przed kamerą.

- Czasami myślę, że próbujesz mnie całkowicie zmienić - zażartowała w rozmowie telefonicznej z Sebastianem.

- Nigdy nawet tak nie mów - Sebastian potraktował jej słowa poważnie. Przeraziły go. - Po prostu chcę cię przygotować, trochę wykorzystać tę wiedzę, którą posiadam, żeby ci pomóc, byś nie czuła się przestraszona albo niedostatecznie przygotowana, kiedy pojawią się prawdziwe szanse.

- Najdroższy, ja tylko żartowałam - zapewniła go Katharine.

- Na pewno?

- Absolutnie - odparła, wzruszona jego niepokojem. - I muszę przyznać, że chyba rzeczywiście mi to pomaga. Mam wrażenie, że rozwijam się jeszcze bardziej nawet niż w Carnegie Mellon. Poza tym czuję, jak rośnie moja pewność siebie.

- To twoje zdolności, kochanie - powiedział Sebastian łagodnie - i talent. Próbowалаś je pogrzebać, a ja po prostu pomagam ci na nowo przywołać je do życia.

W drugim tygodniu kwietnia Sebastian zadzwonił do Petera Marcha.

- Czy jesteś wolny w najbliższą sobotę?

- Nie wiem - ostrożnie odparł March. - Musiałbym sprawdzić w kalendarzu, żeby się upewnić.

- Jesteśmy gotowi do przedyskutowania twojego planu ibsenowskiego. Pomyślałem, że miło by było zarezerwować sobie na to cały dzień.

- Z pewnością mógłbym wygospodarować nieco czasu, ale...

- A czy mógłbyś dołożyć jeszcze popołudnie? - naciskał Sebastian. - Jest coś, co chciałbym ci pokazać. Może cię to zainteresować.

- Jak mógłbym odmówić?

Sebastian podjechał po Marcha pod jego dom w Surrey i zawiózł go do Devonu. Po drodze zatrzymali się w Bath, w restauracji niedaleko Royal Crescent. Sebastian zasugero-

wał, żeby zamówili homara na zimno i wyborne Montrachet. Udało mu się nie wyjawić prawdziwego celu tej podróży, dopóki nie zajechali do Barnstaple i Briars.

Kiedy siedzieli już w teatrze, parę minut przed czwartą, March poczuł, że pomimo wyśmienitego obiadu, jest poirytowany.

- Rozumiem - odezwał się, spojrzawszy w program. - Katharine Andersen. To twoja żona, czyż nie?

- Myślałem, że wiesz - odparł Sebastian lekkim tonem.

- Nie wiedziałem. - March założył nogę na nogę z przesadnym trudem, chcąc dać Sebastianowi do zrozumienia, jak niewygodne są fotele. - Wybacz, ale sądziłem, że twoja żona odnosiła sukcesy na polu scenografii.

- Jest również aktorką.

Przygasły światła. March zacisnął usta. Nigdy nie znosił Tennessee Williamsa. Spotkał Katharine dwukrotnie przed przyjęciem sylwestrowym i czuł niekwestionowany podziw dla jej urody, inteligencji i wdzięku. Dotąd myślał, że Locke jest rozsądny i nie wyobrażał sobie, że mógłby on być jednym z tych agentów, którzy ulegają kaprysom swych żon i obasadzają je w sztukach. Ale mógł się przecież mylić.

Był mile rozczarowany. Przedstawienie było wyjątkowo dobre, a Katharine jako aktorka w najmniejszym stopniu nie ustępowała wspaniałej Helen Hardy - i jej synowi grane-mu przez młodego aktora. Z pewnością Katharine nie jest wielką aktorką - rozmyślał March - lecz również nie został w niej ani ślad tej pewnej siebie, zrównoważonej, urodzonej w Waszyngtonie dziewczyny, którą pamiętał z przyjęcia. Już sama jej słodycz była wzruszająca - uroda Katharine przyciągała wzrok widzów. Lecz nawet jej piękno zdawało się całkiem zmienione przez tę kruchość, zaś kiedy Laura całowała po raz pierwszy i ostatni, March - musiał to przyznać - że zagrała to po mistrzowsku.

**

- Przepraszam - odezwał się Sebastian, kiedy rozbłysły światła.

- Powinieneś mnie uprzedzić.

- Zdawałem sobie sprawę z tego, że mogłeś nie wiedzieć, iż Katharine jest obsadzona w tej sztuce.

- To było niemądre z twojej strony. - March wstał sztywno. - Sztuka mi się nie podoba, ale przedstawienie jest niezłe. A twoja żona sprawiła, że było znośne.

Sebastian wstał.

- Pójdziemy za kulisy?

- Jak mogłeś zrobić coś takiego koledze? - zbeształa Sebastiana Katharine, kiedy Helen Hardy wyszła z garderoby. - Biedny Peter z pewnością ma sto ważniejszych rzeczy do zrobienia niż jechać aż do Devonu, żeby mnie oglądać.

- To była ogromna przyjemność, wierz mi - zapewnił March.

- Mamy do omówienia drobną sprawę - powiedział Sebastian - i pomyślałem sobie, że w tych okolicznościach może będzie miło wyjechać z Londynu. - Pochylił się i pocałował Katharine w czubek głowy. - Zabiorę Petera do domu, kochanie, na podwieczorek i poważną rozmowę. Jak długo tu będziesz?

- Obawiam się, że dość długo - odparła przeproszającym tonem. - Mam kilka spraw na głowie. Gdybyś powiedział mi wcześniej...

- O nas się nie martw - przerwał Sebastian żwawo i radośnie. - Damy sobie radę.

- W spiżarni są herbatniki, a w lodówce świeża śmietanka... jest też paczka Earl Greya, więc nie używaj herbaty w torebkach.

Sebastian uśmiechnął się.

- Moja angielska żona.

Obydwaj panowie spożyli podwieczorek w przytulnym, obitym kretonem, saloniku. March potwierdził, że pierwsza ze sztuk miała zostać wystawiona zgodnie z planem w Albery Theatre w październiku.

- Jeśli każda sztuka ma iść przez pięć tygodni, zejdzie nam do początku lutego.

Sebastian dolał herbaty.

- Barbara jest w zasadzie do dyspozycji, ale oczywiście wszystko zależy od warunków kontraktu.

- Oczywiście. Sława Barbary razem z charyzmą Sama Raphaëla powinny zapewnić wspaniały sukces komercyjny, nie uważasz?

Sebastian nie odpowiedział.

- Lecz zanim cokolwiek zaczniemy ustalać -ciągnął March - trzeba sfinalizować drobną kwestię finansowego wsparcia ze strony firmy Locke Mariner.

Sebastian odstawił filiżankę.

- Sto tysięcy funtów. - Ugryzł kawałek herbatnika i połknął go. - Oczywiście, to nie jest oficjalna propozycja na tym etapie. Tylko sugestia.

- Bardzo hojna - spokojnie odparł March, choć lekkie zaróżwienie policzków zdradziło jego radość. Propozycja Sebastiana wykraczała poza granice zwykłej inwestycji. To był już niezły hazard, ten rodzaj wsparcia, o którym marzyli producenci, gdy wypili za dużo szampana.

Chciałbym wystąpić z jeszcze jedną propozycją - odezwał się Sebastian.

- Proszę bardzo.

- Katharine. Mam przeczucie, że w tym przedsięwzięciu znajdzie się coś dla niej.

- W roli scenografa czy aktorki? - spytał March.

- Katharine jest teraz aktorką, nie scenografem.

March milczał.

- Przypuszczam, że znajdzie się jakaś mała rólka... To jasne, że ma za małe doświadczenie, żeby zmierzyć się z większą rolą na West Endzie.

- Nie zgadzam się z tym - odparł Sebastian chłodno. - Katharine byłaby doskonałą Heddą Gabler.

- Może panią Elvsted? - March uśmiechnął się z przymusem. - Warto się nad tym zastanowić.

- Nie. Myślałem o Heddzie.

- Na pewno nie.

Sebastian spodziewał się takiej reakcji producenta. Kiedy trzeba March był dyplomatą. I jeśli taka wspaniała propozycja Locke'a była aktualna, musiał wykazać się sprytem.

- To ciekawy pomysł - przyznał trochę rozbawionym tonem, choć uprzejmie. - Obawiam się jednak, że w żadnym

wypadku nie możemy ryzykować, zatrudniając nowicjuszkę w tak poważnym przedsięwzięciu.

- Katharine właściwie nie jest już nowicjuszką - odparł Sebastian. - Zgadzam się jednak, że obsadzenie jej wymagałoby nieco odwagi.

- Nie jestem przekonany, czy odwaga to właściwe słowo - stwierdził March. - Nie muszę ci przypominać, że tak wcześnie zapukałem do drzwi Locke Mariner, aby złożyć zamówienie na artystkę o wielkiej sławie i doświadczeniu.

- I waszą największą gwiazdą będzie amerykański aktor telewizyjny. Dlatego pomyślałem o Katharine. Kandydatura Sama Raphaella narzuca się sama przy obsadzaniu sztuk Ibsena, co nie przeszkadza, żeby uznać ją za doskonałą.

- Raphael jest świetnym aktorem broadwayowskim. - Po raz pierwszy March pozwolił sobie na nutę wyrzutu. - Będziemy wystawiać w Londynie. Próby będą ograniczone do niezbędnego minimum i każda minuta będzie kosztować niemałą fortunę. - Próbował utrzymać beztroski ton. - Zresztą, sam najlepiej wiesz, jak to jest. Tym bardziej że twoje własne pieniądze mają stanowić dość istotną część tej inwestycji.

- Być może - odparł Sebastian cicho.

- Rozumiem.

- Zostawiam ci tę sprawę do namysłu. Nie proszę cię o nic więcej, tylko żebyś dał sobie czas na zastanowienie. Tak jak my z Jeremym będziemy się myśleć nad tym, jak duże będą nasze subwencje. - Znów podniósł filiżankę. - Pozwólmy, żeby ten pomysł trochę okrzepł.

March nie odpowiedział.

- Katharine jest utalentowana - ciągnął Sebastian. - Sam tyle mniej więcej powiedziałeś. I do tego szybko się uczy. Jeszcze trochę czasu, trochę więcej odpowiedniego doświadczenia i praktyki, i będzie idealna.

- Żeby zagrać Hedde Gabler? - March przyjrzał się Sebastianowi. - Czy ty naprawdę widzisz ją w tej roli?

- Jeszcze nigdy niczego nie byłem taki pewny.

Na spotkaniu w biurze, które regularnie odbywały się w poniedziałkowe poranki, Sebastian powiedział Jerememu o propozycji, którą złożył Marchowi.

- Sto baniek? Jesteś szalony - stwierdził Jeremy kategorycznie.

- Nie sędzę.

- To jest nasza pierwsza inwestycja, a ty proponujesz, że pokryjemy mniej więcej połowę kosztów całego przedsięwzięcia. A co ważniejsze, zaproponowałeś to producentowi bez przedyskutowania tego najpierw ze mną.

- To był właściwy moment, żeby to powiedzieć - odparł spokojnie Sebastian. - March wiedział, że to tylko propozycja sumy, a nie ostateczna oferta. Ale oczywiście masz słuszność. Powinienem skonsultować się przedtem z tobą.

- Sto tysięcy to gruba przesada.

- Wierzę w to przedsięwzięcie.

- Sądziłem, że jesteśmy partnerami.

Sebastian wyjął papierosa ze złotej papierośnicy, którą Jeremy podarował mu na gwiazdkę.

- Dawno temu powiedziałaś mi, Jerry, że w nikogo innego na świecie nie zainwestowałbyś chętniej niż we mnie.

- To wciąż jest prawda. Ale nie o tobie mówimy.

- Ale to jest coś, w co wierzę.

- Pięćdziesiąt tysięcy, i ja też spróbuję w to wierzyć.

- Sto. - Sebastian zapalił papierosa. - Chcę, żebyśmy mieli wpływ na te przedstawienia, Jerry.

Jeremy wstał i podszedł do okna.

- Barbara jako Nora, Sam jako Stockmann i sędzia Brack.

A kto zagra Heddę?

- To jeszcze nie postanowione.

- Powiedziałbym, że to właśnie jest sedno sprawy, zgodzisz się ze mną?

Sebastian skinął głową.

- Z pewnością.

Po skończonym cyklu przedstawień w Barnstaple Katharine wróciła do Londynu. W czasie następnych czterech tygodni wzięła udział w licznych przesłuchaniach i w piątym tygodniu z zadziwiającą łatwością dostała angaż w BBC w obsadzie spektaklu telewizyjnego. Była to dla niej wielka szansa i Katharine dobrze ją wykorzystała. Grała kobietę, która rujnuje małżeństwo - tę „drugą kobietę” w odwiecznym trójką-

cie małżeńskim. Dało jej to okazję do wprowadzenia do gry wielu wymiarów: pokazała słodką, zmysłową stronę charakteru, którą jej bohaterka okazywała swemu kochankowi; bezlitosną, bezkompromisową kobietę, widzianą z perspektywy żony. Reżyser, producenci i twórca sztuki byli z Katharine zadowoleni. Na długo przed ukazaniem się przedstawienia w telewizji Sebastian zdobył nagranie na wideo i przesłał je Peterowi Marchowi.

Pod koniec lipca Elspeth Lehmann odebrała telefon od asystentki Marcha, która zaprosiła Katharine na przesłuchanie. Sebastian natychmiast zadzwonił do domu.

- To pierwsza liga - powiedział żonie. - To bardzo ważne.
- Zawsze mi mówisz, że wszystkie przesłuchania są ważne.
- To jest jeszcze ważniejsze. Postaraj się być w jak najlepszej formie, zanim wyjdiesz do Michaeljohna i poproś Koule, żeby upięła ci włosy...

- Na miłość boską - Katharine zaśmiała się. - Jeszcze cię nie widziałam tak przejętego.

- Rzeczywiście, przeżywam wielkie emocje, aniele - odparł Sebastian. - Po prostu mam przeczucie.

Leżał w wannie, czekając na nią, kiedy usłyszał otwierające się drzwi do sypialni.

- Jestem tutaj! - zawołał. - Jak poszło?

Katharine weszła do łazienki. Miała zarumienione policzki.

- Nie jestem pewna. Chyba nieźle. - Zdjęła żakiet i pochyliła się, by złożyć na jego czole pocałunek. - Jest takie cudowne popołudnie. Wróciłam do domu metrem. Droga ze stacji jest taka ładna.

- Co czytałaś?

- Czy nawet nie wolno mi usiąść? - zapytała Katharine.

- Oczywiście. Przepraszam. - Sebastian uśmiechnął się do niej. - Może się rozbierzesz i dołączysz do mnie?

Zaśmiała się.

- Chyba jednak poczekam, aż wyjdiesz.

- Co czytałaś? - powtórzył pytanie, starając się, by barwa głosu nie zdradziła jego zdenerwowania.

- Jedną scenę z „Wroga ludu”, rolę Petry z jej rodzicami z piątego aktu...

- Co jeszcze?

- Poprosili, żebym przeczytała pierwszą scenę z „Heddy Gabler” między Heddą a panią Elvsted, raz jako Hedda, a potem na odwrót... wiesz, to ta scena, kiedy obie siedzą na sofie.

Sebastian poruszył się w wodzie.

- Co powiedział Noel Harvey?

- Nic takiego. Wiesz, jak to jest. - Katharine spojrzała na niego i uśmiechnęła się. - Masz wspaniałą erekcję.

- Tak. - Sebastian wziął mydło i namydlił klatkę piersiową. - Harvey musiał jakoś zareagować.

- Podziękował mi. Był bardzo miły. Peter też tam był, ale się nie odzywał. Po prostu pomachał ręką.

- Więc wyszłaś, nic nie wiedząc?

- Powiedzieli, że do mnie zadzwonią.

- Tak przypuszczam.

Zerknęła na niego z ciekawością.

- Dlaczego jesteś tym o wiele bardziej zdenerwowany niż wszystkimi innymi przesłuchaniami, na których byłam?

- Wcale nie. - Sebastian wzruszył ramionami. - Może troszeczkę bardziej, bo inwestujemy w to przedsięwzięcie nasze pieniądze. Po prostu strasznie chciałbym, żebyś zadebiutowała na West Endzie właśnie w tych przedstawieniach.

- Zrobiłam, co mogłam - powiedziała Katharine cicho.

- Na pewno. - Odłożył mydło. - Chodź tu.

- Nie wciągaj mnie do wody, bo ta sukienka tego nie wytrzyma.

- Chodź, usiądź na brzegu wanny.

Zachwiała się na krawędzi, a on wyciągnął rękę i wyjął szpilkę z jej włosów.

- Podoba ci się, jak Koula je upięła? - spytała Katharine.

- Pięknie. - Wyjął jeszcze jedną szpilkę i rozpuścił jej włosy. - Jak się czułaś czytając Heddę?

- Czy nie powinnam zacząć myśleć o obiedzie? Dzisiaj Elsie ma wolne.

- Pójdziemy na obiad do restauracji. Jak się czułaś?

- Gdzie pójdziemy?

- Do jakiegoś ładnego miejsca.

- O której?

Okręcił sobie pasemko jej włosów wokół palców.

- Aniele.
- Tak?
- Zdejmij tę sukienkę i przestań zadawać pytania.

Dwa dni później, o jedenastej rano Elspeth odebrała telefon. Natychmiast poszła do gabinetu Sebastiana.

- Właśnie dzwonili z biura Marcha w sprawie Katharine. Pomyślałam, że będziesz chciał wiedzieć od razu. Bardzo dobre wiadomości.

- Mów. - Dalej siedział swobodnie oparty w fotelu. Jedyne żyłka, pulsująca na prawej skroni, zdradzała jego napięcie.

- Chcą, żeby grała Petrę i była dublerką Heddy.

Dublerka.

Sebastian siedział nieruchomo.

- Kto zagra Heddę?
- Wciąż jeszcze nie wiemy. - Elspeth spojrzała na niego. - Nie jesteś zadowolony, prawda? - Zawiesiła głos. - Miałeś nadzieję, że dostanie rolę pani Elvsted?

Żeby odpowiedzieć musiał przełknąć ślinę.

- To było nierealne, wiem o tym. Petra to dobry początek.

Parę minut po szóstej, podczas gdy Sebastian rozmawiał przez telefon z Samem Raphaelem z Los Angeles, wszedł Jeremy. Usiadł i zaczekał, aż Sebastian skończy rozmowę.

- March dzwonił z Nowego Jorku, ale twój telefon był zajęty.

- Czego chciał? - Sebastian zapalił papierosa.
- Chcą, żeby Barbara grała Heddę.
- Żartujesz. - Sebastian odłożył zapalniczkę na biurko. Palce, w których trzymał papierosa, lekko drżały. - Oprócz Nory?

- Norę ma zagrać Rebecca Sykes, prosto z National. - Oczy Jeremy'ego zabłyśły. - To znakomita obsada, Seb, nie sądzisz? Barbara będzie dynamitem, czystym dynamitem - seksowną, elektryzującą Heddą. Po raz pierwszy widzę szansę, że nasz hazard może się opłaci.

- Barbara jest za stara.
- Bzdura.

Ibsen określa wiek Heddy na dwadzieścia dziewięć lat. Barbara jest blisko pięćdziesiątki.

- Jest doskonała, Seb, wiesz, że tak jest. Przecież Nora też nie jest starsza. W każdym razie, od kiedy to interesujesz się wiekiem? - Jeremy uniósł brew. - Tak naprawdę wierzyłeś, że może dadzą Hedde Kate, prawda?

- Nie do końca. - Sebastian raz zaciągnął się papierosem, po czym go zgasił. - Dali jej dublerkę, wiedziałeś o tym?

- March mi powiedział. Mówił, że będziesz zły.
- Sądziysz, że tak bardzo brakuje mi profesjonalizmu?
- Jesteś tylko człowiekiem. I mężem Kate.
- W tym wypadku jestem jej agentem.
- Barbary też.

Sebastian kiwnął głową.

- Zadzwonię do niej.

Jeremy wstał.

- W porządku, Seb?
- Jasne. - Uśmiechnął się lekko. - Dlaczego miałyby nie być?

Kiedy drzwi się zamknęły, Sebastian wziął do ręki ołówek i zaczął pisać w notesie: Hedda - Barbara Stone, doktor Stockmann i sędzia Brack - Sam Raphael. Petra - Katharine Andersen. Tak mocno przyciskał ołówek, że wydzierał w papierze dziury. Potem wziął ołówek, złamał go w pół i cisnął n podłogę.

Był tak pewny, że March i Noel Harvey mają zamiar obsadzić Barbarę w roli Nory, a nie Heddy. Wyobrażał sobie Barbarę jako Norę z idealną wyrazistością, tak jak widział Katharine jako Hedde -z jej olśniewającą urodą i eleganckim obyciem. Barbara jest za stara na Hedde -przeklęty Harvey, cholerny March i to ich tchórzostwo! Oczywiście, Barbara Stone jest bezpieczna - zapewniłaby sukces kasowy. Sebastian ją lubił. Ale to powinna być rola dla Katharine! March wiedział, że właśnie tego chciał Sebastian. Przecież on kupił tę rolę dla niej, inwestując pieniądze agencji.

Zapalił kolejnego papierosa i wstał tak gwałtownie, że jego krzesło uderzyło z tyłu o półki z książkami. Zastanowił się, czy nie wycofać pieniędzy, lecz wiedział, że to niemożli-

we. Oczywiście dałby sobie radę z Jeremym, lecz zrujnowało-
by to ich wiarygodność, nie mówiąc już o Barbarze Stone.

Niech ich wszyscy diabli!

Głęboko zaciągnął się dymem i nagle poczuł zawrót głowy,
tak mocny, że musiał oprzeć się o ścianę. W głowie mu hucza-
ło - tak często ostatnio go bolała... Za wiele napięć. To jego
własna wina - nie potrafi się odprężyć.

Usiadł w fotelu. Potrząsnął głową. Już nic na to nie pora-
dzi. Może tylko podpisać kontrakt i iść do domu z bukietem
kwiatów i gratulacjami dla Katharine. I tak będzie zadowolona
z Petry. Nie miała przecież pojęcia, o czym dla niej ma-
rzył.

Zastanowił się, czy na przesłuchaniu postarała się naj-
lepiej, jak mogła. A może to była jej wina, że nie dostała tej
roli? Zawsze była taka skromna. Może nie dość pragnęła zo-
stać Heddą? Ludzie pokroju Marcha czy Harveya na kilo-
metr potrafili wyczuć, że ktoś jest nieśmiały, a dla nich zna-
czyło to tyle, co brak przebojowości, nawet ambicji...

A niech ich wszystkich diabli!

Rozdział 24

- Żałuję, że muszę jechać.

- Nie masz wyboru, wiem o tym.

Sebastian patrzył na leżącą na łóżku walizkę ze świńskiej skóry, z na wpół spakowanymi ubraniami i papierami.

- Powinienem zostać i być dla ciebie wsparciem. To przełomowy okres.

- Poradzę sobie. - Katharine udało się uśmiechnąć. - Poza tym gdybyś tu był, prawdopodobnie byłabym zbyt zajęta i nie mielibyśmy dla siebie czasu. - Jej uśmiech był smutny.

- I tak to nic nowego.

- Wiem. - Sebastian pokręcił głową. - Ostatnio było trochę ciężko, prawda? Nic, tylko praca.

- Rzeczywiście - odparła spokojnie.

- Przykro mi.

- Nic nie można na to poradzić. - Katharine mówiła lekko, ale delikatne drżenie jej głosu zdradziło ją. - Przecież oboje jesteśmy profesjonalistami.

Sebastian spojrzał jej w oczy.

- Może powinienem odłożyć ten wyjazd. Jeśli naprawdę mnie tu potrzebujesz...

- Nie możesz - szybko powiedziała Katharine.

Jego oczy posmutniały.

- Nie - odparł - muszę jechać.

Prawie miesiąc temu Katharine była zachwycona, kiedy otrzymała wiadomość o tym, że dostała angaż. Żwawo zabrała się do pracy. Przeczytała wszystkie sztuki Ibsena, tłumacze-

nia Michaela Meyera i Christophera Hamptona obu sztuk, nad którymi miała pracować i skwapliwie przerobiła notatki z tłumaczenia Gunnara Nyquist. Wówczas dopiero skupiła uwagę na postaci Petry Stockmann. Jeśli chodziło o nią samą, był to dla niej idealny debiut londyński - pierwsze doświadczenie na West Endzie, dzięki któremu nabierze oglądy, a, przy odrobinie szczęścia, może nawet zostanie zauważona.

Jakkolwiek Sebastian starał się ukryć swoje rozczarowanie, Katharine zdawała sobie sprawę, że pragnął dla niej więcej. Może nawet widział ją w roli pani Elvsted. Łatwo mogła sobie wyobrazić, jak Laszlo Eles zgadza się z Sebastianem i daje jej swoją sławną reprimendę, że się nie ceni. Ale taka już jest. Katharine wiedziała, że jako aktorka wciąż jest nowicjuską. Miała szczęście, że dostała Petrę. I choć przestudiuje Heddę najlepiej jak potrafi, każdej nocy będzie się modlić o doskonałe zdrowie dla Barbary Stone.

Sebastian zachęcał Katharine, by nadal brała wszystkie lekcje, a ponieważ próby do „Wroga ludu” miały się zacząć najwcześniej na początku września, wysyłał ją na inne przesłuchania.

- To ważne - mawiał - żebyś była jak najbardziej zajęta. Zbyt wiele przygotowań przed rozpoczęciem prób może wyrządzić więcej szkody niż pożytku. To, czego najbardziej potrzebujesz, to doświadczenie.

Nagrała jeden epizod do serialu telewizyjnego Simona Keana. Zdjęcia kręcono przez trzy dni, a w przerwie przed kolejnymi zdjęciami Katharine zagrała w Warehouse Theatre Company, w Croydon, w zastępstwie aktorki, która zachorowała. Katharine ubóstwiała tę pracę. Wszystko, czego tylko dotknęła, zdawało się potwierdzać słuszność kierunku obranego dla niej przez Sebastiana. W sferze zawodowej jej pewność siebie zaczęła rosnąć. Jednocześnie czuła się mniej szczęśliwa.

Jej życie tak radykalnie się zmieniło, odkąd opuściła Amerykę, iż zaczęła się bać, że traci kontrolę nad swoim losem, a nawet poczucie własnej tożsamości. Ten ambicjonalny wyścig, do którego pchał ją Sebastian, był tak gwałtowny, że Katharine zaczęła się bać, że oboje stracą poczucie rzeczywistości. Nadszedł dla nich czas wyczerpanej pracy. Obowiązki Sebastiana tak go zajmowały, że często wracał z biura po

dziesiątej, jedenastej w nocy, na ogół tak wyczerpany, że miał ochotę jedynie spać. Nie dążył do zbliżenia. Od kiedy Katharine została obsadzona w roli Petry, kochali się jeden raz, ale był to dobry seks. Katharine odniosła niemiłe wrażenie, jakby kochała się z kimś obcym.

Coraz bardziej się od siebie oddalali psychicznie, ich ciała stawały się coraz mniej bliskie, a żyli w oszalamiającym tempie. W te nieczęste okazje, kiedy Sebastian nie czuł się za bardzo wyczerpany, nalegał, by późno w nocy szli do Annabeli lub Trampa na drinka i tańce, gdzie zostawali aż do wczesnych godzin rannych. Tak jakby każda myśl o sam na sam z Katharine go przerażała.

Teraz, na trzy dni przed rozpoczęciem prób, Sebastian miał lecieć do Los Angeles i Katharine, ku swojemu zdumieniu, odczuła przede wszystkim ulgę. Ten rosnący między nimi brak porozumienia martwił ją bardzo. Bała się, że nie przygotują się należycie do zagrania swej życiowej roli. Może lepiej będzie, jeśli rozstaną się na jeden lub dwa tygodnie teraz, kiedy miały zacząć się próby.

Kilka minut po dwunastej w południe następnego dnia, akurat kiedy Katharine miała wejść pod prysznic po dwugodzinnym treningu z nauczycielem ruchu scenicznego - zadzwonił telefon.

- Halo?

- Katharine? Tu David.

Dźwięk jego głosu, kojącego i ciepłego był niezwykle miły.

- Gdzie jesteś?

- Tutaj, w Londynie. Przyleciałem tym samym samolotem co Sam.

Jak on się miewa?

- Świetnie. Podekscytowany perspektywą pracy z tobą.

Ręka Katharine drżała. Musiała podtrzymać słuchawkę lewą dłonią.

- Gdzie się zatrzymasz? - spytała.

- W Inn on the Park. - David zawahał się. - Będę mógł cię zobaczyć?

- Na jak długo przyleciałeś?

- Tylko na jeden dzień.

Katharine zawahała się.

- Możemy się umówić dziś wieczorem na kolację, jeśli...
- Wspaniale. Czy przyjdziecie oboje?
- Nie. Sebastian wyjechał. Będę tylko ja.
- Sądzę, że jakoś to zniosę.

Kiedy Katharine odłożyła słuchawkę, wstała i z powrotem poszła do łazienki. Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Jej policzki były zarumienione, a oczy błyszczały.

- Och, Davidzie - szepnęła.

Minęły ponad dwa lata odkąd się rozstali. Nie widziała go od tamtego przyjęcia po premierze „Paryża”, kiedy szczerze ją wzruszył, pojawiając się na tak krótko, żeby jej pogratulować. Teraz wiedziała już - nie przyszło jej to wcześniej do głowy - że brakowało jej Davida i bardzo za nim tęskniła.

Spotkali się w restauracji Four Seasons. Kiedy weszła, siedział przy stoliku w rogu. Zauważyła, że jest opalony i w dobrej formie, a włosy przyprószone siwizną czyniły go jeszcze przystojniejszym.

- Wyglądasz bosko - powiedział.
- Ty też nie wyglądasz najgorzej - odparła cicho.

Pocałowali się - musnęli się wargami - i usiedli przy stoliku.

- Białe wino? - zapytał.
- Poproszę.

Katharine siedziała nieruchomo, kiedy on zamawiał drinki. Przez chwilę lub dwie czuła pewność, że David powie jej, iż znalazł sobie kogoś innego i zamierza się żenić albo jest już żonaty. Za minutę, może kiedy Katharine upije łyk wina, David wyciągnie portfel i pokaże jej fotografię jakiejś pięknej kobiety, a może i zdjęcia dzieci. A ona uśmiechnie się, chwyci go za rękę i powie mu, jak bardzo się cieszy jego szczęściem. I to będzie kłamstwo.

- Więc, powiedz mi - odezwała się. Czekala w napięciu.
- Co mam ci powiedzieć?
- Jak tam twoje sprawy?

David uśmiechnął się.

- Prawie bez zmian.

Jego portfel pozostał w kieszeni marynarki i Katharine wiedziała, że się myliła. David nie był żonaty i nawet nie za-

mierzał się żenić. Nie musiał nic zmieniać ani w sobie, ani w swoim życiu, bo wszystko było tak, jak miało być.

- Jesteś szczęśliwy, Davidzie?

- Jasne. - Łyknął whisky z lodem. - Chociaż byłbym szczęśliwszy, gdybyś ty była w moim życiu, Katharine. - Zamrugał, niezadowolony z siebie. - Nie miałem zamiaru tego powiedzieć, a przynajmniej nie tak od razu.

- Ja też za tobą tęsknię - odparła.

- Wszyscy za tobą tęsknimy. Wszyscy twoi przyjaciele, którzy darzyli cię sympatią, kiedy byłaś w Nowym Jorku. Nie przestali się o ciebie troszczyć. Znajomi pytają ciągle o ciebie. Bo jest trochę tak, jakbyś zapadła się pod ziemię.

- Przecież wyjechałam do Anglii.

- Dixie Callaghan mówi, że zadzwoniłaś do niej raz, na Święto Dziękczynienia i że pisała do ciebie, ale ty nie odpisałaś.

- Oczywiście, że odpisałam.

- Długo milczałaś. - David jeszcze upił trochę szkockiej. - W życiu tak nie można, Katharine. Jeśli kogoś spotkasz, jeżeli ktoś cię pokocha, to nie możesz tak po prostu odejść, uciec, do Anglii czy gdziekolwiek indziej. I nawet jeśli jesteś bardzo szczęśliwa, nie wolno ci o tych kochających cię ludziach zapominać.

- Myślę o przyjaciółach - broniła się Katharine.

- Jesteś szczęśliwa? - David odstawił kieliszek. - Laszlo nie sądzi, żeby tak było. Sam też nie.

Katharine ruszyła do ataku.

- Oczywiście, że jestem - mówiła. - Dlaczego miałyby nie być? Moje małżeństwo jest wspaniałe, mam cudowny dom i nowy zawód, który uwielbiam. Może masz prawo karcić mnie za to, że nie utrzymuję z ludźmi kontaktu tak regularnie jak powinnam, ale byłabym ci wdzięczna, gdybyś nie słuchał głupich plotek.

- Nikt o tobie nie plotkuje.

- Naprawdę? - Cała przyjemność i radość ze spotkania z Davidem zniknęły. - Wiem, że Laszlo był na mnie zły, że nie przyjąłem jego propozycji, ale kto dał Samowi prawo szerzyć kłamstwa na temat mojego małżeństwa...

- Wyluzuj się, Katharine. - David uśmiechnął się lekko, widząc jej gniew. - Sam nie mówił nic konkretnego...

- I nie mógł nic mówić, bo nie widział nas razem od dnia ślubu.

- Ale rozmawiał z tobą. Wiem, że Sam szanuje Sebastiana i naprawdę go lubi. Tylko wspomniał mi raz, że wątpi, czy twoje życie jest usłane różami.

- A Laszlo? - Co on mówi? - Katharine denerwowała się coraz bardziej.

- Nic.

- Nie wierzę ci.

David pokręcił głową.

- Niepotrzebnie zacząłem ten temat.

- Właśnie, więc równie dobrze możesz powiedzieć wszystko.

- Wiesz, że Laszlo postanowił nie robić tego musicalu?

- Przypuszczam, że to moja wina? - zapytała Katharine gniewnie. - Nie zmieniaj tematu. Chcę wiedzieć, co mówił o moim mężu.

- Tylko tyle, że ma wrażenie, iż Sebastian jest urodzonym przywódcą i...

- I?

- I że trochę manipuluje ludźmi.

Katharine patrzyła na Davida.

- To poniżej twojej godności. Nigdy nie wyobrażałam sobie, iż zazdrość może sprawić, że staniesz się złośliwy. W każdym razie jak to się stało, że przeprowadziłeś takie rozmowy z Samem i Laszlo?

- Martwimy się o ciebie.

- Macie dziwny sposób okazywania tego.

- Być może. - David wzruszył ramionami. - Jesteśmy twoimi przyjaciółmi, Katharine. I nie zapomnimy o tobie.

Gniew Katharine zniknął, a jego miejsce nagle zajął dojmujący smutek. Była bliska płaczu. Przełknęła łzy, próbowała się uspokoić, ale na próżno.

- Dobrze się czujesz? - łagodnie zapytał David, widząc jej łzy. - Chcesz stąd wyjść?

Kiwnęła głową.

- Tak, proszę.

Poszli na górę do jego apartamentu. W windzie David objął Katharine ramieniem, a ona oparła się o niego. Już wte-

dy, otoczona obcymi, wiedziała, co się stanie. Tak jak czasem widzi się coś w proroczym śnie.

Posadził ją na sofie i nalał do kieliszka koniaku.

- To za dużo - powiedziała. Jej usta wciąż drżały.

- Po prostu popijaj powoli - powiedział i usłyszała głos lekarza, taki uspokajający, bezpieczny.

- Och, Davidzie. - Tylko tyle potrafiła powiedzieć. Uniosła kieliszek do ust i łyknęła odrobinę. Alkohol rozgrzał ją. David usiadł obok i poczuła się tak, jakby się nigdy nie rozstawali.

- Muszę to powiedzieć - odezwał się David. - Teraz, natychmiast.

- Co?

- Że wciąż cię kocham.

Katharine nie odpowiedziała.

- Nie tylko jak przyjaciel - dodał David.

Siedziała nieruchomo.

- Drżysz - powiedział David. - łyknij jeszcze trochę.

- Nie powinnam tu być. - Przełknęła trochę koniaku, trzymając kieliszek w obu dłoniach, jakby oczekiwała od niego wsparcia. - Myślę, że powinnam już iść.

- A ja uważam, że powinnaś zostać. - David delikatnie wyjął kieliszek z jej dłoni i z powrotem usiadł obok niej. - Opowiedz mi.

- O czym?

- Dlaczego jesteś taka nieszczęśliwa?

Zamilkł na chwilę.

- Zawsze ci ufałam.

-Więc teraz też mi zaufaj. Co się dzieje, Katharine? -

Ujął jej lewą dłoń i przytrzymał w swojej. - Proszę, najmilsza, powiedz, co sprawia ci ból.

- Nie wiem.

- Nie chcesz powiedzieć.

Przecząco pokręciła głową.

- To wszystko nie ma sensu, Davidzie. Kocham go i wiem, że i on mnie kocha. To się nie zmieniło.

- Ale coś jest nie tak.

Katharine usiłowała znaleźć właściwe słowa.

- Wszystko jest tak, jak było, na swoim miejscu. Jesteśmy razem, kochamy nasz dom, naszą pracę, kochamy się nawza-

jem. Ale oddaliśmy się od siebie. Tak jakby jedno drugiego nie potrafiło już dosięgnąć. Dotykamy się, ale nie czujemy dotyku, rozumiesz?

David milczał.

Jestem samotna. - Zapatrzyła się na swoją dłoń w jego dłoni i to dawne, znajome uczucie wywołało w niej ból. - To chyba wszystko.

- Spójrz na mnie - odezwał się David. - Spójrz na mnie, Katharine.

Podniosła wzrok i spojrzała w jego życzliwą, inteligentną, przystojną twarz. Tak dobrze ją знаła, to kochające spojrzenie jego brązowych, ciepłych oczu. Wiedziała, jak miękka jest skóra jego policzków...

- Davidzie - szepnęła.

- Wiem - odparł. - Przysięgałem sobie, że do tego nie dopuszczę, ale chyba jednak nie można mi ufać.

W jej bursztynowych oczach pojawiły się łzy. Coś nakazywało Katharine wstać i wyjść. Wiedziała jednak, iż tego nie zrobi, i - przede wszystkim - nie chciała tego zrobić. Ich twarze zbliżały się do siebie coraz bardziej. Najpierw musnęły się policzki i zalała ją fala czułości. To jakże znajome uczucie było tak pocieszające, iż Katharine wiedziała już, że nie potrafi, nie chce teraz przestać. Spotkały się ich usta. A potem otoczyły ją, promieniejące ciepłem i siłą, ramiona Davida. I kiedy podniósł ją i zaniósł do sypialni, jęknęła cicho, lecz nie wiedziała już, czy był to jęk protestu, winy, pożądania... czy miłości.

Było tak dobrze. Chłodna, miękka pościel i niezwykle żar ich ciała. Ciepłe ramiona Davida. Długie, delikatne palce chirurga pieszczące ją. Usta, słodkie, namiętne, lecz, och, jakże czułe. Jego ciało, pełne życia, dające i biorące od niej to, co pragnęła mu dać. Jego nogi, oplatające się wokół jej nóg. Jego ręce, coraz silniej rozchylające jej uda. I przez cały czas ten głos w jej głowie, hamujący poczucie winy, tłumiący wątpliwości... Wszystko jest dobrze, to przecież David. Wszystko dobrze...

Potem leżeli nieruchomo, przytuleni do siebie.

- Co to? - zamruczała Katharine, dotykając blizny po lewej stronie jego brzucha, której nie pamiętała.

- Wyrstek. W lecie zeszłego roku. - Spojrzał jej w oczy. - Perforacja i zapalenie otrzewnej.

Katharine wybuchnęła płaczem.

- Nie płacz, kochanie.

- Ale ty przecież mogłeś umrzeć! - załkała.

- Ale żyję i teraz czuję się dobrze, a to tylko blizna.

- Ale nie było mnie przy tobie! - Pocałowała szramę, a jej łzy kapały na jego brzuch. - Potrzebowałeś mnie, a ja byłam tysiące kilometrów stąd i nawet o tym nie wiedziałam!

David roześmiał się łagodnym, wesołym śmiechem. Przytulił ją mocno, całował jej usta i mokre oczy. W końcu Katharine też zaczęła się śmiać i wtedy uzmysłowiła sobie, że od tygodni się nie śmiała. A to było takie miłe....

Później, kiedy się ubierali, a Katharine szykowała się do wyjścia, przygniótł ich potworny ciężar smutku.

- Proszę, nie odchodź - powtórzył. Już wcześniej o to prosił.

- Muszę.

- Wiem. - Zamilkł na chwilę. -I tak wyjeżdżam z Londynu.

- Kiedy? - cicho spytała Katharine. - Nie mógłbyś zostać trochę dłużej?

- Rano mam spotkanie, a po południu odlatuję. W Nowym Jorku czekają na mnie pacjenci i mam zaplanowane operacje. -A ty wciąż masz męża, którego jeszcze kochasz.

Katharine nie mogła wykrztusić słowa.

David pokiwał głową.

- Chyba czas na ciebie. - Spojrzał na nią oczyma pełnymi bólu. - Chciałem, byś poczuła się szczęśliwa, kochanie. Nie obwiniaj się. To była moja wina.

Katharine z trudem uśmiechnęła się przez łzy.

- Do tego trzeba było dwojga.

Przez krótką chwilę w drodze do domu Katharine czuła niemal nienawiść do Davida. Za to, że przyjechał, że pokazał jej, jak wciąż ją kocha, że ogrzał w niej to zimne, puste miejsce i spowodował - choćby na krótką chwilę - iż czuła się kochana, miała poczucie ciepła i bezpieczeństwa. A najbardziej za to, że znów odszedł. Nie, nie mogła przecież znienawidzić Davida.

Jadąc do domu, próbowała wmówić sobie, iż dzisiejsza noc nie wyrządziła nikomu krzywdy i że nie może sobie pozwolić, by owładnęło nią poczucie winy. I nie mogło sprawić, by zniszczyła jej małżeństwo. Noc z Davidem była sekretem, który będzie musiała głęboko ukryć.

Gdy dojechała do Dębów, pomyślała, że czas spędzony z Davidem był marzeniem raczej niż rzeczywistością.

A może tych kilka ostatnich godzin spędzonych z nią, to właśnie była rzeczywistość, pomyślała, rozbierając się in (b) Tj0.059

- Wiem, że to moja wina - powtórzył.

RS

- Nie - odparła. - To nie tak. To tylko ten mur, który czasem między nami stawiasz i to, że... - urwała. Miała właśnie powiedzieć, że zdawało jej się, iż już jej nie pragnie, lecz świadomość własnej zdrady kazała jej w porę zamilknąć.

- Wiem - powiedział Sebastian łagodnie. - Wszystko będzie inaczej, kiedy wrócę. Przysięgam.

Katharine odłożyła słuchawkę i zalała się gorzkimi, bolesnymi łzami. Jeszcze nigdy nie czuła do siebie takiej nienawiści. Zawsze szczyliła się swoją uczciwością. A teraz zdradziła ich obu, Sebastiana i Davida. I nie wiadomo, która z tych zdrad była gorsza.

Obwinałam mamę za to, że pozwoliła, by rozpadło się jej małżeństwo. I co? Wskakuję do łóżka z pierwszym mężczyzną, który się trafia, tylko dlatego że wszystko trochę się skomplikowało.

Ale przecież to nie był przypadkowy mężczyzna. To był David. I przysporzyła mu jeszcze więcej cierpienia.

Jednego Katharine była teraz pewna. Że Sebastian nie może się dowiedzieć, co zaszło. Nieważne, jak bardzo ona będzie się dręczyć tym swoim oszustwem. Nie miała wyboru - będzie musiała nauczyć się żyć ze świadomością tego, co zrobiła.

David domyślał się wszystkiego, kiedy zadzwonił do niej z lotniska.

- Nie musisz nic mówić - powiedział.

- Chciałabym, żebyśmy przynajmniej mieli czas porozmawiać.

- Ja chciałabym wiele rzeczy, Katharine, ale tak chyba jest lepiej. - Zmusił się, by jego ton brzmiał lekko. - To było dla nas obojga przede wszystkim pocieszenie. Jesteśmy przyjaciółmi, ty i ja. Nigdy się to nie zmieni.

- Kocham cię, Davidzie -bezradnie powiedziała Katharine. - Ale...

- Ale jesteś żoną Sebastiana. Muszę się z tym pogodzić.

- Dasz sobie radę?

- Muszę. I wiem, że ty też.

Przypomniała sobie, jakie robił jej wyrzuty poprzedniego wieczora.

- Pozdrów wszystkich. Powiedz Dixie, że napiszę, kiedy będę mogła, a Samowi...

- Zobacysz się z Samem w poniedziałek - przypomniał jej David. - Nie złość się na niego. Zależy mu na tobie.

- Wiem.

David oddala się od niej. Naraz poczuła strach, że może już nigdy więcej go nie zobaczy.

- Davidzie - powiedziała pośpiesznie.

- Co, moja ukochana?

- Przepraszam.

- Pamiętaj tylko, że zawsze masz mnie, jeśli będziesz mnie potrzebować.

- A ty mnie - pragnęła obiecać. Wiedziała jednak, że byłoby to kłamstwo.

- Dbaj o siebie.

- Ty też... I... Katharine?

- Tak?

- Powodzenia.

Róże przychodziły codziennie aż do powrotu Sebastiana i dom przemienił się w żywy, pachnący ogród. Gest ten był niezwykle teatralny i może trochę zbyt przemyślany - jak na Sebastiana - lecz jego przesłanie nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Mąż wciąż ją kochał. Chciał jej to udowodnić. Rozpaczliwie bał się, że ją utraci.

Kiedy wrócił do domu, Katharine czekała na niego w salonie. Była tak zdenerwowana i niespokojna, jakby byli dwojgiem prawie zupełnie obcych sobie ludzi. Lecz gdy tylko zobaczyła w oczach Sebastiana radość zmieszaną ze strachem, jej niepokój zniknął. Jasne było bowiem dla niej to, że ją kocha. A przecież tylko to się liczyło.

- Wyglądasz na bardzo zmęczonego - powiedziała łagodnie.

- Jestem nieźle zmordowany - przyznał. - Godziny spędzone w samolocie, a przede wszystkim dwa tygodnie mozolnej pracy, wyczerpały go fizycznie i umysłowo.

- Chodź, zrobię ci drinka.

Sebastian przyjrzał się uważnie Katharine. Pod jej oczyma rysowały się delikatne, niebieskawe cienie, których ni-

gdy wcześniej u niej nie zauważył. Podkreślały one jednak kruchość, cienkość i bladość jej skóry.

- Wyglądasz jeszcze śliczniej niż zwykle - powiedział miękko. - Choć wydaje się to niemożliwe. - Patrzył, jak nalewa dla niego whisky. - Jak tam próby?

- Chyba dobrze. - Podała mu szklanę i usiadła obok. - To taki wspaniały zespół. Mówiłam ci, że z początku byłam trochę przerażona, ale jakoś zaczęliśmy się docierać. - Uśmiechnęła się. - Nie potrafię ci nawet opisać, jak dziwnie jest pracować z Samem.

- Twój były ojczym gra twojego ojca. Mogło być gorzej. Moglibyście grać kochanków.

- Och, to jest wspaniale i Sam jest cudownym aktorem. Po prostu dziwne, że spory kawałek mojego dawnego życia zostaje osadzony w całkiem nowej rzeczywistości, wciąż jeszcze dla mnie obcej.

Nagle stanął jej przed oczyma obraz Davida i Katharine poczuła, jak żar oblewa jej policzki. Gwałtownie wstała.

- Zostań - Sebastian poklepał poduszkę obok siebie.

- Muszę zrobić parę rzeczy w kuchni.

- Z pewnością Ellie sobie poradzi. Usiądź, aniele, proszę.

Katharine usiadła. Zwróciła twarz ku swojemu mężowi i spojrzała w jego błękitne oczy. Zobaczyła tę ukochaną twarz... I David znów zniknął.

- Tak bardzo za tobą tęskniłem - odezwał się Sebastian.

- Szkoda, że wyjeżdżałeś. Nie cierpię rozstań.

- Już teraz przez długi czas nie będę wyjeżdżał. Obiecuję.

- Zobaczymy.

- Jeśli nastanie nowy kryzys, w Stanach, albo gdziekolwiek indziej, Jererny sam się nim zajmie.

- A co będzie, jeśli się nie zgodzi?

- Nie będzie miał wyboru.

Wieczór minął spokojnie. Siedzieli obok siebie niemal się nie dotykając. Ich rozmowa była chaotyczna, lecz sprawiała im radość. Cieszyli się, że są blisko siebie. Mieli bolesną świadomość, że oto mają jeszcze jedną szansę. Żeby ją wykorzystać, wyciągnąć ku sobie dłonie i naprawdę się dotknąć, muszą naprawdę bardzo się postarać. Rozwiązanie próbie-

mów będzie możliwe tylko dzięki miłości i zaufaniu. Muszą mieć dobrą wolę i pracować nad rozwiązywaniem swoich problemów.

Dopiero kiedy mieli iść do sypialni, Katharine spostrzegła, że Sebastian się boi. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że ich wrogiem mogą być Dęby. A szczególnie sypialnia.

Był wrzesień i centralne ogrzewanie nie było włączone, w domu panował chłód. Dlatego napalili w kominku. Katharine siedziała nieruchomo, próbując poradzić sobie z niepokojącymi myślami.

63-02-ep, 95, telille

ap a-1 d,

włoski wżgórka łonowego, gorąco i wilgoć, które odkrywały jego palce, a potem usta, ciągle na nowo...

Wiedział, że ten zapach przyjdzie dzisiejszej nocy. Czuł się niemal tak, jakby rzucił mu wyzwanie. Tym razem jednak, kiedy poczuł tę wzbudzającą mdłości, przesycającą go, wiszącą nad nim groźbę, wiedział już, że nie jest bezbronny. Otworzył szeroko oczy, popatrzył na swoją śliczną żonę i pokonał tę woń. Odsunął ją, a wraz z nią wspomnienie Diany, swej ukochanej, od dawna nieżyjącej matki.

I zapach ustąpił miejsca słodszeru, delikatniejszemu zapachowi Katharine. Przeszłość zniknęła, odpłynęła w ciemność, jak dziecięcy koszmar.

Sebastian wiedział, że nareszcie zwyciężył.

RS

Rozdział 25

Trwały próby do „Wroga ludu”. Atmosfera rywalizacji i pełnej mobilizacji, która niegdyś towarzyszyła przygotowaniom do sztuki Tennessee Williamsa, tu, w Londynie, panowała niemal niepodzielnie. Z początku Katharine czuła się niepewnie pracując u boku Sama. Wiedziała, że gdyby nie przyjazd Davida do Londynu, cieszyłoby ją to nowe wyzwanie. Nie mogła jednak pozbyć się obawy, że Sam wie o nocy spędzonej z Davidem. Nie zapomniała o wspomnianych przez Davida zastrzeżeniach, jakie Sam miał wobec Sebastiana. Jednak gdy minął pierwszy tydzień prób, Katharine nie miała wątpliwości, że Sam tylko się o nią troszczy. Jeśli jest szczęśliwa ze mężem, to Sama to cieszy. Nie był jej wrogiem, uzmysłowiła sobie więc, że nigdy by jej nie zdradził.

Przez pierwsze cztery tygodnie próby odbywały się w Wyndham's Theatre przy Charing Cross Road. Zespół usiłował znaleźć swoje miejsce w obcych dekoracjach z innego przedstawienia, które właśnie tam wystawiano. Katharine od dawna nie czuła się tak szczęśliwa. W teatrze była skupiona. Zachwycali ją poświęcenie i profesjonalizm całego zespołu. Czuła, że niewiele jest rzeczy równie fascynujących, jak to połączenie wyobraźni i intelektu, ciężkiej, fizycznej pracy i kuglarstwa.

Wydawało się, że Sebastian również był z niej dumny. Obsypywał ją pochwałami za każdym razem, kiedy był obecny na próbie. Prawo obecności na próbach wynegocjował u Petera Marcha, mimo sprzeciwu Noela Harveya. Sebastian zawsze cicho siadywał na widowni, nikomu nic nie mówiąc.

- On jest dla mnie taki dobry - powiedziała Katharine Virginii. - Doskonały agent i idealny mąż.

- Od dawna nie wyglądał na tak szczęśliwego - zgodziła się Virginia. - Przed wyjazdem do Los Angeles wydawał się trochę spięty.

- Oboje byliśmy zdenerwowani - zwierzyła się jej Katharine. - Martwiłam się, że kiedy zaczną się próby, mogą wyniknąć jakieś kłopoty w domu. Ale jest wspaniale. Bo jestem w Londynie. Te nasze rozstania były nie do zniesienia.

To wszystko już przeszłość.

Sądzę, że tak.

Przedstawienie dla krytyki odbyło się w drugi wtorek października, w Albery, po trzech próbach generalnych i czterech prapremierach. Dzień był przepiękny. Katharine była kłębkim nerwów, ale Sebastian zachowywał się wspaniale - był spokojny i dumny. Bezbłędnie odgadywał, kiedy Katharine potrzebuje pocieszenia, a kiedy chce być sama. Wysłał jej różę i piękny telegram. Gdy wróciła do garderoby, znalazła kolejne telegramy: od Laszlo i Betty, Dixie, Virginii, Henrika oraz od... Davida.

- Czy wszystko w porządku, kochanie? - zapytał Sam, zaglądając przez uchylone drzwi.

- Nie bardzo.

- U mnie też nie najlepiej.

- Jak ty to wytrzymujesz? - zapytała go Katharine oskarżycielskim tonem.

- Jestem wariatem, kochanie. Wszyscy aktorzy są wariatami.

Na trzydzieści minut przed wejściem na scenę Katharine nienawidziła Sebastiana. Nie znosiła go za to, że kazał jej to robić, że zmusił ją, by przeżywała ten śmiertelny strach. A potem, kiedy Petra zeszła ze sceny po raz pierwszy i przygotowywała się do powtórnego wejścia, kochała go, błogosławiła go za tę jego intuicję i wiarę w nią. Bo miał rację - och, miał naprawdę rację!

A później, po spektaklu, Sebastian wziął ją za rękę.

- Chodźmy na spacer - powiedział.

- Jestem trochę zmęczona - odparła Katharine.

- Musimy, aniele... tylko kawalek.

Oddalili się od Covent Garden i poszli wzdłuż St Martini Lane. Nie musiał jej przypominać, bowiem Katharine nigdy nie zapomniała tej jedynej nocy po premierze na Broadwayu, kiedy spacerowali ulicami Nowego Jorku, a ona miała na nogach te, cudowne, złote sandały na wysokich obcasach.

- Jesteś dzisiaj bardzo romantyczny - odezwała się.
- Chyba ci to nie przeszkadza?
- Co za pytanie.

Sebastian zatrzymał taksówkę.

- A co z samochodem? - spytała Katharine. Mąż zostawił astona martina na parkingu w pobliżu Leicester Square.

- Za dużo szampana. Przyprawdzą go jutro rano.
- Nic się z nim nie stanie?

Uśmiechnął się do niej.

- A kto by się tym przejmował? Chcę po prostu zawieźć cię do domu.

Całe zmęczenie Katharine zniknęło, a kiedy wrócili do domu, Sebastian dorzucił do kominka w salonie nowe polana, rozebrał ją, potem sam zdjął ubranie. Kochali się na siedemnastowiecznym dywanie z Savonnerie, który kupili poprzedniego roku w Gstaad. I Katharine poczuła wdzięczność za to, że jej mąż jest tak czarującym i fascynującym mężczyzną. Pomyślała, że kiedy przeżywa się takie wzloty, muszą też być upadki. Wpatrując się w płomień, poprzysięgła sobie, że kiedy złe chwile nadejdą, to je przezwycięży.

Szczyście trwało przez cały czas wystawiania sztuki. Rozkład pracy Katharine nie był bardzo napięty w przeciwieństwie do harmonogramu zajęć Sama. Miała dwutygodniową przerwę przed planowanym rozpoczęciem prób do „Heddy Gabler”. Sam pojechał do Nowego Jorku na dwa tygodnie z prezentami i listami od Katharine dla Laszlo, Betty i Dixie. Zaś Virginia, z lekko zaróżowionymi policzkami, powiadomiła ją, że Henrik, z którym korespondowała niemal od roku, zaprosił ją do Kopenhagi, a ona przyjęła zaproszenie.

- Oczywiście, nie będę mieszkać u niego.
- Dlaczego?

- Henrik twierdzi, że hotel d'Angleterre jest bardzo przyjemny.

- Nie mieszkałam tam, ale jadałam w ich restauracjach. Prezentował się wspaniale.

Virginia zawahała się.

- Czy na pewno nie masz nic przeciwko temu?

- A dlaczego, u licha, miałabym mieć?!

- Myślałam tylko... - jej zaróżowione policzki teraz już mocno się zaczerwieniły. - Henrik jest twoim wujem... Chcę być pewna....

- Że ja to akceptuję? - Katharine patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

- Nie śmieję się ze mnie, kochanie.

- Wcale się nie śmieję. Po prostu to, że ty i Henrik będziecie razem, wydaje mi się wspaniale.

My nie zamierzamy być razem - odparła Virginia. - Chcemy tylko spędzić ze sobą trochę czasu.

- Oczywiście - Katharine roześmiała się.

- Drwisz ze mnie - obraziła się Virginia.

- Nie śmieję się. Jestem tylko szczęśliwa.

Dwudziestego dziewiątego listopada rozpoczęły się próby do „Heddy Gabler”. Wbrew radom Sebastiana, by Katharine nie bagatelizowała znaczenia dublowania roli, sprawiało jej przyjemność to, że może się odprężyć i patrzeć na wszystko, co się dzieje, z większego dystansu, bez napięcia odczuwanego przez aktorów z głównej obsady. Dla dublerów miały odbywać się osobne próby, zaś Noel Harvey pouczył Katharine, by bacznie słuchała wszelkich instrukcji, dawanych aktorom na scenie, oraz aby na bieżąco nanosiła wszystkie uwagi na swój egzemplarz scenariusza.

W drugi poniedziałek od rozpoczęcia przygotowań do wystawienia „Heddy” Sebastian i Jeremy przyszli obejrzeć próbę, w której uczestniczyli już wszyscy aktorzy. Po raz pierwszy zobaczyli, jak Barbara wciela się w rolę. Rzeczywiście aktorka była w znakomitej formie. Z sięgającymi do ramion rudymi włosami, z wyrazistymi gestami i mocnym głosem prezentowała się wspaniale.

- Boże, ona jest dobra - powiedział Jeremy.

Sebastian milczał.

- Co o niej myślisz, Seb? - wyszeptał Jeremy.

Sebastian tylko ledwo dostrzegalnie skinął głową.

Na scenie trwała praca nad pierwszym aktem. Lalla Bates jako pani Elvsted dawała wyraz najwyższemu zdenerwowaniu, podczas gdy Hedda - Barbara - igrała z nią. Noel Harvey pozwalał im kierować swoimi postaciami, prawie wcale nie przerywając i samemu dobrze się bawiąc. Również Jeremy z przyjemnością oglądał próbę, po raz kolejny ciesząc się wybornie dobraną obsadą. Nagle uświadomił sobie, że z Sebastianem coś jest nie w porządku. Spojrzał na niego i zobaczył pobladłą twarz przyjaciela i mocno zaciśnięte szczęki.

- Seb? - Ponieważ nie było odpowiedzi, Jeremy dotknął jego ramienia. Sebastian podskoczył. - Co się stało?

Sebastian pokręcił głową, ale wciąż się nie odzywał. Podniósł prawą rękę do czoła, jakby bolała go głowa. Jeremy zauważył, że jego ręka lekko drży.

- Boli cię głowa?

- Koszmarnie - przytaknął Sebastian.

- Chcesz wyjść? - szepnął Jeremy.

Sebastian milczał.

- Seb, chodźmy stąd.

Na Charing Cross Road Sebastian oparł się o ścianę teatru, głęboko oddychając. Po chwili wyprostował się.

- Już lepiej.

- Co ci było?

- Ból głowy. Już mówiłem. - Sebastian zaczął iść w stronę swojego samochodu, stojącego na płatnym parkingu za rogiem.

- Czujesz się na tyle dobrze, żeby prowadzić? - spytał Jeremy.

- Jasne.

Dotarli do samochodu i Sebastian otworzył drzwi od strony kierowcy.

- Chyba nie wrócę do biura.

- To dobry pomysł, jedź prosto do domu. - Jeremy przypatrywał się twarzy przyjaciela. - Wciąż jesteś bardzo blady, Seb. Może ja poprowadzę?

- Dlaczego?

- No dobrze, ale chyba pojedę z tobą do Hampstead.

Sebastian popatrzył na niego niezdecydowanie.

- Po co?

- Taki drobny interes. Myślałem, że może porozmawiamy przy drinku, odpreżymy się.

Sebastian wzruszył ramionami i usiadł za kierownicą.

- No to chodź.

Stało się to niecałe dwa kilometry od Hampstead.

Jechali bardzo szybko wzdłuż East Heath Road. Sebastian często przekraczał dozwoloną prędkość. Uwielbiał szybkie samochody. Jednak na ogół jeździł dobrze i ostrożnie, zważając na warunki na drodze i na własne nastroje, trafnie oceniając miejsca potencjalnie niebezpieczne. Tego popołudnia, jak zauważył Jeremy, Sebastian pędził, jakby szybka jazda była celem samym w sobie. Popelniał błędy i prowadził niebezpiecznie. Ale byli już blisko domu i Jeremy pozostawił Sebastiana jego własnym myślom. Aż do momentu, kiedy na jednym z zakrętów, na wzgórzu, Sebastian stracił kontrolę nad kierownicą i zaczął gwałtownie hamować. Aston wpadł w poślizg, wjechał na pas dla jadących w przeciwnym kierunku i uderzył w betonową latarnię.

- Cholera! - zaklął Jeremy.

Uniknęli najgorszego. Jeden bok samochodu był wgnieciony, przedni reflektor zupełnie zmiażdżony, ale żadnemu z pasażerów nic się nie stało. Obydwaj mieli zapięte pasy.

-Seb?

Jeremy czekał, aż Sebastian coś powie, zacznie kląć, wyjdzie z samochodu, by popatrzeć na zniszczenia. Lecz przyjaciel nadal siedział bez ruchu za kierownicą. A kiedy Jeremy znów na niego spojrział, zobaczył, że przyjaciel jest błydy jak ściana. Miał zamknięte oczy i oddychał głęboko, przez nos, tak jakby coś wachał. Lecz to, co naprawdę zaniepokoiło Jeremy'ego, to fakt, że Sebastian się uśmiechał...

- Sebastianie?

Przyjaciel otworzył oczy, ale patrzył tak, jakby nic nie widział.

- Sebastianie! - powtórzył Jeremy, tym razem ostrzej.

Sebastian zamrugał oczyma. Siedział sztywno na swoim siedzeniu. I Jeremy, przerażony, zdał sobie sprawę, że jego przyjaciel ma jakiś atak, napad drgawek. Nie miał pojęcia, co z nim, u licha, począć.

- Seb! Przestań!

Jeremy odpiął swój pas, a potem pas Sebastiana. Lecz przyjaciel nadal siedział sztywno, a jego powieki wciąż drgały w szalonym tempie. Jeremy wpadł w panikę. Chciał złapać przyjaciela za ramiona i potrząsnąć nim mocno. Nie wiedział, jak mu pomóc. A Sebastian po prostu siedział i mrugał, podczas gdy reszta jego ciała pozostawała w bezruchu. Równie dobrze mógłby być martwy!

I właśnie wtedy to się skończyło. Rzęsy przestały trzepotać, w spojrzeniu pojawiła się koncentracja. Sebastian powoli odwrócił głowę, by popatrzeć na Jeremy'ego. Przez jedną, krótką chwilę był oszołomiony, potem zaskoczony. Następnie spojrzał na przód samochodu, na rozbitą latarnię i po raz pierwszy od chwili zderzenia odezwał się:

- Kurwa mać.

Była to tak normalna reakcja, że Jeremy wybuchnął śmiechem.

- Z czego się, do cholery jasnej, śmiesz? - Sebastian popatrzył na niego zdumiony. - Jerry, na miłość boską...

Wtedy i on zaczął się śmiać. A kiedy już zaczął, nie mógł przestać. Rozbolały go żebra i prawie nie był w stanie złapać tchu. Dopiero po kilku minutach zdołał otworzyć drzwi i dokładnie ocenić zniszczenia.

Przyjechała policja wezwana przez jakiegoś przechodnia. Dwaj policjanci chcieli usłyszeć, co dokładnie się stało. Sebastian powiedział, że jechał za szybko, wpadł w poślizg i, niestety, to było wszystko. Policjanci wyjęli alkomat i uprzejmie poprosili, by w niego dmuchnął. Sebastian nie pił jednak nic od poprzedniego wieczora, a i to ograniczył się do jednej szkockiej. Oficerowie spisali jego dane, obejrzelili prawo jazdy i ubezpieczenie, a gdy upewnili się, że samochód nie będzie stwarzał zagrożenia, pozwolili im odjechać.

Kiedy dotarli do Dębów i weszli do domu, Sebastian znów był roztrzęsiony. Jeremy zdał sobie sprawę, że nie jest to właści-

wy moment, by rozmawiać z nim o tamtym ataku. Obawiał się, że rozmowa może wręcz sprowokować kolejny napad drgawek.

- Coś się stało? - Ellie wychyliła się z kuchni, wycierając ręce w ściereczkę.

- Drobnny wypadek - prędko odpowiedział Jeremy. - Nie ma powodu do zmartwienia.

- Nic wam się nie stało? - zapytała z niepokojem.

- Ani jednego zadrapania, Ellie - zapewnił ją Sebastian. - Tylko astone ma wgnieciony bok.

- Nastawię wodę na herbatę - zaproponowała.

- Nie - zaproponował Sebastian. - Żadnej herbaty, Ellie, dziękuję.

- Myślałem przez chwilę, że się rozchorowałeś - mówił Jeremy. - Może złapałeś grypę?

Sebastian wzruszył ramionami.

- Może.

- Chodźmy na górę. - Jeremy położył mu rękę na ramieniu.

- Dam sobie radę, Jerry. - Sebastian zaczął iść w stronę schodów.

- Oczywiście - zgodził się Jeremy, lecz i tak ruszył za nim.

- Zawołacie mnie, jeśli będziecie czegoś potrzebować? - spytała Ellie.

- Tak, Ellie - zapewnił Sebastian. - Nie martw się, czuję się dobrze.

Było mu zimno, i chociaż bolała go głowa, chciał wziąć gorący prysznic. Jeremy szedł blisko niego. Mówił spokojnie, próbował zachowywać się naturalnie. Bał się zostawić Sebastiana. Wciąż się o niego niepokoił. Bowiem nawet ten śmiech przed przyjazdem policji nie był ani normalny, ani stosowny w tej sytuacji.

- Czy nie jesteś gdzieś umówiony, Jerry?

- Nigdzie się nie śpieszę.

Po tej odpowiedzi Sebastian nie sprzeciwiał się już obecności Jeremy'ego. Czuł się z nim swobodnie. I tak bardzo był zmęczony. Jeremy patrzył, jak przyjaciel się rozbiera. Nie widział Sebastiana nagiego od czasów szkolnych. Poczował ucisk w gardle, gdy zobaczył, że Sebastian wciąż jest piękny, że ma smukłą, mocną sylwetkę, że jest szczupły i harmonijnie zbudowany.

- Chcesz drinka? - lekkim tonem spytał Sebastian.

- Nie, dzięki.

- Patrząc tak na przyjaciela, Jeremy wiedział, że natychmiast musi pokrzepić się szklaneczką czegoś mocniejszego. Ale czuł, że przede wszystkim musi zostać tu, w tym pokoju i pilnować Sebastiana. Wspomnienie tamtego ataku wciąż było zbyt świeże. I przerażające.

- Zatem wezmę prysznic. Wejdz, możemy pogadać.

Jeremy poszedł z nim do łazienki.

- Co robi Kate dziś po południu?

- Idzie na jakąś lekcję.

Sebastian odkręcił wodę, ręką sprawdził temperaturę, po czym wszedł pod silny, parujący strumień. Nagle pośliznął się na mokrych kafelkach. Zachwiał się. Jeremy skoczył do przodu i w samą porę znalazł się pod prysznicem przy Sebastianie. Podtrzymał go, chwycił w pasie.

Już w porządku - powiedział Sebastian.

- Wcale nie.

- Tylko trochę uginają się pode mną nogi. - Sebastian uśmiechnął się słabo. - Zniszczysz sobie ubranie.

- Nic nie szkodzi.

- Przez te kilka sekund, nim zakręcili kurek, Jeremy - z mokrymi włosami, z koszulą, spodniami, nawet butami nasiąkniętymi wodą - przytrzymał Sebastiana, obejmując go. Czuł jego siłę, smukłą sylwetkę, delikatną skórę. I ta tęsknota, głód, pragnienie, te całe lata czekania, trzymania się w korbach, to wszystko wybuchło w nim teraz żywym ogniem. Bał się, że Sebastian zauważy jego wzwód, nie potrafił jednak wypuścić przyjaciela z objęć.

Wtedy Sebastian wyciągnął rękę i zakręcił wodę.

- W porządku - ochryłym głosem odezwał się Jeremy.

Wprowadził Sebastiana spod prysznic.

- Teraz już dobrze - powiedział Sebastian.

- Jeszcze nie. - Jeremy jednym rącznikiem owinał go w pasie, a drugim otulił mu ramiona. - Chodź. - Pomógł mu przejść z łazienki do sypialni.

- Już dobrze się czuję, Jerry - głos Sebastiana brzmiał pewniej. - Ociekasz wodą i zalewasz dywan.

Jeremy cofnął się i spojrzał na niego. Stwierdził, że przy-

jacielowi na tyle wróciły siły, by mógł sam się wytrzeć. Gdy Sebastian był już suchy, rzucił ręczniki na podłogę, ściągnął z łóżka narzutę i nagi zanurzył się w pościeli.

- Lepiej włóż jakieś moje ubranie - powiedział Sebastian.

- Tak. Dzięki, Seb. - Wrócił do łazienki. Odwrócił się jeszcze. - Seb?

- Mmm?

- Jeśli do rana nie poczujesz się dobrze, zostań w domu i powiedz Kate, żeby wezwała lekarza, dobrze?

- Mmm.

Sebastian ociężale podniósł rękę w geście podziękowania. Jego oczy już się zamykały, ogarniała go senność. I zasnął normalnym, zdrowym snem. Zaś Jeremy prędko poszedł do garderoby, żeby zdjąć mokre ubranie i przebrać się, po czym— równie szybko wyszedł. Z ulgą opuszczał ten dom. Nie mógł pozostać w tym samym pokoju, w tym samym domu co Sebastian ani chwili dłużej.

Kiedy następnego ranka Jeremy przyszedł do pracy, Sebastian już od półtorej godziny siedział przy swoim biurku.

- Jak się czujesz? - spytał Jeremy, siadając.

- Świetnie. A u ciebie w porządku?

- Jasne. - Jeremy przyjrzał mu się uważniej. Sebastian wyglądał jak okaz zdrowia. Jego błękitne oczy jak zwykle patrzyły ostro i badawczo, a skóra, normalnego koloru, nie zdradzała ani trochę wczorajszej bladości. - Ból głowy minął?

- Przespałem go. - Sebastian się uśmiechnął. - Spałem całą wieczór. Nie obudziłem się nawet, kiedy Katharine wróciła do domu.

- Więc miałeś dobrą noc?

- Przecież właśnie ci mówię. - Sebastian spojrzał na niego z ciekawością. - Coś nie tak, Jerry?

- Nie, oczywiście, że nie. - Jeremy zawahał się. - Tylko że ten wypadek... chyba nieźle cię zdenerwował...

- Wcale nie - Sebastian wzruszył ramionami. - Zdenerwowałem się tylko, bo to ty powinieneś być prowadzić.

- Nigdy nie ufałeś mi jako kierowcy - obojętnie odparł Jeremy. Wstał i zaczął iść w stronę drzwi, jednak zatrzymał się. - Pamiętasz, co stało się potem?

- Potem?
 - Po zderzeniu.
 - O co dokładnie ci chodzi? - Sebastian zmarszczył czoło.
- Jerry, o co próbujesz mnie spytać? O policję...? Masz na myśli ten napad hysterii?
- Tak - ostrożnie przytaknął Jeremy.
 - To ty mnie sprowokowałeś. - Sebastian pokręcił głową, uśmiechając się na samo wspomnienie. - Od lat tak się nie uśmiełem. To pewnie przez ten szok.
 - Tak - powtórzył Jeremy. - Pewnie tak.

Po trzech kolejnych bezsennych nocach Jeremy odwiedził swojego lekarza, Douglasa Lenera.

- Martwię się o mojego przyjaciela, Doug - powiedział.
- Dlaczego?
- Myślę, że miał jakiś atak kilka dni temu. Widziałem to, ale on chyba niczego nie pamięta.
- Czy to zdarzyło się już wcześniej? - zapytał doktor Lerner.
- Nie wiem. Nie rozmawialiśmy o tym. Chciałem najpierw kogoś zapytać, żeby dowiedzieć się, czy jest się czym martwić. Teraz chyba wszystko z nim w porządku.
- To nie do mnie powinieneś się zwrócić, Jeremy.
- Do specjalisty?
- Powiedziałbym, że do neurologa.
- Możesz mi kogoś polecić?
- Oczywiście - Lerner zawahał się. - Chociaż w gruncie rzeczy to będzie strata czasu i pieniędzy. Jeśli pacjent nie stawi się osobiście.
- Jeśli wciąż będę się niepokoił, to po konsultacji z neurologiem porozmawiam o tym z przyjacielem - odparł Jeremy.

- Zdaje pan sobie sprawę, że ta konsultacja nie ma większego sensu? - Joyce Osborne, neurolog, uśmiechnęła się do niego. Była to elegancka, spokojnie mówiąca Szkotka w wieku około

pięćdziesięciu lat, z czarnymi, przetykanymi siwizną włosami.

RS

- Naturalnie, wiem, że możliwości są ograniczone - przytaknął Jeremy. - Ale może, jeśli opiszę objawy, które sam widziałem, zechce mi pani powiedzieć, z czym się to może wiązać.

- Ściśle rzecz biorąc, to jest nieetyczne.

- Oczywiście, że tak by było, gdyby mój przyjaciel był pani pacjentem. Ale nie jest. - Jeremy spojrział na nią. - Proszę.

Niewiele było do opisywania: sam atak, jeśli to był atak, wcześniej ból głowy - same bóle głowy, co Jeremy wiedział, zdarzały się Sebastianowi dość regularnie - histeryczny śmiech, a na koniec - krańcowe wyczerpanie.

- On bardzo się kontroluje. Ale wówczas zupełnie stracił panowanie nad sobą. Nie mam pewności, czy to właśnie było przyczyną wypadku. Może atak nastąpił z powodu wypadku?

Czy to bardzo nerwowy człowiek?

Czasami. Odnosi wielkie sukcesy, żyje w napięciu... Powiedziałbym, że od około roku przeżywa wzloty i upadki.

- Ale, o ile panu wiadomo, był to pierwszy taki napad?

- Tak.

Joyce Osborne usiadła głębiej w fotelu.

- Rozumiem pana zatroskanie - powiedziała.

- A czy pani nie wydaje się to wszystko niepokojące? - spytał Jeremy.

- Nieszczególnie - uśmiechnęła się do niego życzliwie. - Pana opis mógłby wskazywać na pseudopadaczkę, może to być prostu nagłym zaburzeniem równowagi elektrostatycznej mózgu.

- Czy to poważne?

- Niekoniecznie. W przypadku tego rodzaju ataku to nietypowe, lecz zdarza się, że objawy zewnętrzne są skąpe i ograniczają się do ledwie zauważalnych skurczów mięśni twarzy lub, zgodnie z pana opisem, do przymusowego mrugania. Zdarza się również tak, że w czasie napadu lub przed nim występują jakieś silne przeżycia. Może to być strach, mogą to być halucynacje. Czy sądzi pan, że tak było w tym przypadku?

- Trudno stwierdzić - odparł Jeremy. - Jediną rzeczą, do której się przyznał, był ból głowy i uczucie zmęczenia. - Spojrział na lekarzkę. - Wiem, że nie może pani postawić diag-

noży, ale czy nie zechciałaby mi pani powiedzieć, co może być przyczyną takiego ataku?

- Cokolwiek - odparła Osborne. - Wszelkie problemy zdrowotne czy neurologiczne, poczynając od urazu głowy, poprzez alkoholizm i padaczkę, a skończywszy na guzie mózgu. Panie Mariner, przeciąganie tej rozmowy nie jest ani możliwe, ani rozsądne. Przyczyną tego drobnego incydentu, jeśli zdarzył się tylko raz, mógł być niegroźny szok powypadkowy, nic więcej.

- Naprawdę?

- Tak, absolutnie. - Ponownie uśmiechnęła się do niego. - Proponuję, żeby obserwował pan swojego przyjaciela przez tydzień lub dwa. Proszę w miarę możliwości nie reagować przesadnie ani nie wyciągać zbyt pochopnych wniosków.

- Chyba tyle mogę zrobić - stwierdził Jeremy.

- Jeśli zdarzy się coś, co uzna pan za ważne, będzie pan musiał przekonać przyjaciela, by odwiedził swojego lekarza. Ale jeśli nic takiego nie nastąpi, z całym przekonaniem zalecam, by wymazał pan ten incydent z pamięci.

Podczas gdy Jeremy próbował, tak dyskretnie, jak tylko było to możliwe, obserwować Sebastiana, Katharine, zajęta teraz próbami do „Heddy Gabler”, czuła, że jej małżeństwo znów wymyka jej się z rąk. Radość i duma, z jakimi Sebastian oglądał jej przygotowania, a potem grę w pierwszej sztuce Ibsena, gdzieś zniknęły. Już nie przychodził na próby. W jej towarzystwie był jakby bardziej milczący, niemal przygnębiony. Często bywał szorstki, a czasem nieuprzejmy, co było dla niego niezwykle.

- Czy mógłbyś przećwiczyć ze mną jedną scenę, najdroższy? - poprosiła go Katharine któregoś wieczora po kolacji.

- Nie mam czasu - odpowiedział Sebastian, nie podnosząc oczu znad papierów, które przeglądał.

- To zajęłoby tylko parę minut - nalegała. - To krótka scena z ostatniego aktu, kiedy Hedda jest sama z sędzią. Chyba nie do końca się w to wczuwam.

- Powiedziałem przecież, że nie mam czasu - Sebastian powtórzył sucho, a w jego głosie brzmiało zdenerwowanie.

- Ile czasu potrzeba, żeby przeczytać jedną, krótką scenę?

- Na miłość boską! - Sebastian podniósł się gwałtownie, rzucając papiery na dywan. Katharine przeraziła się. – Gdzie muszę się schować, żeby mieć w tym domu odrobinę spokoju? - przeszył ją gniewnym wzrokiem i zacisnął pięści.

- Przepraszam. - Katharine była poruszona, ale mówiła chłodno. - Kiedyś okazywałeś zainteresowanie moją pracą. Na Boga, sam mnie do tego pchałeś.

- Wszyscy popełniamy błędy.

- Sebastianie! Co się z tobą dzieje?!

- Nic - pokręcił głową. - Przepraszam. Po prostu zostaw mnie w spokoju.

Katharine czuła ból, zdumienie i rosnący gniew. Nie pojmowała, dlaczego się od niej oddalił. Nie wiedziała, co ma z tym począć.

Sebastian sam tego nie rozumiał. Wiedział, że najbardziej na świecie pragnie tego, by Katharine dostała rolę Heddy. Teraz jednak był pewien, że się pogodził z tym rozczarowaniem. Najbardziej zadziwiające było to, że im bardziej Katharine angażowała się w sztukę, co było przecież naturalne, tym bardziej odczuwał w sobie opór graniczący z gniewem. Kiedy pracowała w domu i prosiła go o radę, on, ku własnemu zdziwieniu, czuł się jak ojciec wobec dziecka. Lecz zamiast niewinności i piękna, nie wiedzieć dlaczego, dostrzegał w nim jedynie brzydotę.

Dziesięć dni po wypadku samochodowym, w czwartkowy wieczór, kiedy Katharine była w mieście na kolacji z Barbarą Stone, Sebastian natknął się na jej egzemplarz scenariusza do „Heddy Gabler”, leżący na stoliku kawowym w salonie.

Wziął go do ręki i otworzył. Pierwszą, niezadrukowaną stronę gęsto pokrywały uwagi Katharine, zapisane jej wyraźnym pismem. Sebastian przekartkował kilka stron, aż jego wzrok padł na pierwsze linijki zaznaczone na czerwono:

Dzień dobry, droga pani! Tak wcześnie z wizytą? To rzeczywiście bardzo miło z pani strony*.

* „Hedda Gabler”, przeł. Józef Giebułtowicz; (w:) Henryk Ibsen, „Wybór dramatów”, Wrocław 1984, cz. II, str. 778.

Obojętne, białe słowa, a jednak przywodziły Sebastiano-
wi na myśl jakieś niejasne wspomnienie, które po chwili uto-
nęło w mgle. Szybko przerzucał kolejne strony, zagłębiając
się w tekst. Czuł, jak w jego żołądku zaciska się węzeł, jak
coś ściska mu głowę, jak przyspiesza tętno...

Palę twoje dziecko, Theo! - czytał. - O ty, z falistymi włosami!...*

Rozbłysło kolejne wspomnienie, wyraźniejsze od poprzed-
niego. Zraniło go. Zamachnął się skryptem i rzucił go w ogień.
Płomienie opadły, przyczały się na sekundę lub dwie, po
czym żywo strzeliły w górę, chciwie liżąc poczerniałe kartki.
Kiedy okładka się stopiła, a papier począł kruszyć się, popie-
lić, Sebastian poczuł ulgę, która jak balsam koła jego ból.

Kiedy było po wszystkim, Sebastian zgasił ogień i światła
i poszedł na górę, zamierzając położyć się do łóżka. Lecz na-
gle poczuł oszołomienie i jakieś dziwnie mrowienie w no-
gach. Wiedział, że jest zbyt poruszony i że nie zaśnie. Przed
drzwiami sypialni zawrócił i ruszył korytarzem w kierunku
pokoju, do którego rzadko zaglądał.

Gdy tylko Sebastian otworzył drzwi, uderzył go chłód tego
od wielu lat niezamieszkanego pokoju. Dawno już ściągnięto
zasłony, lecz w oknach wciąż jeszcze były kraty - śliczne,
z miłością zaprojektowane i wyrzeźbione niedźwiadki, które
miały ochraniać małego chłopczyka.

Sebastian cicho zamknął za sobą drzwi i podszedł do
okna. Księżyc wyszedł na chwilę zza ciemnych, pędzących
chmur i rzucił snop promieni. Promienie te jak palce zache-
cająco wskazały na miękko wyściełany, bujany fotel na środ-
ku pokoju, tam gdzie niegdyś stało łóżeczko chłopca. Seba-
stian usiadł w fotelu i powoli zaczął się bujać. W przód
i w tył... w tył... ruchem monotonnym, hipnotyzującym... Opa-
dły mu powieki...

Raptem obudził go odgłos wiatru, niepokojąco szarpiące-
go gałęzie starych dębów tuż za oknami pokoju dziecinnego.
Silny, ulewny deszcz uderzał o szyby. Drzewa pod oknami po-
chylały się i jęczały, rzucając na ściany i podłogę cienie -

* *Op.cit.*, s. 928.

czarne, pokrzywione, dziwaczne kształty. Niby długie, pulsujące macki podpełzały do stóp, po czym umykały. Sebastian poczuł strach, lecz nie wiedział, czego się boi. Na czoło wystąpił mu zimny pot, a serce waliło jak młotem. Wtem wyraźnie przypomniał sobie tamten dawny, pierwszy smak lęku i samotności. Czuł potworną pustkę swojego terażniejszego życia.

Nie zniosę tego - pomyślał.

Sebastian zeskoczył z fotela, a stukot porzuconego bujaka zawtórował jękowi drzew i wyciu wiatru. Otworzył drzwi i wypadł na korytarz. Zbiegł po schodach, do drzwi wejściowych. Tam na chwilę zatrzymał się, próbując się opanować, po czym otworzył i te drzwi. Wybiegł z domu.

Powietrze było zimne, lecz cudownie świeże, pachnące deszczem, trawą i gliną. Za skąpo oświetlonym podjazdem i pustą drogą rozciągało się wrzosowisko, czarne jak atrament i groźne, lecz w tej chwili dające nadzieję ucieczki.

Powoli, równym krokiem przeszedł przez drogę i wdrapał się na nasyp, porośnięty mokrą trawą i pokrzywami. Na East Heath Road światła reflektorów jakiegoś samochodu, który w oddali pokonywał wzgórze, nagle skierowały się na niego i wyłuskały go z ciemności, jakby brały go na cel. Po chwili zgasły, a on brnął dalej w mrok. Patrzył w niebo. Oczy przywykły do ciemności i wtem wydało mu się, że chmury i zamglony, rozmyty księżyc ofiarują mu pomoc.

Padł na kolana. Wiatr chłostał mu twarz, a deszcz wbijał igielki w jego ciało i oczy, oślepiając go. Sebastian dotykał rękami twarzy, jak ślepiec badający rysy obcego. Pod oczami palce wyczuły wilgotne ciepło. Zdał sobie sprawę, że płacze. Łzy płynęły mu po policzkach. Przez chwilę poddał się temu dziecinnemu łkaniu. Nie odrywając rąk od twarzy, czując na dłoniach smak łez, szlochał razem z wiatrem.

Nagle przestał. Wstał z westchnieniem i pomyślał: To szaleństwo! Zwariowałem!

Powoli odwrócił się, sprawdził, gdzie jest. I choć wciąż jeszcze odczuwał ból, nieznośne cierpienie i strach zniknęły. Już czas wracać do domu. Było mu bardzo zimno, ubranie miał pobrudzone błotem. Znów zaczął iść w stronę światła widocznych w oddali. Szedł coraz szybciej, krokiem człowie-

ka, który wyszedł na spacer. Jakby nie było nic dziwnego w tym, że mężczyzna, ubrany w sweter i dżinsy, klęka gdzieś na targanym burzą wrzosowisku, w samym środku nocy. Idąc, oddychał głęboko, płuca wypełniały się zimnym, wilgotnym powietrzem. Maszerował coraz bardziej zamaszyście, zdecydowanie pokonał wysoką trawę i przydrożny nasyp. Znalazł się na drodze prowadzącej do posiadłości.

Zbliżając się do domu, zatrzymał się nagle. Drzwi wejściowe były otwarte i fala światła zalewała podjazd. W drzwiach widoczna była jakaś postać. Sebastian wstrzymał oddech. Postać ta była biała jak widmo, eteryczna i ulotna. Strach boleśnie chwycił Sebastiana za serce.

- Sebastianie?

Drgnął na dźwięk swojego imienia. Poczul ogromną ulgę. Uzmysłował sobie absurdalność własnego zachowania. Wszedł na podjazd i usłyszał uspokajający chrzęst swoich kroków na żwirze.

- Sebastianie! Gdzie byłeś?!

Katharine stała na progu w kremowej, jedwabnej koszulce nocnej. Dygotała skulona, daremnie broniąc się przed zimnem. Jej twarz była blada. Gdy Sebastian zobaczył, jak strach rozszerzył jej bursztynowe oczy, jak lecą z nich strumieniem łzy, opadły go wyrzuty sumienia.

- Poszedłem na spacer - powiedział. Objął ją ramieniem, lecz prędko cofnął rękę, widząc, że błoto z rękawa poplamilo jasny jedwab. - Przepraszam, upadłem.

- Coś ci się stało? - Weszli do środka i Katharine zamknęła drzwi. - Sebastianie, co ty robiłeś? Spacerowałeś w taką pogodę?

- Nie wiedziałem, że jesteś w domu.

- Wróciłam niedawno. Myślałam, że cię nie ma, więc się rozebrałam. Ale wtedy zobaczyłam twój neseser i klucze. - Oczy miała ciągle szeroko otwarte. - Wszędzie cię szukałam, w domu, w ogrodzie. I wtedy miałam to potworne przeczucie...

- Jakie przeczucie? - spytał.

- Zaczęłam bać się o ciebie. Podeszłam do drzwi wejściowych, otworzyłam je... I wtedy cię zobaczyłam.

Uśmiechnął się.

- Przez chwilę myślałem, że jesteś duchem.
- To pewnie taka noc... - powiedziała.

Sebastianem targały dreszcze i Katharine, widząc, że jest cały przemoczony, kazała mu iść na górę. Posłusznie poszedł za nią. Podczas gdy ściągał ubranie, ona odkręciła kurek nad wanną i przyniosła z bielizniarki dwa duże ręczniki kąpielowe. Sebastian siedział w szlafroku na krawędzi łóżka. Katharine zaprowadziła go do łazienki.

Przez parę dni myślała, że chyba już nigdy więcej nie zdobędzie się na czułość wobec niego, bo ostatnio jego zachowanie było niewybaczalne. Teraz jednak, kiedy Sebastian zanurzył się w parującej wodzie, wzięła duży kawałek mydła i delikatnie zaczęła go myć, nacierając mu ramiona i kark, rozmasowując małe, twarde zgrubienia pod skórą. Milczała.

Po chwili z trudem wstał i wyszedł z wanny, a ona czekała i patrzyła, jak wyciera się dużymi, ciepłymi ręcznikami, już spokojny i cichy. Tylko raz przerwał, żeby bez słowa dotknąć jej ramienia w geście wdzięczności i skruchy.

- Napijesz się czegoś gorącego? - zaproponowała Katharine.
- Chętnie.

Zeszli na dół bardzo cicho, starając się nie zbudzić Ellie. W kuchni Katharine zagrzała trochę mleka i rozejrzała się w spiżarni i szafkach w poszukiwaniu kakao.

- Musimy zadowolić się czekoladą - powiedziała.
- Dodam do niej trochę koniaku.

Siedzieli przy stole, wolno pijąc ciepły napój. Sebastian wiedział, że nie jest w stanie niczego wytłumaczyć, ale Katharine nie prosiła go o to.

- Dlaczego się uśmiechasz? - zapytał.

- Pomyślałam tylko, że musimy wyglądać jak spokojne, zadowolone, normalne małżeństwo, siedzące sobie w kuchni w bamboszach.

- A czy tak nie jest?

Spokojnie spojrzała na niego.

- Czy to normalne wpadać ze szczęścia w nieszczęście, stale, z dnia na dzień, z minuty na minutę? Życ między życzliwością a gniewem?

- Nie.
- Nie porozmawiasz ze mną, Sebastianie?
- O czym?
- O czymkolwiek. O czym chcesz.

Sebastian zamieszał czekoladę.

- Czy pamiętasz - odezwał się po dłuższej chwili - kogo miała grać moja matka tamtego wieczora? Gdyby nie umarła? Katharine ukryła zdziwienie.

- Nie. Wiem, że moi rodzice przyjechali do Londynu na premierę, ale miałam wtedy tylko pięć lat. Nawet jeśli wiedziałam, zapomniałam.

- Heddę Gabler.

Katharine doznała wstrząsu. Patrzyła na Sebastiana. Jego twarz miała nieokreślony wyraz, ale on sam zdawał się zrównoważony.

- Nie wiedziałam - odparła.

- Pamiętam - Sebastian ciągnął spokojnie - jak ojciec mi mówił, że umarła po próbie generalnej. Pamiętam, że ja sam po raz pierwszy w życiu poszedłem do teatru, właśnie żeby obejrzeć tę próbę.

- Przypuszczam, że nie pamiętasz z niej zbyt wiele? - powiedziała Katharine z przejęciem. - Miałaś zaledwie siedem lat, prawda?

Odpowiedział bardzo cicho. Usłyszała go z wysiłkiem.

- Pamiętam.

- Opowiedz mi o tym - powiedziała łagodnie. - Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Może. Któregoś dnia.

Przez minutę lub dwie znów wydawał jej się daleki, obcy, tą obcością, którą tak znienawidziła, której się bała. I wtedy z wielką ulgą zobaczyła, że Sebastian prostuje się i otrząsa, jakby odrzucał widma i wspomnienia.

- Porozmawiajmy o tobie - powiedział. - O twojej Heddzie.

- Ona tak naprawdę nie jest moja, najdroższy. Należy do Barbary.

- Oczywiście, że tak jest, ale ty musisz traktować ją jako swoją, wiesz przecież. Ważne, żeby nie krępowały cię sławne, wcześniejsze interpretacje, aniele. Dojrzałe zagranie postaci, odtworzenie jej przez starszą aktorkę zawsze bardzo

różni się od interpretacji roli przez młodszą, mniej doświadczoną kobietę.

Przynajmniej przez chwilę mogło się wydać, że Sebastian znów myśli o niej, troszczy się o nią, chce jej pomóc. Mógłby to właściwie mówić dawny Sebastian - pomyślała Katharine. Więcej już nie wspomniał o matce. Ale Katharine czuła, iż w jakiś niejasny sposób chce ją przekonać, że nie będzie porównywał jej ze swoją matką. Znała Dianę Lancaster tylko z portretu i jednego filmu, w którym aktorka zagrała razem z jej matką. Jednak zgadywała, że gdyby legendarna Diana miała szansę wcielić się w Heddę, byłaby niezrównana. Nie przeszkadzało to jej w najmniejszym stopniu, wcale nie czuła zazdrości, było jej tylko smutno ze względu na Sebastiana.

- Kiedy szłam na przesłuchanie, myślałam, że chciałeś, bym dostała rolę Thei Elvsted - odezwała się Katharine. Nie była niepewna, czy to rozsądne, ale czuła, że musi to powiedzieć.

- Wiem, że tak myślałaś - odparł Sebastian.
- Ale pragnąłeś, żebym zagrała Heddę, prawda?
- Tak.
- Dlaczego mi nie powiedziałeś?
- Nie chciałem cię zdenerwować.

Katharine zawahała się, zanim zapytała:

- A czy to ze względu na swoją matkę chciałeś, abym grała Heddę? Dlatego że Dianie to się nie udało?

Po raz pierwszy od dawna patrzył na nią przyjaźnie. W jego oczach był jednak taki smutek, że Katharine omal się nie rozplakała.

- Tak - odpowiedział cicho.

W końcu - pomyślała - zrozumiałam go.

Dwudziestego pierwszego grudnia Virginia wróciła do Londynu z Kopenhagi i następnego dnia spotkała się z Katharine na obiedzie w La Causerie, u Claridge'a.

Katharine zobaczyła Virginie i stwierdziła, że ma przed sobą sześćdziesięciosześcioletnią kobietę, przystojniejszą niż przedtem, elegancką, zrównoważoną i jak zwykle życzliwą, lecz jeszcze cieplejszą, bo promieniejącą szczęściem. Natomiast patrząc na Katharine, Virginia ujrzała młodą kobietę

piękniejszą niż kiedykolwiek, lecz niepokojąco kruchą i bardziej nerwową niż dawniej.

- Nie muszę cię pytać, czy bawiliście się dobrze z wujem Henrikiem - odezwała się Katharine z uśmiechem. - Masz to wypisane na twarzy.

- Ty natomiast - powiedziała Virginia - wyglądasz na bardzo zmęczoną.

- To nie zmęczenie.

- Więc co?

Katharine nie ociągała się. Zdawała sobie sprawę, że koniecznie musi z kimś porozmawiać. Myślała o Samie, ale zwierzenie mu się uznała za niewłaściwe, skoro wciąż jeszcze pracowali nad tym samym przedstawieniem. Poza tym, sądząc po tym, co mówił jej David, Sam i tak miał złe zdanie o jej małżeństwie. W jej życiu nie było osoby bardziej godnej zaufania, mądrzejszej i rozsądniejszej niż Virginia.

Zaczęła mówić.

- Czy wiedziałaś, że ostatnią rolą Diany miała być Hedda Gabler?... Że umarła na noc przed premierą?

Virginia pokręciła głową.

- Nie, nie wiedziałam. Andrew powiedział mi kiedyś, że umarła chwilę po zejściu ze sceny, ale nieczęsto rozmawialiśmy o Dianie. Nawet kiedy jeszcze byliśmy tylko przyjaciółmi, na długo, zanim zaczęliśmy myśleć o małżeństwie. Czasem rozmawialiśmy o dawnych, dobrych czasach, ale nie o rzeczach smutnych.

- Dowiedziałam się o tym dopiero kilka dni temu.

- Czy ma to jakieś specjalne znaczenie, kochanie?

- Tak sędzę - odparła Katharine. - To była próba generalna i ten jedyny raz, kiedy Sebastian zobaczył ją na scenie. Na kilka godzin przed jej śmiercią. - Spojrzała na Virginie. - Od kiedy mi to powiedział, bardzo dużo o tym myślę. Choć, mój Boże, mam tak mało wolnego czasu między Ibse-
nem a wszystkimi tymi lekcjami i od czasu do czasu pomaganiem Ellie w domu. Ale w tych nielicznych chwilach, które mam dla siebie, chyba nie myślę już o niczym innym, tylko o dziwnym zachowaniu Sebastiana.

- Więc Sebastian zachowuje się dziwnie? - zainteresowała się Virginia.

Katharine zarumieniła się.

- Już od tak długiego czasu próbuję rozwikłać te wszystkie niejasności. Uważałam, że z nikim nie powinnam się tym dzielić, nawet z tobą.

- A teraz?

- Teraz czuję, że muszę ci się zwierzyć. Potrzebujemy pomocy, Virginio.

Usłyszawszy o wydarzeniach ostatnich kilkunastu miesięcy, Virginia była oszołomiona i wstrząśnięta. Już wcześniej zdawała sobie sprawę, że życie małżeńskie Sebastiana i Katharine obfituje w burze. Nieraz nawet bała się, że może się rozpaść. Ale zawsze była pewna, że - co przecież najważniejsze - Katharine i Sebastian są wciąż w sobie zakochani, tak jak wtedy, gdy poznali się w Nowym Jorku.

- Teraz już rozumiem, dlaczego czasem mi się wydawało że próbujesz mnie unikać.

Katharine była strapiona.

- Nie chciałam wciągać cię w swoje kłopoty, Virginio.

Widząc, w jakim stanie są nerwy młodej przyjaciółki, Virginia pośpieszyła z zapewnieniem:

- Nie znaczy to, że czułam się w jakikolwiek sposób ignorowana, kochanie. Znając was oboje tak dobrze, wiem, że po prostu chcieliście oszczędzić mi zmartwień... Ale czyż nie lepiej jest z kimś porozmawiać?

- Już mi ulżyło - powiedziała Katharine. - Lecz jednocześnie czuję, że jestem nielojalna.

- Że mówisz o Sebastianie za jego plecami? - Virginia uśmiechnęła się łagodnie. - Gdybyś rozmawiała z kimkolwiek innym, mogłabym się z tobą zgodzić. Mnie możesz zaufać.

- Ależ oczywiście, przecież wiem. - Katharine pokręciła głową. - Kiedy powiedział mi o swojej matce i „Heddie Gabler”, myślałam, że teraz go rozumiem. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, jak rozpaczliwie pragnął dla mnie tej roli. Gdybym wiedziała, może umiałabym mu udowodnić, że to niemożliwe.

- Tak naprawdę, to jest raczej wzruszające, prawda? - powiedziała Virginia. - Dwie miłości jego życia są aktorkami.

- To on uczynił ze mnie aktorkę - podkreśliła Katharine.

- A przynajmniej dał mi impuls do tego, bym zrozumiała, że tego właśnie chcę.

- Czy teraz tego żałujesz?

- Nie. Sebastian miał rację i jestem mu wdzięczna. I miałam nadzieję, iż to, że opowiedział mi o Dianie, będzie dla nas punktem zwrotnym. Że może znowu się do siebie zbliżymy, skoro tym się ze mną podzielił.

- Sądziś jednak, iż się myliłaś?

- Często jest jeszcze bardziej obcy niż kiedyś. Nie chcę mówić o nim źle - dodała prędko. - To takie dziwne oddalenie, jakby zapominał, że istnieję... jakby sam do końca nie istniał. A czasami chyba rozumie, że zadaje mi ból i robi wysiłek... Ale wtedy ja często mówię coś niepotrzebnego i wówczas następuje jeden z tych jego dziwnych ataków wściekłości.

Virginia milczała przez chwilę, zastanawiając się.

- Czy myślisz, że może jest chory?

Katharine wzruszyła ramionami.

- Chyba nie. Dość często boli go głowa, ale jestem przekonana, że wynika to z pracy ponad siły i nieumiejętności relaksowania się.

- Chcesz, bym z nim porozmawiała?

- Nie, nie sądzę.

- Ale jak temu zaradzić? Może Sebastian powinien zobaczyć się z jakimś specjalistą? Z psychiatrą?

Katharine odczekała dłuższą chwilę, zanim odpowiedziała:

- Myślę, że powinniśmy wyprowadzić się z tego domu.

- To znaczy opuścić Dęby? - Virginia była zaskoczona.

Katharine pokiwała głową.

Sądzę, że w ogóle niepotrzebnie się tu wprowadziliśmy. Sebastian jest całkiem inny, kiedy jesteśmy poza domem. Jakby było mu lżej na sercu. Nie jest taki przybity. Myślę, że wiele naszych kłopotów wiąże się z tym domem.

- I z tą sztuką?

- Może. Nie jestem pewna. - Katharine znowu zamilkła. - Ale przynajmniej sztuka skończy się. Na początku lutego będzie po wszystkim, a dom... - urwała. - To wszystko jest takie smutne. Kocham Dęby, tyle serca włożyłam w ich urządzenie.

- Może się mylisz, kochanie - odezwała się Virginia.

Katharine uśmiechnęła się blado.

- Myślisz, że są to tylko pobożne życzenia, że zło tkwi w naszym małżeństwie?

- Nie o to mi chodzi - odparła Virginia. - Żyjesz w większym napięciu, niż to sobie uświadamiasz. I może nie jest aż tak źle, jak myślisz.

- Mam nadzieję, że masz rację, Virginio.

- Ale nie do końca jesteś o tym przekonana, prawda?

Twarz Katharine była posępna.

-Tak.

Później, gdy Virginia została sama, nie mogła się uspokoić. Wszystko to, co powiedziała jej Katharine, ogromnie ją zmartwiło. Ich problemy seksualne, dziwne napady wściekłości Sebastiana, jego przygnębienie i - co najgorsze - to oddalanie się od Katharine. Jakby był grubiański i nieczuły. Virginia wiedziała jednak, nie miała cienia wątpliwości, że Sebastian był ciepłym i dobrym człowiekiem. Dałaby za to głowę. Z pewnością był zdolny do działania bez skrupułów, w przeciwnym wypadku prawdopodobnie nie odniósłby sukcesu w show-biznesie. Lecz uczciwość Sebastiana i jego dbałość o drugiego człowieka nadal - co było niezwykle - decydowały o stylu pracy firmy Locke Mariner. Virginia wiedziała, że pracownicy go uwielbiają, klienci szanują, a z Jeremym, którego charakter nie był najłatwiejszy, Sebastian doskonale daje sobie radę.

W domu przy Montpelier Square Virginia popatrzyła na stojące na kominku, oprawione w srebrną ramkę zdjęcie Andrew. Pamiętała, jak bardzo dumny był ze swojego syna, jak promieniał skrywaną, ale czystą radością, kiedy opowiadał o osiągnięciach Sebastiana. To, co wyjawiała jej Katharine, nie tylko rozczarowałoby Andrew. Przysporzyłoby mu też niezwykłego cierpienia.

Virginia próbowała odprężyć się przy szklaneczce sherry. Nagle coś sobie przypomniała. Wyprostowała się w fotelu.

On musiał wiedzieć.

Ta myśl, wypowiedziana na głos, zabrzmiała ostro w ciszy wieczoru. Ale w tej chwili Virginia nie miała już żadnych wątpliwości. Nic innego nie mogło dotknąć Andrew tak głęboko jak poważne kłopoty Sebastiana.

Virginia ponownie podniosła wzrok na fotografię. Aż nadto wyraźnie pamiętała niewyjaśnioną zmianę, jaka dokonała się w Andrew na kilka dni przed ich ślubem. Jej serce ponownie ścisnęło się boleśnie.

I wtedy właśnie przypomniała sobie książki.

Okazja, by być w Dębach bez świadków, nadarzyła się następnego dnia wczesnym popołudniem. Sebastian był w biurze, Katharine na próbach, zaś Ellie poszła na zakupy.

Virginia była tak zdenerwowana, gdy płaciła taksówkarzowi, że upuściła portmonetkę na zwirowy podjazd, a potem długo mocowała się z zamkiem u drzwi wejściowych. Klucza używała pierwszy raz, od kiedy ustąpiła naleganiom Sebastiana. Chciał, by Virginia po wyprowadzeniu się zachowała komplet kluczy do domu.

- Masz takie samo prawo do Dębów jak my - powiedział.

Pamiętała, że kiedy to mówił, jego błękitne oczy lśniły pod wpływem emocji, a jej serce przeppełniło uczucie wdzięczności za tę jego delikatność. Jednak nigdy nie zamierzała użyć tych kluczy. W milczeniu wzięła je i włożyła do szuflady w swoim mieszkaniu. Nie pamiętała o nich aż do dziś...

W holu było chłodno i już całkiem ciemno. Pachniało pastą do mebli. Virginia zamknęła za sobą ciężkie drzwi wejściowe i oparła się o nie na chwilę, by odzyskać siły. Następnie szybkim krokiem poszła korytarzem do dawnego gabinetu Andrew, otworzyła drzwi i zapaliła górne światło.

Pokój się nie zmienił. Dla niej i Sebastiana było to miejsce o specjalnie emocjonalnym znaczeniu - gabinet, który należał tylko do Andrew. Wiedziała, że Sebastian czasem tu wchodził i siadał, żeby pomyśleć spokojnie. Ale kącik do pracy urządził w innym pomieszczeniu.

Virginia powtórnie spojrzała na pęk kluczy w dłoni i wybrała jeden z nich. Z łatwością otworzyła szafkę koło okna.

Książki były tam, gdzie je zostawiła. Zapaliła lampkę na biurku i skierowała snop światła na ich skórzane grzbiety. Nagle poczuła się słaba i niezdecydowana. Mogłaby wyjść stąd natychmiast i zapomnieć, że kiedykolwiek te książki widziała. Dlaczego w ogóle miała się w to mieszać?

Ale już jestem w to zamieszana - pomyślała smutno i postanowiła stawić temu czoło.

Biorąc po dwie naraz, zdjęła książki z półki i położyła je na biurku. Zdmuchnęła odrobinę kurzu z okładek.

Gdzieś w domu zaskrzypiała podłoga. Virginia wstrzymała oddech i na palcach podeszła do drzwi. Czyżby Ellie wróciła? A może jednak wcale nie wyszła? Virginia ostrożnie otworzyła drzwi.

- Ellie? - zaczęła chwilę. - Ellie! - Nie było odpowiedzi. Trochę zirytowana na siebie, Virginia wróciła do biurka. Zaciągnęła zasłony i szybko usiadła.

Spojrzała na tytuł pierwszej książki.

„Schizofrenia”.

Litery zatańczyły jej przed oczyma. Sięgnęła do torby po okulary i zaczęła czytać.

Przez ponad godzinę śledziła dziwny system zakładek, zastosowany przez Andrew: zagięte rogi i podkreślenia. Jej zdumienie rosło z każdym odkryciem. Pod napisem tytułowym jednego z rozdziałów przeczytała podkreślony ustęp: Halucynacje zapachowe lub smakowe mogą być przyjemne, albo... Kiedy pacjent jest w „dobrym” nastroju, treścią halucynacji mogą być przyjemne smaki czy zapachy.

Virginię rozboleła głowa, światło lampki drażniło oczy, ale zawzięcie czytała dalej.

- To nie ma żadnego sensu - powiedziała na głos.

Wzięła do ręki książkę o zaburzeniach osobowości, o osobach zwykle otwartych, przyjaznych i ciepłych, które ulegały zmianom nastrojów i u których radość często przechodziła w smutek, spowodowany wewnętrznymi czynnikami częściej niż wydarzeniami zewnętrznymi.

To może dotyczyć każdego, kto cierpi na depresję - pomyślała.

Przeczytała zaznaczone fragmenty o osobach psychotycznych, przejawiających skłonność do amnezji, niezdolność rozumienia tego, co mówią inni, nieumiejętność koncentracji, rozkojarzenie myśli. Nie była w stanie pojąć, dlaczego Andrew w ogóle kupił te okropne, smutne książki. Z pewnością żadna z tych rzeczy w najmniejszym stopniu nie dotyczy Sebastiana. To okropne, że w ogóle przyszło jej to do głowy.

Poczuła się źle. Miała nudności. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Nic nie rozumiała. Ani jednego słowa. A od pochylania się nad książkami rozboleły ją plecy. Jednak to brnęła dalej.

Wtedy, w przedostatniej książce, między dwiema kartkami, znalazła starannie złożony arkusz papieru listowego. Rozłożywszy go, zobaczyła, że jest to stary list Sebastiana do Andrew napisany latem 1963 roku. Sebastian miał wówczas około szesnastu lat. List od ucznia z wiadomościami o zakończeniu roku.

Virginia przebiegła kartkę zmęczonym wzrokiem, czytając to, co niegdyś czytał Andrew: o „żarcie” z kwasem solnym w szmince i o szkolnym przedstawieniu. Coś ją boleśnie dotknęło, ścisnęło w środku. Automatycznie poprawiła okulary na nosie, odwróciła kartkę i skończyła czytać. I wiedziała z niezachwianą pewnością, jaki z tego wniosek musiał wyciągnąć Andrew.

Nie tłumaczyło to jednak celu, w jakim zakupił te książki. I jeśli wiązały się one jakoś z Sebastianem, co wynikało z umieszczenia listu między stronami jednej z nich, to w jaki sposób? Może reakcja Andrew była bardzo przesadzona, może wpadł w panikę?

Nawet sądząc po tym, co mówiła Katharine, Sebastianowi nie dolegało nic poważniejszego niż depresja czy jakieś zaburzenia nerwowe. Może Katharine miała rację co do oddziaływania tego domu. Chyba że Sebastian zwierzył się swojemu ojcu z czegoś, czego nikt się nawet nie domyślał?

Ale żeby halucynacje? Schizofrenia? Psychoza?

Virginia zadrżała.

Z powrotem zamknęła książki w szafce i schowała klucz.

To ją przerastało.

Rozdział 26

w piątkowy wieczór, w Wigilię Świąt Bożego Narodzenia, zespół po raz ostatni wystawił „Dom lalki”. Dekoracje miały zostać zdjęte przed północą, by w następnym poniedziałek ich miejsce zajęły nowe - do „Heddy Gabler”.

Rano Katharine wzięła udział w próbie dla dublerów, a po południu poszła na lekcję tańca. Bała się wracać do domu. Wydawało się, że przygnębienie panujące w Dębach nigdy jeszcze nie było aż tak głębokie od czasu, kiedy dwa lata temu wprowadzili się do tego domu.

Przez ostatnie dwa dni Sebastian prawie się do niej nie odzywał.

- Dlaczego jesteś na mnie zły? - zapytała go poprzedniego ranka.

- Zły? - Wyglądał na zdziwionego.

- Więc co się z tobą dzieje?

-Nic.

- Coś się stało. I to coś poważnego - stwierdziła Katharine. -I jeżeli się tym ze mną nie podzielisz, nie będę wiedziała, jak ci pomóc.

- Nie ma powodu do niepokoju, aniele - odparł spokojnie.

- Jeśli nie chcesz - powiedziała cicho - to trudno.

Kiedy była z Sebastianem, pograżała się w swoim nie-szczęściu. Kiedy była sama, czuła się jak obserwator - oglądała rozkład swojego małżeństwa. Miłość wciąż jeszcze słabo się tliła, lecz jej dawny, potężny płomień zagasł niemal zupełnie. Katharine wątpiła, czy ma w sobie na tyle siły, by go na nowo rozpalić.

Trudno było uwierzyć, że zaledwie rok temu pełni optymizmu zawitali do Gstaad. Zachowała to wspomnienie pośród innych drogocennych chwil - wspomnień kolacji u Sariego, Hawk House Inn, z Wenecji. Ocalone w pamięci, przypominały te miniaturowe scenki, zamknięte w małych, szklanych kulach, które Louisa i Jake kupowali dla niej, gdy była dzieckiem. Gdy się nią potrzęsało, w środku padał śnieg. Wspomnienie zeszłorocznego Bożego Narodzenia było dla niej bolesne. W tym roku oboje z Sebastianem zostali uwięzieni w osobnych, szklanych kulach. Prawdziwy kontakt już nie istniał.

Mimo wszystko, z pomocą Ellie, ubrała wielką choinkę w salonie. Gospodyni doskonale zdając sobie sprawę z panującego w domu przygnębienia, zrobiła wszystko, by uratować cokolwiek ze świątecznej atmosfery. Oddanie Ellie dla syna Locke'ów było bezgraniczne. Znała Sebastiana od urodzenia, pamiętała go jako płowowłosego, roześmianego, dobrego chłopca. Lecz i ona zauważyła, że się zmienił, i nie umiała go już zrozumieć.

Katharine wróciła do domu o czwartej, a Sebastian o wpół do szóstej. O szóstej przeszli do salonu, by wraz z Ellie zapalić lampki na choince i wypić kieliszek sherry. Dwie godziny później gospodyni podała uroczystą kolację w jadalni. Najpierw na srebrzystoszklistym kruszonym lodzie, pojawił się czarny kawior, który tak lubił Sebastian.

A on sam błędził gdzieś daleko, przez większość wieczoru nieobecny, pochłonięty myślami.

Przynajmniej żadnych scen w perspektywie - pomyślała Katharine z rezygnacją. - Żadnych prawdziwych przykrości. Akurat w Wigilię chyba by tego nie zniosła.

Przez chwilę jedli i pili wino. Katharine usiłowała podtrzymać rozmowę, zaś Sebastian, uprzejmy, lecz myślami nieobecny, uśmiechał się blado. Raz spróbowała zasypać tę rosnącą między nimi przepaść i ostrożnie wyciągnęła rękę, by dotknąć jego dłoni. Była zimna. Spojrzał na nią zdziwionym, pustym wzrokiem i nagle Katharine pomyślała, że serce pęknie jej z żalu.

- Co się z nim stało? - spytała.
- Z czym?

- Z naszym szczęściem.

Sebastian powoli pokręcił głową. W blasku świecy Katharine zobaczyła, że jego oczy pociemniały z bólu.

- Nie wiem - powiedział bardzo cicho. - Sam chciałbym wiedzieć.

Katharine milczała przez chwilę.

- Potrzebujemy pomocy - odezwała się.

- Jakiej pomocy?

- Nie jestem pewna... - zawahała się. - Może lekarskiej.

- Jesteś chora?

- Nie. - Starła się mówić spokojnie. - Ale możliwe, że ty jesteś.

I znów ten uśmiech, daleki, nieobecny.

- Nie jestem chory, Katharine.

- Zbyt często boli cię głowa.

- Nie jestem chory - powtórzył.

- Więc co ci jest?

Zamilkł na chwilę, zanim odpowiedział:

- Jestem smutny.

- Ale dlaczego jesteś taki smutny? Przeze mnie?

- Nie przez ciebie.

- Więc dlaczego?

Pokręcił głową.

- Nie wiem.

Po kolacji Katharine pomagała zmywać w kuchni. Chciała, by Ellie zdążyła dojechać jeszcze tej nocy do córki, do Aylesbury, by spędzić z nią i wnukami święta.

- Dasz sobie radę, kochana? - spytała Ellie.

- Wszystko będzie dobrze - wesoło odpowiedziała Katharine.

- Nie jestem pewna, czy dobrze robię wyjeżdżając - powiedziała Ellie.

- Ależ oczywiście, że tak. Musisz jechać. Rodzina na ciebie czeka.

Ellie pracowała u Locke'ów od ponad trzydziestu lat i przez cały ten czas była uosobieniem dyskrecji. Wiedziała, że w każdej rodzinie zdarzają się kłótnie, napięcia i chwile smutku, jednak jeśli w domu panowała miłość, to, co złe, dało się pokonać.

- Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby w tym domu było tak ciemno - powiedziała teraz.

- Wiem - odparła Katharine. - Przykro mi. Musi ci być ciężko.

- Nie chodzi o mnie, kochana. To o ciebie i Sebastiana się martwię. Powinnaś go zaprowadzić do lekarza.

- Mówi, że nie jest chory.

- Różne bywają choroby, nie uważasz?

- Tak, Ellie, wiem - odparła Katharine.

Kiedy Ellie z małą walizeczką i dwiema torbami wypchanymi gwiazdkowymi prezentami znalazła się w taksówce, Katharine zaparzyła dzbanek kawy i zaniósła go do salonu. Sebastian stał przy oknie, wpatrzony w noc. Jego oddech malował delikatne, oszronione pajęczyny na szybie.

Katharine postawiła tacę.

- Napijemy się koniaku?

Sebastian odwrócił się do niej i zobaczyła jego zmarszczone od bólu czoło.

- Znowu ten ból głowy? - spytała.

Skinął potakująco.

- Jeśli pozwolisz, kochanie, chyba pójdę do łóżka.

Katharine podeszła do niego i położyła mu dłoń na czole.

Przedtem jego ręka była zimna. Teraz zaś był rozpalony.

- Chyba masz gorączkę.

- Nie. - Odsunął się od niej. - Mówiłem ci już, że nie jestem chory.

- No dobrze, więc idź. Przyjdę do ciebie później - odparła Katharine.

Katharine zajrzała do lodówki, czy wszystko jest kupione. Rano miała przygotować świąteczną kolację dla nich dwojga, Virginii, Sama i Jeremy'ego. Nawet perspektywa goszczenia Jeremy'ego, kogokolwiek, kto wyrwałby Sebastiana choć na chwilę z tej potwornej depresji, stanowiła teraz dla niej pewną pociechę.

Była zbyt niespokojna, by udać się na spoczynek.

Cicho poszła do sypialni po scenariusz. Był to nowy egzemplarz, ponieważ poprzedni, z wszystkimi jej zapiskami, gdzieś się zawieruszył. Było to dla niej przyczyną sporego

zmartwienia i zakłopotania, choć jak dotąd pamiętała wszystkie wskazówki reżysera i zmiany w tekście.

Sebastian spał. Oddychał równo. Uderzył ją kontrast między spokojnym wyrazem jego twarzy a wyprostowaną prawą ręką, z dłonią dziwacznie zaciśniętą w pięść.

Katharine rozebrała się, narzuciła jedwabny szlafrok i wyszła z sypialni, cicho zamykając za sobą drzwi. Zastanowiła się, czy nie wrócić do salonu, by tam popracować, lecz ostatecznie to pomieszczenie, które wcześniej tak lubiła, przyciębiało ją. Często sporą część wieczoru spędzała w kuchni.

Po wpływem impulsu odwróciła się, przemierzyła korytarz i otworzyła drzwi do dawnego pokoju dzieciennego Sebastiana. Pokój był pusty, nie licząc komody w jednym końcu pokoju i wyściełanego, bujanego fotela na środku. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Koronkowe kształty niedźwiadków w oknach wyraźnie odbijały się w księżycowej poświacie na znak miłości, która niegdyś wypełniała ten pokój.

Chciałabym zachować te kraty, gdyby kiedykolwiek... - w umyśle Katharine pojawiła się leniwa myśl.

Na chwilę oładnęła nią wielka tęsknota, a w oczach wezbrały łzy. Nie będzie żadnych dzieci. Nie kochali się prawie od miesiąca, od kiedy zaczęły się próby do „Heddy Gabler”, a wraz z nimi ta straszna spirala w dół. Nie dochodziło do zbliżeń i prawie nie było już między nimi miłości.

Zamknęła drzwi i usiadła w fotelu.

Ciekawe, czy tak właśnie było z mamą i tatą - pomyślała. Najpierw byli tacy szczęśliwi, a potem wszystko się rozpadło.

Katharine zadrżała i popatrzyła na skrypt na kolanach.

W sypialni Sebastian śnił sen, abstrakcyjny, w którym kolorowe plamy niewyraźnych wizji zatracaly się w fantastycznych kształtach. I ten zapach. Stanowił sens snu, jego sedno. Z początku była to znana Sebastianowi woń, zapowiadająca radość i spokój. Stopniowo wzmagala się, wzbierała, aż na koniec przybrała jakieś koszmarnie formy. Woń, teraz już mdląca, dusząca, wypełniła sen, wzmagając ból.

Wyrwał się z tego uścisku. Obudził się zły zimnym potem.

Oszołomiony wyszedł z łóżka. Nagi podszedł do drzwi i otworzył je. Usłyszał cichy głos, słowa przyzywające go z głębi ciemnego korytarza.

Siedząca w fotelu Katharine nie usłyszała, jak wszedł. Powoli powtarzała czwarty akt, utrwalając swoje kwestie, słysząc w głowie wskazówki reżysera. Nie patrzyła w scenariusz. Woląa mieć go pod ręką, choć nie był jej już potrzebny. Traktowała z powagą zadanie dublerki. W gruncie rzeczy była zadowolona, że nie gra Heddy. Stwierdziła, że postać może nie tyle jest dla niej niezrozumiała, ile zbyt bezduszna, by mogła ją pokochać. A wydawało jej się, że powinna znaleźć coś w Heddzie, z czym mogłaby się utożsamić. Potrafiła zrozumieć, do czego Hedda dążyła, o czym marzyła. Lecz nie mogła się nią stać. Zaś Barbara niemal od pierwszego dnia prób zaczęła budować pełną postać. Do nocy sylwestrowej, do pierwszej prapremiery, Barbara Stone będzie Heddą Gabler.

Katharine wróciła do czwartego aktu, do rozmowy między Heddą a sędzią Brackiem. Drzwi otworzyły się i na leżący na jej kolanach scenariusz padł cień. Podniosła wzrok. Uśmiechnęła się.

Stał na progu bez ruchu. Nagi i kształtny jak posąg. Coś w jego twarzy kazało Katharine wstać. Scenariusz spadł na podłogę. Zdjął ją strach.

- Sebastianie?!

Przez moment myślała, że on wciąż śpi. Patrzył przez nią, na wylot, a jego oczy wypełniał ślepy gniew. Furia. Instykt podszeptął Katharine, żeby się nie ruszała.

Jeśli teraz do niego podejść - pomyślała w panice - uderzy mnie.

Na długą chwilę zastygła w miejscu. Bujany fotel kołysał się rytmicznie. I wtedy bardzo wolno i spokojnie zaczęła iść w stronę Sebastiana i, jakby chcąc uspokoić dzikie zwierzę, wyciągnęła rękę. Dotknęła jego policzka.

- Najdroższy? - szepnęła.

Sebastian ocknął się nagle. Nieoczekiwanie przyciągnął ją do siebie i zdarł z niej szlafrok. Jego skóra parzyła, a członek nabrzmiał żądzą.

- Sebastianie, proszę, nie w ten sposób.

Przez chwilę wpatrywał się w nią. Żrenice miał rozszerzone, skupione, lecz ona była pewna, że jej nie widzi. Wtem je-

go palce niby szpony wbiły się w nią i pchnęły. Oparła się plecami o ścianę.

- Na miłość boską! - paraliż, który na chwilę obezwładnił Katharine, minął i zaczęła walczyć. To był ktoś obcy. Walczyła z napastliwym, obcym mężczyzną. To wcale nie był Sebastian! Próbowała odepchnąć go, lecz był zbyt silny. Jedną ręką trzymał ją przy ścianie, a drugą rozwierał jej nogi. Jego członek zaczął napierać, usiłując wedrzeć się między jej uda...

- Sebastianie! - krzyknęła mu w twarz zduszonym głosem.

- Błagam, przestań!

Puścił ją.

- Och, mój Boże.

Bezsilnie opuścił ramiona wzdłuż boków. Na jego twarzy zagościł nowy grymas - otepiałego przerażenia. Po tym, co zaszło, policzki Katharine były mokre od łez. Drżała gwałtownie. Sięgnęła po szlafrok i niezdarnie naciągnęła go na siebie, by zakryć swoją nagość.

- O Boże! - jęknął Sebastian. - O mój Boże... - Jęczał, mocno zacisnąwszy powieki. Kiedy znów otworzył oczy, wypełniała je tak potworna nienawiść do samego siebie, że, wbrew wszystkiemu, strach, który jeszcze czuła Katharine, pierzchł, a w jego miejsce, jak zwykle, pojawiła się tkliwość.

- Już wszystko dobrze - szepnęła kojąco, jak matka do dziecka. Wzięła go za rękę. - Chodź. - Wyprowadziła go z pokoju dzieciennego i poprowadziła korytarzem do sypialni.

- Jezu Chryste, przepraszam - powiedział.

- Nie wiedziałeś, co robisz. - Katharine zdjęła narzutę i delikatnie popchnęła go w stronę łóżka. Położyła się obok niego. - śpij, Sebastianie.

Przez kilka minut leżał na plecach, patrząc w sufit. Potem odwrócił się na bok i skrył przed nią twarz. Katharine przysunęła się jeszcze bliżej i objęła go ramieniem.

- Zostanę z tobą - szepnęła.

Nareszcie zasnął.

Tej nocy nie spała dobrze. Oczywiście nie mogła zapomnieć o koszmarze, który przed chwilą przeżyła. Kiedy w końcu zdrzemnęła się, męczyły ją upiorne sny.

Przebudziła się w samym środku nocy. A może jej się to śniło? Miała wrażenie, że Sebastian stoi koło łóżka i patrzy na nią. Katharine nie poruszyła się i udała, że śpi. I po chwili on się odwrócił i poczuła, jak materac ugina się pod jego ciężarem.

I ten sen, pełen zamętu i przerażenia, trwał dalej.

Ocknęła się tuż po dziewiątej. Była sama w łóżku. Wokół cisza, przygniatający smutek i ani śladu Sebastiana. Na poduszce leżała paczka, opakowana w oryginalny papier Aspreya i obwiązana zieloną wstążką. Obok karteczka:

Dzwonił Sam. Nie może przyjść, bo okropnie się przeziębił. Gorąco pozdrawia. Przywiozę Virginie. Będziemy w domu jeszcze przed Jeremym. Wesółych Świąt, aniele.

Katharine, niewyspana, wyszła z łóżka i rozsunęła zasłony. Na chwilę ręką przysłoniła oczy przed oślepiającym blaskiem poranka. Świat na zewnątrz wydawał się nietknięty i piękny. Trawnik lśnił po nocnym przymrozku, a kula słońca błyszczała na tle jasnoblękitnego nieba. Za ogrodem rozpościerały się łagodne wzgórza Hampstead. Katharine widziała daleko maleńkie figurki ludzi.

Odwróciła się i wzięła do rąk paczkę od Aspreya. Położyła ją na toaletce. Spojrzała w lustro na swoje odbicie i koniuszkami palców dotknęła cieni pod oczami. Nie jest tak źle - powiedziała do siebie i uśmiechnęła się smutno.

Ociągając się, rozpakowała paczkę. Prezent był wspaniały. Były to miniaturowe szachy, rzeźbione w srebrze i lapis-lazuli. Katharine westchnęła i do oczu napłynęły jej łzy. Na początku miesiąca powiedziała Sebastianowi, że razem z Lallą Bates grywają czasem w szachy za kulisami, używając starych, popękanych, zużytych szachów. To miło ze strony Sebastiana, że kupił jej ten prezent. Szkoda, że sam go jej nie wręczył. Czekala na wyjaśnienia.

Ale on wie, że czas wyznań już dawno się skończył.

W kuchni czekały ją dalsze niespodzianki. Sebastian wszędzie pozostawił ślady swojej obecności. Na stole stała miska świeżo obranych brzoskwiń w jego ulubionej zalewie z koniaku, ciemnego cukru, likieru Grand Marnier i świeże-

go soku brzoskwiniowego. W lodówce Katharine znalazła miskę pełną musu czekoladowego. Pomyślała, że Sebastian musiał wstać o świcie. W jadalni nakrył stół. Wszystko było w idealnym porządku. Na obrusie ze starej koronki flandryjskiej stały srebra w stylu georgiańskim i piękne kryształły. Na kredensie zobaczyła dwie otwarte butelki Chateau Margaux, rocznik 1961. Była to rozrzutność, która na moment ją uradowała, póki świadomość niedorzeczności całej sytuacji nie stłumiła tej chwilowej radości. Pośpieszyła do kuchni, by znaleźć ukojenie w pracy.

Dwadzieścia minut później obierała ziemniaki. Nagle uporczywa myśl przyszła jej do głowy.

Odejdź od niego.

Katharine usiadła na krześle. Nerwowo splatała i rozplatała ręce na kolanach. Przecież mogła go opuścić. Sebastian nie był już tym samym mężczyzną, w którym się zakochała. Już nie miał nad sobą władzy, lecz miał władzę nad nią. A ona mu się poddawała.

Musi go zostawić.

Poderwała się i wypadła z kuchni. Wbiegła po schodach na górę, trzasnęła drzwiami, szukając ucieczki od własnych myśli. Rzuciła się na łóżko, wtuliła twarz w miękką, białą poduszkę i rozplakała się. Łkanie wstrząsało całym ciałem. Leżała wyczerpana. Po chwili wstała i poszła do łazienki, by opłukać twarz.

Przyniosła do sypialni wilgotny, zimny ręcznik i, przycisnąwszy go do czoła, usiadła w jednym z foteli pod oknem. Oczyma poszukała romantycznej, małej litografii Chagalla, wiszącej nad łóżkiem, którą ofiarowała Sebastianowi przed rokiem. Pamiętała jego radość, błyszczące miłością oczy. Kilka ostatnich wielkich, słonych łez spadło z policzków na fotel.

Nie mogę go zostawić.

Przed jej oczyma stanął obraz jego słabości, wyraźny niby klatka z filmu: jak ostatniej nocy oparł się całym ciężarem o ścianę, zrozpaczony, pokonany, przerażony.

Katharine westchnęła. Cichy, smutny dźwięk zdawał się echem rozbrzmiewać po pokoju. Wówczas zauważyła swój skrypt leżący na parapecie. Zdziwiona, wzięła go do ręki, pa-

miętając, że upuściła go w pokoju dzieciennym poprzedniej nocy i zostawiła go tam, w zamieszaniu. Pewnie Sebastian przyniósł go rano do sypialni.

Zerknęła na niego. Okładka była lekko naderwana. Teraz zobaczyła, że rozdarcie zostało starannie sklezione taśmą klejącą. Najwyraźniej był to kolejny pojednawczy gest Sebastiana.

Żeby to było takie proste...

Kiedy zasiedli do stołu, wybiła druga. Sebastian usiadł na głównym miejscu, Katharine po jego lewej stronie, Virginia po prawej, a Jeremy naprzeciwko.

- Jaki piękny stół - odezwała się Virginia i rozłożyła serwetkę.

- To dzieło Sebastiana - powiedziała Katharine.

- Przynajmniej tyle mogłem zrobić. - Sebastian uniósł pierwszą butelkę wina, gotów do nalewania.

- Jestem głodny jak wilk - ogłosił Jeremy.

Jedząc zupę żółwiową, indyka z rusztu, pudding śliwkowy i desery przyrządzone przez Sebastiana, gawędzili, żartowali i radośnie świętowali. Aż zgasł dzień i potem zaległa smolista ciemność zimowego zmierzchu. Po posiłku rozdali prezenty i zatelefonowali z życzeniami do bliskich. Katharine i Virginia zadzwoniły do Henrika, Sebastian do chorej na gripę Elspeth, a ze Szwajcarii zadzwonił Laszlo.

- Jak się miewasz, *kedves*? - zapytał Katharine.

- Świetnie - odparła. - Tęsknię za tobą.

- Ja też za tobą tęsknię.

- Jak się miewa Betty?

- Wspaniale. Kilka tygodni temu spotkałem Davida. Pytał o ciebie.

- Co u niego słyhać? - zapytała Katharine opanowanym tonem.

- Cieszy się dobrym zdrowiem. A ty? Jesteś szczęśliwa, *kedves*?

- Absolutnie - odparła.

Wraz z upływem wieczoru Katharine wiedziała, że jeszcze nigdy tak świetnie nie grała. Spokojnie siedziała przed kominkiem, ubrana w morelowy sweterek z białym kołnierzy-

kiem i mankietami. Włosy splotła w warkocz francuski. Rozbita na kawałki kobieta - pomyślała z niechęcią - i sklejona na specjalną okazję.

Virginia również była przygnębiona. Obawiała się, że w każdej chwili może zdradzić zaufanie Katharine, że nie zapanuje nad sobą. To były piąte święta, od kiedy straciła Andrew. Do ostatniego roku zawsze był to dla niej smutny okres, aż nagle w Gstaad niespodziewanie znów przeżyła szczęście. Teraz męczył ją ciągły niepokój, nieprzewidziane i irytujące napady zdenerwowania. Przyprawiało ją to o skurcze żołądka, odbierało apetyt i radość życia. Próbowiała przewyciężyć lęk, lecz nie potrafiła. A teraz patrzyła, słuchała i starała się wyłowić jakiś znak, który świadczyłb o tym, co dzieje się z Sebastianem.

Dzisiaj jest jakby mniej spięty - pomyślała. - I w lepszej formie niż Katharine, kochane biedactwo traci na wadze. Akurat teraz, kiedy potrzebuje najwięcej sił.

Virginia spróbowała wziąć się w garść. Musiała zaprzestać tej ostentacyjnej obserwacji, bo inaczej Sebastian coś zauważy. Jak długo mogła tak obsesyjnie doszukiwać się znaków ostrzegawczych, podobieństw między objawami, zaznaczonymi w książkach Andrew, a zachowaniem Sebastiana. Jak długo mogła to robić, niczego nie znajdując?

Jeremy również obserwował.

Dziewiętnaście dni minęło od czasu, gdy był świadkiem tego dziwnego narastania napięcia, aż do kulminacji w formie niewytłumaczalnego, krótkotrwałego ataku nerwowego u Sebastiana. Od tamtego dnia widywał swojego partnera niemal codziennie. Czasem lekkim tonem zagadywał go o zdrowie i bardzo starał się poprawnie zachowywać, tak jak radziła mu doktor Joyce Osborne.

- Jeśli zauważy pan coś ważnego - mówiła mu neurolog - niech pan przekona przyjaciela, by poszedł do swojego lekarza. A jeśli nic się nie zdarzy, proszę wymazać ten incydent z pamięci.

Łatwo powiedzieć - pomyślał teraz Jeremy, siedząc w salonie u Sebastiana, po świątecznej kolacji i starając się zachowywać normalnie. Nie zdarzyło się nic ważnego. Może o jedną lub dwie aspiryny za wiele, ogólny wzrost napięcia.

Wszystko to można by złożyć na karb przedświątecznych stresów. A jednak Jeremy czuł, że coś jest nie w porządku.

- Jak tam twoja Hedda, Kate? - zapytał, podczas gdy Sebastian nalewał armaniak.

- Dziękuję, mam nadzieję, że nieźle.

- Co sądzisz o Barbarze?

- Jest cudowna - odparła Katharine.

- I zdrowa jak koń - dodał Jeremy.

- Odpukać w niemalowane. - Katharine popukała w stolik.

- Zawsze trudno mi zgadnąć, co czują dublerzy - mówił Jeremy. - Wyobrażam sobie, że niektórzy wbijają szpilki w lalki, modląc się o jakąś złamaną nogę albo przynajmniej lekkie zapalenie krtani.

- Nie w tym wypadku - beztrąsko odparła Katharine. - Ta dublerka modli się o jak najlepsze zdrowie i siły dla Barbary.

- Chociaż jestem przekonana, że byłabyś wspaniała, gdybyś zagrała za Barbarę - powiedziała ciepło Virginia. - Prawda, Sebastianie?

- Z całą pewnością - odparł.

Sebastianowi zależało na tym, aby Kate dostała tę rolę - powiedział Jeremy. - Był wściekły, kiedy March i Harvey dali ją Barbarze, prawda, Seb?

- Bzdura - odparł Sebastian lekkim tonem i wzruszył ramionami. - Katharine ma jeszcze mnóstwo czasu. Obsada jest dobra.

- Jeszcze trochę kawy, Jeremy? - spytała Katharine.

- Poproszę.

Jeszcze nigdy nie widziałem Katherine tak nieszczęśliwej - pomyślał Jeremy. - I Virginia też nie jest sobą. Zdał sobie sprawę, że wszyscy udają dobry nastrój. Jeremy od wielu tygodni nie widział Sebastiana aż tak zrelaksowanego. Myślał, że ten jego zewnętrzny spokój to tylko gra. W głębi serca czuł, że to pozory.

Od wielu tygodni Sebastian nie czuł się tak dobrze. Uniósł swój kieliszek z armaniakiem i popatrzył w ogień przez bursztynowy płyn, kolor oczu jego żony. Uśmiechnął się lekko. Wiedział, że łatwo przychodzi mu uczestniczenie w ogólnej rozmowie. Jednak słowa zdawały się już nie mieć

większego znaczenia. Cieszył się, że znów potrafi rozmawiać swobodnie z Katharine, włączyć się do ogólnej rozmowy. Ale już teraz wiedział, że to fałsz.

- Henrik mówił, że może w przyszłym roku znów wszyscy się spotkamy - odezwała się Virginia.

- Bardzo bym chciała. - Katharine uśmiechnęła się.

Sebastian kiwnął głową. Popatrzył przez nich i przypomniało mu się Boże Narodzenie. Wtedy przeraziło go tamto dziwne uczucie niemal absolutnego oderwania. Rok temu w Gstaad, w sypialni, w której paliły się świece, a czerwone róże zapraszały do małżeńskiego łóżka, on patrzył w lustro, jak w odbiciu ich związek. Wówczas, przez chwilę wydawało mu się, że jest duchem, znajdującym się w innym świecie, ale miłość do Katharine sprawiła, że znowu się z nią połączył.

Teraz ona nie potrafi tego dokonać, znowu oddalił się od niej.

Sebastian miał przeczucie, że zło gdzieś się przyczaiło i tylko czeka, żeby go zaatakować.

Ale teraz było miło. Z jego ukochaną Katharine, drogą Virginią i Jeremym.

W poniedziałek w Albery Theatre ustawiono dekoracje do „Heddy Gabler”. W środę, o wpół do pierwszej zebrał się cały zespół aktorski w kostiumach i rozpoczęła się próba techniczna.

- To będzie się ciągnąć całe wieki - mówiła Katharine Virginii przez telefon. - Muszą zgrać ze sobą wszystkie elementy.

Kiedy odbędzie się próba generalna? - spytała Virginia.

Będą trzy próby generalne - tłumaczyła Katharine.

Pierwsza odbędzie się dziś wieczorem. Będą próbowali utrzymać ją w takim tempie jak prawdziwe przedstawienia.

- A ty musisz tam być przez cały czas?

- Oczywiście.

To była ogromna ulga znajdować się w teatrze daleko od domu. Tylko tutaj Katharine nie odczuwała zdenerwowania i niepokoju.

Sebastian intensywnie pracował. Siedział w biurze przy Albemarle Street i odbierał telefony lub sam dzwonił, spo-

tykał się z Jeremym i księgowym, dyktował listy swojej sekretarce, ustalał rozkład pracy z Elspeth, znajdował czas, by pochwalić nowego pracownika za dobrze wykonaną pracę.

Niepokonany wróg, drzemający w jego podświadomości, z powrotem zaczął się budzić, aby przejąć władzę.

Katharine spóźniała się miesiączka. Miewała okresy bardzo regularnie.

Aż do teraz.

Nie zastanawiała się nad tym do późnego wieczora w poniedziałek, kiedy zmywała makijaż, szykując się do łóżka. I choć wiedziała, że powinna dostać miesiączkę tego ranka, wzruszyła ramionami do swojego wizerunku w lustrze i wyszczotkowała włosy, pewna, że to niewielkie opóźnienie. Lecz dwa dni później, po pierwszej próbie generalnej, wciąż jeszcze nic się nie działo.

Następnego ranka Sebastian wcześniej wyszedł z domu, a Katharine spała do dziewiątej. Ellie przyniosła tacę ze śniadaniem, a Katharine, bardzo głodna, wszystko zjadła, po czym pobiegła do łazienki i zwymiotowała.

Wróciła do sypialni i popatrzyła na zegar. Jeszcze nie było dziesiątej, a według czasu nowojorskiego - piątej. Mogło go nie być w domu. Ale musiała zaryzykować i zadzwonić do Davida. Był przecież jej przyjacielem.

Telefon odebrała sekretarka. Niestety, David był na obchodzie.

- Proszę powiedzieć doktorowi Rothmanowi, że dzwoniła Katharine.

- Czy doktor ma do pani oddzwonić?

- Tak, proszę - odpowiedziała.

- Zostawi pani wiadomość?

- Proszę tylko powiedzieć, że dzwoniła Katharine.

- Jaki jest pani numer.

- Doktor go zna.

- Doktor Rothman prosił, abyśmy zapisywały wszystkie numery.

- On ma mój numer - powtórzyła Katharine. - Proszę go tylko poprosić, żeby zadzwonił.

- Czy to pilne, proszę pani?
- Katharine aż spociła się ze zdenerwowania.
- Nie. To nic pilnego - odparła.

W czwartek po południu Noel Harvey zwołał cały zespół aktorski, by udzielić ostatnich wskazówek, i tego wieczora odbyła się druga próba generalna. Sebastian przyszedł po próbie do teatru. Zaprosił Barbarę Stone na kolację. Były to jej urodziny. Powiedziała Sebastianowi, który zawsze był jej bliższy niż Jeremy, że tak naprawdę nie ma ochoty obchodzić urodzin, a już z pewnością nie chce żadnego przyjęcia. Więc, gdyby chcieli zrobić jej niespodziankę i urządzić imprezę, to lepiej niech nie zadają sobie trudu. Patrick jest z ojcem we Francji, powiedziała niedawno Barbara Sebastianowi, a ona już i tak ma świetną zabawę z Heddą. Ale cudownie byłoby zjeść z nimi kolację.

Niestety, tego ranka Katharine obudziła się z bólem gardła.

- Obawiam się, że zaraziłam się od Sama - powiedziała Sebastianowi.
- Lepiej weź dużo witaminy C. - Dotknął jej czoła. - Nie masz gorączki. Mam wezwać lekarza?
- Tylko z powodu przeziębienia?
- Akurat teraz nie możesz sobie pozwolić na chorobę.
- Nie, oczywiście.
- Będziesz się na tyle dobrze czuła, żeby wyjść na kolację?
- Tak sądzę.

Ale po wyjściu Sebastiana znów zwymiotowała i było jej niedobrze przez cały ranek. Zadzwoiła do niego do biura w porze obiadowej i powiedziała, że chyba jednak będzie lepiej, jeśli wcześniej położy się do łóżka.

- Obawiam się, że będziemy sami - powiedział Sebastian Barbarze po próbie. - Katharine złapała jakieś okropne przeziębienie i nie chciała cię zarazić.

- Moje biedactwo. W takim razie cieszę się, że będę cię miała tylko dla siebie - odparła Barbara. - Gdzie idziemy?
- To twoje urodziny. Wybór należy do ciebie.
- Więc do Sheekeya, proszę.

Barbara zjadła ostrygi i wypila ogromną ilość szampana. Jak zwykle wyglądała pięknie i seksownie, była pełna życia i wszyscy w restauracji dyskretnie się jej przyglądali.

- Nigdy, ani przez chwilę nie żałowałam, że twój ojciec mnie tobie przedstawił, kochanie. To był najlepszy ruch w mojej karierze.

- Ty zmieniłaś oblicze Locke Mariner - odparł. - Byłaś naszym pierwszym wielkim nazwiskiem, naszą pierwszą gwiazdą.

- Wiosną minie sześć lat. - Barbara ponownie podniosła kieliszek. - Za ciebie, kochany Sebastianie. Jesteś najlepszym agentem, jakiego każda aktorka mogłaby sobie wymarzyć.

- Za moją klientkę numer jeden - odparł.

Sebastian wstrzymywał się od picia, ponieważ Barbara piła dużo. Będzie więc musiał zawieźć ją do domu. Poza tym znowu dostał migreny.

Barbara z synkiem mieszkali w domu w Marlow, nad rzeką. Jednocześnie Barbara zachowała mieszkanie na ósmym piętrze w nowoczesnym wieżowcu w Pimlico.

- Wejdiesz, prawda, kochanie? - powiedziała w drzwiach. Sebastian zerknął na zegarek.

- Jest dosyć późno. - Ból głowy trochę zelżał, lecz wciąż go męczył.

- Jeden kieliszek z pewnością nie zaszkodzi. - Barbara poszła do kuchni. - I wiem, gdzie szukać ślicznej butelczyny szampana, w sam raz gotowej do wychylenia.

- Nie sądzisz, że dosyć już wypiliśmy?

- Ja nie mam jeszcze dość.

Najwyraźniej Barbara nie chce zostać sama - pomyślał Sebastian. - W każdym razie nie zostanie sama, póki nie spije się na umór.

- Nie zapomniałaś, że jutro wieczorem jest prapremiera?

- Nie, kochanie, nie zapomniałam.

Sebastian wziął od niej butelkę, żeby ją otworzyć.

- No, jeśli uważasz, że dasz sobie radę, to nie zamierzam psuć ci urodzin.

- To z urodzinami mam kłopot. - Barbara wyjęła dwa kieliszki w kształcie tulipanów. - W każdym razie nie muszę

wcześnie wstawać, więc zamierzam się po prostu zrelaksować...

Sebastian poszedł za nią do salonu. Mały, brązowy kociak leżał uśpiony na kremowej sofie.

- Cześć, Nan, moja słodziutka. - Kotka obudziła się i przeciągnęła leniwie. Barbara zaczęła ją głaskać. - Och, jakie cudowne mruczenie.

- Kto to? - spytał Sebastian, nalewając szampana.

- To moja nowa przyjaciółka - powiedziała Barbara, biorąc kociaka w ramiona. - Ma na imię Nantucket.

- Dziwne imię.

- To nazwa miejsca, skąd pochodzi mężczyzna, od którego dostałam ją w prezencie. - Barbara zabawnie zmarszczyła nos. - Przypuszczam, że nie jest to odpowiednie imię dla kotki, ale w tamtym momencie wydawało mi się słuszne. Wołam na nią Nan.

- Jest bardzo ładna.

Barbara położyła kotkę z powrotem na sofie i poszła otworzyć drzwi na mały taras.

- Nie jest za zimno, prawda, kochanie? Lubię świeże powietrze.

Sebastian pomyślał o ośmiu piętrach w dole.

- Czy to bezpiecznie dla kotki otwierać drzwi na taras?

- Ona nigdy tam nie wychodzi - odparła Barbara. - Pierwszego dnia, kiedy ją dostałam, moja cudowna pani do sprzątania podlewała węzłem kwiaty i przez przypadek oblała Nan. Przeraziła ją i już nigdy nie wyszła na taras. - Zakołysała się trochę i oparła o ścianę.

Sebastian usiadł w fotelu.

- Dobrze dzisiaj poszło. Też miałaś takie wrażenie?

Barbara podniosła palec do ust.

Nawet o tym nie myśl, kochanie... A już mówić w ogóle nie wolno, żeby nie zapeszyć.

Noel był całkiem spokojny.

Jutro będzie kłębkim nerwów.

Uważam, iż jesteś naprawdę wspaniała - powiedział Sebastian, zapalając papierosa.

To miłe, kochanie - uśmiechnęła się do niego szeroko. - Podobała ci się moja śmierć dziś wieczorem?

- Strasznie.

- Muszę przyznać, że to wielka frajda strzelać sobie w głowę na każdym przedstawieniu - lekkim tonem mówiła Barbara. Wzięła do ręki kieliszek. - Boże, jak ja nią pogardzam!

- Heddą? - Sebastian poczuł, jak wraca mu ból głowy, a napięcie ściska czaszkę.

- Jednocześnie ją szanuję, oczywiście. Taka hipokryzja, i to w pełni świadoma. - Upiła trochę alkoholu i zapadła się w sofę. Nantucket, nie chcąc, by znów jej przeszkadzano, zeskoczyła zgrabnie i poszła w róg pokoju pod kaloryfer. - Kilkakrotnie oglądałam Katharine, kiedy grała - ciągnęła Barbara. - Wiesz, jest bardzo dobra.

- Tak?

- Myślałam, że będzie zbyt delikatna na Heddę, a tak naprawdę omal mnie nie przeraziła. - Barbara raptownie odstaawiła kieliszek na niski stolik i wstała. - Wybacz, kochanie.

Mdli mnie.

- Chcesz, żebym sobie poszedł?

- Nie. - Chwiejnym krokiem podążyła w stronę łazienki. - Zaraz wracam. Dolej sobie kropelkę szampana.

Sebastian oparł się w fotelu i zamknął oczy. Poczul lekki ciężar kota na kolanach, po czym nastąpiła seria drobnych ukłuc pazurków i wygodne usadawianie się.

- Cześć, Nantucket - powiedział bardzo cicho.

W pokoju zaległa cisza. Słyszał mruczenie kotki i swój własny oddech. Zza zamkniętych drzwi łazienki dobywał się szmer wody, a z dala, z ulic Londynu dobiegały dźwięki ulicznego ruchu.

Bolała go głowa. Znów ją czuł, był świadom jej zapachu cały wieczór. A jednak było trochę inaczej. Zapach nie był taki mocny i duszący.

Otworzył oczy i wstał z kotką w ramionach.

- Kochanie?

Sebastian podniósł wzrok i zobaczył stojącą nad nim Barbarę.

- Zdrzemnąłeś się?

- Pewnie tak.

Wzięła do ręki kieliszek i usiadła.

- Dobrze się czujesz?

- Super - odparła.

- Jakich używasz perfum? - zapytał nagle.

- Mitsouko - powiedziała. A po chwili spytała:

- Gdzie jest Nan?

- Nie wiem. Pewnie gdzieś powędrowała.

Sebastian wyjął kolejnego papierosa z papierośnicy, zapalił i wstał. Wyciągnął nogi i wolnym krokiem wyszedł na taras.

- Barbaro... - Jego głos brzmiał spokojnie. - Barbaro, chodź tu.

- Co się stało, kochanie?

- Nie rób hałasu. Wyjdź wolno. - Usłyszał jej kroki. -

Patrz.

- Och, mój Boże.

Nantucket siedziała nieomal półtora metra od krawędzi tarasu na ozdobnym parapecie samego budynku. Był to wąski kawałek betonu.

- Jak, do licha, tam się dostała? Nigdy nie wychodziła.

- To łatwe dla kota - odparł Sebastian. W głowie mu hucało. - Mam spróbować ją wydostać?

- Nie... jeszcze ją przestraszysz. Może pójść dalej albo nawet...

- Spróbuj ją zawołać.

- Dobrze. - Barbara zaczęła posuwać się w stronę kotki.

- Nie dosięgniesz jej.

Kotka zamiauczała.

- Utknęła, biedactwo - szepnęła Barbara w rozpaczy. - Wejdę tam.

Przysunęła stojący w rogu tarasu mały żelazny, biały stolik i postawiła go blisko krawędzi tarasu. Jej ruchy były powolne i pełne gracji jak u tancerki. Potem zdjęła buty.

- To szaleństwo, Barbaro! - ostro powiedział Sebastian.

Cicho, przestraszysz ją. Pomóż mi. - Weszła na stolik. Miała na sobie jedwabne spodnie z szerokimi nogawkami.

- W porządku, Nan, kochanie - powiedziała cichym, śpiewnym głosem. - Idę, żeby cię ratować.

Sebastian stał obok bez ruchu. Jej perfumy owiały go i poczuł mdłości.

- Nie bój się, kochanie - zamruczała Barbara. Jej stopy ślizgały się na blacie stolika.

- Na miłość boską - odezwał się Sebastian. - Spadniesz!

- Nie bój się. Doskonale potrafię utrzymać równowagę. Taneczny trening - pochwaliła się.

To były przechwałki pod wpływem wypitego szampana.

- Wszystko w porządku, Nan, moja słodka - przymilnie szeptała Barbara. Wychyliła się poza krawędź tarasu, wyciągając ręce ku parapetowi. - Tylko się nie ruszaj przez...

Potknęła się.

Sebastian skoczył do przodu z wyciągniętymi rękoma.

Kiedy wychyliła się w przepaść, chwycił ją za kostkę przez jedwab nogawki.

Barbara wrzasnęła.

Trzymał ją, czuł w rękach kruchość jej ciała. Wtedy jedwab puścił. Noga Barbary wyslizgnęła mu się z ręki. Usłyszał, jak jej głowa uderza o mur budynku. Poczł zapach Mitsouko. Krew waliła pulsem w uszach i w skroniach.

I wtedy zaczęła wysuwać się z jego uchwytu. I wiedział, że dłużej jej nie utrzyma. Puścił.

I spadała.

Kiedy Barbara spadała, osiem pięter w dół, Nantucket zamruczała cichutko, odwróciła się i zaczęła powolutku iść w stronę tarasu, po czym wskoczyła nań lekko i bezszelestnie.

Sebastian stał oniemiały. Szeroko rozwartymi oczyma patrzył w dół.

Kot spojrział na niego i żałośnie zamiauczał.

Barbara jeszcze żyła w drodze do szpitala - powiedziano mu później. Była świadoma. Myślała trzeźwo, mimo potwornych obrażeń. Powiedziała, że to była jej wina. Sebastian ją ostrzegał, próbował ją powstrzymać. Usiłował ją ocalić.

- To przez szampana, mówiła Barbara, i przez urodziny - poczuła się nieśmiertelna.

A potem umarła.

Był za mocno wstrząśnięty, by prowadzić samochód do domu. Zadzwoził do Jeremy'ego. Mariner przyjechał po niego.

Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Jechali do Hampstead w milczeniu. Katharine spała twardo, uśpiona aspiryną i gorącą herbatą z cytryną.

- Dobrze się czujesz? - Jeremy spytał Sebastiana.
- Nie.
- Chcesz, żebym został?
- Nie.

Jeremy pojechał do domu. Sebastian nie miał siły, by iść na górę, położył się więc na sofie w salonie i zasnął.

RS

Rozdział 27

- Nie mogę w to uwierzyć!
- Ja również.
- To nie może być prawda!
- Aniele. Musisz się z tym pogodzić. To okropne, potworne... Ale zdarzyło się. I nic tego nie odwróci.

Katharine i Sebastian siedzieli na łóżku w sypialni. Katharine miała bladą twarz i czerwone, spuchnięte od płaczu oczy. Sebastian obudził ją o ósmej rano, by o wszystkim ją powiadomić. Żałował, że tej wiadomości nie może jej jeszcze przez jakiś czas oszczędzić, lecz wiedział, że najwyżej za godzinę zacznie dzwonić telefon. Zmusił ją do wypicia odrobiny osłodzonej herbaty, obawiając się, że zemdleje. Jednak Katharine zebrała siły. Nie docierało do niej to, co się stało.

- Powiedz jeszcze raz, jak do tego doszło - powiedziała. - To nie mogło być tak, jak mówiłeś, to zbyt makabryczne, niepojęte.

- Nie każ mi tego powtarzać, aniele.

- Wiem. Przepraszam. To musiał być dla ciebie koszmar. - Spojrzała na niego. - Obwiniasz siebie, prawda?

- Oczywiście, że tak.

- Ale przecież powiedzieli ci w szpitalu, że wiedzą, iż to nie twoja wina. Barbara mówiła im, że próbowałaś ją powstrzymać... - zająknęła się - i ją uratować.

Sebastian patrzył na nią pustym wzrokiem.

- Najwyraźniej nie dość mocno się starałem.

Katharine z rozpaczą chwyciła się za głowę.

- Ciągle nie mogę zrozumieć, jak ona tam się znalazła... jak ty...

- Jak jej na to pozwoliłem? - Sebastian dokończył chrapliwym głosem. - Katharine, jej kotka tam utknęła. Barbara nie zgodziła się, żebym ją wy dostał. Mówiła, że się przestraszy i spadnie.

Katharine zadrżała.

- Wiem, że to wstrętne, ale cieszę się, że ci nie pozwoliła, bo to ty mógłbyś...

- Przestań, kochanie.

Znow zaczęła cicho płakać. Skuliła się i próbowała powstrzymać dygotanie.

Sebastian wstał.

- Nie zostawiaj mnie - szepnęła.

- Poproszę Ellie, żeby ci zrobiła śniadanie.

- Nic nie przelknę.

- Musisz jeść - powiedział Sebastian. - Dzisiaj musisz być silna.

Katharine popatrzyła na niego. Na policzkach jeszcze nie obeschły jej łzy.

- Chyba nie myślisz, że...

- Tak.

- Nie zgadzam się! - Gwałtownie pokręciła głową. - Nie, nie mogę!

Sebastian usiadł obok.

- Jesteś jej dublerką, aniele - powiedział łagodnie.

- To niech przesuną termin prapremiery - Katharine, przerażona i wstrząśnięta, szeroko otworzyła oczy.

- Nie wiem dokładnie, co zrobią - odparł Sebastian. - Ale cokolwiek by postanowili, ty jesteś Hedda.

- To takie... - szukała właściwego słowa - brutalne...

- To prawda.

- Nie będą mnie chcieli. Noel się nie zgodzi.

- Przecież jesteś dublerką.

- Chcą mieć znane nazwisko. Gwiazdę. - W Katharine rosnęła panika.

- Nawet jeśli tak jest - mówił Sebastian - nie ma na to czasu.

Policja przyjechała tuż przed prasą i Jeremym.

- Jak trzyma się Kate? - Jeremy cicho zapytał Sebastiana w holu.

- Jest wstrząśnięta.
- Gdzie jest?
- Na górze. Ubiera się. Kilka minut temu dzwonił Noel.
- Wpadł w szal, kiedy mu powiedziałem.

Zadzwoił telefon. Sebastian odebrał szybko i rozmawiał przez chwilę.

- To March - powiedział Jeremy'emu. - Chce, żeby Katharine była u niego w biurze o dziesiątej.

- Zdaży?

Sebastian spojrział na zegarek.

- Z trudem.

- Będzie chciała pojechać?

- March powiedział, że wie, iż Katharine nie będzie czuła się na siłach, bo nikt się nie czuje... Ale to jest *show-biznes*, przedstawienie musi trwać.

- Jeremy wykrzywił usta.

- Najpierw biznes, potem żałoba - powiedział.

- Mój Boże - powiedziała Katherine do Sebastiana. - Dzisiaj jest sylwester.

- Rzeczywiście - odparł łagodnym tonem.

- Podniosła na niego wzrok. Taksówka, którą dla niej wezwano, czekała na podjeździe z wyłączonym silnikiem.

- Czy sądzisz, że reszta zespołu już wie?

Sebastian pokręcił głową.

- Wątpię. Gdyby tak było, zadzwoniłby Sam.

Katharine wyglądała mizernie.

- Poprosiłabym, żebyś mi życzył powodzenia, ale nie jestem pewna, czego sama sobie życzę - powiedziała. - To wszystko jest złe. Więcej niż złe. Potworne.

- Tak, to prawda - przyznał Sebastian.

Otworzył jej drzwi taksówki. Katherine wsiadła z tyłu.

- Chciałabym, żebyś pojechał ze mną.

- Ja też. Ale muszę złożyć zeznania.

- Wiem.

- Dasz sobie radę? - zapytał.

Katharine kiwnęła głową.

- Jesteś...

- Co, aniele?

- Jesteś miły - odparła.
- A czy nie powinienem?

Nie odpowiedziała.

- Zadzwoń do biura Marcha o jedenastej - powiedział. - Ale jeśli będziesz wiedziała coś konkretnego wcześniej, zadzwoń do mnie, do domu.

- Na pewno - powiedziała Katharine.

Katharine spędziła półtorej godziny, zamknięta z Peterem Marchem i Noelem Harveyem, po czym producent i reżyser odesłali ją do drugiego gabinetu, chcąc porozmawiać na osobności.

- Przynajmniej dobrze zna rolę - odezwał się March po nuro.

- Jest prawdziwą profesjonalistką - powiedział Harvey, bliski łez.

- To może nawet być interesujące - zaryzykował twierdzenie March. - Ona jest zupełnie innym typem Heddy. Barbara była taka...

- Zdumiewająca.
- Gdyby tylko Katharine zrobiła coś więcej.
- Ostrzegałem cię, Peter.

Zastąpimy ją kimś, oczywiście. - Producent ożywił się. - Biuro już się tym zajmuje, kiedy my tu rozmawiamy.

- I tak nie zdążą.

- To prawda.

- Musimy odwołać dzisiejszą prapremierę - mówił Harvey. - Po prostu nie mamy wyboru. Zawiadomimy innych dziś po południu, a potem zrobimy próbę generalną.

- To będzie kosztować fortunę - powiedział March niewesoło.

- A jaki mamy wybór? Ona wystąpi w jutrzejszym przedstawieniu popołudniowym, a ty poruszysz niebo i ziemię, żeby znaleźć duże nazwisko.

- Sądzę, że będziemy musieli wzbudzić nieco współczucia publiczności.

- Tragedia nie sprzedaje się dobrze - sprzeciwił się Harvey. - W momencie kiedy usłyszą o kochanej, biednej Barbarze, będą się domagali zwrotu pieniędzy.

- Niekoniecznie. Nie, jeśli powiemy im, że Katharine Andersen jest synową Diany Lancaster.

- Peter, przyjacielu - mówił cierpliwie Harvey. - Niewielu żyjących pamięta Dianę Lancaster.

- To im przypomnimy. Ty też zapomniałeś, prawda? Ja sam nie pamiętałem aż do dzisiejszego ranka.

- To było dawno - powiedział reżyser zmęczonym głosem.

- Wcale nie, drogi chłopcze. W końcu to zdarzyło się ponad dwadzieścia lat temu.

- Ale co się zdarzyło?

- Zmarła Diana Lancaster - March powiedział z satysfakcją. - Tuż po próbie generalnej „Heddy Gabler”.

- Dobry Boże - powiedział Harvey.

- Właśnie.

Katharine poszła prosto z biura Marcha do teatru. Wciąż była pod wpływem wstrząsu. Za kilka godzin miała po raz pierwszy wystąpić na West Endzie w pierwszoplanowej roli i nie czuła nic poza przerażeniem. Barbary nie było, a ona zaś nie była ani na tyle doświadczona, ani gotowa, by przejąć jej rolę. Podejrzewała, że dublowanie roli Heddy powierzono jej tylko ze względu na to, że Sebastian dużo zainwestował w wystawienie sztuki.

Kiedy Katharine przyjechała, rzeczy Barbary zostały już uprzątnięte z garderoby. Czekala na nią Olive, garderobiana Barbary. Zza okularów patrzyły na Katharine jej zaczerwienione od płaczu oczy.

- Nie wierzyłam w to, kiedy kazali mi tu przyjść - powiedziała.

- Ja wciąż nie mogę w to uwierzyć - dodała Katharine.

- To była taka cudowna kobieta - mówiła Olive, przykładając do twarzy chusteczkę. - I do tego w swoje urodziny...

Naraz Katharine przypomniała sobie, że nie zadzwoniła do Sebastiana.

- Muszę zadzwonić do męża. Nie wie, co się dzieje.

- Zostawię panią - powiedziała Olive i zawahała się.

Przyjrzała się Katharine okiem profesjonalisty. - Trzeba będzie trochę przerobić stroje panny Stone.

Żołądek Katharine skurczył się gwałtownie.

- Nie chcę tego wszystkiego, wie pani?

- Tak, widzę, że nie - Olive odparła łagodnie. - Ale właśnie po to mają dublerów, prawda? Niech się pani nie czuje z tym źle. Panna Stone życzyłaby pani dobrej zabawy.

Katharine nie była w stanie odpowiedzieć, a garderobiana wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Katharine podniosła słuchawkę aparatu na toalecie i wykręciła numer. Odebrała Ellie i powiedziała, że Sebastian wyszedł niedawno i jest w drodze do teatru.

- Dzwonił do ciebie pan Raphael. Dowiedział się, co się stało i kazał ci przekazać... - Ellie zawahała się - ...,uszy do góry". Chyba tak to określił.

Katharine uśmiechnęła się słabo.

- Na pewno tak. Dziękuję.

- Dajesz sobie radę, kochana?

- Nie, Ellie.

- Podążasz - orzekła Ellie zdecydowanie. - Jesteś odważną dziewczyną.

- Akurat teraz nie czuję się bardzo odważna.

- Niech cię Bóg błogosławi.

Po chwili Katharine zadzwoniła do Virginii, modląc się, żeby przyjaciółka była w domu. Virginia radośnie odebrała telefon po drugim dzwonku.

- Jeszcze nic nie wiesz, prawda? - spytała Katharine.

- Co się stało?

Katharine powiedziała jej o wszystkim.

- Dobry Boże! - Virginia była wstrząśnięta. - A ty jak się czujesz?

- Jakoś się trzymam.

- A jak Sebastian?

- Oczywiście, czuje się strasznie. Myślę, że działa jak automat. Wiesz, stara się to jakoś przeżyć.

- Wyobrażam sobie. - Nie, to nieprawda. W ogóle nie mogę sobie tego wyobrazić. Nie rozumiem, jak coś takiego mogło się stać. To jest tak makabryczne, że aż niepojęte.

Katharine drżała.

- Ona była taka... wspaniała ...i taka dobra dla mnie.

A teraz mam przejąć wszystko po niej, to aż... to się nie godzi.

- Virginio, kochanie, muszę kończyć. Właśnie przyszedł Sebastian.

- Chcesz, żebym przyjechała?

- Dziękuję. Nie ma takiej konieczności...

- Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebowała - niespokojnie mówiła Virginia. - I to samo powiedz Sebastianowi.

- Dobrze.

Sebastian wyglądał na wyczerpanego. Katharine zobaczyła, że małe zmarszczki, które zwykle towarzyszyły bólowi głowy męża, znów rysują się między jego jasnymi brwiami.

Co się dzieje? - zapytał, zapadając się w fotel. - Petera nie można złapać, więc przyjechałem prosto tutaj.

- Odwołali dzisiejszą prapremierę.

- Ale ty zagrasz? - zapytał spięty.

Kiwnęła głową.

- Jutro. W przedstawieniu popołudniowym.

- Na chwilę Sebastian zastygł w bezruchu. Dłonie zacisnął w zbiele pięści. Za moment już stał, a jego oczy płonęły triumfem.

- Jestem przerażona, Sebastianie.

Będziesz idealna - odparł. Ekstaza odbijająca się w jego oczach wciąż rosła i Katharine pomyślała, że-lada moment Sebastian zacznie krzyczeć z radości.

- Jeszcze nigdy nie widziałam, żebyś był tak podekscytowany - powiedziała. Czowała się zakłopotana i wstrząśnięta, lecz jednocześnie wzruszona natężeniem jego emocji. Dziecko - pomyślała. - Powinnam powiedzieć mu o dziecku, teraz.

- Trzeba będzie dopasować stroje Barbary - powiedziała roztrzęsiona. - Olive czeka na zewnątrz. - Chciała, żeby Sebastian poszedł, chciała być przez chwilę sama.

Wolno pokiwał głową.

- Już idę.

- Dokąd?

- Do biura. Mam sprawy do załatwienia. Przyjedzie policja, śledczy... Zadzwonię do synka Barbary, do Francji. Wczoraj w nocy policja skontaktowała się z Dupontem, jego ojcem.

- Biedne dziecko - powiedziała Katharine.

- A potem jest przyjęcie.

- Jakie przyjęcie? - wzdrygnęła się na te słowa.
- Jest sylwester. Zawsze razem pijemy trochę w biurze, pamiętasz? - głos Sebastiana brzmiał bezbarwnie. - Będę musiał powiedzieć parę słów o Barbarze.

- Próba generalna jest zaplanowana na piątą - cicho powiedziała Katharine. - Będziesz mógł przyjść?

- Spróbuję.
- Chciałabym, żebyś tu był.
- Dobrze - odparł.

Pojechał na Albemarle Street. Elspeth go uścisnęła, a Jeremy przyszedł porozmawiać chwilę, zanim wyszedł. Sebastian usiadł przy biurku i zaczął przeglądać papiery.

Gabinet wydał mu się inny, nie tak rzeczywisty jak zwykle. Nic nie wydawało się całkowicie realne. Czuł pustkę w głowie. Dotykał rzeczy, lecz jego palce pozbawione były czucia. Wziął do ręki długopis, ale wiedział, że nic nie napisze. Odłożył go i chwiejnie wstał.

- Idę do domu - powiedział Elspeth.
- Ale miałeś dzwonić.
- Zadzwonię z domu.
- Dobrze się czujesz? - spytała.
- Bardzo dobrze. Do zobaczenia później.
- Mam odwołać przyjęcie?
- Nie. To tylko parę drinków - odparł. - Muszę sam im powiedzieć, co się stało. Mogą być plotki.

Słyszał swój własny głos. Brzmiał naturalnie, ale jakoś dziwnie obok. Wyszedł z biura, poszedł do samochodu, włączył silnik i ruszył.

Boję się tego, co się ze mną dzieje - pomyślał.

Skręcił w Bond Street, potem w lewo w Burlington Gardens i pojechał prosto w stronę Regent Street. Prowadził doskonale, kontrolując lusterko wsteczne.

Nie ma powodu się bać - usłyszał swoją myśl. - To dopiero się zaczyna. To, co od zawsze miało być.

Czarny aston martin minął budynki BBC, skręcił w Portland Place i skierował się w stronę Regent's Park.

Moje przeznaczenie - pomyślał.

Rozdział 28

O wpół do czwartej atmosfera w teatrze była napięta. Ogłoszono, co się stało. Zespół był głęboko wstrząśnięty. Potem zapanował wielki smutek, a na koniec panika. Sam otoczył Katharine troskliwością, zaś cały zespół zachowywał się bez zarzutu, z delikatnością i szacunkiem dla jej uczuć. Czuli jednak ich niechęć.

- Będiesz wspanała, najdroższa - mówił Sam. Ale Katharine czuła, że słowa te płyną z dobroci. Jako aktorka mogła być nowicjuską, lecz całe życie miała do czynienia z ludźmi teatru i wiedziała, że nie ma prawa okazywać strachu, po to tylko, by sobie ulżyć. Trema jest jak zaraźliwy wirus. A to, co teraz czuła, było więcej niż tremą.

Sebastian był w ogrodzie, kiedy Ellie zawołała:

- Wskoczę na chwilę. - Zapięła beżowy płaszcz zimowy. - Czy mam coś ci przywieźć?

Stał obok krzaków różanych.

- Nie. Dziękuję, Ellie.

Ellie westchnęła i odwróciła się, by odejść.

Sebastian pochylił się i urwał główkę róży zimowej. Kolec ukłuł go w palec. Sebastian mocno ścisnął łodygę. Róża upadła na ziemię. Podniósł rękę i przyjrzał się maleńkiej kropli krwi. Czuł ból ukłucia i przyniosło mu to ulgę.

Wciąż jeszcze tu jestem - pomyślał.

Z kieszeni wyjął chusteczkę i wytarł krew. A potem wolno poszedł w stronę domu.

W Locke Mariner bez przerwy urywały się telefony.

- Nie rozumiem, dlaczego go nie ma - mówił Jeremy do Elspeth.

- Powiedział, że jedzie do domu, żeby dzwonić. Zabrzmiało to rozsądnie w tych okolicznościach - odparła Elspeth.

- Ale nie pojechał do domu.

- Może pojechał i znów wyszedł. Albo jest na spacerze... Można zrozumieć jego dzisiejsze przygnębienie.

Jeszcze raz spróbuję go złapać.

W salonie w Dębach Sebastian słyszał dzwonek telefonu. Nie poruszył się jednak, by go odebrać.

Stał pod portretem Nathana Smitha i wpatrywał się w twarz Diany. Długo na nią patrzył. Ten słodki tajemniczy uśmiech przywoływał wspomnienia z dzieciństwa. Wspomnienia te po raz pierwszy jawiły mu się ostro i wyraźnie.

Teraz to wiedział. Tylko ona miała znaczenie. Jej miłość była jedyną miłością, która się liczyła. Cokolwiek zdarzy się teraz, zdarzy się dla niej.

- Będzie mgła jak mleko - powiedziała kasjerka, oddając pieniądze za bilety za odwołaną tego wieczora prapremierę.

- Powrót do domu będzie prawdziwym piekłem.

- Jaka jest ta nowa Hedda? - zapytała jej koleżanka.

- Piękna dziewczyna. Powiedziałabym, że ma coś w sobie.

- Ale czy to wystarczy?

Pokręciła głową.

- Z pewnością nie. Nie da się zająć miejsca takiej gwiazdy jak Barbara Stone.

- Wiesz, kiedy pogrzeb?

- Nie słyszałam. Pewnie będzie dochodzenie.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Spadła z ósmego piętra. To podejrzane.

- Ale to był wypadek, prawda?

- Oczywiście, że tak, ale jednak...

- Biedaczka.

- Niezły szok dla dublerki.

- Nie wyglądała na uszczęśliwioną, kiedy ją widziałam.

O piątej przygasły światła i rozpoczęła się próba generalna. Ciotka Tesmana i pokojówka wyrecytowały swoje pierwsze kwestie. Za kulisami asystentka kierownika sceny z huukiem upuściła wazę na drewnianą podłogę. W piątym rzędzie Noel Harvey nerwowymi palcami przeczesywał swoje przerezione, kręcone włosy i z uporem wpatrywał się w scenę, modląc się o wewnętrzny spokój.

Z tyłu teatru ostrożnie otworzyły się drzwi i na widownię wpadł podmuch mroźnego powietrza. Sebastian cicho wślizgnął się do tylnego rzędu i usiadł. Fotograf pstryknął zdjęcie z jednej z łóż. Na scenę po raz pierwszy weszła Hedda Gabler.

Noel Harvey chwycił poręczę fotela. Lecz po kilku chwilach odprężył się. Katharine wyglądała cudownie. Nie można było oderwać od niej wzroku. Kiedy się odezwała, jej głos rozbrzmiał czysto, naturalnie i nadspodziewanie spokojnie. I reżyser ujrzał przed sobą prawdziwą Heddę.

Trwał pierwszy akt. Atmosfera nieco się uspokoiła. Nie za bardzo, lecz w sam raz, tak że ostre i niepokojące napięcie wciąż się utrzymywało, choć nie tak przerażające, jak to było w czasie premiery. Mobilizowało ich do osiągnięcia doskonałości; czasem powodowało, że popełniali drobne błędy i wpadali w panikę, ale potem byli gotowi znów do walki.

Sebastian pochylił się do przodu na fotelu w tylnym rzędzie. Hedda grana przez Katharine utonęła we mgle bólu. W jego głowie rozlegały się dwa głosy, wypalając ścieżki w jego mózgu, walcząc o władzę nad nim. Jeden z nich był młody, słodki i czysty. Drugi - wibrujący, pełen mocy.

Wydał z siebie cichy, stłumiony jęk. Wstał, po omacku przeszedł między pustymi siedzeniami w stronę wyjścia i wybiegł na zewnątrz.

Kiedy Jeremy'emu mimo wielokrotnych usiłowań nie udało się skontaktować z Sebastianem, zadzwonił do Albery. Giles, asystent Noela Harveya, potwierdził, że jeden z pracowników widział Locke'a w teatrze.

- Ale chyba wyszedł dość szybko podczas pierwszego aktu. Mówili, że wyglądał, jakby był chory.

Niepokój Jeremy'ego przerodził się w panikę. Zadzwoił do Virginii.

- Co się stało? - spytała, gdy tylko usłyszała jego głos.
- Czy jest u ciebie Sebastian?
- Nie.
- Miałem taką nadzieję.
- Jesteś w biurze?
- Tak, on też powinien tu być.
- Oczywiście próbowałaś dzwonić do domu?
- Tak. I do teatru. Mówią, że tam był, ale wyszedł. Martwię się o niego, Virginio.
- Ja też.
- Powiesz mi, dlaczego? - zapytał Jeremy.

Virginia zawahała się.

- Może powinniśmy się spotkać.
- Tak. Ale jeszcze przez jakiś czas nie będę mógł stąd wyjść.

- Aha, rozumiem... - urwała. - Sądzę, że powinnam pojechać do Dębów i zobaczyć, czy on tam jest. Może nie odbiera telefonu.

Jeremy poczuł, że ogarnia go strach, lecz próbował mówić spokojnie.

- Gdybyś mogła to zrobić, dołączyłbym do ciebie jak najszybciej, jak będę mógł.

Sebastian otworzył drzwi wejściowe do Dębów i wszedł do środka. Nie trzeba zapalać świateł. Na górę po schodach. Do sypialni. Czuł jak spod kremowych, położonych przez Katharine tapet, usiłuje się przebić stara warstwa.

Widok łóżka z baldachimem przeraził go. Kiedy zamknął oczy, zobaczył oczyma wyobraźni, jak kopuluje ze swoją żoną. Wzbierało w nim poczucie grzechu. Dusił się nim.

Z sypialni. Po schodach na strych. Na szczyt domu. Pod dach, gdzie przechowywano przeszłość. Odłamki jego życia. Futrzane zwierzątka, książki, koniki na biegunach i krzesła, w których już nikt nie usiądzie. W których ona nie usiądzie. Kiedy zamknął oczy, widział ją, jak siedzi i uśmiecha się.

Jej kufer stał pod ścianą. Wyciągnął go, zostawiając ciemne ślady w szarym kurzu. Kiedy zamknął oczy, widział siebie,

ciągnącego ten kufer kiedyś, w przeszłości. Włókł go. Kiedyś ten kufer był cięższy.

Podniósł pokrywę. Zaskrzypiało, jęknęły zawiasy. Kurz wzbił się w powietrze. Pochylił się, ostrożnie zanurzył ręce w fałdach zgniecionego materiału i czule go uniósł. Kiedy zamknął oczy, widział, jak tkaninę tę niesie ojciec. Jego blada twarz była zalana łzami.

Delikatnie odłożył materiał na podłogę i ponownie zajrzał do kufra. Wyjął fotografię i zaproszenie. Spojrzał na zdjęcie. Zamknął oczy.

Kiedy podniósł kostium z podłogi, jej woń owiała go obficie. Zanurzył twarz w aksamit, pogrążając się w ciemnościach jak ślepiec, i głęboko zaciągnął się jej zapachem.

Ze strychu. W dół po schodach. Do pokoju dziecinnego. Szybko stąd wyjść. Znów w dół, po szerokich schodach. Kostium ciężki w jego ramionach, trzeba stapać uważnie. Chwila w salonie. Jedno spojrzenie na nią.

Gotów.

Kwadrans po szóstej w biurze Locke Mariner Jeremy wciąż czekał. Żadnej wiadomości od Sebastiana. Virginia jeszcze się nie odezwała.

Jeremy siedział chwilę sam w swoim gabinecie. Jeszcze raz spróbował zadzwonić do Dębów, potem do teatru. Myślał o tym, co powiedziała mu lekarka neurolog. Czuł intuicyjnie, że coś się dzieje niedobrego.

Nie mógł już tak beczynnie siedzieć. Wyszedł z gabinetu, złożył pracownikom noworoczne życzenia, po czym sam opuścił biuro i skierował się w stronę Hampstead.

Virginia przybyła do Dębów taksówką o wpół do siódmej. Dom był ciemny i nieprzyjazny. Dwukrotnie zadzwoniła, nim otworzyła drzwi własnym kluczem, i weszła.

Zawołała Sebastiana, potem Ellie i zapaliła światła w hallu. Natychmiast poczuła zapach. Stęchły, zleżały, nieświeży. Zmarszczyła nos, zdjęła rękawiczki i weszła do salonu.

Zapaliwszy światła, od razu spostrzegła fotografię ustawioną nad kominkiem. Podeszła i wzięła ją do ręki. Zdjęcie było czarno-białe i miało powyginane, pożółkłe rogi. Na

scenie stała Diana, wyprostowana, arystokratyczna, w ciemnej, długiej sukni pod szyję, z wysokim stanem. Virginia odwróciła fotografię i z tyłu zobaczyła napis, pisany ręką Andrew:

Diana jako Hedda Gabler. Próba generalna. Dwudziestego maja 1954 roku.

Virginia patrzyła szeroko otwartymi oczyma, po chwili odwróciła fotografię. Zdjęcie lekko zadrżało jej w dłoni. Odłożyła je na półkę. Jej oczy powędrowały ku zaproszeniu leżącemu obok, które położyło ze starości.

*Uprzejmie zapraszamy
na uroczyste przyjęcie z okazji premiery „Heddy Gabler”,
które odbędzie się 21 maja 1954 roku
w The River Suite, w hotelu Savoy w Londynie.*

Virginia chwiejnym krokiem podeszła do telefonu, usiadła i wykreciła numer Locke Mariner.

- Ciągle tam pani jest, Elspeth?
 - Właśnie miałam wyjść. Jak się pani miewa, pani Locke?
 - Bardzo dobrze, dziękuję. Czy Jeremy Mariner jest jeszcze w biurze?
 - Nie, wyszedł już jakiś czas temu. Chwilę po jego wyjściu dzwonił Sebastian.
 - Dzięki Bogu. - Virginia poczuła ulgę. - Gdzie on jest?
 - Powiedział, że miał coś do załatwienia dziś wieczorem, a mgła uniemożliwiła mu powrót do biura.
 - Czy wspomniał, co robił? - spytała Virginia.
 - Mówił, że dla wygody Katharine zostaną w mieście.
 - To miło z jego strony. Czy powiedział, gdzie się zatrzymają?
 - Nie. - W głosie Elspeth pobrzmiwał uśmiech. - Zapytałam oczywiście, ale najwyraźniej unikał odpowiedzi. Prawdopodobnie pragnie zachować dyskrecję.
 - Rozumiem. Dziękuję bardzo, Elspeth. Szczęśliwego Nowego Roku.
 - Nawzajem, pani Locke.
- Virginia odłożyła słuchawkę.
Poczucie ulgi zniknęło bez śladu.

Niedługo po siódmej usłyszała pisk opon na podjeździe. Virginia, która czekała na Jeremy'ego, otworzyła drzwi, zanim jeszcze zdążył pociągnąć za dzwonek.

- Zadzwoń do Elspeth zaraz po twoim wyjściu - odezwała się bez żadnego wstępu.

- I wszystko w porządku?

- Nie sędzę.

Jeremy wszedł, a Virginia zamknęła za nim drzwi. Nie okazywał szczególnego zaniepokojenia, ale ona już podjęła decyzję. Nie byli sobie bliscy. Virginia wiedziała, że Katharine zawsze czuła się przy nim skrępowana. Nie można było jednak wątpić w przyjaźń i lojalność Jeremy'ego wobec Sebastiana.

- Mam ci do pokazania kilka rzeczy - powiedziała. Nie chciała wcześniej nikomu się zwierzać, że odkryła książki i notatki Andrew. Teraz była jednak tak przerażona, że wiedziała, iż nie ma wyboru.

Zaprowadziła Jeremy'ego do gabinetu Andrew i pokazała mu książki.

- Oczywiście, mogą one nie mieć nic wspólnego z Sebastianem - powiedziała. - Nie wiemy, dlaczego Andrew je czytał; równie dobrze mogłyby mieć związek z czymkolwiek innym, może z jakąś sprawą w sądzie. Ale on był tak nieszczęśliwy przed śmiercią, dokonała się w nim taka dramatyczna zmiana... - głos jej się załamał. - No i jest jeszcze list.

- Jaki list?

- Jeden z listów Sebastiana z Marchmont. Obawiam się, że to znowu ma związek z „Hedwą Gabler”. Wspomniane jest tu twoje imię. - Virginia podała list Jeremy'emu. - Zostawię cię teraz samego.

Przygotowała drinki dla siebie i Jeremy'ego. Whisky, bez wody i lodu. Niosąc szklanki, modliła się, żeby Jeremy wzruszył ramionami w ten swój ironiczny sposób i wytłumaczył jej, że ten list o niczym nie świadczy i że ona przesadza. Że jest niemądrą kobietą z wybujałą wyobraźnią.

Lecz twarz Jeremy'ego pobladła, jego wąskie wargi były zaciśnięte, a w oczach, kiedy podniósł wzrok na Virginie, nie było ani śladu ironii. Był przerażony.

- Proszę - podała mu szklankę. - Potrzebujesz tego.

Wypił drinka jednym haustem.

- Nie myślę się, Jeremy, prawda?

Pokręcił głową.

- Jest więcej - powiedziała Virginia i usiadła w skórzanym fotelu przed biurkiem. - Wiem, że między tobą a Katharine nie układa się najlepiej. I muszę ci szczerze powiedzieć, że uważam, iż to twoja wina.

- Niewątpliwie. - Jeremy uśmiechnął się słabo.

Virginia wyprostowała się.

- Więc podzielenie się z tobą jej najskrytszymi sprawami i zwierzeniami jest ostatnią rzeczą, którą chciałabym zrobić. Chyba że nie miałabym wyjścia.

- Naturalnie - odparł. - Ale jedno nas łączy: wszyscy kochamy Sebastiana.

Kiedy Virginia skończyła opowiadać Jeremy'emu o problemach, jakie ostatnio Katharine miała z Sebastianem, i kiedy na koniec pokazała mu fotografię i zaproszenie sprzed ponad dwudziestu lat, wszystkie fakty zaczęły mu się układać w całość.

- Dobry Boże - powiedział cicho.

- Teraz ty powiedz, co wiesz.

Jeremy pokręcił głową.

- To jest niezła gmatwanina. Jedna z tych łamigłówek, w których brak wielu części. Nie rozumiem, jak w ogóle do tego doszło.

- Ale coś kojarzysz.

- Wiem, że Sebastian jest chory. Bardzo chory. - Jeremy oblizwał suche wargi. - Wiem, że ma obsesję. Może na punkcie swojej matki, a może „Heddy Gabler”.

- Ponieważ to była ostatnia rola Diany?

- Tamtego dnia byłem z Sebastianem - wspominał Jeremy. - Kiedy umarła Diana. Kate też była z nami. - Zamilkł na chwilę. - Byłem też w Marchmont, kiedy chłopiec, grający Hedde, poparzył się kwasem. - Wykrzywił usta. - Przepytawali mnie, jak wspomina w liście Seb. Byłem rozrabiaką, więc przez jakiś czas mnie podejrzewali.

Virginia odczekała moment.

- Jest coś jeszcze, prawda?

Jeremy kiwnął głową.

- Powiedz, proszę.

- Latem 1967 roku wyjeżdżałem do Stanów. Seb był na uniwersytecie w Edynburgu. Przed wyjazdem pojechałem go odwiedzić. Trwał Festiwal Teatralny i któregoś wieczora poszliśmy na amatorskie przedstawienie „Heddy Gabler”. - Wychylił do końca swoją whisky. - Było beznadziejne, więc wyszliśmy przed końcem. Ja poszedłem się przejść, było dość wcześnie, a Seb powiedział, że wraca do domu. Jednak kiedy wróciłem, jeszcze go nie było.

Virginia poczuła, że jej serce zamiera.

- Co się stało?

- Następnego dnia powiedział mi, że widział pożar. Prze-
czytałem o tym w „Scotsmanie”.

- Pożar teatru?

Jeremy skinął głową.

- To nie był teatr, ale jeden z tych starych, nieużywanych domów, które teatry amatorskie adaptują na scenę. Nikt nie został ranny. Zupełnie o tym zapomniałem, aż do dziś.

Jeremy obserwował, choć nie było to dla niego całkiem zrozumiałe, jak nieustępliwie, z determinacją Sebastian dąży do wzięcia udziału w wystawianiu przez Petera Marcha sztuk Ibsena. Nie mógł zrozumieć tej dość nietypowej dla partnera, nierozsądnej inwestycji, od której bezowocnie próbował go odwieść. Oboje z Virginią widzieli, z jaką mocą Sebastian zachęcał Katharine, by rozpoczęła karierę aktorską. Jeremy przypomniał sobie, że to wszystko tak naprawdę zaczęło się tutaj, w tym domu, rok temu. Po tym, jak March rozmawiał z nimi podczas przyjęcia noworocznego o swoich planach.

Wiesz, Seb był wściekły, kiedy obsadzili Barbarę. Dość szybko udało mu się to ukryć, ale widziałem wyraz jego twarzy.

Katharine powiedziała mi o tym przed świętami - z bólem odezwała się Virginia. - Mówiła, że dopiero wtedy zrozumiała, iż on chciał, by dostała Hedde. Wcześniej myślała, że chodzi mu o panią Elvsted. Wtedy wiedziałyśmy już, że miało to związek z ostatnią rolą Diany, ale nie zdawałyśmy sobie sprawy, jaką ma na tym punkcie obsesję.

- Doskonale obsadzono Barbarę - powiedział Jeremy. Jego twarz pobraźla. - Była jedną z jego ulubionych klientek. Jego gniew był bezsensowny.

Oboje zamilkli. Ich myśli były na tyle wymowne, że słowa stały się zbędne.

Barbara zginęła. Katharine stała się Heddą.

Dianie nie udało się w „Heddzie” wystąpić. Chłopcu w Marchmont również nie. Ani Barbarze Stone.

Jeremy i Virginia już się nie bali.

Ten strach ich sparaliżował.

W teatrze zapanowała atmosfera przygnębienia. Zespół rozproszył się w paru pierwszych rzędach na parterze, czekając, co powie Noel Harvey na temat ostatniej próby generalnej. Reżyser znany był z wygłaszania obszernych komentarzy końcowych. Czasami nawet potrafił udzielać uwag przed ostatnim przedstawieniem sztuki, która już długo nie schodziła z afisza. Wcześniej obiecał, że tego wieczora nie będzie ich przetrzymywał, lecz nikt mu nie wierzył. Nie mieli nic przeciwko temu. Potrzebowali tego podsumowania, chcieli, żeby przedstawienie wypadło doskonale. To było dla nich najistotniejsze. Nic innego nie miało znaczenia.

Po piętnastu minutach Katharine, czując, że przemarzła, przepaszającym tonem zapytała, czy może pobiec do garderoby po okrycie.

- Oczywiście, kochanie - powiedział Harvey. - Tego nam tylko trzeba, żeby twoje przeziębienie zamieniło się w grypę.

Wiadomość była w kopercie. Włożona do kieszeni kaszmirowego swetra, którym zawsze okrywała się w teatrze. Szybko rozdarła kopertę.

Nie jedź do domu, aniele. Wynająłem pokój w Savoyu. Mam wszystko, czego będziesz potrzebować. Ucałowania, S.

Jeremy wyjechał z Dębów kwadrans przed ósmą. Ustalili z Virginią, że on pojedzie do teatru, podczas gdy ona zostawi dla Katharine wiadomość, żeby nie wychodziła z Albery aż do przyjazdu Jeremy'ego. A tymczasem Virginia miała czekać w Dębach, na wypadek gdyby Sebastian się pojawił.

Nad Londynem unosiła się mgła. Jeremy miał nadzieję, że uda mu się szybko przejechać, lecz były korki i samochody wolno poruszały się bardzo wolno. Odcinek, którego pokonanie w normalnych warunkach zajęłoby Jeremy'emu pięć mi-

nut, teraz wymagał dwudziestu. Jazda do Martin Lane zazwyczaj trwała nieco mniej niż pół godziny. Aż bał się myśleć, jak długo będzie tam jechał dzisiejszego wieczora

Dwadzieścia po dziewiątej Katharine - przebrana w dżinsy i sweter - rzuciła kilka słów przez uchylone drzwi garderoby Sama, życząc mu dobrej nocy, i pobiegła ku bocznemu wyjściu. Chciała jak najprędzej opuścić teatr. Po ostatnich kilku tygodniach napięć i okropnej oziębłości ze strony Sebastiana, wiadomość od niego napełniła ją nową nadzieją. Być może niemądre było to chwytnie się nadziei po tym wszystkim, co się stało. Lecz Sebastian wciąż był jej mężem i może dzisiejszego wieczoru... kiedy powie mu o dziecku... Może Nowy Rok powstrzyma ten proces rozkładu ich związku i będą mogli zacząć od nowa...

- Panno Andersen! - zawołał Bill, strażnik, kiedy minęła go spiesznie. - Mam dla pani wiadomość.

- Dziękuję, Bill - zawołała Katharine przez ramię. - Już ją dostałam.

Kiwnął głową. Zmiał wiadomość od Virginii i wyrzucił ją do kosza na śmieci.

Jeremy jeszcze nigdy nie widział takich korków. Próbował każdego znanego sobie podstępu, każdej drogi na skrót, lecz bez skutku. Na tyłach Camden Town ciężarówka zderzyła się z taksówką. Kierowcom zaczęły puszczać nerwy, omawiano szczegóły wypadku, zaczęto trąbić klaksonami. Nawet kiedy usunięto z jezdni rozbite pojazdy, nie przyśpieszyło to ruchu. Wszyscy nadal jechali wolno. Jeremy śledził upływający czas na zegarze na tablicy rozdzielczej. Włączył radio, potem kasetę, walcząc o zachowanie spokoju. Wiedział, że nic, nic... do cholery, nie jest w stanie zrobić, że ta zdradliwa, oślepiająca mgła nie podniesie się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki tylko dlatego że Sebastian ma kłopoty. A on posuwa się do przodu centymetr po centymetrze i może się tylko modlić, by to, co przypuszczali z Virginią, okazało się nieprawdą...

Na Charing Cross Road był kolejny wypadek. Tym razem ruch zablokowały autobus i rower. Jeremy nie mógł już tego

znieść. Na ulicy, na której ugrzęzli w korku, obowiązywał zakaz parkowania, jednak Jeremy'ego przepisy przestały obchodzić.

Wjechał morganem na krawężnik, potem na chodnik, wyłączył silnik i wysiadł z samochodu.

To tylko pięć minut marszu, ale szybciej biegiem.

Bieganie we mgle było czymś najgorszym, co mógł zrobić chory na astmę. Choć Jeremy od lat nie miał poważniejszego ataku, wiedział, że to szaleństwo. Przed oczami miał jednak ciągle Sebastiana. I wiedział, że musi go odnaleźć.

Zaczął szybko biec.

RS

Rozdział 29

Sebastian stał przy oknie, spoglądając poprzez swoje odbicie na wolno wznoszące się i opadające nad rzeką kłęby mgły. Daleko, na prawo, za niewidocznym Parliament Square, to znikąca, to znów pojawiająca się tarcza Big Bena.

Za nim, w salonie i za podwójnymi drzwiami sypialni, wszystko było już przygotowane.

Taksówka, którą jechała Katharine, wreszcie dowiozła ją do Savoyu i zatrzymała się przed wejściem. Odźwierny pospieszył na jej spotkanie.

- Dziękuję - powiedziała Katharine znużonym głosem, płacąc taksówkarzowi. - Proszę zatrzymać resztę.

Weszła obrotowymi drzwiami do foyer. Natychmiast uderzył ją zapach palącego się na kominkach drewna, drogich perfum, pasty do butów i inne, trudniej rozpoznawalne wonie.

Skierowała się prosto do recepcji.

- Moje nazwisko Locke - powiedziała, odgarniając włosy z twarzy. - Sądzę, że mój mąż już się zameldował. - Czekaając, pomyślała o gorącej kąpieli, w której się zaraz zanurzy.

- Maja państwo apartament na trzecim piętrze z widokiem na rzekę - poinformował ją recepcjonista.

Polecono boyowi, by zaprowadził ją na górę. Jednak Katharine z uśmiechem zapewniła, że jest to zbędne, gdyż mąż wziął jej torby i jedyne, czego potrzebuje, to numer apartamentu.

Zamaszystym krokiem podeszła do wind. Policzki miała zarumienione. Futro z norek zsunęło jej się z ramion. Sweter i znoszone, codzienne dzinsy nie pasowały do otaczających ją

zewsząd smokingów i sukien wieczorowych. Katharine jednak prawie tego nie zauważała. Skurczył jej się żołądek - z lęku i podniecenia.

Nacisnęła przycisk windy i czekała.

Sebastian siedział w głębokim, miękkim fotelu w salonie apartamentu hotelowego. Oddychał szybko. Nareszcie usłyszał ciche pukanie do drzwi.

Wziął głęboki oddech - jeden, drugi. Znów usłyszał pukanie, tym razem głośniejsze.

- Drzwi są otwarte! - zawołał.

Poczuł, że krew z powrotem zaczyna mu krążyć w żyłach.

Katharine weszła do pokoju.

- Cześć, kochanie - powiedziała.

- Cześć, aniele.

Zamrugała. Pokój jaśniał od blasku świec. Były wszędzie. Na stołach, komodzie, na mahoniowym sekretarzyku, na półce nad kominkiem, nawet na parkiecie, tuż przy brzegach perskich dywanów. Wszystkie stały mocno przytwierdzone do podłoża woskiem, a ich płomyczki gwałtownie zatańczyły, gdy weszła.

Sebastian siedział naprzeciwko drzwi, zatopiony w fotelu i ledwo widoczny w czarnym golfie i czarnych spodniach. Tylko skóra jego twarzy i rąk jaśniała bielą w miękkim, migocącym świetle. Wstał, a jego długi, czarny cień wyrósł na ścianach i suficie.

- Cieszę się, że przyszłaś - powiedział. - Długo na ciebie czekałem.

Katharine położyła torebkę na sofie. Była wyczerpana i rozczarowana. Modliła się o jeden wieczór czułości.

- Noel podzielił się z nami swoimi uwagami - powiedziała, powstrzymując westchnienie. - A na ulicach jest mgła i korki. - Podeszła do niego i pocałowała w policzek. Zauważyła, że jego skóra znów jest zimna. Jak wtedy, w Wigilię, zanim ją zaatakował.

- Podoba ci się? - spytał Sebastian, wskazując na pokój.

- Cudowna ekstrawagancja - odparła Katharine na pozór spokojnie. - I te świece. Jakie to romantyczne. - Spojrzała pojemnik z lodem na stole. Noworoczny Dom Perignon.

Sebastian usiadł z powrotem, a jego wielki, czarny cień schował się za nim.

- A teraz? - zapytała Katharine fałszywie radosnym głosem. - Jakie mamy plany? Schodzimy na kolację czy zostajemy tutaj?

Nie odpowiedział. Światło najbliższej świecy padło na jego twarz. Gdy Katharine zauważyła jego błędne spojrzenie, ogarnęła ją nowa fala niepokoju.

Na zewnątrz, na korytarzu, śmiech zburzył ciszę. Grupka gości minęła drzwi. Rozległy się odgłosy rozmowy. Z ulicy przebił się głos syreny alarmowej znad Tamizy. Katharine usiadła na sofie, w pobliżu kominka. Nerwowo spłótła dłonie na kolanach.

- Może zdejmiesz płaszcz?

Jego głos zaskoczył ją. Bez wstawania zsunęła futro z ramion.

- Kiedy zostawiłeś wiadomość? - zapytała po chwili. - Widziałeś próbę?

- Tylko część.

- Nie poszło aż tak źle - powiedziała. - Zważywszy na okoliczności. - Czy to dobra wróżba na jutro?

- Kto to wie?... - urwał. - Nie rozejrzysz się trochę?

- Tak.

Katharine wstała. Płomienie znów zadrgały i zamigotały.

- Czy to nie jest trochę niebezpieczne?

Sebastian nie odpowiedział.

- Sebastianie! Na miłość boską! - Jej nerwy były zbyt napięte, by mogła dłużej znosić jego gry. - Dlaczego zadałeś sobie tyle trudu, żeby to wszystko zaaranżować, jeśli nawet nie chcesz ze mną rozmawiać? Jestem głodna i zmęczona. Skoro nie potrafisz być uprzejmy, idę prosto do łóżka.

Wstał, a jego gigantyczny cień znów wyrósł na suficie.

- Może zajrzysz do sypialni? - powiedział cicho.

Odwróciła się na pięcie, pokonując znużenie.

- Czemuż by nie? - otworzyła podwójne drzwi. Jej oczy zrobiły się okrągłe. Zaparło jej dech w piersiach.

Sypialnia była piękna. Miała owalny kształt, kremowe, jedwabne obicia i zasłony, delikatnie zaokrąglone narożniki. Sebastian przekształcił ją jednak w rozjarzoną, niesamowitą komnatę. Wszystkie lampy były zgaszone, a kilkadziesiąt

świec, ustawionych w dwóch równoległych rzędach, tworzyło świetlną ścieżkę, wiodącą do łoża.

Kostium leżał na pościeli. Rozpostarty zachęcająco. Czarna, żałobna suknia z aksamitu i jedwabiu. Ponieważ była złożona w kufrze przez ponad dwadzieścia lat, setki fałdek i zmarszczek lśniły w blasku świec niby drobne, ciemne fale.

Katharine westchnęła. Nikt nie musiał jej mówić, do kogo należała.

- Do Heddy - powiedział Sebastian, stanąwszy tuż za nią. Serce Katharine podskoczyło do gardła.

- Do Diany - odparła.

Nie odwracając się, ostrożnie weszła między świece i zrobiła jeden krok w stronę łoża.

- Piękna, czyż nie? - spytał.

Czuła jego ciepły oddech przy uchu. Na sekundę zamknęła oczy. Smak strachu, paralizującego, instynktownego strachu. Był tak silny, że poczuła przemożną chęć ucieczki. Gdyby tak uciec między świecami w stronę drzwi... Czuła jednak, że Sebastian nie pozwoli...

- Czy chciałabyś ją włożyć? - jego głos brzmiał jak miłosa pieśń.

Katharine zaczęła szybciej oddychać. Wiedziała, że Sebastian wyczuwa jej strach i że go to bawi. To nie był Sebastian. Poczowała, że jej ciało ścina lód.

- Nie - odparła. Nie mogła się zmusić, by spojrzeć mu w twarz.

- Włóż to!

Zabrzmiało jak rozkaz.

- Dobrze - szepnęła Katharine.

Zbliżyła się do łoża i sięgnęła po suknię.

W teatrze było już ciemno, kiedy Jeremy tam dotarł. Drzwi nie ustąpiły. Pobiegł do tylnego wejścia, lecz i ono było zamknięte. Wiedział, że jedyne miejsce, które zostało jeszcze do sprawdzenia, to Savoy. Przecież to stare zaproszenie znalazło się na kominku z jakiegoś powodu. Rozsądek podpowiadał, że Locke'owie muszą być w Savoyu. Ale rozsądek - Bóg wie - miał z tym niewiele wspólnego.

Jeremy'emu brakowało tchu. Zaczął ciężko oddychać. Potrzebował inhalatora, ale nie nosił go z sobą od lat. Spojrzał na zegarek. Była już dziesiąta.

Znów zaczął biec.

- Zdejmij ubranie - polecił jej Sebastian.

- Nie.

- Ale ja chcę.

Był tuż za nią. Przed nią stało łóżko, otoczone świecami. Dygocząc, Katharine ściągnęła sweter przez głowę i rozpięła dzinsy. Nie miała na sobie stanika. Jej sutki sterczały. Małeńkie włoski na rękach i nogach nastroszyły się, kiedy tak stała, niemal naga, tylko w koronkowych majteczkach.

- Włóż to.

Zaczęła mocować się z zapięciem sukni, pewna, że zaraz poczuje na ciele jego dłonie. Jak tamtej nocy w pokoju dziecinnym. Lecz nie dotknął jej. Tylko stał za nią. Czekał.

Rozpięła wszystkie haftki i rozłożyła suknię. Pasek upadł na łóżko. Powoli zaczęła wkładać kostium. Wsunęła rękawy. Suknia okryła ją. Materiał przesiąknął wstrętnym zapachem stęchlizny i Katharine zrobiło się niedobrze. W zetknięciu z szorstką, starą i popękaną podszewką dostała gęsiej skórki.

- Pomogę ci, aniele - odezwał się Sebastian łagodnym głosem. Jego ręce objęły ją w pasie. Potem dotykały pleców, kiedy zapinał haftki. W końcu suknia ciasno otuliła ciało Katharine. Uwięziła je tak, że z trudem oddychała.

Jeremy wpadł do holu. Znalazł się przy recepcji. Kaszlał gwałtownie. Zapytał o numer apartamentu Locke'ów, lecz recepcjonista nie chciał go wpuścić.

- Mogę zadzwonić na górę, sir. - Podniósł słuchawkę. - Pana nazwisko?

- Mariner. - Jeremy usiłował złapać oddech. - Proszę się pośpieszyć, to bardzo pilne.

Nikt nie odpowiadał. Recepcjonista odwrócił się prędko, by zobaczyć, czy nie ma klucza.

- Dziękuję - powiedział Jeremy, zapamiętawszy numer.

- Czy chciałby pan zostawić wiadomość, panie Mariner?

- Nie, dziękuję. Sprawdzę w barze, jeśli można.
- Oczywiście.

Odnalazł apartament, kilkakrotnie zapukał do drzwi. Ale nikt nie odpowiadał. Musi odszukać pokojówkę albo kogoś z zapasowym kluczem. W przeciwnym wypadku trzeba je będzie wyważyć. Wiedział jednak, że na to nie starczy mu sił.

Było już późno. Niewielu gości potrzebowało pokojówki w noc sylwestrową.

Może zwariowałem. Może siedzą w restauracji, jedząc kolację... Nawet tam nie zajrzałem.

Katharine stała w kostiumie Diany. Poczowała ręce Sebastiana na swoich ramionach. Odwrócił ją ku sobie.

Czyżby to był duch - pomyślała wstrząśnięta. Był nadal przystojny. Lecz taki blady. Te dobrze jej znane rysy. Ale te oczy... jakby niewidzące.

- Sebastianie...

Jej głos zadrżał. Popatrzyła w dół i zobaczyła jego dłonie. Miarowo się zaciskały. Trzymał pasek od sukni; długi, gruby splot aksamitu i jedwabiu.

- Co robisz?

Katharine cofnęła się. Natknęła się na łóżko. Nie drgnęło pod jej naporem.

Niewidzące oczy patrzyły na nią. Może widzi Heddę albo matkę. Za wszelką cenę trzeba z tym skończyć, wydostać się z tego pokoju.

Jakby czytając w jej myślach, Sebastian pokręcił głową.

- Nie - powiedział tak cicho, że ledwie go usłyszała. - To się nie zgadza.

- Co się nie zgadza, Sebastianie?

Skręcił pasek w rękach. Katharine spojrzała w dół i zobaczyła, jak silne są jego dłonie. Podniosła wzrok na jego twarz i zrozumiała, że oszalał.

- Nie! - nagle pchnęła go mocno. Pobiegła w stronę drzwi. Kostium był ciężki jak z ołowiu. Biegając, przewracała świece. Szloch utknął jej w gardle. Złapał ją bez trudu. Jedną ręką objął ją w pasie i niemal niosąc, zaciągnął w stronę łóżka.

- Nie! - krzyknęła Katharine z całych sił. Zaczęła go kopać, lecz on chyba nic nie czuł. - Sebastianie! Błagam!

Poczuła ucisk paska na szyi. Lodowatymi palcami odsunął jej włosy z karku. I kiedy znów zaczęła krzyczeć, pasek zacisnął się. Krzyk zamarł jej w gardle. Poczuła, że krew ucieka jej z twarzy. Wczepiła się w niego, charczała, by złapać oddech, walczyła o życie...

Naraz płomienie świec zatańczyły jak derwisze. Najpierw otworzyły się drzwi wejściowe, a potem drzwi do sypialni. W progu stanął Jeremy.

- Sebastianie! Do diabła, co robisz!?

Oczy Katharine rozwarły się szeroko. Walczyła z niemocą. Zobaczyła Jeremy'ego, jego postać pogrążoną w mroku, jakby unoszącą się w powietrzu. Widziała, jak jego cień wędruje po ścianie i suficie. Jak staje naprzeciw cienia Sebastiana.

- Na miłość boską, Sebastianie, puść ją!

Czekała aż pasek zsunie się z jej szyi, aż rozluźni się uścisk. Słyszała, jak gwałtownie łapie powietrze. Przestała się szamotać. Słyszała głos Jeremy'ego, wyraźny i ostry...

- Sebastianie! Co ty, u licha, wyprawiasz? Zabierz to z jej szyi! - Głos Jeremy'ego echem odbijał się w pokoju. - Mordujesz Hedde? Czy to chcesz zrobić? - mówił bardzo wyraźnie i głośno. - To nie jest Hedda, Sebastianie. To Katharine, twoja żona!

Poczuła, że uginają się pod nią nogi. Wiedziała, że za chwilę zemdleje. Patrząc w górę, w te oszalałe oczy, zobaczyła, jak na sekundę zaciskają się mocno, jak otwierają się, mrugają. Gwałtownie, szybko zaczęły trzepotać rzęsy. Po chwili rozwarły się szeroko. I Katharine uzmysłowiła sobie, że tym razem Sebastian poznał ją i że przez ułamek sekundy był boleśnie świadom swojego szaleństwa.

Na chwilę pętla zacisnęła się. Zawodząc, Sebastian zaczął się chwiejnie wycofywać. Wsparł się o ścianę. Dłonie zacisnął w pięści, bił się po głowie.

Katharine, wciąż z trudem chwytając oddech, pokonując opór długiej sukni, zrobiła krok do tyłu. Aksamitny rąbek zaczeplił dwie świece i przewrócił je. Maleńkie płomyki liznęły tkaninę...

- Och, mój Boże!

Swąd palącego się materiału przeraził ją. Gwałtownie uderzała, okładała pięściami palący się aksamit, nawet kiedy ogień już zgasł...

- Wyjdź stąd! - syknął Jeremy brutalnie, pchając ją w stronę wyjścia.

Po policzkach Katharine spływały łzy. Posłuchała go. Zaczęła przesuwac się bokiem, już teraz powoli, ukradkiem. Kiedy już była blisko drzwi, obejrzała się. Zobaczyła, że twarz Jeremy'ego wyrażała potworną rozpacz. Stał zupełnie nieruchomo, wpatrzony w Sebastiana. Drżał, a jego oczy pełne były łez. Teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło, zapomniał, że Katharine tu jest. Cała jego uwaga skupiła się na mężczyźnie, który kulił się na podłodze pod ścianą.

Z ogromnym wysiłkiem Jeremy podszedł do przyjaciela. Pochylił się, przykucnął, objął go. Ujął go pod ramię i pomógł wstać.

- Chodź, Seb - wyszeptał łagodnie. - Usiądź.

Poprowadził go do salonu, omijając Katharine. Posadził w fotelu. Katharine poszła za nimi. Bała się odezwać.

- Powiniennem wcześniej zorientować się, jak ważna dla ciebie była ta sztuka - odezwał się Jeremy tak cicho, że Katharine z trudem go usłyszała. - Powiniennem się domyśleć... Charlie Grenville w Marchmont, Edynburg... - urwał. - Barbara.

Zimny strach obezwładnił Katharine.

- Co z Barbarą? - Jej głos stał się szeptem.

- To nie był wypadek - odparł Jeremy, nie patrząc na nią i nie odrywając wzroku od Sebastiana. - Nie sądzę, żeby chciał ją zabić. Nie planowałaś tego, prawda, Seb? A może po prostu to ja nie chcę w to uwierzyć. Przecież nie wiem, co się zdarzyło.

- Kłamiesz. - Katharine była coraz bardziej roztrzęsiona. Nie była w stanie tego znieść. - Jesteś szalony. Jak możesz mówić coś tak potwornego.

Jeremy uśmiechnął się słabo.

- Chciałbym się mylić, Kate. Ale czas najwyższy, byśmy wszyscy to zrozumieli. On jest chory. Coś jest nie tak z jego głową. Wszyscy to wiedzieliśmy: ty, Virginia, ja, ale żadne

z nas nigdy o tym nie mówiło. Więc nie mogliśmy ci pomóc, prawda, Seb?

Katharine spojrzała na swojego męża, który znów zakrył twarz rękoma.

- To nieprawda, Sebastianie, prawda? Powiedz, że on się myli.

- On ci tego nie powie, Katharine. Nie wiem nawet, czy zdaje sobie sprawę, jak do tego wszystkiego doszło. Ale to czaiło się w nim. Nawet gdy byliśmy dziećmi. Zmieszał szminkę z kwasem solnym przed szkolnym przedstawieniem „Heddy Gabler”. Parę lat potem podpalił teatr...

- Przestań! - błagała Katharine. - Już nie mogę tego znieść!

- Dlaczego? - zapytał Jeremy. - Dlaczego nie chcesz tego słuchać? Bo go kochasz? Nie jesteś jedyną osobą, która kocha Sebastiana. Ja kochałem go już, zanim ty znowu pojawiłaś się w naszym życiu. Ja zawsze go kochałem.

Za nimi, w półmroku, Sebastian drgnął. Ale Jeremy ciągnął dalej, nie mogąc się powstrzymać:

- Zawsze był piękny i wspaniały. - Potrząsnął głową. - Nigdy nie wiedział, co do niego czuję. Że zrobiłbym dla niego wszystko, wtedy i teraz.... Wszystko w porządku - dodał, patrząc na Katharine. - Nie musisz się tego obawiać. Seb nigdy nie odwzajemniał moich uczuć. Ale gdybym wyznał mu miłość, poczułby obrzydzenie, a to byłby koniec naszej przyjaźni.

- Zawsze wiedział, że jesteś biseksualistą - cicho powiedziała Katharine. - Nigdy by cię za to nie potępił. Nie swojego najlepszego przyjaciela.

- To nie tolerancji pragnąłem - odparł Jeremy. - Pragnąłem miłości.

Sebastian jęknął chrapliwie.

- Słuchasz Seb, prawda? Jesteś wstrząśnięty. A może ten jęk oznacza, że mnie żałujesz, że moje życie było nie do zniesienia? Ale nie, to nie była prawda. Dopóki nie poznałeś Kate. Przed nią żadna dziewczyna, żadna kobieta nic dla ciebie nie znaczyła, wiedziałem o tym. Aż pojawiła się Katharine. - Głos Jeremy'ego załamał się. - Ona miała wszystko. Była piękna i delikatna, inteligentna i subtelna. I do szaleństwa cię kochała....

- Jeremy, nie mów tak! - wołała Katharine.

- Chciałem cię znienawidzić, Kate. Naprawdę próbowałem, ale to nie było łatwe. Bo zawsze byłaś tak cholernie miła!

Zapadło milczenie. Jeremy wrócił do rzeczywistości.

- Dlaczego to zrobiłeś, Seb? Dlaczego zabiłeś Barbarę? Bo miała zagrać Hedde?

Sebastian odkrył twarz.

- Dlaczego to zrobiłeś? Z powodu matki? Z powodu Diany?

Imię to zawisło w powietrzu, mieszając się z dymem i starym, mdlącym zapachem sukni. W oczach Sebastiana zamęt zastąpiła nienawiść.

Jeremy pochylił się nad nim i potrząsnął go za ramiona.

- Nie przestanę, Seb. Teraz nie mogę przestać. Już za późno. - Jego ciemne oczy wyrażały determinację. - Chciałeś też zabić Kate i muszę zrozumieć dlaczego. Bo próbowała zastąpić Dianę, bo cię kochała? Była jedyną kobietą, którą poza Dianą pokochałeś, prawda? Zdobyła twoją miłość, po czym wprowadziła się do domu twojej matki i zmieniła go. A ty chciałeś jej dać wszystko i w końcu dałeś jej Hedde. Ale tego było już za wiele?

- Ona mi kazała.

Sebastian odezwał się po raz pierwszy.

- Powiedziała, że nikt inny nie zagra Heddy. Nikt, tylko ona. Słyszałem to. Kochała tę rolę, zawsze chciała ją zagrać. Ale wtedy Hedda ją zabiła, zabrała mi ją.

Nienawiść znów zgasła w jego oczach. Teraz pojawiło się w nich zdumienie i strach. Nie pamiętał o tym. Aż do dzisiejszej nocy nie rozumiał tego naprawdę. Teraz nagle wspomnienie to stało się tak żywe. Kiedy zamknął oczy, znów widział swoją matkę. Jak wtedy, po raz ostatni. Leżała na scenie martwa, w czarnej sukni. I słyszał głos ojca, który mówił, że to Hedda ją zabiła.

- Myślałem - ciągnął cicho, patrząc na Katharine - że pragnę tego dla ciebie najbardziej na świecie. Myślałem, że jesteś do tego stworzona. Że jesteś jedyną żyjącą osobą, która może zagrać Hedde. Ale wszystko się pogmatwało.

Wstał z fotela i spojrzał Katharine prosto w oczy. Głosem cichym, niemal niesłyszalnym, szepnął:

- Wybacz mi.

Jego twarz sposepniała, rysy miał napięte. Pojawiły się zmarszczki bólu, których Katharine wcześniej u Sebastiana nie dostrzegła.

- Wybacz mi, aniele - powtórzył.

I wtedy, poruszając się bardzo powoli, lecz zdecydowanie, Sebastian podszedł do drzwi. Jego ręka spoczęła na klamce.

Sebastianie! Nie! - krzyknęła przejmująco Katharine, zdjęta nagłym strachem. Zrobiła krok do przodu. Lecz Jeremy chwycił ją za ramię. Zatrzymał ją. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Sebastian wyszedł.

- Co ty robisz? - krzyknęła Katharine na Jeremy'ego. Wpadła w szal. - Chcę z nim iść! Nie można go zostawić samego!

Jeremy wciąż trzymał ją za ramiona. Był bardzo spokojny.

- Spójrz na siebie, Kate - powiedział i odwrócił ją w stronę lustra.

Katharine zobaczyła do połowy rozerwany kostium, swoje oczy, zaczerwienione i opuchnięte.

- Nie możesz iść za nim w takim stanie. Nie możesz, jeśli chcesz ocalić jego dobre imię. - Wciąż trzymał ją za ramię. - Ja za nim pójdę. Znajdę go i zaopiekuję się nim.

- Więc idź, na miłość boską! - wyszlochwała.

Jeremy puścił ją. Stał w drzwiach.

- Wszystko będzie dobrze, Kate - powiedział serdecznie. - Czekał tu i zdejmij tę suknię. Będzie dobrze, przysięgam.

I Jeremy wyszedł. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak bezradna i opuszczona...

I wówczas przypomniła sobie o dziecku. I zaczął rosnać w niej inny strach. Pęczniał, aż wypełnił ją całą. Chwyciła się za wciąż jeszcze płaski brzuch, a z jej oczu zaczęły płynąć łzy.

Sebastian przeszedł przez River Entrance na Savoy Place. Portier skinął do niego głową, szarą rękawiczką dotykając cylindra.

- Szczęśliwego Nowego Roku, sir.

- Nawzajem - odpowiedział Sebastian.

Minął gromadkę szoferów. Podążył dalej. Szedł szybko. Słyszał miarowe echo swoich kroków. Na przejściu spojrzał w prawo, w lewo i jeszcze raz w prawo. Zachowywał ostroż-

ność. Jego postać to odcinała się wyraźnym konturem od obmurowania bulwaru, to znów zatapiała się we mgle.

Panowało lodowate zimno. Ale wewnątrz palił żar.

Na ulicy prawie nie było ludzi. Tylko kilka samotnych postaci. Przemykały szybko, ze schyłonymi głowami, wydychając kłęby pary.

Nigdy przedtem nie był na nadbrzeżu, ale łatwo znalazł drogę. Cicho i pewnie zszedł po wąskich schodach. Zobaczył pusty, kamienny brzeg. Przed nim Tamiza oddychała rytmicznie. Nikłe fale przypominały zmięty, czarny plastik. Lizły kamienie u jego stóp. Nad nim wznosił się strzelisty obelisk Kleopatry. Obok stał sfinks, tajemniczy i piękny. Po drugiej stronie rzeki ledwo widoczny był Royal Festival Hall - niby zamglona, pulsująca życiem, latarnia.

Gdzieś w dole rzeki rozlegała się syrena alarmowa, raz cicho, raz głośno, równocześnie z przesuwanymi się kłębami mgły. Lecz Sebastian słyszał tylko głosy ludzi.

Głos Katharine, miękki i słodki, płynął obok, jakby nieuchwytny. I znów zobaczył jej twarz. Jak wtedy, za pierwszym razem. Całą złotą, o bursztynowych oczach, pełnych iskier i radości...

Ona nie chciała, żeby inna aktorka dostała tę rolę.

Głos ojca. I inne, okrutnie wyraźne wspomnienie, gdzieś z głębi, wbijające się tysiącami igieł...

Hedda ją zabiła.

I zobaczył Dianę, patrzącą na niego. Jej oczy były spokojne i kochające. Ciało i krew uwięzione na płótnie w drewnianej ramie. I jej głos, dźwięczny, ożywiony, namiętny. Takim go słyszał wiele lat temu.

- Nikt inny nie zagra Heddy Gabler - powiedziała ojcu. - Nikt, słyszysz?

- Słyszę! - odpowiedział jej teraz Sebastian. Zaklinał ją błagalnie jak dziecko, kiedy tak natarczywie spadały na niego te wizje. Chłopiec-aktor z otwartymi, zakrwawionymi ustami, krzyczący wniebogłosy u jego stóp. Płonący budynek, twarze mężczyzn walczących z płomieniami. Barbara, lecąca w dół i jej krzyk...

Zamknął oczy. Skulił się, dłońmi zakrywając uszy. Wymazać, unicestwić te obrazy, głosy. Jego własny krzyk ule-

ciał w zamglone, nocne powietrze. Bezsensowny, bezsilny skowyt.

Jeszcze kilka schodów.

Woda przyjęła go z otwartymi ramionami. Gwałtownie, w lodowatym uścisku objęła jego kolana. Chwyliła go w pasie, chciwie wciągała głębiej, niby nienasycona kobieta. Przez moment znów był dzieckiem, patrzącym przez mgłę w stronę światła na wzgórzu, wyciągającym rękę w ciemność, pragnącym czegoś, tęskniącym za czymś, co nigdy nie nadejdzie.

Oderwał oczy od światła. Bo to, czego chciał, było tam - w rzece. Już teraz to wiedział.

Kiedy woda zamknęła się nad jego głową, Sebastian szeroko otworzył oczy. A kiedy nic nie zobaczył, odchylił głowę ku górze, ku temu lodowatemu całunowi, który go tak życzliwie przykrył. I roześmiał się z ulgą, jakiej jeszcze nigdy nie zaznał. A woda pośpiesznie wypełniła jego usta.

Jeremy stał na szczycie schodów.

Czuł ból w piersiach, w płucach i słyszał swój własny ciężki oddech. I było tak, jak tamtego dnia, dawno temu w Aysgarth Falls. Kiedy widział, jak tonął jego brat, Thomas. I patrzył, nie mogąc się poruszyć.

Tylko dwoje ludzi kochał bezgranicznie. Thomasa, swojego brata, i Sebastiana.

Patrzył w dół, na rzekę. Przypomniał sobie, jak ojciec powiedział mu kiedyś, że kiedy jego pradziad stracił dwóch synów i dwóch braci na morzu, to zebrał ocalałych członków rodziny i przeniósł się setki kilometrów dalej, by uciec od wody, by im nigdy więcej nie zagroziła.

- Sebastianie!

Wołanie Katharine we mgle, rozpacz i przerażenie w jej głosie, przywróciły Jeremy'emu poczucie rzeczywistości. Zmusiły go wreszcie do pokonania schodów prowadzących na nadbrzeże. Obok przepłynęła łódź. Jej światła wydobyły z wody refleks bieli. To włosy Sebastiana. Może nie jest jeszcze za późno...

Jeremy zanurzył się w wodzie. Nigdy nie czuł takiego bólu. Ale chwycił Sebastiana i wyciągnął go z wody. Katharine pochyliła się, wyciągnęła ramiona...

- Chwyć mnie za rękę! Jeremy! Chwyć mnie za rękę!

Jeremy pomyślał, że umrze z zimna albo sam utonie.

I wtedy dotknął jej palców. Nie podejrzewał, że Katharine jest tak silna.

Znaleźli się na brzegu. Jeremy położył Sebastiana na kamieniach. Katharine - ze łzami ciekącymi po policzkach - przewróciła go na wznak. Skupił się przez chwilę na tym, by złapać powietrze w płuca. By samemu przeżyć. I wówczas usłyszał wycie syreny, a potem nie pamiętał już nic.

RS

Wyjątek z zeznania złożonego policji przez Jeremy'ego Jamesa Adama Marinera w Szpitalu Św. Jerzego w Londynie, dnia trzydziestego pierwszego grudnia 1976 roku.

Ja pozwoliłbym mu umrzeć. Gdyby jej tam nie było.

Kiedy usłyszałem jej krzyk, odruchowo zacząłem robić wszystko, by go uratować. Myślałem nawet, że chcę, żeby przeżył.

Ale tak nie było. Chciałem, żeby umarł. Chciałem, żeby to już było za nim. Ponieważ go kochałem.

Kate zrobiłaby dla Sebastiana wszystko. Mogłaby patrzeć na niego, uwięzionego w jakimś szpitalu albo zakładzie zamkniętym dla obłąkanych - i nazywałaby to miłością.

A ja kochałem go na tyle, żeby pozwolić mu odejść.

Mam nadzieję, że umrze.

RS

Rozdział 30

W szpitalu św. Jerzego Sebastian przez kilka godzin leżał pod respiratorem. Jednak kiedy lekarze stracili nadzieję, że będzie żył, wyłączyli aparat.

Dwanaście godzin później Katharine wyszła zza kulis Albany Theatre i zagrała Heddę Gabler. Była to prapremiera bez obecności krytyków. Lecz słyszano, jak jeden z widzów, wychodząc z teatru powiedział do żony, że Katharine Andersen była najlepszą Heddą, jaką kiedykolwiek widział.

Przed przedstawieniem Katharine powiedziała dyrekcji, że będzie to jej ostatnia rola, i nawet Harvey Noel uznał potem tę decyzję za tragiczną. Mówiła, że nie jest aktorką i nie ma do tego serca. Tego popołudnia zagrała tylko ze względu na swojego męża.

- To straszna wiadomość - powiedział Harvey, a March z nim się zgodził. Lecz w głębi serca czuli niezmierną ulgę, że Rebecca Sykes, która grała już dla nich Norę, zgodziła się przyjąć rolę Heddy.

Tydzień później przyjaciele Katharine zebrali się na Hampstead Cemetery, by pochować Sebastiana obok Diany i Andrew. Przy Katharine stał Henrik Andersen, dalej Virginia, a obok niej Ellie. Nieco z tyłu zostali Sam, Laszlo, Betty i Dixie. Po przeciwnej stronie stanął Jeremy, a obok niego Elspeth. Pod parasolami stłoczyli się klienci agencji, przyjaciele i znajomi.

Obecny był też David. Stanął kilka metrów dalej i wpatrywał się w bladą twarz Katharine. Ani na chwilę nie ode-rwał od niej oczu.

David razem z Virginią został w Dębach, kiedy wszyscy inni odjechali. Virginia taktownie wyszła z salonu.

Na kominku buchał ogień, jednak Katharine marzła. Czowała, że już nigdy się nie ogrzeje.

- Chcesz, żebym zostawił cię teraz w spokoju? - spytał David.

- Nie.

- Przynieść ci coś? Może drinka?

Potrząsnęła głową.

- Przepraszam - powiedział. - Nie musimy rozmawiać.

Mnie wystarczy, że sobie tu siedzimy przy kominku.

- Musimy porozmawiać - cicho odezwała się Katharine.

Muszę ci coś powiedzieć.

- Dopiero, kiedy będziesz gotowa. Nie wcześniej.

- Będę miała dziecko.

Na kominku obsunęło się niewielkie polano drewna, wznecając pył iskier. Potem zapadła cisza.

- Od jak dawna o tym wiesz? - spytał w końcu David.

- Od jakiegoś czasu.

- Jesteś pewna? Może to wstrząs?

- Jestem w ciąży.

Siedzieli z dala od siebie. David marzył o tym, żeby wstać i podejść do Katharine, przytulić ją. Lecz siedział bez ruchu i czekał, aż ona się odezwie.

- Tak bardzo się boję - powiedziała.

- O dziecko?

Ich oczy się spotkały.

- Rozumiesz?

- Oczywiście.

- Virginia mi mówiła, że Jeremy jej powiedział, iż przed miesiącem odwiedził neurologa w sprawie Sebastiana. - Katharine mówiła bardzo cicho. - Niejaką Joyce Osborne. Nie mogła wiele powiedzieć Jeremy'emu, bo on wiedział tylko o jednym ataku Sebastiana. A raczej o tym, co sam uznał za atak.

- Jeremy nie wspomniał ci o tym? - zapytał David.

Pokręciła głową.

- Nigdy tak naprawdę nie rozmawialiśmy. - Zamilkła. Jej oczy wyrażały ból. - Wszyscy wiedzieliśmy, że Sebastian jest

chory, Davidzie. I wszyscy chowaliśmy głowy w piasek. Chyba trochę z lojalności, ale głównie ze strachu.

David nic nie odpowiedział. Czekał na jej słowa.

- Mogliśmy go ocalić - powiedziała Katharine zdławionym głosem.

- Być może - odparł David. - Chociaż, po tym, co mi powiedziałaś, nie jestem pewien, czy on chciałby się uratować.

Dwa tygodnie po pogrzebie David poszedł do gabinetu Joyce Osborne przy Harley Street. Wiedząc aż nadto dobrze, że Katharine boi się o dziecko, i starając się ją chronić, pomógł jej zebrać jak najwięcej danych, pozwalających - choć było to teraz prawie niewykonalne - zdiagnozować chorobę.

Po konsultacji David pojechał taksówką do mieszkania Virginii przy Montpelier Square, gdzie Katharine zamieszkała po pogrzebie.

Zostawię was samych - powiedziała Virginia, kiedy stali skrepowani w holu.

- Nie! - pośpiesznie zawołała Katharine. - Chcę, żebyś została.

- Więc zaparzę wam herbaty.

- Później, kochanie. - Katharine była blada, lecz zdeterminowana. - Teraz muszę wysłuchać tego, co David ma do powiedzenia.

Salonik Virginii był ładnie urządzonej - jasny, z kretonowymi obiciami, jasnozielonymi, jedwabnymi tapetami i z fotografiami rodzinnymi. Usiedli w milczeniu. Katharine i Virginia czekały, aż David zacznie mówić.

- To łamigłówka - odezwał się. - Doktor Osborne od razu powiedziała, że w normalnych okolicznościach nie bawi się w zgadywanie. Ale rozumie twoje uczucia.

Milczały.

- Zanim Sebastian umarł, zrobiono mu EEG w szpitalu. Wiecie, co to za badanie?

- Tak - odpowiedziała Katharine, a Virginia skinęła głową.

- Badanie wykazało pewną anomalię w jednym z płatów skroniowych... Można to różnie interpretować. Według jednej z teorii Sebastian mógł kiedyś doznać jakiegoś urazu.

- Masz na myśli uraz głowy? - spytała Virginia. - Czy Andrew nie wiedziałby o tym?

- Niekoniecznie. Jeśli wtedy wyglądało to niegroźnie. Może jakiś upadek albo uderzenie podczas gry. - David wzruszył ramionami. - Mogło się to stać nawet w czasie porodu. Michael Adler, stary lekarz rodzinny, przesłał Joyce Osborne kartotekę Sebastiana. To samo zrobiła położna jego matki. To był ciężki poród, kleszczowy. Odnotowano niewielkie urazy.

- Czy to znaczy, że Sebastian mógł mieć uszkodzenie mózgu? I nikt by o tym nie wiedział? - wyszeptała Katharine, nie mogąc dać temu wiary. - Ale przecież on był bardzo błyskotliwym człowiekiem.

- Mówimy tu o drobnym uszkodzeniu, najmiłsza - odparł łagodnie David. - Poza tym pojawiły się dodatkowe okoliczności.

- Doktor Osborne skonsultowała się z psychologiem dziecięcym - ciągnął David. - Oboje uznali, że strata matki w tak dramatycznych okolicznościach, widziana oczyma małego dziecka, mogła stać się jedną z przyczyn późniejszych problemów Sebastiana. Połączenie wczesnych, tragicznych przeżyć z urazem płata skroniowego może wyjaśniać pojawienie się choroby.

- Jednym z objawów - mówił David do Katharine - mogły być utraty świadomości. Sebastian mógł czasem nie wiedzieć, co się dzieje.

- I co robi - dodała Katharine cicho.

- To znaczy, że nie był świadom swoich czynów? - zapytała Virginia.

- Prawdopodobnie - odparł David zdecydowanie. - Ale nawet jeśli był, mógł niemal całkowicie tę świadomość zablokować.

W pokoju zapadła cisza.

- A nasze dziecko? - spytała w końcu Katharine.

David powiedział dobitnie:

- Jeśli takie były przyczyny choroby Sebastiana, to nie jest ona dziedziczna. Nie musisz bać się o swoje dziecko, Katharine.

- Tak myślisz?

- Bez wątplenia. To właśnie chce ci przekazać Joyce Osborne. Z tej świadomości powinnaś czerpać otuchę. - Pochylił się do przodu i popatrzył na nią czule. - Nie istnieje

powód, dla którego nie miałybyś urodzić zdrowego, normalnego dziecka.

Pierwsza zareagowała Virginia. Gwałtownie wstała z fotela i podeszła do Davida, by go uściskać.

- Niech Bóg cię błogosławi - powiedziała wzruszona i wybiegła z pokoju.

David spojrzał na Katharine. Była jeszcze bardziej blada. Miała zamknięte oczy.

- Dobrze się czujesz?

Otworzyła oczy i zobaczył, że są pełne łez.

- Dobrze - szepnęła.

Wyglądasz nieszczególnie.

Uśmiechnęła się słabo.

- Nie wiem, jak ci dziękować, Davidzie.

- To nic trudnego.

- Powiedz. - Jej policzki zaróżowiły się lekko. - Zrobię wszystko.

- Chciałbym, żebyś znów była szczęśliwa. - Popatrzył jej w oczy. - I bym mógł choć trochę dzielić z tobą to szczęście.

Katharine nie chciała już nocować w Dębach. Wystawiła dom na sprzedaż, a dla Ellie kupiła mieszkanie w pobliżu domu jej córki w Aylesbury. Dopóki wszystko nie zostało załatwione, Katharine zamieszkała z Virginią. David codziennie dzwonił z Nowego Jorku. Sam, którego londyński kontrakt już wygasł, regularnie się z nią kontaktował. Jeremy co jakiś czas przedstawiał jej propozycje ról, zaś Laszlo ponaglał, by pozwoliła mu wreszcie uciec od emerytury w jakieś nowe, wspólne przedsięwzięcie. Jednak przynajmniej na razie Katharine nie miała siły na podejmowanie nowych wyzwań. Wyjątkiem była ta jedna rzecz, teraz najważniejsza. Robiła wszystko, by zrekompensować fatalny początek ciąży - zdrowo się odżywiała, ostrożnie uprawiała gimnastykę. I starała się myśleć tylko o pięknych chwilach przeżytych z Sebastianem. I o tych ostatnich, upojnych, miłosnych nocach, kiedy zostało poczęte ich dziecko.

- Czy jest coś złego w tym, że patrzę w przyszłość swoją i dziecka? - któregoś dnia spytała Virginię.

- Ależ skąd.

- Wiem, że odsuwam od siebie tę potworną rozpacz. Może przez to problemy jeszcze bardziej urosną w przyszłości?

- Ale odsuwasz same koszmary, kochanie - powoli odparła Virginia. - Dla dobra dziecka. Wydaje mi się to całkiem zdrową i rozsądną reakcją.

Z początku Katharine miała dręczące poczucie winy. Po jakimś czasie jednak przestało ono ją nękać. Z upływem czasu uzmysłowiła sobie, że nie ma podstaw, by obwiniać siebie za chorobę Sebastiana i jego śmierć. Jeremy powiedział jej kiedyś, że Sebastian bardzo by cierpiał, gdyby ona od niego odeszła. Pomyślała, że wówczas ktoś inny mógłby spowodować ten koszmar.

Jej związek Sebastianem trwał tylko przez dwa lata i dwa miesiące. Często miała uczucie, że ich romans, małżeństwo i wspólne życie było bajką. Sebastian ją zauroczył. Były chwile, że była z nim szczęśliwa. Teraz po tej tragedii dojrzała. Była gotowa na spotkanie z Davidem.

Virginia odprowadziła Katharine na Heathrow w pierwszym tygodniu maja. Rozstały się z płaczem. I obiecały sobie, że spotkają się jeszcze przed porodem, w Nowym Jorku.

- Dasz sobie radę, Virginio? - niespokojnie spytała Katharine po raz czwarty czy piąty od wyjazdu z Montpelier Square.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie.

- I obiecujesz, że wkrótce odwiedzisz wuja Henrika? Tak bardzo chce, żebyś przyjechała. Sądzę, że zostawiłby Kopenhagę i przeprowadził się do Londynu, gdybyś tylko tego chciała.

- Chyba masz rację - uśmiechnęła się Virginia. - Ale chyba mu na to nie pozwolę.

Katharine trzymała ją za ręce i patrzyła w oczy.

- Czy myślisz, że Andrew by mi wybaczył? - zapytała drżącym głosem. - Nigdy naprawdę go nie poznałam, ale często czułam obecność rodziców Sebastiana w tym domu... Wiedziałam, że chcą, żebym opiekowała się Sebastianem...

Virginia mocniej ścisnęła jej dłonie.

- Andrew by cię pokochał - powiedziała zdecydowanie. - I dobrze wiesz, Katharine, że nie ma tu nic do wybaczenia.

Byłaś tym, co najlepsze w życiu Sebastiana. On sam wiedział o tym już w chwili, kiedy cię zobaczył, i jestem pewna, że był tego świadom nawet w momencie śmierci.

Katharine zmęczył siedmiogodzinny lot do Nowego Jorku. Kiedy otoczył ją zgiełk w holu przylotów i przy odprawie celnej, poczuła paniczny strach.

Ale już po chwili, kiedy wyłoniła się z tłumu obładowanych bagażami pasażerów, zauważyła Davida. Czekał na nią ze szczęściem malującym się na twarzy i z blaskiem w oczach. Strach, paraliżujący Katharine, zniknął, a w jej brzuchu poruszyło się dziecko.

Katharine podniosła torbę i, uśmiechając się do Davida, śmiało wkroczyła w swoją przyszłość.

RS